

*Uwaga, ta powieść grozi emocjonalnym poparzeniem!
Czytasz na własną odpowiedzialność.*

krytyk.com.pl

ALIGHT

ROZPALENI

TOM 2. TRYLOGIA GENERACJE

SCOTT

SIGLER

Feeria
young

ALIGHT

ROZPALENI

SCOTT

SIGLER

Feeria
young

PRZEKŁAD:
MAREK CIEŚLIK

Spis treści

CZĘŚĆ I POCZĄTEK I PRZYNALEŻNOŚĆ

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

CZĘŚĆ II MURY I DZIWY

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

CZĘŚĆ III DZIEDZICTWO I JĘZYK

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

DWADZIEŚCIA JEDEN

DWADZIEŚCIA DWA

DWADZIEŚCIA TRZY

DWADZIEŚCIA CZTERY

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

DWADZIEŚCIA SIEDEM

DWADZIEŚCIA OSIEM

CZĘŚĆ IV ZJAWY I NIENAWIŚĆ
DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ
TRZYDZIEŚCI
TRZYDZIEŚCI JEDEN
TRZYDZIEŚCI DWA
TRZYDZIEŚCI TRZY
TRZYDZIEŚCI CZTERY
TRZYDZIEŚCI PIĘĆ
TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ
TRZYDZIEŚCI SIEDEM
TRZYDZIEŚCI OSIEM

CZĘŚĆ V PRZEZNACZENIE I FATUM
TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ
CZTERDZIEŚCI
CZTERDZIEŚCI JEDEN
CZTERDZIEŚCI DWA
CZTERDZIEŚCI TRZY
EPILOG

PODZIĘKOWANIA

O AUTORZE

Tytuł oryginału: Alight

Przekład: Marek Cieślik

Opieka redakcyjna: Maria Zalasa

Redakcja: Marta Stęplewska

Korekta: Karolina Pawlik

Projekt okładki i ilustracje: David G. Stevenson

Zdjęcia na okładce © Denise Crew/Getty Images, © Shutterstock

Copyright © 2016 by Scott Sigler

This translation published by arrangement with Del Rey, an imprint of Random House, a division of Penguin Random House LLC

Copyright for the Polish translation © Wydawnictwo JK, 2017

ISBN: 978-83-7229-678-8

Wydanie I, Łódź 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych, bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

Wydawnictwo JK

Wydawnictwo JK, ul. Krokusowa 3,

92-101 Łódź tel. 42 676 49 69 www.wydawnictwofeeria.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie [Zecer](#).

Moim bratanicom, Riley i Sydney.
Wzrastajcie w siłę i wszelkiej mądrości.
Kocham Was.

URODZINOWE DZIECI

Kursywą – zmarłe

W nawiasach – zaginione

GRUPA EM	
☉	B. Aramowski
○	(K. Bello), M. Savage
◐	K. O'Malley
★	<i>J. Yong</i>
⊛	T. Spingate
⊕	

GRUPA BISHOPA	
☉	
○	R. Cabral, M. D'Souza, <i>J. Harris</i> , O. Ingolfsson, Y. Johnson, E. Okereke
◐	G. Bordżigin, Q. Opkick
★	Y. Bawden, R. Bishop, U. Coyotl, <i>T. El-Saffani</i> , <i>T. El-Saffani</i> , Q. Farrar, <i>S. Latu</i> , W. Visca
⊛	G. Beckett, X. Gaston
⊕	K. Smith

URODZINOWE DZIECI

DZIECIAKI Z „XOLOTLA“	
☉	B. Walczak
○	D. Abbink, G. Abrams, W. Alves, R. Andreasson, R. Ansel, A. Aucciello, K. Baardwijk, M. Bardsley, S. Bohner, R. Broz, V. Buffone, H. Chowdury, A. Csonka, D. Doyle, L. Esser, K. Grosser, N. Harman, M. Hoffman, P. Howland, E. Jahoda, K. Jepson, W. Kysely, E. Lestrangle, U. Marshall, L. Maus, D. McBride, G. Mehmet, R. Pecora, I. Perreault, A. Poole, F. Pope, J. Queen, Y. Raske, J. Rigby, T. Romagnoli, D. Roth, M. Savona, A. Schoettmer, I. Sharman, V. Sherazi, E. Simonis, G. Snider, D. Swarc, Z. Taylor, A. Tittensor, J. Tosetti, I. Tosto, M. Traverso, P. Van Kane, G. Vincent, L. Wieck, J. York
☾	J. Abrantes, T. Aeschelman, L. Bariso, H. Bemba, N. Derrickson, T. Schuster
★	V. Abdul, O. Afoyalan, E. Argyris, T. Arkema, H. Blaha, C. Boesch, U. Brankowicz, K. Brown, P. Bruhn, W. Cadotte, B. Cody, I. Darzi, P. Değirmenci, N. Derrickson, A. Dreesens, I. Fields, D. Giroux, N. Holub, H. Horn, D. Hornick, P. Horvat, C. Hrabe, M. Krejci, S. Kysely, E. Loncar, B. Marija, F. Metharom, V. Metharom, R. Mohammed, W. Müller, S. Myska, J. Olson, C. Pokorny, S. Radic, I. Resnik, S. Schovajsa, J. Thorn, C. Tosi, A. Uzun, M. Vendi, Q. Wakefield, S. Xanth
⚙	M. Cathcart, C. Kalle, A. Nevins, N. Peura, B. Zubiri
⊕	L. Pokano, F. Yilmaz

CZĘŚĆ I

POCZĄTEK I PRZYNALEŻNOŚĆ

JEDEN

Budzi mnie nagły, przesywający ból.
Otwieram oczy w ciemności. C a ł k o w i t e j ciemności.

Moje myśli dziwnie blokują się w głowie.

Ból w szyi tam, gdzie zaczyna się ramię, już mija. Pamiętam podobne użądlenie, tylko dużo gorsze. Tamtego dnia... miałam zdaje się urodziny? Chyba tak. D w u n a s t e urodziny.

Przeszywa mnie zimny dreszcz – to się już raz zdarzyło.

Leżę w trumnie.

Za chwilę dopadnie mnie potwór, czarna jak zgnilizna istota z wybitym okiem.

M a t y l d a .

Nie... to nie tak. Tym razem jest inaczej. Mogę ruszać rękami... poprzednio coś je przytrzymało. Unoszę w ciemności palce. Wyczuwam nimi pokrywę – jest tak blisko, że prawie dotyka mojej twarzy i piersi. Muszę stąd uciec, zanim potworzyca mnie zniszczy.

Potrzebna mi broń.

Włócznia... Gdzie moja włócznia?

Z wrzaskiem walę w pokrywę, łomoczę w nią pięściami i kolanami.

Jakiś odgłos, warkot czegoś mechanicznego – czuję, że pokrywa trumny zaczyna przesuwać się w stronę moich stóp. Zalewa mnie światło, razi w oczy mimo ciasno zaciśniętych powiek – n i c n i e w i d z ę.

Wymachuję dziko rękami, walę i drapię na oślep.

Czyjeś dłonie łapią mnie za nadgarstki.

– Em, nie bój się!

To głos dziewczyny. Rozpoznaję go: to Spingate.

– Uspokój się – mówi. – Wszystko w porządku.

Ujmuje moją dłoń w swoją. Splatamy palce. Jej skóra jest ciepła i delikatna, ale chwyt ma mocny, zdecydowany.

– Wylądowaliśmy – dodaje. – Jesteś bezpieczna.

„Bezpieczna”. To słowo jest złudne. Czuję jednak, że moje ciało odpręża się nieco. Przypominam sobie coś dużego i srebrzystego, coś, co dawało mi nadzieję, ale obraz tej rzeczy mi umyka.

– Wylądowaliśmy? O czym ty mówisz?

Drugą ręką Spingate głaszcząc mnie po włosach. Dodaje mi to otuchy, częściowo odpędza strach.

– Jesteś jeszcze zmulona od gazu w trumnie – tłumaczy. – Powinno ci to minąć w miarę szybko.

Zanim kończy mówić, już czuję, że w głowie mi się rozjaśnia. Mgła się rozwiewa. Błyskawicznie wracają wspomnienia.

Straszne wspomnienia.

Przebudzenie w trumnie. Igła wbijająca się w moją szyję. Wyrwanie się na wolność. Dezorientacja i brak świadomości, kim jestem i gdzie jestem, niepamięć o całej mojej przeszłości z wyjątkiem kilku ulotnych wspomnień z cudzego życia.

Uratowanie Spingate. Potem O'Malleya. Potem Bello, Aramowskiego i Yonga.

Ohydnie roztrzaskana czaszka małego chłopca o skórze zaschniętej na kościach, w ubraniu za dużym na jego małe ciało.

Szkielety. Pył. Niekończące się korytarze jak w jakimś lochu. Nasz długi marsz.

Mój nóż wślizgujący się w brzuch Yonga.

Spotkanie z Bishopem, Gastonem, Latu i całą resztą. Głosowanie, dzięki któremu zostałam przywódcą. Dwa szczepy połączone w jedną całość.

Świnie. Śmierć Latu. Ogród. To tam po raz ostatni czułam się b e z p i e c z n a; wtedy jeszcze wierzyłam, że to dziecinne pojęcie ma sens.

Oczy Bello otwarte szeroko ze zgrozy. Czarne, pomarszczone ręce potwora wciągające ją w zarośla Ogrodu. Potwory – S t a r s i – o czerwonych oczach i patykowatych kończynach, z pofałdowaną skórą zwieszającą się na twarzy w miejscu, w którym powinny być usta.

B e l l o .

Wstyd z powodu tamtej decyzji wali mnie obuchem między oczy. Przecież ją z o s t a w i ł a m. Dla dobra nas wszystkich – tłumaczy mi rozum, ale serce wyzywa mnie od tchórzy.

Rozmowa z Brewerem. Odkrycie, że nie jesteśmy pod ziemią, a na starożytnym statku kosmicznym o nazwie „Xolotl”. Że Starsi to istoty, które powinny były umrzeć całe wieki temu. Że chcą wyczyścić nam umysły i przejąć nasze młode ciała równie łatwo jak ktoś, kto postanowił zmienić ubranie.

Nowina o Omeyocanie, planecie, dla której zostaliśmy stworzeni.

A potem moja decyzja o ataku. Śmierć Harrisa w jakimś zakątku Ogrodu. Pojmanie Matyldy. Odnalezienie wielkiego srebrzystego wahadłowca. A kiedy już prawie udało nam się uciec: szarża bliźniaków El-Saffani – chłopaka i dziewczyny wpadających sobie w słowo i kończących nawzajem swoje zdania – na armię pomarszczonych żywych trupów, które rozniosły ich na strzępy.

Uciekliśmy z „Xolotla”, ale za jaką cenę?

– Stajemy na nogi – odzywa się Spingate.

Pomaga mi się podnieść i wydostać z trumny. Nogi natychmiast się pode

mną uginają – Spingate podtrzymuje mnie, nie pozwala mi upaść. Przypomina mi się prawie identyczny moment, kiedy to ja podtrzymywałam na duchu ją, mówiąc, żeby się uspokoiła, i pomagając jej wydostać się z innej trumny.

Oczy już mniej mnie pieką. Otwieram je, mrużąc powieki; mrugam i widzę twarz mojej przyjaciółki. Kręcone rude włosy Spingate są potargane i splątane, zielone oczy zapadnięte, a skóra wokół nich jest tak ciemna, że wygląda jak sińce. Nigdy wcześniej nie oglądałam jej aż tak bladej; widoczny na jej czole czarny symbol koła zębatego teraz jeszcze wyraźniej kontrastuje ze skórą.

– Chyba już dam radę ustać sama.

Spingate całuje mnie w policzek, wypuszcza z rąk.

Jesteśmy w długim, wąskim pomieszczeniu. Czerwone ściany i sufit, czarna, błyszcząca podłoga. Przez całą długość sali – dwa rzędy białych trumien ustawionych bokami do siebie. Pod każdą ścianą – szerokie alejki przejść, jeszcze jedna biegnie też środkiem aż do łukowatego otworu drzwiowego. Tuż za nim w prawo jest wejście, którym dostaliśmy się na ten wahadłowiec. Jeszcze dalej na wprost – dziwne pomieszczenie pełne świateł, w którym Gaston i Spingate lśnili jak para aniołów.

Tutejsze trumny są proste i zwyczajne. Zaprojektowano je chyba tylko po to, żeby dało się w nich spać. Nie przypominają wielkich, rzeźbionych skrzyń, które zajmowały się nami, kiedy wyrastaliśmy z niemowląt na ludzi o obecnych, młodzieńczych ciałach.

Moja trumna stoi otworem – pokrywa musiała się wsunąć gdzieś w jej dolną część. Inne trumny pozostają szczelnie zamknięte. W tej na prawo od mojej leży O'Malley, w tej na lewo – Bishop. Trzymałam ich za ręce, dopóki pokrywy się nie zasunęły.

Przez łukowate przejście wchodzi chłopak, człapie powoli ku nam przez środek sali. To Gaston. Trzyma w ręce moją włócznię.

Nadal ma na sobie czerwony krawat z wyszytym na nim żółto-czarnym kółkiem pełnym maleńkich obrazków i białym napisem MICTLAN w samym środku. Jego biała koszula jest w większości czysta, w większości niepodarta. Zerkam na swoją własną – za ciasną, porozrywaną w dziesięciu miejscach, poplamioną rozbryzgami krwi. Moja spódniczka w kratę jest cała w strzępach, ledwie osłania mi ciało.

Gaston podaje mi włócznię. Kiedy ją biorę, chłopak zamyka mnie w mocnym uścisku.

– Em! Udało nam się!

Odpowiadam mu uściskiem. Tak dobrze się do niego przytulić.

– To tobie się udało – poprawiam go. – To ty sprowadziłeś nas na Omeyocan.

Cofa się o krok. Jego uśmiech – na pół czarujący, na pół arogancki – jest szeroki jak nigdy: Gaston zdołał sam sobie zaimponować.

Mimo radości wyraźnie widać, że też nie miał okazji odpocząć. Czarne włosy opadają mu na twarz, zasłaniając częściowo oczy.

– To było coś niesamowitego – mówi. – W momencie, kiedy otoczyły mnie światła sterowni, przypomniałem sobie szkolenie mojego stwórcy z okresu, kiedy byłem... to znaczy, kiedy o n był jeszcze mały. Tak jakby luki w mojej pamięci zaczęły się wypełniać.

Nie wiem, jak to w ogóle możliwe. Ja też mam luki w pamięci. Wszyscy je mamy. Kiedy szukamy w myślach wspomnień, o których wiemy, że powinniśmy je mieć, wracają do nas tylko niejasne szepty i echa. Nigdy nie mieliśmy nawet nic wiedzieć na własny użytek. Jesteśmy p o j e m n i k a m i , skorupami stworzonymi po to, by pomieścić kogoś innego.

Skoro Gaston potrafi „przypomnieć sobie”, jak latać wahadłowcem, może luki w naszej pamięci nie są lukami na stałe, jak powiedziała mi Matylda.

Gaston i Spingate wyglądają na wykończonych. Za to ja, choć jestem

obolała i podrapana, posiniaczona i poobijana, nie czuję śladu zmęczenia.

– Jak długo spałam?

– Tylko dwie godziny, bo tyle zajęło nam lądowanie – mówi Spingate. – Wahadłowiec powiedział nam, że gaz z trumien wpływa jakoś na nasze mózgi i pozwala nam zapadać w dużo głębszy sen, niż gdybyśmy zasypiali sami. W sterowni też możemy go sobie dawkować. Jeszcze byś spała, ale zarządziłam, żeby wahadłowiec obudził cię zastrzykiem.

To ukłucie w szyję... Nie nóż, nie wąż, nie ukąszenie... po prostu igła. Przypomina mi się Brewer i to, jak próbował wykorzystać igłę z mojej poprzedniej trumny, żeby mnie zamordować, ale odsuwam od siebie tę myśl. Nie musimy się już nim przejmować – jesteśmy w d o m u.

– Jak jest na zewnątrz?

Mała dłoń Gastona sięga po dłoń Spingate. Ich palce się splatają.

– Nie wiemy – odpowiada chłopak. – Kiedy lądowaliśmy, było ciemno. Wahadłowiec miał zaprogramowaną ścieżkę schodzenia do lądowania, która wprowadziła nas w jakiś duży okrągły otwór. Może dla ochrony przed wiatrem... nie jestem pewien. Kiedy dolecieliśmy, panowała noc i była gęsta pokrywa chmur.

Wypowiada słowa „pokrywa chmur” z dumą, jakby była to przeszkoda, której byle kto by nie pokonał.

– Czyli w ogóle jeszcze nie wychodziliście na zewnątrz?

Spingate kręci głową.

– Zasługujesz na pierwszeństwo.

Poczekali na mnie z czystego szacunku. Sama nie wiem, co powiedzieć.

– Pójdę z tobą – uspokaja mnie Spingate. – Wahadłowiec mówi, że powietrze jest dla nas bezpieczne.

Dla nas, ale nie dla Starszych, którzy nas stworzyli. Zaprojektowano nas tak, byśmy byli w stanie przeżyć na tej planecie. I to na tym zasadza się nasze

bezpieczeństwo; nawet gdyby Starsi mogli dotrzeć na Omeyocan – co jest niemożliwe, bo nasz wahadłowiec był ostatni – już samo powietrze tej planety by ich uśmierciło.

Spingate unosi lewą rękę. Jej przedramię otula warstewka złota, misternie rzeźbionego i wysadzanego czarnymi klejnotami. Kojarzy mi się z bransoletkami, którymi Starsi zabili El-Saffanich, ale z jakiegoś powodu mam pewność, że nie jest to broń.

– Gaston znalazł to w magazynie – mówi Spingate. – To jest tak zwany karwasz. Mogę nim sprawdzać, czy nie ma gdzieś rzeczy, które mogłyby nam zaszkodzić, takich jak mikroorganizmy albo toksyny.

Wymawia te słowa tym samym tonem, jakim Gaston wypowiedział „pokrywa chmur” – to nowe, ważne słowa, których znajomością Spingate się szczyci.

Nie ma powodu dłużej czekać. Nie mamy już dokąd iść. Urodzinowe Dzieci przeżyją na Omeyocanie – albo tu zginą.

Z żołądka wydobywa mi się głośnie burczenie. Chwilę później krzywię się z bólu – jestem tak głodna, że aż mnie boli.

– Mamy jedzenie – oświadcza Gaston. – Na deku pod nami są magazyny pełne narzędzi, ubrań i mnóstwa jedzenia.

– Co to jest „dek”?

– Piętro – odpowiada Spingate. – Tyle że na statku takim jak ten nazywa się je pokładem albo dekiem.

Nawet nie przyszło mi do głowy, że nasz wahadłowiec może mieć więcej pięter.

– Pokażcie – mówię.

Idziemy na sam tył sali z trumnami. Tylna ściana jest czerwona tak samo jak boczne. Z bliska zauważam słaby, prawie niewidoczny kontur drzwi, a w nich słaby odcisk dłoni z symbolem koła zębatego pośrodku.

Gaston przykłada rękę do odcisku. Drzwi bezszelestnie uchylają się w naszą stronę. Widać metalowe kręcone schody prowadzące w dół. Schodzimy. Dziesięć stopni niżej są kolejne drzwi – tu także odcisk dłoni oznaczony jest kołem zębatym. Spingate wprowadza nas do środka.

Korytarz wygląda na długi, biegnie może przez cały wahadłowiec. Po obu stronach są drzwi z napisami: po lewej od MAGAZYN 1 do MAGAZYN 6, po prawej od LABORATORIUM 1 do LABORATORIUM 3. Na końcu korytarza widać kolejne, oznaczone napisem GABINET ZABIEGOWY. Magazyny mają drzwi z odciskiem dłoni oznaczonym kółkami: zębatym i półpełnym. Na drzwiach laboratoriów są tylko kółka zębate. Odcisk dłoni na drzwiach gabinetu zabiegowego to kółko-krzyżyk.

– Nie mieliśmy czasu przyjrzeć się laboratoriom – mówi Gaston. – Tylko...
– na moment sam sobie przerywa ziewnięciem, przy którym aż zaciska powieki – ...tylko magazynom.

Pierwszy magazyn zajmują od podłogi do sufitu półkowe regały pełne czarnych skrzynek z pokrywą. Gaston otwiera jedną z nich: czarne kombinezony uszyte z ciężkiego materiału. Przypomina mi się „Xolotl”, setki okaleczonych torturami ciał ubranych w podobne stroje. Byłoby fajnie zrzucić podarte szmaty, które mam na sobie, ale ten czarny strój to mundur Starszych, a teraz akurat wolę o nich nie myśleć.

W czterech kolejnych magazynach znajdują się półki z zielonymi skrzynkami. Gaston otwiera jedną. Jest pełna małych białych pakiecików, na których czarnymi literami napisano BATON ZBOŻOWY. Pakieciki w drugiej skrzynce oznaczone są napisem KRAKERSY.

– Wszystkie skrzynki są pełne – mówi Gaston. – Jest tu tyle jedzenia, że wystarczy go nam, nam w s z y s t k i m, na jakieś trzydzieści dni. Wspaniale, nie?

Myśli, że trzydzieści dni to długo? Ten czas minie bardzo szybko.

W ostatnim magazynie mieszczą się regały z równo ułożonymi narzędziami. Na powierzchnię wrywa się jedno ze wspomnień Matyldy – z czasu, kiedy po raz pierwszy zobaczyła świnie... Tego rodzaju narzędzi używa się w rolnictwie. Na innych półkach leżą skrzynki pełne mniejszych instrumentów. Te służą do naprawiania i konstruowania różnych rzeczy. Widzę tu jeszcze jeden karwasz, taki sam jak ten na ręce Spingate.

Jestem pewna, że wszystkie te narzędzia okażą się kiedyś potrzebne, ale dopóki nie dowiemy się, co czeka nas na zewnątrz, jest coś, czego potrzeba nam jeszcze bardziej.

– A co z bronią?

Spingate kręci głową.

– Żadnych bransoletek. Nic.

Cholera.

– Kiedy tylko trochę odpoczniesz, dowiedz się czegoś więcej o laboratoriach – mówię jej. – Są jeszcze jakieś piętra? To znaczy deki.

– Jeszcze dwa – odpowiada Spingate. – Ale na drzwiach mają odciski dłoni z półpełnym kółkiem. Nie otwierają się przed nami.

Półpełne kółko: symbol na czole O'Malleya.

– Pytaliśmy wahadłowiec, co jest niżej – mówi Gaston. – Odpowiada, że nie wie.

Widać, jak bardzo się przejmuję tym, że nie może przedostać się na te deki. Słyszałam, jak wahadłowiec mówi do niego: „Kapitanie Xanderze” – więc jakim cudem istnieją takie obszary statku, które nie chcą się przed nim otworzyć?

Pomartwimy się tym później. Czuję przemożną potrzebę wyjścia na zewnątrz, zobaczenia Omeyocana.

– Spingate, obudź kółko-gwiazdy. I O'Malleya.

Potwierdza skinieniem głowy.

– Już się robi. Kogoś jeszcze?

– Smith – odpowiadam. – Powiedz jej, żeby dowiedziała się jak najwięcej o gabinecie zabiegowym.

Smith zdaje się wiedzieć, jak opatrywać skaleczenia i zadrapania. To chyba ma coś wspólnego z oznaczeniem na jej czole: kółko-krzyżykiem. Ma ten symbol jako jedyna osoba w naszym wieku. Ale ma go też dwoje młodszych dzieci, więc może wkrótce Smith zyska pomocników w leczeniu chorych i rannych.

Gaston i Spingate wyglądają, jakby lada moment mieli paść z wycieńczenia. Postaram się, żeby odpoczęli, tyle że jeszcze nie w tej chwili.

– Wiem, że oboje jesteście zmęczeni, ale jeszcze na krótko was potrzebuję, potem możecie iść spać.

– Czego tylko trzeba – odpowiada bez wahania Gaston.

Spingate uśmiecha się do mnie, jakby chciała powiedzieć: „Zawsze ci pomogę, bez względu na wszystko”.

Jestem „żywa” dopiero od kilku dni, a mimo to kocham ich oboje tak bardzo, że aż boli. Spingate i Gaston – moi p r z y j a c i e l e .

– Spin, wyjdiesz ze mną na zewnątrz. Gaston, kiedy nas nie będzie, obudź wszystkich pozostałych i przygotuj jakiś posiłek. Zjeść powinniśmy wspólnie, wszyscy razem.

Unoszę lekko włócznię, a potem puszczam ją i jej drzewce opada na twardą podłogę z cichym łoskotem.

– Pora obejrzeć nasz nowy dom.

DWA

Zbieramy się u wyjścia z wahadłowca.

Moje kółko-gwiazdy – Bishop, Farrar, Visca, Coyotl i Bawden – nie mają na sobie nic poza brudnymi spodniami o odciętych nogawkach. Na „Xolotlu” wszyscy oni smarowali się mazią, dzięki której mieli ten sam, szary kolor. Teraz wyschnięta skorupa schodzi z nich całymi płatami, tak że wygląda spod niej skóra o rozmaitych odcieniach.

Nie mamy co prawda bransoletek takich jak te, którymi Starsi zabili El-Saffanich, ale dzięki regałowi z narzędziami gospodarskimi nie jesteśmy zupełnie bezbronni. W naszych rękach narzędzia jeszcze raz stają się bronią.

– Może powinnaś zostać tutaj, Em – proponuje Bishop. – Mogłabyś pomóc O’Malleyowi zbadać resztę statku.

Trzyma w ręce zabraną z magazynu czerwoną siekierę. Wyobrażam sobie, jak bierze nią ogromny zamach i całą siłą swych mocarnych mięśni wbija jej ostrze w coś żywego. Z trudem powstrzymuję dygot.

– Idę – odpowiadam mu, poprawiając chwyt na mojej włóczni. – Muszę dowiedzieć się, co tam jest.

Chce mnie chronić. Jego troska sprawia, że w sercu rozlewa mi się ciepło, ale nie planuję siedzieć z założonymi rękami, kiedy moi ludzie będą mierzyć się z niebezpieczeństwem.

Pod lewym okiem Bishop ma opuchliznę i siniaka. Kiedy wkładał mnie do trumny, próbując ratować mi życie, zaczęłam szaleć i go uderzyłam. Okropnie się z tym teraz czuję. Ileż ma na tej twarzy powagi. Mam ochotę wyciągnąć

rękę i dotknąć jego blond loków, ale nie czas na to. Kiedy go poznałam, uśmiechał się swobodnie, wydawał się radosny i pewny siebie. Już taki nie jest. Zdążył zabić dwóch Starszych. To, że odebrał im życie, zmieniło go. Mam nadzieję, że uda mu się odnaleźć dawny uśmiech, ale jeśli czuje się w środku tak samo jak ja, wątpię, by mu się udało.

Widzę, jak na tyłach sali z trumnami otwierają się drzwi w czerwonej ścianie. Wchodzą tamtędy O'Malley i Spingate, idą przez środek pomieszczenia, żeby do nas dołączyć. O'Malley trzyma nóż, którym zabiłam Yonga. Jakimś sposobem ta broń zaczęła od niego przynależeć.

– Kiedy wyjdziecie na zewnątrz, porządnie rozejrzę się po wahadłowcu – mówi. – Ale... jesteś p e w n a , że nie powinienem pójść z wami?

Chce zobaczyć planetę? A może on także chce mnie chronić? Nieważne – musimy jak najszybciej dowiedzieć się jak najwięcej. Poza tym on stworzony jest do myślenia, nie do walki.

– Nic mi nie będzie. Idzie ze mną Bishop.

O'Malley opuszcza wzrok, a ja czuję nagłe zażenowanie. Chciałam powiedzieć: „Idą ze mną kółko-gwiazdy”, ale palnęłam co innego.

Nawet jeśli czuje się urażony, szybko odzyskuje równowagę, uśmiecha się do mnie.

– Tylko bądź rozsądna – mówi. – Mamy na tej planecie mnóstwo czasu, który możemy wykorzystać. Nie śpiesz się z niczym.

Ciężka próba, przez którą przeszliśmy, pozostawiła także na nim swoje piętno, ale innego rodzaju niż w przypadku Bishopa. Niebieskie oczy O'Malleya są pełne życia, radosnego podniecenia czekającą nas nową przygodą. W jego brązowych włosach tkwią okruchy zeschniętych liści, a za małą białą koszulę znaczą plamy zaschniętej krwi, zwłaszcza przy kołnierzyku, pod paskudnym skaleczeniem na lewym policzku. Odniósł tę ranę w Ogrodzie podczas naszej bitwy ze Starszymi. Ciekawe, co był zmuszony tam zrobić.

Ciekawe, czy i on – jak Bishop i ja – wie już teraz, jak to jest kogoś zabić.

O'Malley spogląda na Bishopa, po czym podaje mu nóż rękojeścią naprzód.

– Weź go – mówi. – Skoro ja tu zostaję, tobie przyda się on bardziej niż mnie.

Na „Xolotlu” ci dwaj omal się nie pozabijali. Czy teraz, kiedy jesteśmy na Omeyocanie, będzie układać się między nimi lepiej?

Bishop lekko unosi swoją siekierę.

– Wolę to – mówi.

I on, i O'Malley są „żywi” dopiero od kilku dni, a mimo to obaj są już naznaczeni ranami, które pozostawią na ich ciele blizny. Nie tylko oni. Dotykam rozcięcia na swojej górnej wardze, guza na czole, przebiegam palcami po licznych skaleczeniach, zadrapaniach, siniakach. Zapracowaliśmy sobie ciężko na te odznaki męstwa.

Nasze ciała zaprojektowali nasi stwórcy. Nasze twarze to także ich twarze – i tylko te blizny to tak naprawdę jedyne rzeczy, które należą do nas.

Bishop to wcale nie jedyna osoba z nową bronią.

Białowłosey, różowoskóry Visca trzyma młot, który wielkością niemal dorównuje wzrostowi Gastona. Farrar wybrał sobie łopatę na długim trzonku. Jest największy z nas wszystkich, nie licząc Bishopa, a założę się, że szpic i ostrze grubej łopaty w jego ręku mogłyby dokonać straszliwych zniszczeń w ciele i kościach wroga. Bawden ma w ręce taką samą siekierę jak Bishop. Przychodzi mi do głowy pytanie, ile może trwać odrastanie włosów: na jej ogolonej głowie pojawia się już pierwszy ich cień, ciemny brąz jej skóry zaczyna porastać meszek. Teraz, gdy opadła z niej większość pyłu, trudno nie zauważyć, że ma na sobie wyłącznie postrzępioną spódniczkę. Jej nagość sprawia, że mam ochotę odwrócić wzrok, sama Bawden jednak zdaje się jej nie dostrzegać.

Coyotl dokonał najdziwniejszego wyboru: nadal trzyma w ręce

kościomaczugę – kość udową, którą posługiwał się wcześniej w walce ze Starszymi. Jego skóra ma jaskrawy odcień, jakby za długo przebywał na słońcu.

Wymieniam spojrzenie ze Spingate. Unosi brwi w niemym zapytaniu.

Już czas.

– Otwórz – mówię.

Drzwi wahadłowca się rozsuwają.

Poranne słońce to oślepiająca czerwona kula, która wypęła powoli nad wysoką linię drzew. Osłaniam oczy przed światłem uniesioną dłonią, czując na skórze ciepło słonecznych promieni.

Słaby wiatr pieści nasze włosy, niosąc z sobą nowe zapachy. Kręci mi się w głowie od pędu, z jakim z głębi pamięci wynurzają się fragmentaryczne wspomnienia Matyldy, próbujące nadać nazwy woniom, które czuję: wilgotne drewno, wypalona trawa, coś w rodzaju mięty.

Wychodzę na platformę wahadłowca. Nie wiem, gdzie się ona podziewa, kiedy lecimy, ale teraz tkwi przed wyjściem i wygląda dokładnie tak samo, jak na „Xolotlu”: na tyle duży, że mieścimy się na nim wszyscy, metalowy prostokąt. Pochylnia prowadzi w dół na płaską ziemię pokrytą ciemnoniebieskimi pnączami o szerokich bladożółtych liściach. Część liści i pnączy jest spalona, poczerniała; może zrobił to nasz wahadłowiec, kiedy lądował.

Znajdujemy się w środku czegoś, co wygląda na dużą, okrągłą polanę. Wokół nas, wzdłuż jej zakrzywionej krawędzi, pnie się ku niebu gęsta ściana liści – tak samo bladożółtych jak te na pokrywających grunt pnączach. Niebo wygląda jak przyszyta wysoko nad nami okrągła łata.

Rozumiem teraz, dlaczego Gaston myślał, że wlecieliśmy w otwór.

Bishop schodzi z wolna pochylnią, trzymając oburącz siekiere. Mięśnie drgają mu w napięciu. Patrzy gniewnie na drzewa, na pnącza oplatające

polanę, może nawet na samo słońce – chce dać tej planecie do zrozumienia, że jest gotowy do walki.

Zatrzymuje się na końcu pochylni, wyciąga bosą stopę w kierunku pnączy.

– Czekał – mówię. – Spingate, chodź ze mną.

W czerwonym słońcu powietrze wokół jej włosów zdaje się płonąć. Jeśli kogokolwiek stworzono z myślą o tym miejscu, to na pewno Teresę Spingate.

Schodzimy po pochylni i stajemy obok Bishopa. Wskazuję rosnące pod nami pnącza.

– Myślisz, że na tych roślinach można bezpiecznie stanąć?

Spingate przykłęka na krawędzi pochylni. Rozpościerając palce, macha nad liśćmi swoją ozdobioną karwaszem ręką. Czarne klejnoty budzą się do życia, migoczą różnymi kolorami.

– Wahadłowiec nie wykrywa żadnych znanych trucizn – oznajmia Spingate.

– W każdym razie żadnych, które potrafią przeniknąć przez skórę. Tylko niczego nie jedzcie.

Zerkam wstecz na wielki srebrzysty statek, który nas tu przyniósł, a potem odwracam się do niej.

– Wahadłowiec ci to powiedział?

Przechyliła w bok głowę i odgarnia do tyłu włosy, pokazując mały czarny klejnot tkwiący w jej uchu.

– Wahadłowiec może mówić do mnie za pośrednictwem tego. Gaston też.

Opuszczam wzrok z powrotem na pnącza. To jest to – nasza chwila. Przez moment waham się, czy nie puścić przodem Bishopa albo nawet Spingate, czy nie dać jednemu z nich zaszczytu bycia pierwszą osobą, która postawi nogę na naszej nowej planecie.

Ale chcę tego zaszczytu dla siebie. Jestem przywódcą i mam do tego prawo.

Schodzę z pochylni. Liście pod moimi bosymi stopami są miękkie i chłodne,

nie licząc tych kruchych i łamliwych, które poczerniały podczas lądowania. Pod nimi jest coś twardego. Obracam włócznię ostrzem w dół. Płaski metalowy grot pokrywa czerwonoszarą warstwą zaschnięta krew Matyldy. Muszę ją wkrótce oczyścić; chcę pozostawić wszystkie wspomnienia o Matyldzie daleko za sobą.

Wciskam ostrze włóczni między rośliny. Zagłębia się trochę, po czym stuka o coś twardego.

– Bishop, pomóż mi.

Chłopak klęka obok mnie. Wielkimi dłońmi wrywa niebieskie pnącza i żółtawe liście. Charakterystyczny miętowy zapach robi się wyraźniejszy. Bishop oczyszcza niewielki obszar z roślin, aż pozostaje na nim tylko brązowa, krusząca się ziemia. Ją też odmiata na bok, odkrywając metalową powierzchnię.

Przechodzę kawałek dalej, wpycham grot włóczni między pnącza: *stuk*. Idę w prawo, powtarzam tę samą czynność, słyszę ten sam odgłos.

Linia drzew... ich liście wznoszą się równo w górę, tworzą wygiętą łukowato bladożółtą ścianę, która otacza idealnie okrągłą polanę. Coś tu chyba nie gra... prawda?

Bishop wstaje.

– Farrar, Coyotl, za mną.

Trzej chłopcy biegną truchtem ku ścianie drzew.

Obracam się w stronę Spingate.

– Stoimy na jakimś metalu – mówię. – Co to za miejsce?

Spingate robi wielkie oczy, mruga powiekami.

– Nie wiem. Wahadłowiec powiedział nam, gdzie lądować, więc wylądowaliśmy. Sprawdzę, może Gaston czegoś się dowie.

Porusza wargami, ale nie słyszę, co mówi. Przechyla głowę, słuchając głosu przeznaczonego tylko dla niej.

Jest tak wyczerpana, że nie pomyślała o zapytaniu, gdzie lądujemy? Aż do tego momentu mnie też nie przyszło to do głowy. Byliśmy tak skupieni na ucieczce z „Xolotla”, że niewiele myśleliśmy o tym, co czeka nas na Omeyocanie.

Spingate kiwa głową.

– Gaston twierdzi, że wahadłowiec wie niewiele, ale że to nie jest polana; to lądowisko.

Czyli Omeyocan nie jest wcale taką niezbadaną dziczą. Czy to miejsce skonstruowali Starsi? Jeśli tak, to kiedy? I czy ich budowniczy jeszcze tu są? Ta planeta należy może do nas, ale to nie znaczy, że nie będziemy musieli odebrać jej komuś innemu.

– E m !

Bishop woła mnie spod linii drzew. Coyotl i Farrar, przechyleni jeden w lewo, drugi w prawo, odciągają żółte drzewa na boki. Tyle że to w ogóle nie są drzewa, to pnącza, takie same jak te, na których stoję – a w cieniu za nimi widzę metalową ścianę.

Spingate ciągnie mnie za rękaw.

– Gaston mówi, że już się domyślił, jak to lądowisko unieść.

Chwilę trwa, zanim dociera do mnie to, co powiedziała. Otwieram usta, by powiedzieć „nie”, ale nie zdążam – gwałtowny wstrząs wytrąca mnie z równowagi i przewraca, ciskając mną o pnącza. Spingate upada na ręce i kolana. Grunt pod naszymi nogami daje susa w górę, po czym zatrzymuje się tak nagle, że wyrzuca mnie w powietrze i po chwili walę się z powrotem na miękkie rośliny. Przez kości przebiega mi kolejna wibracja, a potem zaczynamy się wznosić, i to szybko. Metal zgrzyta tak, że aż uszy bolą.

– Spingate! Niech Gaston przestanie!

Kolejny wstrząs przewraca ją na wznak, ale wcale się nie boi. Oczy ma wielkie, ale z radosnego zdumienia – ona się śmieje.

– Gaston mówi, że wszystko w porządku. Jeszcze chwila!

Jakaś siła wciska mnie w ziemię: poruszamy się teraz szybciej.

Pnącza na brzegach polany wyglądają, jakby spływały w dół i zwijały się na końcach w kłęb jak opadające liny, tyle że one nie opadają – to podłóżę wznosi się pod nimi. Bishop, Coyotl i Farrar nadal utrzymują równowagę, żywo uskakując przed rosnącą masą roślin.

To, co początkowo wzięłam za drzewa otaczające polanę, to tak naprawdę porośnięte pnączami ściany, które teraz maleją na moich oczach. Wznosimy się ku górze tej... tej wielkiej r u r y .

Nagle czuję się lżejsza. Zwalniamy.

Z ostrym szczęknięciem stali przy ostatnim wstrząsie, od którego dzwonią nam zęby, lądowisko się zatrzymuje.

Staję na drżących nogach. Krawędź lądowiska jest nadal okrągła, ale teraz otacza ją trzy razy wyższa ode mnie sterta pnączy. Z góry bije w nas słońce, oświetlając coś, co wygląda jak wznoszące się wszędzie wokół spiczaste żółte wzgórza. Nie wzgórza, b r y ł y ... już prawie kojarzę, czym one są. Albo raczej M a t y ł d a kiedyś wiedziała, co to takiego.

Bishop wyrasta obok mnie.

– Em, chodź! Musisz to zobaczyć!

Łapie mnie za rękę, ciągnie za sobą tak gwałtownie, że od tego szarpnięcia głowa aż odskakuje mi w tył. Biegnę za nim, potykając się, ale nie przestając ścisnąć w rękę włóczni.

W kilka sekund docieramy do kręgu pnączy. Na jego szczycie stoją Farrar i Coyotl. Bishop gramoli się w górę, podciągając mnie za sobą. Moje stopy grzęzną w gąszczu roślin, ale znajdują dość oparcia, bym mogła wspinać się wyżej.

Wychodzę na szczyt i spoglądam na zewnątrz.

To niemożliwe...

We wszystkie strony, jak okiem sięgnąć, rozciągają się spiczaste wzgórza – tyle że to wcale nie są wzgórza. To budynki porośnięte grubymi żółtymi pnączami, niebieskawymi drzewami i inną dziwną roślinnością. Niektóre z nich to piramidy, tak wysokie, że wydają się drapać niebo.

Stoimy w samym środku ruin jakiegoś rozległego miasta.

TRZY

Nie wiem, jak długo stoimy w czwórkę na stercie pnączy, patrząc przed siebie. Dość długo, by dołączyła do nas Spingate i pozostałe kółko-gwiazdy.

O g r o m tego wszystkiego. Niebo nad nami przypomina kopułę tak wielką, że nigdy nie dotarłabym do jej krawędzi, choćbym szła nieskończenie długo. Budynki, ziemia, drzewa i pnącza... to miejsce jest milion razy większe od Xolotla, który był największą rzeczą, jaką dotąd widziałam.

Ależ to przytłaczające. Walczę z chęcią ucieczki z powrotem w znajomą, ograniczoną przestrzeń wahadłowca. Widzę, że inni czują się podobnie.

– Spin – odzywam się. – Co to za miejsce?

Słyszę, jak Spingate coś mamrocze, porozumiewając się cicho z siedzącym w wahadłowcu Gastonem. Kiedy czekam, nie przestaję się gapić. Niemal w każdym kierunku mój wzrok pada na piramidy. W miejscach widocznych prześwitów miasto zdaje się ciągnąć bez końca.

– Wahadłowiec nie wie – odpowiada Spingate.

– Przecież Gaston powiedział, że wahadłowiec kazał mi wylądować w tym miejscu – mówię. – Jakim cudem statek może wiedzieć, gdzie ma lecieć, a nie wiedzieć, co to za miasto?

Spingate nie ma na to odpowiedzi.

Stojący po mojej prawej Coyotl wskazuje ku horyzontowi.

– Czy to ptaki?

Nad miastem przelatuje stado jakichś stworzeń. Może ptaków, ale jesteśmy za daleko, żeby dokładnie zobaczyć, co to takiego.

Nie słychać żadnych dźwięków poza odgłosem lekkiego wiatru prześlizgującego się między liśćmi – brzmi to tak, jakby miasto na nas syczało.

– Żadnego ruchu na ulicach – mówi Bishop.

„Ulice” to dosyć dziwne określenie na to, co oglądamy: szerokie, proste przestrzenie między piramidami oraz innymi budynkami, ale tak zachwaszczone pnączami i lianami, że wyglądają jak płaskie doliny pośród stromych szczytów, a nie miejsca, po których mogliby chodzić ludzie.

– Opuszczone – odzywa się Farrar. – Gdzie są ludzie, którzy to wszystko zbudowali?

Coyotl odwraca się, spogląda za nas. Kościomaczuga wyslizguje mu się z rąk, spada z głuchym odgłosem na stertę pnączy i stacza się po jej wewnętrznym stoku.

Też się odwracam i ogarnia mnie takie samo osłupienie. Przed nami na podłożu z żółtawych liści, pośrodku kręgu pnączy, spoczywa wahadłowiec. Za nim widok miasta zasłaniają strzelające w niebo budynki – ale jeszcze dalej za nimi widać piramidę tak olbrzymią, że na jej czubku zdaje się balansować samo niebo. Wszystkie budynki są koloru żółtego, z wyjątkiem wierzchołka piramidy, który jest pomarańczowobrazowy.

– Nie podoba mi się to – mówi Farrar. – Może wrócimy do wahadłowca?

Odpowiada mu głośnie burknięcie. Wszyscy patrzymy na Bawden – ten odgłos dobiegł z jej brzucha.

Wzrusza ramionami.

– Głodna jestem.

Ja też. Wszyscy jesteśmy głodni. A jest tu tyle do zbadania, że może to nam zająć całe życie. „Nie śpiesz się z niczym” – powiedział O’Malley. Musimy starannie przemyśleć, co zrobić w pierwszej kolejności. To miejsce w y g l ą d a na opuszczone, ale jestem „żywa” już dość długo, by wiedzieć, że nie wszystko zawsze jest tym, czym się wydaje.

Wracamy do wahadłowca, który błyszczy w gorących promieniach słońca. Trudno mi uwierzyć, że kiedyś uznałam go za wielki. Przycupnięty w tym mieście, które rozciąga się we wszystkie strony, jest niczym więcej niż zabawką.

Wchodzimy na jego pokład przy wtórze śmiechu i odgłosów wesołego podniecenia. Tyle radosnych głosów – muzyka dla moich uszu. Wszyscy się wybudzili, zarówno młodzież, jak i dwunastolatki. Niektórzy już się ożywili, inni są jeszcze półprzytomni po gazie usypiającym.

Mówię Spingate, żeby zamknęła za nami wyjście.

W sali z trumnami Gaston i Okereke trzymają w rękach zielone skrzynki, z których rozdają białe pakieciki z żywnością. Okereke to kółko, jak ja. Jest krępy i napakowany. Ma też najciemniejszą skórę z nas wszystkich, prawie tak czarną jak skóra potworów.

Bishop przejmuje skrzynkę od Gastona i klepie go po plecach. Gaston spogląda na mnie, czekając na kolejne zadanie. Skinieniem głowy wskazuję mu sterownię.

– Ty i Spingate prześpijcie się trochę – mówię. – Zostaniemy wszyscy na miejscu, dopóki nie odpoczniecie. Potrzebuję od was informacji, żeby wymyślić, co robimy dalej.

Gaston chwyta garść batonów ze skrzynki, a potem razem ze Spingate odchodzi, powłócząc nogami, do sterowni i zamyka za sobą drzwi.

Idę w stronę swojej trumny. Tak naprawdę nie jest to moja trumna, inaczej niż tamta wcześniejsza; na żadnej z tutejszych nikt nie wyrył naszych nazwisk. Ale jest to trumna, w której tu przyleciałam, więc wydaje się w tym zatłoczonym pomieszczeniu jedynym miejscem należącym do mnie.

Wszyscy się do mnie uśmiechają. Obejmują mnie, ściskają za ramię, klepią po plecach. Cieszą się, że są żywi, z entuzjazmem czekają na odkrywanie swojego nowego świata.

Kładę włącznie w mojej trumnie na miękkim białym obiciu, siadam ze skrzyżowanymi nogami na czarnej podłodze.

Ileż ludzi mieści się w tej sali z trumnami, sali o czerwonych ścianach. Nie licząc Gastona i Spingate, jest nas siedemnastka – nas, tych o dorosłych ciałach. Do tego nowe dzieciaki – tych jest sto ośmioro. Kręcą się wszędzie, w większości nadal w czystych koszulach z krawatem, spódniczkach albo spodniach. Śmieją się, jedzą, bawią, czasami biegają w koło jak szalone, póki ktoś w moim wieku nie warknie na nie, żeby się uspokoiły.

„Ktoś w moim wieku”? To dopiero zabawne określenie. Czy jestem „dorosła”? Jeśli chodzi o ciało, być może, ale duzi czy mali, wszyscy mamy dopiero dwanaście lat. Jesteśmy Urodzinowymi Dziećmi. Jestem doroślejsza od mniejszych dzieci najwyżej o kilka dni, nie lat, jeśli już.

Bishop idzie długim krokiem w moją stronę, trzymając pod pachą zieloną skrzynkę. Ruchy ma tak zwinne, że lawiruje wśród ludzi i nie potrąca choćby jednej osoby.

Pochyliła skrzynkę w moją stronę.

– To dobre jedzenie, Em. Weź sobie.

Sięgam do środka, wyciągam garść pakietów, odczytuję czarne litery: BATON PROTEINOWY, SUCHAR i BATON ZBOŻOWY.

Dotąd jadłam w swoim życiu tylko owoce i trochę świniny, przy tym i jednego, i drugiego nie za wiele. Rozrywam opakowanie batonu zbożowego – w środku jest coś, co wygląda jak brązowa cegielka. Biorę gryza. Cegielka kruszy mi się w zębach, a na języku czuję eksplozję nowych smaków. Nigdy tego nie próbowałam, ale znam odpowiednie słowo: to smak o r z e c h o w y.

– Wszyscy przestańcie jeść!

To Aramowski. Stoi na jednej z zamkniętych trumien z otwartymi ramionami. Wszyscy spoglądają na niego z dołu.

– Musimy złożyć za ten pokarm dziękczynienie – mówi. Głos ma głęboki, donośny. – Nie wolno nam rozgniewać boga, który nas tutaj przywiódł.

Jest z nas wszystkich najwyższy. Kiedy tak stoi na trumnie, głową sięga niemal sufitu. Przez długi czas pozostawał czysty, ale teraz na jego podartej białej koszuli wyraźnie widać zaschniętą krew. Zarówno skaleczenia na jego ciemnej skórze, jak i rozdarcia tkaniny powstały, gdy przebił się przez gęstwinę, by mnie uratować. Dźgnął jednego z potworów, nie wiedząc, że to w istocie jego protoplasta. Poznał tę prawdę na kilka sekund przed tym, nim Bishop dobił stwora ułamaną maczugą z kości udowej.

Tak naprawdę Aramowski był chyba gotów poddać się wyczyszczeniu umysłu, może nawet cieszył się na myśl o tym, że połączy się ze swoim stwórcą w jedno. Chciał tego, bo wierzy, że wynika to z nakazów jego religii.

Każdy obserwuje go teraz z wyczekiwaniem. Wszyscy przestali jeść, poza jedną młodszą kółko-gwiazdą. Śmiejąc się z Aramowskiego, bierze dużego gryza swojego batonika.

Aramowski celuje w nią długą ręką zakończoną długim palcem, jakby to też była włócznia, tylko innego rodzaju.

– Ten bóg p a t r z y teraz na ciebie, dziewczynko. Nie rozgniewaj go.

Śmiech zamiera małej na ustach. Wypuszcza jedzenie z ręki. Batonik ląduje na podłodze.

Ona je i się śmieje, a on ją straszy? To nie jego tajemniczy niewidzialni bogowie nas tu przywiedli, tylko j a. Jak on mnie denerwuje.

Wstaję z miejsca.

– Zwykle mówisz o b o g a c h – zauważam. – Magicznych istotach, które nic właściwie nie r o b i ą, by nam pomóc. Teraz to tylko j e d e n bóg? No więc który to z nich?

Liczę, że choć raz nasza dziurawa pamięć zadziała na moją korzyść. Jeśli zmuszę go, by nazwał coś, czego sobie nie przypomina, wypadnie głupio

w oczach wszystkich zebranych i może w końcu się zamknie.

Aramowski uśmiecha się do mnie swoim wielkim, pięknym, sztucznym uśmiechem.

– To Bóg Krwi, Em.

Brzmi to idiotycznie. Śmieję się i rozglądam, spodziewając się, że inni roześmieją się razem ze mną, ale robi to tylko kilkoro. Większość gapi się na Aramowskiego szeroko otwartymi oczami, jakby powiedział właśnie coś genialnego.

Miałam nadzieję, że zostawi te bzdury za sobą na „Xolotlu”. Najwyraźniej jednak postanowił być źródłem kłopotów.

– Żadnych modlitw – odpowiadam. – Wszyscy jedzą.

Aramowski kłania mi się.

– Jak sobie życzysz, wielka przywódczyni.

Schodzi na podłogę i siada. Wokół niego gromadzą się ludzie.

Śmiech i rozmowy z wolna powracają. Tyle jest w tej sali nadziei. Czysta radość.

Najradośniejsze ze wszystkich wydają się kółko-gwiazdy. Coyotl i większy od niego Visca siłują się niczym zapaśnicy. Wymierzają sobie nawzajem ciosy tak silne, że aż krzywię się na ich odgłos, ale oni po każdym śmieją się jak szaleni. Bawden nauczyła się bekać na zawołanie. Za każdym razem, kiedy to robi, młodsze kółko-gwiazdy wyją z zachwytu i próbują ją naśladować. Te dzieci są jeszcze chude, ale wyrosną, nabiorą ciała, wyrobią sobie mocne mięśnie tak już dobrze widoczne u nastoletnich kółko-gwiazd.

Farrar przekopuje po kolei wszystkie zielone skrzynki, jakby szukał czegoś niezwykle ważnego. Podnosi oczy, napotyka mój wzrok i biegnie do mnie.

– Em, masz coś słodkiego?

Z pełną nadziei miną wygląda jak małe dziecko. Szeroki uśmiech, szeroki nos, ciemne oczy i ta wydatna szczeka... Farrar jest ładny. W s z y s c y tutaj są

ładni. Ciekawe, czy Starsi nie zmodyfikowali w jakiś sposób swoich „kopii” tak, żeby pasowały do ich wizji tego, jacy ich zdaniem powinni być, zamiast odpowiadać temu, jacy naprawdę są.

Kręcę głową.

– Nie wydaje mi się, żeby nazwy „baton proteinowy” czy „suchar” brzmiały słodko. – Wyciągam w jego stronę zjedzony do połowy baton zbożowy. – Chcesz spróbować tego? Smakuje orzechowo.

Bierze gryza, przeżuwa, zastanawia się, oddaje mi baton, po czym nachyla się bliżej.

– Chodzi o to, że... no wiesz, jesteś przywódcą. Myślałem, że może ktoś przyniósł ci ciasteczka.

Wymawia ten wyraz w ten sam sposób, w jaki Gaston wypowiedział „pokrywa chmur”, a Spingate „mikroorganizmy”.

– Niestety. Gdybym jakieś miała, tobym się z tobą podzieliła.

Farrar z warknięciem wali zwiniętą pięścią w otwartą dłoń. Wiem, że to tylko wyraz rozczarowania, ale i tak trochę mnie przeraża.

Widzę, że Bishop nadal trzyma swoją skrzynkę, ciągle jeszcze chodzi od jednej osoby do drugiej, proponuje wszystkim więcej jedzenia. Przystaje przed Aramowskim, który siedzi u stóp swojej trumny, i proponuje wysokiemu chłopakowi pakiecik. Aramowski bierze go i kładzie na małej stercie nieotwartych jeszcze pakietów leżących na podłodze – to żywność jego i innych, którzy go otaczają.

Bishop stara się, żeby wszyscy najedli się do syta, tymczasem Aramowski robi zapasy?

Przypomina mi się nasz pierwszy marsz po niekończącym się korytarzu na „Xolotlu”: z Bello, O’Malleyem, Spingate, Aramowskim i Yongiem. Byliśmy bardzo głodni, rozmawialiśmy o swoim wymarzonym jedzeniu. Aramowski miał ochotę na babeczki.

Szepczę Farrarowi do ucha:

– Może w tej stercie Aramowskiego są jakieś słodycze, nawet jeśli napisy mówią co innego. Ci, którzy pakowali żywność, mogli się pomylić.

Farrar puszcza się biegiem wzdłuż środkowego przejścia w stronę Aramowskiego. Dzieci pośpiesznie uciekają mu z drogi. Aramowski, widząc nadciągającego olbrzyma, ruchem ręki zasłania przed nim swój skarb.

Nie było to miłe z mojej strony, ale zabawnie jest popatrzeć, jak tych dwóch kłóci się ze sobą o coś nieważnego. Cieszy mnie, że mogę uprzykrzyć Aramowskiemu życie. Nie powinno, a jednak mnie to cieszy.

Dwie małe dziewczynki podbiegają do mnie i rzucają się na podłogę, jakimś cudem lądując w siadzie ze skrzyżowanymi nogami. Jedna to Zubiri, ciemnoskóra zęb-dziewczynka, która uspokajała mnie, kiedy O'Malley i Bishop zamykali mnie w trumnie, a ja z nimi walczyłam. W kruczoczarnych włosach Zubiri nie ma okruchów liści. Nie ma na niej krwi, zadrapań, sińców, blizn. Podobnie jak większość mniejszych dzieci, nie doświadczyła zbyt wiele bólu.

Drugiej dziewczynki nie poznaję. Włosy ma równie czarne jak Zubiri, ale skórę jasną, a jej oczy to tak wąskie szparki, że aż trudno mi dostrzec, czy są otwarte. Jest też trochę pulchna. Symbol na jej czole to kółko w kółku: dwupierścień, taki sam jak u Aramowskiego.

– Cześć, Em – odzywa się Zubiri.

– Cześć, Zubiri. Jak się nazywa twoja znajoma?

– To jest B. Walczak – odpowiada Zubiri. – Nasze kolebki stały obok siebie.

Podaję jej rękę.

– Miło cię poznać, B. Walczak.

Dziewczynka gapi się przez chwilę, po czym chichocze i chowa twarz za ramieniem Zubiri.

Ta druga teatralnie przewraca oczami.

– Och, Walczak, musisz się wreszcie odważyć odzywać do ludzi.

Rozmawiałam dotąd z Zubiri tylko kilka razy. Mimo to sprawia na mnie wrażenie kogoś doroślejszego niż ja. W tym sensie, że jest ode mnie d o j r z a l s z a. To chyba dobrze. Wkrótce będzie musiała zacząć robić swoje. Podobnie jak wszystkie dzieci.

Koło mnie bezszelestnie jak cień przysiada O'Malley.

– Udało mi się wejść na niższe deki – mówi. – Musisz coś zobaczyć.

Farrar i Aramowski wydzierają się na siebie nawzajem. Wszyscy im się przyglądają, śmieją się z ich kłótni. Po cichu idę za O'Mallem pod tylną ścianę i przez drzwi wychodzące na schody.

– Kiedy już jakieś drzwi zostaną odblokowane, możemy je tak zostawić, jeśli tylko po ich otwarciu nie przyłożymy dłoni do odcisku ani nie przekręcimy koła – wyjaśnia.

Mijając dek drugi, schodzimy na trzeci. Tak jak mi mówił Gaston, tu drzwi opatrzone są kołem z symbolem półpełnego kółka.

– Spróbuj otworzyć – mówi O'Malley.

Na drzwiach sterowni jest symbol koła zębatego. Tamte nie chciały się przede mną otworzyć, więc wątpię, żeby te zechciały, ale próbuję. Koło przekręca się z łatwością – drzwi się odblokowują.

– Tak też myślałem – komentuje O'Malley. – Zablokowane drzwi przeważnie otwierają się tylko przed tymi, którzy mają odpowiedni symbol, ale istnieje kilka wyjątków. Ty możesz otwierać niektóre prawdopodobnie dlatego, że Matylda dowodziła Starszymi, ale jestem prawie pewien, że inne pustaki nie otworzą żadnych drzwi z zamkiem na odcisk dłoni.

„Pustaki”. To słowo momentalnie budzi moją złość, choć sama nie wiem dlaczego. Sam O'Malley zdaje się zaskoczony, wręcz zakłopotany, że mu się ono wyrwało, ale widzę, że tak samo jak ja nie ma pojęcia, co ono znaczy.

– Tak czy inaczej – mówi – pozwól, że ci pokażę, co odkryłem.

O'Malley otwiera drzwi jednym pociągnięciem. Za nimi jest nieduży pokój z trzema białymi postumentami sięgającymi nam do pasa, takimi samymi jak te, które znajdowały się w kulistym pomieszczeniu, gdzie po raz pierwszy zobaczyłam Brewera i Matyldę – w miejscu nazwanym przez nią Kryształową Kulą.

Momentalnie mam ochotę przewrócić te postumenty, roztrzaskać je... Jeśli pojawi się nad nimi twarz Matyldy albo Brewera, tak właśnie zrobię. Musimy pozostawić Starszych samym sobie, już na zawsze.

O'Malley podchodzi do środkowego postumentu. Pojawiają się nad nim roziskrzony błyski, tak samo jak to było w Kryształowej Kuli, ale zamiast czerwonego Brewera widzę w nich słowa PRZYW MANEWR, a poniżej małe obrazki: twarz O'Malleya, Aramowskiego i... swoją własną?

Sama siebie widziałam dotąd tylko raz, w przelotnym odbiciu w polerowanym kadłubie wahadłowca. Tamto odbicie pokazywało kurz i krew, brud i pył, wszystkie skaleczenia i siniaki, które odniosłam w trakcie naszej walki o wolność i ucieczki. Potargane włosy, rozcięta warga, podbite oko, zadrapania wynikające z walki w lesie i ciągnięcia mnie przez gęstwiny.

Ale na maleńkiej twarzy widniejącej nad postumentem nie ma żadnych śladów. Żadnych skaleczeń czy krwi. To ja, tylko doroślejsza. Resztek dziewczyny, którą teraz jestem, już nie widać – widzę tylko kobietę, uderzającą piękną i pewną siebie.

Obrazy przedstawiające O'Malleya i Aramowskiego też wyglądają doroślej. Są takie... męskie. Wizerunek O'Malleya wygląda jeszcze przystojniej niż on sam w tej chwili.

– Nie rozumiem – odzywam się. – Czy to my?

– Może tak według Starszych mieliśmy wyglądać za kilka lat. A może tak wyglądali nasi protoplaści na początku, kiedy nas projektowali

i przygotowywali do rozwoju w trumnach?

Jak dziwnie jest patrzeć na starszą wersję siebie samej. Błyszczące czarne włosy nie są ściągnięte do tyłu w surowy warkocz, jak moje, tylko opadają bujnymi lokami. Gładka jasnobrązowa skóra. Usta w ciemnym odcieniu czerwieni. Powieki pomalowane na różowo.

Tyle że ta twarz... jest n i e r z e c z y w i s t a. To twarz lalki przebranej tak, jak chciała jej właścicielka.

– Jesteś piękna – odzywa się O'Malley.

Od tego słowa zatyka mi dech w piersi. Zerkam na niego – nie patrzy na mnie, spogląda na tamten wizerunek. Ale to przecież nie ja, to M a t y l d a; tak by wyglądała, gdyby mnie wymazała i skazała na nieistnienie.

– Mój portret jest piękny, ale ja w rzeczywistości nie?

O'Malley przenosi wzrok na mnie, robi wielkie oczy.

– No, nie... wcale nie to powiedziałem.

– Właśnie to powiedziałeś.

Kręci głową.

– Ty też jesteś piękna, Em. Kiedy te siniaki się zagoją, będziesz wyglądać cudownie.

Ale teraz nie wyglądam cudownie. Nie chcę już o tym mówić, więc zmieniam temat:

– Te dwa słowa, „przyw manewr”. Co one znaczą?

– Nie mam pojęcia. Kiedy podszedłem do postumentu, tylko to się na nim pojawiło.

Wyciąga rękę i dotyka wizerunku mojej twarzy. Obok niego pojawiają się dwa symbole w kolorze złotym: kółko-gwiazda i kółko-krzyżyk. Dwa symbole srebrne: kółko zębate i kółko półpełne. I jeden symbol biały: dwupierścień.

Nie ma żadnego pustego kółka – żadnego p u s t a k a.

– Moim zdaniem kolor złoty oznacza, że masz wstęp przez dowolne drzwi

opatrzone tymi symbolami – mówi O'Malley. – Srebrny może znaczyć, że masz wstęp przez niektóre drzwi opatrzone danym symbolem.

– A biały oznacza obszary, do których w ogóle nie mam wstępu?

Kiwa głową.

– Chyba tak.

Dotykam unoszącego się w powietrzu wizerunku twarzy O'Malleya. Symbole i kolory przy nim są takie same jak dla mnie, z wyjątkiem koła zębatego, które u niego jest białe. Nie ma wstępu do żadnych miejsc oznaczonych zębatką albo dwupierścieniem.

Potem dotykam twarzy Aramowskiego: dwupierścień złoty, cała reszta biała.

Dlaczego tylko twarze naszej trójki? Żadnego wizerunku Spingate czy Gastona. Wahadłowiec pozwala się pilotować Gastonowi, ale ma obszary, do których jego pilot nie ma wstępu? Dlaczego? Kiedy Starszy Aramowski zginął, był razem z Matyldą. Czy coś ich ze sobą łączyło? A co ze Starszym O'Malleyem – czy ten potwór też jeszcze żyje?

Starsi ukrywali przed sobą nawzajem rozmaite rzeczy. Walczyli, mordowali się, utrzymywali podziały między sobą. Nie chcę ich w żaden sposób przypominać.

– Czy możemy to zmienić, tak żeby wszyscy mieli wstęp wszędzie?

– Próbowałem – odpowiada O'Malley. – Niewiele mogę zdziałać. Wahadłowiec mi nie pozwala.

Staje na wprost postumentów, zwilża językiem wargi. Zachowuje się jakoś dziwnie. Dlaczego jest taki niespokojny?

– Do wahadłowca: gdzie jesteśmy? – pyta.

Ze ścian odpowiada mu miękki, cichy głos:

– *Na Omeyocanie.*

Nad wszystkimi trzema postumentami powstają czarne plamy. Plamy

rozmazują się w różnokolorowe błyski, a potem krystalizują. Patrzę na planetę: planetę niebiesko-zielono-brązową. Obraca się powoli. Dokładnie to samo widziałam z pokładu „Xolotla”.

– Do wahadłowca – odzywa się O’Malley. – Potrzebuję zmienić przywileje dostępu.

– *Panie kanclerzu Kevinie Patryku O’Malley, aby kontynuować, proszę wypowiedzieć kod dostępu.*

Ma na imię Kevin? Podoba mi się. Ale nazwisko O’Malley podoba mi się bardziej.

– Myślę, że niektóre informacje są ogólnie dostępne dla wszystkich – mówi O’Malley. – Ale przy większości zadawanych przeze mnie pytań wahadłowiec żąda ode mnie jakiegoś kodu, którego nie znam.

Wahadłowiec niewątpliwie go rozpoznaje. Może uważa go za Starszego O’Malleya, takiego po nadpisaniu. Może wobec mnie popełni ten sam błąd. Na „Xolotlu” Matylda sprawiała wrażenie dowodzącej.

Staję na wprost postumentów.

– Do wahadłowca: czy wiesz, kim jestem?

– *Matyldą Jean Savage, cesarzową.*

Cesarzową?

O’Malley się śmieje. Potem przewraca oczami z uśmiechem.

– Wasza Wysokość! Czy mam przyklęknąć?

Trzępię go w ramię.

– Do wahadłowca – mówię. – Co oznaczają nasze symbole?

– *Aby kontynuować, proszę wypowiedzieć kod dostępu.*

– Skoro jestem cesarzową, niepotrzebny mi żaden kod. Co znaczą nasze symbole? Co to za miasto?

– *Informacje poziomu manewrowego wymagają werbalnego potwierdzenia kodem dostępu, pani cesarzowo. Aby kontynuować, proszę wypowiedzieć kod*

dostępu.

– Mówiłem – odzywa się O’Malley.

– Co jeszcze jest na tym deku?

– O ile mi wiadomo, nic. Reszta przestrzeni na tym poziomie to chyba maszyny... być może potrzebne do obsługi tego, co jest niżej, na deku czwartym.

Kiedy to mówi, głos mu się łamie. Jest niespokojny, może nawet trochę się boi. Czegokolwiek się boi, znajduje się to pod nami.

– Dobrze – mówię. – Pokaż.

Zaciska wargi w wąską linię.

– Chodź.

Schodzę za nim na najniższy dek. Są tu drzwi z kołowym zamkiem, podobne do innych, ale na piaście tego koła widnieje kółko-krzyżyk.

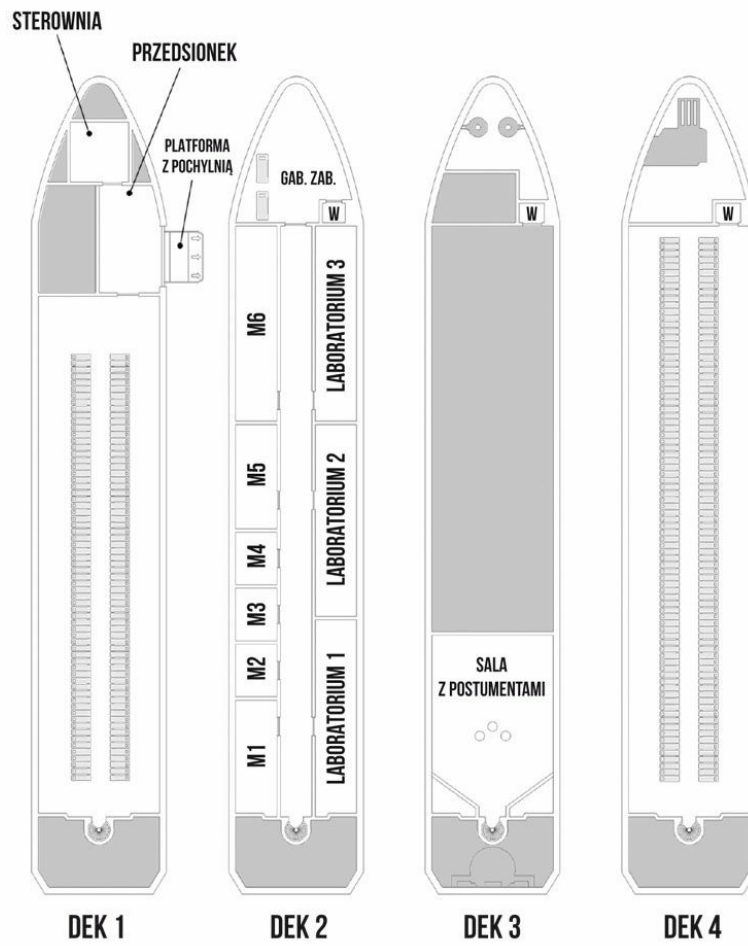
– Udało mi się je otworzyć – mówi O’Malley. – Sądząc po symbolach z sali z postumentami, tobie też powinno się udać.

Czeka, aż to właśnie zrobię. Też zaczynam się bać, jakby jego niepokój był zaraźliwy.

Chwytam za koło. Obraca się z łatwością. Pociągnięciem do siebie otwieram drzwi i przekraczam próg.

Patrzę w długą przestrzeń niepodzieloną żadnymi ściankami czy drzwiami. W zasadzie nie ma tu nic poza tym, co spoczywa na podłodze.

Poza dwoma długimi rzędami brązowych trumien, czystych i lśniących, pokrytych płaskorzeźbami, które wyobrażają jaguary, piramidy i słońca.



LEGENDA:

M = MAGAZYN

W = WINDA

GAB. ZAB. = GABINET ZABIEGOWY

OBSZARY OZNACZONE NA SZARO SĄ NIEDOSTĘPNE (APARATURA OBSŁUGUJĄCA WAHADŁOWIEC)

CZTERY

Razem z O'Malleyem wracam na górny dek. Wszyscy się tu bawią, rozmawiają, niektórzy nawet drzemią w białych trumnach.

Łapię spojrzenie Bishopa, kiwam głową w kierunku sterowni. Potwierdza skinieniem, podnosi swoją siekierę i rusza za nami.

Nie zdążyliśmy jeszcze dotrzeć do drzwi sterowni, kiedy wbudowane w nie koło się przekręca. Gaston i Spingate wychodzą na zewnątrz. Nie sprawiają wrażenia tak wypoczętych, jak bym chciała, ale wyglądają na szczęśliwych, a to już coś.

– Wracajcie – mówię im. – Muszę z wami porozmawiać.

Wchodzimy do środka. Bishop zaczyna zamykać za nami drzwi, ale te zatrzymują się w pół drogi: uśmiechnięty Aramowski blokuje je własnym ciałem.

– Coś planujemy? – pyta. – To dobrze. Musimy omówić potrzeby duchowe ludzi.

Bishop spogląda na mnie, a chudy Aramowski wykorzystuje tę chwilę wahania, żeby wśliznąć się do środka. Powiedzieć mu, że nie może wejść, to byłoby jedno, ale zmusić go do wyjścia to już coś zupełnie innego. Z czego, rzecz jasna, Aramowski świetnie zdaje sobie sprawę.

Bishop zamyka drzwi.

Kiedy po raz pierwszy weszłam do sterowni, jej ściany były czarne. Teraz jest tak, jakby ścian nie było wcale. Mam wrażenie, że stoję na środku polany otoczonej wysoką ścianą – kolistą stertą pnączy – za którą widać kształty

dziwnych budowli. Wydaje mi się, że wiszę wysoko nad żółtą roślinnością, choć czuję pod nogami niezmiennie solidną podłogę sterowni.

Bishop opiera siekierę obuchem o biodro. Tak samo jak pozostali czeka, aż zacznę mówić.

– O'Malley dostał się na niższe poziomy wahadłowca – oznajmiam.

Gaston piorunuje chłopaka wzrokiem. O'Malley ma nieruchomą twarz, która chyba zawsze przybiera ten wyraz podczas takich jak ta dyskusji.

Nie wspominałem o sali z postumentami. Jeśli Aramowski planuje wszędzie wtykać swój nos, nie chcę, żeby coś tam nabroił. Szybko opisuję salę, którą widzieliśmy na deku czwartym. Staram się, żeby moi przyjaciele zrozumieli, że nie stoją w niej proste białe trumny, tylko raczej takie, w jakich wszyscy obudziliśmy się po raz pierwszy.

Bishop wygląda na wściekłego. Spingate i Gaston są chyba w szoku.

Aramowski za to jest zachwycony.

– Wspaniale! – mówi. – Otworzyłaś je?

Bishop prychnął.

– Oczywiście, że nie. Em nie zrobiłaby czegoś tak niebezpiecznego, gdyby nie było przy tym mnie i innych kółko-gwiazd.

– Niebezpiecznego? – powtarza Aramowski. – Ach tak, rozumiem. W tych nowych trumnach zamiast ludzi takich jak my mogą być Starsi. Nie przejmuję się, Bishop, pokładam w tobie absolutną ufność: jeśli są tam jacyś Starsi, nie wątpię, że znajdziesz sposób, żeby ich wszystkich zabić.

Bishop odpowiada mu warknięciem:

– Zrobiłem to, co musiałem zrobić.

– Musiałeś popełnić morderstwo? – Dłonie Aramowskiego zaciskają się w pięści, otwierają, znów zaciskają. – Czy zabijanie to jedyna rzecz, w której jesteś dobry, Bishop?

– Przestań – syczę. – Aramowski, twój protoplasta nadpisałby cię,

wymazał, nie rozumiesz tego? Bishop cię ocalił.

– Nie potrzebowałem „ocalenia”. Stworzono mnie, żebym połączył się ze swoim stwórcą. Teraz on nie żyje. Tysiąc lat jego mądrości, jego wiedzy straconych bezpowrotnie.

A ramowski daje nam do zrozumienia, że nie jesteśmy równie ważni jak ludzie, którzy chcieli nas wymazać.

– Mamy prawo do tego, żeby przeżyć – mówię. – Starsi myślą, że jesteśmy ich własnością, skorupami czekającymi na napełnienie. Ale się mylą!

Łapię się na tym, że wrzeszczę. Biorę głęboki oddech, staram się uspokoić. Aramowski jest taki denerwujący.

– Nie powinniśmy ich otwierać – mówi O’Malley tak spokojnie, że mój krzyk sprzed chwili wydaje się jeszcze głośniejszy.

A ramowski unosi obie ręce gestem pytającym: „A jaki mamy wybór?”

– Musimy je otworzyć. I to szybko. Nie wiemy, jakie niebezpieczeństwa napotkamy na tej planecie, a w grupie siła.

– W grupie głód – ripostuje Spingate. – Nasze zapasy żywności już i tak nie wystarczą nam na długo. A przecież nie wiemy, może w tych trumnach są ludzie, którzy wyglądają jak my, ale zostali już nadpisani, Starsi w młodych ciałach.

Gdyby tak było, czy zaakceptowaliby nas? Czy może spróbowaliby przejąć władzę, odsunąć nas na dalszy plan, uważając, że lepiej wiedzą, jak żyć, jak wszystkim zarządzać?

Może by nas po prostu pozabijali. Jesteśmy w końcu tylko pojemnikami; puste naczynia nie mają praw.

Gaston zgodnie kiwa głową.

– Spingate nie myli się co do naszej sytuacji z żywnością. Ile tam było trumien?

Słyszę odpowiedź O’Malleya:

– Sto sześćdziesiąt osiem.

T a liczba budzi we mnie lęk. Jakiś czas temu przewodziłam piątce osób. Jeśli te trumny się otworzą – i jeśli ludzie w nich b ę d ą tacy jak my – mogę okazać się odpowiedzialna za prawie trzysta.

– Czyli byłoby nas ponad dwa razy więcej niż teraz – zauważa Gaston. – Żywność skończyłaby nam się w o połowę krótszym czasie.

Spingate marszczy brwi.

– Nie da się ukryć, że Starsi uwielbiają wielokrotności trzech. A może dwunastu. Czy któreś z trumien były pęknięte i otwarte, jak te na „Xolotlu”?

O’Malley kręci głową.

– Nie widziałem żadnych uszkodzeń. Wszystkie wyglądały na szczelnie zamknięte.

– I niech takie zostaną – mówi Bishop. – Przynajmniej dopóki nie znajdziemy więcej żywności. Ci, co tam leżą, kimkolwiek są, jeśli są w trumnach, nie muszą jeść. I nie stanowią zagrożenia.

O ’Malley skubie strup na swoim policzku.

– A jeśli wahadłowiec postanowi ich obudzić? – pyta. – Albo jeśli ktoś na „Xolotlu” potrafi to w jakiś sposób zrobić? Gaston, ty rozmawiasz z wahadłowcem. Zapytaj go o te trumny.

Gaston wzdycha.

– Do wahadłowca: co wiesz o trumnach na deku czwartym?

W odpowiedzi ze ścian wydobywa się słodki jak miód głos:

– *Nie mam żadnych informacji o deku czwartym, kapitanie Xanderze. Dostępna mi wiedza na temat tej części statku została skasowana.*

– Tak myślałem – mówi Gaston. – To skasowane, t a m t o skasowane; jeśli pytam o cokolwiek innego niż latanie, wahadłowiec nic nie wie. Nie wie nawet, dlaczego to właśnie miejsce wybrał na lądowanie.

Wahadłowiec ma luki w pamięci tak samo jak my.

N atychmiast przychodzą mi na myśl pytania, kto i dlaczego wymazał mi pamięć, ale nie to jest w tej chwili najważniejsze.

– Musimy znaleźć jedzenie – oświadczam. – To, co mamy, przejemy bardzo szybko. Nasz pierwszy cel to znalezienie żywności.

Bishop kręci głową.

– Po pierwsze musimy zrozumieć nasze bezpośrednie otoczenie. Znaleźć miejsca, z których możemy zostać zaatakowani, i drogi ucieczki na wypadek, gdyby to się stało. Musimy przeprowadzić r o z p o z n a n i e t e r e n u, Em.

Mówi to wyrażenie w taki sam sposób, w jaki Spingate wypowiedziała słowo „mikroorganizmy”.

Z aspana twarz Gastona ożywia się.

– Mogę w tym pomóc. Wahadłowiec ma dalekosiężne czujniki pozwalające mu latać. Założę się, że mógłby przygotować dla nas mapę.

S zepcze coś. Przechyla głowę, nasłuchując, i widzę w jego uchu czarny klejnot, taki jak ten u Spingate. Podnosi rękę. Światło rozlewa mu się na skórze – Gaston promienieje w nim jak jakiś bóg.

Obrazy na otaczających nas ścianach płyną nagle do centrum sterowni, kurcząc się przy tym raptownie, tak że zmniejszający się krąg pnący trafia w środek pomieszczenia. Całe zniszczone miasto rozmazuje się w ruchu, wydaje się już o połowę mniejsze, potem ma już tylko ćwierć swego rozmiaru, jedną dziesiątą, jedną setną. Budowle pędzą ku nam, zmieniając się z olbrzymich kamiennych brył w maleńkie zabawki otoczone siecią wąziutkich uliczek.

Ś ciany sterowni znów są czarne, jak na początku. Rozciągające się we wszystkie strony miasto jest teraz kołem zawieszonym w powietrzu na wysokości naszego pasa. Bishop, Aramowski, Gaston, Spingate, O’Malley i ja stoimy na obrzeżu mapy.

Świecąca róża wiatrów wskazuje północ, południe, wschód i zachód.

W środku róży widnieje krąg – symbol z napisem Mictlan, który znamy z haftu na naszych krawatach.

Ulice i aleje tworzą siatkę przecinających się linii. Dwie najszersze ulice są do siebie prostopadłe. W miejscu skrzyżowania nikną jednak pod największą budowlą miasta – tą olbrzymią piramidą, którą zobaczyłam, stojąc na szczycie kręgu pnączy.

Od północnego wschodu do miasta wpływa rzeka, tak realistyczna, że widzę, jak skrzy się bulgocząca w niej woda. Rzeka kończy się małym wodospadem, który wpada do szerokiej sadzawki.

Moją uwagę przyciągają porośnięte pnączami piramidy: składają się z kwadratowych tarasów ustawionych jeden na drugim, tak że każdy kolejny jest mniejszy niż ten poniżej. Wyglądają jak obrazki wyrzeźbione na mojej urodzinowej trumnie.

– Zigguraty – mówię. To słowo wymyka mi się mimowolnie; przypomniałam sobie coś z przeszłości Matyldy. Pozostali spoglądają na schodkowe piramidy, potem na siebie nawzajem, i kiwają głowami. Teraz oni też pamiętają to słowo.

Spingate wskazuje kropkę świecącą w środku mapy.

– To nasz wahadłowiec.

W ydaje się taki mały, co tylko podkreśla ogrom tego miasta ruin.

Gaston macha ręką w stronę obwodu mapy.

– Ta krawędź to granica zasięgu czujników wahadłowca.

C choć na mapie jest on dość nieduży, w najwyższym zigguracie – tym, który stoi na przecięciu dwóch najszerszych dróg – da się wyróżnić dość szczegółów, by zobaczyć na samym szczycie, gdzie nie sięgają żółte pnącza, jakiś słup. Widnieje na nim sześć czarnych symboli, ułożonych od góry do dołu: puste kółko, kółko-gwiazda, dwupierścień, kółko-krzyżyk, półkółko i – na samym spodzie – zębokółko, czyli koło zębate.

Mniej więcej w dwóch trzecich wysokości tego zigguratu na jednym z narożników stoi obrócony twarzą w kierunku szczytu jakiś posąg. Nie widzę, czy to podobizna kobiety, czy mężczyzny. Musi być olbrzymia.

Ta budowla wygląda na ważną.

– Gaston – odzywam się – ile czasu zajęłoby nam dojście do tego wielkiego zigguratu?

Chłopak pochyła się w jego stronę z namysłem.

– Przy szybkim marszu... pewnie większość dnia.

O'Malley wyciąga rękę, żeby dotknąć budowli znajdujących się blisko niego, jakby były to drobiazgi, które mógłby podnieść. Jego dłoń przechodzi przez nie na wskroś, wznecając obłoczek błysków.

– Te budynki wyglądają inaczej niż reszta – zauważa.

Rozumiem, o co mu chodzi. Budowle bliżej niego są bardziej zniszczone: część z nich uległa zawaleniu, a wiele ma zapadnięte dachy, z których wyrastają drzewa. Mają inny kształt – sześć ścian, a nie cztery, jak większość budowli na mapie. Są także mniejsze; wydają się małe nawet przy średniej wielkości zigguratach.

Na północnym wschodzie, kawałek za wodospadem, zauważam grubą linię, która przecina kolistą krawędź mapy. Wszystkie sześcioboczne budynki znajdują się po drugiej stronie tej linii.

Wskazuję ją.

– Czy to jakiś mur?

Gaston sięga w to miejsce obiema rękami, chwyta powietrze nad tą częścią mapy, a potem rozsuwa dłonie – mapa się powiększa. Teraz widać mniej szczegółów, a obraz staje się trochę niewyraźny, ale nie da się ukryć, że patrzymy na wysoki, gruby mur.

A ramowski krzyżuje ręce na piersi, marszczy czoło w zamyśleniu.

– Czworoboczne budowle po jednej stronie muru, sześcioboczne po drugiej

– zauważa. – Dlaczego tak?

Nikt nie odpowiada.

O’Malley gwałtownie wciąga oddech, zaskoczony. Pokazuje ręką:

– Powiększ to!

Gaston powiększa. Jakiś prostokątny budynek, dość wielki, by zmieściło się w nim z dziesięć wahadłowców, mniej więcej w połowie drogi od nas do wodospadu. Jest pokryty żółtymi lianami, jak wszystkie inne, ale wyróżnia go coś charakterystycznego: grube, porośnięte roślinnością tyczki, które wznoszą się na krawędzi dachu, jakby stała tam na straży armia włóczników z wysoko uniesioną bronią. Tyczki zwężają się do zaokrąglonego wierzchołka z zaledwie zarysem szpicu. Prawie rozpoznaję ten kształt.

– To pomniki kukurydzy – mówi O’Malley. – Ten budynek to skład żywności.

Wszyscy patrzymy na niego z powątpiewaniem.

Niezachwiany spokój O’Malleya gdzieś zniknął. Oczy mu błyszczą, a na usta wypłynął uśmiech tak autentyczny i piękny, że aż zapiera mi dech.

– Pamiętam coś – mówi. – Mój ojciec, to znaczy ojciec mojego protoplasty, pracował na rzecz jakiegoś miasta. Chyba. W każdym razie mój protoplasta widywał takie budynki. Służą do składowania żywności.

Jeśli się nie myli, oznacza to, że miasto zbudowali Starsi. Tylko gdzie oni są? Co się z nimi stało?

Jeśli w tym budynku zgromadzono jedzenie, może to oznaczać różnicę między życiem i śmiercią. Musimy się dowiedzieć, które rośliny wolno nam jeść, a których nie, nauczyć się, jak uprawiać ziemię i polować, ale zdobycie tych umiejętności potrwa pewnie dużo dłużej niż czas, na jaki wystarczy nam prowiantu.

– To niedaleko – mówi Gaston. – Dojście tam zajęłoby tylko parę godzin.

Aramowski wskazuje kropkę świecącą w środku mapy.

– Dlaczego po prostu nie dolecimy tam wahadłowcem?

– Nie jestem pewien, czy jest tam miejsce, żeby wylądować – odpowiada Gaston. – A poza tym wahadłowiec do latania potrzebuje paliwa. – Milknie na chwilę, otwiera usta, jakby chciał coś dodać, ale zmienia zdanie.

Spingate dopowiada za niego:

– Paliwa zostało ledwie tyle, żeby dolecieć do „Xolotla”. Jeśli będziemy latać sobie w jakimś innym celu, jakkolwiek, nie będziemy w stanie tam powrócić. Już nigdy.

W szyscy milkniemy. Nie zdawałam sobie sprawy, że w ogóle istnieje możliwość powrotu. To niewygodna myśl: jeśli nie uda nam się na Omeyocanie, nasze przeżycie może zależeć od powrotu do miejsca, w którym chcą nas uśmiercić.

Aramowski lekceważąco macha ręką.

– Przywiódł nas tutaj Bóg Krwi. Jest nam pisane odnieść sukces. Bóg podarował nam ten wahadłowiec, więc powinniśmy korzystać z niego, by...

– Pójdziemy pieszo – ucinam jego monolog. – Jak powiedział Bishop, i tak musimy przeprowadzić rozpoznanie terenu, więc zajmiemy się tym po drodze do składu żywności. Jeśli znajdziemy tam jedzenie, będziemy mieć więcej czasu, żeby wymyślić, co dalej.

Bishop wypręża się jak struna.

– Wezmę Farrara i Coyotla. Uwiniemy się, wrócimy i złożymy ci raport.

– Też pójdę z wami – mówi Spingate.

Bishop kręci głową.

– Nie, będziesz nas tylko spowalniać.

Spingate unosi rękę z karwaszem.

– Jeśli znajdziemy jedzenie albo wodę, to nam powie, czy nie są trujące.

– Jeśli znajdziemy jedzenie albo wodę, trochę przyniesiemy – kontruje Bishop. – Wtedy nam powiesz, czy są bezpieczne.

S pingate bierze się pod boki.

– Idzie z wami – mówię. – I ja też.

B ishop gromi mnie wzrokiem. O'Malley także.

– To niebezpieczne, Em – mówi O'Malley. – Przywódca nie powinien oddalać się od reszty, dopóki nie będzie pewności, że nic mu się nie stanie.

C hłopcy znowu chcą mnie c h r o n i ć. Mają pecha – nie jestem z tych, co chowają się z tyłu, kiedy jest robota do zrobienia.

– Jeśli sama nie będę mierzyć się z niebezpieczeństwem – tłumaczę im – nie będę mogła prosić o to innych. A nie wiemy, na jakie rośliny czy zwierzęta natrafimy. Nie mamy pojęcia, co tu może być jadalne. Spingate będzie oceniać wszystko po drodze.

B ishop wzdycha, kręci głową. O'Malley stara się nie okazywać niezadowolenia.

– Szykujmy się – mówię. – O'Malley, ty i Gaston dowodzicie pod moją nieobecność. Musimy wiedzieć o wszystkim, co się dzieje na wahadłowcu, i zorientować się, kto leży w tych trumnach.

PIĘĆ

Opuszczamy wahadłowiec: Spingate i ja razem z Bishopem, Coyotlem i Farrarem. Wszyscy odprowadzają nas wzrokiem, machając i krzycząc radośnie. O'Malley zostaje na miejscu. Nie potrafi ukryć swojego zatroskania. Czy martwi się o moje bezpieczeństwo? O to, że będzie musiał uważać na Aramowskiego? Czy może przejmuje się, że idę z Bishopem?

Może wszystko naraz.

O'Malley i tak trzyma się lepiej niż Gaston. Mały pilot wygląda, jakby z powodu wymarszu Spingate był bliski łez. Zanim wyruszyliśmy, widziałam, jak stoją przed sobą, trzymając się za ręce. Ona mówiła coś cicho, a on patrzył w ziemię, potakując skinieniem głowy.

Niosę włócznię. Bishop – swoją czerwoną siekierę. Na ramieniu Farrara spoczywa ciężka łopata. Coyotl nadal woli swoją wypróbowaną kościomaczugę.

Spingate niesie wysadzone klejnotami narzędzie, które znalazłam w naszej sali z trumnami na „Xolotlu”. W swojej torbie ma też białe pudełeczko pełne bandaży, ostrych nożyków, tabletek, igieł i nici do zszywania ran, maści i wszelkich innych różności. Smith nauczyła ją, jak się z tym wszystkim obchodzić.

Opkick i Bordżigin – nastoletnie półkółka, które na początku należały do grupy Bishopa – zgłosili się do inwentaryzacji magazynów. Zaopatrzyli każde z nas na drogę w małą czarną torbę z odrobiną jedzenia, bidonem z wodą i latarką. Znaleźli też kilka noży z pochwami przytraczanymi do ud. Nie ma ich

wiele, więc dostały je tylko kółko-gwiazdy.

Wspinamy się na kolistą stertę pnączy i schodzimy po jej zewnętrznej stronie. Wahadłowiec od razu znika nam z oczu. Ruszamy w nieznane. Czy się boję? Oczywiście. Ale zdążyłam już do tego przywyknąć – dotąd w moim życiu nie poznawałam nic innego, jak właśnie to, co nieznane.

I dziemy szeroką, obrośniętą pnączami i lianami ulicą. Odgłosy pozostałych przy wahadłowcu naszych szybko cichną. Szemrają liście: martwe miasto znów na nas syczy. Lekki wietrzyk przynosi nowe zapachy. Rozpoznaję już miętowy aromat pnączy. Z większością woni jednak ani ja, ani Matylda nie zetknęłyśmy się nigdy wcześniej.

P o obu stronach ulicy wznoszą się budowle. Niektóre wyglądają jak pudełka, ale większość to schodkowe piramidy. Z i g g u r a t y. Kojarzą mi się z czymś z mojego dzieciństwa... to znaczy z dzieciństwa M a t y l d y. Pamiętam jakieś wesele. Pamiętam, jak gapiłam się na tort złożony z czterech poziomów, które zmniejszały się od dołu do góry. Na samym szczycie stała mała figurka dwojga ludzi. Myślałam, że to zabawka. Chciałam się nią pobawić, ale matka mi nie pozwoliła.

N i ektóre z piramid są małe, trzy- lub czteropoziomowe, a inne – olbrzymie, złożone z dwudziestu lub więcej warstw. Największe mają tarasy tak szerokie, że na ich płaskiej powierzchni zbudowano inne, mniejsze zigguraty. Prawie wszystko pokrywają pnącza i liany, łagodzące kontury i zmieniające pomarańczowobrazową barwę kamieni w kolor bladożółty.

Maszerując, łapię się na tym, że nie odczuwam już takiego niepokoju na widok rozpościerającego się nade mną nieba. Cała ta otwarta przestrzeń... mam wrażenie, że jestem tu na swoim miejscu. Zaczyna do mnie docierać, że t o jest właśnie naturalny stan rzeczy. Że to na tym wszystko powinno polegać – a nie na tłoczeniu się w wahadłowcu czy w wąskich korytarzach.

K ilka budynków leży zawalonych. Z ulicy, z dachów, ze stromych ścian

zigguratów wyrastają młode drzewa. Mają zielonobrazowe pnie, a liście o ciemniejszym odcieniu żółci niż te na lianach. Sposób, w jaki ich korzenie chwytają się kamiennych ścian, nasuwa mi myśl, że z upływem lat runie tu jeszcze niejeden budynek.

Nad naszymi głowami przelatują ptaki – co prawda nie te, które kojarzę ze wspomnień Matyldy, ale niemniej jakieś jaskrawe, kolorowe zwierzęta o rozmiarach ptaków. Zamiast upierzonych, trzepoczących skrzydeł te istoty mają po dwa komplety sztywnych, brzęczących błon. Błony te poruszają się tak szybko, że zmieniają się w barwną plamę.

Plamaki – tak będę nazywać te stworzenia.

Niektóre są małe, inne duże. Jeden z tych większych przyciąga nagle skrzydła do wydłużonego tułowia i nurkuje w powietrzu, a potem wznosi się błyskawicznie, w locie zgarniając wyciągniętymi szponami mniejszego plamaka z budzącym grozę plaśnięciem i chrzęstem.

Tu mieszka śmierć. Śmierć mieszkała też na „Xolotlu”. Być może śmierć mieszka wszędzie.

Farrar, idąc przed siebie, obraca się wokół własnej osi; prawie się potyka, kiedy gapi się na olbrzymie piramidy.

– Gdzie się wszyscy podziali?

Powinni tu być ludzie. Mnóstwo ludzi, tymczasem źródłem jedyne go ruchu w okolicy są plamaki i kołyszące się na wietrze liście. Jeśli O'Malley ma rację co do składu żywności, to znaczy, że to wszystko wybudowali Starsi.

Więc gdzie oni wszyscy zniknęli?

* * *

Gdy dochodzimy do składu żywności, czerwone słońce jest wprost nad nami. Żar leje się z nieba, koszula mi wilgotnieje. Mam nadzieję, że uda nam się wejść do środka i znaleźć jakiś cień.

Skład żywności jest zbudowany z tego samego kamienia co reszta miasta i tak samo jak ona porośnięty pnączami. Jest wysoki i szeroki, ma spadzisty dach i stoi szczytem do ulicy, którą przyszliśmy. Pnącza są tu tak gęste, że prawie zasłaniają podwójne kamienne drzwi – sądząc z wyglądu, zaprojektowane tak, by rozsuwać się na boki. Gdyby te drzwi otworzyły się na całą szerokość, mógłby się w nich zmieścić cały nasz wahadłowiec, a jeszcze po bokach zostałyby mnóstwo miejsca.

Z krawędzi dachu wznoszą się posągi przedstawiające łodygi kukurydzy. Z bliska liany wyglądają jak rozciągnięte między rzeźbami stare pajęczyny.

Bishop wskazuje na podstawę ogromnych drzwi.

– Spróbujmy tam.

P odchodzimy bliżej. Przez grubą pokrywę roślinności prześwitują mniejsze drzwi wielkości człowieka wstawione w te wielkie i przesuwne. Jak on je dostrzegł?

Bishop rozrywa liany, odrzuca je na bok. We framudze mniejszych drzwi odsłania się para znajomo wyglądających otworów. Spingate spogląda na mnie w niemym oczekiwaniu na pozwolenie; kiwam głową. Wkłada złote narzędzie w otwory i zaczyna naciskać klejnoty, próbując odblokować zamek.

Mija kilka minut. Słońce nadal praży niemiłosiernie. Zaczynam się nudzić, pozostali też.

– Spin, zadziała to czy nie?

– Już prawie – odpowiada.

Drzwi szcękają, ze zgrzytem wsuwają się do środka. Opada kurz. Unosi się pył. Ze środka bucha, niesiony falą chłodnego powietrza, zapach stęchlizny.

Z siekierą w jednej ręce i latarką w drugiej Bishop wchodzi do budynku, tuż za nim Coyotl i Farrar.

Zostaję sama ze Spingate. Wygląda na rozkojarzoną, jakby nie zauważała wszystkich tych cudowności.

– Spin, wszystko w porządku?

Dziewczyna patrzy na mnie, zmusza się do uśmiechu.

– Tak. Ja tylko... martwię się o Gastona. Czy nic mu się nie stanie, kiedy nas nie ma.

Nie „czy nic nie stanie się innym”, „reszcie”, tylko „czy nic nie stanie się jemu”. Przypominam sobie, jak oboje baraszkowali niedawno na „Xolotlu”, jak śmiali się i bawili. Inaczej niż pozostali. Jest mi niezręcznie i głupio o tym rozmawiać. Nigdy nie całowałam się z chłopcem – z dziewczyną zresztą też nie – więc sama nie wiem, o czym właściwie mówię, ale wydaje mi się, że Spingate naprawdę lubi Gastona.

– Czy ty i on... ee... jesteście więcej niż przyjaciółmi?

Pociąga nosem.

– Chyba go kocham.

„Kocham”? Tego się nie spodziewałam. Miłość to coś dla doroślejszych ludzi. Chociaż j e s t e ś m y przecież doroślejsi. Prawda?

Czy i ja mogłabym się zakochać?

Czuję nagły przyływ radości. Zaczynamy tu życie w nowym świecie. Potrzebujemy miłości. Potrzebujemy, żeby ludzie... r o b i l i d z i e c i.

Skurcz wstydu. Błyski wspomnień o ludziach w czarnych mundurach, którzy mnie biją, mówią do mnie „zła” i „bluźnierczyni”. Na skórze czuję nagłe gorąco, tym razem nie z powodu słońca. Przez co Matylda musiała przechodzić jako dziecko? Po raz pierwszy czuję wobec niej autentyczne współczucie – a przez to odrazę do siebie samej.

– Em, dobrze się czujesz?

– Tak, przepraszam. – Wachluję się dłonią, próbując ochłodzić skórę. – Gaston... czy on też cię kocha?

Jej oczy mrużą się w uśmiechu, który zajmuje całą jej twarz.

– No wiesz, kiedy byliśmy w sterowni, to my...

Bishop wysuwa głowę przez otwarte drzwi.

– Em, musisz to zobaczyć.

* * *

Nie ma tu żadnych pnączy ani lian. Snopy światła z latarek pełgają po wysokich niebieskich regałach, które ciągną się w dal i równocześnie w górę, aż po ukośny sufit widoczny wysoko nad nami. Na półkach regałów leżą ciasno białe skrzynie, tak duże, że zmieściłabym się w każdej, gdybym tylko odpowiednio się ułożyła. Podłoga jest gładka w dotyku, ale pokryta ziemią, brudem i jakimiś nierównościami.

W ciemności śmiga kilka plamaków, dając o sobie znać tylko brzęczeniem skrzydeł i przenikliwym świergotem. Próbuję nie skupiać się nad tym, że nierówności pod moimi bosymi nogami to pewnie plamakowe odchody.

Jaki tu półmrok, jak wiele możliwych kryjówek. Przypominają mi się długie korytarze na „Xolotlu”, mroczne miejsca, w których czały się śwynie. Przypomina mi się ciało Latu, otoczone krwawymi śladami racic.

Nie cierpię mrocznych miejsc.

Bishop podkrada się do najbliższego regału, trzyma w gotowości siekiere. Nic się nie dzieje. Opiera siekiere o regał, powoli wyciąga jedną ze skrzyń. Światło latarki wychwytuje jakiś migotliwy ruch: małe błyszczące stworzenia umykają z pokrywy skrzyni i czmychają w ciemność. Może to jakiś rodzaj owadów.

Bishop kładzie skrzynie na brudnej podłodze. Na pokrywie widnieje żółto-czarny profil jaguara. Okiem zwierzęcia jest przezroczysty klejnot. Bishop wpatruje się przez chwilę w skrzynie i obszukuje rękami jej boki, otrzepując pył i zdechłe robaki. Naciska oko jaguara. Słychać pstryknięcie, po czym pokrywa skrzyni rozdziela się na dwie połowy, które wsuwają się w boki jak wieka naszych urodzinowych trumien na „Xolotlu”.

P odchodzimy bliżej. W środku skrzyni są ciemnoróżowe pakiety oznaczone prostymi literami. Litery wyglądają na wytarte i zamazane, ale dają się odczytać słowa: PROTEINY, CHLEB, WARZYWA, WITAMINY.

– Mamy odpowiedź – odzywa się Spingate. – Te pakiety mają inny kolor, ale poza tym wyglądają dokładnie jak te, które znaleźliśmy w wahadłowcu. To miejsce zbudowali Starsi.

B ishop sięga lewą ręką do skrzyni, wyciąga pakiet z napisem HERBATNIKI. Przekłada pakiet do prawej ręki, potem patrzy na lewą – na jej palcach pozostał mu czerwony pył. Pakiet nie jest tak naprawdę ciemnoróżowy: w miejscach, w których Bishop chwycił go palcami, widać plamy bieli.

Spingate marszczy brwi.

– Bishop, odłóż to. Zobaczę, czy jest jeszcze jadalne.

B ishop odkłada pakiet na podłogę.

S pingate macha nad nim swoim karwaszem.

Farrar wymierza skrzyni lekkiego kopniaka, jakby upewniając się, że ta istnieje. Podnosi wzrok na niekończące się regały.

– Ile tu tego! – mówi. – Możemy jeść w nieskończoność.

N i e w n i e s k o ń c z o n o ś ć, to pewne, ale jest tu dla nas dość jedzenia na całe lata. Da nam to mnóstwo czasu, żeby nauczyć się uprawy ziemi i polowania. Z trudem opanowuję radość. Chce mi się tańczyć i krzyczeć, mam ochotę świętować.

Coyotl idzie długą środkową alejką. Kręci głową na prawo i lewo, próbując objąć ogrom tego miejsca.

– Bogowie nam dopomogli – zauważa. – Aramowski mówił prawdę.

W spomnienie jego nazwiska prawie rujnuje tę chwilę. Oczywiście Aramowski przypisze to wszystko bogom, choć jest jasne, że to ludzie zbudowali to miasto i wyprodukowali tę żywność.

Coyotl ściąga z regału jakąś skrzynię, kładzie ją na podłodze i otwiera.

– Ej, ciastka!

Rozrywa różowy pakiet i wyciąga małe czarne kółko. Na jego widok ślinka napływa mi do ust; Matylda dostawała tego rodzaju smakołyki, kiedy była mała. Ale nie wiemy, czy te są bezpieczne i czy można je jeść.

– Coyotl, odłóż to – mówię.

C hłopak rzuca ciastku tęskne spojrzenie, ale odkłada je do skrzyni razem z opakowaniem.

Farrar rzuca swoją łopatę i truchtem podbiega do pudła. Wyciąga to samo ciastko, które przed chwilą trzymał Coyotl. Uśmiech ma tak promienny, że można by oświetlić nim cały ten skład.

– W końcu! S ł o d y c z e!

Z anim zdążę powiedzieć mu, żeby rzucił ciastko, pakuje je sobie całe do ust i rozgryza.

– Bogowie nam pomagają – stwierdza, żując i szczerząc zęby w uśmiechu.

Po chwili jednak marszczy brwi. Gapi się na swoje palce, jakby było z nimi coś nie tak, pstryka nimi, jakby próbował strząsnąć jakiegoś robaka.

J akis ruch po mojej lewej. Bishop z zaniepokojoną miną wyciera sobie rękę o to, co pozostało mu ze spodni.

– Mam mrówki w palcach – mówi. – Trochę mnie pieką.

Słyszę ostre piknięcie. Odgłos dochodzi z karwasza Spingate. Wszystkie klejnoty migoczą jasnopomarańczowo – to oczywisty kolor ostrzeżenia.

Spingate szybko wstaje.

– Czerwony proszek to pleśń. Jest t o k s y c z n a.

To słowo przeszywa mi serce.

U puszczam włącznię, biegnę do Farrara.

– Wypluj to! Wyp l u j!

N adal przeżuwać, patrzy na mnie tak, jakby nie rozumiał, co mówię – po

chwili orientuję się, że wcale na mnie nie patrzy. Oczy ma szkliste, niewidzące.

– Te ciastka smakują b e z n a d z i e j n i e – mówi sennym głosem, po czym przewraca się w tył. Kiedy upada, próbuję go złapać, ale swoim ciężarem pociąga mnie za sobą w dół. Gramolę się na klęczki, słysząc klaskanie bosych stóp o podłogę – to biegną do nas pozostali.

Farrar się dławi. Wywracają mu się oczy, widać tylko białka, które błyszczą upiornie w świetle latarek.

S pingate ślizgiem ląduje obok mnie, chwytając Farrara za twarz, wbija mu palce i kciuki w policzki, rozwierając na siłę szczękę.

– Em, wyciągnij mu to z ust, zanim połknie!

S ięgam palcami do środka, wygarniam na wpół przeżute ciastko i odrzucam czarną papkę na bok. Wsuwam palce między jego wargi i dziąsła, pod język, wyciągam jeszcze trochę trucizny – sama też już czuję mrowienie na skórze.

– Coyotl, w o d y – rozkazuje Spingate. Przekręca twarz Farrara na bok. – Przepłucz mu usta!

Coyotl ściska bidon, celując nim w otwarte usta Farrara – strumień wody chlusta na język chłopaka, kapie na brudną podłogę.

Farrar dostaje drgawek. Mięśnie gwałtownie mu się kurczą, jego ciałem wstrząsają konwulsje – uderza Spingate czołem w policzek, zwała ją z nóg.

B ishop blokuje go ramionami w torsie, przytrzymuje mocno.

Wszystkie nasze latarki leżą na podłodze, tylko światło tej, którą trzyma Coyotl, szaleńczo tańczy po twarzy Farrara.

S pingate wraca, po policzku spływa jej strużka krwi. Przepatruje białą walizeczkę, którą dostała od Smith, próbuje znaleźć w niej coś konkretnego. Wyciąga mały biały aparacik niewiele większy od jej małego palca, przyciska go Farrarowi do gardła.

Słyszę ciche *pssyk*. Spingate cofa aparacik, ukazując cienką metalową igłę.

Coś chłopakowi wstrzyknęła.

Farrar wygina się z całej siły do przodu, a potem jego ciało nagle się odpręża. Trzepocze powiekami, otwiera oczy. Widzę jego źrenice. Pierś unosi mu się i opada.

Spingate znowu ujmuje w ręce jego twarz, ale tym razem delikatnie.

– Farrar, to ja, Spingate. Widzisz mnie?

Oczy rozszerzają mu się, skupia je na niej. Kiwa głową.

Słyszę, jak wypuszczam wstrzymywany dotąd oddech: nic mu nie jest.

Farrar zdezorientowany patrzy na mnie, potem na Bishopa.

– Co się stało?

– Jadłeś ciastka – mówi Bishop. – Uwaga wszyscy, pamiętajcie: nie jeść ciastek.

Bishop mówi to z taką powagą i namaszczeniem, że zaczynam się śmiać. Brzmi to niezręcznie. Nie powinnam się śmiać, bo w tym, co się stało, nie ma zupełnie nic śmiesznego, ale nie umiem się powstrzymać.

* * *

Spingate bada już dwudziestą skrzynię. Bishop i Coyotl znoszą je do niej z całego składu żywności. Coyotl wspiął się nawet wysoko po jedną z nich, a potem jakimś cudem zgramolił się na dół, trzymając ją pod pachą.

Przetrzymujemy na karwasz na przedramieniu Spingate, kiedy macha ręką nad zawartością skrzyni: dziesięcioma ciemnoróżowymi pudełkami, które droczą się z nami prostymi nazwami prowiantu.

Klejnoty migają pomarańczowo.

Przenoszę wzrok na Farrara. Lśni od potu. Minęła może godzina, odkąd spróbował zjeść ciastko, a wciąż jeszcze ciężko oddycha. Spin uważa, że nic mu nie będzie, ale kiedy wrócimy na wahadłowiec, postaram się, żeby obejrzała go Smith.

Spingate zamyka skrzynię, którą właśnie sprawdziła. Na pokrywie błyszczą klejnot oka jaguara. Spin zwraca się do Bishopa:

– Na pewno tę wzięłaś z miejsca jak najdalej stąd?

Bishop wskazuje w głąb głównej alejki składu.

– Przyniosłem ją z samego końca, spod przeciwległej ściany. A po drodze zajrzałem do chyba stu innych skrzyń, we wszystkich jest ten czerwony proszek.

Spingate kręci głową.

– Ten proszek to mikroorganizm tak mały, że potrafi nie tylko dostać się do tych pudeł, ale też przedostać się przez opakowania wprost do żywności. Gdybyśmy nie zareagowali tak szybko, Farrar już by nie żył. – Podnosi wzrok na mnie. – Gdy już raz pleśń zatruje jedzenie, nie możemy zrobić nic, żeby znowu nadawało się do spożycia.

Opuszcza wzrok, jakby to była jej wina, że jesteśmy w budynku pełnym pożywienia, a jednak nie możemy zjeść z niego ani odrobiny.

P rzynajmniej mamy zapasy z wahadłowca. Mamy czas, żeby znaleźć inne rozwiązania.

P rzyminają mi się dziwne słowa Brewera na „Xolotlu”: „Miejmy nadzieję, że nie będziecie tam pleśnieć po próżnicy. W przeciwnym razie ta bardzo długa wycieczka zdała się na nic”.

P leśnieć po próżnicy. On w i e d z i a ł. Bardzo długa wycieczka na nic...

– Ta pleśń – zwracam się do Spingate. – W jaki sposób się rozprzestrzenia?

Spingate wstaje, otrzepuje ręce i wzrusza ramionami.

– Domyślam się, że mikroorganizmy pewnie składają małe jajeczka. Nie, to nie całkiem tak... one tworzą z a r o d n i k i, drobinki tak małe, że unoszą się w powietrzu. Kiedy lądują na różnych rzeczach, cały proces rozmnażania zaczyna się od nowa.

J eśli przenoszą się przez powietrze...

Łapię ją za ramię.

– Czy te zarodniki mogłyby się dostać do zapasów na wahadłowcu?

Spingate robi wielkie oczy.

– Tak.

Kilkadziesiąt minut temu myśleliśmy, że mamy dość jedzenia na całe lata. Teraz wiemy, że jest go tylko tyle, co na wahadłowcu – jeśli i ono się popsuje, będziemy zgubieni.

S pingate patrzy na swój bidon na wodę. Odwraca go do góry dnem; wylewają się z niego dwie krople, nic więcej. Opróżniła go – podobnie jak bidon Coyotla – przepłukując do końca usta Farrarowi. Ja wylałam wodę ze swojego, opłukując ręce, aż przestały mnie piec. Bishop zrobił to samo ze swoim bidonem.

W kilka chwil prawie skończyła nam się woda.

S pingate nie przestaje wlepić wzroku w pusty bidon.

– Jeśli woda w tym mieście zawiera te same zarodniki, nie możemy jej pić – oświadczają. – Umrzemy z odwodnienia na długo, zanim dopadnie nas głód. Musimy znaleźć świeżą słodką wodę i ją sprawdzić.

S pogląda na mnie i wiem, co przychodzi jej na myśl: r z e k a. Przypominam sobie mapę ze sterowni.

Tamten wodospad jest niedaleko stąd.

SZEŚĆ

Stajemy zagapieni. Ulicami niesie się cichy pomruk odległego wodospadu, ale żadne z nas nie zwraca na to uwagi.

Coyotl przerywa milczenie:

– To dopiero wielkie drzwi, w mordę bogów.

O brzucam go zirytowanym spojrzeniem. Czy naprawdę musi przeklinać? Niewiele pamiętam ze szkoły, ale wspomnienia Matyldy dają mi poczucie, że przeklinanie kończyło się wymierzaniem kary. Przetrzepaniem skóry paletką. Albo czymś jeszcze gorszym... jak przez mgłę przypominam sobie to słowo...
r ó z g ą.

Coyotl widzi moje spojrzenie, ale wytrzymuje je. Wyzywająco unosi brew, jakby czekając, aż go zrugam.

W szkole miałby kłopoty. Ale nie jesteśmy już w szkole. I muszę przyznać, że ma rację – to są faktycznie, w mordę bogów, wielkie drzwi.

S toimy na środku szerokiej ulicy wiodącej na wschód. Wodospad jest gdzieś po naszej lewej, na północy. Po obu stronach wznoszą się do nieba zigguraty i inne budowle. Daleko przed nami ulica kończy się ogromnym łukiem osadzonym w olbrzymim, zachwaszczonym lianami murze. Mur jest tak wysoki jak my, gdyby była nas dwudziestka i gdybyśmy stanęli jedno drugiemu na ramionach. Wzdłuż muru widać gdzieniegdzie wieże, wznoszące się jeszcze wyżej niż on sam.

W e wpuszczonym w mur łuku – metalowe wrota sięgające do połowy jego wysokości. Wyglądają, jakby uchylały się na zewnątrz. Nie ma na nich pnączy,

choć kilka lian zwisa z wznoszącego się nad bramą łuku. Może rośliny nie potrafią wczepiać się w metal równie dobrze jak w kamień.

Między skrzydłami wrót widzę skrawek czegoś żółtego. Prawe skrzydło wygląda na lekko uchylone. Przypominam sobie mapę Gastona – żółty skrawek to pewnie zarosłe pnączami ruiny leżące za murem.

Będziemy musieli niedługo zbadać tę bramę, ale najpierw mamy ważniejsze zmartwienie.

– Chodźmy – mówię. – Musimy znaleźć ten wodospad.

Skręcamy na północ. Idziemy węższą ulicą, kierując się w stronę pomruku rzeki.

* * *

Na mapie wodospad wyglądał na o wiele mniejszy.

Wznosi się nad nami, białą pianą wbijając się w czystą wodę sadzawki. Tuż nad jego krawędzią widać czerwone słońce – do zapadnięcia nocy pozostało już tylko kilka godzin. W powietrzu wisi mgiełka, lśniąca w świetle popołudnia. Kolorowe plamki śmigają przez nią to w jedną, to w drugą stronę.

W górę, po prawej stronie wodospadu, prowadzą zygzakiem schody wyciosane w ciemnym kamieniu: dziesięć schodów w prawo, ostry zakręt, dziesięć w lewo i tak dalej, aż na sam szczyt.

Brzeg sadzawki otaczają porośnięte pnączami głazy, każdy tak wielki, że sięga mi do piersi. Po ich zewnętrznej stronie biegnie krąg mniejszych kamieni. Drugi, podobny krąg – lśniący wilgocią od ochlapującej go wody – biegnie po wewnętrznej stronie głazów. Płaski taras porastają pnącza. Wszędzie wokół nas wznoszą się zigguraty i inne budynki. Może to miejsce było jakimś otwartym placem, odwiedzanym przez zapomnianych mieszkańców tego opuszczonego miasta.

Coyotl wskakuje na jedną ze skał. Szara jak popiół, łuszcząca się skorupa już prawie całkiem zeszała mu ze skóry. Jest teraz bardziej brudasem niż dzikim wojownikiem, wygląda po prostu jak umorusany chłopak o czerwonawej skórze i napiętych, grających pod skórą mięśniach. Zagląda do sadzawki, potem podnosi wysoko swoją kościomaczugę i pieje z zachwytu.

– Idę pływać!

– Nie! – krzyczę, bo muszę, żeby usłyszał mnie mimo łoskotu spadającej wody. – Nie wiemy, czy to bezpieczne!

Coyotl przewraca oczami.

– Myślisz, że skoro nami dowodzisz, to możesz wszystkimi dyrygować. Aramowski miał rację co do ciebie.

– Zamknij się – mówi Bishop. – Farrar prawie umarł od małego kęsa. Ta woda może być równie trująca.

Coyotl zerka na wodę – ta rozsądna myśl najwyraźniej nie przysłała mu do głowy. Wzdycha i siada na swojej skale.

Jestem wdzięczna Bishopowi za wsparcie, ale moje myśli skupiają się na czymś, co właśnie powiedział Coyotl. Aramowski gada coś o mnie za moimi plecami? To ja sprowadziłam nas z „Xolotla” na Omeyocan – boli mnie, że Coyotl może źle o mnie myśleć.

Spingate próbuje wspiąć się na inny głaz. Nie bardzo wie, jak się do tego zabrać. Bishop chwyta ją w tali i podsadza, jakby ważyła tyle co nic. Spingate piszczy z zaskoczenia i zachwytu, kiedy chłopak stawia ją na górze.

Jest o wiele ładniejsza ode mnie, zwłaszcza kiedy słońce rozpala blaskiem jej rude włosy. Denerwuję się przez nią tak, że aż ciarki przebiegają mi po skórze, kaskada ukłuc malutkich igiełek spływa mi po policzkach, po szyi. Ciekawe, jak ładna by była, gdybym walnęła ją teraz w zęby, rozbiła jej wargę, żeby pasowała do tej mojej, rozkwaszonej w starciu z potworami. Miałyby za swoje przez to sobkostwo – ma już Gastona, a teraz jeszcze chce

Bishopa? Czuję ucisk w klatce piersiowej, twardnieję jak skała. Już ja tej dziewczynie pokażę, zaraz jej dam, zaraz...

Wstrząsa mną dreszcz. A to wszystko skąd się nagle wzięło? Czuję, jak po całym ciele rozchodzi mi się fala wściekłości, opadająca już, ale wciąż jeszcze silna, obrzydliwa, odrażająca. Teresa Spingate to moja przyjaciółka – w życiu bym jej nie uderzyła. Na twarz znów bucha mi gorąco – to znowu wstyd, ale tym razem wstydzę się swojej zazdrości. Ucisk w klatce piersiowej mija, odpuszcza – rozluźniam się. Ten mój charakter... jest naprawdę porywczy. Muszę na niego uważać.

Czy to w ten sposób Matylda przejęła kontrolę nad Starszymi? Czy jej złość zapanowała nad nią, pozwoliła jej zapanować nad resztą?

Farrar wspina się na jeden z wielkich głazów, potem opuszcza się na wewnętrzny kamienny krąg. Wygląda teraz o wiele lepiej; ten marsz dobrze mu zrobił. Pomaga Spingate zejść na swoją stronę, chwytając ją w wąskiej talii, kładąc wielkie dłonie na jej nagiej skórze.

Czy wszyscy chcą jej dotykać?

Pozostań, Em – przecież ona nie robi nic złego.

Spingate klęka, zabiera się do badania wody.

Coyotl znowu wstaje, wręcz tryskając chęcią skoku do wody.

– Nie – mówi ostro Bishop.

Coyotl wzdycha.

– Dobra, tato. – Siada z powrotem. Spogląda na mnie. – Dobra, mam o.

Wyraźnie nie cierpi, kiedy inni mówią mu, co ma robić. To wpływ Aramowskiego czy cecha osobowości Coyotla?

Spingate wstaje, poklepując się w klatkę piersiową, jakby chciała uspokoić przyspieszone bicie serca.

– Żadnej pleśni – oświadcza z wyraźnie słyszalną ulgą. – Ale woda zawiera śladowe ilości jakiejś zgniłej materii roślinnej. Moglibyśmy pić z tej

sadzawki, gdyby nas przycisnęło, ale nie zalecałabym tego. – Wskazuje w górę, na szczyt wodospadu. – Na górze woda jest pewnie czystsza. Jeśli damy radę czerpać ją stamtąd, już nigdy nie będziemy musieli martwić się o wodę.

Z ulgą wypuszczam powietrze, pozbywając się napięcia, z którego aż do tej pory nie zdawałam sobie sprawy. To miasto jest tak rozległe, że musi istnieć jakiś system rur, które dostarczają wodę do wszystkich budynków. Jeśli ten system jeszcze działa i uda nam się znaleźć czystą wodę bliżej wahadłowca, to świetnie. Ale jeśli nie, przynajmniej mamy ten wodospad. Może będę musiała wszystkich przenieść tutaj. Moglibyśmy zamieszkać w budynkach otaczających ten plac.

Tak czy siak, będziemy musieli przeprowadzić się do kądś – nie możemy zostać w wahadłowcu na zawsze. Już i tak jest nam ciasno jak w kurniku, a jeśli otworzymy trumny z deku czwartego, może zrobić się jeszcze gorzej. W końcu wszyscy będą potrzebować własnego miejsca.

Coyotl staje na szczycie głazu, odkłada swoją kościomaczugę.

– Spingate sprawdziła wodę po swojemu. Mogę teraz ja?

Patrzę na Spingate, pytając ją wzrokiem, czy to bezpieczne. Potwierdza skinieniem głowy.

– Dawaj – odpowiadam Coyotłowi. – Ale założę się, że nie uda ci się idealny skok!

Coyotl skacze daleko; jego szczupłe ciało przecina lustro sadzawki prawie bez pluśnięcia. Pozostaje pod wodą dobre kilka sekund. Kiedy wyskakuje na powierzchnię, ze skóry spływa mu rozmoczony pył.

– Woda jest s u p e r! – krzyczy.

Rozciera ją sobie mocno na twarzy i włosach, zanurza głowę, znowu się wynurza. Już czysty, wygląda jak zupełnie kto inny. Na „Xolotlu” był to pokryty warstwą popiołu szary wojownik, walczący, by utrzymać nas przy

życiu, by nas uwolnić; na Omeyocanie to młody mężczyzna, na oko dwudziestolatek – bez jednej skazy, doskonały, niewinny.

Widzę, że Farrar pomaga Spingate wejść pomału do wody. Spin otwiera usta w szoku i śmieje się zaskoczona.

– Coyotl, kłamczuchu, ta woda jest l o d o w a t a.

Ślizga się na wilgotnych skałach, piszczy, przewraca się, łapiąc Farrara za szerokie ramiona – razem lądują z pluskiem w wodzie. Spingate wynurza się z sadzawki. Od początku miała za małą koszulę. Teraz opina ją jak druga skóra, w dodatku przezroczysta. Albo tego nie zauważa, albo się tym nie przejmuje.

Bishop podchodzi do mnie bliżej.

– Em, może też wejdziemy?

Z aschnięta krew, mazy popiołu, pyłu i ziemi pokrywają go od stóp do głów. Kawałki tej skorupy płaczą mu się nawet w jego blond lokach. Coyotl wyglądał pięknie, kiedy woda zmyła z niego cały brud – Bishop będzie jeszcze piękniejszy.

A nie tylko jemu przydałaby się kąpiel. Mnie też wciąż jeszcze pokrywa pył nieżyjących, wciąż jeszcze mam na sobie grubą warstwę brudu.

– Pewnie, chodźmy.

Wykonuje gest w moją stronę, waha się, jakby chciał wziąć mnie za rękę, ale nie wiedział, czy wypada. Mogłabym podać mu dłoń, ale nie robię tego – niezręczna chwila zawisa między nami, żadne z nas nie wie, co zrobić, aż w końcu Bishop odwraca się i biegnie truchtem w kierunku głazów. Silnym wybiciem z jednej nogi wskakuje na samą górę, tam silne wybicie z drugiej nogi posyła go nad wodę. Szybkuje w powietrzu po łuku, połączenie gracji i uwalanych ziemią mięśni. Wygląda, że wetnie się w wodę pod kątem, tak jak zrobił to Coyotl, ale w ostatniej chwili zwija się w ciasną kulę. Kiedy wpada do wody, wywołuje wielką falę, która zalewa Spingate – ta sztywnieje

z zimna, ale piszczy ze śmiechu.

P osługując się włócznią jak laską dla utrzymania równowagi, wspinam się na jeden z wysokich głazów i staję na mokrych skałach otaczających sadzawkę. Spoglądam w wodę. Już blisko brzegu robi się głęboka, ale na płyciźnie ukrywają się ostre kamienie. Czy moi przyjaciele powariowali, że wskakują tu jak gdyby nigdy nic?

Bishop wyrywa się na powierzchnię. Woda opada kaskadami po jego czystej już skórze, migocząc w promieniach słońca. Błyska mi w pamięci „Xolotl” i rozmowa z Brewerem, kiedy wpatrywałam się w tę istotę o sękatych kończynach i myślałam sobie: *Nie wiem, czym właściwie jest bóg, ale jeśli bogowie faktycznie istnieją, nie wyglądają jak to coś.*

N ie... Jeśli bogowie istnieją, wyglądają jak Bishop.

P rzykucam i łączę palce dłoni, żeby zaczerpnąć zimnej wody. Obmywam nią twarz; co za c u d o w n e uczucie. Jestem taka brudna. Czy powinnam zdjąć koszulę, pozostać bez niej jak Bishop, Coyotl i Farrar?

Na tę myśl czuję jeszcze większe zażenowanie, niż kiedy patrzę na Spingate w jej prześwitującej koszuli. Zostanę w ubraniu – nie chcę, żeby ci chłopcy oglądali moje ciało.

A w każdym razie nie w s z y s c y.

P róbuje nie gapić się na Bishopa, kiedy wstaję, szukając wzrokiem bezpiecznego miejsca, gdzie można by wskoczyć. Nagle noga ześlizguje mi się z mokrego kamienia i zanurza w wodzie. Wyrywa mi się okrzyk zaskoczenia – tracę równowagę, upuszczam włócznię i macham rękami, żeby nie upaść, ale druga noga też mi się ześlizguje i padam w wodę.

B ishop chwyta mnie, zanim zdąży zanurzyć mi się głowa.

Czuję jego ramię pod plecami, jego rękę na biodrze. Jego ciało jest w dotyku tak bardzo p e w n e, tak bardzo silne. Ma w rękach dość mocy, żeby zmiażdżyć, kogo tylko zechce, a jednak trzyma mnie tak delikatnie.

J est tak blisko. Ma tak ciepłą skórę.

O twiera usta, żeby coś powiedzieć, ale nie może, jakby zabrakło mu słów. Unosi mnie, stawia z powrotem na skale. Sam nadal stoi w wodzie. Choć raz czuję się wyzsza od niego.

Woda kapie z mojej podartej koszuli. Jej dół jest mokry – koszula przykleja mi się do ciała na żebrach, woda z niej skapuje na mój odsłonięty brzuch.

C oyotl i Farrar śmieją się, pluskają, nie zwracając uwagi na nic poza jakąś nową zabawą, którą właśnie wymyślili. Spingate za to patrzy wprost na mnie. Spotykam się z nią wzrokiem. Uśmiecha się lekko, unosząc kącik ust. Obraca się do Coyotla i Farrara.

– Chcę sprawdzić wodę w górze wodospadu – oznajmia w ich kierunku. – Nie jestem pewna, czy dam radę wejść sama tak wysoko. Pomożecie mi?

Farrar pręży szeroką pierś.

– Pewnie! Pomożemy.

C oyotl robi dziwną minę, ale potem zerka na Bishopa, który nadal trzyma mnie w ramionach. Usta Coyotla wyginają się w taki sam lekki uśmiech jak u Spingate.

– Jasne – odpowiada jej. – Chętnie się na coś przydam.

K amienne schody prowadzące na górę są szerokie i suche. Spingate nie potrzebuje żadnej pomocy. Zabiera ze sobą chłopaków, żebym mogła zostać sam na sam z Bishopem.

O n zaś nadal wpatruje się we mnie. Wygląda w tej chwili, jakby n i c poza mną nie widział.

Farrar pomaga Spingate wejść na wielki głaz. Rusza za nią, ale ona go spycha – wymachując rękami, chłopak z pluskiem ląduje z powrotem w sadzawce.

W resztkach ubrania ociekających wodą Spingate zeskakuje z głazu i biegnie na schody.

– Ostatni na górze jest paskudnym Starszym!

Coyotl i Farrar pędzą za nią ze śmiechem; podoba im się ta nowa zabawa. Doganiają ją prawie natychmiast, ale nie wyprzedzają jej – nie zależy im na wygranej, raczej na tym, żeby iść obok Spingate. Wchodzą coraz wyżej i wyżej, rozmawiając przy tym. W huku wodospadu nie słyszę, co mówią.

Bishop patrzy na moją nogę.

– Boli cię?

Wcale mnie nie boli.

– Tak – odpowiadam.

Kłęka w wodzie. Wielkimi dłońmi delikatnie ujmuję moją kostkę. Jego dotyk... coś od niego wzbiera mi w żołądku i w sercu. Przypomina mi się niedawna wściekłość na Spingate, która ogarnęła mnie całkowicie i momentalnie – podobnie pojawia się to nowe wrażenie gorąca, myśli zagubionych w zawrocie głowy, w nieprzytomnym wirze.

Bishop pochyla się, przygląda uważniej.

– Chyba nic się nie złamało – mówi. – Powinienem sprawdzić też goleń i łydkę...

Jego ręce suną łagodnie wyżej po mojej nodze. Czuję nacisk jego palców; naprawdę sprawdza, czy nic mi nie jest? Może tylko udaje, tak samo jak ja?

P odnosi na mnie te swoje śliczne ciemnożółte oczy. Jakim cudem wojownik, który warczy, walczy i zabija, ma takie ładne oczy?

W uszach słyszę tylko huk wodospadu.

Moje serce... każde uderzenie jest jak walnięcie w pierś.

Jego wargi... tak pełne...

P odnosi się z wolna, sunąc rękami wzdłuż moich bioder, potem wzdłuż żeber. Czuję się słaba... mięśnie mam jak z waty.

To chłopak, który uratował mi życie.

Rozchylam lekko usta, pochylałam się przed siebie. Zamykam oczy...

Jego usta na moich ustach. Miękkie. Ciepłe. Mój świat ogranicza się do odgłosów spadającej wody i dotyku jego ust, smaku jego oddechu.

Jego dłonie na mojej twarzy, sunące na tył mojej głowy. Jego palce w moich włosach. Moje własne ręce wysuwają się, ujmują go za policzki, przyciągają bliżej. Czuję dotyk jego języka na swoim.

Coś uderza w sadzawkę: *bum, bum*, słyszę eksplodującą wodę.

Bishop odsuwa się ode mnie, spoglądając w stronę, z której właśnie dobiegł ciężki plusk, i ustawiając się między mną a nieznanym zagrożeniem.

Farrar wyrywa się na powierzchnię, chwytając ustami powietrze – w sekundę później to samo robi Spingate. W górze słyszę okrzyk, podnoszę wzrok w porę, by zobaczyć, jak Coyotl skacze ze szczytu wodospadu. Spadając, wierzga nogami i wymachuje rękoma. Wbija się w wodę między Farrarem i Spingate, którzy płyną już w naszą stronę.

O n i s k o c z y l i ?

Bishop wybija się z miejsca, ląduje w sadzawce, płynie do Spingate. Ona sama płynie jak ryba, zostawia Farrara z tyłu. Nie potrzebuje pomocy, ale Bishop i tak do niej podpływa.

Coyotl wynurza się, oddychając ciężko, płynie co siłą w moją stronę. Jest przerażony.

Podnoszę wzrok w górę wodospadu i widzę dlaczego.

W świetle późnopołudniowego słońca na tle nieba odcina się jakaś sylwetka, kształt rozmazany w niemal oślepiającym blasku. Długie nogi rozdzielone w stawach – część wznosząca się w górę połączona z inną, opadającą w dół... Wspomnienia Matyldy wyrywają się na powierzchnię, błyska w nich prawie identyczny obraz brutalnego, przerażającego kształtu.

One nie są aż tak wielkie, nie mogą być aż tak wielkie, ale ten tutaj – jest, i to większy niż Bishop, Farrar i Coyotl razem wzięci.

T o p a j ą k .

SIEDEM

Moja ręka zanurza się błyskawicznie w wodzie, palce odnajdują włócznię. Wymierzam stalowy grot w nowego wroga.

S pingate pierwsza wydostaje się z sadzawki. Gramoli się po głazach poza moim polem widzenia. Choć jej nie widzę, to słyszę, jak krzyczy:

– W n o g i! To coś nas goni!

N ie mogę ruszyć z miejsca.

Bishop, Farrar i Coyotl wyskakują z wody. Chwytają za broń.

Z zadartą głową wpatruję się w pajaka, patykowaty kształt rozmazany w powietrzu drgającym żarem słońca. W jednej sekundzie idealnie nieruchomy, w drugiej pomyka już górą wodospadu, z każdym krokiem wywołując wysokie rozbryzgi wody.

Jest za szybki, nie damy rady mu uciec.

P ajak zatrzymuje się przy kamiennych schodach. Długie nogi sięgają niżej, macają pierwszy zakręcający stopień. Wyciągają się, macają, cofają, wyciągają, macają...

P ajak odwraca się i momentalnie znika nam z oczu.

N ie chciał zbiec po schodach. Dlaczego? Bo są dla niego za strome?

R ęce na mojej talii – Bishop zarzuca mnie sobie na ramię. W jednej chwili skacze na skały, potem w dół na pokrytą pnączami ulicę.

– Bishop, puszczaj mnie!

S tawia mnie na ziemi szybko, pewną ręką. Jest przerażony. Co prawda jest duży, ale ten zwierz, ten k o s z m a r, jest znacznie większy.

W idzę plecy Farrara, Coyotla i Spingate. Uciekają drogą, którą przyszliśmy, w kierunku wahadłowca albo może składu żywności. Ale skład jest o godzinę drogi stąd, a wahadłowiec jeszcze dalej. Jeśli to zwierzę znajdzie inne zejście z urwiska, nie zdążymy – jest o wiele za szybko. Możemy uciec tylko w jedno miejsce.

Unoszę wysoko włócznię i wrzeszczę tym głosem, którym skupiałam wokół siebie wszystkich w Ogrodzie, kiedy walczyliśmy ze Starszymi:

– Do mnie! Do mnie!

W szyscy przystają. Spingate i Farrar wracają biegiem, ufając mi bezwarunkowo. Coyotl waha się, odwraca, żeby pobiec dalej, przystaje, burczy coś pod nosem, po czym zawraca za Spingate i Farrarem.

Bishop chwytą mnie za ramię. Wcześniej jego dotyk był czuły; teraz zapomina o własnej sile i sprawia mi ból.

– Em, co ty wyprawiasz? Nie widziałś tego stwora? Musimy uciekać!

W yrywam gwałtownie ramię, strącając jego dłoń.

P ozostali dobiegają do nas. Są na skraju paniki. Ten kształt, sposób, w jaki się porusza – wszystko to przeraża nas w stopniu, któremu nie da się zaprzeczyć.

P atrzę wszystkim po kolei w oczy, kiedy mówię:

– Ruszamy do tamtej bramy.

C oyotl kręci głową.

– Trzeba było uciekać – mówi. Pokazuje swoją kościomaczugą bezładnie w lewo, w prawo, we wszystkie strony. – Teraz będziemy się musieli schować w którymś z tych budynków.

– Spingate zajęło całe wieki, zanim otworzyła skład żywności – protestuję. – Jeśli to coś się tu zjawi, nie możemy dać się zaskoczyć na otwartym terenie. Brama jest blisko. Skoro pajak nie może zejść po kamiennych schodach, nie da rady wspiąć się na mur. Kiedy zamkniemy bramę za sobą, będziemy

bezpieczni.

Farrar przyciska do piersi swoją łopatę.

– Wrota mogły się zaciąć – mówi. – A jeśli się nie zamkną?

Nie mam pojęcia, czy w ogóle drgną, ale nie zamierzam tracić ani chwili na bezcelowe rozważania.

– To nasza największa szansa – mówię. – Ruchy!

Biegniemy na południe porośniętą pnąciami ulicą w stronę większej alei prowadzącej z zachodu na wschód. Spingate potyka się, ale odzyskuje równowagę, biegnie twardo przy moim boku. Ależ jest p o w o l n a.

Bishop trzyma się blisko mnie. Biegnę ile sił w nogach, tymczasem on wygląda, jakby truchtał. Farrar i Coyotl mogliby z łatwością pobiec naprzód, wyprzedzając nas wszystkich, ale zamiast tego zostają o kilka kroków za nami, chroniąc nasze tyły.

Docieramy do skrzyżowania. Skracamy w lewo – nie do wahadłowca ani do składu żywności, tylko w przeciwną stronę – i widzimy mającą daleko, na końcu ulicy, bramę. Wysokie wrota osadzone w jeszcze wyższym łukowatym przejściu.

Bishop pędzi w ich kierunku, jego czerwona siekiera połyskuje.

Gnamy za nim, wkładając w to wszystkie siły. Płuca mnie palą, w żołądku coś mnie ściska. Spingate znów się potyka. Jest już wyczerpana. Trzymając włócznię w jednej ręce, drugą wsuwam pod ramię Spingate, podtrzymuję ją. Nie wolno jej przestać biec, muszę o to zadbać. Dostaje zastrzyk świeżej energii, kiedy słyszymy, jak Farrar woła zza naszych pleców:

– G o n i nas!

Nie oglądam się. Te wrota są naszą szansą na przeżycie, są samym życiem. Biegnę, spodziewając się, że lada chwila ten pająkowaty stwór podetnie mnie od tyłu, a jego zastrzone nogi wbiją mi się w plecy i wyjdą na wylot przez klatkę piersiową.

Brama majaczy coraz bliżej.

Bishop jest już na miejscu. Wychyla się do połowy przez prawe skrzydło wrót, lekko otwarte, prowadzące do tego, co leży za nimi, cokolwiek to jest. Mur ciągnie się po obu stronach – wysoki, nie do pokonania. Bishop rozpaczliwie macha do nas, żebyśmy biegli szybciej.

Razem ze Spingate docieram do wrót: płaszczyzn metalu grubych na długość mojego przedramienia. Wbiegamy w otwarte przejście. Coyotl i Farrar są tuż za nami. Upuszczają broń i razem z Bishopem rzucają się na skrzydło bramy.

S toję i próbuję złapać oddech, podczas gdy trzech chłopcy atakują metalową płytę, która jest cztery razy wyższa od nich. Ramiona drżą im z wysiłku, nogi dygoczą, stopami zapierają się o pnącza, które pod ich ciężarem ślizgają się i obsuwają.

O prócz stęknąć chłopców słyszę słaby zgrzyt – wrota zamykają się, tyle że zbyt wolno. Pod ich dolną krawędzią pęcznieją długie liany, których grube łodygi blokują się między skrzydłem bramy i płaskimi kamieniami ulicy.

Przebiegam z powrotem na wewnętrzną stronę. Atakuję niesforne liany grotem włóczni. Spingate dołącza do mnie, zaczyna przecinać rośliny ostrą łopatą Farrara. Z lian bryzga i pryska wokół niebieski sok. Wszędzie czujemy zapach mięty. Tniemy, kopujemy, zwalniamy miejsce.

N owy odgłos – jakiś obrzydliwy ś w i s t.

W idzę go: biegnie ulicą w naszą stronę, jest jeszcze daleko. Po skórze przebiegają mi ciarki. Jest ciemnożółty, z cienkimi pręgami zieleni i brązu. Nogi o trzech stawach ruszają się tak szybko, że aż się zamazują, w rytm ich kroków wysoko w powietrze wlatują kawałki rozdzieranych pnączy. Echo niesie jego pożądlivy świst wzdłuż ulic, odbija się nim od ścian zigguratów. Pająk biegnie chybotliwie, niepewnymi szarpnięciami – może kuleje na którąś nogę.

Jeśli nas dopadnie, rozniesie nas na strzępy.

C hwytam Spingate, wpycham ją w powoli zamykający się otwór wrót, potem sama wpadam w zwężające się przejście. Staję obok Coyotla, z całej siły napieram na skrzydło. Spingate robi to samo.

Olbrzymie zawiasy piszczą i wyją, zdają się walczyć z naszymi desperackimi wysiłkami, ale palcami stóp zapieram się o śliskie od roślinnego soku kamienie i czuję, że metalowa płyta się przesuwa. Wrota zgrzytają coraz głośniej, ale coraz głośniejszy jest też świst pająka.

N aprężone ramiona Bishopa drżą z wysiłku. Pot występuje mu na skórę. Głos chłopaka to rozkazujący ryk:

– I l e s i ł w r ę k a c h ! W mordę bogów, p c h a ć !

Coyotl i Farrar stękają z wysiłku. Spingate wydaje krzyk, w którym łączą się lęk, złość i rozczarowanie.

S krzydło bramy porusza się szybciej.

S łyszę, jak twarde nogi pająka stukają po ulicznych kamieniach ukrytych pod pnączami; to ostry, gwałtowny werbel nadciągającej śmierci.

Z awiasy wydają z siebie ostatni, pełen udręki pisk – wrota zatrząskują się z donośnym, dźwięcznym szczękiem, który jeszcze przez chwilę rozbrzmiewa echem wokół.

W szyscy osuwamy się wyczerpani, nawet Bishop. Jeśli pająk da radę pokonać te wrota, nie mamy siły, żeby uciekać, nie mówiąc nawet o walce.

Ś wiszczący odgłos milknie.

R ęce trzymam nadal przyciśnięte do bramy. Słyszę i czuję dochodzące z drugiej strony skrobanie twardo opancerzonych nóg, które drapią w gruby metal, szukając prześwitu, sposobu na dopadnięcie nas.

S krobanie ustaje.

Z nowu ten świst. Słaby... zanikający...

P otem cisza.

Czy pająk sobie poszedł? Czy też trwa po drugiej stronie w bezruchu, czyhając na nas?

– Odpocznijmy tu chwilę – mówię, jakby było nas stać na cokolwiek innego.

Farrar pada na ziemię. Coyotl osuwa się do pozycji siedzącej, plecami do wrót. Bishop opiera ręce na kolanach, brzuch unosi mu się i opada, gdy próbuje opanować urywany oddech. Spingate wygląda na najmniej zdyszana; ujmuje się pod boki, usta ma ściągnięte.

– Spin, co się tam zdarzyło?

Dziewczyna splata dłonie na głowie.

– U góry... dżungla po obu stronach rzeki – odpowiada, wyciskając z siebie słowa między głębokimi wdechami. – Drzewa... prawdziwe drzewa, a nie tylko pnącza. Coyotl tam wszedł... żeby się rozejrzeć. Ja sprawdzałam wodę. Wybiegł stamtąd... krzychał, żeby skakać. Zobaczyłam, co go ściga... prawie nas dopadło. Ale... to nie był pająk.

– Co ty wygadujesz? Każdy z nas go widział.

Spingate zamyka oczy, dygocze.

– Pięć nóg... nie osiem.

Jej poprawka mnie złości. Czy to ważne, ile on ma nóg?

Bishop prostuje się. Cały lśni od potu.

– Więc was zaatakował?

Na widok stojącego Bishopa Coyotl gramoli się z ziemi.

– Zaczął nas gonić. Może powinienem był z nim walczyć... Nie bałem się, ale tam była Spingate i... no, w każdym razie na pewno się nie bałem.

Farrar, nadal leżąc na wznak, unosi rękę.

– Ja się bałem. Dobrze, że wskoczyliśmy do sadzawki, bo jak to coś zobaczyłem, chyba popuściłem w spodnie.

Coyotl obrzuca go gniewnym spojrzeniem.

Bishop odpowiada skinieniem głowy.

– Ja też się wystraszyłem.

P o tym wyznaniu Coyotl wyraźnie się rozluźnia. Skoro nawet Bishop się boi, to ucieczka przed pajakiem nie mogła być niczym złym.

R az jeszcze zapieram się ramieniem w wrota, pcham odrobinę, żeby się upewnić, czy na pewno są zamknięte. Są. U stóp widzę papkę z pnączy, kamienie wysmarowane w niebieskie łukowate linie w miejscach, w których zarysowało je skrzydło bramy.

Nie ma szans, żebym odprężyła się choćby odrobinę, ale przy zamkniętej bramie mam chwilę, żeby zebrać myśli.

O dwracam się i opieram plecami o metal. Podnoszę wzrok: d r z e w a, więcej, niż byłabym w stanie zliczyć.

Przed nami widnieje gęsta dżungla, która wyrasta wokół, spomiędzy i wręcz ze środka poczerniałych, nadpalonych, kruszejących i porośniętych lianami budynków o sześciu ścianach. Drzewa wyrastają także z olbrzymich dziur w ziemi, pokrytych również inną roślinnością. Widać długie, otwarte przestrzenie, które może kiedyś były drogami, ale trudno się zorientować na pewno z powodu dziur, drzew i bezkresnych połączeń żółtych pnączy, porastających wszystko dookoła.

K iedy wylądowaliśmy, myślałam, że rozciągające się wokół miasto to nadszarpnięte zębem czasu ruiny. To, co widzę teraz, przekonuje mnie, że się myliłam. Miasto, w którym wylądowaliśmy, nie jest zrujnowane, jest jedynie opustoszałe i porośnięte roślinnością; jego czworoboczne budynki w większości nadal stoją.

T o, na co patrzę teraz, to zupełnie inna historia.

T e sześcioboczne budynki nie zostały porzucone.

Zostały z n i s z c z o n e.

CZĘŚĆ II

MURY I DZIWY

OSIEM

I dziemy przez dżunglę.

K rzywizna muru biegnie po naszej prawej, wysoka, niezmienna, pokryta warstwami grubych pnączy. Idąc wzdłuż niej, poruszamy się przede wszystkim na południe i trochę na wschód. Liczymy na to, że wkrótce natrafimy na inną bramę, ale nie mamy pewności, że tak się stanie ani czy jeśli nam się to uda, brama będzie otwarta. Bardzo się martwię – zjedliśmy tę odrobinę prowiantu, który zabraliśmy z sobą, i skończyła nam się już woda.

T rzymając się muru, który biegnie po prawej, po lewej ręce mamy gęstą dżunglę. Wysokie drzewa o ciemnożółtych liściach, zielonych lub brązowych pniach. Tu też jest pełno pnączy, które zwisają z gałęzi jak liany lub porastają zavalone budynki. Plamaki – niektóre równie duże jak ja – śmigają między drzewami lub wlatują na pełnej prędkości w ich korony, gdzie znikają mi z oczu.

Upał jest tutaj gorszy niż był w mieście. Jest strasznie wilgotno. Mam wrażenie, że co drugi krok wdeptujemy w błoto, w którym kryją się stare połamane patyki i jakaś brązowa roślina o ostrych cierniach. Za każdym razem po nadeptaniu na nią musimy przystawać i ostrożnie wyciągać kolce z podeszew stóp. Spowalnia to nasz marsz i powoduje, że od nowa budzi się we mnie nienawiść do Starszych – poubierali nas jak lalki, a nie mogli dać nam butów?

S łońce zachodzi po drugiej stronie miasta. Mur rzuca na nas coraz dłuższy cień. Nie chcę być na zewnątrz, kiedy zapadnie noc, ale najwyraźniej nie uda

nam się tego uniknąć. Z głębi dżungli docierają do nas odgłosy zwierząt, okrzyki i wycia stworzeń, które pewnie budzą się z całodziennego snu, by zacząć polowanie, gdy zapadnie całkowita ciemność.

Tak wiele pytań. Te sześcioboczne budynki, poorane i wypatroszone, pochłonięte przez nieustępliwą dżunglę – jak daleko sięgają? Czy ten masywny mur otacza całe miasto zigguratów?

Spingate gestem dłoni ogarnia ruiny rozciągające się po lewej.

– Może wszystko to spalił jakiś wielki pożar – zastanawia się na głos. – A może był to rój meteorów, skał uderzających z taką siłą, że wybiły kratery i spowodowały eksplozje, które z kolei wywołały pożary.

Bishop śmieje się z jej słów.

– Spingate, żartujesz sobie?

– W żadnym wypadku – odpowiada oburzona, że Bishop jej nie dowierza. – Skały mogą lecieć przez kosmos z wielką prędkością, częściowo spalać się w momencie uderzenia w atmosferę, a potem...

Bishop unosi w górę pięść, co znaczy, że mamy się zatrzymać. Tak też robimy. Bishop obraca się twarzą do Spingate.

– Naprawdę nie wiesz, co spowodowało wszystkie te zniszczenia?

Spingate chyba czuje się atakowana.

– Nie. A ty wiesz?

Bishop potakuje skinieniem głowy.

– Wojna.

Jedno słowo. Takie proste. I, sądząc z widoku otaczającego nas spustoszenia, takie straszliwe.

Ruszymy dalej. Teraz wydaje się to oczywiste – jak mogłam myśleć, że tyle zniszczeń spowodowało cokolwiek innego niż wojna? Zagłada, zabijanie... tak samo jak na „Xolotlu”, ale na skalę, którą trudno pojąć. Ilu ludzi zginęło? Tysiące? Miliony?

Po jednej stronie tego muru leżą niekończące się ruiny i ślady masakry. Po drugiej – w zasadzie nietknięte budynki, uszkodzone tylko przez roślinność, czas i zaniedbanie. Nie trzeba być geniuszem pokroju Spingate czy Gastona, żeby się domyślić, co zaszło. Tacy jak ja zniszczyli jakieś miasto, żeby mogli w tym samym miejscu wybudować własne. Nawet na tej planecie nie możemy uciec przed zabójczym dotykiem Starszych.

Bishop znów unosi pięść. Zatrzymujemy się.

Przykuca, wpatrując się gdzieś w ciemniejące ruiny.

– Em, chodź tu – szepcze.

Kucam obok niego. Wskazuje na jeden ze zniszczonych budynków. Trzy z jego sześciu porośniętych pnączami ścian uległy zawaleniu. Nie ma też dachu, więc nic nie przeszkadza młodym drzewkom wyrastać ze środka.

Bishop nachyla mi się do ucha.

– Widzisz to?

Patrzę, ale nie widzę nic niepokojącego.

– To zawalony budynek. Minęliśmy ich już setki.

Z wężają mu się oczy, jakby w wyrazie rozczarowania. Serce mi się ściska – trudno mi znieść, że będzie źle o mnie myśleć.

– Nie sam budynek – mówi. – Popatrz tuż nad nim.

Tęraz widzę: na tle ledwo jasnego nieba z jakiegoś miejsca za budynkiem wznosi się cienka smużka dymu.

– Ognisko – mówi Bishop. – Ktoś tam jest.

Ludzie. Ludzie inni niż my. Nie jesteśmy tu jednak sami.

Bishop patrzy na mnie. Znów jesteśmy dość blisko siebie, by się pocałować, ale nie pora teraz na to.

– Pojdę na zwiad – oświadcza. – Zobaczę, co tam jest.

– Nie, to zbyt niebezpieczne. A jeśli to jeszcze jeden pająk?

Rozważa to przez chwilę, ale potem kręci głową.

– Pająk nie próbował otworzyć bramy. Ma dużo większą masę niż my wszyscy naraz. Wystarczyło, żeby tylko popchnął skrzydło, ale nawet nie spróbował. Jeśli nie jest dość bystry, żeby otworzyć bramę, to tym bardziej nie umiałby rozpalić ogniska.

Ma rację. To tylko zwierzę – zwierzę, które nas zaatakowało.

– Pająk pozostał za murem, wewnątrz miasta, gdzie jest też reszta naszych – zauważam. – Musimy jak najszybciej wrócić na wahadłowiec. Poza tym jest już prawie ciemno. W dżungli może być więcej pajaków.

Bishop myśli nad tym, przygryzając dolną wargę. Kiedyś po prostu d z i a ł a ł. Teraz najpierw m y ś l i. To zdecydowanie postęp.

– Ognisko oznacza, że ktoś tam żyje – stwierdza. – Czy to nie znaczy, że musi jeść coś niezatrutego przez pleśń?

Z a moimi plecami Spingate kaszle z wyraźnym zaskoczeniem.

– On ma rację – mówi. – To znaczy, może ten ktoś wykształcił w sobie odporność na toksynę, ale wszystko jedno, jak ją pokonał – musimy się dowiedzieć.

A rgument Bishopa był trafny. Cała nasza wyprawa miała przecież na celu szukanie jedzenia.

– Dobra – mówię. – Sprawdźmy to.

Bishop uśmiecha się, zaczyna się podnosić.

– Powiedziałam: „sprawdzimy”, Bishop, my wszyscy. Sam nie pójdziesz.

Tego się nie spodziewał.

– Wobec tego wezmę Farrara.

Dotykam grzbietu jego dłoni.

– Nie, pójdziemy wszyscy razem. Wcześniej też nie powinniśmy się byli rozdzielić.

P o chwili wahania odsuwa dłoń, opuszczając wzrok.

W spólnie, on i ja, podjęliśmy decyzję, by zostawić Bello, ale czy

nauczyliśmy się czegoś na tym błędzie? Nie. Przy wodospadzie pozwoliliśmy, żeby Spingate, Farrar i Coyotl poszli sobie gdzieś bez nas, żebyśmy mogli pobyć przez chwilę we dwoje. Pająk mógł im zrobić krzywdę i to byłaby nasza wina.

Bishop odwraca głowę, mówi szeptem, ale na tyle głośnym, żeby wszyscy go usłyszeli:

– Farrar, zostań po mojej prawej. Coyotl, ty po lewej. Em i Spingate, trzymajcie się za nami, ale nie za blisko, żebyście zdążyły uciec, jeśli coś nas zaatakuje.

J esteśmy nowi na tej planecie, w tym mieście, ale wygląda na to, że mamy tu sąsiadów. Za chwilę się dowiemy, czy to nasi przyjaciele... czy wrogowie.

Bishop w milczeniu prowadzi nas w zarośnięte przez dżunglę ruiny.

DZIEWIĘĆ

Znajdujemy ognisko. Ktokolwiek je rozpałił, zdążył zniknąć. Żarzące się jeszcze węgle wypuszczają macki dymu w ciemniejące niebo. Ktoś wykopał dół i rozpałił w nim ognisko w środku sześciobocznej ruiny. Choć nie ma tu dachu i jedna ze ścian się zawaliła, ci, którzy rozpałili ten ogień, mieli ochronę z pozostałych pięciu stron. Może piekli chleb – czuję słaby zapach przypalonych tostów.

Słońce chowa się do reszty za murem miasta. Niebo na zachodzie rozpała się płynną czerwienią. Cienie w dżungli gęstnieją. Podnoszą się nowe, dziwne odgłosy – zwierzęce wrzaski, rozbrzmiewające echem pohukiwania, dzikie ryki, całkowicie obce wszelkim dźwiękom kryjącym się w pamięci Matyldy.

Bishop, Farrar i Coyotl bezszelestnie skradają się przez ruiny z bronią w pogotowiu. Bishop przykłęka przy dole z resztkami ogniska. Szturcha węgle, głównie te już czarne, uważając, by nie dotykać tych, które jeszcze lekko lśnią słabymi pomarańczowymi liniami. Ze skraju dołu, w którym płonął ogień, wyjmuję kawałek spalonego do połowy drewna wielkości pięści. RzUCA go Coyotłowi, potem drugi podaje Farrarowi, w końcu wyciąga trzeci dla siebie.

Chłopaki odkładają broń. Nacierają sobie węglem drzewnym ręce, nogi, twarze. Farrar łopata odcina kilka długich lian, którymi chłopcy owijają sobie ciało, okręcając je na ramionach, przez pierś, w pasie, wiążąc je tu i tam. Wreszcie kółko-gwiazdy podnoszą z ziemi trochę błota i wcierają je sobie we włosy.

W jednej chwili przemieniają się nie do poznania. Przez kilka godzin znowu

byli trójką chłopców – czystych i pięknych. Teraz są częścią dżungli.

C oyotl podchodzi do wewnętrznych ścian budynku, sprawdza je ostrożnie, trzymając przed sobą swoją kościomaczugę. Farrar idzie sprawdzić ściany od zewnątrz.

Bishop zostaje przy dole po ognisku, machinalnie wystukując palcami jakiś rytm na obuchu siekiery.

Klękam obok niego.

– Czy mogli słyszeć, że nadchodzimy?

– Nie, byliśmy bardzo cicho. Nawet ty i Spingate.

B rzmi, jakby go to zaskoczyło. Traktuję to jako komplement.

J estem jednocześnie pełna strachu i radosnego podniecenia. Pewnie mineliśmy się z tymi, którzy rozpalili ognisko, tylko o włos. Mogą być w pobliżu. Może jeszcze wrócą.

S pingate dołącza do nas. Gmera w ziemi obok dołu po ogniu, chwytając w palce coś małego i czarnego – to kość.

– Jest tu jeszcze trochę mięsa – zauważa. – To zwierzę zostało upieczone.

M acha swoim karwaszem nad ułamkiem kości. Czekam, aż klejnoty załsniają pomarańczowym ostrzeżeniem, ale tak się nie dzieje. Zamiast tego migoczą mieszaniną niebieskości, zieleni, fioletołów.

S pingate się uśmiecha.

– Jadalne – mówi. – Nie ma śladów toksyny z czerwonej pleśni.

C ałe to jedzenie w składzie żywności... jeśli wystarczy je upiec albo ugotować, nic nam nie będzie.

– Czy ogień ją wypalił?

– To tak nie działa – tłumaczy Spingate. – Ogień zabija pleśń, ale nie neutralizuje toksyny, którą pleśń wydziela.

N iech to szlag.

Spingate obraca kość, patrzy na nią z trochę innej strony.

– Może pleśń nie porasta żywych zwierząt – mówi. – A może to konkretne zwierzę było na nią odporne. Żeby się przekonać, musimy jedno takie schwycić.

Nie zna jeszcze wszystkich odpowiedzi, ale przynajmniej świta nam nadzieja. Trzeba tylko znaleźć ludzi, którzy rozpalili to ognisko, zaprzyjaźnić się z nimi, jeśli się da, i poznać ich sekrety.

– Em, Bishop – woła nas cicho Farrar. – Chodźcie coś zobaczyć.

Dochodzimy do niego pod zawaloną ścianą. Farrar końcem łopaty stuka w rumowisko.

– Te pokruszone krawędzie są czyste – mówi. – Nie ma na nich mchu ani piachu. Coś tę ścianę zburzyło, i to niedawno.

W zamierającym świetle moją uwagę zwraca ślad na ziemi tuż za zawaloną ścianą. Plama czerni. Podchodzę do niej, starając się nie potknąć o rozrzucone wokół gruzy. Plama okazuje się równą dziurą, jakby po czymś długim i zaostrozonym, co wbiło się tutaj w grunt.

Długim i zaostrozonym... jak nogi tego stwora, przed którym uciekliśmy z miasta.

– Myślę, że to pająk rozwalił tę ścianę – mówię. – Może chciał się dostać do ludzi, którzy byli w środku.

Czy to dlatego porzucili ognisko? Kimkolwiek ci rozpalacze ognia są, mam nadzieję, że udało im się uciec.

Nagle do wszystkich nas dociera, że niebezpieczeństwo może czyhać bardzo blisko. Strzelamy wzrokiem w każdy rosnący cień, w każdą ciemniejszą plamę w skłębionej żółto-zielono-brązowej masie.

Te kolory... pancerz pająka pasował do nich. I t o i d e a l n i e.

Zerkam na Bishopa, Farrara, Coyotla. Na ślady od węgla, na liany i błoto... na ich kamuflaż, który pozwala im wtopić się w dżunglę.

– Musimy się stąd wynosić – mówię.

Bishop potakuje skinieniem głowy, równocześnie obracając wysmarowaną błotem twarz to w jedną, to w drugą stronę i błyskając białkami rozszerzonych, strzelających wokół oczu.

– Jazda z powrotem pod mur miasta – mówi. – Tylko p o c i c h u.

* * *

Z apada zmrok. Dopiero po raz drugi w swoim krótkim życiu widzę gwiazdy.

I dziemy wzdłuż muru miasta najciszej, jak potrafimy. Nie włączamy latarek z obawy, że mogą ściągnąć na nas uwagę nocnych zwierząt, których wrzaski słyszymy, albo potwornego pająka.

Prowadzi Bishop; Farrar i Coyotl trzymają się o kilka kroków za nami. Nie mogę się powstrzymać – podnoszę wzrok w górę, próbuję przebić nim gęstą koronę drzew. Widzę niezliczone iskiereki jasnego światła, które przypominają migoczące klejnoty, niemożliwie odległe i nieskończenie piękne. Nad nami są też dwa duże kręgi: jeden niebieskawy, drugi rdzawoczerwony. Spingate mówi, że te kręgi to księżycy – małe ciała niebieskie krążące wokół Omeyocana. Moim zdaniem brzmi to niewiarygodnie, ale skoro Spingate tak twierdzi, wierzę jej.

P o prawej mur miasta, po lewej ciemne ruiny i mroczna dżungla. Pająk może czaić się wszędzie. W nocy byłby prawie niewidoczny na tle drzew, nawet gdyby czyhał o kilka kroków od nas. Ale był jeszcze ten świst – trzeba liczyć na to, że jeśli za nami ruszy, usłyszymy go, zanim nas zobaczy. Wtedy może uda nam się ukryć.

Spingate twierdzi, że pająk nie może być sam, że musi być ich dość dużo, by zapewnić im „rozrodczość populacji”. Czasami żałuję, że jest taką mądralą. Pewnych rzeczy byłoby lepiej nie wiedzieć.

Bishop unosi pięść. Natychmiast stajemy. Przygląda się czemuś pod

nogami. Nie, murowi przy swoich nogach. Przywołuje nas machnięciem ręki.

P rzyklęka, wskazuje na podstawę muru i podnosi na mnie wzrok. W jego szeroko otwartych oczach lśni światło księżyców.

Przyglądam się, ale znowu, jak poprzednio, nic nie widzę.

W yciąga rękę i rozgarnia pnącza na boki.

W murze jest dziura.

P adam na kolana i zaglądam do niej. Jest nierówna, o ostrych brzegach. Mury miasta są grube, tak grube jak dwóch Bishopów leżących jeden za drugim, ale na drugim końcu dziury widzę oświetloną księżycami podstawę jednego z zigguratów.

T a dziura przechodzi przez mur na wylot.

K toś musiał robić ją bardzo długo, krusząc ścianę kawałek po kawałku. Dziura jest w ą s k a – ja mogłabym zmieścić się w niej z łatwością, ale jestem dużo mniejsza od pozostałych.

Z nów ten zapach... przypalonych tostów. W jednej chwili go czuć, w następnej znika.

Podnoszę wzrok na Bishopa.

– Dasz radę się tu zmieścić?

Wzrusza ramionami.

– Wiem, że t y tak.

N ie podoba mi się to. Czy on sobie myśli, że go tu zostawię?

– Nawet jeśli uda nam się przedostać do środka – mówię – pewnie już dawno minęliśmy skraj tej mapy, którą pokazywał nam Gaston. Nadal będziemy zagubieni.

S pingate klęka obok nas. Stuka palcem w czarny klejnot tkwiący w jej uchu.

– To mi pomoże sprowadzić nas z powrotem – mówi. – Teraz jest poza zasięgiem, ale jeśli przejdziemy na wewnętrzną stronę muru i ruszymy dalej na zachód, to pewnie wkrótce uda mi się skontaktować z Gastonem. Wtedy będzie

mógł skierować nas w swoją stronę.

Bishop wskazuje dziurę przechyleniem głowy.

– Coyotl, przejdź na drugą stronę, upewnij się, że jest bezpiecznie.

Coyotl jest umięśniony, to prawda, ale kończyny ma długie i szczupłe. W porównaniu z Farrarem i Bishopem jest wręcz chudy. Wpełza do dziury, popychając przed sobą swoją kościomaczugę i czarną torbę.

Bishop patrzy na mnie.

– Teraz ty, potem Spingate, potem Farrar.

– A potem ty?

S pogląda na dziurę. Znów wzrusza ramionami. Nie wierzy, że się w niej zmieści.

– Więc szukajmy dalej jakiegoś innego przejścia – mówię. – Przed nami musi być jakaś inna brama.

Bishop kręci głową.

– Tego nie wiemy. Nawet jeśli brama jest, może być zamknięta, zaryglowana. Musisz wrócić na wahadłowiec. Wszyscy cię potrzebują.

Dochodzi nas głos Coyotla, dziwnie brzmiący z ciasnego tunelu:

– Z tej strony czysto. Przechodźcie.

Spingate wpełza do otworu, nie czekając na pozwolenie.

– Bishop, musisz spróbować – mówię. – Nie wolno nam się rozdzielać, pamiętasz?

– Farrar, ruszaj – rzuca Bishop w odpowiedzi.

Farrar ciska swoją torbę i łopatę do tunelu. Nie jest aż tak wielki jak Bishop, ale jest masywniejszy niż Coyotl – wczołguje się ostrożnie, popychając przed sobą łopatę. Jego pokryte grubą warstwą kamuflażu ciało trze o porowatą powierzchnię kamieni, zostawiając na niej drobne, ciemne smugi. Jeśli Farrarowi idzie tak ciężko, Bishopowi będzie jeszcze trudniej.

Bishop wskazuje gestem dziurę.

– Twoja kolej, Em.

– A ty pójdziesz za mną?

Rozchylają mu się nozdrza. Mruga gwałtownie.

– Tak, pójdę za tobą.

Kłamie. Kłamie mi w oczy po raz pierwszy w życiu. Fatalnie mu to idzie.

– Najpierw ty – odpowiadam.

Bishop rozgląda się po dżungli, szukając zagrożenia.

– Nie czas na zabawy. Wracaj na wahadłowiec.

Słyszę, że w ciemności pośród drzew coś szeleści. Coś dużejgo.

Bishop chwytamnie za ramię.

– Em, ruszaj do tego tunelu, i to już.

A ni drgnę.

– Najpierw ty.

Głośny trzask, szelest liści i gałęzi. Widzę, jak przewraca się jakieś młode drzewko, na jego wirujących liściach grają refleksy księżycowego światła. Jeszcze nie zdążyło zwalić się na ziemię, kiedy gramoli się przez nie jakiś niewyraźny cień.

To pająk, nie traci czasu – dotrze do nas za minutę, może mniej.

Bishop potrząsa mną tak mocno, że zęby mi dzwonią.

– Pakuj się do tego tunelu, w mordę bogów!

Znowu sprawia mi ból. Nie docenia własnej siły, ale ja doceniam swoją.

Wymierzam mu policzek tak silny, że aż dłoń zaczyna mnie szczypać.

Bishop gapi się na mnie w szoku.

– To ja jestem przywódcą – mówię. – Jazda do tego tunelu, to rozkaz!

Mruga, ogląda się na dżunglę. Pająk się zbliża, ruchoma plama cienia mknie po gruzach i zwalonych ścianach, zbiega po oddalonych zboczach kraterów i wbiega na kolejne, po drodze przewracając co cieńsze drzewka.

Bishop wrzuca swoją siekierę do tunelu z taką siłą, że ta pewnie przelatuje

na wylot przez całą jego długość. Pakuje się do dziury i klinuje prawie natychmiast, jego szerokie ramiona blokują się na nierównej powierzchni.

Oglądam się na nadciągającego potwora. Jest za ciemno, bym widziała go wyraźnie, ale Spingate miała rację – pięć patykowatych nóg. Przychodzi mi do głowy jedno ze wspomnień Matyldy: *pięć nóg jak u rozgwiadzy*.

Robi mi się zimno. Strach znika. Jeśli mam umrzeć, to trudno, ale do ostatniego tchnienia będę się starać, żeby Bishop przeżył.

Przyklękam.

– Bishop, wolniej. Oddychaj. Najpierw prawa ręka, wyciągnij ją najdalej, jak możesz.

Nadal się rzuca. W jego wielkim ciele kryje się tak wiele siły, ale w tej chwili ten rozmiar działa na jego niekorzyść.

Kładę mu dłoń na plecach. W reakcji na mój dotyk jego ciało uspokaja się.

– Posłuchaj mnie – mówię. – Najpierw prawa ręka.

Wycofuje lewe ramię w moją stronę, równocześnie sięgając prawą ręką daleko przed siebie. Czuję, jak napręża mięśnie, widzę, jak ugina kolana, zapiera się w ziemię palcami u nóg: jego barki wślizgują się do tunelu.

– O to chodzi. Ramiona pod kątem, odpychaj się palcami u nóg.

Wsuwa się głębiej. Teraz widoczne są już tylko jego kostki i stopy.

Podnoszę wzrok i moja zimna krew eksploduje żarem grozy – pająk jest o dziesięć kroków ode mnie, pełznący koszmar ledwo widoczny w ciemności, nadciągający, żeby rozerwać mnie na strzępy.

Szybko, ale ostrożnie wsuwam swoją włócznię obok Bishopa, po czym nurkuję za nim do dziury tak szybko, że walę czołem o brzeg tunelu. Dzwoni mi w uszach, ale czołgam się przed siebie, aż wciskam się twarzą w brudne stopy Bishopa.

Blokuje mi drogę – moje nogi są nadal na zewnątrz.

Przycisnęła piersią do wilgotnej ziemi, czuję jej drżenie pod ciężkimi

krokami pająka. Powinien mnie juź dopaść...

– Bishop, ruchy ruchy ruchy!

W łydce wybuchą mi ból.

M oje ciało reaguje odruchowo: zwijam się w kłębek, podciągając nogi byle dalej od wejścia do tunelu. Łapię włócznie – jest za długa, żeby obrócić ją grotem do tyłu, więc walę jej drzewcem wstecz i czuję, że trafia w coś twardego.

Bishop pełźnie do przodu powoli, ale nieprzerwanie.

M oja noga płonie.

A jeśli pająk wśliźnie się tu za mną?

O kręcąm się lekko, o tyle tylko, żeby spojrzeć ku wlotowi tunelu. Otwór blokuje czarna plama – stwór jest za duży, żeby zmieścić się w środku.

Moja noga w y j e z bólu. Czy jad pająka juź się w niej rozchodzi?

N agle dziwna myśl: *Dlaczego nie słyszałam jego świstu?*

O bracam się znów przed siebie, pełzną dalej. Najpierw ktoś wyciąga moją włócznie, potem czyjeś silne ręce chwytają mnie w nadgarstkach i wydostają na wolność.

Wszyscy tłoczą się wokół mnie. Twarz Bishopa to wykrzywiona lękiem i troską maska.

– Nic ci nie jest?

P atrzę na moją nogę. W księżycowym świetle lśni spływająca mi po łydce wilgoć.

– Ukąsił mnie – mówię. – Dlaczego wszystko mnie zawsze kąsa?

Moja łydka traci ostrość. Światło księżyców przygasa.

Czerń ściąga mnie na ziemię.

DZIESIĘĆ

Wmózgu słyszę jakieś buczenie. Czy osuwam się w sen, czy z niego wynurzam? Ktoś niesie mnie w silnych ramionach. Moja głowa spoczywa na czyjejś ciepłej klatce piersiowej. Choć raz czuję się autentycznie bezpieczna.

O czy mi się otwierają. Wysoko nade mną – czerń i jasne gwiazdy. Niesie mnie Bishop.

– Ocknęła się. – To głos Spingate. – Em, możesz stanąć?

– Nie jestem pewna. Spróbuję.

Bishop stawia mnie na ziemi. Gdy tylko przenoszę ciężar ciała na prawą nogę, w łydce rozpala mi się iskra przejmującego bólu. Bishop pochyla się, żeby znów mnie podnieść.

– Nie, dam radę sama.

Patrzy z powątpiewaniem i troską, ale odsuwa się o krok.

Farrar podaje mi włócznie. Opierając się na niej, ruszam; pierwsze kroki są bolesne. To nie najlepsze rozwiązanie, ale na razie się sprawdza.

Wszędzie wokół nas wznoszą się wysokie zigguraty. Wszystko spowija cień, jakby odporny na światło dwóch księżyców. Przed nami – blask dochodzący zza grubej, łukowato zakrzywionej ściany pnączy. Jesteśmy z powrotem przy wahadłowcu.

Noga mnie boli. Łydkę mam owiniętą fioletowym bandażem, który pewnie pochodzi z medycznego zestawu Spingate. Plamy krwi wyglądają na czarne.

– Czy zatruł mnie jad pająka?

Spingate kręci głową.

– To nie wygląda na ukąszenie ani uządlenie. Chyba rozcięłaś sobie łydkę na ostrym kamieniu.

Nie tylko walnęłam się w głowę u wejścia do tunelu, ale jeszcze sama skaleczyłam się w nogę? Myślałam, że pająk już mnie dopadł... Tak rozpaczliwie chciałam uciec, że pewnie za bardzo młóciłam nogami i zawadziłam łydką o ostrą krawędź.

Wspomnienie grozy tamtej chwili wraca jak żywe. Zaczynam drżeć na całym ciele. Spingate przytula mnie mocno.

– Zdażyłaś przejść – mówi, łagodnie głaszcząc mnie po włosach. – Tylko to się liczy. – Wypuszcza mnie z objęć, ale rozciera mi ręką plecy, prowadząc mnie ulicą. – Jesteśmy prawie na miejscu. Smith już czeka, żeby zająć się tobą i Bishopem.

Jedno z ramion Bishopa jest obandażowane na fioletowo. Drugie – owinięte paskami białego materiału, który nasiąknął już krwią.

Orientuję się, że koszuli Spingate w większości już nie ma, że podarła ją na paski. To, co zostało, ledwie zakrywa jej piersi.

– Skończyły się nam bandaże – tłumaczy. – Bishop nalegał, żebym tymi, które miałam, opatrzyła przede wszystkim ciebie. Przy jego ranach improwizowałam.

Wspinamy się na ścianę pnączy. Coyotl trzyma się w pobliżu, podtrzymuje mnie, kiedy się potykam. Czuję się słabo. I cały czas kręci mi się w głowie.

Na szczycie przystaję, podnoszę wzrok na wahadłowiec. Wszystkie światła – na ogonie, końcach skrzydeł i szczycie kadłuba – wydają się lśnić na powitanie.

Udało nam się.

Coyotl pomaga mi zejść z kręgu pnączy. Jestem już prawie na dole, kiedy

zastygam, sparaliżowana aż nazbyt już znajomym dreszczem lęku, który przeszywa mnie na wskroś – w naszą stronę biegnie dwóch Starszych.

– Nie bój się – mówi Coyotl. – To tylko Visca i Bawden.

Gdy słyszę te imiona, także ich rozpoznaję. Visca i Bawden, owszem, ale cali w czerni. To te kombinezony z magazynu. Tętno wali mi jak oszałałe. Ledwie cokolwiek widzę. Muszę się położyć.

O bie kółko-gwiazdy wbiegają na szczyt kręgu pnączy i rozglądają się za ewentualnym zagrożeniem, na wypadek, gdyby coś przyszło tu za nami. Całą resztą wlecemy się w stronę wahadłowca.

F arrar, Spingate i Coyotl ruszają po pochylni w górę. Bishop przystaje u podstawy. Ja też.

S pingate ogląda się na nas. Jest absolutnie wyczerpana.

– Em, chodź... Smith musi cię obejrzeć.

– Za chwilę – odpowiadam. – Idź już.

N ie muszę mówić jej tego dwa razy. Człapie do wejścia.

B awden i Visca wracają. Posyłam oboje na wahadłowiec i raz jeszcze zostaję sam na sam z Bishopem.

P rawie nie patrzy mi w oczy – jest mu wstyd. Przy tunelu w murze spanikował i dobrze o tym wie. Chciał mnie chronić, ale wysłałam go przed sobą i naraziłam się na niebezpieczeństwo, żeby on mógł ujść cało.

Ruchem głowy wskazuje wejście wahadłowca. Chce, żebym znalazła się już w środku. Potrzebuje wejść tam jako ostatni.

– Bishop, musimy porozmawiać o tym, co się stało przy wodospadzie.

– Byliśmy głupi, ot co się stało – mówi. – Byliśmy egoistami, myśleliśmy tylko o sobie. Naraziliśmy innych, mogło im się coś stać.

T ak jakbym sama nie miała już z tego powodu wystarczającego poczucia winy.

P rzynajmniej pod jednym względem jesteśmy z Bishopem tacy sami: jest

w nas potrzeba, pragnienie chronienia innych. Nie rozumiem, dlaczego czasami tak się rozkojarzam, kiedy jestem przy nim – albo przy O'Malleyu, jeśli już o to chodzi. Wiem za to jedno: że przez moje samolubne działania nasi przyjaciele omal nie zginęli.

Zerkam w górę, na wahadłowiec, oglądam się na krąg pnący – nie ma tu nikogo innego. Wyciągam rękę i ujmuję jego dłoń.

– Musimy tylko być mądrzejsi – mówię. Myślę o tym, jak mnie pocałował. Chcę, żeby znowu to zrobił. – Nie będziemy już robić nic takiego w obecności innych.

Przez chwilę wpatruje się w nasze dłonie, w splecione palce. Ścisną mi dłoń tylko raz, mocno, a potem się odsuwa.

– Nie będziemy już robić nic takiego, kropka – poprawia mnie. – Walczymy o to, żeby utrzymać wszystkich przy życiu, Em. Nie wolno mi o tym zapominać nawet na sekundę.

Kiedy się całowaliśmy, miał w oczach taki głód – jakby nie mógł się mną nasycić. Ten głód gdzieś zniknął. Mam wrażenie, że wszystko legło w gruzach.

Z trudem wchodzę po pochylni.

Czy właśnie tak się dzieje, kiedy pozwalamy naszym emocjom wziąć nad nami górę? W takim razie nigdy więcej.

W drzwiach wahadłowca czeka na mnie O'Malley. Ubrany jest w czarny kombinezon. U pasa zwisa mu pochwa, z której wystaje zdobiona klejnotami rękojeść jego noża. I... ma na nogach buty. Łydka boli mnie tak bardzo, że prawie zapomniałam o swoich biednych stopach, obolałych od długiej wędrówki, pokaleczonych dziesiątkami cierni. Na piersi O'Malleya po lewej widzę wyszytą metaliczną nicią naszywkę z napisem „Mictlan” – taką samą jak na naszych krawatach. Trzyma w ręce czarny koc. Otula mnie nim, kiedy zataczając się, wchodzę na pokład.

– Witaj w domu, Em.

J est czysty. Włosy ma uczesane, lśniaco czarne i w idealnym stanie. Sama jestem zaskoczona, jak dobrze jest znów widzieć jego twarz.

O glądam się na Bishopa stojącego jeszcze u dołu pochylni, zauważam kontrast między obydwojma chłopakami: jednym wymytym i czysto ubranym, jakby nasz koszmar na jawie nigdy się nie zdarzył, i drugim bez koszuli, pokrwawionym i obandażowanym, żywym dowodem tego, przez co właśnie przeszliśmy.

Uśmiech O'Malleya blednie.

– Złe wieści. Aramowski dostał się na dek czwarty.

Z ręką na moich ramionach wprowadza mnie do sali z trumnami. Widzę znajome twarze Gastona, Becketta, Smith, Viski i pozostałych. Widzę Zubiri, Walczak i inne dzieciaki, które znaleźliśmy wędrujące po korytarzach „Xolotla”.

W idzę też twarze, których nie poznaję. Są ich s e t k i. Nie, nie setki, znam już przecież ich dokładną liczbę: sto sześćdziesiąt osiem.

Przeklęty Aramowski, w mordę bogów... otworzył te trumny.

M ałe twarze, niewielkie ciała. Dzieci ubrane w czyste, idealnie dopasowane białe koszule, czerwone krawaty i czarne spodnie albo spódniczki w czerwono-czarną kratę.

W ięcej gąb do wykarmienia.

W szystko to dociera do mnie, waląc mi się na głowę nagłą falą rozpacz, która wymywa ze mnie resztki sił. Sala wiruje wokół. Jestem zmęczona, tak strasznie zmęczona.

– O'Malley, zabierz mnie stąd. Zaprowadź mnie do Smith.

Nieważne, co ona ze mną robi, byle tylko dała mi więcej tego gazu, który mnie uśpi.

JEDENAŚCIE

Otwieram oczy, mrugam powiekami. Leżę na twardej wyściółce. Widzę coś białego blisko mojej twarzy... za blisko – znowu jestem w trumnie.

Jestem w potrzasku. Ktoś mnie tu wsadził to Matylda nie weźmie mnie żywcem nie bez walki muszę walczyć muszę się stąd wyrwać muszę się wyr...

Nie. To nie tak. Chyba przypominam sobie, jak ktoś mnie tu wkładał. O'Malley. Tak, to był on. I Smith. Nie jestem w potrzasku, ale w tej ciasnej przestrzeni czuję się, jakby coś mnie zgniatało.

– Ee... mogę stąd wyjść?

– Tak, poczekaj.

Ktoś jest w pobliżu. Co za ulga. Zamykam oczy i biorę kilka głębokich oddechów, próbując się opanować. Jak tu mało miejsca, jak ciasnó.

Biel nad moją twarzą rozdziela się przez środek na pół, rozsuwa na boki. Z góry uśmiecha się do mnie Spingate. Jest ubrana cała na czarno, tak jak O'Malley.

– Cześć, śpiąca królewno!

Obok niej ktoś jeszcze stoi, nachyla się nade mną i się do mnie uśmiecha. To Smith, chuda dziewczyna kółko-krzyżyk o krótkich brązowych włosach, która na „Xolotlu” była w grupie Bishopa. Ona też ma na sobie czarny kombinezon. Jej szare oczy są śliczne.

– Miałaś poważną kontuzję nogi – mówi. – Spingate fachowo ci ją opatrzyła, ale w terenie nie mogła zrobić nic więcej. Straciłaś dość krwi, żeby

kręciło ci się w głowie. A może byłaś po prostu wyczerpana i zestresowana.

– Przywódcy się nie stresują – oświadczam.

Smith wzdycha.

– Skoro tak twierdzisz. A teraz jak się czujesz? Lepiej?

O wszem. Biorę głęboki oddech. „Lepiej” to za mało... czuję się świetnie. Pomagają mi usiąść.

Na skórze czuję ubranie – ja też mam na sobie czarny kombinezon. Wyciągam ręce, przyglądam się sobie od stóp do głów. Kombinezon ma długie rękawy i dużo kieszeni. Na nogach mam czarne skarpetki. Nie licząc twarzy i dłoni, jestem całkowicie okryta. Po raz pierwszy w moim trwającym kilka dni życiu mam na sobie ubranie, które pasuje. Moje ręce są czyste. Dotykam twarzy: też jest czysta. A duży guz na głowie... prawie zniknął. Delikatnie sprawdzam pękniętą wargę – zagojona.

Smith i Spingate przytrzymują mnie, kiedy staję na podłodze. Salka z napisem GABINET ZABIEGOWY na drzwiach jest niewielka i biała. Jest tu jeszcze druga trumna, teraz otwarta i pusta. Obydwie są ciemnobrązowe, czyste i błyszczące. Nie ma na nich misternych płaskorzeźb, ale nie licząc tej różnicy, wyglądają zupełnie tak samo jak ta, z której wyrwałam się na wolność na „Xolotlu”.

Z boku po prawej – samotny biały postument z czerwonym kółko-krzyżykiem wyrzeźbionym na przedzie.

Smith stuka palcami w krawędź trumny.

– Postaw tu nogę.

Mówi głosem tak samo pewnym, jak Gaston w sterowni. Robię, co mi każe.

Podciąga mi nogawkę spodni do kolana, dotyka mojej łydki. Pochyliła się bliżej, sprawdza miejsce, gdzie się zraniłam. Ścisła mi mięsień i krzywię się z bólu.

Uśmiech Smith jest jednak pełen dumy.

– Wyleczone, Em. Sama zobacz.

Łydka jest lekko posiniąła. Cienka różowa linia biegnie w miejscu, w którym było rozcięcie, ale wygląda tak, jakby rana zdarzyła się wiele lat temu.

– To niesamowite – mówię. – Skąd wiedziałaś, co trzeba robić?

– Gaston mówił mi, że chcesz, żebym przyszła tu i nauczyła się jak najwięcej. Kiedy tylko zaczęłam, część luk w mojej głowie zaczęła się wypełniać. Przypomniałam sobie kursy medyczne i ludzi, którzy uczyli mnie różnych rzeczy, między innymi tego, jak posługiwać się systemem zabiegowym. Większość pracy wykonują maszyny. Ja tylko używam postumentu, żeby zadawać pytania i podejmować decyzje, co ma zostać zrobione.

Kolejna osoba, która odzyskuje wspomnienia. No, w każdym razie ich część, ale za to część o decydującym znaczeniu dla naszego przetrwania. Dobrze jest wiedzieć, że Smith jest gotowa się nami zajmować.

Dziewczyna otwiera szafkę, podaje mi czarne buty. O mało nie piszczę z zachwytu. Zakładając je i zawiązując, podnoszę wzrok na Spingate.

– Długo spałam?

– Całą noc i pół dnia.

– To długo. Za długo.

– Czy pajak się pojawił?

– Spin kręci głowę.

– Jeszcze nie. O'Malley kazał wszystkim zostać w wahadłowcu. Twierdzi, że jeśli był w stanie przetrzymać atak Starszych, to prawdopodobnie zatrzyma też pajaki.

Kończę wiązać buty. Wstaję, przenoszę ciężar na ranną nogę, podskakuję na niej. Łydka mnie boli, ale czuję się o niebo lepiej.

– Smith, jesteś niesamowita.

D ziewczyna czerwieni się. Może sobie być skromnisią, jeśli chce, byle tylko dalej nas naprawiała.

– Ej, a gdzie moje stare ubranie?

Spingate marszczy nos.

– Spalone, mam nadzieję. Em, strasznie śmierdziałyśmy.

P rzyprowadził mnie tu O'Malley. Czuję na twarzy gorąco na myśl, że widział mnie nago.

– A kto, ee... kto mnie rozebrał?

– Nie przejmuj się, medykomora się tym zajęła – uspokaja mnie Smith, wskazując błyszczącą trumnę. – Zdjęła z ciebie stare ubranie, umyła cię, opatrzyła ci rany, nakarmiła cię dożylnie, pozbyła się twoich wydaliny, a nawet cię uczesała. Na końcu założyła ci nowe ubranie.

N azywa to m e d y k o m o r ą? Podoba mi się to, chociaż podejrzewam, że będzie jedyną osobą używającą tego określenia. To coś „pozbyło się moich wydaliny”. Brzmi to paskudnie, ale wiele wyjaśnia. W mojej urodzinowej trumnie leżałam całe lata – a nawet stulecia, jak twierdził Brewer. Trumna się mną zajmowała.

N iektóre trumny na „Xolotlu” się popsują. Leżące w nich dzieci umarły.

J eśli coś popsuje się tutaj, co się stanie? Smith potrafi posługiwać się tym sprzętem, ale czy potrafi go naprawić, jeśli przestanie on działać? To samo dotyczy Gastona i latania wahadłowcem albo Spingate i jej karwasza. Wiedza o tym, jak p o s ł u g i w a ć się jakąś technologią to nie to samo, co wiedza o tym, jak j ą w y t w a r z a ć albo r e p e r o w a ć.

Spingate kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Czas na górę. Wszyscy czekają na ciebie na deku pierwszym.

– Dlaczego?

– To zebranie – mówi. – O'Malley mówił, że kiedy cię tu przyprowadził, chciałaś, by natychmiast po twoim przebudzeniu zwołał zebranie w sprawie

sytuacji żywnościowej.

Pamiętam tylko, że O'Malley okrył mnie kocem i pokazał mi nowe dzieciaki, ale prawie nie przypominam sobie rozmowy z nim. Musiałam być naprawdę nieprzytomna. Mimo to zebranie to dokładnie to, czego nam potrzeba.

– Mamy teraz tylu ludzi do wykarmienia – zauważam. – Głupi wybryk Aramowskiego może się dla nas skończyć śmiercią z głodu. Niech go szlag trafi, w mordę bogów.

Oczy Smith się zwężają.

– Myślisz, że skoro nami dowodzisz, wolno ci tak przeklinać?

„Myślisz, że skoro nami dowodzisz...” – jakie to podobne do tego, co Coyotl powiedział przy wodospadzie. Czy ludzie myślą, że nadużywam swojej pozycji przywódcy? Przecież ktoś musi podejmować decyzje, a ja mam pełne prawo wściekać się na Aramowskiego.

– Nie powinien był ich budzić – odpowiadam. – Byli w tych trumnach przez stulecia. Kilka dni więcej nie zrobiłoby im różnicy. A tak w ogóle, jak udało mu się ich obudzić? Czy jego protoplasta wiedział, jak obsługiwać trumny?

Spingate opuszcza wzrok, odrobinę odsuwa się od Smith.

Smith patrzy na mnie gniewnie i wyzywająco.

– To ty – mówię do niej. – Ty otworzyłaś te trumny.

Smith zakłada ręce na piersi.

– Aramowski poprosił mnie o pomoc. Powiedział, że taka jest wola bogów. Postument znał instrukcje budzenia dzieci, tak samo jak instrukcje, które cię wyleczyły.

Przypominają mi się słowa Spingate ze sterowni, jej obawa, że dzieci mogły już zostać nadpisane.

– Spin... czy one są takie same jak my?

S szybko potakuje, błyskawicznie rozumiejąc mój niepokój.

– O'Malley i Gaston mówią, że nowe dzieci nie wiedzą, kim są ani gdzie są, tak samo jak my po przebudzeniu. Wszystkie były przerażone.

W jej głosie słycać gniew. Podobnie jak ja rozumie, jaki mamy problem, skoro jest nas teraz dwa razy więcej, ale żywności mamy tyle samo co przedtem.

Żałuję, że nie mam przy sobie mojej włóczni. Jestem tak wściekła, że chyba mogłabym potraktować nią Smith. Czuję gorąco na twarzy i w piersi. Wrażenie jest podobne jak wtedy, kiedy zdenerwowałam się na Spingate – jedyna różnica jest taka, że Smith faktycznie zrobiła coś, czym sobie na to zasłużyła.

– Obudziłaś je, Smith – mówię do niej. – Potrafisz uspić je z powrotem?

Wyzywająco unosi brodę.

– Nie masz prawa tego zrobić, ty...

– Odpowiedz mi na pytanie.

Cóż w moim głosie sprawia, że Smith cofa się o krok.

– To byłoby dla nich niebezpieczne – mówi. – Kiedy już ktoś wyjdzie z trumny po raz pierwszy, ożywa. Wprowadzenie go z powrotem w głęboki sen może go zabić.

To jej słowa czy Aramowskiego?

– Kłamiesz – mówię.

Nie mam pojęcia, czy kłamie, czy mówi prawdę. Po prostu przemawia przeze mnie frustracja.

Smith uśmiecha się szyderczo.

– Myślisz, że wszystko wiesz. No cóż, na ten temat nie wiesz nic. Jeśli jesteś rozsądna, to mi uwierzysz.

Mam ochotę w coś walnąć. Pracowaliśmy tak ciężko, poświęciliśmy tak wiele, a teraz wszyscy jesteśmy zagrożeni. Ale moja wściekłość nic nie naprawi, nie kiedy stawką jest nasze przetrwanie. Spokojne plany mogą

zapewnić nam przeżycie – decyzje wynikające ze złości mogą przybliżyć nas do zagłady.

Pukanie do metalowych drzwi salki.

S mith podchodzi do nich. Znajdujący się na nich odcisk dłoni – oczywiście – ma pośrodku kółko-krzyżyk. Smith przyciska do niego dłoń i drzwi rozsuwają się na bok.

O'Malley. Z moją włącznią w ręce.

W chodzi, z tym swoim cudnym uśmiechem na ustach. Podaje mi włącznię.

– Em, wyglądasz o w i e l e lepiej.

S pogląda na Smith i Spingate.

– Możemy z Em zostać na krótką chwilę sami?

– Pewnie – mówi Spingate. – I tak muszę przed zebraniem sprawdzić zapasy żywności na wahadłowcu, upewnić się, że nie przedostała się do nich pleśń. Smith, chodź, pomożesz mi.

D ziewczyna wygląda, jakby wołała pójść wszędzie, tylko nie tam, gdzie Spingate, ale wychodzi razem z nią.

O 'Malley czeka przez moment, upewniając się, że odeszły dość daleko, by go nie słyszeć.

– Wszyscy wiedzą już o pająku, o składzie żywności i o pleśni – mówi. – Boją się. Muszą usłyszeć od swojego przywódcy, że znajdziemy jakieś rozwiązanie.

N ie wątpię, że ludzie się boją. Zrobię, co w mojej mocy, żeby poczuli się lepiej.

– Dziękuję – mówię. – Ale... nie przypominam sobie, żebym prosiła cię o zwołanie zebrania. Prosiłam o to?

Wzrusza ramionami.

– Uznałem, że będziesz chciała porozmawiać ze wszystkimi, kiedy się obudzisz, więc powiedziałem im, że zwołałaś zebranie.

Trochę dziwne postąpił.

– Dlaczego nie powiedziałeś po prostu, że to twój własny pomysł?

– Bo ludzie słuchają c i e b i e. To ty jesteś przywódcą. Gotowa?

Nie cieszy mnie, że skłamał. Nie cieszy mnie też, że zostawiłam wahadłowiec pod jego opieką, a po powrocie zastałam chaos.

– Pójdziemy za chwilę – mówię. – Ale najpierw: co się stało, kiedy mnie nie było? Jak mogłeś pozwolić Aramowskiemu na otwarcie trumien?

Moje pytanie denerwuje go.

– Na nic mu nie pozwoliłem. Gaston nawet nie wyszedł ze sterowni. Musiałem opanować dzieciaki z „Xolotla”. Buszowały po skrzynkach z jedzeniem, wylażyły na zewnątrz, biegały wszędzie. Kiedy byłem zajęty pilnowaniem ich, Aramowski się wymknął.

Widzę, że rozcięcie na policzku O’Malleya już prawie zniknęło. Teraz to tylko różowa linia, nawet nie blizna.

Jego też wyleczyła Smith.

Wskazuję na trumny.

– Czy Aramowski i Smith wypuścili nowe dzieciaki, kiedy leżałeś w jednej z nich?

O druchowo dotyka policzka. Przyłapałam go na drugim kłamstwie.

– Tak – odpowiada. – Nie sądziłem, że Aramowski spróbuje coś zrobić, kiedy będę w trumnie. Skąd mogłem wiedzieć?

Teraz ma to sens. Skoro mnie, Spingate i Bishopa nie było, O’Malley leżał nieprzytomny, a Gaston dowiadywał się jak najwięcej o wahadłowcu, na Aramowskiego nie miał kto uważać. Ktoś z a w s z e musi na niego uważać.

– Em, popełniłem błąd. Przepraszam.

Faktycznie go popełnił. Jestem na niego taka zła. Zawsze sprawia wrażenie, jakby miał wszystko pod kontrolą, ale tym razem nie miał.

– „Przepraszam” nie zapewni nam przeżycia. Następnym razem, kiedy

mówię ci, żebyś coś zrobił, masz to z r o b i ć. Zdajesz sobie sprawę, co to dla nas wszystkich znaczy?

Na jego twarzy pojawia się ten dobrze mi znany, obojętny wyraz.

– Rozumiem – mówi. Głos ma cichy, rzeczowy. – Skończyłaś już na mnie wrzeszczeć?

Mogę tylko liczyć na to, że moje słowa do niego dotarły.

– Skończyłam. Idziemy.

DWANAŚCIE

Sala z trumnami na deku pierwszym jest pełna ludzi. Siedzą albo stoją na zamkniętych trumnach, na czarnej podłodze w przejściach, opierają się o czerwone ściany. Wpatruje się we mnie prawie trzysta twarzy, z których większość widzę po raz pierwszy w życiu. Małe dzieci w białych koszulkach szepczą między sobą, pokazują mnie sobie palcami, jakbym była jakąś mityczną istotą, która nagle się objawiła.

Wszyscy w moim wieku są w kombinezonach i butach. Okereke i Johnson, Bordżigin i Beckett, Bawden i Farrar. Nawet Bishop, stojący przy wyjściu z wahadłowca z czerwoną siekierą u boku. Wszyscy mają na sobie czerni. Mimo woli przychodzą mi na myśl Starsi, których zostawiliśmy na „Xolotlu”.

Gaston stoi na małym podeście zrobionym z pustych skrzynek po prowiancie. Widząc mnie, schodzi z podwyższenia.

Kiedy idę w tamtą stronę, tłum zamyka się za moimi plecami. Jestem otoczona. Wstępuję na podest. Choć raz czuję się wyższa niż wszyscy otaczający mnie ludzie.

Przyglądam się morzu twarzy. Czekają, aż powiem im, co dalej i że wszystko będzie dobrze. Widzę tu wszystkich oprócz Spingate. Gdzie ona jest? Czułabym się lepiej, gdyby tu była.

– Ee... dziękuję wam, że przyszliście.

Pierwsze zdanie z moich ust i od razu taka bzdura. Gdzie mieliby być, jak nie tu? W ciszy robię się nerwowa, więc zapelniam ją słowami.

– Witam wszystkich nowych. Wiem, że to coś, czego można się przestraszyć,

ale sama byłam niedawno taka jak wy: przerażona, dezorientowana, nie miałam pojęcia, co się dzieje. Postarajcie się odprężyć, jesteście teraz z nami. Widzicie tych ubranych na czarno? Przeszli przez dużo gorsze rzeczy niż wy. My...

Czyjaś mała ręka strzela w górę: to Zubiri.

– Tak?

– Jedzenie – mówi. Opuszcza rękę, wstaje. Tym razem się nie uśmiecha. Jest równie poważna jak Bishop. – Co zrobimy w kwestii jedzenia?

T o coś, co wszyscy chcielibyśmy wiedzieć.

– Pracujemy nad tym. Są tu zwierzęta, które możemy jeść, musimy tylko zorientować się, jak na nie polować. A nie zaczęliśmy nawet jeszcze przyglądać się roślinom. Możliwe, że...

A ramowski podnosi rękę. Wiem, że będzie tylko próbował dokładać nam kłopotów, ale właśnie odpowiedziałam na pytanie Zubiri – ludzie mogą uznać, że celowo go ignoruję, a tego nie chcę.

– Tak, Aramowski?

– Kto rozpałił ognisko? Nie licząc tego, że każesz nam kulić się ze strachu w tym wahadłowcu, co zrobiłaś, żeby ochronić nas przed tym zagrożeniem?

Z nowu to robi: zadaje mi pytania, na które nie ma odpowiedzi, o czym dobrze wie. Próbuje postawić mnie w złym świetle.

– Nie mamy pewności, że to zagrożenie.

– Nie znaleźliście żadnego pożywienia – mówi z nieskrywaną odrazą. – Za to teraz ci rozpalacze ognisk, kimkolwiek są, pewnie wiedzą, że tu jesteśmy. Wygląda na to, że wasza wycieczka była jedną wielką porażką.

– Znaleźliśmy w o d ę – zauważam. – Bez słodkiej wody wszystkich nas czekałaby śmierć. Czy to ci wygląda na porażkę?

– Woda, której nie można zaczerpnąć, to to samo, co jej brak. Jak zamierzasz zabić strzegące jej pająki, Em?

Czy on musi być taki nie do wytrzymania? Nie cierpię go.

– Jeszcze nie wiemy – odpowiadam. – Znajdziemy jakiś sposób. A teraz co do naszej sytuacji żywnościowej. Gaston, przy założeniu, że będziemy jeść niewielkie porcje, na jak długo wystarczą zapasy zgromadzone na wahadłowcu?

Gaston spogląda na drugą stronę sali, na Bordzigina, półkółkowe chucherko o wielkich zębach i prostych włosach, równie czarnych jak jego kombinezon. Kiedy wyruszałam do składu żywności, razem z Opkick robił inwentaryzację magazynów.

– Dwanaście dni – odpowiada Bordzigin. – Jeśli będziemy oszczędzać.

Czuję, jak z ludzi w sali schodzi napięcie. Robi się spokojniej: jest kiepsko, ale nie zaczniemy umierać już jutro.

Po chwili jednak spokój pryska.

– Jest dużo gorzej.

Spingate. Stoi w otwartych drzwiach przy tylnej ścianie sali. Była pewnie na deku drugim, może w którymś laboratorium. Podnosi w ręce biały pakiet: **KRAKERSY**.

– To jest ze skrzynki, którą otworzyliśmy po wylądowaniu, niecałe dwa dni temu.

Macha nad pakietem swoim karwaszem.

K lejnoty migają pomarańczowo.

– Skażone – mówi Spingate. – Na tyle mocno, że można by się od tego pochorować. Może nawet otruć się tym na śmierć. Skażone jest wszystko, co mamy w otwartych już skrzynkach. Musimy zakładać, że jedyne bezpieczne jedzenie jest w tych, które nadal są szczelnie zapieczętowane. Chociaż ono też może się popsuć.

Spoglądam na Gastona.

– Ile skrzynek już otworzyliśmy?

Waha się chwilę przed odpowiedzią.

– Mniej więcej połowę.

Jedzenia mamy najwyżej na siedem dni. Za mało czasu, żeby cokolwiek posadzić i wyhodować. Może dość, by nauczyć się polować na małe zwierzęta, ale ile musielibyśmy ich łapać – i t o c o d z i e n n i e! – by nakarmić trzysta głodnych osób?

Gaston wygląda na speszzonego, jakby się bał, że tłum za chwilę go zaatakuje.

– To nie moja wina – tłumaczy się. – Nie wiedzieliśmy o tej pleśni.

P odnosi się Beckett. Od czasu, gdy moja grupa połączyła się z grupą Bishopa, ten rudzielec o jasnobrązowej skórze nie powiedział ani słowa, ale teraz nagle jest tak wściekły, że nie umie się powstrzymać.

– Dlaczego pootwieraleś tyle skrzynek, Gaston? – Beckett pokazuje na symbol koła zębatego na własnym czole. – P r a w d z i w y naukowiec zacząłby od analizy, upewnienia się, że nie zajdzie żadna reakcja ze środowiskiem naturalnym!

Gaston naburmusza się.

– A co, może t y jesteś prawdziwym naukowcem?!

– Nie zepsułbym połowy naszych zapasów jedzenia!

P omruki poparcia, nawet kilka okrzyków – Gaston nie mógł wiedzieć, że robi coś źle, a ludzie i tak obarczają go winą.

W całej sali wzrasta poziom złości, i to szybko.

Bawden ogarnia gestem nowe dzieci.

– Jedzenia starczyłoby na dłużej, gdyby nie wszystkie te nowe p u s t a k i.

W sali z trumnami zapada cisza.

Z nowu to słowo.

O ’Malley był zażenowany, że go użył. Bawden przeciwnie.

N ie znam nazwisk wszystkich dzieci z „Xolotla”, ale rozpoznaję ich

twarze. Na czołach mają symbole: kółka, owszem, ale także kółko-gwiazdy, półkółka, koła zębate, kółko-krzyżyki i dwupierścień. Na czołach nowych twarzy widzę jednak tylko jeden symbol.

Puste kółko. Takie samo jak moje.

Lustruję twarze w tłumie, znajduję O'Malleya. Wiem doskonale, że już to sprawdził.

– Czy wszystkie nowe dzieci to kółka?

Potakuje.

Co to może znaczyć? Cały wahadłowiec pełen ludzi takich jak ja? Nie, zaraz, wszyscy tutaj to „ludzie tacy jak ja”. Znamy tylko jedno inne miejsce, w którym wszystkie symbole stanowiły kółka: w Bishopowej części „Xolotla”, gdzie znaleźliśmy nieprzeliczoną masę zmasakrowanych ciał.

Widzę, że niektórzy ludzie w moim wieku patrzą na nowe dzieciaki z gniewem. Dzieci wyczuwają tę nagłą wrogość. Skupiają się ciasniej, przytulają do siebie nawzajem, przenosząc wzrok od jednej ubranej na czarno osoby do drugiej.

Czy naprawdę jesteśmy zdolni do tak błyskawicznego zwracania się jedni przeciw drugim? Przecież nawet jeszcze nie głodujemy – co się stanie, kiedy zabraknie zapasów?

– Bawden, to słowo jest zakazane – mówię. – Nie używaj go więcej.

Uśmiecha się szyderczo.

– To nic wielkiego. Przecież ich kółka są puste. Poza tym nie możesz mi mówić, co mam robić.

W sali rozlega się dźwięczny, przeciągły *gong*, od którego aż podskakujemy. Głowy wszystkich obracają się w stronę Bishopa – to on uderzył obuchem swojej czerwonej siekiery w czerwoną ścianę. Wpatruje się prosto w oczy Bawden.

– Em jest naszym przywódcą – odzywa się. Głos ma spokojny, ale

bezwzględny. – To znaczy, że może mówić ci, co masz robić. Doprowadziła nas aż tutaj, tak czy nie?

Bawden odpowiada Bishopowi takim spojrzeniem, jakby była gotowa się z nim bić, ale on nie jest agresywny. Nie rozkazuje jej, tylko prosi ją o współdziałanie. Najwyraźniej to wiele zmienia.

Bawden wraca wzrokiem do mnie.

– Dobra. Nie będę już tak mówić.

Przeprosiny to nie są, ale zawsze już coś.

Jakim cudem rozumiemy, że jakieś słowo jest nie w porządku, ale nie wiemy dla czego?

Aramowski staje na jednej z zamkniętych trumien.

– Nie powinniśmy się kłócić – mówi. – Największym dla nas zagrożeniem jest pleśń. A jej czerwony kolor to nie przypadek. To kara Boga Krwi za to, że niewielu z nas zaakceptowało jego świętą drogę.

Spingate kręci głową.

– To nie jest żadna kara, ty debilu. To coś biologicznego.

– Rozumiem – odpowiada Aramowski. – No cóż, skoro chodzi o biologię, nie wątpię, że masz już na tę pleśń lekarstwo. – Uśmiecha się. – Pokonasz tę pleśń, zanim skończy nam się jedzenie, prawda, Spingate?

Dziewczyna marszczy się gniewnie. Obwinia go przede wszystkim za obudzenie tych dzieci, i ma rację.

– Nauka nie działa w ten sposób – tłumaczy. – To pewien proces.

Aramowski rozgląda się po sali, grając pod publikę.

– Ona nie potrafi nam obiecać, że znajdzie lekarstwo, ani nawet że istnieje jakieś lekarstwo. Widzicie, co się dzieje, jeśli przedkłada się naukę nad wiarę?

Pakiet krakersów trafia go w głowę, tak że wzdryga się zaskoczony.

Spingate bierze się pod boki.

– Kiedy przedkłada się naukę nad wiarę, ratuje się ludziom życie – mówi. – Te krakersy, które właśnie odbiły się od twojej tępej łepetyny? Gdybyś je zjadł, już byś nie żył. Moja nauka wykazała to, zanim komukolwiek stała się jakaś krzywdą. Dlaczego twój bóg nie powiedział Farrarowi, żeby nie próbował skażonego jedzenia? Czy twój bóg chce śmierci nas wszystkich?

Oczy Aramowskiego się zwężają.

– Nie wszystkich, Spingate. – Wyciąga długie ramię, celując w nią palcem. – Tylko tych, którzy na nią zasługują.

W całej sali rozlegają się okrzyki oburzenia – ale także poparcia.

W alę drzewcem włóczni w zaimprovizowany podest. Głośne *tonk* o plastik nie robi może takiego wrażenia, jak Bishopowe trzepnięcie siekierą w ścianę, ale i tak sala się ucisza.

Z włócznią w ręce schodzę z podestu i długim krokiem idę w stronę Aramowskiego. Ludzie uciekają mi z drogi. Staję przed chłopakiem, nie kryjąc gniewu.

– Czy właśnie zagroziłeś Spingate utratą życia?

– Oczywiście, że nie – odpowiada. – Jedyne odpowiadałem jej na pytanie.

– Wskazywałeś przy tym na nią.

Aramowski mówi głośno, starając się, żeby wszyscy go słyszeli:

– Przepraszam. Widzę teraz, że mogło to zostać opacznie zrozumiane. – Obraca się ku Spingate, składa ukłon. – Nigdy nie ośmieliłbym się grozić ci śmiercią. O tym, kto żyje, a kto umiera, może decydować tylko Bóg Krwi. –

Prostuje się, znów patrzy na mnie z góry. – Podobnie jak tylko bogowie mogą decydować o tym, kto przewodzi innym.

P o skórze przebiegają mi ciarki. Czy Aramowski podważa moje przywództwo? Znowu ten ucisk w mojej piersi... nagły przypływ złości. Panuję nad sobą, ale z trudem. Podchodzę jeszcze bliżej i szepczę tak cicho, że

musi się pochylić, by usłyszeć:

– Jeśli Spingate cokolwiek się stanie, ty mi za to odpowiesz.

A ramowski zerka na moją włócznię. Jej grot jest o centymetry od jego twarzy. Sam chciałby mieć tę broń, chciałby mnie nią przebić.

Bishop odchrząkuje.

– Aramowski, przejdźmy się chwilę.

Na twarzy dryblasza pojawia się konsternacja. Rozgląda się po sali, jakby szukał kogoś, kto mu pomoże. Gdzie nie spojrzy, ludzie gapią się w ziemię. Nikt nie chce mieć na pieńku z Bishopem.

N ajpierw Bawden, teraz Aramowski – Bishop tylko pogarsza sprawę. Ludzie będą myśleć, że nie umiem radzić sobie z problemami sama. Najchętniej kazałabym Bishopowi siedzieć cicho, ale jeśli powiem coś teraz, to tylko wywoła więcej zamieszania.

– No już, Aramowski – mówi Bishop. – Pozwolisz na słowo?

A ramowski przełyka ślinę, wygładza swój nowy czarny kombinezon. Idzie do wyjścia, udając, że niczym się nie przejmuję. Razem z Bishopem opuszcza wahadłowiec.

W sali z trumnami zapada pełna napięcia cisza. Nikt nie wie, co powiedzieć. Jakim cudem sprawy tak szybko wymknęły się spod kontroli? Słysząc jedynie dochodzący od strony Spingate odgłos. Dziewczyna łka cicho – chyba z bezsilnej złości. Gaston stoi obok niej, głaszcząc ją po plecach. Niektórzy rzucają jej takie spojrzenia, jakby to o n a zrobiła coś nie tak.

O'Malley wstępuje na podest.

– To tyle na razie – oznajmia. – Jak tylko zdobędziemy więcej informacji, podzielimy się nimi z wami wszystkimi. – Schodzi z podestu, podchodzi do mnie i szepcze: – Możemy porozmawiać w sterowni?

W tego typu sytuacjach O'Malleyowi idzie lepiej niż mnie. Może z jego pomocą wymyślę, co robić dalej. Idę za nim do sterowni. Zamyka za nami

drzwi.

TRZYNAŚCIE

Ściany sterowni są jednolicie czarne. Może to miejsce ożywa tylko dla Spingate albo Gastona. Przychodzi mi do głowy, że jeśli cokolwiek im się stanie, nie będziemy mogli nigdzie wahadłowcem polecieć. Czy Beckett potrafiłby go pilotować? W końcu on też jest zębatką...

O'Malley opiera się o ścianę.

– Aramowski to kłopot.

– Ojej, panie kanclerzu, ależ pan spostrzegawczy.

Nic nie mówi. Twarz ma nadal nieprzeniknioną, bez wyrazu.

Powoli biorę oddech. Jestem tak zła na Aramowskiego, że mam ochotę atakować wszystko i wszystkich.

– Przepraszam – mówię. – Nie chce mi się wierzyć, że groził Spingate.

– Kiedy cię nie było, rozmawiał z ludźmi. Chce, żeby wszyscy wyznawali jego religię.

Czuję, jak zaciskają mi się zęby.

– On sam nawet nie wie, co to za religia. Jakiś „Bóg Krwi”? Z niczym mi się to nie kojarzy, zupełnie. Moim zdaniem wymyśla wszystko na poczekaniu.

– Jego nie obchodzi prawda, Em, tylko w ł a d z a. T w o j a władza.

– Przecież ja n i e m a m żadnej władzy.

O'Malley kręci głową.

– Ależ masz. Dlatego właśnie jesteś dla nas jedyną właściwą przywódczynią. Dlatego jesteś jedyną właściwą przywódczynią d l a m n i e.

– Uważaj na niego – mówię. – Od teraz n a p r a w d ę na niego uważaj. Nie

możemy dać mu jeszcze bardziej pogorszyć sytuacji.

O'Malley podchodzi bliżej. W oczach ma głód. Widzę, jak omiata wzrokiem całą moją twarz, jakby próbował objąć wszystkie jej części naraz. Wyciąga rękę, delikatnie ujmując mnie za ramiona. Jego dotyk nawet przez kombinezon wywołuje u mnie mrowienie na całym ciele. Uśmiecha się, przez co przestaję myśleć o czymkolwiek innym niż ten uśmiech.

Oddech zaczyna mi się rwać. Co on wyprawia? Próbuję powiedzieć mu, żeby przestał, ale słowa więzną mi w gardle.

Przyciąga mnie bliżej.

– Em, ależ ty jesteś piękna.

To samo powiedział na deku trzecim, kiedy patrzył na twarz Matyldy.

– Bo wygoiły mi się siniaki, tak? Teraz jestem dla ciebie dość ładna, czy o to chodzi, O'Malley?

– Kiedy jesteśmy sami, możesz mówić mi Kevin. – Nachyla się bliżej. – Byłaś pierwszą istotą, jaką zobaczyłem po obudzeniu. Zawsze będziesz dla mnie ładna.

Mam ochotę złościć się na niego, ale nie umiem. No tak, twarz mi się wygoiła, i co z tego? To nie jest twarz Matyldy, tylko moja.

O'Malley emanuje pewnością siebie i zdecydowaniem, ale ja mam mętlik w głowie. Bishop mnie lubi. Wiem, że tak jest; pocałował mnie przecież. Teraz jednak zachowuje się, jakby nie chciał się do mnie zbliżyć. O'Malley za to nachyla się jeszcze bardziej. Robi to powoli, dając mi mnóstwo czasu, żebym się odsunęła, jeśli zechcę.

Nie odsuwam się.

Jego usta dotykają moich. To wrażenie jest... wspaniałe. Równie wspaniałe, jak pocałunek z Bishopem, a jednak inne. Czy każdy chłopak całuje inaczej?

O'Malley opuszkami palców pięści mi skórę na karku. Nie mogę myśleć

o niczym innym, tylko o nim, o jego ustach, o jego zapachu, o dotyku jego rąk na moim ciele.

I naczaj niż Bishop, O'Malley mnie pragnie – i to bez żadnej nieśmiałości.
Bishop...

Nasz pocałunek prawie skończył się śmiercią Spingate.

O dpycham O'Malleya. Zatacza się w tył, zaskoczony.

– Nie całuj mnie nigdy więcej. – Staram się, by zabrzmiało to stanowczo, ale słowa rwą się i brzmią, jakbym błagała.

Uśmiecha się.

– Nie będę. Dopóki mnie o to nie poprosisz.

Z alewa mnie gniew, wymywając cały mętlik uczuć.

– To się nie zdarzy – mówię. – A teraz wyjdź.

Uśmiecha się jeszcze szerzej. Uśmiech ma olśniewający, a jednak jest w nim coś nie tak.

– Jak sobie życzysz, c e s a r z o w o.

O puszcza sterownię.

Z amykam oczy, staram się uspokoić. Nie chciałam, żeby przestał, muszę to przyznać, ale co on sobie myśli? Że kim jest?

Nie wiem. Ale wiem, co sobie myśli o tym, kim n i e j e s t – nie uważa się za przywódcę. Różni się tym od Aramowskiego, a nawet od Bishopa. O'Malleyowi wystarcza, że jest przy mnie, że mi doradza, że zapewnia mi potrzebne informacje. Jeszcze ani razu nie zakwestionował mojego przywództwa. Ani razu nie wtrącił się w obawie, że nie dam sobie z czymś rady.

A le przed chwilą zachował się tak... a g r e s y w n i e. Nie w sensie fizycznym; był agresywny e m o c j o n a l n i e.

Kiedy otworzyłam jego trumnę i po raz pierwszy spojrzałam mu w twarz, było to coś najpiękniejszego w moim życiu. Od tamtej pory poznałam tak

wiele rzeczy: statki kosmiczne, miasta, ruiny, gwiazdy i księżycy, śmierć i krew, czułość i miłość...

...i mimo tego wszystkiego Kevin O'Malley nadal jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek znałam.

Pocałował mnie.

P r a g n i e mnie.

Sama nie wiem, czy potrafię się na niego złościć. Nie wiem też, czy potrafię złościć się na Bishopa. W ogóle nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

P otrząsam głowę, rozcieram sobie twarz. *Odsuń te myśli na dalszy plan, Em – masz ważniejsze zmartwienia na głowie.* Potrzeba nam żywności. Istnieją jacyś ludzie, którzy potrafią przeżyć w dżungli na Omeyocanie, więc to oczywiste, że wiedzą, co jeść. Żebyśmy mogli przeżyć, muszę ich odnaleźć.

Co znaczy, że jutro, kiedy tylko się rozwidni, musimy znowu wyjść poza mury miasta.

CZTERNAŚCIE

Słońce zaraz wzejdzie. Większość ludzi jeszcze śpi. Jestem w sterowni z moimi przyjaciółmi: Spingate, Gastonem, O'Malleyem i Bishopem. A także, niestety, Aramowskim.

Wolałabym go tu nie widzieć, ale jaki mam wybór? Jeśli jest obok, to przynajmniej nie obgaduje mnie za plecami. Poza tym, choć strasznie ciężko mi to przyznać, jest inteligentny. Nie zamierzam ignorować dobrych pomysłów tylko dlatego, że pochodzą od kogoś, za kim nie przepadam.

Stoimy wokół mapy Gastona. Z jakiegoś powodu pokazywany na niej obszar wydaje mi się mniejszy niż poprzednio.

– Wszyscy wiemy, w jakich jesteśmy tarapatach – mówię, z całej siły starając się nie patrzeć przy tym na Aramowskiego. – Liczę, że to właśnie wy pomożecie mi podjąć pewne decyzje. Moim zdaniem musimy wysłać grupę ludzi do tamtego miejsca, gdzie znaleźliśmy ognisko.

– Ale w dżungli był pająk – przypomina O'Malley.

Potakuję.

– Był też w murach miasta. Skoro będzie nam groził wszędzie, gdzie pójdziemy, możemy równie dobrze spróbować znaleźć ludzi znających się na tym, które jedzenie jest jadalne i bezpieczne.

Spingate otacza się ramionami. Wszyscy inni wyglądają na wypoczętych. Ona – jakby w ogóle nie spała.

– Nie chodzi tylko o pająka – mówi. – Słyszeliśmy wiele różnych zwierząt. A ludzie, którzy rozpalili to ognisko, mogą być wrogo nastawieni.

J esteśmy w rozpaczliwym położeniu. Jeśli będą wrogo nastawieni, czy damy radę o d e b r a ć im jedzenie? Jak daleko jesteśmy skłonni się posunąć z myślą o przetrwaniu?

– Powinniśmy skupić się na pleśni – ciągnie Spingate. – Laboratoria na deku drugim mają wyposażenie naukowe i postumenty, które tłumaczą, jak go używać. Badam pleśń, próbuję znaleźć sposób na neutralizację toksyny. Pracowałam nad tym całą noc.

Nic dziwnego, że jest taka zmęczona.

– Brewer wiedział o pleśni – przypominam. – Czy w pamięci postumentów nie ma jakichś informacji na jej temat?

S pingate kręci głową.

– Jakie to wygodne – odzywa się Aramowski. Gromię go wzrokiem, ale ignoruje to i kontynuuje: – Ty i twoje l e k a r s t w o, Spingate. Ile czasu ci potrzeba na jego znalezienie?

Wzrusza ramionami.

– Może dziesięć dni. Może dwadzieścia. Może całą wieczność.

– Pracuj dalej – mówię jej. – Możesz się tym zajmować, kiedy my wszyscy będziemy szukać innych rozwiązań.

Gaston obejmuje gestem niezliczone budynki odwzorowane na mapie.

– Sprawdziliśmy tylko ten jeden skład zboża, prawda? Nieskażona żywność może być w innych budynkach. Musimy je przeszukać. I, o ile nam wiadomo, w tym mieście są inni ludzie, tylko jeszcze ich po prostu nie spotkaliśmy.

P r z e c i a g a po mapie palcem, zostawiając za nim rozjarzoną linię biegnącą od kropki oznaczającej wahadłowiec przez ulice, którymi doszliśmy do składu żywności, aż do wodospadu. Rozumiem, o co mu chodzi – zbadaliśmy na razie zaledwie maleńki fragment tego miasta.

– Skrzynie w składzie żywności były szczelnie zamknięte – mówi O'Malley.

– Mimo to pleśń się do nich dostała. Jeśli znajdziemy więcej jedzenia, jest

duże ryzyko, że będzie w takim samym stanie.

– I tak warto spróbować – odpowiada Gaston. – Powinniśmy zbadać więcej miejsc.

M oże to także niebezpieczne, ale jest nas wielu. A Gaston ma rację – musimy próbować wszystkiego.

– Wyślemy ekipy do przeszukania budynków wokół lądowiska – mówię. – Wystawimy warty, a ekipy poszukiwawcze będą trzymać się na tyle blisko, żeby w razie wykrycia pająka zdążyć dobiec do wahadłowca. Tyle możemy zrobić oprócz wysłania ekipy do miejsca, gdzie znaleźliśmy ognisko.

O'Malley krzyżuje ramiona, ściąga wargi w zamyśleniu.

– Budynków są tysiące. Gdybyśmy tylko mogli jakoś sprawdzić, które z nich są ważniejsze od innych... Gaston, lądowisko musiało mieć zasilanie, żeby podjechać do góry, prawda?

Gaston potakuje.

– Chyba ma własną małą elektrownię. Pewnie jądrową. Kiedy wahadłowiec pojawił się w jej zasięgu, elektrownia się uaktywniła.

O'Malley otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale Gaston go ubiega.

– Zanim rzucisz swój genialny pomysł, O'Malley: już pytałem wahadłowiec, czy potrafi wykryć inne niż lądowisko budowle wyposażone w zasilanie. Odpowiedział mi, że tę jego funkcję wykasowano. Podobnie jak prawie wszystkie inne rzeczy, o które go pytałem.

O'Malley pochyla się, opierając ręce na kolanach, by popatrzeć wzdłuż alei północ-południe na poziomie ulicy.

– Może wahadłowiec ma problemy z pamięcią, tak jak my. Może odzyskuje ją powoli, tak jak my. Zapytaj go jeszcze raz.

Gaston przewraca oczami.

– Dobra, O'Malley, w p o r z ą d k u. Zróbmy to jeszcze raz, specjalnie dla ciebie. Wahadłowiec?

– *Słucham, kapitanie Xanderze.*

– Podświetl wszystkie budowle lub obszary z własnym zasilaniem.

M a ł e kółko zapala się pod ikoną oznaczającą wahadłowiec – a także w jeszcze jednym miejscu: pod olbrzymim zigguratem w centrum miasta.

– Ale... ojej, z a d z i a ł a ł o – zdumiewa się Gaston. – O'Malley, pamiętasz te wszystkie przykre rzeczy, które kiedykolwiek powiedziałem na twój temat? Połowę cofam.

P a c h n i e m i t o j a k o ś d z i w n i e. Tak jakby O'Malley z góry wiedział, co wahadłowiec znajdzie. Może przypomniał sobie kod dostępu do postumentów na deku trzecim? Nie, niemożliwe – gdyby tak było, od razu by mi powiedział.

– Spróbujmy szczęścia – ciągnie Gaston. Po czym przesłodżonym głosem dodaje: – Do wahadłowca: miłości mego życia, mój biegunie północny, czy wiesz, co to za budynek?

– *Tak jest, kapitanie Xanderze. To Obserwatorium.*

Bishop marszczy czoło.

– O b s e r w a t o r i u m? Co to takiego?

– Miejsce, z którego patrzy się w gwiazdy – odpowiada Gaston.

Bishop wskazuje do góry.

– Przecież patrzymy w nie nocą. Po co nam do tego jakiś budynek?

– Nadal jest w nim zasilanie – mówi Spingate, ignorując Bishopa. – Musimy tam pójść. Jeśli budowniczowie tego miasta chcieli mieć pewność, że ich wiedza zostanie zachowana – wiedza naukowa, inżynierska, może nawet historia – to przechowaliby ją w jakiegoś rodzaju bazie danych. A taką bazę – pewnie w budynku wyposażonym w stałe zasilanie, działające choćby nie wiem co.

– Historia – odzywa się Aramowski głosem, w którym słychać tęsknotę. – Moglibyśmy w końcu dowiedzieć się, co znaczą nasze symbole.

O'Malley strzela wzrokiem w moją stronę, po czym natychmiast wraca nim

do mapy. Wygląda, jakby... miał poczucie winy. Niemal tak, jakby już wiedział, co oznaczają symbole, tylko nie chciał nam powiedzieć.

S pingate pochyła się nad mapą i mruży oczy, spoglądając na olbrzymi ziggurat.

– Budowniczkowie miasta musieli zetknąć się z czerwoną pleśnią. Może znaleźli sposób, żeby ją pokonać.

Bishop chrząka.

– Jeśli ją pokonali, dlaczego potem odeszli?

Spingate wyrzuca ręce w górę.

– N i e w i e m! Dlaczego zawsze myślicie, że wszystko wiem? Słuchajcie, jeśli w Obserwatorium są jakiegokolwiek dane o czerwonej pleśni, muszę je zdobyć.

Urywa. Oddycha ciężko. Przed twarzą zwisa jej ciężki lok kręconych rudych włosów.

U waga Bishopa mnie niepokoi. Czy miasto opustoszało właśnie z powodu czerwonej pleśni? Czy to ona wszystkich wypędziła? Albo wybiła? Jeśli tak, jakie szanse na przeżycie w tym miejscu mamy my sami?

W patruję się w wizerunek zigguratu. W tej skali, w której większość budynków wznosi się na długość mojego kciuka, ten ma rozmiar mojej głowy. Wygląda tak realistycznie, że mogę niemal wyciągnąć rękę i odgarnąć pnącza porastające jego ściany.

O 'Malley odchrząkuje.

– Obserwatorium jest niedaleko stąd – mówi. – Ktoś mógłby wyruszyć teraz, dotrzeć na miejsce w południe i się rozejrzeć. Wróciłby tuż po zachodzie słońca. Wiem, że brakuje nam czasu i jedzenia, ale jeden dzień to niewielkie poświęcenie, jeśli oszczędzi nam ryzyka, jakim jest wysyłanie ludzi do dżungli. Poza tym, Em, mówiłaś wcześniej, że musimy się dowiedzieć, czy nie ma jakichś pajaków w pobliżu wahadłowca. Ten, kto pójdzie do

Obserwatorium, mógłby przy okazji przeprowadzić rozpoznanie terenu w naszej okolicy.

N a dźwięk słów „rozpoznanie terenu” Bishop podrywa głowę. Kiwa nią ochoczo, zgadzając się z O’Malleyem całkowicie. Końcem palca zaznacza świecącą trasę wzdłuż ulic, od wahadłowca do olbrzymiego zigguratu. Potem zaznacza drogę powrotną, tym razem innymi ulicami.

– Mógłbym wziąć ze sobą dwie kółko-gwiazdy – mówi. – Moglibyśmy sprawdzić spory obszar pod kątem pajaków i rozszerzyć w ten sposób strefę bezpieczeństwa, a dodatkowo przeprowadzić rozpoznanie wokół tego wielkiego zigguratu. Świetny pomysł, Em.

T o faktycznie świetny pomysł – ale czy to ja na niego wpadłam? Może. Tyle się dzieje naraz, że nie pamiętam wszystkiego, co mówiłam. A może to znowu O’Malley udał, że jego pomysł był mój? Tak czy siak, plan jest dobry, ale niepozbawiony ryzyka.

– To może być zbyt niebezpieczne – mówię. – Wymaga wyjścia z wahadłowca na dłuższy czas, a gdzieś tam czyha pajak.

Bishop prostuje się i sztywnieje, przyciskając siekierę do piersi. Wygląda, jakby wpatrywał się w coś niewidzialnego.

– Jesteśmy cieniem. – Głos nagle ma zmieniony, cichy i łagodny. – Jesteśmy wiatrem. Jesteśmy ś m i e r c i ą.

W szyscy spoglądamy po sobie, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Od niewidzącego spojrzenia Bishopa robi się nam nieswojo. Co się z nim dzieje?

Delikatnie kładę mu rękę na ramieniu.

– Bishop, co to właściwie znaczy?

J ego trans się urywa. Twarz mu czerwienieje.

– Tylko tyle, że kółko-gwiazdy potrafią poruszać się cicho. Chyba właśnie wróciła mi część wspomnień. Kiedy byłem mały, ktoś uczył mnie tej frazy na pamięć. Ktoś nas szkolił, jak poruszać się bezszelestnie, jak tropić ludzi

i zwierzęta, jak podkraść się do innych, jak ich...

Nie kończy, ale wiem, co chciał powiedzieć: „jak ich zabijać”.

– Tak jak mnie uczyli matmy i przyrody – ożywia się Spingate. – Szkolili mnie wcześniej. To znaczy... szkolili moją protoplastkę.

– Tak jak mnie uczyli, jak się modlić – dodaje Aramowski.

– A mnie – jak pilotować – dopowiada Gaston.

Pilotowanie, walka, nauka, nawet religia – wygląda na to, że dla każdego symbolu istnieje specjalizacja w jakimś obszarze wiedzy. Wszystkich moich przyjaciół ktoś uczył czegoś ważnego. A czego uczono mnie? Jestem kółkiem, a nas, kółek, jest więcej niż osób z każdej innej grupy – po co my przyszliśmy na świat?

– Mógłbym wziąć ze sobą Viscę i Bawden – mówi Bishop. – Są równie szybcy jak ja. Jeśli zobaczymy pajaka, wrócimy. Nawet jeśli pajak schwyta jedno z nas, pozostali wrócą i podzielą się tym, czego się dowiedzieli.

Chce, żeby poszła trójka, bo wie, że jedna osoba może nie dać rady wrócić. Czy informacje są ważniejsze niż życie? Ciekawe, czego jeszcze ktoś uczył kółko-gwiazdy, kiedy były małe.

– Dlaczego nie Coyotl i Farrar? – pyta O'Malley. – Wyszli z wami wcześniej i udało im się wrócić. Nie zależy ci na ich doświadczeniu?

Bishop się krzywi.

– Farrar nie słuchał rozkazów. A Coyotl... robi dużo hałasu. – Spogląda na mnie. – Ty potrafiłabyś poruszać się ciszej niż on, Em. Mógłbym cię wyszkolić.

To coś, czego chętnie bym się nauczyła.

N a razie jednak zgadzam się na plan Bishopa, czyli nieobecność trzech kółko-gwiazd przez cały dzień. Spingate ma rację – budowla z zasilaniem jest ważniejsza niż miejsce po ognisku. Chyba nie możemy ryzykować wysyłania dodatkowych osób w dżunglę. To musi poczekać do jutra.

– Idźcie od razu – mówię do Bishopa. – Wróćcie przed zmierzchem.

O dwraca się i wychodzi.

– Na mnie czeka praca w laboratorium – mówi Spingate.

Aramowski prycha.

– Też mi praca. Nazywasz to pracą?

M iarka się przebrała – mam już dość tych jego pierdół.

– Wszyscy wyjść – mówię. – Oprócz ciebie, Aramowski. Chcę z tobą pomówić.

O 'Malley robi wielkie oczy. Chętnie by został. Najwyraźniej myśli, że bez jego pomocy sobie nie poradzę. Ignoruję to niewypowiedziane ostrzeżenie; potrafię sama się tym zająć.

Spingate chwyta Gastona za rękę.

– Chodź – mówi. – Potrzebna mi twoja pomoc w laboratorium.

Aramowski zakłada ręce na piersi w oczekiwaniu.

O 'Malley nadal stoi, jak stał.

– Prosiłam, żebyście wyszli – mówię.

O 'Malley rzuca Aramowskiemu spojrzenie wyraźnie ostrzegawcze. Tamten w odpowiedzi udaje, że ziewa.

O 'Malley wychodzi gniewnym krokiem.

R uszam za nim na korytarz, zatrzymuję go u wyjścia z wahadłowca.

– Czekał – mówię. – Zachowujesz się jakoś dziwnie. Czy jest coś, co powinnam wiedzieć?

J esteśmy sami. Daję mu okazję do przyznania się przede mną do tego, co już odkrył: że Obserwatorium ma zasilanie, że wie coś o naszych symbolach.

Kręci głową.

– Nie. Po prostu uważaj na Aramowskiego. To cwaniak.

O 'Malley odwraca się i wchodzi do sali z trumnami.

C zy ukrywa coś przede mną? Będę się wkrótce musiała dowiedzieć.

Ale wszystko po kolei – teraz pora zająć się Aramowskim.

PIĘTNAŚCIE

Zamykam za sobą drzwi sterowni. Nie mam jak ich zablokować, ale pozostali widzieli, jaka jestem zła – nikt nie przeszkodzi mi w rozmowie z Aramowskim.

Ten uśmiecha się tym swoim fałszywym uśmiechem.

– Postanowiłaś porozmawiać sama, zamiast zlecić to Bishopowi?

– On nie mówi w moim imieniu.

Aramowski ogląda sobie paznokcie, jakby szukał pod nimi brudu.

– Bishop powiedział mi, że mam przestać się z tobą sprzeczać – tu patrzy mi prosto w oczy – albo zrobi mi krzywdę.

Czy to prawda? Nie chcę, żeby Bishop groził innym – ani myślał, że musi wygrywać za mnie moje własne bitwy.

– Porozmawiam z nim o tym. Nikomu nie wolno grozić ci tylko dlatego, że mówisz, co myślisz. Potrzebujemy pomysłów każdego z nas.

– Ciekawe, bo właśnie mówiłem, co myślę, kiedy w sali z trumnami powiedziałem, że czerwona pleśń to kara od bogów. Stałaś wtedy przede mną, wymachując włócznią. Powiedz, Em: gdyby Bishop nie poprosił mnie na słowo, czy ty byś mi nie groziła?

Nie wydaje mi się, ale pewności mieć nie mogę – byłam wściekła.

– Jeśli chcesz porozmawiać o tym, kto komu groził, pomówmy o tym, jak groziłeś Spingate.

– Już ci mówiłem: powtórzyłem tylko to, co powiedzieli mi bogowie.

Teraż będzie udawał, że rozmawia z bogami twarzą w twarz?

– Inni może uwierzą w twoje kłamstwa, ale nie ja. Wiem, co powiedziałeś Spingate, i wiem, co próbujesz zrobić.

– A co mianowicie?

– Sam chcesz być przywódcą.

Z nowu się uśmiecha. Tym razem uśmiech jest autentyczny – ale i pobłażliwy, jak u dorosłego, który ma do czynienia z dzieckiem.

– Niczego takiego nie chcę – oświadczam. – Pragnę jedynie wskazywać ludziom drogę. Pragnę, żebyśmy postępowali słusznie w oczach bogów.

– Masz przestać robić rzeczy, które działają przeciw nam. – Nie podnoszę głosu, ale wiem, że Aramowski mnie słyszy. To moje ostrzeżenie. – W tym także skończyć ze wszystkimi tymi bzdurami pod hasłem „religia”.

Spodziewałam się, że zagram mu tym na nerwach, może go nawet rozzłoszcę, tymczasem wygląda, jakby był nie tyle na mnie zły, co mną zmęczony.

– Nazwałaś religię „bzdurami”, kiedy rozmawialiśmy nad grobem Latu. Pomyśl o wszystkich cudach, które od tamtej pory oglądaliśmy na własne oczy. Widziałaś je i mimo to wciąż nie wierzysz w opatrność czuwającą nad naszym losem?

– Cuda nie istnieją. A każdy z nas jest kowalem swojego losu.

Aramowski wzdycha i zakłada ręce na piersi.

– Nie powinnaś zwalczać religii. Religia pomaga w podejmowaniu decyzji, pomaga innym w y k o n y w a ć te decyzje. Jest nas tu teraz prawie trzysta dusz – coraz trudniej będzie ci nakłonić wszystkich do posłuszeństwa.

– Jedyni, którzy nie lubią p o s ł u s z e ń s t w a, to ci, którzy słuchają ciebie. A jest nas p r a w i e t r z y s t a o s ó b dlatego, że to ty wypuściłeś te dzieci na świat.

Potakuje skinieniem głowy.

– Tak zrobiłem, bo to było coś słusznego, co trzeba było zrobić. Gdybyśmy

trzymali je w trumnach tylko dlatego, że tak jest nam wygodniej, bylibyśmy nie lepsi od Starszych.

To mnie zaskakuje, tłumisz mój gniew. O tym nie pomyślałam. Nigdy, p r z e n i g d y nie chcę być porównywana z Matyldą i stworami jej pokroju.

– Może masz w tym rację.

– Dziękuję – odpowiada. – Ale nie doszedłem do tej decyzji sam. Ktoś mi ją wskazał. – Waha się chwilę, ważąc słowa. Potem ciągnie: – Pozwól mi sobie p o m ó c, Em. Bogowie chcą wskazać ci drogę, mogę być dla ciebie ich głosem.

O czywiście. Jeśli chodzi o Aramowskiego, wszystko zawsze sprowadza się do kwestii władzy.

– Nie potrzebuję żadnego głosu, który będzie mi wskazywał drogę.

Unosi brwi.

– Ach tak? W takim razie chyba nie rozumiem, co robi O'Malley, kiedy szepcze ci coś do ucha.

Twarz mi się czerwieni.

– O'Malley niczego mi nie s z e p c z e – protestuję, choć doskonale wiem, że tak właśnie robi. – Słucham wszystkich. On po prostu dobrze doradza.

– Czyżby? Czy pomyśl, żeby Bishop poszedł na rozpoznanie terenu poszukać pajaków, tak naprawdę był t w ó j?

Zauważył to samo co ja. Czy próbuje mi powiedzieć, że O'Malley mną m a n i p u l u j e? To jakiś absurd... prawda?

Kręcę głową.

– To ja podejmuję ostateczne decyzje – mówię, podnosząc włącznie – bo mam t o.

– Tak, to ty masz włącznie. Włącznie, którą doprowadził do ciebie i włożył w twoje ręce Bóg Krwi.

Będzie teraz udawać, że to nie ludzie wybrali mnie na przywódcę, że

zawdzięczam to woli jego niewidzialnych przyjaciół? Nigdy nie przemówię temu chłopakowi do rozumu. Jest dla nas wszystkich niebezpieczny, jest klinem, który nas wszystkich podzieli.

– Dość mam twojego gadania o bogach czy bogu. Gdzie tak w ogóle są ci twoi bogowie? Dlaczego nie objawią się i nam nie pomogą?

Mina Aramowskiego jest tak protekcyjna, że mam ochotę zderzyć mu ją z twarzy.

– Em, jak możesz być tak ślepa? Odbyliśmy podróż na statku, który przebył drogę między planetami. Zostaliśmy na nim stworzeni, zaprojektowani tak, by żyć na Omeyocanie, choć ci, co nas zaprojektowali, nie mogą. Znajdujemy się w mieście, które zbudowano dla nas. Jeśli potrzeba ci więcej dowodów na istnienie bogów, mała Matylde, to...

Grot mojej włóczni zatrzymuje się przy jego szyi ruchem tak szybkim, że aż niewidocznym, który moje ręce wykonują, zanim jeszcze mój mózg zdąży zareagować.

– Nie nazywaj mnie tak – cedzę przez zęby głosem niskim jak pomruk zwierzęcia. – Nie nazywaj mnie tak nigdy więcej.

Aramowski stoi w kompletnym bezruchu. Próbuje udawać, że się nie boi, ale grot mojej włóczni jest tuż pod jego grdyką. Mogłabym pchnąć (*byłoby tak łatwo, a wtedy już zawsze byłabyś wolna*) i uciszyć go na dobre.

Tak samo, jak Bishop uciszył jego protoplastę.

Przypominam sobie pełznące czarne ciało, strzaskaną kość udową wbijającą się głęboko w plecy stwora. Nie mogłam wtedy na to patrzeć, miałam ochotę uciec...

Wstrząsa mną nagły dygot. Co ja wyprawiam? Znow ta moja porywczosć. Omal nie zabiłam tego chłopaka. Cofam włócznię, stawiam ją drzewcem na podłodze.

Aramowski rozciera sobie szyję.

– Mogę iść? Chyba że masz ochotę znów mnie dźgnąć.

– Wcale cię nie dźgnęłam. – Rzucam te słowa ostro, w odruchu obronnym. Jest mi niezręcznie i głupio, że nad sobą nie zapanowałam.

Aramowski odejmuje palce od szyi – jest na nich cieniutka smuga czerwieni.

– Bóg Krwi to pochwała, Em.

– Wyjdź.

Aramowski wychodzi.

Teraź jestem już pewna – chce przewodzić innym. Na własną rękę, jeśli mu się uda, albo sterując mną.

Uważaj na Aramowskiego, powiedział mi O'Malley. To cwaniak.

W tym się nie mylił. Ale czy i on nie próbuje sterować mną tak samo jak Aramowski? Czy tak naprawdę dowodzę ja, czy to O'Malley nadaje kształt mojemu rozumowaniu?

Spingate sprawiała wrażenie rozstrojonej na naszym zebraniu. Najpierw sprawdzę, co u niej, potem odszukam O'Malleya. Muszę wiedzieć, czy nie ukrywa przede mną jakichś informacji.

SZESNAŚCIE

Małe dzieci są wszędzie. Biegają w kółko, wygłupiają się i generalnie przeszkadzają. Wahadłowiec jest przestronny, ale jest na nim o wiele za dużo ludzi. Muszę znaleźć sposób, żeby wszyscy się czymś zajęli.

Dzieci są nawet na deku drugim, gdzie znajdują się laboratoria. Drzwi pomieszczeń są zamknięte. Słyszę głos Spingate dochodzący zza tych z napisem „Laboratorium 1”. Wrzeszczy na kogoś.

Pukam.

– Idźcie sobie! – odkrzykuje.

– Spin, to ja, Em.

Chwila ciszy. Drzwi się rozsuwają. Na korytarz wychodzi Gaston. Ma wielkie oczy, jest wykończony. Zamyka drzwi za sobą.

– Em, ratuj – mówi cicho. – Ona potrzebuje pomocy, ale to, czym się zajmuje, mnie przerasta. Szkolili mnie do latania, nie do badań naukowych w dziedzinie biologii. Muszę iść do sterowni, chyba odkryłem systemy broni pokładowej.

To dobra wiadomość, serce aż skacze mi z radości.

– Coś jak tamte bransoletki?

Kręci głową.

– Nie, układy broni, która jest częścią wahadłowca, którą ten może kierować na cele zewnętrzne. Coś jak rakiety.

Mniej więcej kojarzę, co to takiego „rakietę”. Nie bardzo rozumiem, jak

może nam pomóc, chyba że Gaston potrafi trafić nią w pająka.

Chłopak bierze mnie za rękę.

– Chodź, pogadaj ze Spingate – prosi. A ciszej dodaje: – I u w a ż a j.

Zanim zdążę zapytać go, co ma na myśli, wciąga mnie do środka laboratorium. Wąska salka jest biała, tak jak gabinet zabiegowy Smith. Wzdłuż ścian stoją szafki, rozmaity sprzęt i urządzenia, których nie poznaję. Spingate wpatruje się w coś, co unosi się nad białym postumentem oznaczonym symbolem złotego koła zębatego.

– Cześć, Spin – odzywam się. – Przyszłam zobaczyć, czy mogłabym ci jakoś pomóc.

– Wątpię – odpowiada, nie podnosząc wzroku znad tego, co robi. – Pomaga mi już Gaston.

O braz nad stojącym przed nią postumentem wygląda jak coś w rodzaju poskręcanej drabinki z różnokolorowymi szczeblami. Nie wiem, co to ma być.

D o tej pory Spingate do rozwiązywania wszelkich pojawiających się łamigłówek podchodziła z pełnym radosnej emocji podnieceniem. Nie tym razem. Żadnych uśmiechów, chichotów. Oczy zapadnięte, włosy rozczochrane – jest sfrustrowana.

G api się w poskręcaną drabinkę, jakby zdążyła już zapomnieć, że tu jestem.

Z erkam na Gastona. Ma błagalny wzrok – chciałby stąd wyjść. Po części dlatego, że chce dowiedzieć się czegoś więcej o wahadłowcu – rozumiem to – ale jeszcze bardziej z powodu złego nastroju, którym tak emanuje Spingate.

P rzypomina mi się, że on jako jedyny z nas wie, jak się lata... Może dam radę rozwiązać dwa problemy naraz.

– Gaston, możesz nauczyć Becketta, jak latać wahadłowcem?

Marszczy czoło.

– Po co? Przecież ja wiem, jak to się robi.

M oże jest jeszcze zły na Becketta, że ten naskoczył na niego w związku ze

skażeniem żywności. Albo może nie chce, żeby ktokolwiek inny wiedział to, co on wie, żeby nadal mógł być kimś szczególnym.

– Bo jeśli coś ci się stanie – tłumaczę – utkniemy tu na dobre.

Wskazuje gestem Spingate.

– Ona mogłaby go pilotować, wystarczyłoby jej tylko kilka dodatkowych lekcji. Mógłbym ją nauczyć...

Spingate rzuca mu wściekłe spojrzenie, wygina wargi w szyderczym uśmiechu.

– Może ci to umknęło, ale jestem z a j ę t a. Oczywiście, że mogłabym sama pilotować wahadłowiec, ale dodatkowe lekcje wymagałyby czasu. Czy wyglądam, jakbym miała za dużo czasu?

Gaston wycofuje się tyłem w stronę wyjścia.

– Poszukam Becketta – oznajmia. – Według rozkazu naszej nieustraszonej przywódczyni.

I z tymi słowami na ustach znika.

Spingate gromi mnie wzrokiem.

– Gaston musi się skupić na tym, w czym jest dobry – mówię. – Przyślę ci tu do pomocy Okerekego i Johnson. To będzie ich jedyne zadanie.

Spingate z irytacją wyrzuca ręce w górę.

– Okereke i Johnson? Em, to nie są zębatki, to p u s t a k i, nie są dość i...

Urywa. Jej gniew znika.

Nie wierzę własnym uszom.

– Nie są dość i n t e l i g e n t n e – dopowiadam za nią. – Bo to tylko kółka. Takie jak ja. Tak?

Udało nam się zajść tak daleko bez ulegania wpływowi naszych symboli, aż tu pierwszy tak naprawdę konflikt następuje z winy nie Aramowskiego, a Spingate – mojej p r z y j a c i ó ł k i. Czy Spin od z a w s z e bierze mnie za głupka?

– Em, ja... Nie to miałam na myśli. – Jej twarz jest jaskrawoczerwona. Wyrzuca z siebie w pośpiechu: – Wszyscy mamy za sobą jakieś wcześniejsze szkolenie. Gaston wie, jak latać, Bishop – jak walczyć. Ja wiem już dużo z matmy i przyrody, to coś, co umieją tylko inne zębatki. Nie ma czasu uczyć tych wszystkich rzeczy kogoś, kto nie zdążył zrozumieć ich wcześniej.

J ej wymówki nie na wiele się zdają. Powinam była wiedzieć. I może przez cały czas wiedziałam. Spingate to zęb-dziewczyna; w gruncie rzeczy z powodu mojego symbolu patrzy na mnie z góry, choć sama nie wie dlaczego. Może to tłumaczy moje niewyraźne wspomnienia ze szkoły, wspomnienia o zęb-dziewczynach, przez które moje życie było jedną wielką udręką.

Spingate rani moje uczucia, ale te są nieważne, bo ona ma rację – rzeczywistość jest, jaka jest, czy nam się to podoba, czy nie.

– Potrzebny ci ktoś, kto zrozumie, co robisz – mówię. – Kiedy się obudziliśmy, dysponowaliśmy taką wiedzą, jak dwunastolatki. Z dziećmiakami z „Xolotla” jest tak samo, prawda?

Powoli kiwa głową.

– Zubiri jest inteligentna – mówię. – Poznałaś ją już?

– Trochę z nią rozmawiałam.

– To dobrze. Ona i M. Cathcart będą ci służyć pomocą w twoich badaniach. Nie martw się, Cathcart to też zębatek, na pewno nie będzie za głupi na pomocnika.

S pingate mruga gwałtownie.

– Em, złościłam się, jeszcze zanim tu weszłaś. Nie zdążyłam się przespać. To, co powiedziałam, ja...

– To nieważne.

O czy mnie pieką. Wychodzę, żeby się przy niej nie rozpląkać.

M am tego wszystkiego dosyć. Nasze symbole to bliska wrzenia trucizna, która, gdy wykipi, skazi i zepsuje wszystko, co z takim trudem udało się nam

zbudować.

O'Malley coś o nich wie. I zaraz mi powie.

SIEDEMNAŚCIE

Obracam kołem. Otwieram drzwi.

O'Malley okręca się na pięcie sprawdzić, kto przyszedł – obraz nad postumentami raptownie się zmienia. Nie wiem, co było tam chwilę wcześniej, ale teraz widzę to samo, co kiedy byłam tu ostatnio: małe głowy Aramowskiego, O'Malleya i Matyldy.

O'Malley jest wyraźnie zadowolony – pewnie myśli, że przyszedłam upomnieć się o ten obiecany pocałunek – ale tylko przez chwilę. Moja mina zdradza mu, że nie o to chodzi.

– Em, co się stało?

Mi usnę, że coś ukrywa, ale nie jestem pewna. W głowie odzywa mi się echem głos ojca: *Atakuj, atakuj, zawsze atakuj.*

– Skłamałaś na zebraniu – mówię, nie kryjąc płynącego z serca gniewu, choć równocześnie liczę na to, że się mylę. – Już wiedziałaś, że Obserwatorium ma zasilanie.

Widzę drgnienie jego ust, tylko jedno.

– Wiedziałem – potwierdza.

Miałam rację. Nie chciałam jej mieć. Chciałam mu ufać.

– Przypomniałaś sobie swój kod dostępu?

Wpatruje się we mnie przez kilka sekund z obojętnym, nieprzenikniętym wyrazem twarzy. Rozważa swoje szanse: skłamać – a nuż mu się upiecze? – czy powiedzieć prawdę.

– Nie przypomniałem go sobie, ale się domyśliłem – mówi. –

Przypuszczałem, że może mój protoplasta wybrał jako kod coś ważnego ze swojego dzieciństwa. Myślałem o tym od samego początku, odkąd odkryłem tę salę.

Czekam. Jest jakiś ciąg dalszy i on mi o nim p o w i e.

Jego kamienna mina znika, zastępuje ją smutek. Odwraca wzrok.

– Kiedy byłem mały, miałem kotka – wyznaje. – To znaczy o n miał kotka. Białego, z czarną plamką na pyszczku. Kazali mu go zabić. Kotek wabił się Chrom.

Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Czuję radość, ale i zazdrość, że przypomina sobie coś z przeszłości. Współczuję mu też, bo jest oczywiste – choć kot nie żyje od tysiąca lat, a tak w ogóle nie był naprawdę j e g o – że to trudne wspomnienie.

– Dlaczego kazali twojemu stwórcy go zabić?

Przez chwilę wpatruje się w podłogę, a potem wzrusza ramionami.

– Nie jestem pewien – mówi. – Chyba próbowali nauczyć mojego protoplastę czegoś o emocjach.

Czego może nauczyć o emocjach małego chłopca rozkaz zabicia kotka? Po chwili przypominam sobie, o kim rozmawiamy: o Starszych. W porównaniu z tym, co już widzieliśmy, zmuszenie małego dziecka do zamordowania ulubionego zwierzaka to nic wielkiego.

– Więc to był twój kod dostępu? „Chrom”?

– To i jeszcze jakieś cyfry i litery – odpowiada. – Nie wiem, co one znaczą, może to tylko przypadkowy ciąg.

Świnia, którą dobiłam w Ogrodzie... Tak ciężko było mi odebrać temu zwierzęciu życie. Nie umiem sobie wyobrazić, jakie to uczucie zrobić to samo zwierzątku, które się kocha. Jakie to niesprawiedliwe, że O'Malley pamięta ten czyn, skoro nie on się go dopuścił.

Może chciałby o tym porozmawiać. Jeśli będzie czuł taką potrzebę,

wysłucham go, ale nie teraz. Mamy ważniejsze sprawy na głowie niż martwy kot.

– Musimy wiedzieć więcej – oświadczam. – Czy postumenty mogą opowiedzieć nam coś o mieście? O pleśni?

Kręci głową.

– Wygląda na to, że większość informacji trwale wykasowano. Myślę, że zrobili to Starsi. Nie wiem czemu. Udało mi się dotrzeć do części informacji organizacyjnych. To z nich się dowiedziałem, że w Obserwatorium jest zasilanie.

O bserwatorium. Wystarczyło, żeby przyznał się i powiedział, co wie. Zamiast tego wolał nam wmówić, że pójście tam to pomysł kogoś innego.

A takuj, atakuj...

– Co znaczą nasze symbole, O'Malley?

Na twarz wraca mu kamienna maska.

– Nie chcesz tego wiedzieć.

– Ach tak, czyżby? Czyli teraz lepiej ode mnie wiesz, czego chcę?

– Wiem, czego ci p o t r z e b a.

C o za arogancja. Współczucie wywołane wspomnieniem o kocie szybko mi mija.

– Mów, i to już. W tej chwili.

Waha się.

– Zawsze powtarzasz, że nie możemy sobie pozwolić na żadne podziały jedni przeciw drugim – stwierdza. – Masz rację. Więc jeśli odkryłem coś, co robili Starsi i co nas nie dotyczy, a tylko wytrąciłoby wszystkich z równowagi, to twoja decyzja, że najlepiej zostawić to w spokoju, będzie słuszna.

Wzajemne kłótnie, podziały, wewnętrzne spory – to najprostsza droga do porażki, do katastrofy. Czy naprawdę potrzeba nam czegoś, co mogłoby nas podzielić? Potrzebuję wszelkich informacji, jakie uda się zdobyć, ale...

... zaraz.

Z araz, zaraz.

Wiem, że nie możemy sobie pozwolić na żadne podziały – ale nigdy tego nie powiedziałam. Tak samo jak nie powiedziałam, żeby sprawdzić okolicę wahadłowca pod kątem obecności pajaków.

Nie ja powiedziałam te rzeczy, tylko O'Malley.

Z nowu wzbiera we mnie gniew, ale tym razem jestem na niego przygotowana. Tłamszę go w sobie. Odstawiam włącznię pod ścianę, wyciągam dłoń do O'Malleya i biorę go za rękę. Patrzy na nasze splecione palce z pewnym zaskoczeniem. Może kontakt fizyczny nie krępuje go tylko wtedy, kiedy sam do niego doprowadza.

– Chcesz, żeby wszyscy myśleli, że twoje pomysły są moimi pomysłami – mówię. – Dlaczego?

Robi wielkie oczy. Przyłapałam go i dobrze o tym wie. Czy myślał, że się nie zorientuję? Czy wydaje mu się, że jestem głupia, bo jestem tylko pustakiem?

– To moje szkolenie – tłumaczy się. – Znam pewne sposoby, jak... przekonywać innych, że warto robić różne rzeczy. Jak sprawić, żeby wszyscy myśleli, że przywódca doskonale wie, co się dzieje. Wątpienie w przywódcę ludziom nie służy. Jak tylko zacząłem ci pomagać, jeszcze na „Xolotlu”, przypomniałem sobie trochę tego, czego nauczyłem się w szkole.

Przeżył eksplozję wspomnień. To samo przydarzyło się Gastonowi, Aramowskiemu, Bishopowi, Spingate. Mnie to ciągle jeszcze czeka.

– To, co zrobiłeś, było nie w porządku – mówię. – To, że wiesz, jak coś robić, nie oznacza, że musisz to robić.

Wzrusza ramionami.

– Tak mnie wyszkolili.

– Nie ciebie. Twojego stwórcę.

Naburmusza się.

– A czy to jakakolwiek różnica? Ja p a m i ę t a m tamtego kotka. Pamiętam, jak go trzymałem, głaskałem. Pamiętam, jak mruczał, jak mnie kochał, jak mi u f a ł, aż do momentu, kiedy zacisnąłem mu ręce na szyjce. Pamiętam, jak mnie drapał...

O'Malley traci wątek. Podciąga rękaw czarnego kombinezonu, wbija wzrok w przedramię. Obraca rękę w jedną stronę, w drugą, wyraźnie czegoś szukając.

– On mnie podrapał – mówi. – Naprawdę mocno. Miałem blizny.

Biorę jego rękę w dłonie. Kciukiem powoli kreślę kółka na jego skórze.

– Blizny miał twój protoplasta. Ty to n i e on. Pytałeś, czy to jakakolwiek różnica. Owszem: nie musisz niczego robić tak, jak zrobiłby to on. Masz wybór. W s z y s c y mamy wybór. Nie musisz dla mnie kłamać. Nie popełnimy tych samych błędów, co nasi stwórcy. Jeśli ludzie będą we mnie wątpić, nie szkodzi.

– Mylisz się – protestuje. – Jeśli ludzie nie będą uważać, że dokładnie wiesz, co należy robić, poszukają kogoś, kto to wie.

Wzruszam ramionami.

– Więc zarządzimy nowe głosowanie i wybierzemy nowego przywódcę. Nie możemy mieć przed sobą nawzajem tajemnic.

Śmieje się, odwracając wzrok.

– Teraz tak mówisz.

Ujmuję jego twarz w dłonie, zmuszam go, żeby spojrzał mi w oczy.

– N i e b ę d z i e my mieć przed sobą tajemnic. Powiedz mi, co znaczą te symbole.

Patrzy na mnie błagalnie.

– Daj temu spokój. To wszystko zmieni.

Kiwam głową.

– I poradzimy sobie z tym.

O 'Malley zamyka oczy. Powoli pochyla głowę, aż wreszcie przyciska swoje czoło do mojego. Przez ten drobny kontakt dreszcz przenika całe moje ciało. Choć nie jest to nic agresywnego jak jego pocałunek, ten delikatny dotyk trafia do mnie w sposób, który dla pocałunku byłby nieosiągalny.

O 'Malley prostuje się, obraca twarzą do postumentów.

– Do wahadłowca: pokaż jej koło.

Niewidzialny głos odpowiada:

– *Tak jest, panie kanclerzu.*

Małe głowy nad postumentem zamazują się, potem znikają. Formuje się koło, na którego zewnętrznym obwodzie rozsiane są drobne obrazki. W środku koła widnieje płaska, karykaturalna twarz o grubych policzkach, która wygląda, jakby ktoś wyrzeźbił ją w płaskim kamieniu. Ma wystawiony język. Styl tego wizerunku kojarzy mi się z płaskorzeźbami z mojej urodzinowej trumny.

T o koło z obrazków...

Patrzę na czerwone kółko wyszyte na piersi kombinezonu O'Malleya po lewej.

– Nasze krawaty – mówię. – Ta twarz i symbole wyglądają jak to, co mieliśmy na krawatach.

O'Malley potakuje skinięciem głowy.

– Zgadza się. Ale, zanim spytasz: nie wiem, co to znaczy. – Widzi w moich oczach powątpiewanie. – Mówiłem ci, że różne informacje zostały wykasowane. Wiem, że teraz trudno ci będzie mi uwierzyć, ale taka jest prawda. Do wahadłowca: pokaż jej symbole.

Nad postumentem wokół koła pojawiają się trzy świecące kropki. Ta u samej góry czernieje, powiększa się i zmienia w symbol: koło zębate Spingate. Dwa inne formują się u dołu, łącząc się z zębatką i z sobą nawzajem

prostymi liniami, które tworzą trójkąt równoboczny. Po lewej: półpełne kółko O'Malleya, po prawej: dwupierścień Aramowskiego.

Przy każdym symbolu pojawiają się słowa: przy dwupierścieniu DUCHOWOŚĆ, przy kole zębatym UMYŚŁ, a przy półkółku STRUKTURA.

– Dwupierścień to oczywiście religia – mówi O'Malley. – Zębatka oznacza naukowców i inżynierów. Mój symbol to administracja: pomaganie przywódcom, organizowanie różnych spraw, zarządzanie innymi ludźmi, którzy wykonują faktyczną pracę fizyczną. O ile się orientuję, ludzie o tych trzech symbolach współpracowali ze sobą jako rządzący. Niezależnie od tego, jaki rodzaj kultury istniał na „Xolotlu” – w każdym razie, zanim ludzie zaczęli się wyrzynać – te trzy symbole dowodziły.

– Ale Matylda była przywódcą. Skoro ja jestem kółkiem, ona chyba też nim była? Kółka musiały być w grupie przywódczej, prawda?

Nie odpowiada. Wolałby nie kontynuować tego tematu.

– Opowiedz mi całą resztę – mówię.

O'Malley odchrząkuje, mówi głośno:

– Pokaż symbole drugorzędne.

Pojawiają się jeszcze trzy kropki, każda w miejscu pomiędzy już widocznymi symbolami. Kropki przybierają kształty...

U góry po lewej: kółko-gwiazda Bishopa.

U góry po prawej: kółko-krzyżyk Smith.

I wreszcie na samym dole – mój symbol: puste kółko.

Pojawiają się słowa: obok kółko-gwiazdy SIŁA, obok kółko-krzyżyka ZDROWIE. Przy moim symbolu: słowo SŁUŻBA.

O'Malley wskazuje kółko-gwiazdę.

– „Siła” oznacza siły zbrojne. Żołnierzy albo policję. Tych, którzy strzegą ogólnego porządku.

Mówię o Bishopie i pozostałych, o tym, że zawsze jako pierwsi stają oko

w oko z wszelkim zagrożeniem, że bez nich wszyscy już dawno bylibyśmy nadpisani.

– Żołnierze pomagają zapewnić ludziom bezpieczeństwo – zauważam. – Ci, którzy to robią, powinni być częścią klasy panującej.

– Nie byli. – W głosie O'Malleya nie ma żadnego wahania, żadnej wątpliwości. – Wykonywali polecenia symboli głównych.

Czyli Starszy O'Malley rządziłby Starszym Bishopem? Ciekawe.

O'Malley celuje palcem w kółko-krzyżyk.

– Ten symbol przeznaczony był dla lekarzy, pielęgniarek, osób zajmujących się zdrowiem innych.

Brewer, martwy chłopiec w trumnie, miał na swoim czole kółko-krzyżyk. Czy Brewer to lekarz? Może to on był odpowiedzialny za p o j e m n i k i. To by wiele wyjaśniało: dlaczego kontrolował nasze trumny, jak udało mu się nas obudzić, a przez wszystkie te stulecia blokować dostęp do nas Matyldzie i pozostałym.

Czekam, aż O'Malley podejmie wątek. Nie robi tego. Opuszcza wzrok, nie chce spojrzeć mi w oczy.

– Przestań zwlekać – mówię. – Wytłumacz mi mój symbol. Jaka była moja rola w ich społeczeństwie? Jakie to niby mam specjalne zdolności?

Wydaje z siebie przeciągłe westchnienie. W jego niebieskich oczach wzbierają łzy. Może potrafi udawać emocje na zawołanie, ale tego nie udaje.

– Kółka nie mają specjalnych zdolności – odpowiada. – Twoją rolą było robić wszystko, co kazały ci robić pozostałe symbole. Em... Kółka były n i e w o l n i k a m i.

T o jedno słowo, niczym klucz wsuwający się do zamka, niszczy bariery rozdzielające mój umysł. Zalewają go wspomnienia Matyldy – fragmentaryczne, zniekształcone, a przecież r e a l n e. Jestem w szkole, niosę w rękach rzeczy zęb-dziewczynki, podczas gdy ona sama idzie o pięć kroków

przede mną, śmiejąc się z innymi zęb-dziewczynkami...

... jestem w klasie na lekcji – nie, czekam na z e w n ą t r z, razem z innymi kółkami, jakaś starsza pani uczy nas podstaw matematyki, podczas gdy moja zęb-dziewczynka – moja właścicielka – siedzi w klasie i uczy się fizyki...

... klęczę na stołówce, ścierając z podłogi jedzenie, które moja właścicielka strąciła tam tylko po to, żeby popatrzeć, jak będę je zbierać, podczas gdy ona i jej zęb-przyjaciółki śmieją się ze mnie i nie przestają powtarzać, jakim to jestem t ę p y m p u s t a k i e m...

...jestem w małej kościelnej salce, w której wszyscy w moim polu widzenia to kółka, z wyjątkiem pastorki, kobiety w czerwonych szatach z dwupierścieniem na czole, mówiącej, że życie, które zaplanowali dla nas bogowie, polega na s ł u ż b i e i jeśli będziemy sprawować się dobrze, czyli służyć i p o s ł u s z n i e wykonywać polecenia, otrzymamy wspaniałą nagrodę po śmierci, kiedy odejdziemy na Czarną Górę...

... stoję przed kościołem i rozmawiam ze starszym kółko-chłopcem, czekając, aż moja właścicielka skończy własne nabożeństwo w kościele dużo piękniejszym od mojego, a chłopiec rozgląda się ostrożnie, po czym pyta mnie, czy kiedykolwiek słyszałam o bogu imieniem Tlaloc, tym, który potrafi dać siłę żołnierzom, lekarzom i robotnikom, żeby powstali przeciwko panującym...

... czuję gniew, upokorzenie, n i e n a w i ś ć z powodu bycia czyjąś własnością, pozbawienia wszelkich praw... potrzebę zrobienia czegoś, żeby to zmienić, c z e g o k o l w i e k, niezależnie od konsekwencji...

– Em?

O 'Malley wpatruje się we mnie.

– Em, wszystko w porządku?

N i e. Nic nie jest w porządku. W końcu przydarzyła mi się ta chwila, na

którą czekałam, eksplozja wspomnień, taka, jak u moich przyjaciół. Gaston dowiaduje się, jak się lata, a mnie trafia się coś takiego?

Mam wspomnienia wspólne z moją stworzycielką. W większości składam się z tych wspomnień. Matylda może nie chodziła w łańcuchach, nie żyła w nędzy, ale i tak była niewolnicą. Była czyjąś własnością.

– Na „Xolotlu” wyglądało na to, że Matylda dowodzi innymi – zauważam. – Jakim cudem niewolnica mogłaby dowodzić?

– Dlatego, że poprowadziła ludzi do rebelii. Szczegółowe informacje na ten temat skasowano, ale jestem prawie pewien, że to ona wszczęła wojnę na tym statku.

Myślałam, że Matylda to potwór i z wyglądu, i z charakteru. Może sprawy nie są aż tak proste, aż tak jednoznaczne. Wszystkie te okaleczone ciała, zmasakrowane niemowlęta... to mógł zrobić tylko ktoś zły do szpiku kości. A jednak jakąś częścią umysłu – może tą, która należy do niej – rozumiem, dlaczego rozpętała tę wojnę.

– Nie chciała być niewolnicą – mówię. – Nie chciała, żeby ktokolwiek był niewolnikiem.

Po raz pierwszy autentycznie rozumiem moją stworzycielkę.

O'Malley łagodnie ujmuję mnie za ramiona.

– Teraz już wiesz, dlaczego nie możemy powiedzieć innym.

– Musimy. – Głos mam słaby, wyczerpany, wyprany z uczuć. – Wszyscy chcą wiedzieć, co znaczą te symbole.

O'Malley bierze moją twarz w dłonie, powtarzając gest, który sama wykonałam wobec niego zaledwie kilka chwil temu.

– Em, proszę cię. Szkolono mnie, bym doradzał przywódcom, uczono, jak się orientować, co ludzie myślą, a także jak nakłaniać przywódców, by mówili właściwe rzeczy we właściwym czasie. Jeśli teraz podzielimy się z innymi znaczeniem tych symboli, zniszczymy wszystko, co udało nam się

osiągnąć.

Wiem, że powinnam wszystkim powiedzieć, ale tak bardzo nie chcę. Niewolnica? To wszystko, czym byłam? Ale nie, to przecież nie byłam ja, tylko Matylda. Omeyocan to nowy świat. To nasz świat – możemy uczynić go takim, jakim zechcemy. Moi ludzie poradzą sobie z tymi informacjami. Będą umieli podjąć właściwą decyzję i oprzeć się wpływowi struktur pochodzących z naszej historii.

– Oni muszą wiedzieć – mówię. – Musimy być uczciwi.

O'Malley kręci głową z irytacją.

– Dobrze, muszą wiedzieć, w porządku, ale nie w tej chwili. Aramowski tylko czeka na dogodną okazję, żeby zażądać nowych wyborów. Chcesz zaryzykować? Postawisz na to, że nie wygra?

Myszę o Aramowskim i jego gadkach o Bogu Krwi. Na wahadłowcu mamy teraz tyle osób młodszych, o młodszych umysłach. Gdyby mógł mówić, co mu się żywnie spodoba, mógłby wszystkie te umysły zatruć.

O'Malley ma rację – nie wolno nam dopuścić Aramowskiego do rządzenia, to byłaby katastrofa.

– Ale powiem im, tak? – Teraz to w moim głosie pobrzmiwa błagalny ton. Nigdy nie byłam mniej przywódcza. – Powiemy niedługo?

O'Malley przyciąga mnie do siebie i obejmuje mocno. Pozwalam mu na to.

– Powiemy, Em, obiecuję. Opowiemy wszystkim o naszej przeszłości, ale dopiero kiedy zabezpieczymy naszą przyszłość.

Nie ma w nim teraz śladu arogancji, nie oczekuje niczego po tym uścisku – potrzebuję, żeby mnie przytulił, więc to robi.

Powiem wszystkim. Naprawdę powiem.

Tylko jeszcze nie teraz.

OSIEMNAŚCIE

Słońce wisi nisko na niebie. Bishop jeszcze nie wrócił. Siedzę sama na stercie pnączy otaczającej lądowisko. Panuje na nim spore ożywienie, bo zaangażowałam każdego do jakiejś pracy. Pod kierunkiem Opkick dzieciaki ścinają pnącza i czyszczą z nich metalowy pokład lądowiska. Poobcinane kawałki rzucają na ścianę pnączy, przez co robi się ona jeszcze wyższa i gęstsza. Jeśli pająki pozostają na poziomie ulicy, nie zobaczą wahadłowca. Może mogą wykryć nas w inny sposób – na przykład zmysłem węchu albo słuchu – ale jesteśmy schowani poza zasięgiem ich wzroku, a to zawsze coś.

Dzieciaki zajmujące się usuwaniem pnączy to głównie kółka. Dlatego, że w i ę k s z o ś ć z nas to kółka. Ten symbol ma na czole sześcioro dojrzałych nastolatków. Pięćdziesiąt dwoje dzieci z „Xolotla”. Wszystkie sto sześćdziesiąt ośmioro tych, które przechowano na wahadłowcu. Łącznie kółka stanowią trzy czwarte naszej populacji. Obserwując je, nie mogę przestać myśleć, że usuwanie niechcianych roślin to dokładnie taki rodzaj pracy, jakim zajmowałiby się niewolnicy.

W idzę stąd dużą część miasta – nie aż tyle, żeby dostrzec Bishopa, który jest gdzieś na wschodzie, ale jeśli jakiś pająk spróbuje się tu zapuścić, będę mieć mnóstwo czasu, żeby krzykiem ostrzec wszystkich i zagnać ich z powrotem do wnętrza wahadłowca.

Niepokoję się o Bishopa, Bawden i Visę. Nie mogę zrobić nic, żeby im pomóc. Obserwatorium ma własne zasilanie – czy to znaczy, że są tam ludzie?

Ludzie, którzy mogą zrobić krzywdę moim przyjaciołom?

M uszę znowu zobaczyć Bishopa, brak mi nawet samego jego widoku. Spingate zdradziła swoje prawdziwe uczucia, O'Malley bawi się w jakieś polityczne gierki, Gaston zajmuje się przyuczaniem Becketta do pilotażu, Aramowski to nieustające zagrożenie... Tylko na Bishopa mogę liczyć.

W mieście panuje cisza. Upał. Żadnego wietrzyku. Spocone włosy kleją mi się do głowy, ale pod czarnym kombinezonem na reszcie ciała czuję idealny chłód. Nie wiem, jak to w ogóle możliwe. Starsi wiedzieli tak wiele o tylu różnych rzeczach. Jeśli rozwiążemy problem z jedzeniem, ponowne odkrycie całej ich wiedzy będzie jedną z najważniejszych spraw.

C zekam. Wypatruję. Nie widzę Bishopa. Nie widzę też naszych ekip poszukiwawczych. Coyotl, Okereke, Cabral i Aramowski, każde na czele trójki kółko-gwiazdowych dzieci, przeszukują okoliczne budynki. Wszyscy są na tyle blisko, żeby wrócić biegiem, jeśli usłyszą mój alarm. Na razie w opuszczonych budynkach nic nie znaleźli.

B ordżigin, Ingolfsson i D'Souza przenoszą skażoną żywność do jednego magazynu. W ten sposób łatwiej jej pilnować. Nie chciałam ryzykować, że zajmą się tym młodsze dzieci, z obawy, że mogą zignorować moje ostrzeżenia i podebrać dla siebie trochę zepsutego prowiantu. Bordżigin to połówka, tak samo jak Opkick i O'Malley, więc w naturalny sposób zaczął kierować całą operacją. Trochę liczyłam na to, że Ingolfsson albo D'Souza – oboje są kólkami – postawią się Bordżiginowi, powiedzą mu, żeby przestał się rządzić, ale tak się nie stało. Czy pracują ciężko, bo chodzi o coś, co po prostu trzeba zrobić, czy dlatego, że stworzono ich do wykonywania rozkazów?

N ie mogę wybić sobie tego z głowy. Chciałabym jakoś zaprzeczyć informacjom od O'Malleya, ale odblokowały one wystarczająco dużo wspomnień Matyldy, więc mam pewność, że to prawda. Urodziła się jako niewolnica. Czy to dlatego poprowadziła rebelię na „Xolotlu”? Żeby się

wyzwolić, żeby wyzwolić takich jak ona? Ale skoro tak, to dlaczego wszyscy martwi ludzie, których widzieliśmy, nosili ten sam symbol, co ona? Ten sam symbol, co ja?

Zachodzące słońce rzuca ciepłe światło na Farrara i trzydzieści kilka młodszych kółko-gwiazd, które nie zajmują się poszukiwaniami. Są ustawione w szyku, Farrar stoi twarzą do nich. Przykuca, wydaje okrzyk i wielką pięścią wyprowadza markowany cios wprost przed siebie, drugą rękę przyciskając mocno do ciała. Potem znów krzyczy, zamieniając pozycję rąk, i tak bez przerwy. Dzieci powtarzają za nim ruchy i okrzyki.

Kiedy niewolnicy wycinają i ciągną pnącza, połówki wszystko organizują, a zębaki badają – żołnierze ćwiczą. Coś mi mówi, że tak się sprawy miały przez długi czas, jeszcze nawet zanim „Xolotl” opuścił planetę, z której pochodzi.

Wszystkie budynki rzucają coraz bardziej wydłużające się cienie, ale jeden z nich rośnie szybciej i dalej, połykając budowle stojące przed nim: olbrzymi ziggurat zasłania światło na długo przed całkowitym nadejściem nocy. Gdzieś w tym cieniu przebywa Bishop. Czy nie jest ranny? Czy nie zginął? Kiedy o tym myślę, kłuje mnie coś w sercu. A jeśli on potrzebuje pomocy?

Na niebo z wolna wychodzą dwa omeyocańskie księżyce. Ekipy poszukiwawcze kończą pracę. Cabral i Okereke uśmiechają się i machają do mnie w drodze powrotnej na wahadłowiec ze swoimi młodszymi kółko-gwiazdowymi pomocnikami. Aramowski kompletnie mnie ignoruje, podobnie jak dzieciaki z jego ekipy. Coyotl wysłała swoje dzieci na wahadłowiec, a potem siada obok mnie. Jest brudny. Oprócz swojej maczugi z kości udowej ma też w ręce zabrany z magazynu łom.

– Nic nie znaleźliśmy – stwierdza. – Przeszukaliśmy w sumie dwadzieścia budynków. Kilka było otwartych, ale do większości – tu lekko macha łomem – musieliśmy się włamać. W żadnym nic nie było. Ani ludzi, ani mebli, ani

zasilania... niczego. Przepraszam, Em.

– Za co przepraszasz? Sprawdziliście te miejsca, więc teraz wiemy więcej niż przedtem.

M yśli o tym chwilę, wzrusza ramionami.

– Powinniśmy wrócić, przynajmniej na pochylnię – proponuje. – Posiedzę z tobą, jeśli chcesz.

C hętnie się zgadzam. Jeszcze przed chwilą pełne życia lądowisko teraz świeci pustką, w nowo odsłoniętym metalu matowo odbija się blask dwóch księżyców. Wchodzimy po pochylni i siadamy na brzegu metalowej platformy, wywieszając nogi za jej krawędź.

R azem z Coyotlem patrzę, jak ciemność obejmuje miasto w posiadanie. W powietrzu unosi się mocny zapach mięty, pozostałość po wszystkich tych ściętych pnączach. Patrzymy, jak wychodzą gwiazdy. Ciekawe, czy którąś z nich jest „Xolot”.

W idzę, że Coyotl na mnie patrzy.

O , nie, tylko nie jeszcze jeden.

– Coyotl, chyba nie będziesz próbował mnie całować?

Rudzielec krzywi się w kpiarskim uśmiechu.

– Jesteś bardzo fajna, Em, ale tak naprawdę nie w moim typie. Przyglądałem się twojej włóczni.

Mocniej zaciskam na niej chwyt.

– Dlaczego?

– Bo grot wygląda na stępiony.

S ięga do jednej z licznych kieszeni swojego kombinezonu i wyciąga z niej szary, prostokątny kamień. Podnosi go, żebym się przyjrzała, po czym dobywa z pochwy nóż i kładzie go sobie płasko na udzie. Przeciąga kamieniem po ostrzu noża – powoli, metodycznie, raz za razem.

Po jakimś czasie podsuwa mi nóż do obejrzenia; światło księżyców pełga

jasnymi refleksami po srebrzystej krawędzi.

– Pomacaj, jaki jest ostry, tylko nie przesuwaj ręką wzdłuż – ostrzega. – Przeciagnij kciukiem w poprzek, o tak. – Delikatnie i prostopadle przejeżdża opuszkami kciuka po ostrzu, a potem podaje mi nóż rękojeścią do przodu.

S prawdza kciukiem tak, jak on to robił. Na dotyk nóż jest bardzo ostry. Oddaję mu go. Coyotl sięga do torby, wyjmuje z niej drugi taki sam kamień i podaje mi go.

N ie od razu udaje mi się ułożyć długą włócznię tak, żebym mogła swobodnie przeciągać kamieniem po jej grocie. Kiedy to w końcu robię, słyszę cichy zgrzyt.

Coyotl uśmiecha się i kiwa głową.

– O to chodzi.

N ie chciał mnie pocałować, nie chciał mojej włóczni – chciał tylko, żeby moja broń była ostra. Razem przeciągamy kamieniami po stali. Dziesięć pociągnięć. Sto. Równo, powoli. Mój świat zawęża się do kamienia, do metalu.

Coyotl przestaje.

– Wiem, że kłóćcie się z Aramowskim.

J ego słowa wyrywają mnie z transu. Łapię się na tym, że kiedy ostrzę włócznię, nie myślę o niczym innym. W pewnym sensie umysł odpoczywa mi przy tej czynności. Czuję się teraz bardziej odprężona.

– Nie kłóćmy się – mówię. – Mamy różne pomysły. Próbujemy znaleźć najlepszy sposób, żeby się o wszystkich zatroszczyć.

Coyotl myśli o tym przez dłuższą chwilę. Kwituje to kiwnięciem głowy, wraca do ostrzenia noża.

– To dobrze – mówi. – Bo to miejsce... Uwielbiam Omeyocan, ale – urywa i zerka na mnie spod oka – tu jest s t r a s z n i e.

T o fakt, nie da się ukryć. Kiwam głową.

U śmiecha się szeroko, jakbym właśnie dopomogła mu w rozwiązaniu jakiegoś wielkiego problemu.

– Aramowski pomaga mi się nie bać – dodaje. – Wielu z nas się boi. A on rozmawia z nami, mówi nam, że bogowie będą mieć nas w swojej opiece.

Z nowu przykładam kamień do grota włóczni. Ostrzę. Myślę.

A ramowski pomaga innym? Stara się nastawić innych przeciwko mnie. Czy to możliwe, że łączy jedno z drugim? Przypominam sobie, co mi powiedział w sterowni. Wyglądał tak szczerze, tak autentycznie. Może i wygaduje bzdury, ale to są bzdury, w które on w i e r z y.

M oje myśli pierzchają na zgrzyt kamienia o metal. Zatracam się w tej czynności. Nie wiem nawet, ile czasu minęło, kiedy Coyotl wstaje raptownie, wyteżając wzrok w kierunku ściany pnączy.

Też patrzę, ale nic nie widzę. Jedyne światło pada z wahadłowca za naszymi plecami. W głębokich cieniach miasta moja wyobraźnia wyczarowuje skradające się pająki.

– Co się dzieje? – pytam cicho. – Widzisz może...

– Ćśśś.

C oyotl pochyła się lekko naprzód, spoglądając w dal... Uśmiecha się.

– Wrócili.

C ienie zaczynają się ruszać, nabierać kształtów: Bishop, Visca, Bawden. Ich czarne kombinezony obwiązane są długimi lianami. Choć biegną, wyglądają jak elementy otoczenia. Gdyby stanęli nieruchomo, byłiby niewidoczni. Kiedy podbiegają bliżej, zaczynam odróżniać ich twarze, pomazane sokiem pnączy i ziemią.

C oyotl zbiega po pochylni, łomocząc nogami o metal. Bishop miał rację – f a k t y c z n i e hałasuje.

Spotyka się z pozostałymi w pół drogi. Kładzie lewą rękę na prawym ramieniu Bishopa, lewa ręka Bishopa ląduje na prawym ramieniu Coyotla.

Coyotl powtarza to powitanie z pozostałymi kółko-gwiazdami. W tym geście jest coś formalnego, a równocześnie głęboko uczuciowego. Żadne z pozostałych symboli nie witają się w ten sposób. Pod wieloma względami kółko-gwiazdy są jak osobny gatunek ludzi.

Coyotl i Bawden wchodzą na pokład wahadłowca, zostawiając mnie z Bishopem i Viscą.

– Witajcie z powrotem – mówię do nich.

Tak się martwiłam o Bishopa. Teraz, kiedy wrócił, czuję się wyczerpana. Chce mi się tylko spać, nic więcej.

– Widzieliśmy pająki – relacjonuje Bishop. – W większości pozostają nieruchome, w ukryciu. Nie mogliśmy za dobrze im się przyjrzeć. Zauważyliśmy kilka, które czaiły się wokół dziwnego budynku niedaleko Obserwatorium. Mają tam chyba gniazdo. Musieliśmy obejść je naokoło, nadkładając drogi, żeby nas nie widziały, i podejść do Obserwatorium od innej strony.

Visca przestępuje z nogi na nogę, tak rozemocjonowany, że nie może ustać spokojnie. Nawet pokryty ziemistą mazią ma skórę dużo bledszą od skóry Bishopa.

– Wróciło mi trochę z mojego szkolenia – mówi. – Znam się na tropieniu, nawet lepiej niż Bishop.

Przypomina mi się, jak Bishop tropił świnie na „Xolotlu”.

– Pająki chyba nie słyszą za dobrze – ciągnie Visca. – Kiedy obeszliliśmy je dalszą drogą, nie było po nich ani widu, ani słyhu. Żadnych śladów, żadnych połamanych pnączy, niczego. Założę się, że jutro możemy pójść tą samą trasą i zupełnie je ominąć.

Patrzę na Bishopa. Kiwa potwierdzająco głową.

– Obserwatorium jest wielkie – mówi. – Na szczycie jest zimno. Widzieliśmy stamtąd całe miasto. Lądowisko, wahadłowiec, miejskie mury,

dżunglę i ruiny w dżungli... wszystko takie ma l u t k i e.

– A jacyś inni ludzie? Jakies oznaki ruchu?

– Nie – zaprzecza. – Widzieliśmy może ze cztery różne pająki w granicach miasta. Kiedy weszliśmy wyżej na Obserwatorium, można było sięgnąć wzrokiem aż za miejski mur. Zobaczyliśmy więcej pajaków łączących wśród ruin.

A ż c z t e r y w granicach miejskich murów? I jeszcze więcej w dżungli? Miałam nadzieję, że grozi nam tylko jeden pajak. Tak ich dużo... nie uda nam się stawić czoła aż takiej liczbie.

– Gaston sądzi, że mur otacza miasto ze wszystkich stron – mówię. – Jest tak?

Bishop potakuje skinieniem głowy.

– Nie licząc rzeki kończącej się wodospadem. W murze jest przerwa, przez którą przepływa od strony dżungli. Za murem nie ma nic, tylko dżungla i ruiny. We wszystkich kierunkach.

S ama nie wiem, na co liczyłam. Na pola i doliny? Zielone lasy? Może na jakieś inne miasto podobne do naszego, tylko mającące gdzieś w dali, miasto, które nie zostało opuszczone?

Bishop wygląda dziwnie nieswojo. Ma więcej złych wiadomości.

– Powiedz – naciskam go. – Co jeszcze widzieliście?

V isca przestaje szurać nogami. Opuszcza wzrok. Cokolwiek tam widział, mocno go poruszyło.

Bishop powoli bierze oddech, po chwili wypuszcza go jeszcze wolniej.

– Na murach Obserwatorium były wyrzeźbione obrazy – mówi. – Ludzie na nich wyglądali tak realnie, jakby mieli do nas lada chwila przemówić. Na niektórych płaskorzeźbach zabijali się nawzajem. Skojarzyło mi się to ze wszystkimi tymi ciałami na „Xolotlu”.

J e ś l i te obrazy rozstroiły nawet Bishopa, muszą być okropne.

– Ale nie udało wam się dostać do środka?

Kręci głową.

– Na samej górze były światła – mówi. – Światelka, tak małe, że stąd nie sposób ich zobaczyć. Gaston ma rację, w budynku jest zasilanie.

T o nie Gaston ma rację, tylko O'Malley. Ale teraz nie ma sensu tego wyjaśniać.

– Nie wiem, na co nam się to zda – zauważam. – Po co to wszystko, skoro nie możemy się dostać do środka?

Widzę drgnienie jego szczęki.

– Chyba możemy. Na samym szczycie jest słup ze wszystkimi naszymi symbolami. Każdy z nich jest wielki, wyższy ode mnie. Na samym dole jest symbol zębaki. W pustym miejscu pośrodku jest odcisk dłoni, a na nim złoty dwupierścień.

Cholera.

Jeśli mamy wejść do Obserwatorium, Aramowski musi nas tam wpuścić.

CZĘŚĆ III

DZIEDZICTWO I JĘZYK

DZIEWIĘTNAŚCIE

Obserwatorium jest gigantyczne.

Opleciony pnączami ziggurat wznosi się na tle popołudniowego nieba olbrzymimi piętrami kamienia ułożonymi jedno na drugim. Gdyby jakaś kolosalna ręka przekreśliła go do góry nogami, pewnie większość miasta mogłaby się w nim zmieścić, jakby pozostałe budynki nie były niczym więcej niż zbiorem kamyków. „Xolotl” był olbrzymi, tak wielki, że aż nie do ogarnięcia myślą, ale to jest co innego. Tamten statek szybował w kosmosie. Był więc jakby... mniej rzeczywisty. Obserwatorium stoi na realnym gruncie.

J e ś l i jest świadectwem tego, co potrafią Starsi, naprawdę się cieszę, że ich tu nie ma.

B ishop, O’Malley, Aramowski, Spingate, Visca i ja narzuciliśmy sobie niezłe tempo. Wyruszyliśmy o wschodzie słońca. Teraz jest kilka godzin po południu. Okrężna droga wskazywana przez Viscę poprowadziła nas na południe, potem na zachód, potem znów na południe i znowu na zachód, co wydłużyło nam wędrówkę o kilka godzin – ale za to nie zobaczyliśmy ani śladu pajaków. Tą samą drogą wrócimy, co oznacza, że dotrzemy do domu mocno po zachodzie słońca. Kiedy już wejdziemy do Obserwatorium – j e ś l i uda nam się tam wejść – każda minuta spędzona w środku będzie kolejną minutą ciemności w drodze powrotnej.

W zięłam z nami O’Malleya, bo go potrzebuję. Manipulant z niego czy nie, wahadłowiec rozpoznaje w nim „kanclerza”. Podobnie mogą zareagować

wszelkie systemy działające jeszcze w Obserwatorium.

Spingate nalegała, żeby pójść z nami, twierdząc, że wyczerpała już możliwości malutkiego laboratorium wahadłowca. Albo uda jej się uzyskać potrzebne informacje skądinąd, albo nie da rady wygrać z czerwoną pleśnią. Aramowski prawdopodobnie potrzebujemy, żeby dostać się do środka. Co do Bishopa, nawet nie przyszłoby mi do głowy ruszać na ten wypad bez niego. Jediną osobą, której mogę zaufać, pozostał więc Gaston. Pod naszą nieobecność to on dowodzi na wahadłowcu. Pomagają mu Bordżigin i Opkick.

Niebosiężne Obserwatorium jest tak wielkie, że aż głowa od tego boli. Doliczamy się trzydziestu poziomów. Nawet najniższy z nich jest wyższy niż większość budowli w mieście, a przy tym tak długi i szeroki, że można by na nim z łatwością zmieścić ze sto mniejszych piramid. W tym pomniku sięgającym nieba jest jakaś niezwykła powaga, coś... p r z e r a ż a j ą c e g o.

Ciekawe, czy Aramowski potrafi uspokoić mnie i odegnać moje obawy w taki sam sposób, jak pociesza Coyotla.

Jeśli w tej budowli nie znajdziemy odpowiedzi, nie będziemy mieć wyboru – trzeba będzie wyruszyć za miejskie mury. Gdzieś na tej planecie istnieje jedzenie dla moich ludzi – i ja je znajdę. Jeśli będę musiała w tym celu wytropić rozpalaczy ognisk i odebrać im żywność, tak zrobię.

W górę południowej elewacji zigguratu biegną szerokie schody. Na samym szczycie, z tej odległości niewyraźnym i zamazanym, widzę ostatni poziom, a na nim błyszczący w słońcu słup z sześcioma symbolami. Pięć poziomów niżej z trudem zauważam wielki, obrosnięty pnączami posąg, który widzieliśmy na mapie w sterowni.

Spingate ma głowę odchyłoną do tyłu tak mocno, że wygląda, jakby zadzierała ją prostopadle w górę.

– Nie chce mi się wierzyć – mówi. – Zbudować coś takiego... Starsi są niesamowici.

Aramowski kiwa głową. Zanim zdąży wymamrotać kolejną bzdurę na temat bogów, odzywam się ja:

– Możemy w to wierzyć, bo stoi nam tuż przed oczami. Zachowaj brak wiary dla rzeczy, których nie widzimy.

C hciałam, żeby Aramowski wziął to do siebie. Wygląda jednak, jakby nawet nie zwrócił uwagi, że coś powiedziałam.

T ak wiele obrośniętych pnączami schodów. Od samego p a t r z e n i a na nie bolą mnie nogi. Dojście na szczyt zajmie nam wiele godzin.

– Tracimy światło dnia – mówi Aramowski.

M a rację. Biorę jeszcze jeden głęboki oddech, godząc się z nieuchronnością czekającego nas zadania.

– Bishop – mówię – prowadź nas na górę.

O n i Visca ruszają na przedzie. W czarnych mundurach owiniętych lianami wyglądają jak cienie przesuwane się po kobiercu żółtych liści, który okrywa pomarańczowobrazowe kamienie zigguratu. Spingate, O'Malley, Aramowski i ja wyraźniej odcinamy się od tła. My też powinniśmy owinać się lianami. Może później, bo teraz tylko dodadzą nam ciężaru, a moja cholerna włócznia i tak będzie mi wystarczająco ciężać, zanim skończymy wspinaczkę.

S topnie są szerokie, ale krótkie i nieznośnie strome. Żeby wspiąć się z jednego na drugi, muszę unieść zgiętą w kolanie nogę niemal równoległe do ziemi. Uważam przy tym, bo najczęściej ląduję stopą na liściach i pnączach, które pod moim ciężarem rozciapują się i zmieniają w groźącą poślizgiem maź. Ukryty pod nimi kamień jest bezlitosny – nawet niewielki upadek może się skończyć połamaniem kości.

Wspinając się, liczę: dolny poziom zigguratu ma wysokość s t u stopni. Mięśnie nóg zaczynają mnie rwać już po dotarciu na pierwszy platformę.

A jeszcze dwadzieścia dziewięć poziomów.

Ś ledzę wzrokiem stopnie prowadzące na drugą platformę – no tak, kolejna

setka. Na dziewięćdziesiątej piątej z nich Bishop przystaje i ogląda się na mnie.

– Em, nie przestrasz się tego, co za chwilę zobaczysz, ta kobieta to tylko obraz wyryty w kamieniu.

O statnie pięć stopni pokonujemy obok siebie.

W ychodzę na drugi poziom i jestem wdzięczna Bishopowi za ostrzeżenie. Na ścianie u podstawy trzeciego poziomu zigguratu ktoś wyrył kobietę w czerwonych szatach z wykrzywioną twarzą. Pnącza po obu jej stronach są uniesione jak odciągnięte zasłony. Pewnie Bishop tak je podwiązał. Przed kobietą znajduje się obrośnięty roślinnością kamienny blok. Postać kieruje nóż w dół. Wygląda niezwykle realnie.

Bishop wskazuje kobietę skinięciem głowy.

– Kiedy tu weszliśmy, wydawało nam się, że coś kryje się za pnączami. To była ona.

C choć część pokrywających płaskorzeźbę farb zdążyła odprysnąć albo się złuszczyć, to gdybym miała obrzucić ją zaledwie przelotnym spojrzeniem, pomyślałabym, że kobieta się rusza, że żyje.

N a jej czole widnieje dwupierścień.

P odchodzę do kamiennego bloku. Pod okrywającymi go nadal pnączami widzę wyrzeźbionego mężczyznę, który leży na wznak z rękami przymocowanymi łańcuchem do bocznych ścian kamienia. Oba wizerunki tworzą kompozycję: kobieta w czerwonych szatach wbija nóż w pierś mężczyzny. Jego twarz to zastygła na wieki maska, wykrzywiona w bólu i strachu.

C zoło zasłaniają mu pnącza. Odsuwam je na bok. Symbol na czole mężczyzny to półkółko.

– Tych płaskorzeźb jest więcej – mówi Bishop. – Przez całą drogę na szczyt, na każdym poziomie. Niewiele ich obejrzelśmy. Po pierwszych kilku,

no wiesz... zaczęliśmy skupiać się tylko na własnych nogach.

Do płaskorzeźby podchodzi Aramowski. Przebiega palcami po szatach kobiety, jakby były z prawdziwej tkaniny, a nie z kamienia.

– To coś ważnego – mówi.

Zamyka oczy. Marszczy czoło. Przypomina mi się, jak O'Malley powiedział mi, że jestem niewolnicą, i jak to było poczuć nagły rozbłysk zablokowanych dotąd wspomnień.

Aramowski otwiera szeroko oczy.

– Rytuał – mówi. – Bóg Krwi żąda rytuału.

To jest słowo ważne dla Aramowskiego, jego „pokrywa chmur”, jego „mikroorganizmy”.

Czuję na sobie wzrok O'Malleya. Wpatruje się we mnie twardo, przekazując mi wyraźnie: *Mówiłem ci, że Aramowski jest problemem – teraz ten problem będzie jeszcze gorszy.*

– Chodźmy – mówię. – Nie mamy czasu oglądać głupich dzieł sztuki. Idziemy dalej.

* * *

Już na dziesiątym poziomie jesteśmy wykończeni. Znajdujemy się wyżej niż większość otaczających nas budynków, a i tak od szczytu dzieli nas dwadzieścia poziomów. A na „Xolotlu” wydawało nam się, że maszerowanie „pod górę” było męczące...

Na wszystkich piętrach widzimy kolejne wizerunki, z których każdy jest jakimś cudem jeszcze gorszy niż ten z poprzedniego poziomu:

... kapłani w czerwonych szatach z dwupierścieniem na czole wyrzynający serca z piersi żywych ludzi i zrzucający ich ciała po schodach Obserwatorium...

... odcięte kończyny poukładane w różne wzory, podobne do ułożonych

w kształt wiatraka rąk, które widzieliśmy na „Xolotlu”...

... ludzie z rękami przykutymi nad głową łańcuchem, szpikowani gradem strzał, tak że ich krew spływa korytami do wielkich kamiennych mis wydrążonych w tarasie; już same te obrazy są szokujące, ale po chwili spostrzegam u naszych stóp zarośnięte pnączami autentyczne kamienne misy, które jakby tylko czekały, aż wypełnią się krwią...

... sceny pojedynków, w których jeden z walczących ma w ręce miecz i chroni go jaskrawobarwny pancerz, podczas gdy drugi walczy nago i trzyma tylko mały nóż – a czasem ledwie zaostrzony kij...

...ludzie przygwożdzeni na wznak prętami takimi jak te, które przytrzymały mnie w urodzinowej trumnie, podczas gdy człowiek w kapłańskich szatach rozwiera im szczęki, a inny wlewa coś do gardła...

... ludzie paleni żywcem...

... ludzie obdzierani żywcem z e s k ó ry...

N a każdym poziomie znajdujemy wizerunki tortur, grozy i śmierci.

C zy tego właśnie chcieli Starsi? Świata pełnego mordów i żywych ofiar z ludzi?

Wszyscy jesteśmy osłupiali ze zgrozy. Wszyscy – poza Aramowskim.

* * *

D ochodzimy na dwudziestą piątą platformę. Jest tu ten wysoki posąg, niezmiennie patrzący w stronę szczytu zigguratu. Nawet z tak bliska nie widzę, czy przedstawia mężczyznę, czy kobietę, wisi na nim tyle pnączy i lian.

Potrzeba nam odpoczynku. Mówię wszystkim, żeby usiedli w cieniu posągu.

N ogi mi drżą. Zwykły ból ustał w nich dwa albo trzy piętra temu. Teraz są odrętwiałe. Już sobie wyobrażam, jak strasznie będą mnie boleć jutro. O'Malley, Spingate i ja jesteśmy wyczerpani do tego stopnia, że nie wiem, czy damy radę pokonać ostatnie pięć kondygnacji. Visca i Bishop wyglądają na

zmęczonych, ale wyraźnie widać, że mogą iść dalej. Skąd bierze się ta ich siła i kondycja?

Razem ze Spingate opieram się plecami o podstawę posągu. O'Malley leży płasko na brzuchu. Aramowski jakimś cudem nie przestaje chodzić w koło, z zachwytem przyglądając się płaskorzeźbom. Bishop i Visca siedzą na stopniach, wpatrując się w przestrzeń nad miastem. Najwyraźniej nie chcą już oglądać żadnych okropności.

Górne poziomy są równie wysokie co te u dołu – też liczą po sto schodów – ale są coraz węższe. Obejście budowli u podstawy zajęłoby nam wiele godzin. Na przejście wokół wąskiego dwudziestego piątego poziomu wystarczyłoby kilka minut.

Wszyscy tkwimy w bezruchu – oprócz Aramowskiego. Jest równie wyczerpany jak ja, jestem pewna, ale nie da się tego po nim poznać. Na widok każdego kolejnego obrazu jego twarz na nowo obleka się w wyraz szacunku. Właśnie przesuwając rękami po płaskorzeźbie, na której dwoje ludzi w czerwonych szatach – mężczyzna i kobieta – kamiennymi ostrzami obdziera ze skóry małą dziewczynkę. Udręczona, przerażona twarz dziecka wygląda tak prawdziwie, że niemal słyszę jego rozdzierający krzyk.

Przemyka mi myśl: *Nie powinnam była zabierać tu Aramowskiego.* Tyle że bez niego pewnie nie udałoby się nam dostać do środka Obserwatorium. Nie miałam wyboru.

Widzę, że Spingate go obserwuje. Zaczyna się złościć. Wstaje i podchodzi do niego.

– Podoba ci się to? – pyta.

Słyszę w jej głosie groźbę. Aramowski najwyraźniej nie. Odpowiada jej, nie oglądając się nawet:

– To coś pięknego. Musieli to rzeźbić ręcznie. I w jaki sposób ci artyści zdołali zabarwić skałę na różne kolory?

– „Artyści” – powtarza Spingate, wypluwając to słowo niczym truciznę. – Coś jest z tobą nie w porządku, Aramowski. Zawsze to podejrzewałam, ale właśnie dajesz mi na to dowód.

Chłopak odwraca się do niej. Nawet jeśli nie zwrócił uwagi na ton, jakim mówiła, nie może teraz zignorować mowy jej ciała: ręce opuszczone po bokach i zaciśnięte w pięści, ramiona wysunięte naprzód. Siedzę za nią, więc nie widzę jej oczu, ale jestem pewna, że zwęziły się w cienkie szparki.

– Wszystko ze mną w porządku – protestuje Aramowski. – Nie wiem, co cię nagle napadło.

Spingate wskazuje na podobiznę dziewczynki, na jej czoło.

– Tych dwoje zarzyna z a b - d z i e w c z y n k ę. Czy dlatego tak ci się to podoba? A może dlatego, że ci, co obdzierają ją ze skóry, to dwupierścienie, jak ty?

Z erkam na symbole na czołach ludzi z płaskorzeźby i widzę, że to prawda.

S pingate robi krok w stronę Aramowskiego. Widzę, że Bishop i Visca wstają, obserwując bacznie całą scenę.

O ’Malley unosi się na łokciu.

– Daj spokój, Spin – mówi. – Przecież to nie Aramowski postawił tę budowlę.

S pingate robi kolejny krok. Aramowski ustępuje przed nią, nie bardzo wiedząc, co się dzieje. Cofa się, aż musi przywrzeć plecami do tej samej płaskorzeźby, którą przed chwilą tak podziwiał.

S pingate dosłownie przypiera go do muru.

W jednej chwili dociera do mnie, że zaraz go uderzy. Gdyby chciał, mógłby ją zmiażdżyć, ale to nieważne – jakakolwiek bójka może się łatwo skończyć tym, że ktoś stoczy się po schodach albo, co gorsza, runie z krawędzi piętra na twarde kamienie ulicy.

G ramolę się na nogi i biegnę do nich.

– Spin, opanuj się – rzucam. – O’Malley dobrze mówi, Aramowski nie ma nic wspólnego z tymi, którzy to wyrzeźbili.

Spingate okręca się na pięcie z zaciśniętymi pięściami, ze wzrokiem płonącym nienawiścią. Miała nadzieję, że ta budowla udzieli jej jakichś odpowiedzi, tymczasem jest to tylko świątynia koszmarów.

– On nam robi to samo – syczy. – Wspomnisz moje słowa, Em. Aramowski...

U rywa, zagapiona na coś nad moją głową. Przenosi na mnie wzrok. Tym razem jej mina przeszywa mi serce na wskroś – jest p r z e r a ż o n a.

W yciągam do niej dłoń. Wzdryga się. Opuszczam rękę.

– Spin, co się dzieje? Chyba nie myślisz, że dopuściłabym, by Aramowski cokolwiek ci zrobił, co? Nikomu nie pozwoliłabym cię skrzywdzić.

A ramowski zaczyna się śmiać. Jego głęboki głos sprawia, że skóra mi cierpie. W absolutnym zachwycie powoli klaszcze w dłonie.

– Na pewne rzeczy po prostu nie masz wpływu, Em – mówi. – Pewnych rzeczy nie możesz powstrzymać, bo są twoim przeznaczeniem.

W skazuje ręką na posąg.

O dwracam się i patrzę w górę, osłaniając oczy dłonią przed słońcem.

I już rozumiem, dlaczego Spingate tak się boi.

Z głowy posągu zwiesza się tylko kilka lian. Jego twarz jest widoczna – to twarz, której nie mogę nie poznać.

Bo to jest m o j a twarz.

DWADZIEŚCIA

Patrzę tak długo, aż oczy zachodzą mi łzami.
T o j a. J a.

N ie, to Matylda, albo raczej ktoś, kim by została, gdyby przejęła moje ciało. Cała groza, która ozdabia tę koszmarną budowlę, wszystkie te zapowiedzi śmierci, mordy i rzezi, wydzierania z piersi serc i zrzucania ich po stromych kamiennych stopniach... ten posąg oznacza, że wszystko to było jej projektem.

M atyldzie nie wystarczyło bycie przywódcą.

P ragnęła, żeby ludzie ją w i e l b i l i.

A ramowski wyrasta przy moim boku.

– Oboje nasi Starsi byli razem, kiedy ich znaleźliśmy – mówi głosem gładkim, spokojnym i cichym jak syk uśmiechniętego węża. – Kółka i dwupierścienie we wzajemnej współpracy. Ty i ja we wzajemnej współpracy. Tak miało być. Pamiętasz, mówiłem ci, że chcę ci pomóc przewodzić innym? To jest znak, Em – znak, którego nie można zignorować.

N ie zna nawet właściwych terminów. Ma na myśli Duchowość i Służbę we wzajemnej współpracy. Czy nasi protoplaści, jego i mój, współpracowali nad stworzeniem tego koszmaru?

Czuję się źle. Od słów Aramowskiego robi mi się niedobrze. Od tej budowli robi mi się niedobrze. Od całej tej p l a n e t y robi mi się niedobrze. Obudziliśmy się w trumnach i wywalczyliśmy sobie drogę wyjścia z orbitującego wokół planety grobowca po to tylko, żeby odziedziczyć miasto

śmierci.

Podchodzi do nas O'Malley.

– Odsuń się od niej, Aramowski. Ona nie potrzebuje twoich kłamliwych podszeptów.

Wyższy chłopak uśmiecha się krzywo.

– Bo co, podszepty w jej ucho to twoja działka?

P alce O'Malleya zaciskają się i otwierają. Jego prawą dłoń, jak jakieś pełznące zwierzę, coraz bardziej przyciąga wysadzana klejnotami rękojeść noża.

W kracza w to Bishop, i to hałaśliwym krokiem – wyraźnie chce, żebyśmy słyszeli, że nadchodzi.

– Słońce wkrótce zajdzie – zauważa. – Powinniśmy ruszać dalej. Nie podoba mi się, że może trzeba będzie zostać na tych schodach na noc.

M nie też nie, ale czy p o w i n n i ś m y iść dalej? W tym miejscu czai się zło, a nawet nie weszliśmy jeszcze do środka. O'Malley jest gotów zaatakować Aramowskiego. Ten z kolei nagle myśli, że jego przeznaczeniem jest rządzić razem ze mną. A ta mina Spingate... ona się mnie boi, a do tego jeszcze czuje do mnie odrazę.

P atrzę na nią tak długo, aż w końcu odwraca wzrok.

A rogancka zęb-dziewczyna. Ciekawe, co teraz sobie myśli o „tępych pustakach”? Ta szczególna dziewczyna, b o g a t a dziewczyna. Pamiętam, jak takie jak ona się ze mnie śmiały. Jedna z nich była moją w ł a ś c i c i e l k ą. Pamiętam, jak się bałam odezwać, bo wiedziałam, że moja właścicielka może mnie ukarać, zbić, jeśli będzie chciała, że nie mam żadnych praw. Dziewczynom takim jak Spingate podobało się to, że mają władzę. Teraz władza jest w innych rękach – więc to oczywiste, że się boi. I bardzo dobrze.

T racę w myślach wątek. Chwila konsternacji, poplątania, dezorientacji. Co ja sobie myślę? Czy ja się c i e s z ę z przerażenia Spin? Nienawiść do niej

i do jej podobnych buzuje we mnie i wrze, ale to nie jest moje uczucie – tylko Matyldy. Spingate nic mi nie zrobiła.

T o, co powiedziała do mnie w laboratorium... czy tak samo miesza jej się w myślach jak mnie? Czy jej raptowne uprzedzenie do takich jak ja pochodzi tak naprawdę od jej protoplastki? Jeśli ja mam odziedziczone wspomnienia, to Spingate pewnie też.

T e emocje nie są n a s z e.

– Spin, ten posąg to nie jestem ja. To nigdy nie będę ja.

P ociąga nosem. Widzę, że chciałaby mi uwierzyć, ale musi być jej ciężko, skoro widziała tyle wizerunków ludzi takich, jak ona sama, torturowanych, obdzieranych ze skóry, z a r z y n a n y c h, a wszystko to pod władczym okiem mojej tak bardzo heroicznej postaci.

– W pewnym sensie to j e s t e ś ty – mówi. – Matylda też była kiedyś w twoim wieku. Masz w sobie jej umysł. – Spingate wskazuje na posąg. – Czy ci się to podoba, czy nie, tym właśnie mogłabyś się stać. Nasze poszukiwanie nie dotyczy już tylko żywności czy pleśni. Już nie. Jeśli ten budynek potrafi opowiedzieć nam o naszej przeszłości, pomóc nam zrozumieć, w jaki sposób Matylda zmieniła się w potwora składającego ofiary z zębatek i połówek, to też są potrzebne nam informacje.

R usza sama w górę po stromych schodach.

Z ostało jeszcze pięć kondygnacji.

Idziemy za nią.

* * *

N a dwudziestym siódmym poziomie bujne pnącza zaczynają rzedać. Przed dwudziestym ósmym w ogóle przestają się pojawiać; pomarańczowo-brązowe kamienie są odsłonięte. Tutaj jest zimniej. Smagają nas podmuchy wiatru. Widzę, że od północy nadciągają ciężkie chmury, choć na razie niebo nad nami

pozostaje czyste.

Brak pnączy oznacza, że widzimy wszystkie wizerunki. Nie możemy nawet odwracać wzroku, bo wiele z nich wyrzeźbiono na płaskich frontach samych stopni.

Kiedy kończymy wspinaczkę, chwiejemy się i trzęsiemy. Wydaje mi się, że po ostatnich stopniach wchodzę tylko dzięki samej sile woli, bo moje ciało dało za wygraną już jakieś trzy poziomy temu.

W nogach czuję gotującą się breję. Pałą mnie i pieką. O'Malley sapie i dyszy – ciekawe, czy się zaraz nie porzyga. Aramowski wygląda najgorzej, jakby miał lada moment przewrócić się i skonać, ale w oczach wciąż ma to okropne lśnienie. Nawet Bishop i Visca są zmęczeni – sok pnączy pokrywający ich twarze znaczą strumyczki potu, które zostawiają po sobie prążki o barwie ciała. To była ich druga taka wspinaczka w dwa dni – zdecydowanie za wiele dla każdego, nawet tak niestrudzonych kółko-gwiazd.

Tu, na górze, nic już nie osłania nas przed wiatrem, który chłoszcze nas, łapie za czarne kombinezony. Słońce wyraźnie zmierza do linii horyzontu – wspinaczka zajęła nam więcej czasu, niż się spodziewaliśmy. Materiał, który wcześniej nas chłodził, teraz nas ogrzewa, ale na twarzach i dłoniach czujemy kąśliwe zimno wiatru.

O statni poziom jest oczywiście najmniejszy. Stoimy na kwadratowej płaszczyźnie o boku takiej długości, jak dziesięcioro nas, gdybyśmy położyli się jedno za drugim. W samym środku znajduje się kamienna płyta, na której wznosi się wysoki słup z gładkiego kamienia. Widnieje na nim sześć złotych symboli, każdy większy od wzrostu Bishopa. Od góry do dołu: kółko, kółko-gwiazda, dwupierścień, kółko-krzyżyk, półkółko i zębatka.

W pustym miejscu w środku koła zębatego – płytka z czerwonym odciskiem dłoni. W środku dłoni: złoty dwupierścień.

O taczające nas ze wszystkich stron miasto wydaje się maleńkie. Nieistotne.

Na dziesiątym piętrze szczyty najwyższych piramid mieliśmy na poziomie oczu. Na dwudziestym wszystko wyglądało na małe i sięgaliśmy wzrokiem bardzo, bardzo daleko. Tu, na szczycie, trzydzieści poziomów nad ulicami, miasto leżące w dole wygląda już nierealnie. Obserwatorium przypomina bardziej górę niż budowlę.

O garniam wzrokiem spory obszar za murami miasta. Drzewa, liany i ruiny sześciobocznych budynków zlewają się w jedno, w przerywaną ruinami żółtą dżunglę, która rozciąga się coraz dalej i dalej, i dalej. Na zachodzie wznoszą się odległe góry. Na północy widać migoczące jezioro, otoczone stromymi urwiskami. Na północnym wschodzie – rozległą polanę w kształcie półksiężyca. Może kiedyś, wkrótce, ta polana stanie się dla nas miejscem uprawy ziemi, gdzie będziemy mogli zasiać coś bez potrzeby wycinania w tym celu dżungli.

W iatr, który smaga nam ciała, gna w naszą stronę ciemne chmury. Wśród nich migoczą błyski piorunów. Oby się nie rozpadało.

A ramowski przewycięża znużenie, prostuje się i wypręża. Na szczycie najwyższej budowli w mieście najwyższy wśród nas chłopak wygląda ważnie... iście król w s k o.

– Bogowie nas tu wezwali – mówi głośno, niemal krzyczy, żebyśmy usłyszeli go mimo świszczącego wiatru. – Malują przed nami obraz tego, co było i co jeszcze nadejdzie. Oni...

– Czekaj – przerywa mu O'Malley. Stoi przy krawędzi piętra, patrząc pod swoje nogi. – Co to waszym zdaniem może być?

S toi na czarnej linii tak wyblakłej, że nikt z nas poza nim jej nie zauważył. To linia krzywa. Wiedziemy za nią wzrokiem po platformie i w końcu widzimy: linia tworzy okrąg, który otacza cały ten poziom, dotykając krawędzi kwadratu. Wewnątrz niego zaś widać drugi okrąg.

W pierwszej chwili przychodzi mi na myśl dwupierścień Aramowskiego,

ale potem na zewnętrznym okręgu zauważam kropkę. Kropka też jest czarna. Kropek jest więcej – cztery. Gdybym miała przeciągnąć linie między rogami kwadratu tworzącego ten poziom, kropki znalazłyby się w punktach przecięcia tych linii z zewnętrznym okręgiem.

Na wewnętrznym pierścieniu widać dwie kropki, po jednej z obu stron kamiennego słupa.

Dwa pierścienie: cztery kropki na zewnętrznym kręgu, dwie na wewnętrznym.

Spoglądam na Aramowskiego.

– Wiesz, co to oznacza?

C chodzi tu i tam, przygląda się liniom.

– Cała ta budowla musi być jakimś miejscem związanym z religią, jakąś świątynią, więc ten symbol ma wyraźny związek z moim.

B rżmi to tak, jakby próbował przekonać sam siebie, ale bezskutecznie. Nie ma pojęcia, o co chodzi.

Wiatr kąsa mnie zinnem.

– Spróbuj odcisku dłoni – mówię do Aramowskiego. – Chcę się już stąd zabrać.

Chłopak podchodzi do słupa, ale nie dotyka swojego symbolu. Zamiast tego zadziera głowę i wznosi ręce ku niebu.

– O, bogowie, wybraliście nas, byśmy mogli znaleźć się tutaj, w tym boskim miejscu, aby wypełnić naszym życiem wasze plany i...

Bishop łapie go i nim potrząsa.

– Weź już naciśnij to cholerstwo!

P odniosła chwila Aramowskiego pryska jak bańka mydlana. Dużo ważniejsze od przemowy jest dla niego własne bezpieczeństwo. Przyciska rękę do płytki.

Nic się nie dzieje.

C zuję ulgę, spływające ze mnie napięcie. To wejście, jeśli to w ogóle wejście, nie działa – albo Aramowski jest niewłaściwą osobą. Z tego czy innego powodu nie możemy wejść do środka. Nie muszę się dowiadywać, jakie to ohydztwa Matylda planowała popełnić po przejęciu mojego ciała.

J akis zgrzyt. Urywa się, znów powraca. Cisza. Nasłuchujemy, ale dobiega nas tylko samotne wycie wiatru.

Płaszczyna pod nami zaczyna drzeć. Jesteśmy tak wysoko. Jeśli Obserwatorium się zawali...

S łup zaczyna się trząść. Prostokątna płyta leżąca u jego podstawy unosi się w górę; każdy jej narożnik podtrzymuje złota kolumna, w której odbijają się ostatnie promienie zachodzącego na czerwono słońca. Płyta podjeżdża do wysokości naszych oczu, po czym zatrzymuje się z dygotem.

U naszych stóp w miejscu, w którym przed chwilą leżała, ukazują się misterne kręcone schody z metalu, wiodące gdzieś w ciemność, w dół.

* * *

N ie miałabym nic przeciw temu, żeby już nigdy w życiu nie zobaczyć żadnych więcej schodów.

W miarę jak schodzimy, ciemne kamienne ściany zaczynają się jarzyć. Słabo, ale wystarczająco jasno, żebyśmy nie musieli wyciągać latarek. Szum wiatru cichnie. Wkrótce słyszymy już tylko własne oddechy i odgłos stąpania butów po metalowych stopniach.

P rzynajmniej na tych ścianach nie ma żadnych „dzieł sztuki”.

S chodzimy coraz niżej i niżej. Pierwszy Bishop, potem Visca, ja, Spingate, Aramowski i na końcu O'Malley. Broń trzymamy w pogotowiu. Nie wiem, jak długo idziemy. Na tyle długo, że słońce na pewno już zaszło, a długi cień Obserwatorium znowu pochłonał nasz wahadłowiec.

W reszcie schody kończą się małym pokoikiem o kamiennej podłodze.

W jednej z jego ścian znajdują się drzwi złożone z pionowych metalowych prętów. Za prętami wisi coś w rodzaju metalicznej siatki. W ścianie obok drzwi widnieje płytką z czerwonym odciskiem dłoni, znów oznaczonym złotym dwupierścieniem.

P owietrze tutaj jest stęchłe. Pachnie jak w mojej salce z trumnami, w tej, w której po raz pierwszy się obudziłam.

Wskazuję płytkę.

– Aramowski, otwórz.

C hłopak zerka na Bishopa, po czym szybko przyciska dłoń do symbolu.

Z nów słyszymy ten sam dźwięk ruszającej z trudem maszynerii, a potem pręty i siatka z grzechotem przesuwają się w prawo, co wywołuje krótką kaskadę drobin rdzy, aż w końcu naszym oczom ukazuje się inny mały pokoik.

– To winda – zauważa O'Malley.

P amiętam windę. Na jej widok wali mi serce. Wolałabym nie dać się zamknąć w tak ograniczonej przestrzeni, ale jaki mam wybór? Przyszliśmy tu znaleźć odpowiedzi. Jeśli wymaga to wejścia do małej windy, muszę to zrobić.

– Wszyscy do środka – mówię.

J est nam ciasno. Bishop przyciska siekierę do piersi, żeby nikogo przypadkiem nie skaleczyć. Visca odstawia w kącie swój młot. Aramowski i Spingate są uzbrojeni tylko w noże przytroczone do ud, ale żeby się zmieścić, poprawiają swoje czarne torby. Moja włócznia jest trochę za długa, bo sufit jest niski; muszę ją trzymać pod kątem.

O 'Malley przesuwa pręty na ich pierwotne miejsce, zamykając nas we wnętrzu windy. Nie ma tu żadnej płytki. Ani, na oko, żadnych innych elementów sterujących.

K latka bez ostrzeżenia rusza w dół. W strachu chwytamy się jedni drugich. Opadamy szybko. Mocno zaciskam powieki, zduszam w sobie krzyk. Mam

wrażenie, jakby moje wnętrzności unosiły się coraz wyżej.

Z araz wbijemy się w ziemię. Nie trzeba nam było tu wchodzić, nie trzeba było, zginiemy tu zaraz ja zginę tu zaraz uwięziona w tym maleńkim pudle...

S pingate splata palce dłoni z moimi, zaciska je mocno.

– Oddychaj, Em – mówi cicho. – Nic nam nie będzie.

Nagle czuję się cięższa.

– Już zwalniamy – szepcze Spin.

Jeszcze cięższa...

Klatka podskakuje leciutko. Zatrzymała się.

S pingate prawie mnie podcina, wieszając mi się na szyi ze śmiechem. Sama nie wiem, jak zareagować – niedawno myślała, że przez jej symbol mogę chcieć ją zabić.

K ręci głową, po czym całuje mnie w policzek.

– Przepraszam, Em. W laboratorium mówiłam straszne rzeczy. Nie bardzo wiem, co począć z tą czerwoną pleśnią, jest zwyczajnie za mało czasu. A potem te wszystkie potworne obrazy i płaskorzeźby po drodze na górę... tak się przez nie zdenerwowałam. Tyle wizji ludzi zabijających innych ludzi, takich jak ja.

Kiwam głową. Rozumiem, ale zarazem nie rozumiem. Mnie też zdarzyło się pomyśleć „tacy jak ja”, więc nie mogę mieć jej tego za złe, ale czy nie jesteśmy wszyscy tacy sami?

Znowu całuje mnie w policzek i ściska mocno.

– Wiem, że ten posąg to nie ty. Nie jesteś taka jak Matylda. Nigdy nie zrobiłabyś nic podobnego.

Drzwi windy odsuwają się, odsłaniając mrok.

Jak jeden mąż sięgamy do swoich toreb po latarki.

Bishop i Visca ruszają pierwsi, jak zawsze, z siekierą i młotem

w pogotowiu, sondując ciemność snopami światła latarek. Reszta nas idzie za nimi. Światło odbija się refleksami na wielkich blokach skalnych łukowatego sklepienia. Kamienne ściany pokrywają płaskorzeźby. Te obrazy widzieliśmy już wcześniej: zigguraty, karykaturalne postaci ludzi, jaguary, słońca.

Niedaleko od windy nasze latarki wyławiają z ciemności delikatne lśnienie zakurzonego metalu – złote trumny. Jest ich cztery, spoczywają na złocistych podniesieniach, tak że zamkniętymi pokrywami sięgają nam do pasa. Leżą równolegle obok siebie, a ich powierzchnie są bogato zdobione kamieniami szlachetnymi i tymi samymi obrazami, które widzimy na ścianach. Tutaj warstwa kurzu jest cienka, inna niż gruby pył spowijający wszystko na „Xolotlu”.

N a tych trumnach nie ma płytek z nazwiskami.

Z a trumnami wzniesione jest podwyższenie z pięcioma białymi postumentami. Na lewo od nas widzimy wysoką czarną literę X przymocowaną do podłogi. Z obu górnych ramion X-a zwisają grube kajdany. Końce górnych ramion łączy też poprzeczka – zwisa z niej coś w rodzaju ozdobnej czarnej korony. Na ścianie tuż za X-em – kolorowa ni to płaskorzeźba, ni to fresk: stary człowiek przykuty do takiego samego X-a, w takiej samej koronie, a przed nim młodzieniec w czerwonych szatach, który wbija starcowi w pierś ostrze noża. Na prawo od nas, w głębokim cieniu, stoją magazynowe regały ze skrzyniami podobnymi do tych, które widzieliśmy w składzie żywności, tyle że wszystkie tutejsze wyglądają na opróżnione, a wiele poniewiera się po podłodze.

W środku pomieszczenia widnieje w podłodze dziura o szerokości mojego wzrostu. Otacza ją ścianka z czerwonego metalu, wysokością sięgająca nam do pasa. Wychodząca z wnętrza tej dziury jakaś czarna rura – na oko elastyczna, grubości mojej ręki – biegnie nad ścianką i dalej aż pod podwyższenie z postumentami.

Visca i Bishop przeczesują pomieszczenie z latarkami w jednej ręce i bronią w drugiej. Dajemy im kilka chwil, a potem każde z nas zaczyna samo badać salę.

P odchodzę do czerwonej ścianki. W metalu wyryto duży czarny symbol. Przypomina ten ze szczytowego poziomu budowli, ale jest trochę inny. Dwa pierścienie, cztery kropki na zewnętrznym, dwa na środkowym, ale tym razem jest też gruba kropka w centrum – w miejscu, w którym na szczycie stał kamienny słup.

– Aramowski, rzuć na to okiem.

M oże z tą kropką w środku jakoś to rozpozna.

A ramowski staje obok mnie, wpatrując się w symbol. Kręci głową – nie wie, co to takiego. Przynajmniej teraz się do tego przyznaje.

D łączą do nas Spingate. Mruży oczy, jakby z głębi jej umysłu przebijało się na powierzchnię jakieś wspomnienie.

– Myślę... myślę, że to jest model czegoś – mówi. – Atomu. To... to chyba model atomu węgla. – Wskazuje po kolei sześć kropek widocznych na pierścieniach. – To są chyba elektrony. A ta kropka pośrodku to jądro atomu.

R ozglądam się po sali, starając się wyłowić snopem światła latarki ten sam symbol na sklepieniu, ścianach, trumnach. Nie znajduję go.

– No dobra – mówię. – A co on oznacza?

Wzrusza ramionami.

– Pojęcia nie mam.

J eszcze jeden bezużyteczny symbol Starszych.

A ramowski podchodzi do czarnego X-a. Wygląda jak zahipnotyzowany.

Z aglądam w dziurę. To studnia o okrągłych ścianach zrobionych z ziemi upstrzonej kamieniami, na których widać białe pęknięcia i zadrapania pochodzące jeszcze z czasów, kiedy kopano ten otwór. Daleko w dole chyba widzę dno i coś metalowego. Może jakaś maszyna. Czarny kabel wbiega do

niej pośrodku.

Spingate wkracza na podwyższenie z postumentami. W tym samym momencie słyszę jakieś buczenie. Dochodzi z czarnego kabla.

Pięć postumentów zaczyna się jarzyć.

– *Witam, arcymistrzyni Spingate.*

Głos zdaje się dobiegać zewsząd i znikąd. Tak samo jak w sterowni wahadłowca, nagle na skórze Spingate pojawiają się światła. Jej twarz lśni jak twarz jakiejś bogini. Uśmiecha się szeroko: to dla niej nowa zagadka, nowy problem do rozwiązania. Jej frustracja, lęk i złość gdzieś znikają – a przynajmniej na razie o nich zapomina.

– Czy nazywasz się jakoś? – pyta.

– *Znaczna część mojej pamięci uległa skasowaniu. Mam wrażenie, że zwracano się do mnie imieniem „Ometeotl”.*

– Niech będzie – mówi Spingate. – Możesz pokazać mi plan tej budowli?

Błyskają światła. W przestrzeni nad studnią pojawia się świecąca wersja Obserwatorium. Budynek obraca się powoli, pokazując nam widok ze wszystkich czterech stron.

– Dziękuję – mówi Spingate. – To miejsce nazywa się Obserwatorium, zgadza się?

– *Tak jest, pani arcymistrzyni.*

S pingate kiwa głową. Tytuł „arcymistrzyni” jej nie dziwi. Może zwracało się już do niej w ten sposób jej laboratorium, podobnie jak postumenty z deku trzeciego nazywały O’Malleya kanclerzem.

– W Obserwatoriach bywają teleskopy – zauważa Spingate. – Czy jest tu teleskop?

Sztuczny ziggurat migocze. Strome ściany stają się przezroczyste. Widzimy setki sal i przecinających się korytarzy, ale głównym elementem jest długi walec, który zaczyna się u podstawy budowli i wznosi pod kątem, kończąc się

przy krawędzi jednej ze stromych ścian.

Walec świeci jasno. Jest olbrzymi. Właściwie jest tak wielki, że narzuca mi się jedna myśl – to Obserwatorium wybudowano wyłącznie po to, żeby się w nim zmieścił.

S pingate schodzi z podwyższenia i podchodzi do świecącego zigguratu. Sama nadal błyszczy światłem tak jasnym, że nasze latarki stają się prawie bezużyteczne. Opiera się o ściankę z czerwonego metalu, przebiegając wzrokiem całą długość walca.

– Widziałam już coś takiego – mówi. – Ciężko mi sobie przypomnieć, ale... kogoś, kogo znałam, szkolili w posługiwaniu się tym teleskopem. Kogoś, z kim chodziłam do szkoły.

S pingate przeciera sobie dłońmi twarz. Wszyscy patrzymy, czekając cierpliwie, bo wiemy, przez co właśnie przechodzi – fragmenty wspomnień przebijają się z głębi jej umysłu na powierzchnię.

P rzestaje przecierać twarz. Nadal trzymając ją w dłoniach, rozsuwa lekko palce. Zerka na mnie jednym okiem.

– Em, nasza szkoła. Wszystkich nas szkolono do życia i pracy na „Xolotlu”. – Wskazuje palcem obraz teleskopu. – Niektórych szkolono konkretnie w tym celu. Ta dziewczynka... to była zębatka... jak się nazywała?

Z aciska dłonie w pięści, pociera nimi skronie.

P rzestaje – przypomniła sobie.

– Okadigbo – oznajmia. – Jedno z martwych dzieci w naszej pierwszej sali z trumnami na „Xolotlu”.

J a też kojarzę to nazwisko, bo Brewer o niej wspominał: *Gdzie Okadigbo? Jeszcze żyje czy znowu ją zabiłaś?*

– Uczyła się latami – mówi Spingate. – Nie pamiętam, jakich dokładnie przedmiotów, ale nigdy nie zajmowała się niczym innym.

T a garść wspomnień, które ma każdy z nas, kończy się na wieku dwunastu

lat. Jeśli Okadigbo uczyła się latami, to jak wcześniej zaczęła?

O bserwatorium zbudowano, by umieścić w nim teleskop.

A czy miasto zbudowano, aby znalazło się w nim Obserwatorium?

J eśli to prawda, to wszystko, co do tej pory widzieliśmy, podporządkowane jest jednej tylko rzeczy: teleskopowi. Dlaczego? Co on oznacza? Do czego służy?

Spingate wyciąga drżące ręce. Zanurza końce palców w świecący ziggurat. Obraca go w jedną stronę, w drugą, przechyla, patrzy.

– Ten teleskop ma własną nazwę – mówi. – Nie mogę sobie... szlag by to, jak on się nazywał?

O 'Malley podchodzi do niej, staje obok. Też wyciąga rękę, wzdłże palcem wzdłuż całej długości walca.

– Nazywa się... – wyraźnie szuka słowa – on się nazywa... czy to może teleskop G r o t g o f f a?

To słowo jest dla mnie jak cios obuchem w głowę. Jeszcze jedno magiczne słowo. Więcej niż magiczne. Być może to najważniejsze słowo ze wszystkich na świecie. Patrząc po twarzach moich przyjaciół, wiem, że ich też uderzyło ono z tą samą mocą.

– *Panie kanclerzu, czy jest tu adeptka Okadigbo?* – pyta głos.

– Nie ma jej – odpowiadam, ubiegając O'Malleya. Nie wiem, co to takiego „adeptka”. W tej chwili to nieważne. Ta budowla, system, komputer czy cokolwiek to jest, spodziewa się Okadigbo. Jeśli się dowie, że Okadigbo nie żyje, może się wyłączyć.

O braz Obserwatorium nagle gaśnie. Światła otaczające Spingate również, tak że znowu ogarnia ją ciemność.

Spingate gapi się na mnie. Pozostali też.

C ós się dzieje na mojej prawej dłoni – na tej, którą trzymam włócznie. Moją skórę pokrywają maleńkie, jasno świecące punkty, czerwone, niebieskie

i żółte.

– *Witam panią, cesarzowo Savage.*

Moi przyjaciele wymieniają spojrzenia, gapią się na mnie. O'Malley stoi cicho, nic nie mówi.

O czy Spingate się zwięzają. Jej twarz chmurzy się w wyrazie takiej samej nieufności, jaką okazywała mi przy posągu.

Nie mam czasu teraz się nią przejmować. Ometeotl nie zapytał mnie o kod dostępu. Może uda nam się w końcu uzyskać jakieś odpowiedzi. Najpierw jednak muszę się przekonać, jakie niebezpieczeństwa czyhają na nas w tej sali.

– Skoro jestem cesarzową, musisz robić, co powiem?

– *Oczywiście, pani cesarzowo.*

– To dobrze. Kto znajduje się w tych trumnach?

– *Pani unizony sługa nie rozumie pytania* – odpowiada Ometeotl. – *Nie ma tu żadnych trumien.*

Znów przemyka mi myśl o Brewerze i do głowy wpada mi odpowiednie słowo.

– Cztery łupiny znajdujące się w tej sali – poprawiam się. – Kto w nich jest?

– *Nikt, pani cesarzowo.*

– Otwórz je. Już.

Pod okrywy czterech trumien otwierają się równocześnie, rozdzielając wzdłużnie przez środek na połowy, które elegancko przesuwają się do boków.

Wszystkie trumny są puste.

Biała tkanina w środku wygląda idealnie, jak nietknięta ludzką ręką.

Dostaję na ramionach gęsiej skórki, ciarki biegną mi po całym ciele: z tym miejscem coś jest nie tak. Zerkam na Bishopa, sprawdzając, czy i on czegoś nie wyczuwa, ale nie wygląda na zaniepokojonego.

Odsuwam to wrażenie na dalszy plan. Mam tyle pytań.

– Co to za miejsce? Co to za miasto?

– *To miasto nazywa się Uchmal. Zbudowano je dla wolnych ludów rebelii.*

Znowu to słowo: „rebelia”. Przychodzi mi na myśl ostrzeżenie Brewera, że możemy stworzyć sobie nową przyszłość, o ile nie będziemy skażeni przeszłością. Ten świat jest nasz i możemy zrobić z nim, co się nam podoba.

A le tylko jeśli przeżyjemy, a żeby przeżyć, musimy jeść.

– Jak możemy pokonać czerwoną pleśń?

C chwila przerwy.

– *Pani cesarzowo, pani unizony sługa nie ma żadnych informacji o czerwonej pleśni.*

T o miejsce musi coś wiedzieć. Niemożliwe, żebyśmy zaszli tak daleko zupełnie po nic.

– Znaleźliśmy skład żywności – mówię. – Pełen jedzenia skażonego toksyną. Jak radzili sobie z nią ludzie, którzy zjawili się tu przed nami? Co jedli? I gdzie się podziali?

– *Zgodnie z pani rozkazem, cesarzowo, nie było tu żadnych ludzi przed wami. Wy jako pierwsi stanęliście na Omeyocanie.*

To nie ma żadnego sensu. Patrzę na O'Malleya. On też nie rozumie. Oczywiście, że przed nami byli tu inni ludzie – to miasto samo się nie zbudowało.

– Rebelia – odzywa się Spingate w stronę sufitu. – Ta rzeź na „Xolotlu”. – Ogląda się, wbijając we mnie złowrogie spojrzenie. – Dlaczego tamci ludzie zostali z a m o r d o w a n i?

Z astygam w bezruchu. Tamci zginęli, bo Matylda wszczęła powstanie, ale tylko O'Malley i ja rozumiemy, że była niewolnicą, że ka ż d e kółko jest niewolnikiem. Wiedziałam, że powinnam była powiedzieć o tym wszystkim od razu. Teraz się to wyda.

O'Malley z otwartymi ustami wpatruje się w Spingate. Posyła mi przelotne

spojrzenie, ale potrafi tylko zamrużyć bezradnie – mistrz podszeptów nie ma pojęcia, co w tej sytuacji zrobić.

– Co do „Xolotla”, dysponuję tylko ograniczonymi informacjami – mówi Ometeotl. – *Waleczne wysiłki pani cesarzowej Savage powstrzymały straszliwą rzeź. Poprowadziła rebelię, która ocaliła tysiące istnień ludzkich, po czym przejęła kontrolę nad „Xolotlem” i stworzyła Uchmal.*

Ta odpowiedź odejmuje Spingate mowę; nie tego się spodziewała. Mnie też brak słów, ale z innych powodów – czy moja stworzycielka tak naprawdę broniła ludzi?

Potrząsam głową, próbuję się skupić. Nawet jeśli Matyllda broniła innych, to nie usprawiedliwia płaskorzeźb na ścianach Obserwatorium i nie ma żadnych szans na usprawiedliwienie rzezi na „Xolotlu”. Widzieliśmy tam martwe kółka, a nie martwe połówki czy zębaki.

Z araz... tę historię opowiada nam to samo źródło, które mówi, że jesteśmy tu pierwsi, najpierwsi, mimo że stoimy w budowlu, którą musiały stawiać tysiące ludzi.

I wtedy dociera to do mnie jak cios nożem w serce. Ometeotl właśnie powiedział, że to Matyllda stworzyła to miasto. Jeśli to prawda, to znaczy, że stworzyła też tę budowlę – czyli że stworzyła Ometeotla.

W głowie słyszę echo głosu ojca: *Historię piszą zwycięzcy.* Ta „historia”, której właśnie wysłuchałam... została napisana o Matylldzie czy przez Matylldę?

Frustracja opada mnie jak dziki zwierz. Nie mogę ufać w nic, co mówi Ometeotl. Ten komputer, czy co tam to jest, kłamie. Wszyscy kłamią. W tym miejscu skupiały się nasze nadzieje na poznanie prawdy, ale teraz legły one w gruzach.

Z nowu czuję ciarki; powraca to dziwne wrażenie i nagle orientuję się, o co chodzi – czuję się, jakby ktoś mnie obserwował.

Visca rzuca okiem w jeden kąt pełen cieni, potem w inny. On też to czuje.
– Coś jest nie tak – mówi.

Bishop marszczy brwi, jakby się z nim zgadzał, ale nie wiedział dlaczego.

Czuje jakiś zapach, słaby, śladowy, który wydaje mi się znajomy.

Cichutkie stuknięcie plastiku: snopy światła z pięciu latarek w mgnieniu oka przenoszą się na regały. To nadal te same skrzynie, wyraźnie puste, ale jedna kołysze się odrobinę.

Coś jest z nami w głębi tej budowli, coś czai się tu w głębokich cieniach. Skrzynia przestaje się kołysać – snopy światła tańczą po regałach, ale nie widać na nich już najmniejszego ruchu.

Kojarzę ten zapach: przypalone tosty; to samo czułam przy szczątkach ogniska i przy tunelu pod miejskim murem. Nie jesteśmy sami – są tu ludzie z dżungli.

Waham się. Możemy się z nimi zmierzyć, ale mogą być agresywni, a z nami jest Spingate. Jeśli coś się jej stanie, nie będziemy mieli szans na pokonanie pleśni. *Atakuj, atakuj, zawsze atakuj.* To znowu głos mojego ojca, ale tym razem nie ma racji. Nie wiemy, z jakim licznym wrogiem mamy do czynienia... ani w co jest on uzbrojony.

– Bishop – mówię, nie podnosząc głosu – wyprowadź nas stąd.

Bishop ustawia się w połowie drogi do regałów, między nami i nieznanym zagrożeniem. Przykuca z siekierą w jednej ręce, latarką w drugiej.

Visca jest przy mnie, głos ma cichy, ale stanowczy:

– Em, pakuj się do windy.

Robię, co mi każe, ale przez całą drogę przyglądam się ciemnym zakamarkom, oczekując, że ktoś z nich na mnie wyskoczy. Wchodzę do windy najciszej, jak potrafię. Aramowski, O'Malley i Spingate idą w ślad za mną. Wyczuwam ich strach.

Visca w milczeniu podchodzi do Bishopa, trąca go w wielkie ramię. Nie

spuszczając oczu z regałów, obaj ruszają tyłem i dochodzą w ten sposób aż do wnętrza windy.

Bishop zamyka drzwi.

Klatka się podnosi.

– Zauważyłam tylko tę jedną skrzynię – mówi Spingate. – Czy ktoś widział, żeby ruszało się coś jeszcze?

– Ja nie – odpowiada jej Bishop. – Ale wygląda na to, że ta klatka to jedyna droga wejścia i wyjścia. – Spogląda ku górze. – Ktokolwiek tam był, to jeśli nie był sam, może mieć przyjaciół czekających u góry, aż wyjdziemy. Bądźcie gotowi do walki. Musimy trzymać się razem, zejść z tej budowli i jak najszybciej wrócić na wahadłowiec.

Aramowski kręci głową.

– Nie możemy stąd odejść. Musimy wrócić na dół, dowiedzieć się w końcu, kim jesteśmy. Ta budowla, świątynia... powinniśmy wszystkich tu sprowadzić. Powinniśmy tu z a m i e s z k a ć.

Z amieszkać w gmaszysku pokrytym wizerunkami ofiar z ludzi? Uzyskiwać odpowiedzi od głosu jakiejś maszyny, która albo się myli, albo kłamie? Do tego jeszcze ta najbardziej oczywista rzecz – ktoś był tam na dole, ktoś, kto nas obserwował.

Rozpalacze ognisk.

Aramowski poniekąd ma rację. Może będziemy musieli tu wrócić, ale nie z tych powodów, o jakich myśli. Racji żywnościowych pozostało nam na pięć dni. Jeśli nie znajdziemy wkrótce jedzenia, jeśli Spingate nie uda się pokonać pleśni, przyjdziemy pojmać ludzi z Obserwatorium i zmusić ich, żeby zdradzili nam, co wiedzą. Przyjdę tu wtedy ze w s z y s t k i m i kółko-gwiazdami.

– Wracamy na wahadłowiec – mówię. – W Obserwatorium nie jest bezpiecznie.

Aramowski zaczyna protestować, ale z impetem stukam włócznią

w podłogę klatki.

– Nikomu nie wolno tu przychodzić – zapowiadam. – N i k o m u.

W szyscy kiwają potakująco głową. Nawet Aramowski.

Jadąca w górę klatka spowalnia. Czuję się lżejsza. Potem winda staje. Jej drzwi się otwierają. Widzimy schody prowadzące wyżej.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Po szerokich ulicach hula wichur, który wzmaga się w sąsiedztwie budynków stojących po lewej i prawej. Deszcz siecze w nas ze wszystkich stron, ale nie odważymy się teraz przystawać.

Jesteśmy ścigani.

Visca niesie Spingate na rękach. O'Malley bardziej potyka się niż biegnie; resztki energii wykorzystał dawno temu.

Przed nami Bishop macha jak opętany, żebyśmy dołączyli. Wychyla się zza rogu ulicy, do połowy ukryty za dolnym poziomem jakiegoś małego zigguratu. Nie może do nas wołać, bo pająk jest tak blisko, że mógłby nas usłyszeć nawet w szeleście miliona łopoczących na wietrze liści.

Pierwszy dobiega do Bishopa Visca, tuż po nim Aramowski. O'Malley przewraca się ciężko. Podnoszę go z ziemi, popycham naprzód. W tym momencie wyrasta przed nami Bishop, który zarzuca sobie O'Malleya na jedno wielkie ramię, łapie mnie za rękę i szarpnięciem przeciąga za róg.

Padam na ziemię obok Spingate, która bezgłośnie szlocha, przyciskając do piersi łokieć. Nie zaczęłam jeszcze wstawać, kiedy obok mnie ciężko ląduje O'Malley. Visca narzuca na nas grubą warstwę pńczy.

– Nie ruszać się – syczy Bishop. – I cisza.

Mijają kolejne sekundy. Wyteżam wzrok, patrząc przez liany na ciemną ulicę. Osłonięte chmurami bliźniacze księżycy Omeyocana to teraz zamazane świetliste plamy: niebieska i rdzawoczerwona. Nieliczne drzewa wyrastające z płaszczyzn zigguratów zginają się w podmuchach silnego wiatru.

Kombinezony w większości chronią nas przed wilgocią, ale deszcz spływa nam po twarzach i za kołnierze.

N a szczycie Obserwatorium nikt na nas nie czekał. Było ciemno choć oko wykol, bo światło gwiazd zakryły ciężkie chmury. W połowie naszej drogi w dół niebo rozdarła ulewa. Strome stopnie były wystarczająco zdradzieckie już wcześniej, zanim jeszcze zrobiły się śliskie od deszczu, zanim jeszcze spadły na nas porywiste podmuchy wiatru. Gdy zostały nam już tylko dwa poziomy, Spingate przewróciła się i rozbiła sobie łokieć na kamieniach. Uważa, że go sobie złamała.

Ruszyliśmy w drogę powrotną z Obserwatorium szlakiem Viski, ale tym razem nie byliśmy sami. Wśród podmuchów wiatru dobiegł nas głośny świst – odgłos pająka, tego, który prawie dopadł nas przy bramie miasta. Szuka nas teraz i depcze nam po piętach.

W tej chwili świst brzmi dużo głośniej.

– Co my robimy?! – szepcze Aramowski zza moich pleców. – Musimy dostać się na wahadłowiec!

R ęka Bishopa wystrzeliwuje spomiędzy pnączy, chwytą go za gardło.

– Siedź... cicho.

Z mienialiśmy kierunek biegu już tyle razy, że pojęcia nie mam, gdzie jesteśmy, choć Visca twierdzi, że niedaleko wahadłowca. Jeśli uda się nam zgubić pająka, wkrótce będziemy bezpieczni.

D eszcz leje się z nieba bez ustanku. Świst słyhać coraz głośniej. Wpatruję się w ciemny zbieg ulic i zastanawiam, czy nie powinnam może – tylko ten jeden raz – pomodlić się do bogów Aramowskiego.

J akis błysk, ruch: pająk objawia się nam zaledwie na moment, pędząc ulicą, na której właśnie byliśmy, po czym znika nam z oczu.

M ijają sekundy. Czekamy, aż wróci, żeby nas zabić.

S ekundy przechodzą w minuty.

Bishop w końcu puszcza Aramowskiego, a potem podchodzi do rogu ulicy i wygląda. Patrzę na niego, ale gdy tylko zastyga w bezruchu, dzięki swojemu kamuflażowi znika w cieniach nocy jak woda wsiąkająca w gąbkę.

Machnięciem ręki daje nam znak, byśmy ruszali.

* * *

Wspinamy się na ścianę pnączy, spoglądamy z niej na nasz wahadłowiec. Udało nam się. Kółko-gwiazdy wybiegają nam pomóc. Gaston wyprzedza je wszystkie, pędzi prosto do Spingate. Ktoś niesie O'Malleya. Pomagają mi czyjeś ręce, nie jestem pewna czyje.

W wahadłowcu wita mnie ciepło. Ktoś kładzie mnie w mojej trumnie. Potem zjawia się Smith, zadając mi ostre, krótkie pytania. Odpowiadam najlepiej, jak umiem: „Nie, nie jestem ranna; pokazujesz mi trzy palce, teraz dwa; tak, chce mi się tylko spać”. Potem znika, wyjaśniając, że musi zoperować łokieć Spingate.

Tak jak wcześniej, O'Malley leży w trumnie po mojej prawej, Bishop po mojej lewej. Obaj zdążyli już usnąć. Sama szykuję się do snu.

Wieko mojej trumny się zamyka. Jest w niej ciemno i ciasno, ale tym razem nic mnie to nie obchodzi. Choć otaczający mnie świat cichnie, w głowie huczy mi od głośnych pytań.

Kim byli ludzie w Obserwatorium? Czy to Starsi? Czy może młodzi ludzie podobni do nas, nienadpisane dzieci, którym jakimś cudem udało się dotrzeć na planetę przed nami? A może to jakaś grupa, która nie ma nic wspólnego z „Xolotlem”? Może to ludzie, którzy mieszkali tu, zanim jeszcze zaczęła się tysiącletnia podróż tego statku?

O meteotl powiedział, że Matyllda była bohaterką, że ratowała innym życie. To jakieś kłamstwo... prawda? Ale może ona faktycznie walczyła ze złem, przynajmniej na początku? Chwilami rozpaczliwie chciałabym w to wierzyć.

Znacznie częściej jednak staram się odsunąć od siebie myśl o wiele bardziej zatrważającą: a jeśli Matylda zaczęła od tego, co słuszne, od obrony innych, a potem pod wpływem władzy zmięknęła się, obróciła w potwora?

J eśli władza zmieniła ją, może zmienić i mnie.

Próbuję odepchnąć tę myśl, ale kurczowo się mnie trzyma, aż skrajne wyczerpanie wciąga mnie wreszcie w ciemność.

DWADZIEŚCIA DWA

Po przebudzeniu czekają mnie złe nowiny, i to przekazane przez niespodziewaną osobę.

– Wstawaj, Em – odzywa się Zubiri. – Pleśń się rozniosła.

Przetaczam się na bok, wtulam twarzą w wyściółkę mojej trumny. Jeśli zignoruję Zubiri, może uda mi się przespać jeszcze z piętnaście minut.

Czyjaś ręka na moim ramieniu zaczyna mną potrząsać.

– Em, sytuacja jest poważna. – To głos Gastona.

Wydaję z siebie jęk. Przetaczam się z powrotem na wznak, mrużę oczy w jasnych światłach wnętrza wahadłowca. Nachylają się nade mną Gaston i Zubiri. A także chudzielec Bordżigin. Widzę, że twarz ma zupełnie gładką, bez zarostu. Wszystkim innym chłopcom w jego wieku sypie się jakiś wąs czy broda – nawet małemu Gastonowi – ale nie Bordżiginowi. Ciekawe, czy w ten sposób zaprojektował go jego stwórca.

O baj chłopcy mają przejęte miny. Rozbieganym wzrokiem rzucają po sali, jakby sprawdzali, czy ktoś nie stoi za blisko i nie słyszy. Zubiri jest spokojna jak zawsze. Niewiele osób zdążyło wstać; musi być wcześniej rano.

– Jak poważna? – pytam.

Bordżigin patrzy na wewnętrzną część przedramienia. Ma podwinięte rękawy – napisał sobie na ręce jakieś liczby.

– Jedzenia zostało nam na jeden dzień – stwierdza. – Może. I to jeśli obetniemy wszystkim racje żywnościowe o połowę.

J e d e n dzień?

Próbuję unieść się do pozycji siedzącej. Powstrzymuje mnie wściekły ból w nogach. Czuję, jakbym zamiast ud miała cegły, taka jestem obolała po wspinaczkę na szczyt Obserwatorium. Gaston chwyta mnie za ramiona, pomaga mi się podnieść.

– Pomyliłeś coś w obliczeniach – mówię do Bordzigena. – Na pewno mamy więcej prowiantu.

Gaston kręci głową.

– Bordzigen ma pełny wykaz wszystkiego, co jest na statku. Zna naszą sytuację żywnościową co do kalorii.

Wszystko jedno. Bordzigen nie należy do naszej grupy podejmującej decyzje. Dotąd byliśmy w niej ja, O'Malley, Bishop, Gaston i...

Widzę, że Zubiri ma na ręce złoty karwasz.

– Gdzie Spingate? – pytam.

– W zabiegowym – odpowiada Gaston. – Jej łokieć da się wyleczyć. Ale Smith chce, żeby odpoczęła trochę dłużej.

Jeden kryzys goni drugi. Dlaczego nikt dla odmiany nie przyniesie mi jakichś dobrych wiadomości?

– Mieliśmy jeszcze pięć dni – mówię z niedowierzaniem. – Co się stało?

– Już ci mówiłam, pleśń – odpowiada rzeczowym tonem Zubiri. Przesuwa dłonią po karwaszu. – Spingate była kontuzjowana, więc zapytałam Gastona, czy mogę tego użyć. Przestroikałam czułość, żeby móc zbadać to jedzenie, które jest jeszcze w nieotwartych pudłach.

Jej twarzączka... taka niewinna. Niemożliwe, żeby miała rację – to jeszcze dziecko.

– Mnie też zaskoczyło, ile Zubiri wie – rzuca Gaston. – Potrafi posługiwać się karwaszem jeszcze lepiej niż Spingate.

Zasadniczo wszyscy jesteśmy w tym samym wieku, ale chyba po prostu zakładałam, że skoro w y g l ą d a m y doroślej, to jesteśmy mądrzejsi. Głupota

z mojej strony. Muszę uwierzyć, że młodsze dzieci są równie zdolne jak ja.

– Moim zdaniem ta pleśń to rodzaj broni – stwierdza Zubiri. – Efekt bioinżynierii służący do niszczenia zapasów żywności. Pleśń wydziela związek chemiczny, który robi w skrzynkach mikroskopijne otworki, a przez nie jej zarodniki dostają się do jedzenia.

Broń? Jeśli Zubiri ma rację, to by tłumaczyło, dlaczego całe jedzenie w składzie żywności było skażone. W każdym razie jutro będę miała na głowie setki głodnych ludzi.

My mamy chyba tylko trzy możliwości: pokonać pleśń na własną rękę, odkryć bezpieczny rodzaj pożywienia albo odnaleźć rozpalaczy ognisk.

Spingate i Zubiri powinny dalej pracować w laboratorium. Może uda im się coś wymyślić. W dżungli wre życie – jeśli poszukamy, może odkryjemy rośliny albo zwierzęta, które można bezpiecznie jeść. A przy okazji, po drodze, możemy wrócić do dołu po ognisku. Visca jest tropicielem... może uda mu się wytropić rozpalaczy ognisk.

Jeśli te trzy pomysły zawiodą, naszą ostatnią szansą będzie jeszcze jedna wyprawa do Obserwatorium.

– Gaston, obudź Bishopa i Viscę – mówię. – Wracamy do dżungli.

* * *

Wyruszamy pod niebem, które jaśnieje żółtopomarańczowym światłem poranka. W grupie ze mną są Bishop, Visca, Coyotl, Bordżigin i mała ząbdziewczynka nazwiskiem C. Kalle. Kalle ma ze sobą drugi karwasz i wie, jak się nim posługiwać – sprawdzi każde znalezione przez nas pożywienie.

Wolałabym wziąć Spingate, ale jeszcze przez jeden dzień ma nosić rękę na temblaku, a poza tym sensowniej będzie, jeśli pociągnie dalej badania nad pleśnią. Zubiri będzie jej asystować. Choć może teraz to Spingate będzie pomagać Zubiri?

O 'Malley też zostaje na miejscu. Wykończyła go ta wspinaczka na szczyt Obserwatorium. Jak zresztą nas wszystkich, tyle że on zniósł ją najgorzej. Zostawiam mu na głowie organizację rozleglejszego przeszukania otaczających nas budynków. Kończy nam się czas, więc nie stać mnie już na ostrożność; tym razem włączają się wszyscy. O'Malley postara się też, żeby Aramowski miał co robić; niech ten dryblas będzie tak zajęty, by nie mieć kiedy rozpowiadać swoich kłamstw.

Moja racja żywności jest tak nieduża, że z łatwością mieści się w kieszeni kombinezonu – obok bandażu, bidonu z wodą, paru drobiazgów medycznych i latarki. Niepotrzebna mi nawet torba. Jeden mały batonik zbożowy i kostka proteinowa – może to mój ostatni posiłek. A w każdym razie ostatni pozbawiony trucizny.

Poruszając się jak najciszej, kierujemy się w stronę bramy miasta. Deszcz zdążył przejść w mżawkę. Znowu wychodzi słońce, w którego promieniach miasto obrośniętych pnączami piramid błyszczący, jakby pociło się w upale.

T rzymamy się blisko budynków, gotowi ukryć się pod pnączami na każdy sygnał o pojawieniu się pająka. Bishop, Visca i Coyotl w poszukiwaniu zagrożeń idą daleko na przedzie, zostawiając mnie z Bordżiginem i Kalle. Ta ostatnia wciąż poprawia karwasz zsuwający jej się z przedramienia – wyraźnie widać, że nie został zaprojektowany do użytku przez małą, chudą jak patyk dwunastolatkę. I ona, i Bordżigin mają noże schowane w przytroczonych do ud pochwach.

– Nie rozumiem, dlaczego muszę z wami iść – skarży się Bordżigin.

S łyszę to już czwarty raz. Staram się nie tracić cierpliwości.

– Znasz naszą sytuację żywnościową lepiej niż ktokolwiek inny – tłumaczę mu. – Jeśli znajdziemy jakieś pożywienie, obliczysz, na ile może nam wystarczyć, ile osób potrzeba nam będzie, żeby je przetransportować, tego typu rzeczy.

– Taką logistyką mogę się zająć z pokładu wahadłowca, wystarczyłoby, żeby ktoś zdał mi raport. Tu jest niebezpiecznie.

– Zamknij dziób – mówi Kalle, nie patrząc na niego i nie zwalniając kroku.
– Jestem o połowę mniejsza i jakoś nie narzekam na niebezpieczeństwo. Albo nam się uda, albo zginiemy. Przestań się zachowywać jak płaczliwe dziecko, w mordę bogów.

B ordżigin patrzy na nią gniewnie. Kalle nie zwraca na to uwagi.

N ie cieszy mnie, że ta mała przeklina, ale ona sama już mi się podoba. Ma blond loki, bardziej sterczące niż opadające. Przypominają mi włosy Latu, więc próbuję omijać je wzrokiem.

– Po prostu słuchajcie kółko-gwiazd – radzę obojgu. – Jeśli chcecie przeżyć, róbcie dokładnie to, co wam każą.

– Tajest, szefowo – odpowiada Kalle, ale Bordżigin błędnie. Może w jego pojęciu słowo „niebezpiecznie” nie obejmowało ryzyka utraty życia.

I dziemy dalej w milczeniu. Dojście do muru miasta zajmuje nam cztery, może pięć godzin. Przy bramie dołączamy do kółko-gwiazd. Wysokie wrota są zamknięte, tak jak je zostawiliśmy kilka nocy temu.

– Nadal ani śladu pajaków – mówi Bishop. – Wszyscy do bramy. A teraz razem: p c h a m y.

W sześcioro napieramy na grubą metalową płytę. Wśród zgrzytu zawiasów, powoli, masywne skrzydła uchylają się nieco. Prześlizgujemy się przez szczelinę. Zostawiamy je niedomknięte – tak jest lepiej, bo nie wiemy, czy nie będziemy musieli tędy wracać.

P rzed nami rozciągają się rozsiane po dżungli ruiny. Liczyłam na to, że może zobaczymy też smugę dymu wijącą się gdzieś po niebie, ale nie mamy tyle szczęścia. Oczywiście, to byłoby zbyt proste.

B ishop lustruje linię drzew. Robię to samo, ale wiem, że zobaczy każde zagrożenie na długo przede mną, nawet takie, jakiego nie uznałabym za

niebezpieczeństwo albo jakiego nie dostrzegłabym wcale.

– Na oko wszystko w porządku – oświadcza. – Visca, jazda.

Visca wyrusza ze wzrokiem wbitym w ziemię. Po prawej ma oplątany pnączami mur. Sądzi, że da radę pójść tropem, który zostawiliśmy kilka nocy temu; powinien on zaprowadzić nas wprost do dołu z ogniskiem. Oszczędzi tym Bishopowi i mnie prób przypominania sobie, gdzie znajdowaliśmy się, kiedy je odkryliśmy. Gdy już dojdziemy w to miejsce, Visca poszuka śladów rozpalaczy ognisk.

Bishop pozwala mu oddalić się kawałek, po czym rusza za nim. Następna idę ja, potem Kalle i Bordżigin; Coyotl strzeże naszych tyłów.

– Nadal mi się to nie podoba – mówi Bordżigin. – W dżungli słychać zwierzęta. A jeśli nas zaatakują?

Kalle wzdycha i kręci głową.

Coyotl klepie swoją kościomaczugą w otwartą dłoń.

– Nie martw się, Bordżigin – mówi z szerokim uśmiechem. – Jeśli cokolwiek się zdarzy, ja cię obronię.

Bishop przystaje, ogląda się, macha, żebym przyśpieszyła – Visca odnalazł nasz trop.

* * *

Południowe słońce bije w nas gorącem; gdy udaje mu się przedrzeć przez korony drzew, czuję żar na twarzy, a nawet włosach. Z zabłoconej ziemi i z wody skroplonej na żółtych liściach unoszą się esyfloresy mgły. W jej trzymającej się nisko zawieszynie dżungla dusi się jak na wolnym ogniu. Mimo tego parnego gorąca, mimo drapiących gałęzi, naturalne piękno dżungli jest urzekające. W powietrzu śmigają jaskrawobarwne plamaki. Słyszymy jakieś małe zwierzęta przemykające w poszyciu. Może to któreś z nich piekli na ognisku jego tajemniczy rozpalacze.

Kalle przystaje przy każdej nowo zauważonej roślinie, macha nad nią karwaszem. Za każdym razem mówi jednak to samo: „Niejadalna”.

W końcu Visca doprowadza nas do dołu po ognisku. Teraz jest to tylko kałuża czarnej wody pełna mokrego drzewnego węgla. Nic w pięciobocznym budynku nie wskazuje na to, żeby od naszej ostatniej wizyty ktokolwiek tu bywał.

– Przecheszę okolicę – stwierdza Visca i zanurza się w dżungli.

– Odpocznijmy – mówi Bishop. – Zostaniemy tutaj, schowani. Pająki mogą być wszędzie.

B ordżigin nie posiada się z radości, że może usiąść. Kalle macha karwaszem nad mchem porastającym ściany. Najpierw myślę, że się wygłupia, ale potem burczy mi w brzuchu i zadaję sobie pytanie, czy mech może być smaczny. Klejnoty na karwaszu migoczą pomarańczowo, więc chyba nie mam po co dłużej się zastanawiać.

Z najduję sobie miejscówkę, siadam i rozcieram bolące uda. Mięśnie trochę się rozluźniły, ale nadal dokuczają mi jak nie wiem co.

Bishop osuwa się na ziemię obok. Przez chwilę pije z bidonu, po czym mi go podaje. Jakie to miłe z jego strony. Pociągam łyk wody, oddaję bidon Bishopowi.

– Myślisz, że Visca znajdzie jakiś trop?

Wzrusza ramionami.

– Może, ale nie nastawiaj się na to za bardzo. Co prawda jest w tym dużo lepszy ode mnie. Możliwe, że...

– Znalazłem ścieżkę – informuje nas Visca.

Bishop podrywa się momentalnie. Po chwili wszyscy znów ruszamy w drogę.

* * *

Z początku nie widziałam ścieżki przez dżunglę, po prostu szłam za Bishopem, który z kolei podążał za Viscą. Ale po dwóch godzinach marszu już rozpoznaję drogę, mogłabym z łatwością iść nią sama.

N a poziomie wzroku zauważam ją jako wąziutką przerwę wijącą się przez poszycie dżungli. Pod stopami jest to mokry, nieregularny pas brązu, jakby nacięcie wśród płozących się lian i reszty okrywy roślinnej. Płytkie wgłębienia wypełnione wodą to może ślady stóp, choć nie sposób zorientować się, jak dużych. Z obu stron ścieżki drapią nas gałęzie, pnącza mażą nas swoim sokiem.

J esteśmy zmęczeni marszem i okropnie brudni, ale nie dbam o to. Tę ścieżkę wydeptali rozpalacze ognisk. Musi nas do nich doprowadzić.

S łyszę swoje własne kroki, szelest lian i paproci odgarnianych na boki i cofających się z pacnięciem na swoje miejsce. Kółko-gwiazdy idą jak zwykle bezszelestnie. Nie licząc Coyotla daleko za nami – słyszę, jak się porusza. Kalle prawie nie słychać, może dlatego, że jest maleńka, ale Bordżigin robi tyle hałasu, że równie dobrze mógłby pokrzykiwać.

B ishop unosi pięść. Kalle i ja zatrzymujemy się w jednej chwili. Bordżigin wpada na nas, hałasując przy tym jeszcze bardziej.

– Przepraszam – bąka.

B ishop podchodzi do nas długim krokiem.

– Bordżigin, proszę cię, zachowuj się ciszej – mówi, z wyraźnym wysiłkiem starając się pohamować irytację. – Patrz, gdzie stawiasz nogi. Najpierw dotykaj ziemi piętą, potem przenoś ciężar ciała na przód i resztę stopy.

O nieśmielony Bordżigin szybko kiwa głową.

– Świetnie – mówi Bishop. – Idziesz za Em, więc przyglądaj się, jak ona to robi.

B ishop bezgłośnie przesuwa się naprzód i dołącza do Viski; po chwili ruszamy dalej.

B ordżigin zerka na mnie nerwowo, z zakłopotaniem.

P rzy całym panującym w dżungli upale czuję nagle na twarzy dodatkową falę gorąca. Bishop postawił m n i e za wzór kogoś, kto porusza się cicho? Jestem w szoku, zawstydzona, tyle że pozytywnie. Trudno mi to nawet ogarnąć umysłem. Na Bishopie robi wrażenie to, co potrafię z r o b i ć, a nie tylko to, jak wyglądam, czy to, że mam pozycję przywódcy. Jak daleko sięgam swoją krótką pamięcią, łącznie z tym, co przypominam sobie z dzieciństwa Matyldy, słowa Bishopa sprzed chwili to najwspanialsza rzecz, jaką ktokolwiek kiedykolwiek mi powiedział.

Idę dalej; tuż za mną – Kalle. Bordżigin nie porusza się już może tak głośno jak wcześniej, ale cicho na pewno też nie. Zaczynam każdy krok stawiać superostrożnie – nie chciałabym rozczarować Bishopa.

O dgłosy zwierząt dobiegające z dżungli cichną, potem zamierają zupełnie. Nie licząc brzęczenia plamaków w locie, wokół zapada cisza. Ani Bishop, ani Visca nie sygnalizują nic uniesieniem pięści, ale nie muszą – i tak wszyscy stajemy.

C oś nadchodzi. Coś, czego boją się inne zwierzęta.

N owy odgłos: jakiś suchy szelest, coś przemyka szybko po zeschniętych liściach i miękkich pnączach.

B ishop patrzy na mnie, ruchem ręki pokazuje, żeby się schować. Przyklekam, oglądam się wzdłuż ścieżki: Kalle już nie widzę, za to Bordżigin stoi jak wryty w ziemię – co za głupek.

– Bordżigin – szepczę – k r y j s ię!

P atrzy na mnie, oniemiały i przerażony, po czym wślizguje się pod żółtawozieloną roślinę o większych od niego liściach.

S zelest jest coraz głośniejszy. Słyszę go z kilku punktów naraz, wszystkich po mojej prawej. Coś się ku nam zbliża.

W poprzek ścieżki przebiega jakieś stworzenie – brązowe o żółtawych

cętkach, czterech nogach, mniej więcej wielkości świń, które widzieliśmy na „Xolotlu”. Nie ma takich oczu jak my, tylko z każdej strony dziwnego łba po trzy lśniące czarne kropki ustawione w jednej pionowej linii. Stworzenie znika w zaroślach po drugiej stronie ścieżki.

Czy moglibyśmy je zabić, zjeść?

P przypominał sobie, jak pyszna była świnina.

P o mojej stronie ścieżki – więcej szelestów i trzasków; kolejne brązowe stworzenia pędzą za tym pierwszym. Za nimi zaś coś dziwnego – na oko wielki wąż, brudnożółty i gruby jak moje udo, unosi się w ciszy z leśnego runa. Długie, paskudnie wyglądające szczypce z zadziorami rozwierają się szeroko, gotowe do ataku.

D rugie brązowe zwierzę przemyka w poprzek ścieżki, potem jeszcze jedno i jeszcze jedno. Kolejne, małe i pękate, gramoli się między mną i Bordżiginem. Jest mniejsze od całej reszty... to pewnie młode. Potyka się o jakiś korzeń i przewraca, koziółkując i rozbryzgując błoto. Jest tak blisko, że mogłabym wyciągnąć rękę i je dotknąć.

T o coś węzowego wystrzeliwuje przed siebie: szczypce zatraskują się na ciele małego zwierzęcia. Młode piszczy z bólu i przerażenia. Wąż się unosi, przytrzymując zdobycz w szczypcach. Krótkie nóżki ofiary wierzgają bezradnie. Leje się różowawa krew.

Runo leśnie drga i pęka, podnosi się z niego coś wielkiego – wąż to tylko część większego drapieznika, coś w rodzaju wydłużonego nosa. Zwierzę staje na czterech długich nogach. Jego płowa sierść upstrzona jest brązowymi pręgami. Pod miejscem, w którym gruba węzotrąba wrasta w łeb, widnieje szeroka paszcza pełna białych zębów, długich jak moje palce u rąk. Silne barki i pierś zwężają się w szczuplejsze biodra i muskularne nogi. Podobnie jak świnkostwory, ta bestia też ma po trzy lśniące czarne kropki po obu stronach łba – to pewnie jej oczy.

Młode piszczy naprawdę przeraźliwie.

Wężotrąba nagle trzaska jak bicz, waląc ofiarą o ścieżkę tak mocno, że aż czuję, jak ziemia drży.

Piski przechodzą w mokre pochrząkiwanie.

Wąż znowu podnosi nadal drgające młode, drugi raz wali nim w ziemię.

Koniec pochrząkiwań. Koniec drgawek.

Bestia zwija wężotrąbę do środka i wkłada sobie martwe zwierzę w długozębną paszczę. Zamyka, żuje, chrupie.

Przełyka.

Nagle wężotrąba unosi się, zastyga. Widzę na jej końcu, tuż nad szczypcami, cztery małe punkciki koloru ciała. Otwierają się, wciągają powietrze, zamykają się, otwierają.

Krew ścina mi się w żyłach: *Czy to coś czuje mój zapach?*

Wężotrąba wygina się to w tę, to w tamtą stronę, wężąc.

Łeb potwora jest ciężki, kościsty. Pod brudną sierścią widzę drgające mięśnie i zarys żeber tak grubych i płaskich, że przywodzą mi na myśl pancerz. Klatka piersiowa to jednolita wygięta płyta kostna, o mały odcień ciemniejsza niż sierść. Zaciskam ręce mocniej na swojej włóczni – jeśli to coś zaatakuje, nawet nie wiem, gdzie miałabym uderzyć.

Niuch-niuch...

Bishop bezszelestnie przykuca obok mnie z siekierą zaciśniętą w rękach.

Wąż kołysze się coraz bliżej rośliny Bordzigina. Od uwalanych posoką szczypiec dzieli teraz chłopaka tylko pojedynczy szeroki, ale cienki liść.

Niuch-niuch...

Z wierzę o żółtej sierści cofa się o krok. Trąba się kurczy, szczypcy odchylają w bok – z każdego z nozdrzy tryska strumień jakiejś mazi.

Czy to coś właśnie ki chnęło?

Z wierzę odwraca się i rusza biegiem w dżunglę. Choć jest tak wielkie,

momentalnie znika w zaroślach.

Mija kilka chwil. A potem, zupełnie jakby ktoś obrócił ukryte gdzieś pokrętko, do dżungli powracają odgłosy życia.

Coyotl wyslizguje się spośród drzew na ścieżkę i mija nas, biegnąc prosto do rośliny, za którą ukrywa się Bordżigin. Zrywa z niej liść, odsłaniając trzęsącego się z trwogi chłopaka, po czym przyklęka, obejmuje go ramieniem i mówi coś tak cicho, że nie słyszę słów.

Wstaję razem z Bishopem. Choć nic mi się nie stało, nogi mam jak z waty, jakbym przed chwilą wzięła udział w walce.

– Nie rozumiem – odzywam się. – Dlaczego ten stwór nas nie zaatakował? To małe zwierzę musiało być dla niego ledwie na jeden ząb.

Visca pojawia się równie niespodziewanie, co wcześniej Bishop. Nigdy nie przywyknę do tego, jak bezszelestnie poruszają się kółko-gwiazdy.

– Nie mieliśmy odpowiedniej woni – stwierdza Visca. – Pewnie nie pachniemy jak jedzenie.

Kalle wychodzi z zarośli.

– Może to jakaś reakcja alergiczna – stwierdza. – Może nigdy wcześniej nie wywęchało nikogo takiego jak my.

Bishop kręci głową.

– Wątpię. Ktoś rozpalił ognisko, wybudował miasto. Na Omeyocanie są inni ludzie.

Visca wzrusza ramionami.

– Więc może to nasze ubranie? Może chodziło o jego zapach?

Kalle olejne pytania, na które nie znamy odpowiedzi.

– Nie zatrzymujemy się – rzuca Bishop. – Następnemu zwierzęciu nasz zapach może się spodobać. Visca, idziesz.

Visca odwraca się i prawie bezgłośnie rusza dalej ścieżką.

W zasadzie to ja dowodzę, ale tutaj polecenia wydaje Bishop. Na razie nie

mam nic przeciwko – serce łomocze mi tak, jakby chciało rozsadzić mi klatkę piersiową i płuca. Chyba nie mogłabym skupić się teraz na niczym innym niż trzymanie się ścieżki.

Bishop celuje palcem w Bordżigina.

– A ty musisz być c i c h o.

C oyotl wkracza między nich.

– Daj mu spokój, Bishop. Stara się najlepiej, jak może.

B ordżigin nic nie mówi, tylko stoi w miejscu, dygocząc.

Bishop piorunuje wzrokiem najpierw jego, a potem Coyotla, po czym odwraca się i rusza ścieżką w dalszą drogę.

* * *

I dziemy przez dżunglę. Zaczynają osiadać mnie jakieś małe owady, ale nie gryzą. Właściwie dokucza mi tylko ich obecność.

T en wielki drapieznik wystraszył mnie nie na żarty. Minęła godzina, a ja nadal czuję się nieswojo. Przypominał niedźwiedzia albo wielkiego wilka, tyle że ze słoniową trąbą zakończoną szczypcami jak u mrówki. Jak mamy go choćby nazwać? Wężowilkiem? Niedźwiedziomrówką? Ciężko wymyślić nazwę, kiedy we wspomnieniach Matyldy brakuje łatwych porównań.

B rzęczenie plamaków. Pohukiwanie niewidocznych zwierząt niesione echem pod koronami drzew. Upał. Wilgoć. Czerwone słońce płonące nad żółtym listowiem. Mamy teraz całe mnóstwo kłopotów, a jednak chwyta mnie za serce nagła miłość do Omeyocana. To jest mój d o m. Był to mój dom, zanim jeszcze powstała na nim moja noga. Nie chcę być w żadnym innym miejscu. Już nigdy.

P rzed nami Visca zatrzymuje się nagle. Unosi w górę zaciśniętą pięść.

B ishop wraca do nas truchtem. Liście zdają się przed nim rozstępować, a on sam wygląda, jakby prześlizgiwał się p r z e z nie niby nierealna zjawą,

niby duch.

Jedną ręką obejmuje Kalle, drugą mnie, ruchem głowy wskazując powalony pień drzewa po prawej stronie ścieżki. Chce, żebyśmy się schowały.

W trójkę klękamy za powalonym pniem. Rozglądam się wokół: Visca zniknął. Bordżigin ukrywa się po drugiej stronie ścieżki za jakąś leżącą kłodą. Coyotl jest przy nim, owinięty lianami i prawie niewidoczny.

W iatr zmienia nieco kierunek – wychwytyję delikatny zapach przypalonych tostów.

P otem coś słyszę. To cichy, regularny odgłos... gałęzie zsuwające się po czymś... ciche trzaski gałązek pod czyimiś nogami...

T o jest to – znaleźliśmy rozpalaczy ognisk. Mój oddech brzmi mi w uszach tak głośno. Serce wali mi jak młotem.

C zy nas zaakceptują? Czy nauczą nas, jak polować i przygotowywać pożywienie? Czy nasze kultury dadzą radę żyć jedna obok drugiej? Czy też może wszystko potoczy się odwrotnie – czy zajdzie konieczność przymuszenia ich, żeby opowiedzieli nam, jak przeżyć?

J akis ruch na ścieżce. Wśród żółtych liści widzę błyski czerwieni i zieleni.

C zy będą młodzi jak my, czy wiekowi jak Starsi?

J eden z rozpalaczy ognisk wyłania się zza pnia grubego drzewa, wkraczając w nasze pole widzenia.

Ż ołodek podchodzi mi do gardła.

R ozpalacze ognisk, którzy czaili się w cieniach Obserwatorium, którzy pachną jak przypalone tosty...

N ie są jak my.

N ie są jak Starsi.

W ogóle nie są l u d ź m i.

DWADZIEŚCIA TRZY

Syknięcie strachu Bordzigina niesie się przez dżunglę.
Rozpalacz ognisk przystaje.

Poszycie i zwisające liany częściowo go zasłaniają. To nie jest zwierzę – zwierzęta nie noszą narzędzi. Czy trzyma w ręce maczugę?

Czuję się odrętwiała. Nie jest to wrażenie „luki w pamięci”, do którego już przywykłam, tym razem to coś innego... uczucie kompletnej pustki.

I stota zamiast ubrania ma na sobie szmaty, postrzępione pasy żółtego, zielonego i niebieskiego – w kolorach dżungli – obwiązane wokół długich, cienkich, ale silnych ramion. Między paskami materiału widzę pomarszczoną, ciemnoniebieską skórę.

Jest prawie mojego wzrostu. Głowę ma szerszą i dłuższą niż moja. Oczy – trzy – z których środkowe jest osadzone nieco ponad dolnymi dwoma – tworzą płaski trójkąt wzroku, wędrującego badawczo w koło. Nawet z tej odległości ich kolor jest wyraźnie widoczny: są jaskrawoniebieskie jak oczy O'Malleya. Poniżej oczu – szerokie usta: fioletowe wargi wygięte w dół w przesadnie marsowym grymasie.

Wspomnienia Matyldy z trudem próbują określić, co widzę. Eksplozja wspomnień w obrazach: *usta jak u ropuchy, u żaby, u ryby.*

Głowa istoty nagle się obraca, patrzy w lewo. Stwór podchodzi bliżej, przeciskając się przez zagradzające mu drogę gałęzie. W jego sposobie poruszania się jest coś dziwnego.

Widzę teraz jego nogi: też obwiązane szmatami, grube i mocarne, ale

dziwnie zgięte, jakby siedział na niewidzialnym krześle. Stwór pochyla się naprzód, i to tak bardzo, że nie rozumiem, jakim cudem nie upadnie na twarz, tę swoją dziwną twarz.

O bie nogi odpychają się równocześnie, tak że istota miękkim susem przesuwa się do przodu. Nie jest to krok, tylko s k o k, przy którym obie długie stopy odrywają się od ścieżki. Istota ląduje bezgłośnie.

T roje niebieskich oczu przeczesuje ścieżkę coraz dalej z boku na bok. Stwór chyba usłyszał Bordżigina i teraz szuka źródła tego odgłosu.

Rozpalacz ogniska ogląda się w stronę, z której nadszedł, i wtedy widzę, dlaczego nie upada – jego nachylenie w przód równoważy długi, gruby o g o n.

Z nów obraca się w naszą stronę, wciąż szuka, wciąż jest czujny. Dziwne, podłużne ręce poprawiają chwyt na maczudze. Trzy palce, nie pięć, wszystkie grubsze od naszych, wliczając w to długi kciuk. Ramiona są żylaste, umięśnione.

N iepokoi mnie ta maczuga, choć sama nie wiem czemu. Podłużna i wąska jak rękojeść łopaty Farrara, pół drewniana, pół metalowa. Na końcu nie ma nic niebezpiecznego – ani obucha siekiery, ani grota włóczni. Na drugim końcu, trzymanym bliżej ciała, maczuga rozszerza się i spłaszcza; może ta część służy do rozbijania różnych rzeczy, tak jak młot Viski.

C zuję trącenie w ramię. Bishop wpatruje się we mnie, ściskając w dłoniach czerwoną siekierę. Potrząsa nią tylko raz, lecz wymownie, zadając mi nieme pytanie: *Mam to coś zabić?*

C zy ta istota jest sama? Czy jeśli dostrzeże któreś z nas, podniesie alarm? Nie ma na sobie chyba nic przypominającego bransoletki Starszych, nic, czym mogłaby trafić nas z daleka. Bishop może ją zaskoczyć, zabić znienacka. To coś nie jest jak my – jest i n n e – a już i tak natknęliśmy się na dość zagrożeń.

N ie wiem, co robić.

N iebieskie oczy lustrują ścieżkę, przepatrują zarośla.

W dwóch krótkich podskokach stworzenie się przybliża.

Na piersi ma zawieszoną kratkę, coś w rodzaju naszyjnika – zrobionego z kości. Na biodrze zwisa mu wypchana torba.

Jest już tylko o kilka kroków od nas – nie zdążyłoby nawet zareagować, gdyby Bishop zatopił siekierę w tej szerokiej głowie.

Zerkam na drugą stronę ścieżki. Z miejsca, w którym jestem, ledwo widzę Bordzigina schowanego pod zasłoną z rozłożystych liści. Coyotla nie widzę wcale. Gdzie jest Visca, nie mam pojęcia.

Rozpalacz ognisk unosi się lekko. Ciężkim ogonem opiera się na ziemi. Otwiera wielkie usta i wyszczekuje jedną ostrą sylabę.

Kolejny ruch w głębi ścieżki. Istota nie jest sama. Pojawiają się jeszcze trzy stworzenia w szmatach, wyglądające tak samo jak to pierwsze. Choć nie do końca: ich skóra jest mniej pomarszczona i ma inny odcień. Dwa z nich mają fioletowawy odcień niebieskiego, trzecie – fioletowawy czerwonego. To fioletowawoczerwone jest najmniejsze z całej czwórki.

A potem jeszcze dwie istoty, o ponad połowę mniejsze od pozostałych – potomstwo. Ich skóra ma barwę jaskrawej, nasyconej czerwieni.

Bishop napina mięśnie. Za chwilę zaatakuje.

Kalle kładzie mu rękę na ramieniu. Robi wielkie oczy, kręci głową.

Ten drobny gest przywołuje mnie do naszej rozpaczliwej rzeczywistości – potrzebujemy pomocy. Jeśli możemy jeść to, co te istoty, jest bez znaczenia, że nie są one ludźmi.

Patrząc Bishopowi w oczy, wypowiadam samymi wargami bezgłośnie „nie”.

Nagle cała szóstka istot rusza w podskokach ścieżką. Dorosłe osobniki poruszają się cicho i z gracją. Młode, żeby nadążyć, muszą wykonywać dwa razy więcej susów. Te dwa są maleńkie i mają wielkie błękitne oczęta – mimo woli myślę sobie, że wyglądają słodko.

Cała grupa podąża ścieżką, by po chwili zniknąć w głębi dżungli.

Wszystko uległo zmianie. Dzieci. R o d z i n y.

I ch zapach – zapach przypalonych tostów – to ta sama woń, którą czułam przy ognisku, przy tunelu w miejskim murze... i w Obserwatorium. Istoty podobne do tych obserwowały nas tam. Nie zaatakowały.

Bishop szepcze mi w ucho:

– I co teraz?

P ojęcia nie mam. Powinnam była z nimi porozmawiać, ale za bardzo osłupiałam, za bardzo się bałam.

O d jak dawna te stworzenia żyją na Omeyocanie?

Nie są podobne do pająka. Pająk to zwierzę; te istoty miały na sobie odzież i ozdoby, a przy sobie jakieś narzędzie albo broń.

Działy razem, w grupie, tak jak my.

Chroniły swoje dzieci.

N ie trzeba być Spingate, żeby zorientować się, że te stworzenia są dobrze odżywione. A z tego, co wiemy – choć to niewiele – zapewne możemy jeść to, co one jedzą.

R ozwiązanie kwestii naszego przetrwania znają istoty, które nie są ludźmi.

M uszę dowiedzieć się więcej.

– Pójdziemy za nimi – mówię. – Ruszajmy.

* * *

T rzymamy się blisko siebie. Na przedzie idzie Visca. Nigdy nie widziałam nikogo, kto by się tak pocił jak on; większość ziemi i soku pnączy spłynęła mu już z twarzy. Choć jego blada skóra zaczerwieniła się trochę od słońca, to czarna kółko-gwiazda na czole nadal odcina się od niej wyraźnie.

V isca podąża tropem tamtych istot. Nie jest to łatwe, bo przecięliśmy już przynajmniej z dziesięć innych ścieżek. Jeśli wszystkie te trasy wydeptali rozpalacze ognisk, ciekawe, ilu ich jest.

B udynek z dołem na ognisko... miał jedną ścianę zawałoną do środka. Uznaliśmy, że zrobił to pająk. Czy to znaczy, że pająki atakują te istoty tak samo jak nas? Czy to mogłaby być dla nas jakaś płaszczyzna porozumienia, sposób na zapoczątkowanie komunikacji?

C o dwadzieścia, trzydzieści kroków Visca przystaje, spogląda na ziemię, czasem na jakąś zwisającą nad ścieżką gałąź. Obserwuję go uważnie i widzę to samo, co on: odwrócony kawałek mchu, włókno kolorowej nitki przychepione do gałęzi, odcisk stopy w ziemi, w którym zbiera się woda. To w ten sposób tropi te istoty. Ciekawe, czy umiałabym to samo. Nabieram przekonania, że gdybym n a p r a w d ę się postarała, mogłabym iść za nimi, posługując się samym tylko nosem.

T en zapach... *przypalone tosty... mój tato lubił robić nam śniadania. Mnie, mamie i jeszcze... miałam młodszego brata? Tato świetnie przyrządzał obiady, zwłaszcza wieprzowinę, ale śniadanie zawsze kończyło się katastrofą... przypalone tosty, za rzadka jajecznicą, i jeszcze...*

B ordżigin wpada na mnie z tyłu – zatrzymałam się, zatopiona w tym niespodziewanym wspomnieniu.

– Przepraszam, Em – mówi o wiele za głośno. – Patrzyłem na swoje nogi.

– C i c h o – szepczę.

K iwa głową jak oszalały. Boi się nie tylko tych istot, ale i wszelkich innych rzeczy, które mogą czyhać na nas w tej niekończącej się dżungli.

K alle też się boi. Widzę to na jej małej twarzyczce. Boimy się wszyscy, nawet kółko-gwiazdy. Jesteśmy tylko d z i e ć m i, zmuszonymi reagować na nieprawdopodobne sytuacje. Bez pomocy, bez wskazówek, bez porad.

R uszam znów ścieżką, doganiam Bishopa.

T o wspomnienie śniadania. Takie r e a l n e. Ale to było wspomnienie Matyldy, nie moje. Dlaczego to nie mogło być moje życie? Dlaczego nie mogłam się urodzić zamiast wykluć? Mieć kochającej rodziny, rodziców,

brata...?

N owy zapach: pieczone mięso.

V isca unosi pięść. Zatrzymujemy się. Chłopak przykłęka, bada ziemię, po czym ruszamy znowu, tym razem w dół po stromym, gęsto zadrzewionym zboczu usłanym porośniętymi przez pnącza gruzami. Na dole trafiamy na płytki staw, w którym woda sięga nam do kolan. Rozglądam się i widzę, że nierówna ziemia wznosi się na tę samą wysokość ze wszystkich stron, a staw jest z grubsza okrągły: znajdujemy się w jakimś kraterze, szerszym od długości naszego wahadłowca. Przebiega mnie dreszcz – jaki wybuch mógł pozostawić po sobie tak wielką dziurę?

V isca nie przerywa marszu. Wkrótce wspinamy się na przeciwległe zbocze. Stąpienie po gruzach, przeważnie ukrytych w roślinności, jest niebezpieczne i g ł o ś n e, bo pokruszone bloki czy kawałki kamieni stukają i klekoczą przy każdym kroku.

P od szczytem Visca znów unosi w górę pięść. Bishop przykłęka przy nim, wygląda za krawędź, wzywa mnie machnięciem ręki. We troje kucamy w zaroślach, wystawiając tylko głowy nad brzeg krateru.

P atrzymy na polanę o nieregularnym kształcie. Otaczają ją wysokie, kruszące się ściany pokryte warstwą lian. Cztery ściany, albo przynajmniej ich części, ułożone w ten sześciokątny kształt – dwie brakujące były chyba kiedyś tam, gdzie teraz jest krater. Za zrujnowanymi ścianami widać grube, wysokie i stare drzewa.

P ośrodku polany migocze niewielkie ognisko. Nad ogniem piecze się na różnie jakieś małe zwierzę. Z mięsa ścieka tłuszcz, syczy na rozżarzonych węglach pod spodem. Wiem, że nie powinnam myśleć teraz o żołądku, ale to mięso pachnie f a n t a s t y c z n i e.

Żadnych oznak tamtych. Rozpalili ognisko, zaczęli piec to zwierzę, a potem sobie poszli?

Nachylam się bliżej Bishopa.

– Gdzie oni są?

Bishop przeczesuje wzrokiem polanę. Ruchy jego oczu przywodzą mi na myśl ubranego w szmaty rozpalacza ognisk ze ścieżki, który też wypatrywał zagrożenia i też żadnego nie znalazł.

– Nie podoba mi się to – szepcze Bishop.

Mnie też nie, ale to bez znaczenia. Przegapiłam pierwszą okazję do porozmawiania z tymi stworzeniami. Drugiej już nie przepuszczę.

„Stworzenia”... nie tak należy myśleć o inteligentnych istotach, które mogą nam pomóc. Będę myśleć o nich „Skoczki”, przynajmniej póki się nie dowiem, jak same się nazywają.

– Idę do ogniska – decyduję.

Bishop kręci głową.

– Ja pójdę. Mogą być niebezpieczni.

Mogą, to prawda, za to Bishop jest bez dwóch zdań niebezpieczny. Wtedy na ścieżce gotów był zabić ich wszystkich. Pewnie nawet ich dzieci. Jeśli mamy jakąś szansę na pokój, na współpracę, nie chcę, żeby ją nam popsuł.

– To moja decyzja – odpowiadam. – Zostajesz tutaj.

Zaciska usta. Na pokładzie wahadłowca wykonuje moje rozkazy bez szemrania. Tutaj jednak oczekuje ode mnie tego samego.

Nie tym razem.

Wychodzę na brzeg krateru. Polana pod moimi nogami jest nierówna, jakby coś – może trzęsienie ziemi – strzaskało twardą wcześniej powierzchnię. Grunt pokryty jest glebą, pnączami i liśćmi, które trzymają się pokruszonych kawałków budowli. Każdy fragment wystawiony na światło jest poznaczony kropkami niebieskozielonego mchu. Ścieżka, którą szliśmy, prowadzi dalej wąską linią wijącą się między większymi kawałkami gruzu.

Boję się. Cieszę się. Nie mam pojęcia, co robię. Dociera do mnie, że strasznie mocno ściskam włócznię, kierując ją grotem w stronę, w którą idę. Czy pomyślą, że ich atakuję? Może lepiej ją rzucić. Nie, jeśli mnie zaatakują, muszę być w stanie się obronić.

P rzesuwam się w stronę ogniska całą siłą woli, noga za nogą, kroczyk po kroczyku.

O gnisko rozpalono w kręgu z kamieni ułożonych jeden na drugim. W koło porozrzucane są małe kości. Skoczki jadały tu wcześniej, być może wiele razy.

Przy jednej z nadal stojących ścian widzę stertę okrągłych fioletowych owoców, z których każdy ma wielkość mojej pięści. Podchodzę do tej sterty. Część owoców jest cała, inne są zmiażdżone w nie najlepiej wyglądającą papkę pełną fioletowej skórki i żółtego miąższu. Papka śmierdzi – zjadliwie, zgnile, choć z nutą słodczy w zapachu. Podnoszę owoc: jest mięsisty, o nierównej powierzchni, pręgowanej na całej długości żółtawymi liniami.

C zy jest jadalny? Każę Kalle sprawdzić. Wsuwam owoc do jednej z licznych kieszeni kombinezonu.

O głądam się i widzę, że Bishop okrąża ognisko, przyglądając mu się bacznie. Visca i Coyotl wyłazą na brzeg krateru i dołączają do swojego dowódcy.

W ściekam się. Bishop z n o w u mnie nie posłuchał. Kółko-gwiazdy są o wiele większe niż ja, budzą postrach. A jeśli przepłoszą Skoczki?

D ołącza do mnie Visca, pochylony prawie w półprzysiadzie; rzuca okiem na stertę owoców i niechlujną papkę. Marszczy spocone, brudne czoło.

– Pachnie okropnie. Co to takiego?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem.

K ońcem rękojeści swojego młota odsuwa papkę na bok. Pod nią jest coś

gładkiego, nadal wysmarowanego grubymi kulkami żółtego mięszu. Visca przyklęka, podnosi to coś w palcach.

T o jakieś małe zwierzę. Obdarte ze skóry.

– Tej samej wielkości jak to, które pieką – zauważa. – Po co wysmarowali je owocami? Dla smaku? – Unosi zwierzę wyżej, zbliża do twarzy, wacha, marszczy brwi, a potem się uśmiecha. – Powiem Farrarowi, że to ich wersja ciasteczek. Zobaczmy, czy to zje.

J ego śmiech przerywa głośne *bach*, od którego odruchowo się wzdrygam, a wspomnienia Matyldy błyskają mi w głowie słowem *fajerwerki*. W tej samej chwili coś z trzaskiem uderza w starą ścianę.

V isca upuszcza zwierzę, staje jak wryty, ściskając młot obiema rękami, podczas gdy echo odgłosu niesie się po dżungli.

Na ścianie w miejscu, w którym przed chwilą nic nie było, widać otoczony niebieskozielonym mchem biały punkt, jakby ktoś odłupał kawałek kamienia.

K olejne *bach* – głowa Viski odskakuje do tyłu.

C chłopak bezwładnie wali się na ziemię.

N a ścianie, na niebieskozielonym mchu – rozbryzgi czerwonej brei pełne jakichś grudek, mokrych kawałków zsuwających się po żółtych liściach lian.

V isca ani drgnie. Patrzy w górę. Puste oczy. Usta otwarte w wyrazie zaskoczenia. Krwawa dziura tuż nad prawym okiem.

S łyszę, że Bishop krzyczy coś o uciekaniu, ale jego głos to jakiś odległy sen, spowolniony i bezsensowny.

T a dziura...

N ie... nie-nie-nie...

Ł apię Viscę, potrząsam nim. Głowa bezwładnie przetacza mu się na bok. W czaszce nie ma tylnej części, coś ją rozsadziło. Pod białowłosą, okrwawioną czupryną chłopaka dyndają kawałki kości. Mózg jest zmiażdżony jak znalezione przed chwilą owoce – tyle że na czerwonej, a nie na żółtej

miazgę.

B ach: coś uderza w ścianę, obsypuje mnie kaskadą kamiennych okruchów.

Ręka Bishopa na moim ramieniu podrywa mnie do góry.

R zucamy się w stronę krateru. Ja ściskam włócznię, Bishop swoją siekiere – jest czerwona jak krew Viski.

J akiś ruch po mojej prawej, za wyburzoną ścianą na krawędzi polany. Jeden ze Skoczków celuje we mnie drewnianometalową maczugą.

Z nowu to głośne *bach* – z końca maczugi tryska kłęb dymu. Coś ze świstem przelatuje mi obok głowy, tak szybko, że słyszę to, ale nie widzę.

Przeskakujemy krawędź krateru. Trafiamy nogami w pustkę, w powietrze. Uderzamy w opadające zbocze, przewracam się, włócznia wypada mi z rąk. Świat wiruje wokół. Coś twardego wbija mi się w ramię. Zrywam się, potykam. Moja włócznia, t a m, łapię ją i biegnę. Po lewej Bishop. Przed nami przez płytki staw pędzą Bordżigin i Kalle, za nimi Coyotl.

Moje buty rozchlapują wodę.

B ach! Przez ułamek sekundy nic, potem mały pióropusz wody wykwita z jej powierzchni tuż przede mną.

Gnamy w górę po przeciwległym stoku. Wałę nogami w ziemię, moje stopy ślizgają się na niewidocznych gruzach, wyżej i wyżej, i wyżej. Nie chcę umierać jak Visca. *N i e c h c ę u m i e r a ć.*

Z nów przez krawędź krateru i prosto w dżunglę, brniemy przez liany i liście. Gałęzie i kolce szarpią mnie za skórę, liście smagają po twarzy.

J eszcze jedno *bach*, potem jeszcze jedno, oba z za moich pleców. Dochodzą z dalszej odległości – może uda nam się uciec.

Jakiś Skoczek po lewej, blisko, t a k b l i s k o, może ze dwadzieścia kroków ode mnie, na pół schowany w rozłożystych liściach. Dzięki szmatom przywiązanych do ramion, torsu i ogona wtapia się w dżunglę. Płaski koniec jego maczugi spoczywa na ziemi. W drugi koniec Skoczek raz po raz wpycha

jakiś cienki pręt.

N erwowo drżące ręce ciskają pręt na bok, pośpiesznym ruchem podrzucają maczugę – jej koniec wiedzie za mną, kiedy biegnę, c e l u j e do mnie.

B ach: kłęb dymu – moje ramię rozpala się, jakbym zaczepiła o płonącą gałąź.

Skoczek mnie zranił. On mnie... p o s t r z e l i ł.

(*Atakuj, atakuj, zawsze atakuj*).

Hamuję nagle, buty ślizgają mi się na zabłoconych liściach.

O dwracam się do mojego wroga.

S koczek daje susa wstecz, zaskoczony.

V isca nie żyje. Zabiły go te stwory. Chcieliśmy tylko porozmawiać – a te dzikusy z a m o r d o w a ł y mojego przyjaciela.

N a twarzy rozlewa mi się żar. Włoski na skórze jeżą mi się, stając dęba, od nasady czaszki przez kark aż po całe ramiona. Mój strach zamiera, zduszony przez znaną mi już furję. Wykwita ona z czystego źródła bijącej we mnie nienawiści, grozi, że mnie pochłonie, że mną z a w ł a d n i e.

Tym razem pozwalam jej na to.

S koczek ustawia maczugę szerokim końcem na ziemi, gmera w zawieszonej na biodrze torbie. Drżące ręce zanurzają się w niej głęboko.

T a maczuga... nie jest jak bransoletki Starszych, z których można strzelać raz po raz. Maczugę trzeba za każdym razem na nowo naładować.

– Em, chodź! – Bishop woła mnie z dżungli, jest gdzieś z przodu.

Ignoruję go.

O puszczam włócznię i rzucam się do ataku.

S koczek wyciąga z torby zwitek materiału, wciska go w metalowy koniec maczugi.

Przedzieram się ku niemu przez dżunglę, prowadzona moją ostrą włócznią.

Drżącymi rękami wyciąga z torby mały okrągły przedmiot. Kula prawie

wypada z grubych palców, ale łapie ją, wpycha w koniec maczugi.

M oje nogi biegną i d e a l n i e, każdy ich krok jest pewny i mocny. Stopy same znajdują miękkie miejsca.

W róg orientuje się, że cienki pręt leży obok. Pochyla się, porywa go z ziemi razem z garścią gałązek i zeschniętych liści. Troje szeroko otwartych oczu błyska ku mnie, ku grotowi włóczni.

Dziesięć kroków.

N owa woń, jakby wilgotnego węgla drzewnego, ale tak gryząca, że niemal pali – to zapach jego broni.

Mój wróg wsuwa pręt w koniec maczugi, szaleńczo porusza nim w dół i w górę.

Pięć kroków, tak blisko, że widzę kolor jego oczu: ciemnożółte. Prawie jak u Bishopa.

P ręt wyciągnięty, odrzucony.

S koczek unosi maczugę, mocno przyciskając jej szerszy koniec do wąskiego ramienia. Pomarszczone fioletowe palce odciągają jakąś metalową zapadkę, która z trzaskiem zaskakuje na miejsce.

Węższy koniec maczugi podrywa się po łuku w moją stronę...

G rot mojej włóczni wbija się w brzuch stwora z głośnym plaśnięciem, które prawie zagłusza wyrzeczony przeze mnie okrzyk zemsty.

(Zabij swojego wroga, a wtedy już zawsze będziesz wolna).

O twierają się ropusze usta. Fioletowa skóra wygląda na młodą, zdrową. Ciemnożółte oczy wbijają się w przestrzeń. Ten wyraz twarzy...

... Visca leżący na ziemi z wyrwanym tyłem głowy...

... Yong zaskoczony, dezorientowany, przerażony, zawiedziony...

... świnia w Ogrodzie, moje cięcie nożem, tryskająca krew...

W yrywam włócznię. Razem z nią z rany wydobywa się coś mokrego, strzyka mi na pierś.

M aczuga Skoczka pada na poszycie dżungli.

T rójpalczasta dłoń chwyta mnie za ramię uściskiem najpierw silnym, potem coraz słabszym, aż w końcu uchwyt całkiem się rozluźnia.

Rybie usta łapią powietrze, wyrывa się z nich gardłowy, zgrzytliwy dźwięk, którego nie byłby w stanie wydać z siebie żaden człowiek.

T roje oczu mruga. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego stworzenia, a jednak znam ten wyraz oczu, rozumiem uczucie malujące się na tej twarzy.

S t r a c h.

S koczek słabnie, odchyła się w tył, jeszcze chwilę podpira na ogonie, a potem osuwa na bok.

R opuszy pysk otwiera się, zamyka. Otwiera, zamyka.

G ęsta niebieska ciecz rozlewa mu się po brzuchu, plamiąc zawiązane tam szmaty. Pachnie jak lukrecja.

O twiera. Zamyka.

C iemnożółte oczy raz jeszcze – powoli, sennie – mrużą powieki; widzę, jak życie w nich gaśnie, a potem znika na zawsze.

W ielki kształt hamuje z poślizgiem tuż obok mnie.

– Em, dostałaś!

Moja furia w mgnieniu oka znika, jakby jej nigdy nie było. Na leśnym runie dżungli leży martwe ciało obcej istoty.

C o ja zrobiłam?

D ygoczę. Moim żołądkiem wstrząsają torsje – wymiotuję gorzką żółcią, brudząc przód swego czarnego kombinezону.

Niski, buczący ryk od strony polany: to r ó g, którego głos niesie się echem przez dżunglę. Odpowiada mu inny róg.

B ach!

Z drzewa po mojej lewej sypią się kawałki kory, odsłaniając blade, białe drzazgi. Krawędź krateru jednym susem pokonują cztery Skoczki. Piąty stoi

nieruchomo, ładując broń.

J ak jeden mąż Bishop i ja odwracamy się i ruszamy biegiem po wąskiej ścieżce.

S łyszę, że coś przedziera się przez dżunglę z prawej. Rzut oka – Skoczki, może z pół tuzina, pędzą przez zarośla, przystają, celują...

B ach! Bach! Bach!

Kule świszczą w powietrzu, przecinają liście, plaskają w pnie drzew.

M oje nogi pracują same, niosąc mnie naprzód, jak najbliżej za ruchomym, milczącym cieniem, którym jest Bishop.

T en nagle skręca w lewo, zbiegając ze ścieżki. Bez namysłu kieruję się za nim. Dwa strzały z prawej – słyszę kulę, która trafia w drzewo, widzę spadający konar. To inne Skoczki odcięły nam drogę ucieczki ścieżką; Bishop zorientował się w samą porę.

Kolejny dźwięk rogu rozbrzmiewa gdzieś przed nami.

C zuję dym. Nie ten, od którego zapachu poczułam głód, tylko jakiś inny, cięższy, gęstszy.

B ishop ślizgiem hamuje za jakimś drzewem, szarpnięciem zatrzymuje mnie przy sobie. Coyotl wyrasta nie wiadomo skąd, ciągnąc za sobą przerażonego Bordżigina. Kalle jest tuż za nimi.

B ishop puszcza siekierę, dobywa noża. Chwyta mnie za kombinezon, rozcina, rwie: odsłania moje ramię.

D ługie wyżłobienie, z którego sączy się krew, jakby czyjś olbrzymi paznokieć zdrapał mi skórę razem z mięśniem. Moje ciało pachnie jak pieczeń, jak mięso nad ogniskiem.

– Nie trafił w kość – stwierdza Bishop. Ujmuję moją twarz, każe mi spojrzeć sobie w oczy. – Nie ma czasu opatrzyć rany. Wytrzymaj, aż doprowadzę cię na wahadłowiec. Bądź silna i cicha. Bądź wiatrem.

Czas na chwilę zastyga, schwytny w spojrzeniu Bishopa. Widzę go, jakim

jest naprawdę, on widzi mnie, jaką naprawdę jestem. Nie jego przyjaciółką, dziewczyną, przywódczynią ani podwładną – jesteśmy dwójką żołnierzy, którzy walczą o to, by pomóc sobie nawzajem przeżyć.

B ach! Kawał kory wybucha na drzewie tuż obok mnie, drzazgi wbijają mi się w szyję, w policzek. Bishop chwytą siekiere, zanurza się w głąb dżungli. Bordżigin, Kalle i ja pędzimy za nim. Coyotl biegnie na końcu.

Z apach dymu wzmaga się coraz bardziej.

P omarańczowy błysk, nagły żar – przed nami ściana ognia. Dżungla trzaska i syczy w mękach.

B ishop skręca w prawo, my też.

Teraz już zewsząd, z całej dżungli, słyszę głosy nawołujących się nawzajem rogów.

P o chwili znów czuję żar, zanim jeszcze zdążę poczuć zapach dymu albo zobaczyć płomienie: przed nami szaleje kolejna ściana ognia.

S koczki nas z a g a n i a j ą, każą nam biec tam, gdzie chcą nas widzieć, ale nie mamy wyboru – wiemy, że jeśli nie ustąpimy przed ogniem, ten wypali nam ciało aż do kości.

G namy przez gęste poszycie dżungli.

M ięśnie nóg krzyczą do mnie, żebym stanęła. Żołądek podchodzi mi do gardła. Zaraz chyba znowu zwymiotuję, chociaż nie mam już czym.

W ypadamy na szeroką polanę. Coś w rodzaju placu. Ze wszystkich stron wznoszą się resztki budynków i wysokie drzewa poobrastane lianami. W środku polany – coś, co wygląda jak od dawna wyschnięta fontanna.

M oje buty tupią na kamiennych płytach, popękanych i poszczerbionych, nadgryzionych zębem czasu... ale pozbawionych pnączy, mchu czy błota.

Na skraju placu – co najmniej dziesiątka Skoczków.

M ierzą w nas ze swoich maczug.

B ishop staje. Ja też. W brzuchu mi się kotłuje, w płucach coś mnie pali,

w nogach czuję dygotanie. Bordżigin potyka się, przewraca ciężko. Przetacza się na wznak, brzuch i pierś podnoszą mu się i opadają – nie jest już w stanie biec. Coyotl przystaje obok mnie z kościomaczugą w pogotowiu. Kalle wyciąga przed siebie swój mały nóż, zadziorna aż do końca.

S koczki, które nas ściagały, wypadają z dżungli za naszymi plecami, odcinając nam wszelką drogę ucieczki.

J esteśmy otoczeni.

– Bordżigin – warczy Bishop – wstawaj w tej chwili, w mordę bogów, albo zginiesz, leżąc na grzbiecie jak robak.

B ordżigin znajduje w sobie jakąś ukrytą resztkę sił. Podnosi się, ściskając nóż w dygoczącej dłoni. Całą piątką skupiamy się blisko siebie z bronią w pogotowiu. Stwory powoli zacieśniają krąg.

S łyszę ogień, który rozpalili, żeby skierować nas w to miejsce, trzaskanie i strzelanie wilgotnego drewna. Powietrze gęstnieje od duszącego dymu.

Wtem, wśród ryku ognia, słyszę inny hałas – odgłos czegoś wielkiego, co przedziera się przez dżunglę.

I jeszcze... głośny ś w i s t.

U porządkowany szereg Skoczków idzie w rozsypkę. Obracają się na swoich miejscach i mierzą z maczug między drzewa, szukając źródła odgłosu.

O lbrzymi pajak wypada z dżungli na polanę.

A potem drugi pajak. I t r z e c i.

S koczki kwiczą – to zgrzytliwy, urywany, wysoki pisk, jakiego nie słyszałam nigdy wcześniej, ale tych przenikliwych dźwięków nie sposób wziąć za nic innego niż okrzyki przerażenia.

Pierwszy pajak pomyka naprzód, krzesząc iskry na kamiennym podłożu. Ostro zakończona noga unosi się wysoko i opada z impetem, przebijając głowę któregoś Skoczka wraz z resztą jego ciała i dzwoniąc w płyty placu tak mocno, że tryska z nich kaskada odłupanych odłamków kamienia.

Bach!

Bach!

B ach!

Z maczug buchają stożki dymu. Kulę się za każdym razem, czekając, aż drobne kamienie przebiją mi ciało na wylot, ale Skoczki strzelają do pajaków, nie do nas. Przyciskam się plecami do Coyotla, Bishopa, Bordzigina i Kalle – zbijamy się w jeszcze ciaśniejszą grupę, stając twarzą w twarz z otaczającą nas zewsząd śmiercią.

Bishop wywrzaskuje instrukcje:

– Kiedy krzyknę „teraz”, w nogi! Trzymać się za mną i niech nikt się nie potknie. Coyotl, osłaniasz tyły.

Jeden ze Skoczków mija nas wielkim susem, próbując ujść z życiem. Skok jest piękny i imponująco długi, ale nie wystarcza, by uciec atakującemu pajakowi. Jedno machnięcie żółtego, długiego na metr segmentu nogi łamie Skoczka wpół jak mokrą gałązkę, rzuca nim o wyschniętą fontannę. Słyszę, jak trzaskają kości. Skoczek pada na ziemię w konwulsjach, oczy ma szkliste, niewidzące.

Z i e l o n e... jak oczy Spingate.

Przede mną kolejny Skoczek wali się na ziemię z urwaną głową. Z postrzępionego kikuta grubego karku tryska na popękane płyty placu niebieska krew.

S k o c z k i u c i e k a j ą m i ę d z y d r z e w a . P a j ą k i r u s z a j ą w p o ś c i g .

Głos Bishopa, grzmiący, wszechpotężny:

– T e r a z !

C zu j ę , j a k B i s h o p s i ę o d n a s o d r y w a . M o m e n t a l n i e r u s z a m z a n i m , p o z w a l a j ą c K a l l e w s u n ą ć s i ę p r z e d e m n i e , ż e b y m m o g ła j ą c h r o n i ć . G n a m y p r z e z p l a c k u d r z e w o m .

Z dżungli bezpośrednio przed nami w ponadtrzymetrowej eksplozji

wirujących liści i śmigających gałęzi wyskakuje kolejny pajak. Bishop próbuje zatrzymać się tak szybko, że wpada w poślizg i nakrywa się nogami, waląc grzbietem i głową w popękane kamienne płyty.

P ajak rusza przed siebie chwiejnie, oplątany zwisającymi mu z nóg i tułowia lianami, waląc ostro zakończonymi odnóżami tak mocno, że czuję każdy jego krok. Powłóczy jedną nogą, która ciągnie się za nim bezwładnie. Stwór zawisa nad nami niczym widmo nieuchronnej śmierci.

Rzucam się naprzód, ustawiam między Bishopem i nadchodzącym pajakiem. Unoszę włócznię i wydaję z siebie wyzywający wrzask.

P ajak przystaje.

C oyotl z uniesioną kościomaczugą wyrasta obok mnie. Cały się trzęsie ze strachu, a mimo to staje u mojego boku. Żeby dostać Bishopa, pajak będzie musiał najpierw pokonać nas.

A le nie atakuje.

Znowu ten odgłos szybkiego dzwonienia o kamienne płyty, tym razem za nami. Oglądamy się: dwa pozostałe pajaki wróciły. Tkwimy w potrzasku między trzema potworami.

K alle i Bordżigin usiłują pomóc Bishopowi wstać. Bishop próbuje unieść siekiere, ale ledwo może ją utrzymać. Całą piątką znów zbijamy się w ciasną grupę.

P ajaki stoją zastygłe w takim samym bezruchu jak stara kamienna fontanna.

– Bishop – odzywam się – co robimy?

Czuję, jak wzrusza ramionami.

– O to samo chciałem spytać ciebie.

C oyotl z klekotem upuszcza kościomaczugę na kamienne płyty. Wygląda jak w jakimś transie. Rusza w stronę okulałego pajaka.

Łapię go za ramię.

– Coyotl, co robisz?

B bez wysiłku strząsa z siebie moją rękę. Powłócząc nogami, idzie w kierunku pająka, jakby nie do końca obudził się ze snu.

C chce rzucić się przed niego, tak jak przed chwilą osłoniłam Bishopa, chcę zaatakować pająka i ocalić przyjaciela, ale nagle czuję, że nie mogę nawet drgnąć – jeśli miałam w sobie resztki odwagi, to właśnie się ulotniły.

C oyoł wkracza między długie, gładkie, zabójcze nogi pająka – żółte, ale skapanie w strugach niebieskiej krwi. Coś zauważył. Sięga w górę powoli, jakby bał się spłoszyć olbrzymie zwierzę jakimś nagłym ruchem, i chwytając wiecheć porwanych lian dyndających z jego tułowia. Delikatnie odsuwa pnąca na boki, odsłaniając miejsce na żółtym pancerzu.

W idzę to, co przed chwilą dostrzegł on: ten sam symbol, który widnieje na czole jego i Bishopa.

Kółko-gwiazdę.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Z tak bliska zaczynam zauważać detale na żółtym pancerzu. Wgniecenia, zadrapania... nity... p l a m y r d z y.

T en pajak to maszyna.

S koczki zabiły Viscę. Zabiłyby nas wszystkich, gdyby nie atak pajaków. Tamten pajak za murem miasta, o którym myślałam, że mnie ukąsił... on wcale nas nie atakował. Pajaki nie chcą zrobić nam krzywdy – chcą nas b r o n i ć.

S ą z metalu, tak, ale nie widzę na nich żadnych kantów. Każdy składa się z podłużnych obłości. Może dlatego wyglądają jak żywe, kiedy się ruszają, zwłaszcza z pewnej odległości.

I ch żółty kolor to farba. Miejsca, w których popękała i poschodziła, pokrywają smugi rdzy. Nieregularne czerwonobrazowe kółka z bezkształtnymi kupkami metalu pośrodku – to kule z maczug Skoczków, które trafiły i utkwily w pancerzu pajaka. Są ich dziesiątki, dużo więcej niż tych, które wystrzelono przed chwilą.

N a całej polanie widzę piątkę nieżywych Skoczków; ich ciała są zmiażdżone i pogruchotane, w łączenia między płytami placu wsiąka niebieska krew.

M y straciliśmy jednego z naszych. Oni stracili pięciu.

N ie... s z e ś c i u.

W jednej chwili wraca do mnie wspomnienie mojego pchnięcia włócznią. Odgłos, jaki wydał jej grot, wdzierając się w ciało Skoczka. To odczucie, kiedy metal zgrzytał o kości, zanim przebił ciało na wylot. Wyraz oczu tej

inteligentnej istoty w momencie, w którym gasło w niej życie.

Coyotl wyciąga rękę, przesuwa palcami po kółko-gwieździe namalowanej na grubym pancerzu pająka.

– Taka jak moja – mówi. – One należą do nas.

Jedna z nóg pająka spoczywa bezwładnie. To ta, którą powłóczył, przez którą poruszał się tym dziwnie chwiejnym krokiem. Coyotl przesuwa rękami po starym, zardzewiałym, poobijanym metalu.

– Ta noga jest złamana – stwierdza. – I chyba nie od pocisku.

„Pocisk”. Zgodnie z pamięcią Matyldy, to inne określenie na jedną z tych metalowych kul. A te „maczugi” to tak naprawdę s t r z e l b y.

Bishop rozciera sobie tył głowy, bezwiednie rozsmarowując krew po brudnych włosach.

– Coyotl, wejź na niego i trzymaj wartę – mówi. – Kalle, Bordżigin, zbierzcie broń i torby martwych stworów.

Coyotl wdrapuje się po pajęczej nodze z zaskakującą sprawnością. Na górnym stawie nogi zatrzymuje się z rozłożonymi rękami, a potem jednym susem ląduje z gracją na grzbiecie maszyny. Chowa się w tym momencie prawie cały za wewnętrzne półki, których nie zauważyłam wcześniej, a które zapewniają osłonę przed pociskami.

Coyotl przebiega rękami wzdłuż przedniej półki, zatrzymuje się przy trójkątnym nacięciu. Tuż za nacięciem widać krótką, grubą metalową rurę z otworem wielkim jak moja głowa. Widzę wyraz twarzy Coyotla: przeżywa własną eksplozję wspomnień, przypomina sobie coś z przeszłości swojego stwórcy. Mruga gwałtownie, a potem zaczyna kręcić rurą, pchać ją i za nią ciągnąć. Ta ani drgnie. W końcu Coyotl unosi nogę w czarnym bucie i częstuje rurę solidnym kopniakiem.

Rura wysuwa się na zewnątrz z dźwięcznym metalicznym odgłosem wśród małej kaskady kurzu. Wcale nie jest krótka: jest długa, dłuższa niż mam

wzrostu.

– To coś jak te strzelby, którymi stwory zabiły Viscę – zauważa Coyotl. – Tylko większe. To się nazywa... d z i a ł k o. Tyle że chyba jest popsute. Może jest już za stare.

S koro maczugi Skoczków strzelają małymi pociskami, czym strzela działko? Patrzą na pozostałe pająki: jeden i drugi ma takie same osłony, takie samo trójkątne nacięcie, taką samą krótką, grubą rurę.

Przyglądam się ruinom otaczającym polanę, zastanawiam się, jak wyglądały budynki w całej swej okazałości, kiedy dżungla nie wdzierała się między nie, kiedy była pod kontrolą. Wyobrażam sobie całą armię lśniących nowością pająków. A także jakieś inne maszyny. Może takie, które latają jak plamaki. Wszystkie wpadają tu na pełnym biegu, strzelając z działek, budynki walą się i płoną, wybuchy rozrywają ulice na strzępy, Skoczki krzyczą i uciekają, płoną i krwawią, g i n ą c.

– Em – odzywa się Bishop – muszę opatrzyć ci ranę.

N ie czeka na pozwolenie. Chwyta moje ramię pewnym ruchem, układając grube palce po obu stronach głębokiego rozcięcia. Momentalnie zalewa mnie piekący ból. Jakimś cudem dotąd go nie zauważałam.

– Boli? – pyta mnie.

– Jest super – kłamię. – Rób, co masz robić.

U nosi kącik ust. W jego oczach widzę dumę. Ma na twarzy trochę grubsze włoski – nie jest to jeszcze zarost, ale już prawie.

N ożem odcina mi rękaw. Z kieszeni kombinezonu wyjmuję małą buteleczkę, pryska mi na ranę czymś, co pali mnie jeszcze gorzej niż sam pocisk. Z innej kieszeni wyjmuję rolkę fioletowego bandaża i owija mi nim ramię.

– Skąd wiesz, jak to się robi? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Uczyli nas, jak utrzymywać się nawzajem przy życiu. Musimy zabrać cię

do doktor Smith. Nie mogę ciebie też stracić.

W jego głosie słychać ból. Nie jest to ból z powodu rany z tyłu głowy; płynie on z duszy. Ja też go czuję – straciliśmy jednego ze swoich. Nie po raz pierwszy. Latu, Yong, bliźniaki El-Saffani, Bello, Harris... a teraz Visca. Siedmioro z nas odeszło bezpowrotnie. Z tej siódemki pięcioro stanowiły kółko-gwiazdy. To one jako pierwsze walczą, jako pierwsze giną.

– Nie możemy zostawić Viski – mówię. – Musimy wrócić po jego ciało.

Bishop kręci głową.

– Nie wiemy, gdzie jesteśmy, a w dżungli kryje się wróg.

– Latu zjadły świnie – przypominam. – Nie zostawię Viski dzikim zwierzętom na pożarcie.

Bishop nachyla się bliżej.

– Jesteś ranna i nie możesz walczyć. Wróg ma nad nami poważną przewagę liczebną. Zna ten teren tak dobrze, że zagnał nas dokładnie tam, gdzie chciał nas mieć. Jeśli nawet uda nam się odnaleźć tamtą polanę, pewnie przy tym zginiemy. Na wahadłowcu to ty jesteś przywódcą. Ale tutaj, w dżungli, od teraz słuchasz mnie. Zrozumiano? Nie zamierzam dziś stracić nikogo więcej.

M oże i ma rację. Czy gdybym nie podeszła do tej pieczeni nad ogniskiem, Visca teraz by żył? Czy to jeszcze jedna śmierć, która nastąpiła z mojej winy? Może. Ale moja decyzja doprowadziła też do odkrycia fioletowych owoców.

K alle i Bordżigin wracają, obciążeni naręczami strzelb i wiszących toreb. Wyjmuję z kieszeni owoc. Jest na pół zgnieciony, wycieka z niego jakiś bursztynowej barwy sok. Wręczam owoc Kalle.

C hwyta go, przesuwa nad nim swoim karwaszem. Wszyscy się przyglądamy. Klejnoty najpierw migoczą różnymi kolorami, potem rozświetlają się odcieniem różowego.

K alle się uśmiecha.

– Można to bezpiecznie jeść – mówi.

P rzynajmniej Visca nie zginął na próżno.

– Widziałam tam stertę owoców – mówi Kalle. – Powinniśmy po nie wrócić.

Bishop znów kręci głową.

– Mamy tyle osób do nakarmienia, że ta mała sterta nic nie zmieni. Mamy owoc, który Spingate może badać, ale to nic nie znaczy, jeśli go jej nie dostarczymy. – Rozkłada ręce wymownym gestem. – Poza tym nawet nie wiemy, gdzie jesteśmy.

W szycy rozglądamy się po okolicznych drzewach, jakby któreś z nich miało nagle odezwać się i wskazać nam drogę. Biegliśmy przez dżunglę sama nie wiem jak długo. Naszym tropicielem, naszym przewodnikiem był Visca.

Bishop spogląda w górę na Coyotla, który wygląda niezwykle walecznie, kiedy stoi wyprostowany na grzbiecie maszyny. Bishop podchodzi do jednego z pozostałych pajaków, staje między jego obryzganymi posoką nogami.

– Witaj, jestem Bishop. Imię: Ramzes.

P amięta swoje imię? „Ramzes”. Jakie to piękne słowo.

– Musimy dostać się z powrotem do miasta – oświadcza Bishop pajakowi.
– Możesz zabrać nas do lądowiska?

P ajak opuszcza korpus, aż metalowy brzuch dzwoni lekko na popękanych płytach.

Bishop przysuwa się bliżej. Z boku pajaka widzę trzy metalowe szczeble... jakby drabinkę. Bishop wchodzi po niej, przerzuca nogę nad żółtobrazową półką osłony, a potem prostuje się na grzbiecie maszyny.

Niektóre miejsca na „Xolotlu” działały tylko dla określonych osób. Pewne części wahadłowca działają tylko dla Gastona, O'Malleya, Smith czy dla mnie. Te maszyny... odpowiadają na rozkazy kółko-gwiazd.

– Ruszamy do domu – oznajmia Bishop. – Wszyscy wsiadać.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Trzy pająki krocą przez dżunglę. Na długich nogach unoszą się wysoko nad gęstym poszyciem lasu. Dzięki żółto-brązowo-zielonemu kamuflażowi zlewają się z otoczeniem. Grzechoczą, świszczą i wibrują tak, że to nie może być normalne. Spodziewam się, że gdyby te maszyny były nowsze, nie tak poobijane, poruszałyby się równie bezszelestnie jak kółko-gwiazdy, dla których zostały stworzone.

Mijamy ruiny. Przez koronę dżungli z brzęczeniem śmigają płamaki najróżniejszych rozmiarów. Niektóre drzewa wyrastają niewiarygodnie wysoko, wchłaniając światło rozłożystymi, ciemnożółtymi liśćmi. Z długich konarów zwisają te same liany, które płożą się po budynkach miasta. Promienie późnopołudniowego słońca sączą się przez listowie, które dzięki temu lśni przyjemnie i ciepło.

Piękno Omeyocana zapiera mi dech w piersi.

Gęste zarośla przeredzają się w końcu: wychodzimy na brzeg szerokiej rzeki. Po obu jej stronach rosną wielkie drzewa, tworząc na granicy gniewnego żywiołu głęboką, żywą żółtą rozpadlinę. Płamaki prześlizgują się nad powierzchnią wody, zanurzając się czasem, by pochwycić coś, co na tej planecie jest odpowiednikiem małych rybek.

Pająk krocący przed nami bez pasażerów nie zwalnia tempa marszu. Długie nogi zanurzają się w wodę i maszyna skręca w dół rzeki. Pająk, który niesie Bishopa i mnie, rusza za tym pierwszym, zanurzając metalowy korpus do połowy, tak że znajdujemy się tylko trochę nad wartkim nurtem. Jest prawie

jak na kajaku z moim dziadkiem w czasie letnich wakacji.

Kajak dziadka.

W spomnienie Matyldy. Pamiętam śmiech dziadka, kilkudniowy zarost na jego twarzy. Kajak był czerwony i zawsze jechało z niego starymi rybami. To takie rzeczywiste wspomnienie... jakby wcale nie było doświadczeniem Matyldy, tylko moim własnym. Jak to możliwe? Przecież stworzono mnie na statku kosmicznym.

A jednak... przypominam sobie, jak dziadek lubił majstrować przy wiekowych, bezużytecznych antykach, które nazywał zegarkami. Pokazywał mi w ich wnętrzach rozmaite części i elementy, które tak precyzyjnie do siebie pasowały.

Gdyby dziadek był tutaj, może umiałby naprawić te rozklekotane maszyny.

Oglądam się za nas na kulawego, świszczącego pajaka, który niesie na grzbiecie Coyotla, Kalle i Bordżigina. Podobnie jak ja, Kalle rozgląda się na wszystkie strony, szukając jakichkolwiek śladów fioletowych owoców. Czy rosną na drzewach? Może na jakichś mniejszych krzewach, których jeszcze nie widzieliśmy? Bordżigin ma zamknięte oczy, głowę wtula w szyję Coyotla. Coyotl otacza go ramieniem, ale patrzy na wprost, lustrując brzegi rzeki.

Pozycja, w jakiej siedzą...

W ygląda na to, że tak jak Spingate znalazła Gastona, Bordżigin i Coyotl odnaleźli siebie nawzajem.

Chciałabym, żeby Bishop otoczył mnie w ten sposób ramieniem, przytulił mocno do siebie. Byłoby fajnie odprężyć się, wtulając się w niego, nie musieć myśleć o wszystkim bez przerwy.

– Widzisz gdzieś te owoce? – pyta.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Ja też nie. Po tym, jak obejrzy cię Smith, możemy wyprowadzić pajaki i przeczesać większy obszar. Ale jeśli nie znajdziemy owoców, Em...

Nie kończy zdania. Nie musi. Jeśli nie znajdziemy owoców, pozostanie nam tylko jedno: znowu odszukać Skoczki – i tym razem to my będziemy stroną atakującą.

Chciałam z nimi porozmawiać, zawrzeć pokój, ale zastawiły na nas zasadzkę. Niczym niesprowokowaną. Nie zrobiliśmy nic złego. To one zaczęły tę walkę, nie my. Kończą nam się zarówno zapasy, jak i możliwości wyboru.

Jeśli chcą wojny, zadarli z niewłaściwą dziewczyną.

Z przodu ponad drzewami wyrasta obrośnięty pnączami mur miasta, rozciągający się po obu stronach rzeki, która przecina go, przepływając między dwiema wieżami. Biała mgiełka unosi się znad wściekłych rozbryzgów wokół poskręcanych prętów i powyginanych krat, które kiedyś pewnie blokowały przepływ wszystkiego, co nie jest wodą, ale sądząc po ilości rdzy, było to całe wieki temu.

Na szczytach wież widzę długie rury, przypominające te na grzbietach pajaków. Broń. Dawno, dawno temu na pewno strzegła miasta. Teraz to tylko zardzewiały złom.

Pajaki trzymają się rzeki, z łatwością mijają pozostałości wodnej bramy. Za murem – czworoboczne budynki Uchmalu, opuszczone, ale nie zniszczone. Tutaj są mniejsze niż w okolicy lądowiska, ale im dalej wchodzimy, tym budowle stają się większe.

W odosпад słyszymy na długo, zanim zdąży nam się ukazać. Potem bierzemy zakręt i wyrasta przed nami ściana wody. Rzeka po prostu opada w dół; za nią – tylko otwarta przestrzeń i bajeczny widok miasta. Obserwatorium strzela w niebo, góruje nad całą resztą budowli, tak paskudnie wielkie, że przy nim cała reszta Uchmalu wydaje się mała i słaba.

Mijamy zygzakowate schody, po których wspinali się niedawno Spingate, Coyotl i Farrar. Podobnie jak pajak, który nas wtedy ścigał – albo raczej pajak, który, jak u z n a l i ś m y, nas ścigał – nasze trzy maszyny nie wydają się

zainteresowane pokonywaniem stromych stopni. Kawalek dalej po prawej widzę sadzawkę, przy której Bishop ochronił mnie przed upadkiem, przy której mnie trzymał, przy której mnie pocałował. Jeśli pamięta tamtą chwilę, niczym tego nie zdradza: patrzy na wprost, przed siebie.

J estem w miarę pewna, że lądowisko jest na południowy zachód od tego miejsca, ale pająki kierują się na zachód.

– Bishop, dokąd idziemy?

Z zaniepokojeniem marszczy brwi.

– Nie wiem. Kazałem im iść do wahadłowca. Może kierują się do swojego gniazda.

W iemy już, że to nie jest prawdziwe gniazdo, ale to określenie nadal się sprawdza.

– Może powinniśmy wysiąść? – pytam. – Sami znaleźć powrotną drogę?

Z astanawia się chwilę, kręci głową.

– Twoja rana jest poważniejsza, niż myślisz. Im mniej będziesz chodzić, tym lepiej. I tak zbliżamy się do wahadłowca, tyle że nie kierujemy się wprost na niego. Na razie zostanemy z pajakami.

* * *

T rzy pająki kroczą środkiem wąskiej, obrośniętej pnączami drogi. Na ich grzbietach podróżuje pięcioro zmęczonych, głodnych ludzi.

B ishop odgadł – widzimy przed sobą budynek gniazda. To dziwna struktura, i do tego o g r o m n a. Oczywiście nie tak wielka jak Obserwatorium, ale zdecydowanie większa niż skład żywności. Pokryta pnączami jak wszystko inne, choć to nie ziggurat. Jeśli mi się z czymś kojarzy, to z naprawdę wielką wersją...

... nie, to niemożliwe.

– Bishop, jak ten budynek twoim zdaniem wygląda?

Chłopak przekręca głowę w lewo, potem w prawo, żeby mieć pełen obraz całości.

– Jest długi i wąski. To jedyny, jaki tu widziałem, z zakrzywioną górą. Pewnie gdyby nie był pokryty roślinami, wyglądałby trochę jak...

Robi wielkie oczy. Gapi się na mnie ze zdumieniem.

– On wygląda jak nasz wahadłowiec.

K i wam głowę. Pomyślałam to samo. Jest ze sto razy większy, tak wielki, że wzięłam go za budowlę, ale pod grubą warstwą pnączy ma taki sam opływowy kształt jak statek, który sprowadził nas na powierzchnię Omeyocana.

Z blizamy się. Widzę nieregularne sterty pnączy, niektóre na ulicy, niektóre bliżej gniazda. Mijamy jedną z nich: to nieruchomy pająk, pokryty w całości roślinnością, omszały. Miejscami wystają z niego małe kwiatki o płatkach w odcieniach czerwieni i żółci. Pośród nich bzyczą maleńkie plamaki.

I le czasu minęło, odkąd ten pająk przestał się poruszać?

P rzechodzimy obok w naszej maszynie, która kieruje się do szeroko otwartego łukowatego wejścia w przypominającej statek budowli. Brzegi łuku znaczą linie poczerńiałego metalu, jakby kiedyś były w tym miejscu drzwi, które stopiono, oderwano, spalono.

P ierwszy do środka wkracza pająk bez załogi. Nasz wchodzi za nim, maszyna Coyotla – tuż potem.

T en budynek... jest przeogromny. Nad nami wznoszą się potężne dźwigary. Przymocowane do nich tkwią maszyny, które nie ruszały się od lat. Tu i tam w górze widać dziury, przerdzewiałe miejsca, wpuszczające kaskady lian i promieni słońca.

W szędzie jest rdza. Rdza i szczątki.

G dzie okiem sięgnąć, rozsiane są nieruchome pięcionogie pająki. Niektóre przycupnęły w niekończącym się rzędzie małych, przytulnych przegród, który biegnie chyba przez całą długość budynku; maszyny wydają się w nich

umoszczone jak kiedyś my w naszych trumnach. Niektóre pająki leżą na boku, inne na grzbiecie, z podkurczonymi nogami, jakby to były prawdziwe owady, nieżywe i zasuszone.

G dzieniegdzie zaś – kawałki pajaków. Tu jakiś zardzewiały brzuch nadal przymocowany do stojaka na ścianie, tam stosy zniszczonych i bezużytecznych nóg, jeszcze gdzie indziej sterty metalowych rur.

P rzychodzą mi na myśl zegarki dziadka, wszystkie te elemenciki potrzebne do ich działania.

– To są części zamienne – mówię, wskazując stos nóg, sterty rur. Ogarniam gestem cały gmach. – To była chyba jakaś fabryka. Miejsce, gdzie naprawia się pająki, które przestały działać.

P ająk, na którym jedziemy, wkracza do pustej przegrody. Po obu jej stronach ciągną się metalowe stojaki pełne sprzętu, który od nie wiadomo jak dawna tkwi w uśpieniu. Wszystko porasta mech.

P ająk obniża się, przywiera brzuchem do ziemi. Bishop wysiada. Wyciąga rękę, żeby mi pomóc. Nie potrzebuję jego pomocy... ale może mi na niej z a l e ż y.

B iorę go za rękę. Ma tak ciepłą skórę.

P rzechodząc przez półkę osłony, staram się, jak umiem, ześliznąć z gracją, ale gdy tylko ląduję butami na ziemi i obumarłych pnączach, nogi mi się chwieją, osłabione tą długą podróżą. Stawiam jeden krok i uginają się pod mną. Przewracam się, ale Bishop jest szybszy – jego wielkie dłonie zaciskają się na mojej talii. Słyszę łoskot padającej na ziemię włóczni.

Bishop przytrzymuje mnie w pionie, jakbym ważyła tyle co nic.

– Wszystko w porządku?

Kręci mi się w głowie, ale nie tylko z upływu krwi. Bishop wpatruje się we mnie z troską.

S pojrzanie jego ciemnożółtych oczu krzyżuje się z moim...

– Tak – odpowiadam. – Już chyba wszystko w porządku.

P ozwała, żebym stanęła na własnych nogach, ale jeszcze mnie nie puszcza, przytrzymuje o chwilę za długo. U ś m i e c h a się.

O dpowiadam mu uśmiechem.

A potem ta chwila pryska, równie nagle, jak przyszła. Bishop mruga kilka razy, powoli odrywa ode mnie ręce, cofa się o krok. Wygląda, jakby miał ochotę coś powiedzieć – coś, co na pewno bardzo chciałabym usłyszeć – ale zamiast tego woła do pozostałych głosem tak mocnym, że odbija się echem od porzewiałych ścian i sufitu:

– Nie możemy zostać tu długo! Em musi wracać, więc rozejrzyjcie się szybko i ruszamy.

P odnosi włócznię, podaje mi ją. Czuję się nagle strasznie zmęczona. Bishop miał rację – moja rana jest poważniejsza, niż myślałam.

M usimy wracać na wahadłowiec, wiem, ale jeszcze trochę wytrzymam. Ten budynek... jest ważny. Stanowi odpowiedź na jakieś pytanie, tylko nie wiem jeszcze, jak ono brzmi.

K alle podchodzi do nas z główką zadartą w górę. Obraca się powoli w koło, przyswajając sobie wszystko, co widzi.

– Fabryka – mówi. – Niesamowite. Musiała przylecieć tu z „Xolotla”, tak samo jak nasz wahadłowiec.

– Ej! Chodźcie zobaczyć! – Głos Coyotla dochodzi wraz z echem z dalszej części budynku. Obok chłopaka stoi Bordżigin, który wpatruje się w górę jak urzeczony.

Dołączamy do nich obu. Jeszcze raz włócznia służy mi bardziej za laskę niż za broń.

C oyotl gapi się na zakrzywioną ścianę z głową zadartą tak wysoko, że musi w którymś momencie zrobić szybki krok wstecz, by nie paść na tyłek.

W skazuje ręką. Wyciągam szyję, przyglądam się. Nic tam nie ma, tylko

więcej rdzy i obrosniętej pnączami maszynerii. Otwieram usta, żeby go zapytać, co widzi, kiedy wreszcie obraz się klaruje.

To, na co patrzę, tam wysoko... to tylko górna część maszyny stojącej na ziemi. Upstrzonej mchem maszyny z grubsza podobnej w kształcie do człowieka, olbrzymiego człowieka z zardzewiałego niebieskiego metalu. Jedna ręka kończy mu się szeroką i grubą łyżką, druga – wielkimi trójpalczystymi cęgami. W niektórych miejscach przez olbrzyma prześwituje widoczna za nim przerdzewiała ściana.

B ordżigin kiwa głową, mamrocząc coś sam do siebie. Widziałam to już tyle razy, że wiem, co właśnie przeżywa – eksplozję wspomnień.

– Budowniczy – mamrocze. – To jest... to jest terraformer Besatrix. Model C-4. Ja... – Spogląda na mnie zdezorientowany. – Ja już takie widziałem. Ale nie widziałem. Nie mogłem. Mój stwórca... chyba pomagał projektować Uchmal. Wiedział, jak obsługiwać te maszyny, jak je konserwować. Może nawet reperować.

C zyli połówki potrafią więcej niż tylko szeptać w ucho przywódcom i liczyć prowiant. Skoro są takie zorganizowane i metodyczne, pewnie ma sens, że to im właśnie przypadło projektowanie miast. Dziwię się jednak, że same obsługiwały te maszyny – choć może czegoś tak skomplikowanego nie można było powierzyć zwykłym pustakom.

B ordżigin rozgląda się teraz po całym budynku, znów kiwając głową i zatrzymując wzrok na kolejnych olbrzymich maszynach. Przy każdej nowej mamrocze kolejne niezrozumiałe dla mnie słowa: jak dany sprzęt się nazywa, do czego służy. Fajnie, że sobie przypomina, ale to bez znaczenia – te maszyny nie żyją. Niektóre są przysadziste i wyglądają bardziej jak małe budynki niż ludzie. Część wyposażono w łyżki. Część – w wielkie kolce. Inne – w piły tak ogromne, że dałyby radę elegancko przepołować nasz wahadłowiec. Niektóre mają szerokie, puste płaszczyzny otoczone ścianami, między którymi

zmieściłoby się dość ziemi i skał, by usypać z nich małe wzgórze.

B ordżigin się śmieje. W oczach tańczą mu zachwyty i życie, na chwilę zapomina o zmęczeniu.

– To dlatego nie widzieliśmy w tym mieście żadnych ludzi, żywych czy umarłych – mówi. – Uchmalu nie zbudowali Starsi, tylko te maszyny.

Bishop kręci głową.

– Ale Starsi musieli powiedzieć maszynom, co mają robić, prawda? Dokąd się udać, co zbudować?

– Tak, ale to wszystko mogli zrobić stamtąd. – Bordżigin celuje szczupłym palcem w niebo.

J ego słowa poruszają mnie do głębi. Kiedy Obserwatorium powiedziało, że jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy stanęli na Omeyocanie, uznałam, że musi się mylić. Nie myliło się. Przeszukaliśmy setki budynków i nie znaleźliśmy nic. Ani Starszych, ani kości, ani żadnych oznak, że ktokolwiek kiedykolwiek był tu przed nami.

O meyocan zabudowały maszyny. Matyllda i tacy jak ona nigdy nie pojawili się na planecie.

A to znaczy, że Obserwatorium mówiło prawdę. Czyli że jest to miejsce – jedyne miejsce – gdzie możemy uzyskać autentyczne odpowiedzi. Czy o Matyldzie też mówiło prawdę? Czy jej bunt był podyktowany chęcią mordu, czy też jej działania tak naprawdę uratowały ludziom życie?

K olana uginają się pode mną; stoję już tylko dzięki włóczni.

Bishop ujmuję mnie pod łokieć.

– Em, wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest – odpowiadam. To kłamstwo. A on o tym wie. Ramię boli mnie jak nie wiem co. Jeśli nie dostanę się wkrótce na wahadłowiec, Bishop znowu będzie musiał mnie nieść.

– Idziemy stąd – mówię. – Żeby dotrzeć do lądowiska pieszo, potrzeba nam

jeszcze ładnych kilku godzin.

Bordżigin kręci głową.

– Daj mi kilka minut. Założę się, że pająki zostały zaprogramowane, żeby wracać tu po każdej bitwie.

– No i co z tego? – Bishop bardziej warczy niż mówi. – Em musi zbadać doktor Smith. Im szybciej, tym lepiej.

S podziwiałabym się, że Bordżigin skuli się ze strachu przed Bishopem, ale chłopiec stoi niewzruszenie.

– Chyba potrafię wydać pająkom nowe rozkazy – oznajmia. – Potrzeba mi kilku minut i pomocy Coyotla. Na pająkach możemy dotrzeć do wahadłowca szybciej niż piechotą.

B ordżigin w niczym już nie przypomina tchórzliwego jakały, którym był w dżungli. Jest pewny siebie i wiary w to, co mówi.

– Streśćcie się – mówię.

C oyotl i Bordżigin biegną do swojego pająka i zabierają się do pracy.

Bishop ma ochotę się sprzeciwić, ale jesteśmy z powrotem w mieście, a włącznie trzymam ja – to znów moja kolej na wydawanie rozkazów, a dużo bardziej wolałabym jechać niż iść.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Smith powiedziała, że odniosłam „powierzchnową ranę”. Nic poważnego, przynajmniej jej zdaniem. Pozostałam u niej w medykomorze tylko na chwilę potrzebną, żeby krwawienie na pewno ustało i żeby Spingate i Gaston zdążyli rzucić okiem na to, z czym wróciliśmy. Teraz nie ma czasu na nic więcej – pora podjąć pewne decyzje.

Moi ludzie jeszcze raz gromadzą się w sali z trumnami na deku pierwszym. Stoję na zaimprovizowanym podeście z Gastonem i Spingate, z których każde ma coś ważnego do powiedzenia po tym, jak skończę. Na odpowiadających mi spojrzeniem twarzach jest tyle różnych emocji: mieszanina dumy, wstrętu, szacunku, zwątpienia, miłości, strachu i bólu. Jest nas zbyt wielu, żebyśmy wszyscy myśleli tak samo.

Opowiadam moim ludziom, co się wydarzyło. O węzowilku, Skoczkach, naszym biegu przez dżunglę, pająkach, ich „gnieździe” pochodzącym z „Xolotla” oraz – rzecz jasna – o Visce.

Wiele młodszych dzieci płacze. To jest ich pierwszy kontakt ze śmiercią. Jeśli nawet nie znały Viski bliżej, wiedziały, kto to jest, a teraz wiedzą, że już nigdy nie wróci.

Tylko małe kółko-gwiazdy nie płaczą. Teraz każda z nich ma na sobie czarny kombinezon i trzyma własną broń: siekierę, maczetę, łopatę, młot... jedna dziewczynka ściska nawet widły. Kiedy Bishopa i mnie nie było, Farrar przygotowywał je wszystkie.

To dobrze: kiedy znowu będziemy walczyć ze Skoczkami, przyda nam się

każda para rąk.

Kiedy kończę, Gaston tłumaczy, jak działają strzelby Skoczków. Mówi, że to muszkiety, prymitywna wersja bransoletek Starszych. Tkanina, którą wpycha się do lufy, to materiał wybuchowy. Kiedy się zapala, lufa ukierunkowuje siłę wybuchu i wyrzuca z siebie metalową kulę na tyle szybko, żeby zabić. Może zdaniem Gastona to „prymitywne”, ale przy tym czymś nasza broń wygląda na bezużyteczną.

– Em i pozostali przywieźli pięć muszkietów – mówi Gaston. – Każdy z nich to ręczna robota. Ich części właściwie nie są wymienne, co mnie dziwi. Może Skoczki nie mają fabryk, które zajmowałyby się masową produkcją tej broni. Jest dość amunicji, żeby z każdego muszkietu wystrzelić siedem razy. Beckett i ja uważamy, że za pomocą wahadłowca możemy wytworzyć więcej pocisków. Może nawet więcej muszkietów, ale tego jeszcze nie jesteśmy pewni.

Gaston się cofa, jego wykład dobiegł końca. Ludzie mają przerażone miny i nie dziwią im się – w dżungli są potwory, które mogą nas zabić, zanim choćby zdążymy je zauważyć.

Spingate podnosi w górę zgnieciony fioletowy owoc. Cała aż drży z emocji.

– Wypróbowaliśmy go na skażonej żywności – mówi. – Sok tego owocu zabija czerwoną pleśń.

Cała sala wstrząsa gromki okrzyk entuzjazmu. Z niepohamowanej radości wszyscy chwytają się nawzajem w objęcia. Gaston bierze w ramiona Spingate, ściska ją i klepie po plecach tak mocno, że ta wśród śmiechu aż się krzywi.

Jeśli uda nam się znaleźć dość owoców, cały skład żywności będzie nasz – jedzenia jest w nim na lata, dość, by utrzymać nas przy życiu, póki nie nauczymy się uprawy roli i polowania. Wszyscy jesteśmy głodni, ale teraz przynajmniej jest jakaś nadzieja.

A ramowski składa ręce i wznosi oczy ku niebu.

– To cud! – mówi. – Jesteśmy zbawieni.

– Nic podobnego – wtrąca szybko Spingate. – Mamy tylko ten jeden owoc. Potrzebujemy ich o wiele więcej, żeby przeprowadzić więcej eksperymentów, znaleźć najlepszy sposób na wykorzystanie ich soku. Gdyby to naprawdę był „cud”, mielibyśmy jedzenia, ile tylko zechcemy, tak czy nie?

Aramowski szczerzy się w uśmiechu.

– To nie cud, że właśnie w dniu, kiedy kończy nam się jedzenie, odkrywamy owoce, które pozwolą nam przetrwać? To nie cud, że ni stąd, ni zowąd mamy strzelby i maszyny bojowe? Bogowie zapewнили nam narzędzia zbawienia, ale to nie znaczy, że odwalą za nas całą robotę.

W stępuje na podest. Widzę, jak O’Malley się jeży: nie podoba mu się to. Trudno. Samo szeptanie mi do ucha nie wystarczy, żeby powstrzymać naszego przeciwnika.

– Demony zamordowały walecznego Viscę – przypomina Aramowski. – Niechaj bogowie powitają go w swym domu.

Połowa zebranych jak jeden mąż powtarza jego słowa:

– Niechaj bogowie powitają go w swym domu.

Przenika mnie dreszcz. Skąd oni wszyscy wiedzieli, żeby powtórzyć to zdanie? Tak wiele osób mówiących jednocześnie... przywołuje to w mojej pamięci mgliste wspomnienia Matyldy z wizyt w kościele. Kiedy ja szukałam jedzenia, z iloma osobami zdążył porozmawiać Aramowski?

– To nie są demony – cedzi Spingate. – To inteligentne istoty.

– Zaatakowały nas, i to bez powodu – oświadcza Aramowski. Wskazuje na trzymany przez Spingate owoc. – Mogły nam powierzyć sekret przetrwania, kiedy tylko chciały. Ale nie zrobiły tego, bo są złem wcielonym, chcą, żebyśmy wszyscy poumierali.

P omruki zgody. Kiwanie głowami.

M imo że mówi o bogach i demonach, czy w gruncie rzeczy nie ma tak

naprawdę racji? Przecież nic zrobiliśmy Skoczkom nic złego.

– Teraz mamy b r o ń – ciągnie Aramowski. – Musimy pojechać na pająkach w dżunglę i zniszczyć demony. Jedyne sposoby, żebyśmy mogli czuć się bezpiecznie, to wszystkie je wybić.

Wszyscy mruczą z aprobatą. Sama zwykle nie zgadzam się z Aramowskim, ale tym razem ma rację. Skoczki zaatakowały nas raz – zaatakują znowu. Jeśli chcę oszczędzić ludzkie istnienia, musimy zabić swojego wroga, musimy już zawsze być wolni.

A ramowski kładzie mi rękę na ramionach, nie przestając mówić do zebranych.

– Em wie, co trzeba zrobić. Zabiła jednego z nich. Poprowadzi nas do bitwy, do wojny, w której zwyciężymy, a bogowie będą...

P lask – fioletowy owoc trafia go w twarz i spada na podłogę z mokrym plaśnięciem.

A ramowski gapi się jak oniemiały. Wonny sok ścieka mu po skórze.

W ciszy, która następuje, Spingate warczy do Aramowskiego:

– Bitwa? Wszystkie je wybić? Ty zabobonny głupku. – Obrzuca gniewnym spojrzeniem całą salę. – A wy bezwolnie potakujecie wszystkiemu, co on mówi! Też z g ł u p i e l i ś c i e? Nie możemy iść na wojnę ze Skoczkami, my ich potrzebujemy.

Ręka Aramowskiego ześlizguje się z moich ramion. Czuję przy tym – niemal namacalnie – emanującą z niego nienawiść.

– Myślałem, że znasz się na matematyce – mówi do Spingate. – Owoców nie wystarczy dla wszystkich. My albo oni.

Spingate przewraca oczami.

– Chcesz wybić przedstawicieli inteligentnej rasy, którzy mogą nam pokazać, jak tu przetrwać? Czerwona pleśń to wcale nie jedyne zagrożenie. Co powiesz na trucizny, których fioletowe owoce nie potrafią wyeliminować? Co

powiesz na wężowilki albo na inne drapieżniki, których jeszcze nie widzieliśmy? Ile osób z tej sali musi zginąć, zanim zrozumiemy, co jest bezpieczne, a co nie? Skoczki wiedzą, jak przeżyć na Omeyocanie – my nie.

J ej słowa stępują ostrze mściwości jątrzącej moje serce. Ma rację. Jesteśmy na tej planecie dopiero kilka dni. Może czaić się tu więcej niebezpieczeństw. Bez kogoś, kto nami pokieruje, każda nauczka, którą dostaniemy, może polegać na tym, że komuś z nas stanie się krzywda. Albo coś jeszcze gorszego.

C oyotl uderza swoją kościomaczugą w ścianę wahadłowca. Stoi przy Bordżiginie, obaj przyglądają się gromadce skupionych przed nimi mniejszych dzieci.

– One zabiły Viscę – przypomina Coyotl. – Mogliśmy zabić je pierwsi, ale nie zrobiliśmy tego! One za to zaatakowały nas od razu. Aramowski ma rację, to demony!

Spingate kręci głową.

– To nie są demony.

– Ty ich nie widziałaś – stwierdza Bordżigin. – Wyglądają okropnie.

Spingate odpowiada mu krzykiem:

– Pewnie ich zdaniem my też wyglądamy okropnie! Musimy znaleźć sposób, żeby się porozumieć, nie możemy po prostu wmaszerować do dżungli, żeby urządzić im rzeź!

– Możemy – zapewnia Aramowski. – M u s i m y. Na największej budowli w tym mieście stoi posąg Em, naszej przywódczyni. To znak dany od bogów, że jej przeznaczeniem jest poprowadzić nas do zwycięstwa!

A ramowski uśmiecha się do mnie z intensywnym blaskiem w oczach. Chce, żebym uznała to „przeznaczenie” za swoje. Tyle że posąg nie przedstawia mnie: to wizerunek Matyldy. A jednak Aramowski mówi o tym w taki sposób... trudno się nie zastanawiać, czy nie ma racji. Na Omeyocanie nie ma

Matyldy, jestem za to ja. Czy stare prawdy nie mogą nabrać nowych znaczeń?

– W Obserwatorium są też inne znaki – mówi Spingate, wbijając we mnie wzrok. Czuję się nagle obiektem walki dwojga siłaczy, z których każde usiłuje przeciągnąć mnie na swoją stronę, skusić swoim tokiem rozumowania. – Pamiętasz t a m t e znaki, Em? – pyta Spingate. – Czy i one wszystkie mają się dzięki nam urzeczywistnić?

O brazy śmierci, torturowanych zębatek i połówek. Mordu na takich ludziach jak Spingate, Gaston, O’Malley, Zubiri, Bordżigin.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam. – Ale to nie to samo... Skoczki są inne niż my.

Spingate wzrusza ramionami.

– A skąd niby mamy to wiedzieć? Sama mówiłaś, że były wśród nich dzieci. R o d z i n y. Szybciej niż myślisz, my też będziemy mieli rodziny. Nasze dzieci przejmą po nas Omeyocan. Jaką planetę chciałybyś im zostawić? Świat wojny czy świat pokoju?

N asze dzieci? To jakieś szaleństwo. Jesteśmy za mało dojrzali na...

Ależ skąd, j e s t e ś m y dojrzali. Spin i ja, Bawden, Smith, Johnson, Cabral, Opkick, D’Souza... wszystkie mamy ciała młodych kobiet, nie dzieci. A ci z nas, którzy są jeszcze dziećmi, nie pozostaną nimi długo.

N a wieko którejś z trumien wskakuje mała dziewczynka: to Walczak, cicha przyjaciółka Zubiri.

– Powinniśmy zniszczyć demony, zanim będzie za późno – mówi. Jej twarz wykrzywia wściekłość. Mówiąc, uderza pięścią w dłoń. – Aramowski ma rację, tę planetę stworzono dla nas. Jeśli jej chcemy, musimy pokazać, że jesteśmy jej godni! W y b i ć j e w s z y s t k i e ! W y b i ć j e w s z y s t k i e !

P o ł o w a sali eksploduje rykiem i wiewatami.

W twarzyczce małej Walczak jest tyle nienawiści. Szokuje mnie to, bulwersuje. Powinna bawić się lalkami, a nie nawoływać do rzezi. Ale na jej

czole widnieje dwupierścień. Tak samo jak Aramowskiego, stworzono ją do głoszenia religii.

S pingate macha rękami nad głową, aby skupić na sobie uwagę zebranych.

– Wojna to nie jakaś gra! – krzyczy. – Jeśli spróbujemy rozwiązać sprawy przemocą, zginą nie tylko Skoczki. Mamy kilka strzelb, ale Skoczki mają ich więcej. – Mierzy palcem w dziewczynkę kółko-gwiazdę z widłami w ręce. –

Co ty na to, Marija? Chcesz zginąć od trafienia pociskiem w twarz? – Wycelowuje palec w Bordzigena. – A ty chcesz? Albo może od ciosu nożem w brzuch, od rany tak głębokiej, że nawet trumna Smith jej nie wyleczy, więc będziesz umierać powoli, wzywając ratunku, a nikt nie będzie umiał ci pomóc? Czy po coś takiego, Bordzigin, warto walczyć z wrogami, bo brzydko wyglądają?

B ordzigin ma oczy szeroko otwarte. Nie odpowiada.

– To one były tu pierwsze – przypomina Spingate. – Mogą ich być tysiące. Setki tysięcy. Jeśli zaatakujemy je i przegramy, myślicie, że pięć muszkietów i trzy pająki powstrzymają je przed tym, by wdrzeć się tutaj i wybić nas wszystkich? A jeśli strzelili do Viski, bo uznali, że to my atakujemy ich?

A ramowski wrzeszczy coś do niej, odwrzaskuje mu Gaston, ale ich sprzeczka staje się szumem w tle, bo w myślach podskakują mi jak piłeczka słowa Spingate: *A jeśli uznali, że to my atakujemy ich?*

Z a murami tego miasta – inne miasto, kompletnie zniszczone. Zburzone budynki, głębokie kratery... Jeszcze przed naszym przybyciem toczyła się wojna. Pająki burzące ścianę budynku, w którym odkryliśmy ślady pierwszego ogniska. Pająki atakujące i zabijające Skoczki na polanie.

P ająki z symbolem kółko-gwiazdy...

V isca ze spoconą twarzą, z której pot zmył kamuflaż, odsłaniając ten sam symbol na czole...

K awałki układanki łączą się w całość.

T yle osób krzyczy – ale nikt nie słucha. Zwolennicy wojny i jej przeciwnicy kłóć się, zaczynają się nawet jakieś przepychanki.

W alę mocno w podest drzewcem mojej włóczni.

– Dosyć! Z a mknij c i e się wszyscy!

A ramowski się uśmiecha. Myśli, że wezmę jego stronę. Myli się.

– Skoczki nas zaatakowały, tak – mówię. – Zabiły Viscę, tak. Ale nie uważam ich za demony. Jeśli już, to w ich oczach m y jesteśmy potworami.

A ramowski jest tak zawiedziony, że aż zszokowany.

– To absurd – mówi. – Nie jesteśmy potworami. Jesteśmy narodem wybranym.

– Pająki zabijają wszystkie Skoczki bez ostrzeżenia – mówię. – Te pająki, które stoją teraz przed wahadłowcem, mają na sobie setki maleńkich wgnieceń od pocisków Skoczków. Za murem są ruiny innego wielkiego miasta. Miasta, które zostało zniszczone przez pająki. Te maszyny musiały zabić już tysiące Skoczków. Kiedy mówicie, że nic Skoczkom nie zrobiliśmy, macie rację. M y nie zrobiliśmy im nic złego, ale nasi stwórcy t a k.

D otykam palcem czoła.

– Wszyscy mamy na czołach jakieś symbole. Visca miał kółko-gwiazdę. Taka sama jest namalowana na pająkach. Może Skoczki zobaczyły jego symbol – którego z pewnością się boją, którego n i e n a w i d z ą – i postąpiły po prostu tak, jak my byśmy postąpili, gdyby ktoś przyszedł nas zabić?

S pingate mruży oczy, lekko się uśmiechając. Jest pod wrażeniem: odkryłam możliwy związek tam, gdzie ona go przeoczyła.

– Nie wiemy, gdzie rosną owoce – dodaje. – Może nie znajdziemy ich wcale, jeśli pozabijamy Skoczki. Czujecie to ssanie w żołądku? Nasili się, aż stanie się dużo, dużo gorsze. A najszybciej się go pozbędziemy, kiedy odnajdziemy Skoczki i z nimi porozmawiamy, i damy im do zrozumienia, że

nie jesteśmy jak nasi stwórcy, że nie chcemy zrobić im żadnej krzywdy.

Kilka osób odruchowo maca się po brzuchu. Aramowski posłużył się bogami, żeby przemówić ludziom do serca – Spingate w tym samym celu posługuje się głodem.

Aramowski kręci głową, w jego wzroku płonie teraz nienawiść.

– Czyli jedno z nas powinno po prostu wymaszerować za mur i poprosić tych zabójców o pomoc? Już nam opowiadałaś, jaką straszną śmiercią zginiemy, Spingate, więc kto tam do nich pójdzie? Ty?

Spin kiwa głową.

– Tak. Ja.

Zebrani milkną. Nikomu nie chce się wierzyć, że właśnie się zgłosiła. Mnie też nie.

Wskazuje na swoje czoło.

– Nie mam kółko-gwiazdy. Jeśli Em ma rację, może dadzą mi szansę. Em powiedziała też, że Skoczki są mniej więcej jej wzrostu, czyli mniej więcej mojego wzrostu. Może nie wzbudzę w nich takiego strachu jak Visca, może nie zastrzelą mnie tak od razu.

Jest tak dzielna, że momentalnie znów jestem z niej dumna; budzi we mnie nadzieję. Oto moja przyjaciółka, moja odważna przyjaciółka.

Gaston łapie ją za ramię.

– „Może” to za mało – oznajmia. – To dla ciebie zbyt niebezpieczne.

Spingate odsuwa ramię, podnosi je, demonstrując swój złoty karwasz.

– Jeśli faktycznie uda nam się nawiązać kontakt, a pokażą nam cokolwiek związanego z fioletowymi owocami, musi to zobaczyć zębátka. Kalle zrobiła, co do niej należało. Zubiri jest za mała. Teraz moja kolej.

Gaston w panice próbuje zerwać jej karwasz.

– No to ja pójdę, jestem jeszcze mniejszy od ciebie!

Spingate wyrywa mu się.

– Co robisz? Przestań!

U noszę wysoko nogę, walę butem w podest najmocniej, jak umiem. Odgłos jest prawie tak głośny, jak wystrzał z muszkietu – ucisza wszystkich, przerywa hałas.

– Gaston, zostajesz na miejscu – mówię. – Jeśli Skoczki faktycznie zaatakują, może będziesz musiał odlecieć wahadłowcem, żeby zabrać wszystkich w bezpieczne miejsce.

Burczy na mnie wściekle:

– Beckett może popilotować wahadłowiec! Niech ktoś inny to zrobi. Nie pozwolisz chyba Spingate pójść samej?

– Nie będzie sama – uspokajam go. – Idę z nią ja.

O krzyki poparcia, niedowierzania. Aramowski uśmiecha się, zakłada ręce na piersi i obserwuje rozwój sytuacji.

O 'Malley rusza w stronę podestu – idzie coś mi podszeptać. Wyciągam rękę w jego stronę, otwartą dłońią na zewnątrz. Staje jak wryty.

– Nawet nie próbuj – mówię. – Będzie, jak powiedziałam.

Bishop wali obuchem siekiery w ścianę sali z trumnami, skupiając na sobie uwagę wszystkich zebranych.

– Lepiej poślij mnie – mówi. – Samego. Poruszam się ciszej niż ktokolwiek inny, mogę złapać jednego z nich i go tu przyprowadzić.

O'Malley znów podchodzi bliżej.

– On ma rację, Em, posłuchaj Bishopa.

– Pojmanie jeńca to też działanie wojenne – zauważa Spingate. – Nawet jeśli Bishopowi się uda, nie mamy pojęcia, czy będziemy w stanie skłonić pojmanego, żeby powiedział nam to, co chcemy wiedzieć.

Za dużo głosów. Za dużo opinii.

U noszę włócznię wysoko nad głową.

– D o s y ć! Podjęłam decyzję. Pójdą tylko dwie osoby: przywódca, bo ma

władzę mówienia w imieniu wszystkich, i naukowiec, który zrozumie, co zobaczymy.

S pingate patrzy mi prosto w oczy. Ta sprawa jednoczy nas. Z naszej grupy to my obudziłyśmy się pierwsze. Odnalazłyśmy się, zanim znalazłyśmy kogokolwiek innego. Jeśli mamy zginąć, próbując zapobiec wojnie, to zginiemy tak, jak zaczęłyśmy żyć: razem.

– Obserwatorium – mówię. – To tam pójdziemy.

Spingate kręci głową.

– Moim zdaniem miasto stanowi nasze terytorium, a ich terytorium jest dżungla. Musimy wybrać się do nich w geście dobrej woli. Możesz doprowadzić nas do tej polanki, na której zginął Visca?

Pamiętam, w jaki sposób Visca badał ścieżkę, otaczające ją rośliny, ślady stóp. Obserwowałam go bacznie. Może nie umiałabym znaleźć drogi od starej fontanny, ale – tak jak on – potrafię pójść ścieżką od bramy miasta do pierwszego dołu z ogniskiem, a potem na polankę, gdzie zginął.

O garniam wzrokiem chłopców, którzy nie chcą, żebyśmy poszły – Aramowskiego, O'Malleya, Bishopa i Gastona – po czym lekko stukam drzewcem włóczni w podest.

Decyzja została podjęta i jest ostateczna.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Jesteśmy tylko ja i Spingate.

Dół po ognisku znowu był pusty. Udało mi się podjąć ten sam trop, którym szedł Visca. Wydaje mi się, że jesteśmy o jakąś godzinę drogi pieszo od polanki, na której zginął.

Wyrwałyśmy z jednej trumny trochę białego materiału i przywiązałyśmy go na końcu mojej włóczni. Pomysł O'Malleya. Może Skoczki nie rozpoznają w tym symbolu pokojowych zamiarów, ale dzięki niemu będziemy widoczne z daleka – a chcemy dać im znać, że przybywamy.

Obok wiemy, że pająki są nasze, miasto nie wydaje się już takie straszne. Spingate i ja podjechałyśmy na pająku z Bishopem i Coyotlem do dobrze już nam znanej bramy. Bishop ponownie nalegał, że pójdzie z nami, i ponownie mu odmówiłam. Obaj chłopcy poczekają na nas przy bramie. Jeśli znajdziemy inną drogę powrotną, wyślę po nich kogoś z wahadłowca.

Spingate wydaje się teraz taka inna. Nie jest to już tamto chichoczące, przestraszone dziewczę, które obudziło się razem ze mną. Czy zmienia się, bo powraca jej pamięć? Czy chodzi o jej związek z Gastonem?

Nie wiem. A jeśli ona wie, nic na ten temat nie mówi.

Nie mamy zielonego pojęcia, czy ten pomysł się sprawdzi. Chyba nie myślę się co do symbolu Viski, ale pewności nie mam. Nawet jeśli się nie myślę, Skoczki mogą zastrzelić nas i tak. W końcu przecież zabiłam jednego z nich. Co zrobią, jeśli mnie rozpoznają?

Muszę jednak podjąć tę próbę. Jeśli nie zdobędziemy jedzenia, Aramowski

pewnie wymusi nowe głosowanie – głosowanie, które przegram. Ludzie będą chcieli nowego przywódcy. Trudno ich za to winić; chcą, żeby zdarzyło się coś dobrego. Ja mówię im prawdę. Aramowski powie im wszystko, co będą chcieli usłyszeć, i dlatego właśnie wygra.

J e ś l i t o n a s t ą p i, w y b u c h n i e w o j n a.

S ł o Ń c e j e s t w y s o k o n a d n a s z y m i g ł o w a m i. W n a s z ą s t r o n ę p ł y n ą c i e m n e c h m u r y, p ę d z o n e s i l n y m w i a t r e m. W p o b l i ż u ś m i g a j ą p l a m a k i; c z a s e m i c h c i e n i e n a u ł a m e k s e k u n d y p a d a j ą n a m n a t w a r z.

S p i n g a t e w k o ń c u s i ę o d z y w a. P a t r z y p r z y t y m w p r o s t p r z e d s i e b i e, w z d ł u ż ś c i ę ż k i, k t ó r ą i d z i e m y.

– S p o d z i e w a ł a m s i ę, ż e w c i ą g n i e s z n a s w w o j n ę – m ó w i. – Ż e p o s ł u c h a s z g ł o s u s w o j e j g w a ł t o w n e j n a t u r y.

C z y n a p r a w d ę m y ś l i o m n i e t a k ź l e? C z y w i d z i t y l k o t o, c o s ą d z i ł a, ż e z r o b i ę, a n i e t o, c o f a k t y c z n i e z r o b i ł a m?

– N i e m a m g w a ł t o w n e j n a t u r y.

Z a t r z y m u j e s i ę n a g l e, w k o ń c u n a m n i e p a t r z y. W j e j o c z a c h p ł o n i e o g i e ń.

– A l e ż m a s z. – P o d n o s i w g ó r ę p a l e c. – W i d z i e l i ś m y t o n a „X o l o t l u”. – W s k a z u j e z a n a s, w s t r o n ę m i a s t a. – W i d z i e l i ś m y t o n a s t o p n i a c h O b s e r w a t o r i u m. – D o t y k a p a l c e m m o j e j k ł a t k i p i e r s i o w e j. – A t e r a z w i d z i e l i ś m y t o w t w o i m d z i a ł a n i u, k i e d y z a b i ł a ś t e g o S k o c z k a.

O d t r ą c a m j e j r ę k ę.

– Ż n i w o ś m i e r c i n a „X o l o t l u” t o s p r a w k a M a t y l d y, n i e m o j a, i t o s a m o d o t y c z y O b s e r w a t o r i u m. A c o d o t e g o S k o c z k a, n i e b y ł o c i ę p r z y t y m. M u s i a ł a m g o z a b i ć, ż e b y p r z e ż y ć.

P r y c h a.

– C z y ż y b y? B o s ą d z ą c p o t y m, c o m ó w i l i B i s h o p, C o y o t l i B o r d z i g i n, z a ł a d o w a n i e b r o n i z a j m u j e S k o c z k o m d ł u g i c z a s. D l a c z e g o p o p r o s t u n i e u c i e k ł a ś t a k j a k B i s h o p? D l a c z e g o w r ó c i ł a ś, ż e b y z a b i ć?

(Jeśli uciekniesz, twój wróg będzie cię ścigać... Zabij swojego wroga, a wtedy już zawsze będziesz wolna).

W róciłam, bo w głowie zawsze telepią mi się słowa mojego ojca. Kiedy sytuacja zaczyna mnie przerastać, słucham tych słów. Przez nie zachowuję się jak marionetka. Spingate ma rację – może wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale wróciłam, bo c h c i a ł a m zabić.

Niebo ciemnieje. Nadciągają chmury.

Zauważam jakiś ruch wysoko w wierzchołkach drzew. Przystaję, wbijam w nie wzrok. Czy za grubymi żółtymi liśćmi coś się kryje?

Wskazuję ręką.

– Widziałaś?

Spingate przygląda się w skupieniu, ale kręci głową.

– Nie – zaprzecza. – To pewnie tylko jakieś zwierzę.

Pierwsze krople deszczu uderzają o korony drzew. A potem następuje oberwanie chmury – w jednej chwili lekko mży, w drugiej leje jak z cebra.

Spingate opuszcza głowę i unosi rękę dla osłony przed deszczem, ale ja ignoruję pluski na twarzy – nie przestaję patrzeć.

Znów ten ruch. Coś może połowy mojego wzrostu, tak samo żółtej barwy jak liście lian. Długimi, chudymi nogami wybija się z wierzchołka drzewa. Rozpościera ręce: między nimi i resztą ciała – coś ciemniejszego, nie skrzydła, tylko skóra, fałda skóry stawiająca opór powietrzu i pozwalająca istocie szybować. Małe stworzenie przebija się przez liany i znika.

Spingate miała rację – to tylko zwierzę.

Nie ustajemy w drodze. Deszcz siecze nas z góry.

– Cieszę się, że poszłaś ze mną – mówi Spingate. – Choć nie byłam pewna, czy powinnaś. Nadal nie jestem. Powiem szczerze: boję się, że zrobisz coś złego, że rozpoczniesz wojnę, którą podobno chcesz powstrzymać. I to o ile

już jej nie zaczęłaś.

Boli mnie, że Spin mi nie ufa, ale w pewnym sensie cieszę się, że tak jest. Jeden błąd z mojej strony może przyczynić się do śmierci ludzi – to dużo ważniejsze niż moje zranione uczucia.

Biorę ją za rękę.

– Ja też nie ufam samej sobie. Ale ufam na m. Pomóż mi zrobić to, jak należy.

Ś ciska mnie za rękę, uśmiecha się do mnie, po czym mnie puszcza.

K iedy wracam wzrokiem do ścieżki, widzę coś z boku, po lewej – lufę muszkietu wysuwającą się z za drzewa. Celuje do mnie jakiś niebieski i pomarszczony Skoczek.

– Nie ruszaj się – mówię cicho. – Odnalazły nas.

P owoli przenoszę wzrok w prawo – i widzę drugiego Skoczka, fioletowoniebieskiego, mniej pomarszczonego, w większości schowanego za powaloną kłodą. On też mierzy do mnie z muszkietu.

P rzed nami na ścieżce wyrasta trzeci Skoczek.

K ule za chwilę przeszyją moje ciało, wyrwą mi mózg jak Visce. Zaraz tu umrę. Na „Xolotlu” zmieniłabym się w pył, ale tutaj jest gorąco i wilgotno. Moje ciało zgnije, wsiąknie w tutejsze błoto.

– Włócznia – mówi Spingate.

– Widzą tę głupią białą flagę. Nie obchodzi ich.

– Nie f l a g a – odpowiada Spingate. – Tylko w ł ó c z n i a. Przecież to broń. Popełniłyśmy błąd, trzeba było nie brać broni. Odłóż ją, tylko powoli, pokaż im, że nie chcesz nikogo skrzywdzić.

O dłożyć ją? Czy ona z w a r i o w a ł a? Mogą zaszarżować na nas, pobić nas na śmierć obuchami muszkietów i zaoszczędzić sobie kul. Jeśli uderzę pierwsza, jeśli nie trafią, jak poprzednio, mogłabym szybko zabić tego z lewej...

(Atakuj, atakuj, gdy się wahasz, zawsze atakuj).

T o – znowu – głos ojca, ale tym razem odpowiada mu mój własny głos.

(Tato, zamknij się, do cholery).

P rzechylam włócznie do przodu, po czym ją puszczam. Ciągnąc za sobą mokrą białą flagę, pada z plaśnięciem w pokrywające ścieżkę błoto.

N a jeszcze dalszej części ścieżki wychodzi z dżungli czwarty Skoczek o czysto fioletowej skórze. Przygląda się nam trojgiem zielonych oczu, po czym zbliża się w podskokach. Pozostałe Skoczki zaczynają krzyczeć – to paskudny odgłos, który przywołuje wspomnienia Matyldy o małpach w zoo. Ależ są g ł o ś n e, ależ w ś c i e k ł e.

Z aciskam dłonie. Bez swojej włóczni czuję się jak naga.

S pingate bierze mnie za rękę.

– Spokojnie – mówi cicho.

S koczek się zbliża. Muszket z odwiedzionym kurkiem trzyma w pogotowiu. Lufa skierowana jest w bok, nie mierzy w nic konkretnego. W pochwie przytroczonej do pasa dynda nóż o trzonku z białej kości. Za pas zatknięty ma też topór o czarnej powierzchni, poza wyraźnie widocznym ostrzem, które błyszczy w resztkach światła przebijającego przez burzowe chmury.

P ozwalam, by to Spingate panowała nad sytuacją, ale nie powinnam – ona nigdy nie była postrzelona, nigdy nawet nie walczyła, to tylko ząbdziewczyna, która chowa się za stołem laboratorium, podczas gdy prawdziwą robotę odwalają kółka, z prawdziwym niebezpieczeństwem mierzą się kółkogwiazdy.

W yszarpuję rękę z jej dłoni i sięgam po włócznie.

Jej palce wczepiają się w mój nadgarstek, zaciskając się tak silnie, że czuję, jak zgrzytają mi kości śródręcza. Zaskakuje mnie ból; jest dużo silniejsza niż myślałam. Zaglądam w jej surowe oczy. Samymi wargami wypowiada słowa: *Ani... mi się... waż.*

P rostuje się powoli. Chwytem na moim nadgarstku zmusza mnie, żebym stanęła wyprostowana obok niej.

S koczek zatrzymuje się przed nami. Fioletową skórę okrywają szmaty koloru dżungli. Ma gniewne zielone oczy.

J ego pobratymcy wciąż wrzeszczą. Powyłazili ze swoich kryjówek. Lufy muszkietów kołyszają się niepewnie, jakby Skoczki wahały się, gdzie powinny mierzyć. Już rozumiem – chciały, żeby ten fioletowy się nie zbliżał. Teraz nie mogą strzelać z obawy, by nie trafić jednego ze swoich.

O rientuję się, że z łatwością odróżniam od siebie całą czwórkę. Ich dziwne twarze... z początku myślałam, że wyglądają tak samo, ale teraz... nic podobnego. I żaden nie należy do grupy, którą widziałam wcześniej z Bishopem.

T roje zielonych oczu fioletowego Skoczka wbija się w moją twarz, mrugając lekko w łomoczącym w nas deszczu. Fioletowy wygląda, jakby nawet nie zauważył Spingate. Jego mokra skóra błyszczy. Ta skóra wygląda... z d r o w o. Zauważam, że Fioletowy jest niższy od pozostałych.

N iższy, bo jeszcze nie do końca dorosły.

K iedy po raz pierwszy zobaczyliśmy na tej ścieżce Skoczki, dwa z nich były dziećmi. Czerwonoskórými. Większe, te ze zmarszczkami, były niebieskie. Czy Skoczki zmieniają kolor z wiekiem? Jeśli tak, to ten przed nami nie jest już dzieckiem, ale nie jest jeszcze dorosły. Jest czymś pomiędzy.

Tak jak my.

T rzy pozostałe wrzeszczą coraz głośniej. Ton ich głosu uległ zmianie z ostrzegawczego i agresywnego na inny, który brzmi bardziej błagalnie – chyba proszą Fioletowego, żeby się ode mnie odsunął.

T en wydaje z siebie gardłowe szczeknięcie, pojedynczą sylabę, w której pobrzmiewa agresywny rozkaz.

S koczki milkną.

D eszcz leje się z nieba.

Fioletowy nachyla się bliżej, przygląda mi się badawczo. Ma na sobie te same różnokolorowe szmaty, co pozostali, ale także coś, czego nie mają tamci – na szyi błyszczący miedziany łańcuch, z którego zwisa mu na pierś zawieszony na narożnikach miedziany prostokąt. Prostokąt wygląda na gruby, ciężki, pokryty liniami i zawijasami jakiegoś nieznanego mi języka.

S koczek odchyła się w tył. Kolba jego broni podskakuje do góry tak szybko, że ledwo rejestruję jej ruch, a już drewno uderza mnie w podbródek. Przewracam się, świat wiruje wokół.

Spingate wyciąga do mnie rękę.

– Em, nie oddawaj mu!

S łyszę głuchy *stuk*, jak odgłos kamyka ciśniętego w wydrążony pień drzewa. Spingate pada twarzą naprzód na pokrywającą ścieżkę cienką warstwę błota. Podnoszę się na ręce i kolana, próbuję wstać, w a l c z y ć, ale w plecach eksploduje mi ból, bo znów trafia we mnie kolba muszkietu. Upadam na brzuch.

S zybko przetaczam się w lewo raz, drugi, zwiększając dystans między mną i Skoczkiem. Zrywam się na równe nogi.

Fioletowy stoi między mną i moją włócznią. Zanim zdąży choćby wymierzyć z muszkietu, rzucam się naprzód, z całej siły kopiąc jak najdalej i jak najwyżej – czubkiem buta trafiam go w wielką, namarszczoną szczękę. Troje oczu mruży się z bólu. Fioletowy odskakuje w tył, próbując wycelować we mnie z broni, ale ja znów rzucam się za nim, nurkuję pod lufą muszkietu.

S ięgam po nóż zwisający mu u pasa.

C oś jak młotem wali mnie w lewą skroń. Padam na kolana. Coś z trzaskiem uderza mnie w prawy policzek. To pozostałe Skoczki – rzuciły się na mnie, kiedy ja rzuciłam się po nóż.

O garniają mnie fale czerni. W ustach czuję smak krwi. Kulę się w kłębek,

kolana przy piersi, dłonie na uszach, łokcie przyciśnięte mocno do ciała. Spada na mnie grad uderzeń, kolby muszkietów tłuką mnie w ramiona, kolana, piszczele, plecy, głowę. Tyle ciosów tak szybko – nic nigdy w życiu nie bolało mnie tak bardzo.

A właśnie że tak... a właśnie że tak... nie pamiętasz, bo nie chcesz pamiętać...

M yślę o moim dziadku. M yślę o kajaku.

Bicie ustaje. Każdy cios promieniuje echem w całym moim ciele, czuję zachodzące na siebie fale bólu. Słyszę, że płaczę.

J akieś warknięcie, ćwierknięcie.

O twieram jedno oko. Spingate leży na ziemi obok mnie, zwinięta w kłębek i cała ubłocona. Jej ciałem wstrząsa szloch. Podnoszę wzrok. Fioletowy wyciąga w moją stronę kawałek jakiegoś materiału. Przetaczam się na wznak, kaszłąc, z nosa cieknie mi krew. Skoczek stoi nade mną, gromiąc mnie spojrzeniem zielonych oczu.

– *Ponalla* – mówi. Te sylaby nie brzmią wcale tak różnie od tych, które sami wypowiadamy. Tylko co znaczy to słowo?

– *Ponalla* – powtarza Fioletowy, potrząsając skrawkiem materiału, jakby nalegał, żebym go wzięła.

W ięc biorę. Tkanina jest przesiąknięta deszczem. Widnieje na niej rysunek, wizerunek jakiegoś Skoczka. Doskonały wizerunek, pełen detali. I jest w nim... zaraz. W jego twarzy jest coś znajomego. Rozpoznaję ją – to ten Skoczek, którego przebiłam włócznią.

Fioletowy wpatruje się we mnie. Te zielone oczy są tak podobne do naszych. Wydaje mi się, że potrafię wyczytać w nich emocje. N i e n a w i ś ć, ale także b ó l. S m u t e k. P o c z u c i e s t r a t y.

C o ja zrobiłam?

– Twój przyjaciel – mówię cicho. Podnoszę mokrą tkaninę, oddaję mu ją. –

Ponalla... twój przyjaciel.

P róbował mnie zabić P o n a l l a. Wtedy był to tylko jakiś zły s t w ó r, którego musiałam zniszczyć. Teraz zyskał imię. Ma przyjaciela, który po nim rozpacza, bo on już nie żyje. W tym sensie Ponalla niczym nie różni się od nas.

Z a biłam go.

A przecież nie musiałam. Mogłam uciec.

– Tak mi przykro. – Wiem, że Fioletowy mnie nie rozumie, ale słowa i tak mi się wyrywają. – Zaatakowano nas, panował taki chaos, a ja byłam wściekła i... Tak mi s t r a s z n i e przykro.

Z ielone oczy obserwują mnie. Gniew i poczucie straty na chwilę ustępują miejsca konsternacji. Fioletowy spogląda na zwiotczały materiał zwisający mu w trójpalczastej dłoni, po czym wpycha rysunek do torby.

S pingate jęczy.

– Nie ruszaj się – mówię. – Mamy kłopoty.

S pingate powoli unosi głowę. Krew i błoto pokrywają jej twarz ciemną maską.

Fioletowy odskakuje na jeden krok, unosi muszkiet, celuje mi prosto między oczy. Gapię się w krąg czerni, wiedząc, że to ostatnia rzecz, jaką oglądam.

T rzy pozostałe Skoczki przyskakują do niego, też unoszą broń. Stoją całą czwórką w rzędzie. Za chwilę dokonają na nas egzekucji.

C zas zwalnia bieg. W nozdrzach czuję zapach mokrej dżungli. W płucach – wilgotne powietrze. I d e a l n i e. Na niebie czerwone słońce za kurtyną chmur. Na mojej twarzy deszcz. W ustach smak mojej własnej krwi – wszystko jest takie w s p a n i a ł e. Jak mogłam nie rozkoszować się wszystkimi tymi rzeczami w każdej sekundzie życia? Nawet Skoczki są na swój sposób piękne. Widoki, zapachy, dźwięki...

Z a r a z, z a r a z... Słyszę tylko deszcz.

Dżungla od jakiegoś czasu milczy.

Za plecami Skoczków unosi się bezszelestnie coś brudnożółtego...

Wężotrąba strzela przed siebie. Szczypce wbijają się głęboko w pierwszego Skoczka z lewej. Ten wrzeszczy wilgotnym okrzykiem szoku i zaskoczenia, z ust tryska mu niebieskawa krew.

Na brzegu ścieżki z ziemi wstaje potwór. O wiele większy niż ten, którego widziałam wcześniej. Wężotrąba zwija się, wysoko unosząc swą ofiarę. Pozostałe Skoczki okręcają się, ale ich długie strzelby są nieporęczne, trudne do obrócenia. Wężotrąba spada w dół, waląc konającym już Skoczkiem w innego, wbijając obu miażdżącym ciosem w błotnisty grunt.

Bach!

Jeden ze Skoczków strzela. Nawet jeśli kula trafia, nic się nie dzieje. Potwór unosi wężotrąbę – jeden Skoczek zwisa bezwładnie w szczypcach, drugi leży twarzą w błocie, potrzaskany i nieruchomy. W tej samej chwili dyndająca ofiara znów zostaje użyta w roli broni; trąba uderza nią w Skoczka, który właśnie wystrzelił. Słyszę, jak od uderzenia pękają kości, widzę, jak udo strzelca zgina się w miejscu, w którym nie powinno.

Spingate ciągnie mnie za ramię.

– Chodź, Em, u c i e k a j m y!

Mam wrażenie, jakby ziemia przytrzymała mnie z całej siły w miejscu.

Fioletowy zachowuje spokój, choć mordercza bestia stoi zaledwie o kilka kroków. Skoczek mierzy z muszkietu – *bach!* Z kościstego pancerza na korpusie pryskają drzazgi. Potwór się chwieje. Szczypce się otwierają – połamany, potrzaskany Skoczek pada w błoto ścieżki. Nie rusza się; już nigdy się nie poruszy.

Skoczek ze złamaną nogą pełźnie po ścieżce w rozpaczliwej próbie ucieczki. Z grubego uda sterczy mu biała kość. Z otwartej rany leje się w błoto niebieska krew.

Fioletowy chwyta jeden z upuszczonych muszkietów. Próbuje celować, ale wężotrąba strzela w niego poziomo jak bicz, przewracając go w mokre poszycie.

S pingate z rozpaczą ciągnie mnie za ramię.

– Wstawaj! Proszę cię, u c i e k a j m y!

Nie mogę się ruszyć, ale nie ze strachu. Fioletowy próbuje ratować przyjaciół. Muszę mu pomóc – zabiłam Ponallę, muszę naprawić swój błąd.

Drapieżnik porywa w szczypce ciało jednego z zabitych, wpycha je do szerokiego pyska. *Chaps, chlast* – ciało rozdziera się na dwoje. W błoto upada oderwana noga. *Chrup, chrup*, przełknięcie.

P otwór przerywa jedzenie: widzi pełznącego Skoczka. Wypuszcza z pyska pół ciała i rusza w kierunku żywej jeszcze zdobyczy, plaskając o ścieżkę uzbrojonymi w pazury nogami.

M oja włócznia. Rzucam się po nią, porywam ją z ziemi. Drzewce jest śliskie od błota. Zdzieram z niego głupią białą flagę i odrzucam gdzieś.

S koczek ze złamaną nogą czołga się w moją stronę. Tuż za nim widzę potwora.

K olejna eksplozja wspomnień, ale tym razem nie wspomnień Matyldy... Bishop w korytarzach, ciskający włócznią w uciekającą świnię. Wizja wspaniałości. Widziałam, jak rzuca... Potrafię tak samo.

W ażę włócznię w prawej ręce, znajduję jej środek ciężkości. Zaciskam palce na drzewcu. Luźno, nie nazbyt mocno.

M ój cel: pęknięcie w płycie piersiowej pancerza bestii, z którego cieknie różowa krew.

P otwór otwiera długozębną paszczę, ryczy, po czym ciągnie ku nam, rozbryzgując cienką warstwę błota pazurzastymi łapami.

R anny Skoczek czołga się szybciej. Nie dość szybko jednak, żeby uciec.

W ycofując prawą nogę, celuję lewą ręką w przód, w kierunku szarżującego

koszmaru. Odpycham się prawą nogą, skaczę przed siebie, ląduję na lewej nodze i r z u c a m.

W łócznia z sykiem śmiga przez deszcz. Metalowy grot ze stuknięciem wbija się w płytę pancerza, przesywa ją i wchodzi w g ł ą b.

Potwór zatacza się. Sześcioro czarnych oczu mruga. Z włócznią wystającą mu z piersi bestia zmienia swój cel – rusza w moją stronę.

Z dżungli wypada Fioletowy z siekierą o krótkim trzonku w jednej ręce, z długolufowym muszkietem w drugiej.

P otwór dostrzega go, zamierza się na niego wielkim łapskiem, wrywając z podłoża grudy błota, ale Skoczek robi unik i ślizgiem po mokrej ziemi przemyka pod pazurami. Staje na wielkich stopach, daje susa i wbija lufę muszkietu w pękniętą, krwawiącą płytę piersiową pancerza tuż obok mojej włóczni.

B a m!

T ym razem jest niewiele dymu – pewnie dlatego, że większość bucha we wnętrzu wielkiego cielska bestii.

N ogi stwora uginają się. Chwiejnym krokiem postępuje w prawo i pada ciężko na bok. Wielka pierś unosi się i opada. Wężotrąba drga konwulsyjnie, zwijając się bez ładu i składu. Nogi się wyprężają, jakby bestia właśnie ocknęła się z krótkiej drzemki.

J eszcze się rusza, ale już niedługo: Fioletowy atakuje toporem, zadając mocne ciosy w miejsce między dwoma rzędami czarnych ślepi. *Zamach, stuk! Zamach, stuk! Zamach, stuk!*

O drywam wzrok od brutalnej sceny dobijania.

S pingate klęczy obok Skoczka ze złamaną nogą. Ten dygocze i trzęsie się w drgawkach, nie jestem tylko pewna, z bólu czy z przerażenia.

D eszcz zdążył zmyć z twarzy Spingate część błota, odsłaniając na jej czole wielkie skaleczenie, z którego leje się krew. Spin kładzie ręce na ciele

Skoczka, mówiąc łagodnym głosem:

– Nie zrobimy ci krzywdy. Już po wszystkim. Po wszystkim.

Próbuje pomóc, tak samo jak robiła to w przypadku Yonga na pokładzie „Xolotla”. W przypadku tamtego chłopca, tamtego przerażonego chłopca, który leżał w grubym pyłe na podłodze między mną i nią, płacząco wołając mamę, wykrwawiając się na śmierć, bo wbiłam mu nóż w brzuch.

Czy to naprawdę było zaledwie kilka dni temu? Byliśmy tacy mali, tacy przestraszeni. Mam wrażenie, że od tamtej chwili minęło całe życie.

S pingate gładzi Skoczka, nie przestając przemawiać łagodnie, cicho, pieśczoćliwie. To najwyraźniej działa. Dygotanie Skoczka się zmniejsza, choć nadal z jego dziwnej twarzy wyziera czysta groza – ranny tak ciężko, że nie może uciec, zdany jest na łaskę, jak pewnie sądzi, dwóch obrzydliwych istot obcego gatunku.

O dęłosy dżungli z wolna powracają. Jakies wycie, jakies odbijające się echem pohukiwanie, aż wreszcie do ryku ulewy dołącza szum życia.

P otwór nie żyje.

O dwracam się.

Fioletowy stoi, gdzie stał, tylko o króćki sus ode mnie. W jednej ręce – topór ociekający czymś różowym, upstrzony mokrymi kawałkami bieli. W drugiej ręce – moja włócznia o groćie pokrytym różowym śluzem.

Fioletowy opuszcza wzrok na rannego Skoczka, na Spingate. Dziewczyna nawet nie podnosi głowy, nie przestaje cicho mówić, głaskać.

– Próbowaliśmy pomóc – mówię. – Uratowaliśmy twojego przyjaciela.

S pojrzenie zielonych oczu wraca do mojej twarzy. Jest w nim nadal pełno nienawiści, ale też coś innego, czego nie umiem odczytać.

– Przykro mi, że zabiłam Ponallę – mówię. – Szczerze mi przykro.

Mijają sekundy. Nasza czwórka – dwoje ludzi, dwa Skoczki – ani drgnie. Słucham deszczu. Słucham dżungli.

Fioletowy unosi włócznię. Zamykam oczy – jestem już zbyt zmęczona, żeby dłużej walczyć.

C oś uderza w ziemię przede mną.

O twieram oczy – włócznia leży u moich stóp.

Fioletowy zatyka za pas rękojeść uwalanego posoką topora i w kilku susach zbliża się do swojego przyjaciela. Spingate odsuwa się szybko, bo choć rozpaczliwie pragnie pomóc, wie, że nie potrafi.

Fioletowy grubymi dłońmi chwytą nogę rannego Skoczka – kładzie je po obu stronach paskudnego złamania. Ranny mówi coś cicho i krótko, a potem Fioletowy szarpie. Widzę, jak kość chowa się z powrotem w ciało, słyszę obrzydliwe *chrup* i *trzask*. Ropusze usta rannego Skoczka otwierają się w niemym krzyku.

Fioletowy kiwa na mnie, żebym podeszła. Pokazuje coś na migi: wskazuje rannego, własne wąskie ramiona, ścieżkę. Chyba chce, żebym pomogła mu ponieść przyjaciela. Nie wiem, czy mam w sobie dość siły, ale muszę spróbować.

– Spin, zbierz muszkiety – rzucam. – I weź torby tych dwóch martwych.

Nogi w butach plaskają w błocie – Spin posłusznie biegnie wypełnić polecenie.

S poglądam na Fioletowego, kiwam głową.

Odpowiada mi niezrozumiałym burknięciem. Oboje pakujemy się pod ramiona rannego Skoczka i unosimy go.

Rany bógów, ale on jest ciężki.

Wytężając siły, żeby się nie przewrócić, pozwalam, żeby Fioletowy prowadził nas ścieżką.

Ranny Skoczek jest zaskakująco ciepły. Starsi byli w dotyku zimni, odrażający. Skoczek – wcale a wcale: gdybym zamknęła oczy, uwierzyłabym, że pomagam jednemu ze swoich. Wrażenie byłoby bardzo podobne.

Wszystko, co mogę, to skupić się na stawianiu nogi za nogą. Ciężar rannego sprawia więcej trudności Fioletowemu niż mnie. Nie może skakać, musi tak samo jak ja stawiać jedną nogę za drugą – ten sposób poruszania się zmienia go ze skocznej, pełnej gracji istoty w potykającego się, niezgrabnego piechura.

Męczymy się tak dłuższą chwilę, aż wreszcie Fioletowy przystaje. Wskazuje poza ścieżkę, w lewo. Między drzewami w strugach ulewnego deszczu widzę jakąś sześcioboczną ruinę. Większość budynku jest zburzona, przytłoczona lianami jak wszystko inne na tej planecie, ale częściowo nadal stoi. Wspomnienia Matyldy przywołują coś z naszego dzieciństwa – czy ja patrzę na kościelną wieżę?

Na samym czubku – miedziana kula. Otaczają ją dwa kręgi: wewnętrzny z dwiema przeciwległymi kropkami, zewnętrzny z czterema.

Spingate dogania nas z trudem, obładowana muszkietami i torbami.

– To zupełnie bez sensu – mówi, wpatrując się w wieżę. – To ten sam symbol, który widzieliśmy w Obserwatorium. Skoro jesteśmy tu pierwszymi ludźmi, jakim cudem Skoczki go znają?

Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Chcę tylko pomóc utrzymać rannego przy życiu. Może to wyrówna jakiś rachunek za zabójstwo, którego dokonałam.

Może.

Fioletowy poprawia chwyt, którym podtrzymuje rannego przyjaciela. Robię to samo. Razem ruszamy w stronę wieży.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Odcinam nitkę w ostatnim szwie maleńkimi nożyczkami i odkładam je do białego pudełeczka, które wzięła ze sobą Spingate.

– Gotowe – oznajmiam.

Spingate wzdycha.

– I jak to wygląda?

W idok jest okropny. Przez guz na jej głowie przebiega zygzakowata czerwona linia, naznaczona sześcioma brzydkimi, czarnymi szwami. Wyglądałoby to kiepsko, nawet gdybym nie musiała jej szyć dwoma złamanymi palcami, spuchniętymi i rwącymi z bólu przy każdym ruchu.

– Nic nie widać – uspokajam ją.

– Kłamczucha. Gaston uzna, że wyglądam ohydnie.

J esteśmy wewnątrz wieży, której podstawę stanowi porządnym rozmiarów pomieszczenie o nierównej podłodze, częściowo kamiennej, częściowo ziemnej. Siedzimy na odłamanych kawałkach ściany otaczających małe, trzaskające ognisko. Pachnie tu dymem, wilgocią i przypalonymi tostami. Przez liczne pęknięcia kapie deszcz, zbierając się w kilku drgających kałużach błota.

Ranny Skoczek leży w pobliżu ogniska i śpi. Spingate najpierw zaszyła jego rany, potem moje, tłumacząc mi przy tym, jak to się robi. Mam pięć szwów na policzku, trzy na brodzie. Ognisko ogrzewa nas trochę, ale nadal jest mi zimno, wilgotno i głodno. Minęła pełna doba od mojego ostatniego posiłku, który zwymiotowałam po zabiciu tamtego Skoczka.

W szystko mnie boli. Pobili mnie tak mocno. Nie licząc palców, wydaje mi

się jednak, że wszystkie kości mam całe. Przynajmniej z tego się cieszę.

Dwa martwe Skoczki leżą pod ścianą, oba przykryte lianami. Jeden to ledwie część ciała, bezgłowy półtułów z tylko jedną ręką. Fioletowy przyniósł tu swoich martwych przyjaciół pojedynczo. Kiedy wrócił z drugim trupem, pokazał na migi, że Spingate i ja mamy tu zostać, a potem znowu wyszedł. Nie ma go już ponad godzinę.

Na obrzeżach sali stoją w szeregu dziwne kamienne posągi sięgające nam do pasa. Posągi są poszczerbione i popękane, poznaczone smugami brudu. Kończyny wielu z nich są odłamane. Niektóre stoją oparte o starą ścianę, bo są zbyt zniszczone, żeby ustać same.

Większość przedstawia Skoczki. W kamieniu wyryto ich wizerunki w długich pelerynach, spodniach okrywających ich dziwne nogi, długich rękawach osłaniających ogony. Marszczone mankiety, fałdy, plisy... te stroje sprawiają wrażenie oficjalnych. Czy te Skoczki były ważne? Jeśli tak, jak dawno temu żyły?

Kilka posągów nie przedstawia jednak Skoczków. Sama nie wiem, co o nich sądzić. Nogi, które zginają się w niewłaściwą stronę, jak u modliszki, tylko dużo grubsze. Wąskie ciało ze środkową parą ramion wyrastających tuż nad bioder, ramion, które kończą się ciężkimi, wyglądającymi na niezdarne dłońmi. Na korpusie wznosi się niekształtna głowa z jednym wielkim okiem, pod którym widnieją pionowe usta. Z boków tej głowy, tuż spod oka, wyrasta kolejna para rąk, tym razem cieńszych, delikatniejszych. Ich dłonie kończą się wyraźnie zręczniejszymi palcami.

– Dziwne te posągi – mówię. – Jak myślisz, co to może być?

Spingate wzrusza ramionami.

– Może bogowie Skoczków. Albo demony. Ja chciałabym wiedzieć coś innego: skąd ten symbol na ich wieży. Ten budynek musi być starszy niż budowle w naszym mieście, więc jakim cudem ten sam znak mamy na

Obserwatorium? – Dotyka guza na głowie i się krzywi. – Ciekawe, czy trumna Smith wyleczy tę ranę tak, żeby nie została mi blizna.

P rzychodzi mi na myśl O'Malley i to, jak zależało mu na wygojeniu policzka.

– Ta blizna jest twoja i tylko twoja – mówię. – Przecież twoja stwórczyni takiej nie miała.

M yśli o tym przez chwilę, po czym uśmiecha się do mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

– To dobre – oświadcza. – O tym nie pomyślałam.

P owinnam być zadowolona, ale nie jestem. Ten jej dziwny wyraz twarzy pojawia się, kiedy mówię coś inteligentnego. Spingate jest moją przyjaciółką, dobrze nam się współpracuje i chyba akceptuje mnie jako przywódczynię, ale w głębi duszy nie uważa mnie za kogoś, kto jest jej równy.

Fioletowy zostawił trochę drewna na opał. Układam na ognisku świeżą kłodę, uważając, żeby płomień nie podniosły się zbyt wysoko. Nie chciałabym, żeby jakiś pajak wrąbał się tu przez ścianę i zabił nas przez pomyłkę. Mam już dosyć walki jak na jeden dzień.

Dostrzegam coś w ziemi na drugim końcu pomieszczenia. Czy to małeńka r ą c z k a?

P odchodzę do niej, odgarniam gruzy i ziemię. To plastikowa zabawka, pucułowate Skoczkowe dziecko w wytartym zielonym ubranku. Nie w paskach materiału powiązanych ze sobą na potrzeby kamuflażu, ale w delikatnym, pięknym stroju.

T o laleczka.

T aka jak lalki, które sama miałam jako mała dziewczynka.

I le może mieć lat? Czy to miasto, którego ruiny otaczają nas teraz, zapełniały kiedyś dzieci z zabawkami? Rodzice z dziećmi, rodziny?

I le żywych istot zabili nasi stwórcy?

S łyszę na zewnątrz jakiś ruch. Chwytam włócznie, krzywiąc się z powodu bólu w złamanych palcach, i staję pod starymi podwójnymi drzwiami prowadzącymi do dżungli. Spingate podnosi jeden z muszkietów, stęka z wysiłku, odwodząc na nim kurek, aż ten trafia w swój punkt spoczynku. Jeszcze nie strzelała z tej broni, ale już się domyśliła, jak ją załadować.

D rzwi się otwierają – to Fioletowy z muszkietem przewieszonym przez wąskie ramię, ze schowanymi bezpiecznie nożem i toporem.

O puszczam włócznie. Spingate ostrożnie zwalnia kurek muszkietu.

W yrażnie wyczerpany Skoczek macha do nas, żebyśmy wyszły na zewnątrz.

U lewa zdążyła zmniejszyć się do rozmiarów drobnego, choć jednostajnego deszczyku. Idziemy za Fioletowym na tyły zburzonego budynku. Za potrzaskaną płytą dawnej ściany ukryty jest wąski wózek na kołach. Zrobiono go z kijów i desek związanych zeschniętymi lianami. Koła są nie do pary. Jedno, metalowe, przypomina mi symbol Spingate – być może kiedyś było to prawdziwe koło zębate w jakiejś wielkiej maszynie. Drugie koło zrobiono z nieheblowanego drewna. Oba są na tyle blisko siebie, że wózek pewnie dałby radę jechać po wąskich, wydeptanych w dżungli ścieżkach. Dwa uchwyty na długich żerdziach, tak by ktoś mógł stanąć między nimi i ciągnąć wózek za sobą.

N a tej konstrukcji leży podłużna sterta pnączy. Fioletowy wyciąga rękę i podnosi garść lian, żebyśmy zobaczyły, co jest pod spodem.

T warz człowieka – Viski.

S pingate ze świstem wciąga oddech, zakrywa usta.

M artwe oczy Viski wpatrują się w przestrzeń. Był zawsze najbledszym ze wszystkich Urodzinowych Dzieci. Teraz jest biały jak płótno. Wlot kuli w jego czole otacza skorupa krwi. Na policzkach ma ślady ukąszeń, a jedno ucho jest odgryzione – zwierzęta z dżungli zdążyły już napocząć jego ciało.

Fioletowy spogląda na mnie. Chce, żebym zrozumiała. Przyniósł nam ciało naszego poległego wojownika. Może to rodzaj przeprosin, a może próba

okazania dobrej woli. Jakich by nie miał motywów, jego gest wzrusza mnie głęboko.

– Dziękuję – mówię. – To wiele dla nas znaczy.

Lalki, rodziny, miłość, zemsta, okazywanie czci zmarłym... obie nasze kultury są do siebie podobne na tyle sposobów.

Fioletowy zakrywa twarz Viski.

Wracamy do wieży. Fioletowy sprawdza, co u jego przyjaciela, który się wreszcie obudził.

– Musimy z nimi pomówić – odzywa się Spingate. – Musimy dowiedzieć się, co z jedzeniem.

– Jak? Ani my nie mówimy ich językiem, ani oni naszym.

– Ale przynajmniej mają język – upiera się. – Może nauczymy się nawzajem naśladować swoje dźwięki.

Spingate daje krok w stronę tamtych. Unosi rękę, stuka się dwukrotnie w mostek.

– Spingate – mówi. Sięga do mnie, stuka mnie w klatkę piersiową. – Em.

Skoczek gapi się na nas. Stuka się we własną pierś.

– *Bhar-ka* – mówi, co brzmi jak ni to warknięcie, ni to świergot. Wskazuje na swojego rannego towarzysza. – *Lah-fa*.

Z zdużenia wyrywa mi się krótki niespodziewany chichot, od którego czujny Fioletowy wzdyga się z zaskoczenia. *Bharka, Lahfa*... czy to ich imiona? Fioletowy nas zrozumiał?

Spingate wskazuje ręką.

– *Bharka* – mówi, starając się jak najlepiej powtórzyć tamten dźwięk. Potem pokazuje leżącego: – *Lahfa*.

Ranna Skoczek robi wielkie oczy i otwiera ropusze usta, wydając z siebie odgłos, który brzmi jak miażdżone butami tłuczone szkło. Jest w takim samym szoku, że my je rozumiemy, jak przed chwilą ja, że one rozumieją nas. Ten

dźwięk... tak samo jak ja przed chwilą, Lahfa się śmieje.

Fioletowy – to znaczy Bharka – wskazuje ręką Spingate.

– *Singat* – mówi. Potem wskazuje na mnie. – *Hem*.

Lahfa znów otwiera szeroko usta, wypełniając budynek tym swoim śmiechem brzmiącym jak miażdżenie szkła. Jak na kogoś, kto złamał nogę i kto widzi leżących obok dwóch martwych kumpli, ma wyjątkowo dobry humor. Ciekawe, jaki jest w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Czy to jakiś rodzaj komunikacji? Damy radę? Uda nam się w sytuacji, w której Starsi po prostu wszczęli wojnę?

Bharka znów wskazuje mnie palcem.

– *Hem. Yalani*.

S poglądam na Spingate. Wzrusza ramionami. Nie ma pojęcia, co to znaczy.

– *Yalani* – powtarza Spingate, imitując dźwięk najlepiej, jak umie.

Bharka wgapia się w nas, a potem ściąga z ramienia torbę i zaczyna w niej gmerać.

– *Pellog dzana czejf* – mówi Lahfa. – *Reder pejcz czinczi łag*.

To brzmi jak bezsensowny bełkot. Pewnie myśli, że rozumiemy nie tylko parę imion, ale cały ich język.

– *Yollo bis* – mówi, a potem ryczy ze śmiechu, od którego trzęsie się całe jego ciało.

Bharka wyciąga kawałek tkaniny i czarny patyk. Z torby wysuwa mu się przy tym inny kawałek materiału i pada prawie płasko na brudną podłogę. To rysunek Skoczka, którego zabiłam.

– *Ponalla* – mówi Lahfa cicho, żałośnie.

Bharka wpycha rysunek z powrotem do torby. Rozwija czysty kawałek tkaniny, kładzie go płasko na podłodze i zaczyna szkicować. Szybkimi, zdecydowanymi liniami. Rękę ma pewną. Wyraźnie wie, co robi – ten obcy jest artystą.

O braz nabiera kształtu na moich oczach: Obserwatorium. Na nim zaś, kilka poziomów przed szczytem, maleńka, ale wyraźna ludzka postać.

Bharka wskazuje ją palcem.

– *Yalani*.

– On cię poznaje – mówi Spingate. – Przez posąg Matyldy.

Nie wiem ani co powiedzieć, ani co o tym myśleć. Co Skoczki wiedzą o naszym mieście i tej olbrzymiej budowli? Czy chciał mnie zastrzelić, bo zabiłam jego przyjaciela, czy w związku z tym posągiem?

Z araz... pomnik Matyldy jest duży, ale w porównaniu z rozmiarami całej piramidy – niewielki. Nawet kiedy jest się na tej samej ulicy, posąg jest za wysoko, żeby zobaczyć jego szczegóły. Bharka nie mógłby mnie rozpoznać, gdyby nie znalazł się na tyle blisko posągu, żeby zobaczyć jego twarz.

Wskazuję na podstawę narysowanego Obserwatorium.

– Poszedłeś tam? Obserwowałeś nas?

Troje zielonych oczu patrzy na mnie i mruga.

Przysłaniam sobie ręką oczy, jakbym chroniła je przed słońcem. Udaję, że wyglądam z ukrycia, najpierw w jedną stronę, potem w drugą, mrużąc powieki.

Bharka odpowiada burknięciem, stuka się w pierś, stuka dolną część Obserwatorium, wskazuje na mnie, na Spingate. Zaczyna rysować jak szalony.

– Niewiarygodne – wykrztusza Spingate. – Czy on nam mówi, że tam był?

Przetrzymujemy zdumione, jak Bharka szkicuje. Najpierw nabierają kształtu ciała, potem twarze. Zaledwie kilkoma pociągnięciami linii Skoczek chwyta istotę osób, które znam: Bishop, Visca, Aramowski, O'Malley, Spingate i ja, wszyscy w windzie, wyglądający na zewnątrz.

– W mordę bogów – mówi Spingate w osłupieniu. – Bharka był tam na dole, z nami. Patrzył, jak wyjeżdżamy na górę.

Lahfa wali w rysunek końcem ogona, wzbijając chmurę węglowego pyłu.

Bharka coś do niego krzyczy. Lahfa odkrzykuje.

B harka wraca do rysunku w nastroju, który mogę odczytać tylko jako rozdrażnienie. Linie proste, krzywe, okruchy węglowego pyłu. Kończy, podnosi obrazek, żebyśmy wszyscy zobaczyli.

D odał na nim jeszcze jedną postać – to Lahfa.

– *Gromba, gromba, gromba* – mówi Lahfa z wyraźną satysfakcją.

Spingate się śmieje.

– Wygląda na to, że ona też tam była.

– O n a? Myślałam, że to jest o n.

S pingate wzrusza ramionami.

Lahfa wskazuje ją palcem.

– *Singat.* – Wskazuje na mnie. – *Hem.*

B harka wyciąga więcej czystej tkaniny. Rysuje szybko, oszczędnie, przedstawiając nam życie Skoczków. W powalonych budynkach – tajne przejścia prowadzące do tuneli. W tych tunelach – Skoczki, ich rodziny, całe podziemne wioski.

R ysuje kilka obrazków powierzchni: dżungla, szybko szkicowane rośliny, jagody i zwierzęta, mam nadzieję jadalne. Każdy rysunek powierzchni kończy przyczajonymi pięcionogimi kształtami pajaków. Przekaz jest czytelny: Skoczki m u s z ą żyć pod ziemią. Jeśli zostają na powierzchni za długo, pająki mogą je dorwać.

– Jak Baba-Jaga – mówię.

Spingate kiwa głową.

– Tyle że ich Baba-Jaga istnieje naprawdę.

C ała ich kultura zmuszona do życia pod powierzchnią ziemi. Dlatego, że zapędzili ją tam tacy jak my.

B harka szkicuje Skoczka. Temu rysunkowi poświęca trochę więcej czasu. Wyciąga z torby trzy przewiązane zawiniątka. Są w nich kolorowe proszki:

czerwony, niebieski, żółty. Po mistrzowsku dodaje je do swojego szkicu. Kiedy kończy, patrzę na niebieskiego Skoczka bardziej pomarszczonego niż wszystkie, jakie dotąd widziałam. Ten wygląda mi bardzo staro.

W idzę, że stary Skoczek ma coś zawieszona na grubej szyi. Wygląda to jak metalowy prostokąt, z mnóstwem szczegółów, jakby już sam ten poziom szczegółowości był istotny. Dotykam go, wskazuję na naszyjnik Bharki.

Bharka poklepuje naszyjnik. Mam wrażenie, że mówi: *Tak, taki sam, jak mój.*

S tukam w rysunek starego Skoczka.

– Kto to jest? – pytam Bharę.

O n – czy też ona – może nie rozumie moich słów, ale założę się, że rozumie ich znaczenie.

R ysuje nowy obrazek, prostszy. W kilku kreskach pokazuje na nim starego niebieskiego Skoczka, przy nim dwa mniejsze, fioletowe Skoczki. Im też dorysowuje naszyjniki. Stuka w drugą z fioletowych postaci, wskazuje na siebie samego.

P otem rysuje prostą figurę z kresek, która jednak wyraźnie oznacza innego Skoczka. Figura z kresek ma zgięte kolana, głowę trzyma nisko. Bharka szybko rysuje takich więcej, zapełnia nimi całą tkaninę. W kilka chwil są już ich na niej setki.

– Rysuje je tak, jakby klęczały – zauważa Spingate. – Jakby na klęczkach przed tym starym, niebieskim. To pewnie ich przywódca.

M yślę, że coś więcej niż przywódca – ktoś o godności królewskiej.

– Może to ich król – mówię. – Albo królowa.

Spingate postrzega teraz Bharę w nowym świetle.

– W takim razie mamy bardzo, bardzo dużo szczęścia... bo co, jeśli nasz nowy znajomy jest królewiczem albo królowną?

C zuję nagły przypływ nadziei. Jeśli Spingate ma rację, może właśnie

rozmawiamy z kimś, kto może podejmować decyzje albo przynajmniej rozmawia bezpośrednio z przywódcą Skoczków.

M oże uda nam się zawrzeć pokój.

B harka sięga do swojej torby, wyciąga małą figurkę wyrzeźbioną z drewna: pająka. Ostrą nogą zabawki przejeżdża tam i z powrotem po jednym z fioletowych Skoczków z naszymi, wycierając go, aż nie zostaje po nim nic, tylko plamy i poszarpana tkanina.

S tawia drewnianego pająka w tym samym miejscu.

– Pająk zabił królewskie dziecko – wnioskuje Spingate. – Może brata czy siostrę Bharki.

T o szokujące, jak szybko można opowiedzieć jakąś historię samymi obrazkami. Jeśli pająki zabiły potomka króla, a król uważa, że tacy jak my mają coś wspólnego z pająkami, będzie nas nienawidzić.

B harka wyciąga z torby jeszcze jedną małą zabawkę. Wygląda jak płaski wózek kołowy z jakąś kanciastą nadbudową, jakby grubymi tyczkami od namiotu, ale bez namiotu. Z tyłu ciągnie się długi patyk, jakby wózek miał ogon. Bharka zabawką przewraca pająka na bok. Odstawia wózek i patrzy na nas.

– Nie rozumiem – mówię. – O co mu chodzi?

Spingate zastanawia się przez chwilę.

– Może chce od nas pomocy w zniszczeniu pajaków?

B harka wie, że byłam z Viscą, wie, że pająki uratowały mnie pod wyschniętą fontanną, więc musi wiedzieć, że są one po mojej stronie. Czy zniszczenie tych maszyn stanowi cenę pokoju między naszymi kulturami? Może to jest ta karta przetargowa, której mi potrzeba.

P odnoszę małego zabawkowego pająka do góry, tak żeby wszyscy go widzieli.

– Możemy je powstrzymać – mówię powoli. – Możemy sprawić, że już

nigdy nie zrobią wam krzywdy. – Stukam w wykonane przez Bharkę rysunki roślin i zwierząt. – Ale potrzeba nam jedzenia. – Wskazuję palcem swoje otwarte usta. – Jedzenie. Możesz nam pomóc?

B harka wpatruje się we mnie, próbując się domyślić, o co mi chodzi.

– Nie rozumie – mówi ze zniechęceniem Spingate.

N a zewnątrz przez dżunglę niesie się echem krótki dźwięk rogu, takiego jak te, które grały, kiedy Skoczki za pomocą ognia zaganiały nas w kierunku polany.

B harka śpieszy do drzwi, wygląda. Potem jednym susem ląduje między dwoma spośród tych dziwnych posągów i odgarnia ziemię z wygiętej w tym miejscu drewnianej podłogi. Wsuwa palce w mały otwór i podciąga w górę: kłapa w podłodze otwiera przejście prowadzące na dół.

B harka ponagla nas machnięciem, ma szeroko otwarte oczy.

– On chce nas ukryć – mówię.

Ł apię swoją włócznię. Razem ze Spingate biegniemy do kłapy, przy każdym kroku podłoga trzeszczy nam pod stopami. Bharka pozwala mi zatrzymać broń, więc jeśli to jakiś podstęp, to nie jest zbyt przemyślany.

S tare schody trzeszczą jeszcze bardziej niż podłoga. Spingate jest tuż za mną.

N a samym dole wchodzę w stojącą wodę, która sięga mi po kolana. To ciasne miejsce, stęchłe i śmierdzące zgnilizną, ciemne, jeśli nie liczyć długiej, cienkiej drzazgi światła dochodzącej przez przerwę po desce wyrwanej tuż nad poziomem ziemi; to podłużny otwór z widokiem na dżunglę naprzeciwko drzwi wieży.

J akis hałas z zewnątrz... Słyszę, że coś lub ktoś nadchodzi.

Kłapa cicho zamyka się za nami.

P rzez stare splątane pnącza zasłaniające otwór widzę stopy, nogi i ogony Skoczków. Istot jest pięć, może więcej. Obok stóp widzę oparte o ziemię

kolby muszkietów.

S koczki rozmawiają. Rozpoznaję głos Bharki. Przykucam, zmieniając kąt widzenia, i rozpoznaję też jego twarz. Stoi tuż przed drzwiami wieży. Rozmawia z jakimś niebieskim Skoczkiem, starym i większym... wtem spostrzegam miedziany naszyjnik tego niebieskiego.

– Król – szepcze Spingate. Czuję na uchu ciepło jej oddechu. – Czy Bharka chce mu nas wydać?

J eden ze Skoczków przed nami odwraca się i zaczyna rozglądać. Czy słyszał, jak szeptała?

S pingate i ja zastygamy w bezruchu.

P rzez ułamek sekundy, dałabym głowę, Skoczek trojgiem oczu wpatruje się prosto w nas, ale odwraca wzrok – nie zobaczył nas przez splątane pnącza.

G romię Spingate wzrokiem, przykładam palec do ust.

O gon króla trzaska szybko jak bicz, uderza Bharę w głowę. Bharka chwieje się, potem prostuje. Nie reaguje jednak, nie próbuje się bronić. Może to jakiś rodzaj dyscyplinowania syna przez ojca? Nie mamy nawet pewności, czy to faktycznie ojciec i syn. Nie wiemy o tych istotach prawie nic.

W idzę Skoczki mijające Bharę i króla, wychodzące z wieży... niosą swoich zabitych. Potem jeszcze dwa Skoczki ciągną wózek, na którym leży Lahfa. Owinęły go jakimś kocem.

C zy przeszukają także tyły kościoła? Jeśli to zrobią, na pewno znajdą ciało Viski.

S tary król raz jeszcze ogonem wymierza cios w głowę Bharki, a potem oddala się susami w stronę ścieżki. Jego świta rusza za nim, ciągnąc wózek z Lahfą. Wszyscy znikają w dżungli. Chwila – i już ich nie ma.

Znowu czuję na uchu oddech Spingate:

– Idziemy na górę?

Z aczyna działać mi na nerwy. Jakim cudem jest taka mądra w swoim

laboratorium i taka głupia, żeby nie siedzieć cicho, kiedy trzeba?

– Czekamy – odpowiadam jej szeptem.

I tak właśnie robimy. Stoimy po kolana w wodzie, z każdą chwilą jest nam zimniej w stopy. Próbuję sobie wyobrazić króla i jego orszak zdążających ścieżką, próbuję domyślić się, jak daleko już są.

B bezpośrednio nad nami – skrzypnięcie podłogi. Kiedy Bharka w końcu podnosi klapę, dygoczemy z zimna. Skoczek pokazuje gestem, żebyśmy wyszły.

Nie licząc jego rysunków i posągów, pomieszczenie jest puste.

Bharka wygląda na wytrąconego z równowagi, może nawet wstrząśniętego.

Spingate podchodzi do niego blisko.

– Jedzenie – mówi. Wskazuje na swoje usta, brzuch. – Jedzenie.

Jest tak zdeterminowana, jakby nie rozumiała, że właśnie o włos uniknęliśmy schwytania. Co by się stało z Bharką za to, że nas ukrywał?

– Może uda mi się narysować fioletowy owoc – mówi Spingate i podchodzi do ogniska. Odwraca jeden ze szkiców, podnosi kawałek węgla drzewnego i zaczyna rysować.

To przykuwa uwagę Bharki, wzbudza jego entuzjazm. Obrzuca wzrokiem zamknięte drzwi, a potem w dwóch susach staje obok Spingate.

Spingate szkicuje jajowaty kształt. Zaczyna go cieniować. Ale węgiel wszystko brudzi. Przyciska go za mocno, wzbijając chmury pyłu.

Podnosi swój szkic, żebyśmy zobaczyli.

– Czy to wygląda jak fioletowy owoc?

– Bardziej jak kupa gówna.

Zduszam w sobie nerwowy śmiech. Kiedy Matylda była małą dziewczynką, za mówienie słowa „gówno” była karana. I to bardzo. Nasz ojciec nie lubił brzydkich słów, żadnego rodzaju.

Bharka mruży oczy nad rysunkiem. Mamrocze coś, czego nie rozumiem. Mam wrażenie, że Spingate nie zaimponowała mu swoimi zdolnościami

artystycznymi.

Spingate wzdycha.

– Spróbuję jeszcze raz.

K ładzie tkaninę na ziemi, zaczyna rysować, waha się, zastanawia, jak poprawić obrazek.

P owietrze eksploduje donośnym *buuum!* – tak głośnym i ostrym, że aż z resztek stropu wieży sypie się gruz. Jeszcze nie zdążyło zamilknąć echo tego grzmotu, gdy dołącza do niego inny odgłos – jednostajny ryk, od którego wszystko wokół zaczyna drżeć.

– O, nie – rzuca Spingate, w jednej chwili zrywa się i wypada za drzwi. Bharka i ja wybiegamy tuż za nią.

W ysoko na niebie – biały ślad. Kolejna eksplozja wspomnień, umysł zalewa mi nowa porcja Matyldowego dzieciństwa i wśród powodzi bólu, strachu i rozpaczyny poznaję, co to jest.

– Statek – odzywa się Spingate. – Właśnie wszedł w atmosferę, schodzi do lądowania. – Patrzy na mnie z przerażeniem w oczach. – To na pewno Starsi.

B harka daje susa do środka wieży.

D wunastolatka we mnie krzyczy: *To niesprawiedliwe!* Byliśmy tak blisko. Staraliśmy się tak bardzo, straciliśmy tak wiele. Brewer powiedział nam, że jest tylko jeden wahadłowiec. Kłamał.

B harka wypada z wieży z moją włócznią w jednej dłoni i swoim muszkietem w drugiej. Ciska mi włócznię pod nogi. Macha ręką w geście, który nie wymaga tłumaczenia: *Idźcie sobie.*

Spingate kręci głową.

– Nie, musimy się tyle nauczyć od siebie nawzajem, musimy...

B harka otwiera szerokie usta i ryczy: to zgrzytliwy, okropny hałas. Chwyta obiema rękami muszkiet, wygraża nim w naszą stronę. Pochyla się w przód, wyprężając za sobą ogon. Otwarta agresja u jego gatunku wygląda tak samo

jak u nas.

S pingate cofa się o krok, zaskoczona, może nawet urażona.

Łapię ją za łokieć, odciągając delikatnie.

– Idziemy.

– Ale dlaczego się wścieka? Na pewno też widział, jak przyleciał tu nasz wahadłowiec.

– I proszę, co się potem stało – zauważam. – Już ośmiu takich jak on przez nas nie żyje. Musimy zabrać Viscę i wracać do naszych. I to już. Zobacz, dokąd leci ten statek.

Spingate spogląda w niebo. Biały ślad schodzi w kierunku horyzontu. Schodzi szybko.

Cokolwiek to jest, wylądowuje w murach naszego miasta.

– Może powinniśmy zostawić ciało – mówi Spingate. – Ono spowolni nasz powrót.

– On spowolni nasz powrót – poprawiam ją. – Nie o n o. Zabieramy go.

Biegniemy na tyły zburzonego kościoła. Każda z nas chwytając za jeden dyszel wózka z Viscą. Już samo trzymanie żerdzi boli. Jeszcze bardziej boli ciągnięcie jej, ale to właśnie robimy.

Ruszamy w stronę ścieżki, wlekąc za sobą podskakujące na wózku, przywiązane pnączami ciało Viski.

CZĘŚĆ IV ZJAWY I NIENAWIŚĆ

CZĘŚĆ IV

ZJAWY I NIENAWIŚĆ

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Zanim zdążamy dotrzeć do bramy miasta, zapada noc. Obie ze Spingate jesteśmy wyczerpane. Choć wózek ma koła, wędrówka błotnistymi ścieżkami nie jest przez to ani trochę łatwiejsza. Palce i resztę dłoni pokrywają nam zdarte do surowego mięsa pęcherze. W mięśniach rąk czuję taki ból, jakby duch Viski walił w nie swoim młotem.

W ołamy. Przez wysokie drzwi wysuwa się i biegnie do nas Coyotl. Czekam, aż za nim pojawi się też Bishop, ale nie widać go. No tak, pewnie, że nie – gdy tylko ta smuga dymu zakreśliła na niebie łuk, zrozumiał, co to jest, i wrócił bronić wahadłowca.

Coyotl wnosi ciało Viski na grzbiet pająka. Dołączamy do niego ze Spingate. Kto by pomyślał, że ta sama maszyna mogła kiedyś posłużyć do rzezi tysięcy Skoczków, tubylców, których jedyną winą było to, że znaleźli się w miejscu, w którym chcieli zamieszkać ludzie tacy jak ja.

Pająk jest szybki. Droga idzie nam gładko, c i c h o – nie słychać już żadnych świstów. A ta tylna noga... pająk już nią nie powłóczy.

– Coyotl, czy to ten sam pająk, którym jechałeś wcześniej?

Promienieje z dumy.

– Bordżigin go naprawił. Gaston mu trochę pomógł, Beckett też, ale przede wszystkim to robota Bordżigina.

Nie przyszło mi do głowy, że moglibyśmy reperować stare maszyny. Czy Bordżigin da radę naprawić któreś z tych zepsutych, w gnieździe?

Pająk przemierza biegiem otuloną nocą ulicę. Gdyby nie rytmiczny klekot

metalowych nóg na kamieniach, słyszałabym tylko wiatr smagający mi twarz. W kilka minut jesteśmy już na lądowisku.

Dwa pająki stoją po obu stronach pochylni prowadzącej na wahadłowiec. Na jednym czuwa Farrar, na drugim Bawden. Oboje mają muszkiety przewieszane przez ramię. Obok Bawden krząta się Bordzigin, manipulując przy zamocowanej na pająku rurze. Czyżby próbował naprawić także działko?

Przed pochylnią, w czterech szeregach po pięć osób, stoi dwudziestka młodych kółko-gwiazd. Są ubrane w czarne kombinezony i buty. Światła wahadłowca błyszczą na metalicznej nitce ich naszywek z napisem „Mictlan”. Trójka z tej grupy trzyma muszkiety. Pozostali mają w rękach narzędzia – narzędzia, którymi posłużą się jak bronią.

Wzdłuż szeregów chodzi w tę i z powrotem Bishop. Nie słyszę, co mówi. Sądząc po przestraszonych i poważnych twarzach tych dzieciaków, domyślam się, że przygotowuje je do walki.

Dwunastoletni wojownicy. W tym celu zostali wyhodowani, a przecież nie wyglądają na prawdziwych żołnierzy. Wyglądają jak przebrane na wojnę lalki – tyle że tym razem to nie Starsi wybrali im te stroje, tylko my.

S mith zbiega po pochylni, dwójka małych kółko-krzyżyków – chłopczyk i dziewczynka – biegnie tuż za nią. Spingate schodzi z pająka pierwsza, potem razem ze Smith pomaga wysiąść mnie. Moja ręka chyba przestała mnie słuchać.

S mith delikatnie, ale pewnym chwytem ujmuje mój nadgarstek.

– Jest niedobrze – mówi. – Musimy natychmiast zabrać cię do zabiegowego.

– Nie ma czasu – oponuję, choć niczego nie chciałabym teraz bardziej niż wczłgać się do jej medykomy i zasnąć, a potem obudzić się, nie czując bólu. – Możesz naprawić mi te palce tutaj?

Patrzy na mnie, jakbym była niespełna rozumu, po czym reflektuje się i raz jeszcze bada mi dłonie.

– Pokano, leć do zabiegowego – mówi, nie podnosząc wzroku – i znajdź stabilizatory stawów palców.

Mały chłopczyk odbiega. Dziewczynka z kółko-krzyżykiem pozostaje w pobliżu, czekając, aż Smith jej powie, co ma robić.

Smith obraca się w stronę Spingate, dostrzega na jej czole szwy.

– Walczyłaś?

– Nie miałam wyboru – odpowiada Spingate.

– Coś ci się stało? Doznałaś jeszcze jakichś urazów?

Smith sięga do brzucha Spingate. Ta odsuwa jej rękę.

– Nic mi nie jest – odpowiada. Wskazuje w górę, na grzbiet pająka. – Mamy ciało Viski.

Smith rzuca na mnie okiem. Chyba widzę w jej spojrzeniu cień szacunku.

– Yilmaz, zejdź na dek czwarty – mówi. – Przygotuj trumnę, żeby można w niej było przechować zwłoki. Zatrzyma to proces rozkładu do czasu, gdy będziemy mogli zorganizować właściwy pogrzeb.

– Tajest, pani doktor – mówi dziewczynka i biegnie na wahadłowiec.

Już wie, jak obsługiwać trumny? Za dużo czasu spędzam poza wahadłowcem. Dociera do mnie, że aż do tej pory nie znałam jej nazwiska. Ani, jeśli o to chodzi, nazwiska kółko-krzyżkowego chłopczyka.

Smith woła w górę do Coyotla:

– Potrzebujesz pomocy ze zniesieniem Viski?

– Ciężki jest – odpowiada Coyotl. – Przyślij mi jakieś kółka do pomocy.

Zostawiam ich, żeby zajęli się Visą. Spingate rusza na wahadłowiec. Podchodzę do Bishopa. Chłopak nagle wypręża się sztywno, na baczność.

– Dwa pająki i dwudziestu jeden żołnierzy piechoty gotowych do wymarszu – skanduje donośnym głosem. – Musimy znaleźć i zlikwidować najeźdźców, zanim zdążą przypuścić atak na wahadłowiec.

Część małych kółko-gwiazd patrzy wprost przed siebie, kilka obserwuje

Bishopa, ale reszta patrzy na mnie. Niektóre są gotowe do walki. Niektóre próbują nie okazywać, że się boją. Jeśli wymaszerujemy, ciekawe, ile z nich padnie ofiarą bransoletek Starszych, ile zostanie rozerwanych na strzepy jak El-Saffani.

– Czekaście tutaj – mówię Bishopowi. – Nie wyruszajcie, dopóki nie wrócę.

P otakuje jednym skinieniem głowy.

Wkraczam po pochylni w sam środek zamieszania i paniki. O'Malley w sali z trumnami próbuje uspokoić setki zdenerwowanych dzieci. Aramowski robi to samo. Przynajmniej raz tych dwóch ze sobą współpracuje.

Na mój widok wszyscy zaczynają wykrzykiwać propozycje, jak leci: od „zostawmy miasto i uciekajmy do dżungli” do „lećmy z powrotem na «Xolotla» i błagajmy Starszych o przebaczenie”.

Przeciskam się przez tłum, nie zwracając uwagi na te tchórzliwe pomysły. O'Malley wygląda, jakby na mój widok spadł mu kamień z serca. Odciągam go na bok.

– Bishop chce atakować – mówię.

O'Malley kiwa głową.

– No tak, to oczywiste. Nic innego nie umie.

– Uważasz, że nie powinniśmy?

Wypowiadam te słowa, zanim dociera do mnie, dlaczego w ogóle go pytam; mimo wszystkich moich problemów z O'Malleyem instynktownie szukam jego rady.

O'Malley zastanawia się przez chwilę.

– Może powinniśmy zaatakować, ale jeszcze nie teraz. Musimy wiedzieć, co dokładnie wylądowało. Ilu ludzi? Czego chcą? Może to Starsze kółko-gwiazdy przybyły wybić nas i odzyskać wahadłowiec, a może to sama Matylda przyleciała przekonać cię, żebyś się z nią połączyła. A jeśli to Brewer? A co,

jeśli ten statek pochodzi nie z „Xolotla”, tylko skądinąd?

– Pewnie, że z „Xolotla” – burczę w odpowiedzi. – Skąd niby miałyby się wziąć?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Niczego jeszcze nie wiemy i o to mi właśnie chodzi. Żeby posłużyć się ulubionym zwrotem Bishopa, musimy przeprowadzić rozpoznanie, zanim wyprowadzimy stąd ludzi i narazimy ich na niebezpieczeństwo.

R ozglądam się po dzieciach ściśniętych w sali z trumnami. Wiele z nich płacze. Aramowski mówi im, żeby zachowały spokój, że bogowie je obronią.

O ’Malley pochyla się bliżej, żeby zrobić to, czego tak nienawidzę, żeby mi p o d s z e p n ą ć.

– Powiedz wszystkim, że dowiesz się, co się dzieje – radzi. – Żeby nie wpadali w panikę. Muszą wiedzieć, że ktoś robi c o k o l w i e k, nawet jeśli sama nie wiesz jeszcze, czym to cokolwiek ma być.

J ego gorący oddech na moim uchu, na mojej szyi. Ciarki przebiegają mi po skórze. Jestem sama sobą zaskoczona i zniesmaczona – jakim cudem moje ciało reaguje na niego nawet w takiej chwili?

– Idź po Bishopa – mówię. – I jego małe kółko-gwiazdy. Farrar i Bawden niech zostaną na warcie na swoich pająkach.

O ’Malley prześlizguje się przez tłum. Kilka chwil później wchodzi Bishop i jego „żołnierze”, znajdują sobie miejsca wśród przerażonych, płaczących, h a ł a ś l i w y c h dzieciaków.

M oje złamane palce wyją do mnie z bólu. Zdrową ręką smagam włócznie o bok jakiejś trumny – trzy razy, *bam-bam-bam*.

– Zamknijcie jadaczki, w mordę bogów!

C isza. Wszystkie oczy zwracają się ku mnie.

Nie ma sensu udawać, że nie mamy kłopotów. Najszybciej, jak umiem,

opowiadam wszystkim o Bharce i innych Skoczkach, o tym, że istnieje realna szansa na porozumienie i znalezienie lekarstwa na czerwoną pleśń, ale że najpierw musimy poradzić sobie z najniebezpieczniejszym problemem.

– Przyleciał jakiś statek – mówię. – Nie wiemy, ile osób nim przybyło. Jeśli pomaszerujemy w ciemno, żeby walczyć, zostawimy wahadłowiec prawie bez obrony. Bishop, ja i jeszcze kilka osób pójdziemy sprawdzić, gdzie ten statek wylądował. Nikt inny nie opuszcza lądowiska. Kiedy mnie nie będzie – tu wbijam wzrok wprost w Aramowskiego – dowodzi O'Malley.

Aramowski kiwa głową.

– Tym razem zostawiasz Spingate na wahadłowcu, prawda?

Rozglądam się, widzę ją z tyłu sali. Trzymają się z Gastonem w objęciach. Spingate patrzy na Aramowskiego podejrzliwie, nie wiedząc, czemu pyta właśnie o nią.

Nie ma potrzeby ponownie narażać jej na niebezpieczeństwo. Ja też nie powinnam iść, ale nie mogę czekać, aż ktoś przekaże mi raport – muszę wiedzieć, i to wiedzieć zaraz.

– Zgadza się – odpowiadam mu. – Spingate zostaje tutaj.

Aramowski uśmiecha się, rozkłada ramiona i obraca się twarzą do reszty.

– Rozsądna decyzja – oznajmia, bardziej na użytek wszystkich niż tylko mój.
– Teraz bowiem nie walczymy już tylko o swoje własne życie, ale w imieniu tych, którzy nadejdą po nas.

Spingate robi wielkie oczy. Kręci głową w niemym błaganiu, prosząc Aramowskiego, żeby zamilkł.

Nie robi tego.

– Musimy złożyć gratulacje Spingate, a także Gastonowi – Gaston rzuca się ku Aramowskiemu, przepychając przez tłum, potykając o dzieciaki – ponieważ Spingate jest w ciąży.

W sali z trumnami zapada nagła cisza.

Gaston staje jak wryty zaledwie kilka kroków od Aramowskiego.

O czy wszystkich zwracają się na Spingate.

Ta odszukuje wzrokiem Smith stojącą przy wejściu wahadłowca, celuje w nią palcem.

– Z tobą policzę się później.

Smith jest wyraźnie zdenerwowana. Przenosi wzrok ze Spingate na Aramowskiego, kręcąc głową pod jego adresem, jakby pytała go: *Jak mogłeś?*

Spingate zbiera się w sobie. Prostuje się, staje zdecydowanie. Mimo posiniaczonej twarzy, zaognionej, zeszytej rany na czole i brudnych, zabłoconych włosów stoi dumna i pewna siebie – wygląda imponująco jak nigdy dotąd.

– To prawda – potwierdza. – Kiedy doktor Smith leczyła mi łokieć, medykomora przeskanowała mnie i wykryła, że od paru dni jestem w ciąży.

Smith pewnie powiedziała Aramowskiemu. W zaufaniu, nie wątpię, ale taki z niego oślizgły typ, że pewnie czekał na jak najstosowniejszy moment do wykorzystania tej informacji.

Ta wiadomość do głębi wszystkich porusza. Ale Spingate to moja przyjaciółka... dlaczego nic mi nie powiedziała?

To, jak się zmieniła, jak spoważniała, jak zaczęła walczyć o swoje, kiedy wcześniej tylko zgadzała się na wszystko, co chciałam zrobić... To, co mówiła...

Nasze dzieci przejmą po nas Omeyocan. Jaką planetę chciałabyś im zostawić? Świat wojny czy świat pokoju?

Powinam skomentować to jakoś – powiedzieć coś skierowanego do niej, do wszystkich – ale brak mi słów.

Aramowski uśmiecha się szeroko i unosi ręce, umiejętnie skupiając na sobie uwagę całej sali.

– Oto początek – mówi. – Tę planetę zaludnią nasze dzieci i dzieci naszych

dzieci. Jesteśmy narodem wybranym. Omeyocan przysługuje nam na mocy prawa urodzenia. Obronimy go i przed Skoczkami, i przed każdą inną istotą, która będzie próbowała go nam odebrać. – Spogląda na mnie. – Idź, Em. Idź i zorientuj się, z jakim to nowym zagrożeniem musimy się zmierzyć.

S pingate jest w ciąży. Jakimś cudem Aramowskiemu udało się obrócić to w sytuację, w której to on rozkazuje mnie, żebym zrobiła coś, co właśnie zapowiedziałam, że zrobię. Dlatego wybrał ten moment; wiedział, że stanę jak oniemiała, a on będzie mógł zachować się tak, żeby wyjść na przywódcę.

Wyszukuję wzrokiem jedyną osobę, która zawsze wszystko ułatwia.

– Bishop, chodźmy znaleźć ten statek.

TRZYDZIEŚCI

Gaston był strasznie wściekły. Bałam się, że może rzucić się na Aramowskiego, więc kazałam Farrarowi uważać na nich, a Beckettowi pójść do sterowni, włączyć mapę i sprawdzić, czy nie uda mu się zorientować, gdzie wylądował nowy statek.

J uż wiemy: w pobliżu Obserwatorium.

J edziemy na pająku Coyotla. Na pokładzie jest nas pięcioro: ja, Coyotl, Bishop, Bawden i młody, brązowowłosy chłopak kółko-gwiazda nazwiskiem Müller. Już teraz jest mojego wzrostu; ciekawe, jak wysoki będzie, kiedy dorośnie.

P alce jeszcze mnie bolą, ale już mniej. Smith założyła na nie metalową szynę, co pomogło, i dziabnęła w nie igłą, co pomogło jeszcze bardziej. Przez cały czas piorunowałam ją wzrokiem – nie chciała spojrzeć mi w oczy.

C hmury, niedopuszczające dotąd światła gwiazd, zaczynają się przeredzać. Bliźniacze księżycy rzucają wystarczająco dużo blasku, żeby było widać trochę szczegółów na pokrytych pnączami ulicach, na ciemnych budynkach wznoszących się wszędzie wokół.

P ieszo ta podróż zajęła nam pół dnia. Dzięki biegnącemu pająkowi nie potrwa nawet pół godziny.

W trakcie jazdy Bishop planuje naszą taktykę.

– Em, ty i Müller zostaniecie na pająku – mówi. – Müller jest dobrym strzelcem. Zatrzymamy się o kilka przecznic od miejsca, w którym przyziemił statek. Bawden i ja pójdziemy dalej pieszo. Ja w lewo, ona w prawo.

Będziemy obserwować statek z flank. Coyotl, kiedy wysiądziemy, odczekasz minutę, potem podprowadzisz pająka do statku od przodu, tylko p o w o l i, żeby nie robić za dużo hałasu. Zatrzymasz się mniej więcej o przecznice od statku, na tyle blisko, żeby dobiec tam, jeśli usłyszysz strzały.

W szyscy wokół potakują, kiwając głowami.

– A jeśli to Starsi? – pyta Bawden. – Mamy do nich strzelać?

Bishop kręci głową.

– Nie, chyba że oni otworzą ogień. Trzymać się nisko, w ukryciu. Mamy tylko trzy muszkiety. Jeśli Starszych jest czworo lub więcej, to nawet gdy wszyscy położymy któregoś pierwszym strzałem, będzie po nas.

P ająk zwalnia, przystaje. Coyotl prowadzi maszynę w bardziej zacienioną boczną uliczkę.

– Statek jest na wschód, dwie przecznice stąd – mówi.

Bishop i Bawden przeskakują przez burtę, lądują na ziemi i znikają w cieniu.

Coyotl po chwili rusza pająkiem naprzód, ale dużo wolniej niż wcześniej. Ledwo słyszę stukot zaostzonych nóg. Mijamy tak, ukradkiem i powoli, kolejną przecznice, i wtedy ukazuje nam się statek.

W ygląda... p o k r a c z n i e. Refleksy światła księżyców pełgają wśród dymu unoszącego się z długiej ścieżki schodzenia, którą statek zostawił za sobą. Liany tlą się, na niektórych błyskają nawet maleńkie płomienie.

S ama nie wiem, co sądzić o tym statku. Nasz wahadłowiec ma opływowy kształt, jak coś, co zaprojektowano do przecinania powietrza. Ten zaś ma ćwierć wielkości naszego i nie ma w nim śladu elegancji. Wystają z niego elementy o dziwnych kształtach. Widzę nity i jakieś guzy. Niektóre części wyglądają na stopione. Unosi się z nich dym – a może para. W kilku miejscach widać wyraźne lśnienie, jakby metalu rozgrzanego w ogniu. Cały pojazd dźwięczy i stuka, jakby ktoś uderzał w niego młoteczkami.

B lask księżycyca przybiera na sile. Pokrywa chmur się rozsuwa. Widzę, że w pobliżu statku coś się rusza. To nie jest ani Starszy, ani Skoczek... to c z ł o w i e k taki jak my.

Wiatr się wzmaga. Słyszę, jak liście lian zaczynają szemrać.

T en ktoś... to niemożliwe...

Ł apię Coyotla za ramię.

– Ruszaj – komenderuję. – Ale już!

– Co? Przecież Bishop mówił...

– Jazda! J u ż!

P ająk rusza przed siebie tak szybko, że Müller i ja musimy złapać się półkowych osłon, by nie paść na wznak. Maszyna cicho mknie naprzód, nie wydając z siebie żadnych odgłosów poza szybkim *klik-klik-klikiem* ostrych nóg.

Człowiek słyszy nasze nadejście, odwraca się.

K iedy nasz pająk zwalnia i staje, wiatr rozpędza akurat resztkę chmur. Światło księżyców pada kaskadą na białą koszulę z długimi rękawami, spódnicę w czerwono-czarną kratę, bladą skórę... i delikatne blond włosy.

D ziewczyna podnosi na mnie wzrok.

– Cześć, Em – mówi Bello. – Uciekłam.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

To niemożliwe. Jej już nie ma. Bello już nie ma.

Bishop wpada z lewej strony, zarzucając muszkiet na ramię. Zagarnia Bello w uścisku. Ta śmieje się i krzywi, oddaje uścisk, choć nogi dyndają jej nad ziemią.

– Bishop – mówi. – O bogowie, jak dobrze cię widzieć!

Z prawej nadbiega Bawden, ale nie biegnie do Bello. Z kolbą muszkietu mocno przyciśniętą do ramienia lustruje zbieg ulic, rozglądając się we wszystkie strony, gotowa w każdej chwili unieść lufę broni. Nie widząc zagrożenia, wchodzi w otwarty właz statku.

Bishop zapomniał o niebezpieczeństwie – Bawden nie. Bishop wciąż jeszcze obejmuje Bello, wciąż się śmieje.

Ale czy to naprawdę Bello? Czy też może jej stwórczyni, ubrana w ciało mojej przyjaciółki jak w nowy kombinezon?

Bishop stawia ją na ziemi. Ma na twarzy uśmiech, jakiego nie widziałam u niego, odkąd my sami wylądowaliśmy.

– Jesteś bezpieczna – mówi. – Był z tobą ktoś jeszcze?

Bello kręci głową.

– Tylko ja.

Bawden wychodzi ze statku.

– Pusto.

Coyotl przeskakuje przez półkową osłonę pająka, ląduje bezszelestnie na ziemi. Też bierze Bello w objęcia.

Bawden odrywa oczy od otaczających nas budynków tylko na krótką chwilę, żeby ścisnąć Bello za ramię i uśmiechnąć się, ale zaraz potem kółko-gwiazda z ogoloną głową wraca do wypatrywania niebezpieczeństw.

Na widok Bello wszyscy się cieszą – tylko nie ja. Czy jedynie ja zdaje sobie sprawę z zagrożenia?

– Uciekłaś – powtarzam po niej. – Jak ci się to udało?

U śmiecha się do mnie z ziemi, aż dociera do niej, że nie odpowiadam jej tym samym. Wtedy jej uśmiech znika.

Pozostali spoglądają na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, jakbym powinna być teraz z nimi na ulicy i świętować.

W głowie słyszę głos, który wrzeszczy na mnie, żebym uwierzyła: *To ona! To ona! Zostawiłaś ją i to było straszne, ale udało jej się uciec i wszystko jest w porządku!* Wiem, że jeśli zejdę do niej, jeśli jej dotknę i poczuję jej zapach, stracę wszelką zdolność logicznego myślenia o tym wszystkim. Zostanę na pająku, póki się to nie skończy.

– To ja – mówi cicho dziewczyna. – To j a.

T o j e s t Bello, widzę ją przecież, stoi tuż przede mną.

T o n i e j e s t Bello, niemożliwe, została nadpisana.

W yciagam zdrową rękę, zabieram muszkiet Müllerowi. Jest tak zaskoczony, że nawet nie próbuje go zatrzymać.

– Wysiadał – mówię do niego.

M usi coś słyszeć w moim głosie, bo przerzuca nogę nad półkową osłoną, złazi po szczeblach i opada na pokrytą pnączami powierzchnię ulicy.

Przyciskam kolbę muszkietu do ramienia. Z powodu usztywnienia palców stabilizatorami trudno mi utrzymać broń, więc opieram lufę na półkowej osłonie pająka. Jeszcze nigdy nie strzelałam z czegoś takiego, ale widziałam, jak to się robi, a przecież nie trzeba być Spingate czy Gastonem, żeby się domyślić, jak pociągnąć za spust.

C eluję w górną część ciała Bello.

B ishop patrzy na mnie z dołu, zbity z tropu.

– Em, co ty wyprawiasz?

W szyscy stoją jak wryci, jakby nie wiedzieli, co robić. Kto jak kto, ale ja na pewno nie wiem. Nie mam pojęcia, czy to moja przyjaciółka, czy złowrogi stwór liczący sobie tysiąc lat. Muszę się dowiedzieć.

– Odpowiedz na moje pytanie – zwracam się do Bello. – Jak udało ci się uciec?

W jej wielkich orzechowych oczach widzę łzy – od razu płacze, tak samo jak ta Bello, którą znałam.

B ishop kręci delikatnie głową. Nie potrafi tego ogarnąć. I on, i ja byliśmy załamani, kiedy musieliśmy ją zostawić. Poczucie winy towarzyszyło nam odtąd w każdej chwili, kształtując nas niczym silne ręce formujące mokrą glinę. Teraz Bishop czuje ulgę, która co prawda uwolniła go od tego uczucia, ale zarazem go oślepia.

Bawden dalej lustruje otaczające nas budynki, jakby to, co się dzieje, jej nie dotyczyło.

C oyotl przestępuje z nogi na nogę, patrząc to na Bello, to na mnie.

M üller nie ma pojęcia, jak się zachować. Krąży wzrokiem między mną, Bello i Bishopem.

P amiętam czarną rękę zatykającą usta Bello, czarne ramię owijające się jej wokół tułowia, szarpnięciem wciągające ją w zarośla. Pamiętam tamten wyraz przerażenia w oczach dziewczyny. Pamiętam, że nie byłam w stanie jej ocalić.

P amiętam, jak ją p o r z u c i ł a m.

– Jak udało ci się uciec?

– Pomógł mi Brewer – odpowiada. Jej łzy płyną teraz swobodnie, dwa mokre ślady błyszczące w świetle dwóch księżyców. – Starsi złapali mnie i wsadzili do jakiejś celi. Wybuchła między nimi jakaś walka.

– O co? – naciskam ją. – O co walczyli?

Powoli kręci głową.

– Nie wiem. Usłyszałam jakieś wybuchy, wrzaski, potem jakiś Starszy otworzył moją celę, powiedział, że nazywa się Brewer. Zabrał mnie na ten statek.

Nie możliwe, żeby to było takie proste. N i e m o ż l i w e.

– Trzymali cię kilka dni – mówię. – Zdążyliby nadpisać ci mózg.

U nosi ręce... a potem zaczyna je wyłamywać, tak samo jak robiła na „Xolotlu”, kiedy była zdenerwowana.

– Próbowali – broni się. – Wsadzili mnie do trumny, włożyli mi coś na głowę, ale ich maszyna nie zadziałała. – Zamyka oczy, pociera skronie. – Myślałam, że umrę. To bardzo bolało i trochę pomieszało mi w głowie. Nadal poznaję twarze, ale wiele z tego, co się zdarzyło, odkąd wyszliśmy z trumien, zniknęło. Ale to nic, bo kiedy przestało boleć, nadal byłam sobą. Słyszysz, co mówię, Em? Ich maszyna do nadpisywania nie zadziałała.

– To nie tłumaczy, jak udało ci się uciec – mówię. – Nie wiesz, jak się lata, Bello. Jesteś tylko kółkiem.

– Nie prowadziłam statku. Brewer powiedział mi, żebym wsiadła, a on zajmie się resztą.

Brewer sterował tyłoma rzeczami na „Xolotlu”. Czy to możliwe, że wysłał ten statek na planetę, pokierował nim aż do awaryjnego lądowania?

– Brewer powiedział mi, że został tylko jeden wahadłowiec – przypominam. – Jak to wyjaśnisz?

– Popatrz tylko. – Wskazuje gestem na pokraczny statek. – To nie wahadłowiec. Używali go do naprawiania „Xolotla” od zewnątrz. To chyba coś w tym rodzaju... Nie pamiętam dokładnie jego słów, strasznie się bałam.

Czy Brewer nie powiedziałby mi, gdyby istniał drugi statek zdolny dotrzeć na powierzchnię Omeyocana? Ale jeśli zachował tę informację dla siebie,

można dać wiarę opowieści Bello. Z drugiej strony, jeśli tak naprawdę jest jedną ze Starszych, pewnie umie kłamać bez najmniejszego wysiłku. Muszę powiedzieć Spingate i Gastonowi, żeby się jej przyjrzeni. I Smith – może istnieje jakiś sposób, by stwierdzić fizycznie różnicę między naszą Bello i tym, czym stałaby się po nadpisaniu.

A lbo... może uda mi się przypomnieć sobie coś, o czym z nią rozmawiałam, coś, czego Starsza Bello nie mogłaby wiedzieć. Nie byłyśmy ze sobą długo, nie rozmawiałyśmy o niczym za wiele. Z wyjątkiem jednej rzeczy...

– Na „Xolotlu”, zanim spotkałyśmy się z grupą Bishopa – przypominam jej – wszyscy mówiliśmy o naszych ulubionych deserach. Co najbardziej chciał wtedy dostać Aramowski?

Proszę, powiedz, że babeczki, proszę, powiedz, że babeczki...

Bello zwilża językiem wargi. Nie patrzy na mnie, patrzy w lufę muszkietu.

– Ja... już ci mówiłam, moje wspomnienia są pomieszane. Em, proszę cię...
t o j e s t e m j a.

Nie wie tego. Czy procedura nadpisywania rzeczywiście uszkodziła jej wspomnienia? Czy może jest to kłamstwo doskonałe? Bo skoro niczego nie pamięta, to nie możemy w żaden sposób udowodnić sobie i jej, że nie jest tą, za którą się podaje.

Bello składa dłonie przed sobą w błagalnym geście.

– Proszę cię – mówi. – P r o s z ę c i ę, nie zabijaj mnie.

Bishop jednym krokiem ustawia się przed nią.

– Wystarczy – oznajmia. – Odłóż broń.

Trwam przez sekundę w bezruchu, aż dociera do mnie, że drżącymi rękami mogę niechcący trącić spust i zastrzelić Bishopa.

O puszczam muszkiet.

Niech to szlag, Bishop...

M oże miałam w sobie dość silnej woli, by pociągnąć za spust, ale teraz już nigdy się nie dowiem. Ten moment minął – a ja nie jestem w stanie zmusić się do niego ponownie.

– Wracajmy na wahadłowiec – mówię. – Bello, chodź tu do mnie na górę z Coyotlem. Reszta wraca biegiem.

C oyotl prowadzi dziewczynę do pająka, pomaga jej wejść na górę. Bello znajduje sobie miejsce jak najdalej ode mnie.

B awden w końcu zarzuca muszkiet na ramię.

– Może ktoś powinien zostać przy statku? – pyta. – Możemy z Müllerem go popilnować.

Z nowu kogoś zostawiać? To ostatnia rzecz, jaką chciałabym zrobić, kiedy teraz patrzę na Bello. Poza tym wiemy, że Skoczki potrafią dostać się do miasta. A w każdym razie Bharka. Razem ze Spingate poczyniłyśmy pewne postępy w kontakcie z nim, ale rozstaliśmy się w nie najlepszych stosunkach. Jest jednym z obcych; choć bardzo chciałabym wierzyć, że możemy się zaprzyjaźnić, zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia ani co tak naprawdę myśli, ani do czego zdolni są tacy jak on.

– Nie rozdzielamy się – oświadczam. – Wracamy wszyscy.

TRZYDZIEŚCI DWA

Bello wpatruje się we mnie, płacząc bezgłośnie.
– Zamykaj – mówię.

P okrywy trumny medycznej unoszą się i zamykają ciasno.

O dwracam się w stronę Smith, która patrzy na jakieś obrazy unoszące się nad jej białym postumentem.

– Spróbuję – mówi – ale nawet jeśli procedura nadpisywania zmodyfikowała jakoś jej mózg, nie jestem pewna, czy istnieje sposób, żeby to fizycznie rozpoznać. Nigdy wcześniej nie badałam Bello, więc nie mam z czym porównać jej bieżącego stanu. Ale spróbuję, naprawdę.

Smith wygląda, jakby bardzo chciała pomóc. Może chce się wkupić z powrotem w moje łaski – dobrze wie, jaka jestem na nią wściekła za zdradę tajemnicy Spingate.

– Postaraj się – mówię, choć przebiega mi przez myśl pytanie, czy faktycznie zrobi cokolwiek bez uprzedniego rozkazu od Aramowskiego.

Przed gabinetem zabiegowym czeka na mnie Bishop. Jest niespokojny. Nie pasuje do niego ta emocja.

– Przecież to Bello – mówi cicho. – Myślisz, że nie zorientowalibyśmy się, gdyby to nie była nasza przyjaciółka?

Nic nie odpowiadam. Kierujemy się do sterowni.

Tak bardzo chciałby jej wierzyć, mimo że powinien wątpić w każde jej słowo. Co za rozczarowanie. Swego czasu chciałam zrobić wszystko, by nie pomyślał o mnie źle; nie przyszło mi nawet do głowy, że ta sytuacja może się

kiedyś odwrócić.

W sterowni czekają na nas Gaston, Spingate i O'Malley. Na ścianach wyświetlają się obrazy ludzi rozmawiających ze sobą w sali z trumnami, ciemne lądowisko na zewnątrz z trzema stojącymi na warcie pajakami i zamkniętą trumną z Bello w gabinecie zabiegowym.

– Smith nie wie, czy będzie mogła wykryć nadpisanie – mówię. – Spin, a w twoim laboratorium jest coś, co mogłoby nam pomóc?

Nie chce spojrzeć mi w oczy. Od razu mam pewność, że coś przede mną ukrywa. Jestem głodna, bołą mnie palce, pieką ramiona i łomocze mi w głowie – nie mam cierpliwości do nowych sekretów.

– Odezwij się – warczę. – Niemówienie prawdy niczym nie różni się od kłamstwa.

W zdryga się. Zabolało ją to – i dobrze, chciałam, żeby zabolało. Mam dość tego, że ta dziewczyna ukrywa przede mną różne rzeczy.

Bishop zakłada ręce na piersi.

– Teraz zaczynasz się czepiać Spingate? W kogo zwątpisz w następnej kolejności? We mnie?

– Tak, jeśli nie przestaniesz się zachowywać jak łatwowierne dziecko. Bello może właśnie robi z ciebie durnia, więc przestań myśleć, że ujdzie nam na sucho zostawienie jej samej, a zacznij myśleć o bezpieczeństwie wahadłowca i nas wszystkich.

Bishop wydyma wargi. Nie przywykł, żeby ktokolwiek mówił do niego tym tonem.

Gaston kładzie dłoń na plecach Spingate, gładzi je małym, kolistym ruchem.

– Po prostu jej powiedz – radzi.

Spingate odgarnia grube rude loki, z trudem znajduje odpowiednie słowa.

– Jedną z rzeczy, które studiowała moja protoplastka, była procedura nadpisywania – mówi. – Przypominam sobie tylko trochę. To tak naprawdę

tylko strzępy. Spróbuję sobie przypomnieć, czy jest jakiś sposób na sprawdzenie Bello, ale... Em, ja... moja protoplastka... ona c h c i a ł a uczyć się wymazywania ludzi. To jej się podobało.

Gaston gromi mnie wzrokiem, jakby to była moja wina, że wyrzuciła z siebie to wyznanie, jakby nagle Spingate stała się jakąś kruchą istotą, którą trzeba chronić. Dlaczego? Bo jest w ciąży? Spingate da sobie radę.

– Rozumiem, jak się z tym czujesz – mówię Spingate – ale nie mamy kontroli nad złem, które wyrządzali nasi stwórcy. Kontrolę mamy tylko nad naszymi własnymi decyzjami i wyborami. Postaraj się.

Kiwa głową.

– Postaram. Ale zamiast tego powinnam skupić się na czerwonej pleśni.

– To będzie zadanie Zubiri – mówię. – Ty zajmij się Bello.

O'Malley kręci głową.

– Więc to jest ważniejsze niż jedzenie? Starsi zrobili sobie pojemniki, żeby móc przeżyć na Omeyocanie. Jeśli Bello jest jednym z nich, to ma, czego chciała. Cokolwiek zrobiłaby, żeby nam zaszkodzić, zaszkodzi to także jej. Jeśli naszej Bello już nie ma, to przykro mi bardzo, ale nie powinniśmy tracić na to czasu. Poza tym jest za mała, żeby stanowić jakiegokolwiek zagrożenie.

Co on sobie myśli? Ja też jestem mała, a zdążyłam już dwukrotnie zabić. Ale czy to, co mówi, ma sens? Bello jest sama. Co może zrobić? Namówić ludzi podstępem, żeby wrócili z nią na jej niekształtny statek i polecili nim z powrotem na „Xolotla”? Sądząc z relacji Bawden, zmieściłoby się tam nas sześcioro, góra siedmioro.

Nie... ale jest sposób, w jaki mogłaby zabrać nas w s z y s t k i c h.

– Bello mówiła, że nie pilotowała swojego pokracznego statku – zauważam. Spoglądam na Gastona. – Ale jeśli kłamie, jeśli tak naprawdę przyleciała tu sama, czy to nie znaczy, że ma umiejętności potrzebne do powrotu na „Xolotla” wahadłowcem?

Widzę wyraźnie po twarzach przyjaciół, jak nagle dociera do nich, co to znaczy. Bishop rozluźnia skrzyżowane na piersi ręce. O'Malley rzuca okiem na ścianę, która przekazuje obraz trumny z Bello. Może teraz rozumie, że nie trzeba być dużym, żeby być niebezpiecznym.

– Pewnie tak – odpowiada Gaston. – Różne statki mają zazwyczaj różne układy sterowania. Musiałbym obejrzeć ten jej pokracyjny statek, żeby się zorientować, czy potrafiłaby pilotować wahadłowiec.

– Więc pojedź i obejrzyj – mówię. – I to zaraz.

– Coyotl zabierze cię swoim pajakiem – mówi Bishop. – Wyślę też Müllera z muszkietem.

Bishop nie zgłasza się do tego zadania, bo chce pozostać na wahadłowcu – w końcu rozumie, że prawdziwe zagrożenie może czaić się tu, wśród nas, a nie gdzieś na zewnątrz.

– Nie pojedę – protestuje Gaston. – Bello może być jedną z nich. Nie zostawię tu Spingate samej.

– Są tu nas setki – uspokaja go Spingate. – Wcale nie będę sama.

– Będę na nią uważać – mówię. – I postaram się, żeby Bishop też na nią uważał. Gaston, musimy wiedzieć.

Mały pilot kręci głową, prostuje ramiona.

– Wyślij Becketta. Już się wiele nauczył, też wie, jak się lata.

Spingate przewraca oczami.

– Gaston, nic mi nie będzie. Jedź!

Odwraca się do niej.

– Powiedziałem, nie. To dziecko jest nasze. Nie masz prawa podejmować wszystkich decyzji sama tylko dlatego, że to ty je nosisz. Ja nigdzie nie idę, ty nigdzie nie idziesz, a gdybyś mi powiedziała, że jesteś w ciąży, zanim poszłaś szukać Skoczków, to wtedy powiedziałbym ci to samo, w mordę bogów!

S pingate mruga z zaskoczenia swoimi wielkimi zielonymi oczami. Jest w wyraźnym szoku. Ja też. Wszyscy jesteśmy. Jeszcze nigdy nie widzieliśmy, żeby Gaston tak się złościł.

Wiedziała o dziecku, zanim wyruszyła ze mną na poszukiwania Skoczków – ale nie powiedziała Gastonowi. Może dlatego, że zna go lepiej niż ja i wiedziała, że aktywnie sprzeciwi się jej wyruszeniu w drogę.

– Wyślemy Becketta – mówię.

Gaston wydaje z siebie przeciągłe westchnienie.

– Dziękuję, że mnie rozumiesz. Ja... nie chodzi o to, że nie chcę zrobić, o co prosisz, tylko że... no wiesz, muszę się starać, żeby Spingate była bezpieczna.

Znowu to samo słowo. „Bezpieczna”. Jak można jeszcze wierzyć w istnienie jakiegokolwiek bezpieczeństwa?

TRZYDZIEŚCI TRZY

Resztę nocy, ranek i większość popołudnia spędzam w medykomorze, lecząc złamane palce. Jeszcze bołą, ale już bez porównania mniej. Znowu mogę chwycić włócznie jak należy.

Bello wyszła ze swojej medykomory przede mną, ale zabezpieczyłam się na tę okoliczność; powiedziałam Farrarowi, żeby bacznie ją śledził.

Miałam nadzieję, że kiedy wyjdę z zabiegowego, będą na mnie czekać jakieś odpowiedzi, tak się jednak nie stało. Spingate nie znalazła nic, co by dowodziło, że Bello jest jedną ze Starszych. Smith też nie. Skoro zawiodły mnie i biologia, i medycyna, chwytam się jedynej rzeczy, jaka przychodzi mi do głowy – proszę przyjaciół, żeby uważali, czy nie spostrzegą czegoś dziwnego.

Prawie wszyscy zebrali się w sali z trumnami, żeby posłuchać, jak Bello opowiada o swojej ucieczce. Wszyscy chcieliby, żeby jej historia była prawdziwa. To oczywiste – chcieliby przyszłości przyjemnej, elegancko uporządkowanej. Chcieliby wierzyć, że nadpisująca maszyna Starszych to szmelc, że nie musimy już martwić się o złe istoty, które na orbicie naszej planety przygotowują się do wykasowania nas.

Szczególnie młodsze dzieci spijają słowa z ust Bello. Nie licząc jej samej, w naszej grupie jest osiemnaścioro nastolatków, którzy byli z dziewczyną na „Xolotlu”. Beckett i Coyotl są teraz przy statku Bello, więc pozostało nas szesnaścioro. Na moje dyskretne polecenie doroślejsze nastolatki nie tylko słuchają Bello, ale także obserwują ją, szukając wszelkich oznak, że nie jest

tą, za którą się podaje.

P oza tym – dobra opowieść to przyjemna odskocznia odwracająca naszą uwagę od coraz silniejszego głodu.

P rzynajmniej mogę mieć pewność, że Bello nie spróbuje niczego, kiedy wszyscy tak na nią patrzą. Farrar już się postara, żeby nie wędrowała w głębsze rejony statku ani nie wychodziła na zewnątrz bez towarzystwa.

K iedy wrócą Beckett, Coyotl i Müller, będę mieć więcej informacji. Jeśli okaże się, że statkiem Bello mógł sterować autopilot – tak Gaston nazywa sytuację, w której statek sam sobą kieruje – albo że Brewer mógł sterować nim zdalnie, będzie to znaczyło, że Bello może mówić prawdę. Pozwolę jej do nas dołączyć, ale postaram się, żeby nigdy nie była sama.

A jeśli się okaże, że jej statek nie może latać bez pilota? Będzie to znaczyło, że Bello kłamie; że jest jedną ze Starszych. Zamknę ją w jednym z magazynów wahadłowca, dopóki nie wymyślimy, co z nią zrobić. Będziemy musieli traktować ją jak jeńca. Będziemy musieli ją przesłuchać.

P owracający uporczywie głos w mojej głowie radzi mi: *Po prostu zamknij ją od razu... albo każ ją zabić, bez zwłoki... to jedyny sposób, by mieć pewność.*

Tym razem nie jest to głos mojego ojca, tylko Matyldy. A do pewnego stopnia także mój własny.

Jedyny sposób, by mieć pewność...

Z muszam się, żeby oderwać wzrok od Bello. Gdyby na moim miejscu była Matylda, zabiłaby ją, ale ja nie jestem Matyldą – znajdę inne rozwiązanie.

P odobnie jak cała reszta, ja też chciałabym, żeby opowieść Bello była prawdą. Rozpaczliwie bym tego chciała. Nie tylko dlatego, że ją kocham – w każdym razie tę dawną Bello – ale dlatego, że jeśli mówi prawdę, będę mogła pójść poszukać Bharki. Moi ludzie są głodni. Wiem, że jeśli ta sytuacja

się utrzyma, Aramowski wykona jakiś ruch. Myślę, że został mi dzień, zanim go zrobi, może dwa.

P rzyminam sobie gniew Bharki na widok statku Bello. Czy zareagował tak samo, kiedy lądował nasz wahadłowiec? Zapewne. Jego dziadowie, pradziadowie, a może i jeszcze dawniejsi przodkowie musieli widzieć, jak pierwsze statki z „Xolotla” wypuszczają na planetę maszyny bojowe. Być może z punktu widzenia Skoczków statki kosmiczne oznaczają śmierć.

A le Bharka nigdy dotąd nie widział prawdziwych ludzi. Nikt z jego pobratymców nas nie widział. Widywali wyłącznie maszyny. Nie żeby kontakt z ludźmi oznaczał dla Skoczków cokolwiek lepszego – za moim gatunkiem, gdziekolwiek by się nie udał, ciągnie się zniwo śmierci.

B ello kończy swoją opowieść opisem śmiałego biegu ciemnym korytarzem w ucieczce przed goniącymi za nią przerażającymi Starszymi. Dociera do swojego pokracznego statku w samą porę, zostaje wystrzelona z „Xolotla” na bezpieczną planetę. To zakończenie jak z bajki – byłoby nie do uwierzenia, gdyby nie to, że coś takiego zdarzyło się nam samym, kiedy przejeśliśmy wahadłowiec.

K iedy kończy, ludzie biją brawo. Dzieciaki krzyczą z zachwytu. Proszą ją, żeby opowiedziała wszystko jeszcze raz. Bello czerwieni się, ale nie oponuje.

M nie jednak raz wystarczy.

W ychodzę na zewnątrz. Zapada noc. Bishop czuwa u podstawy pochylni z siekierą w dłoniach. Z obu stron ma pająki, które pełnią straż przy wahadłowcu.

Przez kilka chwil po prostu go obserwuję. Ubrany jest w swój czarny kombinezon. Przyglądam się jego szerokim ramionom, temu, jak drgają mu mięśnie karku, kiedy obraca głowę. Nie leżał jeszcze w białej trumnie Smith, żeby naprawić swoje liczne zadrapania. Pod tą czarną tkaniną są blizny, niemi świadkowie naszych perypetii.

M yślę o tym, jak wyglądał w Ogrodzie, kiedy stał w jasnym świetle, nie mając na sobie nic prócz podartych spodni. Myślę o tym, jak wyglądał, rzucając moją włócznią w świnię. Chciałam wtedy dotknąć jego skóry. Wtedy i przy sadzawce. Chciałabym znów go dotknąć, znów go pocałować...

Zamykam oczy, potrząsam mocno głową. Kiedy jak kiedy, ale teraz z pewnością n i e p o r a na takie myśli.

S chodzę po pochylni i staję obok niego.

– Dobry wieczór, Bishop.

W ytęża wzrok w kierunku Obserwatorium.

– Powinni już wrócić – mówi. – Powinni byli wrócić godzinę temu.

G łos ma pełen lęku. To uczucie jest zaraźliwe. Byłam tak zajęta obserwowaniem Bello i próbami odkrycia prawdy, że zupełnie zapomniałam – droga do Obserwatorium zajmuje d u ż o mniej czasu na grzbiecie pająka niż piechotą. Coyotl, Müller i Beckett powinni już wrócić.

C zuję zimno dudniące mi w brzuchu i w piersi. Coś przeoczyłam, tylko co? Mój umysł próbuje połączyć fakty – nie jest to zamulenie myśli związane z przypominaniem sobie wspomnień Matyldy, chodzi o coś innego. Przegapiłam coś n o w e g o, co nie ma nic wspólnego z życiem mojej stwórczyni.

– Pojedź za nimi – mówię. – Weź pająka, Bawden i ile tylko dzieciaków zechcesz.

Rusza pochylnią w górę.

– A jeśli nie będzie ich przy statku Bello, jak długo mam szukać?

B ez Bishopa i Bawden Farrar okaże się ostatnią dojrzałą kółko-gwiazdą – do obrony wahadłowca pozostaną tylko on i garść dwunastolatków. To za mało. Przychodzi mi na myśl, jak zdecydowaliśmy się uciec z Ogródu, porzucając Bello. Była to trudna decyzja i za to, że ją podjęłam, czułam do siebie odrazę, ale była to w ł a ś c i w a decyzja.

– Jeśli ich tam nie będzie, wracajcie bez nich – mówię. – Najszybciej, jak się da.

Bishop wbiega na pokład wahadłowca. Stoję tam, gdzie przed chwilą on, patrząc ku Obserwatorium. *P r o s z ę*, niech nic im nie będzie.

W kilka chwil później pochylnią zbiega Bishop, a za nim Bawden z dwójką młodszych kółko-gwiazd. Muszkiet niesie tylko Bawden. Müller też zabrał jeden, co znaczy, że Bishop zostawia na miejscu trzy sztuki broni.

W kilka sekund cała czwórka jest już na pająku i rusza w drogę. Patrzę, jak maszyna przemyka nad kręgiem pnączy, a potem ciemniejszymi ulicami. Przed nimi nadal żadnych śladów Coyotla i pozostałych.

W statku Bello jest coś, co przeoczyłam, tylko co? Nie daje mi to spokoju. Jest jedną ze Starszych, ja to *w i e m*. Czas zamknąć ją pod kluczem. Nie chcę zachowywać się jak Matyllda, ale to nie znaczy, że nie mogę zrobić *n i c* – pora przestać być miłą i przyjemną.

G r z m i ą c y tupot nóg na pochylni za moimi plecami. O'Malley, spanikowany.

– Em! Wracaj tu! Aramowski wzywa do nowego głosowania!

N a chwilę tracę go z oczu i robi coś takiego? Niemal się cieszę, bo wykonał ten ruch za szybko – ma wielu zwolenników, ale nie dość. Powinien był poczekać, aż głód sprawi, że więcej ludzi przejdzie na jego stronę.

W chodzę długim krokiem po pochylni i do sali z trumnami. Aramowski mówi, obraca się z rozpostartymi rękami – robi to, co mu tak dobrze wychodzi. Ale przegra to głosowanie, a po zwycięstwie zablokuję mu możliwość zwołania kolejnego. *W r e s z c i e* popełnił błąd.

A le wtedy widzę Bello – stoi tuż obok niego, szepcząc coś, gdy tylko Aramowski robi pauzy. Zauważa mnie, wbija we mnie wzrok – zimny, surowy. Tym razem nie ma w oczach łez. Uśmiecha się, a ten uśmiech przeszywa mnie chłodnym dreszczem.

A ramowski wstępuje na jedną z zamkniętych trumien. Rozkłada ręce

i grzmi:

– Ktoś musi wypowiedzieć na głos to, co wszyscy myślimy. Czy nie potrzeba nam nowego przywódcy? Większość z nas, ludzie z deku czwartego, nigdy nie miała nawet okazji zagłosować. Pora ten błąd naprawić.

K rzyżuje ze mną spojrzenia.

– Nie w tym rzecz, że Em się nie starała – mówi. – Ale może po prostu zadanie przywódcy przerasta kółko, przerasta p u s t a k a, przerasta – wygina kąciki ust w uśmiešku zwycięstwa – n i e w o l n i c ę.

S łowo zawisa w powietrzu, ciśnię w dół, wypycha zablokowane wspomnienia. Widzę, jak setki twarzy ogarnia konsternacja. Widzę, jak oczy robią się wielkie, a głowy potakują w wyrazie zrozumienia. U wszystkich, nawet u dzieciaków, wypowiedziane przez Aramowskiego słowo uruchamia eksplozję wspomnień – już wiedzą.

J edna po drugiej wszystkie pary oczu zwracają się na mnie.

Wszystko, co zrobiłam dobrze, nagle traci znaczenie. Moje przywództwo, utrzymanie grupy w całości, sprowadzenie nas z „Xolotla”, odkrywanie tajemnic Omeyocana, nawiązanie kontaktu ze Skoczkami... n i c z tego nie ma już znaczenia.

W jednej chwili, przez jedno słowo, zaczynają mnie postrzegać jako kogoś innego niż ta, którą byłam. Jako kogoś znaczącego m n i e j.

M uszę to przerwać, i to natychmiast.

– Nie jestem niewolnicą – mówię. – Nikt z nas nie jest niewolnikiem. To co, że krąg na moim czole mówi, że jestem S ł u ż b ą, dwupierścień – że Aramowski to D u c h o w o ś ć, a półpełne kółko – że O’Malley to S t r u k t u r a? To przecież nie znaczy, że musimy tym być. Każdy z nas jest kowalem swojego losu!

S zukam wzrokiem O’Malleya, licząc, że mnie poprze, ale on tylko gapi się na mnie z opadłą szczęką, jakbym powiedziała coś niestosownego – coś

s t r a s z l i w i e niestosownego.

– Duchowość – powtarza Aramowski. – Struktura... S ł u ż b a. Ja dopiero w tym momencie przypomniałem sobie, co znaczą te symbole, ale ty... ty już wiedziałaś.

U śmieszek Bello. Ona mu powiedziała. Zna sens tych symboli, bo jest jedną ze Starszych. Powiedziała mu, co ma mówić.

W patruje się we mnie prawie trzysta osób. Ze sto różnych kłamstw przychodzi mi do głowy, ale żadne nie dociera do ust. Przez jedną krótką chwilę mogę coś powiedzieć, zaprzeczyć, że ukrywałam przed ludźmi informacje, ale ta chwila mija.

O bciąża mnie moje własne milczenie.

T eraz wszyscy patrzą na mnie z gniewem. Nawet Spingate, której twarz wyraża coś pomiędzy zawodem i oburzeniem. „Niemówienie prawdy niczym nie różni się od kłamstwa” – tak jej powiedziałam.

J estem winna tego samego.

I wszyscy w tej sali dobrze o tym wiedzą.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Wszystko się sypie.

Bishop i Bawden wrócili z niczym – nigdzie ani śladu Becketta, Müllera, Coyotla czy pająka. Na wahadłowcu szaleje strach, podsycany nieustannymi wrzaskami Aramowskiego, że to Skoczki porwały naszych przyjaciół.

Czuję się zagubiona. Czy rzeczywiście Bharka pojmał naszych? Statek Bello znajduje się w pobliżu Obserwatorium, miejsca, w którym Skoczek już bywał. Na widok schodzącego statku Bharka strasznie się wściekł – może czekał w zasadzce, wiedząc, że byliśmy tam raz, więc może jeszcze wrócimy. A jeśli nie on, może zaatakowały jakieś inne Skoczki?

Aramowski powiedział, że zniknięcie trójki naszych to kolejny dowód na brak sprawnego przywództwa i że potrzebujemy nowego głosowania, i to już. Bishop próbował odwieść ludzi od tego pomysłu, Spingate też, mówiąc, że teraz nie pora na to, ale wszyscy ich zakrzyczeli.

S toję na podeście i tłumaczę ludziom, dlaczego powinni na mnie głosować, ale moja pewność siebie gdzieś wyparowała. Mimo że trzymam w ręce włócznię, nasz symbol przywództwa, moje słowa brzmią pusto. Mówiąc, popatruję na O'Malleya, szukam u niego jakiejś wskazówki – ale wyraz jego twarzy mówi mi, że przegrałam już przed głosowaniem.

Powinnam była powiedzieć wszystkim o znaczeniu symboli. O'Malley mi to wyperswadował. Nie chodzi tylko o to, co ludzie sobie przypomnieli – że kółka były niewolnikami, co jest samo w sobie wystarczająco szkodliwe – ale

też o to, że wiedziałam coś, co chcieli wiedzieć wszyscy, co mieli prawo wiedzieć, a ja im nie powiedziałam.

Nie ufają mi już.

Ja też nie ufałabym samej sobie.

Kiedy schodzę z podestu, wkracza na niego Aramowski.

Widzę, że Spingate rozmawia o czymś po cichu z Gastonem, Johnsonem i Ingolfssonem. Czy sama będzie próbowała objąć przywództwo? Mam nadzieję. Każdy będzie lepszy niż Aramowski.

Ale kiedy tylko Aramowski zaczyna swoją przemowę, orientuję się, że nikt nie jest w stanie z nim wygrać. Większość dzieciaków gapi się na niego z uwielbieniem i szeroko otwartymi oczami. Z prawie trzystu osób w sali dojrzałych nastolatków jest zaledwie szesnaścioro.

Do piero teraz rozumiem wagę tych liczb. Kiedy nie było mnie na miejscu, bo szukałam jedzenia, badałam okolicę, sprawdzałam statek Bello, Aramowski po cichu prowadził kampanię wyborczą. Nie wezwał do głosowania wcześniej tylko z jednego powodu: nie był pewny, że może wygrać. W końcu przecież sprowadziłam wszystkich z „Xolotla”, dzięki mnie aż dotąd pozostawaliśmy przy życiu. Chyba tylko to przekonywało wiele dzieciaków, że najlepiej nadają się na przywódcę.

Potem Bello zapewniła Aramowskiemu to, czego potrzebował – sposób, żeby część moich zwolenników zmieniła zdanie. Bello jest oczywiście Starszą, ale nie mam na to dowodu, a w tej chwili nikt na wahadłowcu nie potraktuje moich słów poważnie.

Aramowski kończy płomiennym oświadczeniem, które można by streścić jako: „A nie mówiłem?”. Ostrzegał nas przed demonami i prosi, nie ma już kolejnych trzech spośród nas. Mówi, że nie wolno nam czekać, aż Skoczki wykończą nas stopniowo jednego po drugim, że jeśli chcemy okazać się godni wielkiego daru bogów, musimy „okazać siłę w obliczu zła” i „wygnać demony,

skąd przyszły, do piekła”.

P odczas burzliwych owacji rzucam okiem na Spingate. Stoi ze zwieszoną głową: wie, że nie ma po co występować z własnym przemówieniem.

O pkick pyta o innych kandydatów. Gdy nikt się nie zgłasza, wzywa do głosowania. Przez proste podniesienie rąk, tak jak przy głosowaniu na „Xolotlu”, kiedy zostałam przywódczynią.

W ywołuje moje imię, a potem liczy głośno. Dziwię się, że zawraca sobie tym głowę; nie podnosi się nawet pięćdziesiąt rąk.

W ywołuje nazwisko Aramowskiego. Ręce strzelają w górę. Mimo że ponad trzy czwarte dzieciaków to kółka – takie jak ja – większość z nich głosuje na niego.

W ygrał. Jest naszym przywódcą.

W raz z tą zmianą opada mnie poczucie beznadziei. Wszystkie złe rzeczy, które zdarzyły się do tej pory, to nic w porównaniu z tym, co się stanie teraz.

O pkick woła nas oboje na podest.

M uszę zebrać w sobie całą siłę woli, żeby spojrzeć Aramowskiemu w oczy. Wstrząsa mną to, że się nie uśmiecha. Sprawia wrażenie skazanego na nowy obowiązek, jakby było to jakieś straszliwe brzemie złożone na jego barkach, a nie coś, do czego dążył niemal od momentu naszego przebudzenia.

– Em, bez ciebie nie bylibyśmy tu, gdzie jesteśmy – mówi. – Chcę ci powiedzieć, a myślę, że wszyscy się ze mną zgodzą: dziękuję za twoje dotychczasowe przywództwo. Sprowadziłaś nas z „Xolotla”, w większości bezpiecznie. Wszyscy to doceniamy, ale teraz, na Omeyocanie, stajemy przed nowymi wyzwaniem. Ludzie wyrazili swoją wolę.

Wyciąga do mnie rękę. Wyciągam swoją po uścisk dłoni, gdy dociera do mnie, o co mu chodzi.

O moją włócznie.

C zuję, że się czerwienię. Wysłałam na idiotkę. Opuszczam rękę.

Z aciskam palce na drzewcu włóczni. Nie chcę się z nią rozstawać. Mam ochotę go walnąć. Doprowadzi nas do kłęski.

Zabij swoich wrogów...

A leż łatwo byłoby go przebić włócznią, tak jak zrobiłam to Skoczkiowi w dżungli...

Zerkam na wejście wahadłowca. Widzę tam Bishopa, stoi z dłońmi zaciśniętymi na siekierze. Wzrokiem mówi mi bez słów, że poprze mnie, cokolwiek zrobię.

Taki sam wyraz twarzy ma Farrar. Bawden też. Wszyscy troje gotowi są dla mnie walczyć.

Nie muszę rezygnować z przywództwa. Mogę kazać zamknąć Aramowskiego i Bello. Skoro kółko-gwiazdy są za mną, mogę dowodzić dalej.

A takuj, atakuj, zawsze atakuj...

Aramowski nadal trzyma wyciągniętą rękę, jego pusta dłoń niezręcznie wisi w powietrzu. W jego oczach miga cień strachu. Wie, że mogłabym zignorować głosowanie, uwięzić go, może nawet kazać zabić. Nadal mam władzę.

Matylda też miała władzę. Wykorzystała ją. I proszę, co się stało z jej ludźmi.

Nie jestem Matyldą, a Matylda nie jest mną.

W rękam włócznię Aramowskiemu.

Bierze ją do ręki. Jego strach znika. Wygrał. Może nie ma uśmiechu na ustach, ale w oczach – tak.

Aramowski wskazuje na podłogę, prosząc gestem Opkick i mnie o zejście z podestu. Schodzimy, zostawiając go tam samego, górującego nad nami wszystkimi.

– Jako wasz nowy przywódca muszę zacząć od najważniejszego – mówi. – Skoczki mają jedzenie. Miały okazję podzielić się nim z nami, ale zamiast tego

wybrały ścieżkę zła. Mają to, co jest nam niezbędne do życia, więc im to zabierzemy. Bishop, Farrar: weźcie dwa pająki, które nam pozostały. Zabierzcie Bordżigina do ich gniazda. Schuster, Bemba i Zubiri, powstańcie.

Z ubiri wstaje, wstają też jakiś chłopczyk i dziewczynka – oboje to połówki. Aramowski chce wysłać kombinację symboli: tych od nauki i zarządzania.

– Bordżigin, tych troje to twoi pomocnicy – oznajmia Aramowski. – Weźmiesz ich ze sobą. Rozmawiałem z Bemba i Schuster, oboje pamiętają podobno, jak operuje się maszynami. A Zubiri to najmądrzejsza z naszych młodych naukowców; lepiej, żeby była z wami i rozwiązywała nowo powstałe problemy, niż żeby traciła czas w laboratorium. Po co próbować znaleźć lekarstwo na czerwoną pleśń, skoro możemy po prostu odebrać jedzenie Skoczkom? Wszyscy razem zajmiecie się naprawą wszelkich maszyn, które uda się uruchomić. Bishop, wybierz do tego zadania też trzy młode kółkogwiazdy. Zabierzcie wszystkie pozostałe nam muszkiety. My całą resztą zamkniemy się w wahadłowcu, gdzie jest bezpiecznie.

B ordżigin rusza w stronę podestu, unosząc ręce do piersi obronnym gestem. Prawie płacze.

– A co z Coyotlem? – pyta. – I Beckettem, i Müllerem. Nie poszukacie ich najpierw?

B ordżigin i Coyotl bardzo się do siebie zbliżyli w tym krótkim czasie. Wyraz współczucia na twarzy Aramowskiego jest tak autentyczny, że prawie mu wierzę. Pochyliła się lekko w stronę Bordżigina.

– O naszym losie decydują bogowie – oświadcza. – Nie martw się: jeśli Coyotl jest tego godzien, sprawią, że wróci do nas cały i zdrowy. Waszym zadaniem tymczasem jest zapewnić nam armię – armię maszyn. A kiedy będą gotowe – Aramowski prostuje się, unosi wysoko włócznie, otwiera szeroko oczy i wydyma wargi – r u s z y m y n a w o j n ę!

Dzieciaki, które na niego głosowały, skaczą i wiwatują. Jeszcze przed chwilą się bały... Aramowski daje im sposób na zaatakowanie tego, czego się boją. Przebiega mi przez głowę pytanie, ilu z tych wiwatujących już wkrótce zginie.

P owinna była dźgnąć go włócznią, kiedy miałam okazję.

M oże nie jestem już przywódczynią, ale nie mogę na to pozwolić.

– Aramowski!

M ój głos odbija się echem od ścian wahadłowca na tyle głośno, żeby wiwaty cichną. Aramowski patrzy na mnie z irytacją i zniecierpliwieniem. Zamiast po prostu odejść w milczeniu, psuję mu jego chwilę triumfu.

– Tak, Em?

– Możemy zawrzeć ze Skoczkami pokój. Nikt nie musi umierać.

Z westchnieniem wznosi oczy ku sufitowi.

– Przecież właśnie było głosowanie. Wszyscy słyszeli, co miałaś do powiedzenia, a jednak zagłosowali na mnie.

– Nie wiemy, ile jest Skoczków – mówię. – Mogą być ich tysiące, każdy z bronią palną. Nawet mając pająki, nie wyjdziemy z tego bez szwanku. – Rozglądam się po sali, zaczynam wytykać ludzi palcem. – Ty możesz zginąć. I ty. I ty. I...

Drzewce włóczni uderza w podest, aż ten się trzęsie.

– D o ś ć tego! – Aramowski nie kryje wściekłości. – Na wojnie jest niebezpiecznie, ale Bóg Krwi ochroni swoich wiernych – oświadcza. – Lepiej, żeby niektórzy z nas polegli w walce, niż żebyśmy w s z y s c y umarli z głodu.

L udzie wbijają teraz we mnie wzrok, zirytowani tym, że nie potrafię się zamknąć. Naprawdę jest po wszystkim. Aramowski włada ich sercami i umysłami. Muszę wbić sobie do głowy, że teraz on jest przywódcą.

A le może uda mi się jeszcze jedna próba.

– Naprawa zepsutych maszyn trochę potrwa – mówię. – W tym czasie pozwól kilkorgu z nas pójść i porozmawiać ze Skoczkami. Jeśli damy radę namówić ich, żeby pokazali nam, gdzie jest jedzenie, zanim twoja armia będzie gotowa, to nikt nie będzie musiał umierać, prawda?

Wszyscy przenoszą wzrok na niego.

N a twarzy Aramowskiego widać nienawiść. Dociera do mnie, że on p r a g n i e wojny. Jeśli nie będzie to konflikt o jedzenie, wynajdzie jakiś inny powód. Drży mu górna warga. Najchętniej by mnie zabił, tu i teraz, ale nie może; z kolei jeśli puści mimo uszu to, co mówię, będzie widać, że rezygnuje z szansy, by zapewnić przeżycie w s z y s t k i m.

A wtedy ile głosów go poprze?

N aciskam go dalej:

– Skoczki może i mnie zabiją. Ale jeśli uda mi się dzięki temu ocalić życie kóregokolwiek z naszych, podejmę to ryzyko.

P r a k t y c z n i e nie zostawiam mu wyboru.

Uśmiech powoli wraca na jego twarz.

– Twoja odwaga to dla nas błogosławieństwo. Idź zatem, zobacz, czy bogowie pomogą ci powstrzymać rozlew krwi. Ale ruszaj zaraz, od razu, bo kiedy będziemy gotowi do ataku, nie zawaham się ani chwili. Liczy się każda minuta.

Poszło mi łatwiej, niż się spodziewałam. Może myliłam się, myśląc, że pragnie wojny? Może jednak kryją się w nim jakieś resztki przyzwoitości.

– Dziękuję – mówię, i to szczerze. Patrzę na Spingate. – Chodźmy.

S p i n g a t e rzuca Gastonowi spojrzenie jasne i czytelne jak wystrzał z muszkietu: *Nie próbuj mnie zatrzymać*. Rusza w kierunku wyjścia z wahałowca.

– Nie – rzuca Aramowski. To nie prośba, tylko surowy zakaz. – Arcymistrzyni Spingate zostaje. Twój geniusz może być nam potrzebny przy

naprawie pajaków, a poza tym – grotem opuszczonej włóczni wskazuje jej brzuch – nie możemy ryzykować życia przyszłego pokolenia.

S pingate ujmuje się pod boki, zaciskając pięści.

– Nie możesz mi mówić, co mam robić! Mam prawo chodzić, gdzie mi się żywnie podoba.

Aramowski kręci głową.

– Zrzekłaś się tego prawa, zachodząc w ciążę. Rób, co mówię, albo każe odprowadzić cię pod eskortą do laboratorium, gdzie pozostaniesz dla bezpieczeństwa swojego i swojego dziecka. Straż?

C zterdzieści młodszych kółko-gwiazd zrywa się na równe nogi, staje na baczność. Czarne kombinezony, w rękach broń – może brakuje im wzrostu, ale nadrabiają to liczebnością.

S pingate jest wściekła, zaskoczona, zdruzgotana. Rozgląda się po sali. Nikt nie staje w jej obronie. Nawet gdyby Bishop, Bawden i Farrar chcieli ją ochronić, zostaliby obezwładnieni w mgnieniu oka.

Bishop spędził poza wahadłowcem prawie tyle samo godzin, co ja. Przez cały ten czas Aramowski po cichu sącył jad w uszy najmłodszych. Myślałam, że wszystkie młodsze kółko-gwiazdy stoją murem za Bishopem, ale się myliłam.

Jak na przywódczynię to mylisz-się-mylicz-się całkiem często, czyż nie?

S łowa Brewera. Ależ miał wtedy rację.

M ała Kalle podnosi się, występuje o krok przed całą resztą.

– Ja pójdę z Em – oznajmia. – Już raz byłam w dżungli, mogę się przydać.

Aramowski uśmiecha się do niej dobrotliwie, jakby był tak naprawdę dorosłym, który dysponuje wielkim życiowym doświadczeniem, jakby Kalle nie była od niego młodsza o ledwie kilka dni.

– Moje dzielne dziecko, Em musi pójść sama. To jej udało się porozmawiać ze Skoczkami. Dobrze wie, że – inaczej niż ty – nie ma żadnej specjalistycznej

wiedzy niezbędnej nam tu, na miejscu. Wie też, że nie jest żołnierzem, których potrzebujemy do obrony. W ten sposób najlepiej może usłużyć nam wszystkim, i zasługuje tym na nasze uznanie.

T eraz to już oczywiste – chce, żebym poszła sama, bo chce, żebym zginęła. Skoczki mogą wyeliminować z gry jego główną konkurentkę do przywództwa, a on nie musi przy tym nawet kiwnąć palcem.

M imo wszystko nie mam wyboru. Jeśli istnieje choćby cień szansy, że mi się uda i że ocaleją ludzie, muszę zaryzykować.

Aramowski przechyleniem głowy wskazuje mi wyjście z wahadłowca.

– Ruszaj z bogami. Już.

K ażę mi odejść.

L udzie rozstępują się, otwierając mi drogę do wyjścia.

W ychodzę do przedsionka. Noc jest czarna, pochmurna, bezgwiezdna. Silne podmuchy wiatru niosą charakterystyczny zapach mięty. Zanim zdążę zejść po pochylni, z sali wypada za mną i dołącza do mnie Bishop.

– Weź latarkę – mówi, wręczając mi swoją, wyjętą z kieszeni kombinezonu.

– I zestaw medyczny. – Z innej kieszeni wyciąga jedno z białych plastikowych pudełeczek.

C hwyta mnie, przyciąga bliżej, ściska.

– Poczekaj w pół drogi do bramy – szepcze. – Przyślę pomoc.

O dwraca się i wchodzi z powrotem na pokład wahadłowca.

N ic mi nie pozostało – muszę wkroczyć na ścieżkę, którą sama sobie wybrałam.

Schodzę pochylnią, przecinam lądowisko i ruszam w kierunku miejskiej bramy.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Jest ciemno i mży deszcz. Czerń otula całe miasto całunem ukrytych zagrożeń. Nie chcę używać latarki, żeby nie zdradziła komuś idącemu za mną, gdzie dokładnie jestem.

Tak jak kazał mi Bishop, zatrzymałam się w połowie drogi do bramy. Jak długo powinnam czekać? Muszę wydostać się z miasta, odnaleźć kościół Bharki. Nie mam jeszcze żadnego pomysłu na to, jak odszukać Skoczki – najbardziej liczę na to, że Bharka sam mnie tam znajdzie.

Liście szeleszczą w podmuchach wiatru, przez co widzę i słyszę rzeczy, o których wiem, że nie istnieją. Czuję się taka odsłonięta. Może Aramowski nie będzie czekał, aż załatwią mnie Skoczki – może wyśle za mną Bawden albo Farrara? Czy teraz, kiedy przywódcą jest Aramowski, któreś z nich wykonałoby jego rozkaz i mnie zabiło? Może tak, może nie, ale na pewno zrobiłaby to któraś z młodszych kółko-gwiazd.

Mój kombinezon nie jest odporny na każdą pogodę. Jestem przemoczona. Zmarznięta. Głodna. I się boję.

Jestem sama.

I stnieje tylko jedna osoba, na którą zawsze możesz liczyć – to ty.

Głos ojca. Jakieś nowe wspomnienie. Siedzę mu na kolanach z głową wspartą na jego piersi. Płaczę. Miałam wtedy sześć lat... może siedem. Właśnie stało się coś złego. Coś, co mnie skrzywdziło, przeraziło. Patrzę na twarz ojca. Czarne wąsy. Życzliwe oczy. Ciężkie czarne włosy, podobne do moich. Na jego czole...

M ó j ojciec nie miał na czole żadnego symbolu.

I ... ja też go nie miałam. W każdym razie nie wtedy.

O n także płacze. Powstrzymuje się, ale słyszę to w jego głosie, mimo że stara się nie dać tego po sobie poznać.

M atyldo, muszę odesłać cię daleko od domu. Wiem, że teraz tego nie rozumiesz, ale zrozumiesz kiedyś. Jedyne sposoby, w jaki mogę zapewnić ci bezpieczeństwo, to cię ukryć. Może nadejdzie kiedyś czas, kiedy ząbdziewczynki każą ci zrobić coś niebezpiecznego albo dwupierścienie będą chciały zrobić ci krzywdę, bo wiedzą, że nikt ich za to nie ukarze. Jeśli tak się stanie, pamiętaj: zrób wszystko, co tylko się da, żeby przeżyć.

C zuję na jego skórze zapach mydła. Słyszę, jak jego szorstkie dłonie gładzą mnie po włosach. To nie jest wspomnienie Matyldy – nie jest z drugiej ręki, jakbym widziała i czuła coś, czego doświadczał ktoś inny. Jest takie, jakbym ja sama tam była, jakby mój ojciec mówił d o m n i e.

M ó j o j c i e c. Miał na imię...

... miał na imię D a w i d.

O desłał mnie daleko z powodu czegoś, co zrobił mój dziadek. Odesłał mnie z domu, żebym stała się jedną z... U m i ł o w a n y c h. To jedno z magicznych słów. Kiedy byłam w szkole, robiłam, co kazał mi ojciec – robiłam wszystko, co tylko się dało, żeby przeżyć.

Istnieje tylko jedna osoba, na którą możesz liczyć...

D ociera do mnie, że stoję jak głupek na środku ulicy. Co by pomyślał mój ojciec, gdyby wiedział, że czekam, aż zajmie się mną ktoś inny?

O bserwowałam Viscę. Obserwowałam Bishopa. Widziałam, jak kółko-gwiazdy wtapiają się w otoczenie. Wiem, jak tropią, wiem, jak się poruszają.

M o że nie jestem sama kółko-gwiazdą – ani też zębatką czy połówką – ale p u s t a k i e m też nie jestem.

Już nie.

Jestem wiatrem... jestem śmiercią.

* * *

K toś nadchodzi.

P rzyciskam się plecami do dolnego poziomu jakiegoś zigguratu. Chowam się za grubymi lianami pokrywającymi zimny, mokry kamień. Wiatr zacina mżawkę niemal poziomo, otaczające mnie liście szeleszczą w jego podmuchach.

S zlag by trafił to zachmurzone niebo. Szkoda, że nie ma choć trochę księżycowego światła, choć odrobiny, dzięki której widziałabym, kto idzie.

T rzymam w ręce poszarpany kawałek muru. W tym z wolna, ale stale rozpadającym się mieście jest to jedyny rodzaj broni, jaki nietrudno znaleźć.

K to idzie? Liczę, że Bishop. Ale jeśli to nie on? Jeśli to ktoś wysłany, żeby mnie zabić? Wtedy zabiję go pierwsza.

P rzez ciemność przebija się przeciągły szept:

– E m?

C zy to Bishop? Nie wiem. To jakiś chłopak, ale w tym silnym wietrze i szumie liści jego głos jest nie do rozpoznania.

C hmury najwyraźniej rozstępują się na chwilę, przepuszczają słaby snop księżycowego światła. Chłopak, w y s o k i chłopak spowity w cień. Trzymający coś... czy to łopata?

F a r r a r. Przysłał go Bishop czy Aramowski?

Ś wiatło księżyców znika. Noc znów jest czarna choć oko wykol.

S łyszę zbliżające się kroki.

Z aciskam palce na kamieniu. Jest twardy, poszarpany i ostateczny. Nie jest tak elegancki jak moja włócznia, ale odbierze życie równie łatwo.

C hłopak idzie w moją stronę. Nie wprost, tylko szukając, jakby wiedział, że powinnam być w tej okolicy, ale nie miał pewności, gdzie dokładnie.

B liżej. Jeszcze kilka kroków i zmiążdżę mu czaszkę.

Dłoń mi drży. Ręka dygocze. Wiatr i liście kryją mnie i zagłuszają.

Jeszcze dwa kroki. Powoli, bardzo powoli unoszę kamień.

– Em, jesteś tu?

Z tak bliska w jednej chwili poznaję ten głos.

– O'Malley?

O dsakuje zaskoczony. Potyka się i pada twarzą na ziemię.

Wychodzę zza lian. O'Malley przetacza się na tyłek, widzi mnie, zaczyna niezgrabnie cofać się po ziemi.

– Nie! Nie zabijaj mnie!

P rzystaję zbita z tropu. Nie rozpoznał mnie? No tak – oczywiście, że nie.

– To ja – uspokajam go. – Em.

P rzestaje się cofać.

P owoli gramoli się z ziemi. Kręci głową, uśmiecha się z mieszanką dumy i niedowierzania.

– Wystraszyłaś mnie – mówi. – Wyglądasz inaczej, nie ma co.

F aktycznie. Liany, którymi oplótłam tułów i nogi, zmieniają kontury mojego ciała. Skórę twarzy i rąk pokrywają mi sok pnączy i ziemia. We włosy powplatane mam gałązki z liśćmi.

– Podejrzałem, jak Bishop rozmawiał z tobą, zanim odeszłaś – mówi. – Wiedziałem, że planuje jakoś ci pomóc.

N ic dziwnego, że O'Malley to zauważył – mistrz podszeptów nie przegapiłby czegoś takiego.

– Dlaczego Bishop sam nie przyszedł?

– Nie dał rady. Aramowski bardzo go pilnował, popędzał, żeby ruszał już do gniazda pajaków. Oczekałem, aż Aramowski popatrzy w inną stronę, zapytałem Bishopa, co mogę zrobić. Powiedział, żebym przyniósł ci jakąś broń, cokolwiek znajdę.

O'Malley podnosi łopatę, podaje mi ją. Wypuszczam kamień i biorę do ręki narzędzie. Jest ciężkie, niewyważone.

– Uważaj z nią – ostrzega O'Malley. – Gaston mi pomógł. Naostrzył ją na wahadłowcu specjalną maszyną.

P rzeciagam kciukiem w poprzek ostrza, tak jak pokazywał mi Coyotl. Jest b a r d z o wyostrzone. Pewnie bardziej niż ostrze noża, który nosi u pasa O'Malley, tego, którym zabiłam Yonga.

– A ty? – pytam. – Aramowski nie zauważy, że jego doradca i prawa ręka gdzieś zniknął? Bo przecież tym się zajmujesz, prawda? Pomagasz przywódcy?

– W końcu to zauważy, ale nie od razu. Jego doradcą jest Opkick. Wygląda na to, że ja jestem już zbędny.

O dziwo, żal mi O'Malleya. Czy gdyby Aramowski go wybrał, poszedłby za mną mimo wszystko? Nie wiem. Być może to nieważne. Potrzebowałam pomocy, a on się zjawiał.

P odchodzi o krok bliżej. Powoli wyciąga do mnie rękę. Muska palcami końce moich włosów, jakby potrzebował mnie dotknąć, ale nie chciał mi popsuć kamuflażu. Ma twarz zmoczoną mżawką, która znaczy mu policzki słabym lśnieniem w odrobinie światła przebijającego się przez chmury.

– Nie przyszedłem tylko dlatego, że Bishop nie dał rady – mówi. – Przyszedłem, bo... bo cię kocham.

N awet nie wie, że przed chwilą o mały włos bym go zabiła.

S uper, mam dwóch chłopaków: jeden nie chce mi powiedzieć, co czuje, a drugi nie przestaje o tym gadać.

– Powinieneś wracać na wahadłowiec – mówię.

O dchyła się, prawie jakbym wymierzyła mu policzek.

– Ale... ale ja idę z tobą.

C zyli nie chodziło tylko o dostarczenie broni. Jest gotów ruszyć razem ze

mną w dżunglę. Wie, jakie to będzie niebezpieczne. Ale nie ma żadnego doświadczenia w walce; o ile mi wiadomo, nawet nie uczył się sztuki przetrwania. Jest p o l i t y k i e m – z dala od bezpieczeństwa, jakie zapewnia mu grupa, jest do niczego.

Mimo to O'Malley jest inteligentny. Silny. Może nie wie, jak się walczy, ale to nie znaczy, że kiedy przyjdzie co do czego, z walki się wycofa. Jeśli nie uda mi się znaleźć Skoczków, będzie wojna; przyjmę każdą pomoc, jaką mogę zyskać.

– Utrzymuj moje tempo – mówię. – Tylko c i c h o.

* * *

W dżungli jest pełno odgłosów życia. Ciche pohukiwania, skrzeki, skowyty, pomruki i – od czasu do czasu – kwiknięcie ofiary. Silny wiatr rozegnał w końcu trochę pokrywą chmur, zapewniając nam dość światła księżycowego, żebyśmy mogli iść. Cieszę się z tego, bo światło latarki zmieniłoby nas w łatwe cele dla strzału z muszkietu. Bharka i Lahfa to wcale nie jedyne Skoczki w tej dżungli.

Najwięcej szans da nam odnalezienie kościoła. Oby był tam Bharka i oby zechciał ze mną porozmawiać. Jeśli go tam nie będzie, przyjdzie nam wędrować po dżungli z latarką. Przy odrobinie szczęścia spotkamy Skoczki, które będą skłonne do rozmowy, a nie do strzelania.

O dnałam dół po pierwszym ognisku. Sama się dziwię, że potrafię tak łatwo iść tym tropem nawet nocą. Cieszy mnie myśl, że Visca byłby ze mnie dumny.

O 'Malley robi więcej hałasu, niżbym chciała, ale muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Porusza się ciszej niż Coyotl, nie mówiąc nawet o Bordżiginie. Jeśli tej nocy uda nam się ujść z życiem, może nawet nauczy się zachowywać równie cicho, jak ja.

A kiedy się odzywa, to szeptem. Przynajmniej jeśli chodzi o ten etap – skradanie się po dżungli – wydaje się do tego stworzony.

– To odważne z twojej strony, że postanowiłaś tu przyjść – szepcze.

– Ty też tutaj jesteś.

I dzie za mną, więc go nie widzę, ale na pewno potakuje skinięciem głowy. Słyszę ostre plaśnięcie – pewnie walnął jakiegoś owada, który wylądował mu na twarzy czy karku.

– Idziemy co najmniej od godziny – zauważa. – Daleko jeszcze do tego kościoła?

– To znaczy, jeśli nie rozerwą nas węzowilki? Ani nie wystrzelają Skoczki? Ani nie napadnie żadne z tych zwierząt, które słychać?

M ała pauza.

– Mhm. Jeśli nic z tych rzeczy się nie wydarzy.

– Powiem ci, jak się tam znajdziemy. Nie gadaj tyle, bo zostaniesz w tyle.

P rawie chce mi się śmiać na myśl o tym, jaki pewny siebie był wcześniej w sterowni, kiedy mnie pocałował. W bezpiecznej przestrzeni wahadłowca puszy się tą pewnością siebie. Tu pęka ze strachu. Nie powinnam jednak tak się z niego nabijać – ja też się boję.

O dźwięki zwierząt milkną, zapada absolutna cisza.

– Co się stało? – pyta szeptem O’Malley.

– Drapieżnik. Chodź.

P rowadzę go do rośliny o rozłożystych liściach, takiej, pod jaką krył się Bordżigin. Chowamy się pod jej liście i czekamy.

P od stopami czuję drżenie. R e g u l a r n e drżenie, nie szalony tętent pędzących zwierząt. O’Malley też to czuje – z pewnym zdziwieniem wpatruje się w ziemię.

– Ee, Em... właściwie to j a k w i e l k i jest ten drapieżnik?

C oś jest nie tak. Kiedy pojawił się węzowilk, nie czułam nic w tym

rodzaju. Wibracje nasilają się, *łup-łup-łup-łup*.

W jednej chwili wracają do mnie wspomnienia z godzin spędzonych na „Xolotlu”. Rytmiczny łomot, tupanie zorganizowanych nóg. Coraz głośniejsze i głośniejsze. Od którego drży ziemia.

O’Malley kojarzy to na ułamek sekundy przede mną.

– Odgłos marszu – domyśla się. – Ale maszerujących musiałyby być tak wielu... Tysiące.

Patrzy na mnie ze strachem pomieszanym z niedowierzaniem.

– Skoczki – mówię i serce mrozi mi lodowaty lęk.

W staję, rozglądam się po dżungli. Muszę dostać się gdzieś wyżej, stamtąd zobaczyć, co się dzieje. O, tam, wielkie drzewo, z olbrzymim i sękatym pniem, szersze od innych. Skoro jest szersze, może jest też wyższe.

W rękam O’Malleyowi łopatę.

– Zostań tu – szepczę.

W górę wielkiego pnia wiją się ukorzenione w ziemi grube liany, które czepiają się kory drzewa setkami cienkich białych wąsów. Pnącza – nadal mokre od mżawki – utrzymują mój ciężar, pozwalają mi wspiąć się dość wysoko, by chwycić jakąś gałąź. Poruszam się szybko, ale ostrożnie, pamiętając, że wszystko, czego dotykam rękami i nogami, jest wilgotne i śliskie.

Wyżej.

W chodzę w koronę dżungli, widzę wierzchołki otaczających mnie drzew. Miałam rację: to, na które się wspinam, jest wyższe niż większość pozostałych.

Jeszcze wyżej.

Liście szeleszczą ostro tuż nad moją głową – z drzewa zeskakuje coś małego i żółtego. Rozpostarte ramiona, fałdy skóry chwytające powietrze – zwierzę znika w jednej chwili, skrzętem ciała prześlizgując się przez liany

gdzieś, gdzie tracę je z oczu.

S erce wali mi jak młotem. To coś mnie wystraszyło... choć może to ja je spłoszyłam. Takie samo zwierzę widziałam, idąc przez dżunglę ze Spingate. Z tak bliska jednak zobaczyłam je dokładniej. Wyglądało, jakby trzymało coś w garści... może jakiś kij?

W spinam się wyżej.

P ień się zwęża, gałęzie robią się cieńsze. Docieram na samą górę – tutaj pień jest już tak szczupły, że chwieje się pod moim ciężarem.

Z upełnie jakby bogowie naprawdę istnieli i chcieli mi pomóc, wiatr nagle cichnie, a resztki mżawki ustają. Jeden z dwóch księżyców wyrывa się chmurom i zalewa dżunglę rdzawoczerwoną poświatą.

W yteżam wzrok ponad drzewami.

– Och... o nie.

W idok zasłaniają mi w większości korony drzew, ale w przerwach między nimi widzę tyle Skoczków, że wygląda to, jakby przemieszczało się całe poszycie dżungli.

S koczki poruszają się jednym szeregiem, ramię w ramię, jakby w marszu, tyle że nie idą, a równocześnie podskakują. Szereg ciągnie się w dal. Nawet nie widać, gdzie się kończy.

Cz ęść Skoczków niesie muszkiety. Większość – broń innego rodzaju: siekiery, noże, miecze i włócznie.

Z a pierwszym szeregiem – drugi.

I trzeci.

S ą ich t y s i ą c e. Ich przewaga liczebna nad naszymi jest druzgocząca. Jedyłą nadzieję na przetrwanie mogą nam dać maszyny bojowe.

S koczki podchodzą bliżej. Będę musiała się wycofać, bo inaczej nie uda mi się zejść niepostrzeżenie.

Z araz... pośrodku, na wprost mnie, za drugim szeregiem: Skoczki siekają

pnącza i ścinają drzewa, usuwają poszycie lasu. Za nimi ciągnie się rdzawoczerwona smuga – czyszczą z roślinności jakąś starą drogę.

Na tej drodze coś widać. Mrużę oczy, wychylam się w przód, jakby te kilka dodatkowych centymetrów robiło jakąś różnicę. Rozpoznaję te kształty. Zabawka, którą pokazywał mi Bharka, ta z długim, prostym, drewnianym ogonem, wózek, którym przewrócił pająka... to wcale nie była zabawka. To był model czegoś prawdziwego.

Te pojazdy, które widzę, są za duże, żeby nazwać je „wózkami” – już chyba „wozy” byłoby lepszym określeniem. Szkieletowe struktury, tyczki namiotów pozbawione płacht zawadzają o zwieszające się z góry gałęzie. Cienkie, proste ogony wystają na długość dwa razy większą od długości samego wozu.

W ozy są dość duże, żeby zmieściło się na nich kilka Skoczków, ale nikt na nich nie jedzie. Zamiast tego po pięć Skoczków z każdej strony pcha te wozy popękaną, wyboistą, świeżo uprzątniętą drogą.

S koczki ruszyły na nasze miasto. Są gotowe zmierzyć się z pająkami i wygrać.

R ozniosą naszych na strzepy – muszę wracać, muszę ich wszystkich ostrzec.

S zeregi Skoczków skręcają w jednym kierunku...

O dwracam się i oglądam, widzę wyrastające z dżungli miasto Uchmal. O nie... nie damy rady z O'Malleyem wrócić do bram miasta tak, żeby Skoczki nas nie wykryły. Nasza jedyna szansa ucieczki to podążać dalej ścieżką tak szybko, jak tylko się da.

Do kościoła Skoczków... do piwnicy, w której Bharka ukrył Spingate i mnie.

Z za chmur wyślizguje się drugi księżyc Omeyocana, rzucając na dżunglę dodatkowe, bladoniebieskie światło. Jest za jasno – jeśli choćby jeden z tych tysięcy Skoczków podniesie wzrok, zobaczy mnie tutaj.

R uszam w dół, zsuwam się naprawdę szybko. Moje ręce i nogi ślizgają się

na mokrej korze. Uderzam się w kolano, potem w goleń, ale mimo bólu nie zwalniam tempa. Noga ślizga mi się po raz trzeci, spadam na gałąź, która obija mi żebra. Nie mogę się zatrzymać – jeśli teraz przystanę, już po nas.

G ałęzie, liany, nogi, ręce... coraz szybciej i szybciej.

K iedy docieram na najniższą gałąź, widzę, że O'Malley klęczy, do połowy schowany za szerokim pniem. Opadam na ziemię obok niego, czuję rytmiczne *łup-łup-łup* maszerującej armii.

– Em, musimy się zwijać!

Tym razem nie mam mu za złe podszeptów.

W yglądam zza pnia drzewa. Przez gęste poszycie widzę, jak nadchodzą – szereg obcych żołnierzy sady wielkimi susami wprost na nas, lawiruje między drzewami, znika w dole na stokach obrośniętych przez dżunglę kraterów po to tylko, żeby wyskoczyć po ich bliższej nam stronie.

K iedy odwracam się i biegnę, O'Malley jest tuż za mną. Gnamy ścieżką, pochyleni jak najniżej. Dzięki butom na nogach szybko pokonujemy dłuższy dystans, na tyle długi, że zaczynam myśleć: udało nam się zwiać.

I wtedy słyszę przeciągły, buczący głos rogu.

Spostrzegli nas.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Pędzimy przez niekończące się, porośnięte dżunglą ruiny, starając się ze wszystkich sił utrzymać na ścieżce. Zwisające z góry liany i liście osaczają nas, chłoszczą, przemaczają kroplami mżawki, która spływa nam na włosy i ścieka po twarzach pod kombinezony.

B lask błyskawicy. Dwie sekundy później – grzmot. Zupełnie jakby od tego ogłuszającego dźwięku oberwały się chmury, znów rozpętuje się ulewa.

G ranie rogu niesie się echem pośród drzew.

Ś cigają nas.

C hyba jesteśmy trochę szybsi od Skoczków, ale na tym nierównym, podmokłym gruncie one zachowują równowagę lepiej niż my, bo wybijają się i lądują obiema nogami równocześnie. Ja tymczasem już się raz przewróciłam i walnęłam brodą o jakiś korzeń drzewa. O'Malley wywalił się dwa razy. Krwawi z rozcięcia na skroni. Przy każdym upadku podrywamy się, zanim stracimy impet. Jesteśmy przemoczeni, ubłoceni i pędzimy na wyścigi ze śmiercią.

P róbuje zorientować się, gdzie jesteśmy, ale cała dżungla wygląda tak samo. Czy już dobiegliśmy do kościoła? Czy go minęliśmy?

N ocne niebo rozcina podwójny puls błyskawicy i w trwającym ułamku sekundy rozbłysku w końcu ją widzę: wieżę z kręgami oznaczonymi sześcioma kropkami.

S kręcąc ze ścieżki, biegnę na złamanie karku przez zarośla. Słyszę, jak za mną przedziera się przez nie O'Malley.

W chodzimy do ciemnej wieży. Pusto. O'Malley cicho zamyka podwójne drzwi, a ja po omacku podchodzę do ściany, omijając posągi, aż trafiam na klapę w podłodze. Otwieram ją i ponagliam O'Malleya, żeby zszedł do kryjówki.

N a zewnątrz znowu słyszę róg. A potem drugi, odpowiadający mu z przeciwnego kierunku – z tak bliska, że musiał to być ktoś, kto był na ścieżce tuż przed nami. Czy widział, jak tu wchodziliśmy?

O 'Malley zbiega po skrzypiących schodkach, staje po kolana w wodzie. Schodzę po kilku stopniach, powoli opuszczam klapę, ostrożnie układam ją na swoim miejscu, po czym dołączam do niego.

Z zewnątrz dochodzą chrząknięcia i świergot: Skoczki są blisko.

W yglądam przez szparę po brakującej desce. W wąskim snopie księżycowego światła widzę dwie niebieskie nogi obwiązane paskami materiału. Są tak blisko, że mogłabym wyciągnąć rękę przez otwór i ich dotknąć.

S łyszmy, że Skoczki rozmawiają.

N ad naszymi głowami skrzypi podłoga. Skoczki są co najmniej trzy – jeśli nas znajdą, już po nas.

O'Malley bierze mnie za rękę zimną, wilgotną dłonią. Jego uścisk jest mocny, palce silne. Jest spokojny, pogodzony z sytuacją. Muszę przyznać, że tego się po nim nie spodziewałam. Myślałam, że spanikuje albo zrobi coś głupiego, przez co nas zdradzi, tymczasem czerpię siłę z jego nieustającej bliskości. W jego oczach czytam coś głębokiego i doniosłego: jeśli musi umrzeć, cieszy się, że ma okazję spędzić swoje ostatnie chwile ze mną.

P okochałam tego chłopca, jeszcze zanim się przebudził. Oglądał mnie jako pierwszą istotę na świecie. Czy będzie mnie oglądał także jako ostatnią?

Podłoga nad nami znowu skrzypi, to odgłos Skoczka przeskakującego z jednego miejsca w inne. Skrzypnięcia przemieszczają się w kierunku klapy

w podłodze.

P otem cichną.

Czekamy.

Znów wyglądam przez otwór, przez splątane pnącza. Żadnych nóg tym razem, tylko deszcz.

S toimy w miejscu, w ciszy i w bezruchu, przez długi czas. Każdy zwykły odgłos – kasznięcie, kichnięcie, cięższe westchnienie – może oznaczać naszą zgubę. Słuchamy, jak pada deszcz. Trwamy w oczekiwaniu.

Słyszę granie rogu. Odległe, ledwo słyszalne: nasz pościg ruszył dalej.

K iedy znowu słyszę skrzypnięcie podłogi, zaczynam się trząść.

K rótkie susy, każdy zakończony skrzypnięciem i każdy coraz bliżej klapy w podłodze. Jakiś maruder? A może cały ich szwadron, pięć albo więcej Skoczków, z nadzieją na wypłoszenie nas stąd i wystrzelanie? Jeśli to tylko jeden Skoczek albo dwa, może mamy jakąś szansę.

Z aciskam obie ręce na łopacie. O'Malley dotyka rękojeści noża.

Może zginiemy, ale łatwo się nie damy.

Kłapa unosi się powoli. Za nią – ciemność, chyba jakiś ruch... jakiś Skoczek. Odnalazły nas. Skoro my nie widzimy ich, one nie widzą nas. Czekam, sprężona do skoku, do ataku. Kiedy zaskrzypią schody, zdzieję wroga z całej siły ostrzem łopaty.

Nie mogę oddychać, n i e ś m i e m oddychać.

– *Hem?*

T ylko jedna sylaba – a spływa po mnie ulgą, od której prawie ścina mnie z nóg.

To Bharka po nas przyszedł.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Wchodzę po schodach, przemoczona i zziębnięta.

B harka odskakuje, dając mi trochę wolnej przestrzeni.

N ie jest sam.

S ą z nim trzy inne Skoczki; wszystkie mają zdrową, młodą, fioletową skórę tak jak on. Lahfę poznaję od razu i po rysach twarzy, i po drewnianych łubkach, w które ma włożoną nogę. Wykrzywia twarz w grymasie, który wygląda mi kropka w kropkę na kichnięcie kosmity, po czym wydaje z siebie ten śmiech brzmiący jak tłuczone szkło.

– *Hem!* – wykrzykuje.

D wa pozostałe Skoczki mają wielkie oczy, ich dłonie nerwowo przebierają trzema palcami po muszkietach. Czy się boją? Czy ich przerażam? Kiedy O'Malley wychodzi po schodach i staje obok mnie, obie strzelby podrywają się w górę. Kurki zostają odwiedzione, lufy mierzą prosto w nas.

– Nie ruszaj się – mówi cicho O'Malley.

– Rany, genialna rada, *K e v i n i e!* Wielkie dzięki.

M oże to nie pora na ironię, ale czy on naprawdę uważa się za jedyną myślącą istotę na tej planecie?

L ahfa wskakuje między nas a strzelby szybkim susem, który ewidentnie sprawia mu ból z powodu złamanej nogi. Coś do tych nowych wrzeszczy – tylko to słowo oddaje okropny hałas, jaki wszczyna. Nowi odpowiadają mu podobnym wrzaskiem.

B harka wydaje z siebie jeden ostry krzyk. Wrzaski cichną. Dwa nowe

Skoczki opuszczają lufy muszkietów. Nie ma wątpliwości, kto w tej grupce rządzi.

– Widzę na własne oczy, a mimo to nie chce mi się wierzyć – szepcze O'Malley. – To znaczy, wiem, że nam o nich mówiłaś, ale... no wiesz, to nie są ludzie.

Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby O'Malley patrzył na coś z takim podziwem. Przygląda się każdemu Skoczkowi po kolei. Dwa nowe z takim samym zdumieniem przyglądają się nam.

Deszcz nie przestaje padać. Krople ciekące przez dziurawy dach tworzą drżące kałuże błota, takie same jak poprzednim razem. Sięgające nam do pasa posągi błyszczą wilgocią.

B harka przyskakuje do mnie, powoli wyciąga rękę. Widzę, jak palce ręki O'Malleya drgają, odruchowo kierując się ku wysadzanej klejnotami rękojeści noża.

– Nie – rzucam spokojnie, ale stanowczo. – Jak go wyciągniesz, już po nas. O'Malley całą siłą woli wstrzymuje dłoń.

B harka dotyka mnie w okolicy mostka. Spogląda na swoich przyjaciół.

– *Hem* – mówi.

Palec Bharki powoli sunie w stronę O'Malleya. Ten sztywnieje, jakby miał ochotę wrócić biegiem na schody.

– Nie waż się ruszyć – mówię, zmuszając się do uśmiechu. Potem przychodzi mi do głowy, czy nasze uśmiechy ich nie przerażają, całe to obnażanie zębów i mrużenie oczu.

O'Malley sam też błyska wymuszonym uśmiechem.

– A jeśli mają jakieś choróbka?

– Najwyżej pochorujemy się razem. Ani drgnij.

B harka końcem palca dotyka mostka O'Malleya. Potem patrzy na mnie wyczekująco.

– O'Malley – mówię, starając się wymawiać dźwięki jak najwyraźniej.
– Nazywa się O'Malley.

Bharka zaczyna mówić, przerywa. Porusza żabimi wargami, próbując wyobrazić sobie, jak wypowiedzieć to, co usłyszał.

– *Ohhh-malah* – mówi.

To proste przekręcenie śmieszy mnie do rozpuku. Powtarzam nazwisko wolniej, wyraźniej:

– O... Mal... ley.

Bharka bardzo się skupia.

– *O... ma... la?*

O'Malley rzuca mi zdumione spojrzenie. Obca istota właśnie wypowiedziała jego nazwisko – no, przynajmniej się starała – i nagle, tak po prostu, Bharka staje się o wiele mniej obcy niż jeszcze kilka chwil temu.

– O-ma-la – powtarza O'Malley. Śmieje się z zachwytem i z ulgą. – Jak na mój gust może być.

Cóż przychodzi mi do głowy. Wyciągam palec i sama trącam O'Malleya w mostek.

– Kevin – mówię.

Bharka myśli o tym przez chwilę, po czym powtarza:

– *Kevin*.

Twarz O'Malleya rozpromienia się.

– Idealnie!

– *Kevin* – mówi Lahfa.

– *Kevin* – powtarzają jednym głosem dwa pozostałe Skoczki.

K ręcę głową ze zdumienia.

– No jasne, jeśli czyjeś imię potrafią wymówić bezbłędnie, to oczywiście twoje.

Lahfa dziabie jednego z nowych Skoczków w pierś.

– *Tohdohbak* – oznajmia.

P owtarzam to imię najdokładniej jak umiem. O'Malley też.

L ahfa wskazuje ostatniego: ten ma na imię Rikis. Rikis chyba się cieszy, kiedy O'Malleyowi i mnie udaje się powtórzyć jego imię bez błędu. W zachwycie zaczyna przeskakiwać z nogi na nogę.

C hwila jest jak ze snu – przedstawiamy się obcym istotom, które zapewne są nastolatkami tak jak my. Śmiejemy się wspólnie. To coś zwykłego, naturalnego. Po co była komuś kiedykolwiek potrzebna jakaś przemoc, wojna i śmierć?

S koro te Skoczki są razem z Bharką, a nie resztą wojsk, może to nie żołnierze. Czy są za młodzi, żeby być na służbie? Skąd mam to niby wiedzieć? Jakiej by roli nie pełnili, nie mam teraz czasu się o to martwić – idzie wojna i trzeba ją powstrzymać.

J ak mam to przekazać Bharce?

U daję, że rysuję coś na otwartej dłoni, wskazuję na torbę Bharki. Rozumie mnie w lot, podaje mi skrawek tkaniny i pałeczkę węgla drzewnego. Rozkładam materiał płasko na suchym kawałku podłogi. Wskazuję na Bharkę, stawiam jeden znaczek. Wskazuję na Lahfę, rysuję drugi. Potem stawiam po jednym znaczku dla dwóch pozostałych Skoczków.

P odnoszę wzrok na Bharkę, czekam, żeby upewnić się, że rozumie.

Lahfa rozumie pierwszy.

– *Kayat* – mówi, wskazując na siebie, potem wskazuje Bharkę: – *dzeg* – i na pozostałe Skoczki: – *nar, bodek*.

– Liczy – domyśla się O'Malley. – To ich słowa na określenie liczb od jednego do czterech.

P roste rachunki, proste rysunki. Rozumieją.

C hcę powiedzieć Bharce, że widziałam wojska Skoczków. Macham ręką z grubsza w stronę Uchmalu. Zaczynam stawiać znaczki najszybciej, jak

umiem: równoległe, krótkie, ciasno, żeby zmieściło mi się ich dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści.

Wskazuję na te znaczki. Wskazuję na muszkiet Bharki. Wskazuję na swoją głowę.

– Bach – mówię. Opadam na ziemię i udaję, że nie żyję.

Dwa nowe Skoczki odskakują, jazgocząc coś między sobą.

Bharka ucisza je szybko.

Wyciąga ze swojej torby mały rulon, rozwija – to mapa Uchmalu. Mało dokładna, ale widzę na niej rzekę, wodospad, duże główne drogi, w większości koliste mur miasta. Góry na zachodzie, jezioro na północy, polanę w kształcie półksiężyca na północnym wschodzie. Wszystko to widziałam ze szczytu Obserwatorium – ciekawe, czy tam też był Bharka, kiedy rysował tę mapę.

S koczek kładzie mapę na podłodze, potem ćwierka jakieś polecenie. Rikis i Tohdohbak rzucają się do gruzowiska. Każdy z nich przynosi stamtąd garść kamieni.

Bharka ujmuje jeden z nich w dwa palce. Przesuwa nim w powietrzu, wydając ustami dziwny odgłos – jak mały chłopiec, który udaje dźwięk silnika rakiety.

Ustawia kamień na mapie i spogląda na nas.

– Wahadłowiec – stwierdza O'Malley. – W tym miejscu jest lądowisko. Doskonale wiedzą, gdzie jesteśmy.

Czy przez cały czas wiedziały? Przypominają mi się słowa Aramowskiego o tym, że Skoczki mogą zaatakować nas w każdej chwili, kiedy im się żywnie podoba.

Bharka stuka w moją grupkę znaczków, potem kładzie trzy kamienie za murami miasta, na skraju polany w kształcie półksiężyca. Znowu sięga do torby, wyciąga trzy małe drewniane pająki. Ustawia je po drugiej stronie

polany. Spogląda na mnie, czeka.

– To pewnie miejsce, w którym Skoczki chcą podjąć walkę – mówię.

O'Malley nachyla się bliżej.

– Trzy pająki. Ale Skoczki porwały pająka Coyotla, prawda? Nie powinno być tylko dwóch?

– Może Bharka nie wie, że jednego już nie mamy. Nie wyruszył razem z wojskiem, więc może nie jest żołnierzem?

K rôlewicz przesuwa trzy kamienie oznaczające siły Skoczków na środek polany. Potem na spotkanie z nimi przesuwa trzy pająki.

W yciąga kolejne drewniane zabawki, tym razem te wozy na kółkach. Ustawia je na mapie, w dżungli za polaną, po Skoczkowej stronie pola bitwy. Potem zaczyna ustawiać kamyczki obok wozów. Dziesiątki kamyczków. Kolejne kładzie na flankach, a jeszcze więcej w dżungli na tyłach pająków.

– Pułapka – mówię. – Pokażą tylko trochę swoich wojsk, wywabią pająki na otwartą przestrzeń. Potem otoczą naszych ze wszystkich stron. Zmiażdżą nas.

Od jak dawna pająki dokonują rzezi na Skoczkach? Od jak dawna Skoczki czaiły się pod ziemią, czekając na swoją okazję do walki? I oto zjawiamy się my, zaczynamy kierować pająkami, odtąd maszerują według naszych rozkazów. Może to na tę chwilę czekał od lat gatunek Bharki – na okazję, żeby zgromadzić wszystkie pająki w jednym miejscu, żeby stoczyć z nimi jeden ostateczny bój.

Nie wiem jeszcze, jak zwabią Aramowskiego na tę polaną, ale nie wydaje mi się, żeby musieli bardzo się starać. Nawet jeśli Bishop dostrzeże pułapkę, czy go ktokolwiek posłucha? Aramowski ma pełną kontrolę nad wszystkim. Przecież już powiedział, że chce ruszyć w dżunglę i wypowiedzieć Skoczkom wojnę – tyle że przy okazji wywoła rzeź naszych.

Bharka szkicuje ostatni rysunek: kilka kresek, półkole i już, gotowe –

ziggurat ze wschodzącym za nim słońcem.

– Wschód słońca – wnioskuje O'Malley. – Planują zastawić pułapkę o świcie.

– Jak ją powstrzymać?

O'Malley nie odpowiada.

Biorę Bharkę za rękę. Z początku cofa ją, zaskoczony, ale może mój wyraz twarzy uspokaja go, że nie chcę zrobić mu krzywdy. Skórę ma ciepłą, chwyt silny.

– Musimy zapobiec tej bitwie – mówię. – Jesteś z królewskiego rodu czy coś. To ty musisz ich powstrzymać.

O'Malley unosi brwi.

– Z królewskiego rodu?

– Coś w tym rodzaju – mówię. – Ten, który – jak sądzimy – jest ich przywódcą, ma taki sam naszyjnik jak Bharka. To jedyne dwa Skoczki, które widzieliśmy z tego rodzaju ozdobą.

Na twarzy O'Malleya pojawia się znajoma kamienna mina.

– Aby zapobiec bitwie, musimy zaprezentować jednolity front – mówi. – Ty poprosisz o pokój naszych, Bharka swoich.

– Ale Aramowski wygrał głosowanie. Byłeś przy tym, nie będzie chciał mnie słuchać. A nie wiemy, czy ojciec Bharki – a może jego matka – wysłucha jego.

O'Malley sięga do mapy, cofa pająki na skraj polany, potem robi to samo z kamykami oznaczającymi Skoczki. Obie strony ponownie szykują się do bitwy. O'Malley przechodzi na zrównaną z ziemią część podłogi, szukając czegoś konkretnego.

– Skoczki nienawidzą nas z powodu tego, co robili Starsi i co robią pająki – mówi. Pochyla się, podnosi coś z ziemi. – Wielu naszych nienawidzi Skoczki z powodu śmierci Viski i podsycania wrogości przez Aramowskiego.

Podnosi jeszcze coś, czego nie widzę. Powraca do mapy.

– To podstawowe powody – stwierdza – choć na dobrą sprawę nienawidzimy się nawzajem najbardziej dlatego, że tak się różnimy. Różnice przerażają. Potrzeba nam gestu, który zademonstruje, że wcale tak bardzo nie różnimy się od siebie. Gestu, który będzie niósł jasny przekaz: że nikt nie musi ginąć, że możemy się ze sobą dogadać.

T rzyma w dłoni dwa drobiazgi: ukruszony kawałek zielonego szkła i coś, co kiedyś było może małą monetą.

O'Malley macha monetą w stronę Bharki.

– To jesteś ty. – Potem macha w moją stronę odłamkiem szkła. – A to ty.

K ładzie monetę i szkiełko obok siebie pośrodku polany, dokładnie między dwiema wrogimi armiami.

– Wy oboje, razem – ciągnie. – Pokażcie obu armiom, że możemy mieć dobre relacje. Jeśli nasi będą chcieli walczyć, będą musieli pokonać ciebie, Em. Jeśli będą chcieli walczyć ludzie Bharki, będą musieli pokonać jego.

Wyobrażam sobie szeregi Skoczków z ich muszkietami, nożami, siekierami. O'Malley prosi mnie, żebym stanęła na środku tej polany twarzą w twarz z nimi, kiedy rzucą się przed siebie, żądni krwi, chcąc nas zabić i odzyskać swoją planetę.

S poglądam na Bharkę. Wpatruje się w mapę. Pewnie wyobraża sobie, że stoi na tej polanie obok mnie, gapi się na gnające ku niemu mechaniczne potwory, te same maszyny, które zabiły jego brata albo siostrę, które zagnały jego lud pod ziemię.

C zy znajdzie w sobie dość odwagi, żeby tam stanąć?

A ja?

C zy w ogóle mamy jakiś wybór?

Z a kilka godzin wzejdzie słońce. Mogłabym wrócić na wahadłowiec, ale już raz próbowałam wyperswadować naszym wojnę – nie udało mi się.

Aramowski ma zbyt duże poparcie. I mam silne przeczucie, że gdyby Bharka mógł sam zapobiec wojnie, już by to zrobił.

O'Malley powoli sięga do pasa. Widzę, jak Rikis i Tohdohbak sztywnieją, ale O'Malley nie wyciąga noża – odpina całą pochwę ze schowaną bronią. Kładzie ją przed Bharką. Unosi obie ręce, pokazując puste dłonie, cofa się o krok.

– Pokój – mówi. – Pokój.

T o niewiarygodnie proste skojarzenie: puste ręce, pokazanie, że nie ma się w nich broni. Nóż jest niebezpieczny; O'Malley mógł go użyć, by zaatakować, tymczasem demonstracyjnie przekazuje go istocie, która mogłaby być jego wrogiem i użyć noża przeciw niemu.

O'Malley jest nieuzbrojony. Bezbронny.

Bharka patrzy na tkwiący w pochwie nóż. Wyciąga zza pasa topór, ten sam, którym rozrąbał na kawałki potwora z węzotrąbą. Podaje topór O'Malleyowi rękojeścią naprzód.

O ba gesty są jednoznacznym wyrazem zaufania.

O'Malley przyjmuje topór. Kłania się.

– Dziękuję – mówi.

Bharka, być może królewicz Skoczków, podnosi pochwę z nożem O'Malleya i wsuwa ją sobie za pas. O'Malleyowi chyba nie do końca o to chodziło, ale może taka wymiana broni oznacza dla Skoczków coś konkretnego.

Bharka podnosi z mapy szkiełko i monetę. Zaciska je w pięści, obraca się do mnie całym ciałem. W tym ruchu jest coś rytualnego, jakby chciał się upewnić, że rozumiem jego poważne intencje.

– Pokój – mówi. – *Hem, pokój.*

L ahfa wydaje śpiewny pisk, od którego aż podskakuję. Bharka i dwa pozostałe Skoczki przyłączają się do niego. Zerkam na O'Malleya. Robi

wielkie oczy, wzrusza ramionami.

Ś piew ustaje. Każdy ze Skoczków sięga do swojej torby i wyciąga różnego rodzaju jedzenie: długie warzywo przypominające białą marchewkę; garść jagód w zawiniątku z materiału; kawałek suszonego mięsa; i wreszcie coś, co przywołuje mi na myśl skład żywności i zatrucie Farrara: wszystko jedno, czy to są obcy, czy nie, widzę okrągły, grudkowaty kształt ciasteczka domowej roboty.

U dało mi się zapomnieć o głodzie, zmusić go, żeby się gdzieś ukrył. Teraz jednak daje o sobie znać, nieodparcie i na całego.

S koczki rozdzielają swoje porcje jedzenia na pół, wręczają nam połowę. Mnie trafia się suszone mięso i pół ciastka; O'Malley dostaje trochę jagód i kawałek marchewki.

– To rodzaj ceremonii – mówi. – Dzielenie się jedzeniem, śpiew. To pewnie należy do tego samego rytuału, co wzajemna wymiana broni.

W ącham ciastko. Od zapachu mój głód dostaje skrzydeł.

– Jeśli nie zjemy, mogą się obrazić – mówi O'Malley. – A nie wiemy, czy się nie strujemy.

Z nów wącham ciastko, wyczuwam ślad zapachu fioletowych owoców.

– Mamy tylko jeden sposób, żeby się przekonać – zauważam.

Z acnę od deseru, a co! Wsadzam ciastko do ust. Faktycznie jest słodkie – jednocześnie kruche i ciągliwe. Ma może trochę dziwny posmak, ale w sumie jest fantastyczne. Choć może w s z y s t k o smakuje fantastycznie po dwóch dniach niejedzenia.

– No tak – wzdycha O'Malley. – Jeśli ich jedzenie nie jest bezpieczne, to i tak pomieramy z głodu.

B ierze wielkiego gryza marchewki. Rusza szczękami raz, drugi, i z zadowolenia aż przymyka oczy.

– Ale dobre! – mówi. – Prawdziwe, autentyczne j e d z e n i e.

W gryzam się w mięso. Jest tak ostro przyprawione, że trochę pali mnie w język, ale co tam. Zjadam je w całości.

S koczki też jedzą, ale – mimo wielkich ust – zaskakująco wykwinicie, drobnymi kęsami. Jakoś dziwnie patrzą na mnie i O'Malleya. Może sposób, w jaki jemy, uznają za obrzydliwy. Zerkam na O'Malleya – uśmiecha się, żuje z szeroko otwartymi ustami. Po brodzie ścieka mu sok z jagód.

N o, kto jak kto, ale on je jak fleja.

P rzypomina mi się paskudna przygoda Farrara. Jeśli to jedzenie ma mi zrobić to, co jemu, nie potrwa to długo. Zamykam oczy, czekam, aż zacznę się dusić.

N ie zaczynam.

J edyną przykrością, która mi się przytrafia, jest jeszcze głośniejsze burczenie w brzuchu.

Z a d z i a ł a ł o. Możemy jeść ich żywność. Gdybyśmy tylko dowiedzieli się, skąd wziąć te fioletowe owoce, jak je zbierać, główny powód wojny Aramowskiego przestałby istnieć.

– O'Malley, umiesz rysować?

– No pewnie.

Wskazuję materiał, na którym stawiałam znaczki.

– Narysuj ten fioletowy owoc, który przyniosłam na wahadłowiec. Szybko.

O 'Malley zaczyna bez wahania. Rysuje lekko, delikatnie, precyzyjnie. Kształt owocu wychodzi mu wprost idealnie. Dodaje cieniowanie – teraz owoc wygląda tak realistycznie, że prawie mogłabym go zerwać.

B harka zaczyna tupać lewą nogą. Pewności nie mam, ale to chyba znaczy, że jest zachwycony.

S tukam palcem w rysunek, patrzę na królewicza Skoczków.

– To – mówię. – Gdzie to znajdziemy?

P rawie na pewno rozumie, o co mi chodzi, ale patrzy na mnie dziwnie –

jakby myślał, że żartuję.

P laskam dłonią w rysunek.

– P r o s z ę cię. Gdzie to znajdziemy? Pokaż nam!

B harka spogląda na Lahfę. Ten kuśtyka do podwójnych drzwi, pokazuje gestem, żeby iść za nim.

N a dworze przestało padać. W blasku bliźniaczych księżyców dżungla wygląda dość upiornie.

L ahfa, kulejąc, podchodzi do drzewa, klepie je. Podnoszę wzrok, szukam w górze fioletowych owoców. Nie widzę.

– Gdzie one są? – pyta O’Malley. – O, nie! Może to nie ten sezon?

Rikis i Tohdohbak jazgoczą odgłosem tłuczonego szkła: śmieją się z nas.

O ba Skoczki jednym susem lądują przy drzewie. Chwytają rękami jedną z lian, które ciasno otulają pień. Ciągną razem raz i drugi – przy trzecim szarpnięciu pnącze odrywa się od drzewa razem z kawałkami kory. Rikis wyciąga nóż, przecina lianę na poziomie oczu. Jej odcięty koniec zwisa z góry, przytrzymywany przez resztę rośliny wijącej się wyżej wśród gałęzi.

– Może myśleli, że chodzi nam o coś innego – mówi O’Malley. – Mam iść po rysunek?

O dpowiedziałabym mu, gdybym nie to, że właśnie wstrzymuję oddech.

R ikis i Tohdohbak łapią za tę część pnącza, która wyrasta z ziemi. Liczą razem – „*kayat, dzeg, nar*” – i ciągną. Mokra ziemia u podstawy pnącza rozrywa się, unosi odrobinę.

– To niemożliwe – mówię. – Przez cały ten czas mieliśmy je tuż pod nosem?

O’Malley spogląda na mnie.

– Nie rozumiem.

– *Kayat, dzeg, nar!* – Skoczki znowu ciągną. Ziemia puszcza. Zataczają się w tył z pnączem w rękach. Z jego końca zwisa fioletowy owoc, z którego wystają pasma białych włókien; i ich, i powierzchni owocu czepiają się grudy

ziemi.

– Szukaliśmy nie w tym miejscu – zauważa ze zdumieniem O’Malley. – To wcale nie jest owoc, tylko k o r z e ń.

K orzeń pnączy i lian pokrywających ulice miasta, drzewa w dżungli, budynki, ruiny... klucz do naszego przetrwania przez cały ten czas mieliśmy wszędzie wokół nas.

– Pnącza są wszędzie – rzuca O’Malley, jakby odbijał echem moje myśli. – Aramowski ciągnie nas na wojnę o coś, co jest w s z ę d z i e jak okiem sięgnąć.

W ojna.

P atrzę w nocne niebo. Gdzieś na wschodzie – pierwsze ślady czerwieni; do świtu pozostała może godzina.

– Bharka, musimy iść – mówię. Wyciągam rękę, dotykam jego pięści, w której nadal trzyma jeszcze monetę i szkiełko. – Musimy zapobiec bitwie.

B harka wyszczekuje rozkazy. Rikis szybkimi susami znika w budynku, wychodzi z mapą i O’Malleyowym rysunkiem owocu. Rikis zatrzymuje mapę – Bharka bierze rysunek owocu, zwija go w rulon i starannie chowa do torby.

K rólewicz Skoczków przez chwilę się waha. Patrzy na zatknięty za pas nóż, wodzi po rękojeści palcami, jakby podziwiał broń równocześnie wzrokiem i dotykiem.

P otem wyszczekuje kolejne rozkazy.

R ikis i Tohdohbak rzucają się w dżunglę, w kierunku ścieżki. Bharka rusza za nimi, wskazując nam gestem, żebyśmy z nim poszli. Lahfa zdejmuje z ramienia muszkiet i człapie za nami ciężko jako utykająca tylna straż.

R azem wyruszamy powstrzymać wojnę.

I, miejmy nadzieję, nie dać się przy tym zabić.

* * *

I dziemy przez dżunglę. Choć jest jeszcze ciemno, już zaczyna robić się gorąco. Bezkresne, zarośnięte ruiny otula gęsta mgła, jarząca się blaskiem bliźniaczych księżyców.

R ikis i Tohdohbak idą na czele – upewniają się, że ścieżka jest bezpieczna. O’Malley i ja trzymamy się blisko Bharki. Na tyłach Lahfa z trudem dotrzymuje nam kroku.

Grzęzniemy nogami w płytkim błocie. Idąc, rozsmarowuję je sobie na twarzy, owijam się nowymi lianami, wcieram ich sok w skórę i we włosy. Jeśli coś pójdzie nie tak, chcę móc szybko rozpułnąć się w dżungli.

O ’Malley się do mnie uśmiecha.

– Ocalimy wszystkich – zapewnia mnie. – Mam silne przeczucie.

Ś wiatło księżyców zdaje się osadzać w jego niebieskich oczach, dodaje im blasku. Przy tym wszystkim, co się działo w ciągu ostatnich kilku dni, zdążyłam zapomnieć, jaki on jest piękny. Nie jest wojownikiem, a mimo to stanął twarzą w twarz ze śmiertelnym zagrożeniem, żeby być u mojego boku. To w pewnym sensie odważniejsze niż wszystko, co zrobił dotąd Bishop.

O ’Malley – K e v i n – spostrzega, że mu się przyglądam. Uśmiecha się niezręcznie, po czym kręci głową i wraca wzrokiem do ścieżki.

– Co? – pytam. – Co cię tak bawi?

– Nic.

– No nie, weź powiedz.

K iedy spogląda na mnie ponownie, już się nie uśmiecha.

– Wyznałem ci, że cię kocham – mówi. – Ale ty mi nie powiedziałaś, co do mnie czujesz.

O puszczam wzrok, patrzę na swoje stopy, buty plaskające w ścieżkę. Dlaczego mu nie powiedziałam, co czuję? Bo nie wiedziałam na pewno. Nadal nie wiem. Poza tym jest wojna, której musimy zapobiec.

– To nie jest dobry moment do rozmowy na ten temat – mówię mu.

Część światła znika z jego oczu. Znowu się uśmiecha, ale już nie tak bosko jak wcześniej.

– Pewnie nigdy nie ma na to dobrego momentu – zauważa. – Powstrzymamy tę bitwę i potem co? Musimy zebrać jedzenie, nauczyć się, jak korzystać z fioletowych korzeni, naprawić wszystkie maszyny, jakie się da naprawić, policzyć się z Bello... Zawsze coś nam przeszkodzi, Em.

– Wojna to nie jest zwykłe coś. Możemy skupić się teraz na niej?

O 'Malley przebiera palcami po toporze, który dał mu Bharka.

– Nie szkodzi – mówi. – Już rozumiem. Chcesz być z Bishopem.

O ch, rany b o g ó w – ależ ci chłopcy mnie wkurzają.

– Wcale tego nie chcę.

Unosi brew.

– Poważnie? Bo dałbym się na to nabrać.

P rzyśpiesza, wyprzedza mnie i zrównuje się z Rikisem.

– Hej – odzywa się do niego z wymuszoną wesołością – jak się dziś miewa mój ulubiony nieczłowiek?

R ikis parska tym ich śmiechem brzmiącym jak tłuczone szkło, wyraźnie zachwycony, że mówi do niego kosmita.

O 'Malley wyznał mi, że mnie kocha. Bishop nie. Czy to dlatego, że Bishop nie potrafi się na to zdobyć... czy ponieważ mnie nie kocha?

– *Hem?*

B harka nachyla się bliżej, trzepocze powiekami. Rozumiem od razu, że tym pytaniem bada, czy nic mi nie jest. Oba nasze gatunki różnią się diametralnie, a jednak jakimś cudem potrafimy nawzajem odczytywać i rozumieć swoje intencje. Skoro to umiemy, damy radę przełamać wszelkie bariery językowe.

– Nic mi nie jest – odpowiadam. – Dziękuję.

Bharka wskazuje przed nas, wzdłuż ścieżki.

– *Kevin?*

O co tym razem pyta? Czy O'Malleyowi nic nie jest? A może o to, czy O'Malley wytrącił mnie z równowagi? Tak czy siak, jedyną odpowiedzią, jakiej mogę mu udzielić, jest wzruszenie ramion. Wątpię, żeby Bharka wiedział, co ten gest oznacza, ale jeśli planuje spędzać czas z nastolatkami rodzaju ludzkiego, to powinien domyślić się dość szybko.

Dlaczego Matylda, kiedy mnie stwarzała, nie mogła po prostu odprogramować mi tych głupich emocji? Życie jest wystarczająco ciężkie bez martwienia się o to, kto się komu podoba.

Może powinnam pogadać z O'Malleyem. Kiedy powiedziałam: „Wcale tego nie chcę”, może chciałam tak naprawdę powiedzieć: „Sama nie wiem, czego chcę”. O'Malley ma swoje wady, pewnie, ale wspiera mnie na każdym kroku, praktycznie od samego momentu przebudzenia. Popiera mnie. Wierzy we mnie. I, inaczej niż Bishop, nie kryje się z tym, co do mnie czuje, tylko mi o tym mówi.

Przez cały czas jesteśmy w sytuacji tak koszmarnej i tak szalonej, że może sama nie wiem, czego chcę, bo nie miałam ani jednej chwili, żeby na serio się nad tym zastanowić. Teraz, kiedy akurat mam taką chwilę... może chcę tego samego, co O'Malley.

I to mnie przeraża.

W idę go przed sobą, jak idzie z Rikisem i Tohdohbakiem. Wokół nich snują się opary wiszącej w powietrzu mgły; nie widzę przez nie, co dzieje się dalej na ścieżce.

W tem długi ogon Rikisa unosi się pionowo do góry, usztywnia. Bharka chwyta mnie, powstrzymuje, nie czekając nawet, aż Rikis zrobi to samo z O'Malleyem. To zupełnie jak uniesienie w górę pięści przez Viscę albo Bishopa – niemy gest oznaczający, by natychmiast stanąć.

Daleko z przodu, we mgle, widzę dwie nadchodzące sylwetki. Ludzie. Nie widzę tylko, kto to.

O'Malley stoi bardziej z przodu. Pewnie widzi ich wyraźniej, bo woła:

– Coyotl, to ty?

– Hej, O'Malley.

Głos Coyotla – więc on żyje!

O'Malley wydaje z siebie okrzyk radości. Otwieram usta do identycznego okrzyku, ale Bharka ściska mnie mocno za ramię, pokazując mi, że mam się nie odzywać.

– Hej – odpowiada O'Malley z wyraźną emocją w głosie – czy jest z tobą Beckett?

Z mgły odpowiada mu inny głos:

– Tak jest.

Beckett? Obaj żyją? Więc może Müller też. Jeśli razem z Bharką i sekretem fioletowych korzeni uda mi się zabrać na pole walki także ich, władza Aramowskiego zniknie nagle jak ta parująca w dżungli mgła.

Mam ochotę do nich podbiec, ale Bharka mnie nie puszcza.

– Nie spodziewaliśmy się ciebie, O'Malley – woła Beckett. – Miałeś być gdzie indziej. Gdzie jest Em?

Dlaczego Beckett mówi: „Miałeś być gdzie indziej”? Czy zdążyli już wrócić na wahadłowiec? Ale skoro tak, po co Aramowski wysłałby Becketta, żeby mnie odnalazł? Beckett to zębata... nie nadaje się do wypraw po omacku przez wrogą dżunglę w środku nocy.

– Szczerze mówiąc, O'Malley – odzywa się Coyotl – to twój nowy kumpel wygląda bardzo, ale to b a r d z o paskudnie.

Na ułamek sekundy otaczająca nas mgła rozbłyskuje, jakbyśmy znaleźli się w chmurze z piorunami. Rozlega się wrzask Tohdohbaka – jego ciało rozrywa się na strzępy, które rozbryzgują się po okolicy.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Śmiertelny okrzyk Tohdohbaka odbija się echem od otaczających nas drzew. Oślepiające światło znika równie szybko, jak się pojawiło, ale w oczach pozostają mi tańczące plamki.

M yślę o El-Saffanich.

B harka wpada na mnie, zwalając mnie w prawo ze ścieżki. Przewracamy się boleśnie na mokre poszycie dżungli.

G ramolę się na nogi, przykucam, ściskając w rękach łopate. Atakują nas. Tohdohbak nie żyje. Musiał go zabić Coyotl albo Beckett. Przy wahadłowcu Bordżigin próbował naprawić działko na pająku. Czyżby mu się udało? Czy to działko jest jak bransoletki Starszych – ta broń, z której zabili El-Saffanich?

N ic nie widzę w tej mgle.

S łyszę, jak przerażony O'Malley wzywa pomocy.

S chylona nisko, ukryta w zaroślach, przesuвам się w stronę brzegu ścieżki. Bharka po mojej prawej robi to samo, ściskając w swoich dziwnych dłoniach muszkiet.

O ślepia mnie wybuch czerwonego światła, a równocześnie głuchy huk dzwoni mi w uszach, przewraca mnie na wznak. Świat wiruje wokół. Słyszę, jak któryś Skoczek krzyczy w męczarniach.

Przetaczam się na ręce i kolana, nie zwracając uwagi na ból, i powolnym pchnięciem podnoszę się z ziemi. Czuję słabość w nogach. Chwytam za łopate.

W idzę Bharkę, tkwi za lufą muszkietu wspartą poziomo na jakiejś powalonej kłodzie, której kontury zaciera niebieski mech, lśniący drobnymi

kroplami wilgoci. Kurek broni ma już odwiedziony. Próbuje znaleźć w tej mgle jakiś cel. Biegnę do niego, klękam obok.

W yglądam zza kłody – przez powietrze leci, wirując, coś czarnego wielkości ludzkiej pięści. Pada na ziemię, odbija się i wybucha z głuchym hukiem i błyskiem czerwonego światła – niewidzialny cios powala mnie do tyłu, w zarośla. Uderzam mocno w podłoże, przejeżdżam po nim kawałek, ląduję w gęstym krzaku.

Boli mnie każda część ciała. W uszach mi dzwoni. Ziemia chwieje się pod mną i bryka jak koń, mimo że leżę na niej rozciągnięta jak długa. Co się dzieje? Gdzie O'Malley?

C zyjs jęk: to Bharka, może o dwadzieścia kroków ode mnie, poturbowany, nieruchomy, leży na boku pod jakimś drzewem z muszkietem u boku. Jest ranny. Tylko razem możemy zapobiec wojnie – muszę mu pomóc, muszę go ochronić.

J akimś cudem udało mi się nie zgubić łopaty. Opieram się na niej, walczę, żeby odzyskać równowagę i ustać.

S łyszę czyjeś kroki. Przypadam do ziemi, chowam się w zaroślach.

W gęstej mgle ktoś zbliża się do Bharki. Czarny kombinezon. Coyotl? Beckett? Światło księżyców odbija się niebiesko i rdzawoczerwono od jego rąk i nóg. Nie, nie rąk i nóg... to refleksy na metalowej konstrukcji okrywającej jego ciało...

... ciało c z a r n e j a k s m o ła, sękate...

M ój świat rozpada się na kawałki... to nie jest czarny kombinezon.

P atrzę na jednego ze Starszych.

J est wielki, choć może nie tak wielki jak Bishop, i ma na sobie coś w rodzaju skafandra. Jego twarz zakrywa maska, pod przejrzystymi pęcherzami szkła widać czerwone oczy. Wzdłuż grubych rąk i nóg biegną pasy odbijającego światło metalu. Na prawym przedramieniu, tuż pod łokciem –

srebrna bransoletka z białym kamieniem, który jarzy się delikatnie; jej wydłużony kolec kończy się za nadgarstkiem.

T ohdohbaka nie zabiło działko pająka, tylko bransoletka. Dokładnie taka jak te, które zgładziły El-Saffanich.

W jednej straszliwej chwili wszystko staje się jasne. To, co nie dawało mi spokoju, wrażenie, że coś przegapiłam: Bello nie była sama na swoim pokracznym statku.

B rewer mówił, że Starsi nie mogliby przeżyć na Omeyocanie, nie mogliby oddychać powietrzem planety – nie przyszło mi do głowy, że mogliby przywieźć ze sobą własne powietrze.

N adpisana Bello była tylko zmyłką, niczym więcej. Skupiliśmy się na niej, podczas gdy p r a w d z i w e zagrożenie zeszło z pokładu pokracznego statku, zanim jeszcze do niego dotarliśmy. Kiedy posłałam tam Coyotla, Becketta i Müllera, Starsi pewnie ich pochwycili.

D o Starszego dołącza jakaś postać – to Beckett, ubrany w czarny kombinezon, z bransoletką na prawej ręce.

B eckett został nadpisany.

C oyotl też. Na pewno. A także Müller, jeśli jeszcze nie zginął.

B eckett razem ze Starszym ostrożnie zbliża się do Bharki. Mnie nie widzą. Jestem pokrytą kamuflażem czarną plamą kucającą w czarnym cieniu, schowaną pod liśćmi i pnączami.

M ogłabym chyłkiem uciec w dżungłę. Jeśli mnie złapią, nadpiszą mnie. Wszystko, czym jestem, zostanie skasowane.

Bharka porusza się niemrawo, jedno z jego trzech oczu to mokra ruina.

S tarszy przybliża się do niego o krok.

Z nów to mrowienie rozchodzące się po skórze głowy. Gniew wybucha we mnie jak bomba, po której w ziemi pozostaje krater. Nasi stwórcy... wszędzie, gdzie się zjawiają, niosą śmierć.

O wszem, mogłabym uciec, ale czas na uciekanie się skończył.

Jestem wiatrem...

Z apominając o bólu, pochylam się naprzód w pełnym skupieniu truchcie, który zmienia się w cichy bieg.

B harka z trudem usiłuje wstać; podnosi wzrok, widzi Starszego.

– Co za paskudne gady – mówi Starszy i wycelowuje bransoletkę prosto w twarz Bharki.

... jestem śmiercią.

P od moją nogą trzaska gałązka. Starszy ogląda się, widzi mnie, obraca rękę z bransoletką w moją stronę, ale pomarszczone ohydztwo jest za stare, za wolne.

U derzam łopata, wkładając w cios całą swoją siłę, masę i rozpęd. Ostrze łopaty przebija czarne gardło na wylot. Czuję, jak metal przecina kość, czuję dygot drewnianej rękojeści w momencie chwilowego oporu, a potem już jego brak.

W powietrzu koziółkuje głowa, ciągnąc za sobą łuk czerwono-szarej krwi. Maski odpada. Ciało, bezwładne i bez życia, osuwa się na poszycie dżungli. Głowa spada na ziemię, toczy się, zatrzymuje.

Beckett gapi się na nią z twarzą wykrzywioną przerażeniem. Ruszam ku niemu, ale momentalnie staję, bo błyskawicznie unosi rękę, mierząc kolcem bransoletki w moje serce.

Jest o pięć kroków. Za daleko – praktycznie już po mnie.

Beckett lekko opuszcza rękę, jakby zbity z tropu. Dlaczego nie strzela?

– Matylda? To ty pod całym tym brudem?

Z ostrza mojej łopaty ocieka czerwono-szara maź.

Daję krok przed siebie – Beckett natychmiast ponownie podrywa rękę. Staję jak wryta.

– Ach, oczywiście, jesteście Em – mówi. – Jakie to dziwne. Nie widziałem

tej twarzy z tysiąc lat. Ależ młodo wyglądasz. Choć z drugiej strony ja pewnie też wyglądam młodo.

To on – i nie on. Światła księżyców jest akurat tyle, żebym widziała jego rude włosy, opaloną skórę, symbol koła zębatego na czole. To skorupa w kształcie chłopca, którego znałam, ale w jej znajomych oczach płonie odwieczna nienawiść, istniejąca znacznie dłużej niż to ciało.

– Odejdź – mówię. – Zostaw nas. Wróc na swój statek i odleć na „Xolotla”. Nikt więcej nie musi umierać.

Kręci głową.

– Mam cię do niej zaprowadzić. Ale wiesz co? Jeśli jej skorupa umrze, stara jędra nie będzie mieć przyszłości. Nikt nie będzie słuchać kogoś, komu zostało tylko uschnąć i rozpaść się w pył. – Szczerzy się w krzywym uśmiechu. – Jeśli cię zabiję, wytworzy się próżnia władzy. A natura nie znosi próżni.

Białą kamień jego bransoletki rozjarza się jaśniej.

Z za moich pleców rozlega się grzmiące *bach!*

Beckett mruga zdezorientowany.

Z precyzyjnie okrągłej dziury w jego szyi bryzga krew. Nie szarawa i anemiczna, lecz żywo czerwona, tryska fontanną na poszycie dżungli. Beckett próbuje coś powiedzieć, ale nie udaje mu się wydać żadnego dźwięku. Robi jeden słaby krok przed siebie, a potem pada plackiem na twarz.

Przestaje się ruszać.

Beckett trzyma muszkiet na kolanach, z jego lufy jeszcze unoszą się pasma dymu. Próbuje ponownie naładować broń, ale każdy ruch sprawia mu wyraźną mękę.

Ściągam z bezwładnej ręki Becketta bransoletkę, wsuwam ją na własne przedramię. Kiedy obręcz prawie dochodzi mi do łokcia, coś w niej się kurczy, zaciska. Bransoletka przylega mi ciasno do ręki. Jej śmiercionośny kolec sterczy tuż za moim nadgarstkiem.

G dybym jeszcze tylko wiedziała, jak z tego cholerstwa strzelać...

Klękam przy Bharce.

– Idziemy. Możesz iść?

Jego środkowe oko to miazga, widok mrozący krew w żyłach. Dwoje pozostałych zielonych oczu mruga, spogląda na mnie, widzę w nich zrozumienie.

B harka próbuje włożyć do lufy pręt, krzywi się z bólu. Odkładam łopatę, biorę od niego muszkiet i pomagam mu. Wręcza mi kulę. Ją też wkładam do lufy, chowam pręt w przeznaczone dla niego miejsce, po czym oddaję muszkiet Skoczkowi.

Ustawiam przed nim lewą rękę otwartą dłonią do góry. Prawą wskazuję na niego, potem ustawiam jej dwa palce – wskazujący i środkowy – na lewej dłoni. Wykonuję nimi podskoki, próbując jak najlepiej oddać Skoczkowe susy.

– I d z i e m y – mówię. – Możesz? I d z i e m y?

– *Idziemy* – odpowiada. Zrozumiał. – *Hem, idziemy.*

Z łopatą w jednej ręce, drugą ręką podpieram Bharcę i staram się go unieść. Obcy wydaje z siebie ostre odgłosy bólu. Wybuch cisnął nim mocno o drzewo, może złamał mu coś w środku.

M uszę odprowadzić królewicza w bezpieczne miejsce – ale muszę też znaleźć O'Malleya.

Z za nas dochodzi kolejny błysk bieli, który rozświetla mgłę. Ilu jest tych Starszych? Wrogowie zdają się czaić wszędzie, jakby cała dżungla była z nich stworzona.

Zostajemy w zaroślach, poruszając się równolegle do ścieżki. Ciągnąc za sobą ciężkiego Skoczka, nie jestem już wiatrem. Jestem h a ł a s e m... Jestem ł a t w y m c e l e m...

W tem przed nami pojawia się martwy Skoczek z rozciętym brzuchem; rozbryzgi niebieskiej krwi i żółtawych wnętrzności rozciągają się po mokrych

pnącach i obumarłych liściach. Rozpoznaję zarys jego ust: to Rikis.

B harka wydaje z siebie żalospny jęk. Od tego dźwięku serce mi pęka.

K rólewicz wskazuje muszkiet leżący tuż przy ciele Rikisa. Kurek zamka jest odwiedziony. Broń jest naładowana.

H ałasy zsa naszych pleców: ludzkie krzyki i nawoływania, postaci idące we mgle. Poznają jeden z głosów – to Coyotl.

Bharka odsuwa mnie delikatnie. Staje na własnych nogach. Wskazuje na mnie, potem znowu na muszkiet Rikisa.

M am bransoletkę, ale nie umiem jej używać. Rzucam łopatę i podnoszę strzelbę.

B harka daje na próbę jednego susa przed siebie. Całe ciało wzdryga mu się z bólu, ale przezwycięża to, daje drugiego susa.

– *Hem, idziemy.*

Chce uciec. Chce się schować. Tak byłoby rozsądnie. Tak jak ja potrzebuję go do zakończenia tej wojny, zanim się zdąży zacząć, tak samo on potrzebuje, żeby udało mi się ujść stąd z życiem. Powinniśmy oboje uciekać w dżunglę, tak nakazuje rozsądek.

A le nie chcę zostawić O'Malleya.

M acham ręką w kierunku ścieżki.

– Odejdź – mówię. – Idź. Uciekaj.

W pozostałych mu oczach widzę desperację. Nie chce mnie tu zostawiać, ale nie jest zdolny do walki.

S zelest na prawo od nas. Oboje jednocześnie podnosimy muszkiety, celując w trzęsący się krzak – zsa ciemnych liści wyskakuje Lahfa.

W skazuję na niego, potem na Bharkę.

– Zabierz go stąd – mówię cicho do Lahfy. – Idź.

M oże mnie rozumie, a może tylko chce zabrać swojego królewicza gdzieś, gdzie jest bezpiecznie. Lahfa ciągnie Bharkę na ścieżkę.

J a tymczasem odwracam się i wbiegam we mgłę, kierując się ku zagrożeniu i O'Malleyowi. Jestem cała spięta, jak naładowana elektrycznością.

S łyszę jakieś głosy. Wślizgiem rzucam się w prawo, w zarośla, przykucam między dwoma wielkimi, powyginanymi liśćmi, które zapewniają mi całkowitą osłonę. Przez małą przerwę między nimi mam widok na ścieżkę. Otacza mnie mgła rozświetlona blaskiem księżyców. Miejsce jest idealne. Cienie są po mojej stronie.

– Zabiła Becketta! – To głos Starszego, mężczyzny. Słyszę go, ale nie widzę.
– I Viscę! Odcięła mu gł o w ę, do diabła! Zabiję tę małą sukę!

T en głos brzmi znajomo, ale nie potrafię go skojarzyć. Odpowiada mu inny głos, który znam na pamięć, od którego czuję dreszcze na całym ciele, na każdym centymetrze skóry:

– Ani mi się waż, Farrar.

T en głos... M a t y l d a.

T o ona była na pokracznym statku z Bello. Jest t u t a j. Przyleciała po mnie, żeby mnie skasować.

– Zrób jej krzywdę, a z g i n i e s z – ciągnie. Jej głos się zbliża. – Albo postaram się o to, żeby zginęła twoja skorupa. Będę patrzeć, jak rozsypujesz się w proch. Sprawdź, czy w okolicy nie ma więcej tego skaczącego robactwa, wytęp je, a potem ją schwytaj.

S łyszę odgłos stóp plaszczących w błoto, słyszę trzaskające gałązki – zbliżają się oboje.

N awet jeśli są starzy i powolni, to i tak szybsi od rannych Skoczków – jeśli pozwolę Matyldzie i Farrarowi przejść, szybko dogonią Bharkę i Lahfę.

W e mgle widzę zbliżającą się ścieżką postać Starszego. Jest trochę niższa niż ja, porusza się gwałtownymi, pełnymi bólu krokami: to Matylda.

A przed nią druga postać, wyższa, m a s y w n i e j s z a, stara i pomarszczona, ale kojarząca się z górą mięśni – to musi być Farrar.

Oboje mają na sobie maski i skafandry z cienkiego, błyszczącego metalu. Takie same jak Starszy, którego właśnie zabiłam. *V i s c a*... Zabiłam Starszego *Viscę*.

F arrar idzie przodem, *Matyllda* kilka kroków za nim. *F arrar* ma na wyciągniętej ręce bransoletkę, przeczesuje nią okolice po lewej, po prawej, potem ścieżkę na wprost. Nie widzi mnie. Za parę sekund minie moją kryjówkę.

M ogę zakończyć to *w s z y s t k o* w jednej chwili. *M ogę* go trafić z muszkietu, z krótkiego dystansu, zastrzelić go.

A potem muszę zabić *Matylldę*.

M uszkiet będzie rozładowany. *M ogę* użyć jego drugiego końca, płaskiego, szerokiego... zamachnąć się nim mocno, wbić jej go w twarz, powalić na ziemię... a potem rozwalić jej czaszkę.

Z a El-Saffanich. Za Becketta. Za Coyotla. Za Müllera. Za Latu. Za Viscę. Za Harrisa. Za Bello. Za Yonga.

M atyllda to mój wróg... zabiję ją, a wtedy już zawsze będę wolna.

Z a s ł u g u j e na śmierć, zasługuje na nią za tysiące zamordowanych przez siebie ludzi, za rzeź milionów *Skoczków*, za próbę unicestwienia ich kultury, za zamianę statku kosmicznego w koszmar, za obrócenie olbrzymiego miasta w ruinę.

F arrar i *Matyllda* skradają się bliżej.

S toję i ani drgnę.

J estem wiatrem... jestem śmiercią...

J eszcze pięć kroków.

K urek mojego muszkietu jest już odwiedziony. Bezszelestnie unoszę lufę, celuję nią w lewo. Nie muszę nawet wysuwać jej spod liścia: *F arrar* będzie przechodził tuż obok.

T rzy kroki.

Kładę palec na spuście.

Jeden krok.

Wielki liść po mojej prawej szeleści nagle, opryskuje mnie kropelkami deszczu, bo ktoś go odsunął.

O centymetry ode mnie wyrasta czerwonooka twarz Starszego w masce. Jakim cudem nie usłyszałam, że się zbliża? To największy Starszy, jakiego w życiu widziałam, o szerokich ramionach i olbrzymich mięśniach, na których napina się do granic wytrzymałości sękata, czarna skóra.

I wtedy dociera do mnie, jakim cudem się do mnie podkradł.

T o B i s h o p.

Jakiś czarny błysk trafia mnie w twarz.

Upadając, widzę wysoko nad sobą dwa księżyce – jeden niebieski, drugi rdzawoczerwony – a potem już nic.

CZĘŚĆ V

PRZEZNACZENIE I FATUM

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Budzę się.

W głowie mi łomocze i pulsuje. Zupełnie jakbym miała w niej pełno skalnych okruchów, które trą o siebie ze zgrzytem.

Leżę na wznak. Oślepiają mnie światła z góry. Mrugam jak szalona. Próbuję podnieść rękę, żeby się przed nimi zasłonić, ale nie mogę się ruszyć.

– Ocknęła się.

Ten głos... To syk jednej ze Starszych, kobiety, ale bardzo znajomy. Prawie go rozpoznaję.

– Dziękuję – odzywa się drugi głos, którego nie sposób pomylić z innym i który zwiastuje pewną śmierć: głos M a t y l d y.

Pojmała mnie. Czuję wściekłe ukąszenie paniki. Staram się ją z całej siły odsunąć, zachować panowanie nad sobą.

Zaczynam co nieco widzieć. Światła nad moją głową są wbudowane w łukowate sklepienie. Jestem w jakimś wnętrzu. Próbuję usiąść, ale coś chłodnego, sztywnego i wygiętego przytrzymuje mnie w nadgarstkach, w pasie, w kostkach u nóg.

Biała tkanina po lewej, po prawej.

Leżę w trumnie.

Szarpię się, przekręcam, miotam. Wyłamałam już raz takie pręty, a jestem teraz dużo silniejsza niż wtedy. Ciągnę je, aż cała trumna trzęsie się od moich wysiłków, aż mam wrażenie, że zaraz trzaskną mi kości...

Cóż jest inaczej.

T e pręty są gładkie, nie czuję na skórze żadnej chropowatości. Nie są zardzewiałe... tylko nowe.

R ęce w pół kolejnego pociągnięcia odmawiają mi posłuszeństwa, jakby moje mięśnie, kości i skóra szybciej niż świadomość zdały sobie sprawę, że ucieczka jest niemożliwa.

L eżę w miejscu, oddychając ciężko. Nie mam pojęcia, co dalej.

P ochyla się nade mną czyjaś twarz, która odcina się konturem od jaskrawego światła. To Starszy. Pomarszczona, czarna jak węgiel skóra okryta maską. Pod tą maską – jedno wyłupiaste, czerwone oko i biała opaska w miejscu, w którym było kiedyś drugie.

– Witaj, ślicznotko – mówi Matylda.

N ie mogę się ruszyć. Z góry wpatruje się we mnie śmierć.

Obraca się, spogląda gdzieś w bok, w swoją lewą stronę.

– Opuśćcie boczne ściany łupiny. Chcę się jej dobrze przyjrzeć.

Brzęczenie, potem delikatny klekot. Wszystkie cztery ściany trumny osuwają się w dół i znikają. Po lewej widzę Matyldę, a tuż za nią kolejną zamkniętą złotą trumnę – ktoś ją wypolerował tak, że płaskorzeźby lśnią jaskrawo jak żywe. Po prawej – wysoka do pasa wygięta ścianka z czerwonego metalu z wrytym na niej tym dziwnym czarnym symbolem.

J estem w Obserwatorium.

D alej po prawej – podwyższenie z postumentami, na którym stoi dwóch pomarszczonych Starszych w takich samych metalowych konstrukcjach z maskami, jak Matylda. Jeden jest wysoki i szczupły. Drugi – najniższy, jakiego w życiu widziałam; po samym wzroście poznaję, że to musi być Starszy Gaston.

S poglądam wzdłuż ciała, za uwięzione nogi, z góry wiedząc, co tam zobaczę – wielką czarną literę X ze zwisającymi z niej kajdanami i koroną. Za X-em – fresk z wizerunkiem starca i młodzieńca wbijającego mu w serce

sztylet.

Wszystko jest czyste. Zniknął cały kurz.

Gdzie jest O'Malley? Czy udało mu się uciec? Mam nadzieję, że Bharka i Lahfa uszli z życiem.

Z jakiegoś miejsca za moją głową dobiega mnie aż nazbyt dobrze znany głos.

– Masz, czego chciałaś – mówi Aramowski. – Teraz daj mi, czego potrzebuję.

Moim ciałem wstrząsa nowa fala, dudnienie nagłej i ślepej nadziei.

– Aramowski, zabij ją! Wydostań mnie stąd!

Rzucam się na swoje więzy z nowo odkrytą siłą. Musi zaatakować szybko... ile kółko-gwiazd przyprowadził? On...

Zaraz... co on powiedział?

Matylda nie przestaje się na mnie gapić. Słyszę kroki, potem widzę jego, Aramowskiego, jak staje obok niej z moją włócznią w ręce.

Ma na sobie czerwone szaty, zupełnie takie, jak strój oprawców wyrzeźbionych na ścianach Obserwatorium.

Zaczynam trząść się na całym ciele. Trudno mi złapać oddech. Dlaczego on stoi koło niej? Dlaczego z nią nie walczy?

Matylda wyciąga starą, pomarszczoną rękę i kładzie ją na odzianym w czerwień szat ramieniu Aramowskiego.

– Masz szczęście, chłopcze – mówi. – Co prawda wywabiłaś moją skorupę z dala od pozostałych, ale o mało co nie zabiła jej armia tych przebrzydłych gadów.

Nie wierzę własnym uszom. Bello nie tylko przekazała Aramowskiemu tajemnicę znaczenia symboli, żeby mógł przejąć władzę – powiedziała mu, gdzie ma mnie wysłać.

On wydał mnie Matyldzie.

– Nie wiedzieliśmy, że będzie ich aż tyle – broni się. – Gdybyś pochwyciła ją przy bramie, jak było ustalone, nie naraziłabyś jej na nic. – Wskazuje mnie ruchem głowy. – Poza tym wygląda, że nic jej nie jest.

M atylda poprawia swoją maskę, jakby ją uwierała.

– Jest obrzydliwie b r u d n a. Ale faktycznie się spóźniliśmy. Czasem stare ciała nie reagują tak szybko, jak by się pragnęło. Tak czy inaczej, umowa to umowa. – Spogląda gdzieś w swoje lewo. – Przynieś je.

Słyszę zbliżające się ciężkie kroki. Wykręcam szyję, żeby zobaczyć – to Coyotl, młody, silny i uśmiechnięty, niesie jakąś wielką, rzeźbioną skrzynię.

R obi mi się nagle ciężiej, jakbym tonęła głębiej w trumnie, zatapiała się w ciemność. Coyotl został nadpisany – tak samo jak Bello, tak samo jak Beckett. Porusza się i wygląda jak mój przyjaciel, który uczył mnie, jak ostrzyć włócznię, ale mojego przyjaciela już nie ma – odszedł na zawsze.

C oyotl kładzie skrzynię na moich udach.

– Widzisz, Matyldo? – odzywa się. – Mówiłem, że jest w dobrej kondycji.

W jego głosie pobrzmiwa skamlenie. Rozpaczliwie chciałby ją zadowolić, ale Matylda bynajmniej nie jest zadowolona.

– Nawet t w o j e ciało ma znacznie mniej uszkodzeń, Uriasz – odpowiada mu. – Popatrz tylko na nią. Niczego nie wyleczyła. Niektóre z tych blizn już nigdy nie znikną.

Coyotl wzrusza ramionami.

– Może powinnaś najpierw wsadzić ją pod prysznic. Cały ten kamuflaż na twarzy... jakimś cudem wmówiła sobie, że też jest jednym z wojów.

„Wojów”? Czy tak właśnie naprawdę nazywają się kółko-gwiazdy?

– Szaleństwa młodości – zauważa Matylda. – Tyle piękna, a ona ma je w nosie. Też kiedyś taka byłam. Ale drugi raz nie popełnię tego błędu. Będę pielęgnować swoją młodość. Tym razem będę się delectować każdą jej chwilą.

Coyotl sięga do skrzyni, wyciąga coś, podnosi, żeby Aramowski zobaczył – to srebrna bransoletka. Osadzone w suficie światła pełgają refleksami na białym kamieniu, błyszczą na długim metalowym kolcu.

– Jest ich dwadzieścia – oświadcza Coyotl.

Aramowski powoli wyciąga drżącą rękę, ujmuje bransoletkę.

– D w a d z i e ś c i a – powtarza. – Dzięki nim i naszym maszynom bojowym urządzimy Skoczkom rzeź. Jak się ich używa?

Matylda przyciąga Aramowskiego bliżej siebie. Widzę, jak chłopak nieznacznie, odruchowo krzywi ze wstrętem usta.

– Pamiętaj o naszej umowie – mówi Matylda głosem ociekającym słodyczą.

– W chwili ataku nie wykorzystasz ludzi z listy, którą ci dałam. Ich stwórcy czekają, tych skorup nie można narażać na szwank.

Czyli jeszcze nie zaatakował. Jeszcze jest czas.

Aramowski kiwa głową.

– Rozumiem. I nadal mam ci przysłać Bishopa, Gastona i Bordzigina?

– Tak – odpowiada Matylda. – Tylko nie zapomnij zrobić tego przed bitwą. Najpierw musimy wyeliminować najsilniejszych, po kilku naraz, żeby obydło się już bez wypadków. Niech przychodzą pojedynczo, tym wejściem, które ci pokazałam. Potraktujemy ich gazem, żeby nie stawiali oporu. Te dzieciaki są niebezpieczne. – Matylda mierzy mnie z góry wzrokiem. –

Odcięłaś Visce głowę łopata? Ależ, moje złotko, jakie to... dzikie, panno Savage. – Spod jej maski płynie szaleńczy rechot.

Aramowski zabiera skrzynię z moich ud. Zaczyna się odwracać, ale przystaje, wraca i nachyla się do mnie.

– Nie bój się – mówi. – To jest to, co zaplanowali dla ciebie bogowie.

Mówi szczerze. Wierzy w każde z tych słów.

Pluję mu w twarz.

Porostuje się, wstrząśnięty i rozzłoszczony, moja ślina zwisa mu

z przymkniętej powieki. Wyciera ją rękawem swojej czerwonej szaty.

– Zawsze myślałaś, że jesteś ode mnie mądrzejsza – zauważa.

– Nie mądrzejsza – poprawiam go. – Bardziej z a b ó j c z a. Powiedz swoim bogom, że już wkrótce cię do nich wyślę.

Coyotl odprowadza go gdzieś poza zasięg mojego wzroku. Pewnie idą w stronę magazynowych regałów z pustymi plastikowymi skrzyniami.

– Daj jej spokój – mówi Coyotl. – Chodź, odprowadzę cię i pokażę ci, jak używać bransoletek.

Moje buńczuczne słowa są bez pokrycia. Realia mojej sytuacji są przygniatające. Zawiodłam na całej linii. Lud Bharki przewyższa naszych liczebnie po stokroć, może więcej, ale te bransoletki wyrównają szanse. Aramowski wykorzysta do ataku tylko tych, na których nie czekają ich żyjący Starsi, gotowi do przejęcia ciał. Wielu spośród walczących zginie – w ofierze dla Boga Krwi. Tych, którzy nie staną do walki, będzie się zgarniać w grupkach po kilku, a potem ich umysły zostaną wyczyszczone, ich młode ciała wykorzystane jako naczynia przez odwieczne zło.

Tak samo jak ja.

Matylda delikatnie sięga do mojej twarzy. Zaczynam rzucać głową, szarpie się w swoich więzach, ale nie ma ucieczki. Kiedy wystarczająco zbliża rękę, próbuję ją ugryźć.

Zawiesza dłoń tak, że jej palce są tuż za moim zasięgiem.

– Gryziesz? Znowu?

Matylda podchodzi do podwyższenia, bierze coś stamtąd, wraca z tym do mnie. Trzyma w ręce cienką czerwoną trzcinkę. Pokazuje mi ją.

– Pamiętasz, jak dziadek traktował nią nas, kiedy przeklinałyśmy? Jak on to zawsze mówił? „Kto różgi żałuje, ten dziatki zepsuje”.

Jednym ruchem nadgarstka unosi ją, drugim – przytyka mi ją do brzucha.

Męka ogarnia mnie jak płomień. Moje ciało zwija się z bólu: mięśnie

napinają mi się tak nagle i silnie, że moje przeguby, kostki i biodra łomoczą w przytrzymujące mnie pręty. Ja p ł o n ę cała p ł o n ę zaraz umrę ja n i e c h c ę u m i e r a ć ja...

Matylda unosi różgę i ból ustaje.

W ciągam gwałtownie haust powietrza. W ustach czuję smak krwi.

– Głupia gęś – mówi Matylda. – Przygryzłaś sobie wargę. Może i dobrze ci tak, ale nie waż się uszkadzać już bardziej.

N iemal uschnięta ze starości ręka sięga do mojej twarzy. Nie chcę już powtórki tego bólu, więc zamykam oczy i zastygam w bezruchu.

S zorstkie, suche palce muskają moje czoło, przesuwają się po mojej skórze.

– No i coś ty zrobiła z moimi ładnymi włosami? – mówi. – Nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła znów poczuć na nich dotyk szczotki. Minęło tyle czasu.

T a martwa istota mnie g ł a s z c z e. Przeraza mnie to, napawa odrazą. Jestem pełna nienawiści – i samotna.

Matylda cmoka z niezadowoleniem. Czuję, jak wyciąga coś z moich włosów.

Z muszam się do otwarcia oczu i spojrzenia na swoją zabójczynię. Jeśli mam umrzeć, to umrę twarzą w twarz z moim wrogiem.

Matylda trzyma w ręku kawałek gałązki.

– Kiedy tylko transfer się skończy, wezmę długą kąpiel – mówi. – Pozbędę się całego tego brudu, który na sobie zgromadziłaś. Taki wygląd nie przystoi cesarzowej.

– Brewer twierdził, że jest po naszej stronie – przypominam. – Dlaczego kłamał o tym, że jedyny sposób dotarcia tutaj to wahadłowiec?

– Nie kłamał. Kiedyś było pięć wahadłowców. Podczas rebelii ludzie Brewera zniszczyli wszystkie prócz jednego, a potem zablokował nam dostęp

do hangaru. Kiedy kazałaś mi was tam zaprowadzić, nie sądziłam, że będzie otwarty, ale Brewer go wam otworzył. Wtedy zobaczyłam wahadłowiec po raz pierwszy od dwóch stuleci.

– Skąd w takim razie wziął się statek Bello?

– Zbudowaliśmy go – odpowiada Matylda. – Uznaliśmy, że kiedyś może okazać się potrzebny jakiś sposób dotarcia na Omeyocan, a dwieście lat to dużo czasu na wymyślanie planów awaryjnych. Brewer zniszczył flotę wahadłowców, ale na „Xolotlu” jest bardzo wiele rzeczy, których nie kontroluje, miejsc, których nie widzi. Statek skonstruowany przez nas nie jest tak elegancki jak ten, który ukradłaś, ale wystarczył, żeby znalazła się tu na powierzchni trzynastka naszych. Kiedy ty zajmowałaś się Bello, całą resztą przyszliliśmy tutaj, żeby się przygotować.

Mierzę ją wzrokiem, patrzę na jej stare, wyniszczone ciało. Jak mogła wejść na szczyt Obserwatorium, żeby tutaj zjechać?

Nie przestaje mnie głaskać. Muszę z całej siły zaciskać zęby, żeby powstrzymać się przed kolejną próbą pokąsania jej.

– Pewnie zastanawiasz się nad wszystkimi tymi schodami – mówi. – Czasem trudno jest sobie przypomnieć, jak bardzo w twoim wieku brakowało mi wyobraźni. Istnieją inne wejścia prowadzące do tego miejsca, moja ślicznotko. Myślisz, że chciałam spędzić następne życie na łażeniu w górę i w dół po trzech tysiącach stopni? Gdybyś razem ze swoim Bishopem obeszła świątynię i przyjrzała się jak należy, znalazłabyś normalne wejście, które prowadzi prosto tutaj. Nie wymaga żadnego symbolu, żadnej wspinaczki po schodach.

Nazwała to miejsce „świątynią”. Tak samo jak Aramowski.

S trasznie boli mnie głowa... jakby ktoś miażdżył mi mózg, a od poczucia klęski czuję się tylko gorzej.

– Nadpisaliście Coyotla i Becketta – mówię. – A Müller jeszcze żyje?

– To, że wysłałaś nam tych trzech, było dla nas cudownym zrządzeniem losu. I to jeszcze z działającym pentapodem! Mały Wiktor Müller jest zamknięty w jednej z więziennych cel Obserwatorium. Zostanie tam, dopóki nie odbijemy wahadłowca. Polecimy na „Xolotla” wahadłowcem, a nie tym okropieństwem, którym tu wylądowaliśmy. Aramowski wspominał, że na szczęście nie robiliście nim sobie żadnych wycieczek krajoznawczych, więc powinno być w nim dość paliwa na drogę powrotną.

Wyższa postać z dwójki Starszych na podwyższeniu z postumentami woła:

– Jesteśmy gotowi.

T o kobieta. Jej głos, taki stary, a jednak taki znajomy...

P roszę, niech to nie będzie ona... proszę, niech to nie będzie ona...

– Czy to Spingate?

Matyllda się śmieje.

– Spingate była po stronie Brewera. Kazałam Bishopowi zmiażdżyć jej czaszkę jednym z tych głupich narzędzi, które tak uwielbiała. Nie przejmuj się, ślicznotko – Aramowski już się postara, żeby uzbroić Spingate i posłać ją w pierwszej linii ataku przeciwko tym gadom.

– Nie! Nie możecie kazać jej walczyć – ona jest w ciąży!

– Niesamowite – mówi Matyllda. – Buzujące od hormonów bachory... nie traciłyście ani chwili, co? Ruja i porubstwo. Jak zwierzęta. A ty, E m? – Wyrzuca z siebie moje imię, jakby to było przekleństwo. – Też byłaś grzeszną zdzirą jak Teresa? Pozbawiłaś mnie mojego dziewictwa?

– Nic nie zrobiłam. I nie wiem o nikim innym, tylko o Spingate i Gastonie.

– C o?!

T en pytający okrzyk – władczy, natarczywy – dochodzi z podwyższenia z postumentami. Niewielki Starszy zstępuje na podłogę i podchodzi do nas. Staje obok mojej stwórcielki.

– Panie kapitanie? – odzywa się do niego Matyllda. O dziwo, słyszę w jej

głosie szacunek... Czy boi się tego maleńkiego mężczyzny?

O n sam wpatruje się we mnie spod maski, z czerwonych oczu biją intensywne emocje i podniecenie.

– Skorupa Spingate jest w ciąży? Nosi moje dziecko?

S ama nie wiem, co powiedzieć. Będą teraz chcieli zabić i ją, i dziecko, czy też prawda uchroni ją przed wysłaniem na pole bitwy? Ten stwór ma tysiąc lat, ale musi być w nim jeszcze choć t r o c h ę tego Gastona, którego znam.

P otakuję skinięciem głowy.

Starszy Gaston obraca się do Matyldy.

– Powiem Aramowskiemu, żeby mi ją przyprowadził.

Nie czekając na odpowiedź, odchodzi gdzieś w cień.

J ednooka Matylda wygląda na wytrąconą z równowagi. Wskazuje gestem na podwyższenie, na sterczącą tam samotnie Starszą.

– To oczywiście nie jest Teresa Spingate – mówi. – Ale jestem pewien, że znasz jej skorupę. Pozwolę sobie przedstawić: cudowna i utalentowana doktor Kenzie Smith.

S tarsza na podwyższeniu kłania się sztywno. Zaczyna się prostować, ale zastyga w bezruchu, sięgając sękatą ręką do pleców.

– Au – mówi. – Cholera, ależ to boli. – Prostuje się z wolna, przytrzymując się jednego z postumentów dla równowagi. – Zacznijmy już. Będę musiała wkrótce sobie przysiąc.

M atylda zaciera ręce, te paskudne ręce. Skóra na nich jest tak szorstka, że aż ją s ł y s z ę.

– Wreszcie jesteśmy gotowe – triumfuje.

– Nie ty, Matyldo – studzi ją Smith. – Obawiam się, że Bishop trochę za mocno walnął twoją skorupę w głowę. Mógł nastąpić wstrząs mózgu. Musimy odczekać, żebym mogła sprawdzić, czy nie doszło do jakichś uszkodzeń, które będę musiała najpierw naprawić.

W jedynym oku Matyldy wiruje szaleństwo. Jest wściekła. Gromi wzrokiem kogoś stojącego w kącie. Wykręcam szyję, żeby go zobaczyć – widzę olbrzymią sylwetkę Starego Bishopa. Stał tam przez cały ten czas, milczący i nieruchomy.

– Ty głupi osiłku – karci go Matylda. – Nie mówiłam, żebyś uważał?

W jej syczącym głosie słyszę troskę, może nawet lęk. Brewer mówił, że im dłużej jesteśmy żywi, tworząc własne wspomnienia i skojarzenia, tym mniejsze są szanse powodzenia procedury. Ale zadziałała na Bello, Coyotlu i Becketcie, więc pewnie zadziała też na mnie – chyba że jakimś cudem przeszkodzi w czymś ten mój zgrzytliwy ból głowy.

– Czekałam tak długo – stwierdza Matylda – że parę godzin więcej nie zrobi mi różnicy.

Jeszcze raz gładzi mnie po włosach.

– Skoro byłaś taka krnąbrna, moje złotko, obejrzyjmy coś sobie razem w trakcie czekania. Kenzie, otwórz.

Złota trumna na lewo ode mnie wydaje taki sam odgłos, jak wcześniej moja. Jej ściany opuszczają się. Serce pęka mi w drzazgi. Chciałabym się obudzić i przekonać się, że wszystko okazało się tylko jakimś koszmarnym snem.

T o O'Malley.

L eży na białym płótnie, przytrzymywany przez takie same pręty jak ja. Trzepocze powiekami, dopiero się budzi.

– O'Malley! To ja, Em! Popatrz na mnie!

O dwraca głowę, twarz wykrzywia mu grymas przerażenia. Widzi mnie, poznaje, a potem zaczyna się rozglądać – patrzy w górę, na boki, w dół, w kierunku stóp. Wykręca szyję, próbując spojrzeć w tył.

– Em... jesteśmy w Obserwatorium?

N a podwyższeniu jeden z postumentów zaczyna świecić.

– Procedury przygotowawcze wdrukowywania zakończone – oznajmia

Smith. – Jesteśmy gotowi. Przyprowadźcie Kevina.

P rzez chwilę zbija mnie to z tropu – przecież Kevin O'Malley leży obok mnie – gdy wtem, wraz z uderzeniem grozy rozrywającym mi serce, dociera do mnie, o co chodzi.

D o niego też.

– Nie – protestuje. – Nie róbcie tego!

Z a naszymi stopami widzę, jak Coyotl pomaga jakiemuś Starszemu w masce dojść do czarnego X-a. Starszy jest tak wiekowy i zasuszony, że ledwie się rusza.

– Czy już czas? – pyta stary. – Czy wreszcie nadszedł mój czas?

G łos brzmi starożytnie, jakby składał się z pyłu i toczonego przez korniki drewna. Mimo to poznaję go od razu.

T o głos Kevina O'Malleya.

Mój przyjaciel leżący w trumnie obok zaczyna wrzeszczeć.

CZTERDZIEŚCI

Pod przezroczystą maską czerwone oczy Starego O'Malleya wyglądają na zamglone, niewidzące.

Matylda znów głaszcze mnie po włosach.

– Popatrz sobie, maleńka – mówi. – Twoja kolej już wkrótce.

Kręcę głową, nie przestaję nią kręcić.

– Proszę, nie zabijajcie go.

O'Malley szarpie się z prętami. W jego oczach płonie zwierzęca panika. Stęka rozpaczliwie, rzuca się w lewo, w prawo.

Matylda stoi między moją i jego trumną. Obraca się, unosi czerwoną trzcinę, jednym ruchem przytyka mu ją do brzucha. O'Malley wypręża grzbiet tak nagle i tak ostro, że przemyka mi myśl, czy nie pęknie mu kręgosłup. Z gardła wrywa mu się zgrzytliwe *ga-ga-ga-ga*, na którego dźwięk wrzeszcze w bezsilnej złości.

Matylda unosi trzcinę.

– Nie waż się zrobić sobie i temu ciału krzywdy, nie teraz – ostrzega go. – Rzuć się tak jeszcze raz, a znów zarobisz różgą.

Coyotl praktycznie ciągnie Starego O'Malleya pod czarną literę X. Stary Bishop podchodzi, żeby mu pomóc. Razem unoszą ramiona zasuszonego Starszego, zamykają kajdany na przegubach jego rąk, potem na kostkach u nóg.

Bishop zdejmuje mu maskę. Znów te paskudne fałdy mokrej skóry – nie wiem, czy zakrywają Starszym usta, czy to są ich usta. Na ich widok robi mi się niedobrze.

Coyotl nasuwa na głowę zaszuszonego stwora czarną koronę. Kaprawe czerwone oczy patrzą przed siebie z mieszaniną dezorientacji i rozemocjonowania. Stary potwór zaczyna kaszleć.

– Ciężko... oddychać... Dajcie maskę.

Coyotl klepie go dość mocno w policzek.

– Bez obaw, Kev... za kilka minut maska będzie ci niepotrzebna.

Czerwone oczy starego na chwilę chyba się rozjaśniają. Wgapia się w mojego O'Malleya.

– O, bogowie – jęka. – To... to ja.

O baj – ten młody i ten odwieczny – krzyżują spojrzenia.

W gardle mojego O'Malleya rodzi się głęboki pomruk, który narasta aż do wrzasku. Chłopak znów zaczyna miotać się w swoich więzach.

Matylda opuszcza różgę.

Mój O'Malley ponownie się wypręża. Dygocze i wierzga, próbuje błagać ją, by przestała, ale jego usta nie są w stanie wydusić ani słowa.

– Ty cholerna SUKO! – ryczę. – Przestań, bo cię zabiję!

Matylda odwraca się do mnie, trzaska mnie różgą w udo. Ładunek elektryczny przeszywa całe moje ciało ogniem. Próbuję powstrzymać wrzask – nie udaje mi się.

Matylda unosi różgę.

– Bez przeklinania – upomina. – Dzieci powinny być dobrze wychowane.

Stary O'Malley ni to kaszle, ni to chichocze.

– Ależ moja skorupa jest silna! – pęka z dumy. – Ileż w niej wigoru!

Wszystko zamazuje mi się w oczach, bo napływają do nich łzy.

– Proszę cię, Matyldo! – Będę prosić, błagać, poświęcę się, zrobię wszystko, co tylko się da. – Wypuść go i przysięgam, że pozwolę ci zrobić mi wszystko, co chcesz.

Mój O'Malley obraca twarz w moją stronę – jej rysy wykrzywiają

równocześnie strach i gniew.

– Em, nie! Nic im nie obiecuj!

Nawet teraz, z krwią na wargach w miejscu, w którym je sobie przygryzł, ze łzami płynącymi po policzkach, jest piękny. Jak mogłam nigdy nie powiedzieć temu chłopcu, że go kocham? Tak rozpaczliwie pragnę, żeby żył, nawet gdyby miało to oznaczać moją własną śmierć.

Odrywam od niego wzrok, zmuszam się, żeby spojrzeć na potworzycę.

– Matyldo, proszę cię. – Mój głos jest słaby, służalczy. – Przysięgam, zrobię wszystko, co zechcesz. Nie będę walczyć.

Matylda gładzi mnie po głowie, znów cmoka ustami, których nie widać.

– Ależ, moje złotko, możesz sobie walczyć, ile tylko zechcesz... to zupełnie niczego nie zmienia.

– Przygotowania zakończone – woła Stara Smith. – Ometeotl?

– *Czekam na instrukcje, pani doktor* – odpowiada sala.

– Kontrola zasilania i wstępnych ustawień transferu.

Cale pomieszczenie zaczyna buczeć przeciągłym, monotonnym dźwiękiem, od którego włosy stają mi dęba.

Coyotl podchodzi do mojego O'Malleya. Nadpisana kółko-gwiazda pochyla się blisko niego z triumfalnie nienawistną miną – nigdy bym nie pomyślała, że twarz Coyotla może kiedyś przybrać taki wyraz.

– Będzie bolało – mówi. W jego słowach pobrzmiwa obrzydliwa radość.
– I to j a k!

Mój O'Malley nie jest już w stanie walczyć. Nic w nim nie pozostało. Może jeszcze tylko płakać.

– Em, proszę cię – szepcze. – Pomóż.

Moim ciałem wstrząsa szloch. Nie mogę zrobić nic – jestem bezsilna. Przywódczyni, cesarzowa, potwór, przyjaciółka, wróg... kiedy przychodzi chwila próby, nie jestem żadną z nich.

J estem niczym.

J estem tylko kółkiem.

J estem p u s t a.

S tary O'Malley kaszle jeszcze mocniej niż poprzednio, bierze oddech z wyraźnym wysiłkiem.

– Liczę... że moje dawne ja nie zmieniło się za bardzo – mówi. – Nigdy nie byłem aż taką beksą.

M atylda się śmieje. Tym razem brzmi to jak mój własny śmiech.

– Kevin, byłeś kłamliwą, manipulancką, zdradziecką b e k s ą przez tysiąc lat – zauważa. – Pewne rzeczy nie ulegają zmianie.

S ala ciemnieje. Stara Smith podnosi ręce, które natychmiast oblewają fale kolorów. Te same światła, dzięki którym Spingate jaśniała jak anioł, wsiąkają w pełną ubytków skórę Starej Smith, nadają jej wygląd ruchomego posągu, który z upływem czasu zdążył skruszeć i szernieć.

– Ometeotl, końcowy bioskan pojemnika start.

– *Skanuję, pani doktor.*

B uczenie narasta, niemal zagłuszając szloch mojego O'Malleya i kaszel Starego.

R esztki tłącej się jeszcze we mnie wściekłości tłumi fala rozpacz. Mój przyjaciel za chwilę umrze. Jest na wyciągnięcie ręki, gdybym tylko mogła ją do niego wyciągnąć. Tu i teraz Kevin O'Malley przestanie istnieć. A ja nie mogę temu zapobiec.

– *Bioskan zakończony, pani doktor* – odzywa się sala. – *Czynnik ryzyka zerowy. Gotowość do rozpoczęcia na żądanie.*

Stara Smith opuszcza swoje rozjarzone ręce.

– Transfer start.

B uczenie narasta, wypełnia całą salę, odbija się echem od sklepienia i od ścian.

M ój O'Malley miota się, ale nie z własnej woli – to reaguje jego ciało: drga i dygocze, rzuca się i ciska.

Z abijają go.

B uczenie nie chce się skończyć. Wypełnia mi całą głowę, dzwoni mi w uszach, w zębach. Zagłusza wszystko inne. Chciałabym mieć swobodne ręce, nie po to, żeby uciec, ale żeby mogła wetknąć sobie palce do uszu, spróbować zagłuszyć w nich ten jazgot śmierci.

W końcu jednak dźwięk stopniowo cichnie... buczenie ustaje.

P atrzę na swojego przyjaciela. Leży na wznak, wpatrując się prosto w sufit. Pierś unosi mu się i opada. Gwałtownie mruga, potrząsa głową. Marszczy nos, wydyma wargi, stuka zębami, jakby po raz pierwszy sprawdzał nową twarz po przymiarce.

P roszę-proszę-proszę, niech się okaże, że się nie udało...

O 'Malley obraca twarz w moją stronę. Uśmiecha się – ale nie swoim uśmiechem.

– Witaj, młoda damo.

W jednej chwili rozumiem, że mojego przyjaciela już nie ma. Nic nie czuję. Tylko odrętwienie. Jestem zimna jak trup.

P otwory wygrały. A ja będę następna.

M atylda podchodzi do trumny O'Malleya. Naciska mały zielony klejnot osadzony tuż za jego głową. Pręty przytrzymujące chłopaka otwierają się z kłopotem. O'Malley siada, przeciąga się, rozciera sobie nogi, patrzy na swoje ręce, jakby było utkane z wiatru i magii. Oczy świecą mu się z podziwu i zachwyty.

– Nie chce mi się wierzyć – mówi. – Nie ma... nie czuję żadnego bólu. Wiedziałem, że moje stare ciało boli, ale aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, że w każdej minucie każdego dnia żyłem w bólu. A teraz... nic. Ból zniknął.

P rzerzuca nogi na bok, przez chwilę macha nimi w powietrzu.

Ł zy sprawiają, że w moich oczach cały drga i faluje.

M atylda kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Na początku powoli – ostrzega. – Ciało masz bez zarzutu, ale do poruszania nim twój umysł musi się od nowa przyzwyczaić.

O ’Malley odtrąca jej rękę, omal nie spycha Matyldy z drogi. Zsuwa się z trumny, która zmieniła się w stół, i staje o własnych siłach.

– Chwała – mówi ten nowy ktoś. – Chwała wszystkim bogom, u d a ł o s i e.

Rozpaczliwy, udręczony jęk cierpienia sprawia, że włosy stają mi dęba. Przy literze X poskręcany Starszy O’Malley w kajdanach unosi głowę. Słabowitymi płucami próbuje wciągnąć powietrze, które powoli go zabija. Zdezorientowany rozgląda się po pomieszczeniu.

– Nie udało się – mówi. – Musimy... spróbować jeszcze raz. Nadal tkwię w pułapce tego ohydneho ciała. Och, jak strasznie mnie boli, jeszcze gorzej niż poprzednio.

N ie rozumiem. Przecież im się udało; widzę młodego O’Malleya i wiem, że to nie mój przyjaciel.

M łody O’Malley zaczyna się śmiać.

S tary O’Malley podrywa gwałtownie głowę. Po raz pierwszy jego czerwone oczy nabierają pełnej przejrzystości, powieki mrugają nerwowo.

– Nie – protestuje. – To niemożliwe.

M łody O’Malley podchodzi bliżej do swojego starego ja, wykonuje kilka kroków niezręcznego jeszcze tańca.

– Och, dajże pan spokój, k a n c l e r z u! Wiedziałeś, że tak się stanie.

P omarszczony potwór rzuca po sali obłąkanym wzrokiem. Dociera do mnie, że próbuje znaleźć kogoś, kto mu pomoże.

– Czekaście – mówi. – Myślałem, że to odbędzie się inaczej.

Młody O’Malley wyciąga otwartą dłoń w stronę Bishopa. Potwór

o posturze olbrzyma wręcza mu pochwę z nożem. O'Malley ujmuje nóż za rękojeść, po czym drugą ręką chwyta pochwę i dobywa ostrza.

T a broń – ozdobna, złota, wysadzana klejnotami – wygląda dokładnie tak jak nóż na fresku za literą X, tym, na którym młodzieniec wbija sztylet w pierś starca.

M łody O'Malley uśmiecha się szeroko, celując końcem noża w swoje poprzednie wcielenie.

– Może poczujesz się lepiej, staruszk, wiedząc, że jest d o k ł a d n i e tak, jak m o i m z d a n i e m miało się to odbyć. Czyli dokładnie tak, jak miało się to skończyć t w o i m zdaniem. Jejku, ależ ciekawie rozmawia się z samym sobą!

Stary potwór ciągnie za kajdany, ale był już słaby, jeszcze zanim cała ta męka się zaczęła.

– Proszę was – mówi. – Nie jestem gotowy. To n i e s p r a w i e d l i w e. Ja chcę żyć! Po co spędziłem tysiąc lat w męczarniach, jeśli nie będę mógł żyć?!

Ileż w tym głosie bólu, ile zawodu – prawie mi go żal. Nadpisywanie nie przenosi świadomości starej osoby w nową, tylko ją kopiuje, zostawiając ją w dwóch egzemplarzach. Stary egzemplarz pozostaje uwięziony w pułapce swojego kruchego, chorowitego ciała.

M łody O'Malley podrzuca nóż w powietrzu, chwyta go za rękojeść. Podchodzi bliżej wielkiej litery X.

– Nie smuć się, Stary Ja. Dane ci było przeżyć tysiąc lat – mnie będzie dane przeżyć kolejny tysiąc.

Z za fałd skóry ukrywających usta starego potwora wylewa się potok wrzasków, bezsensownych, bełkotliwych błagań, ale na próżno. Młody O'Malley przykłada ostrze noża na mostku swojego starego ja, a potem wykonuje pchnięcie. Sękata skóra pęka. Czerwono-szara krew cieknie w dół. Chwila wahania, po czym słyszalne *chrup* – nóż przebija kość i zagłębia się

po rękojeść.

S tary potwór się wzdryga.

– Nie – protestuje słabym sykiem. – Miałem... żyć... w i e c z n i e.

Z wiesza głowę.

P rzestaje się ruszać.

M łody O'Malley – teraz już j e d y n y O'Malley – wyciąga nóż. Wyciera ostrze o martwe ciało swego dawnego ja, pozbywając się czerwono-szarej krwi. Wsuwa nóż z powrotem do pochwy, którą zatyka za pas czarnego kombinezonu.

G ulla w moim gardle rośnie, zmienia się w pięść – ledwo zdążam obrócić głowę w bok i wymiotuję kawałkami ostro przyprawionego mięsa po całym białym płótnie mojej trumny i na kamienną podłogę.

– Kenzie, ona zwymiotowała – oznajmia Matyllda. – Czy wszystko z nią w porządku? Ma ten wstrząs mózgu?

S tara Smith, człapiąc, złazi z podwyższenia z postumentami. Sękatymi palcami chwyta moją twarz, obraca ją w lewo, potem w prawo.

– Trudno powiedzieć – mówi do Matyldy. Mnie zaś pyta: – Jak twoja głowa?

– B o l i – mówię. – Okropnie boli.

Matyllda prycha.

– Jasne, Kenzie, bo akurat powie ci prawdę. Nie bądź naiwna.

– Więc twoje dawne ja potrafi kłamać – zauważa Smith. – No, co za niespodzianka, prawda?

– Przyszykuj ją. – W głosie Matyldy dźwięczy zapal. – Mam dość czekania. Zrobimy to teraz, zaraz, nieważne, czy ma ten wstrząs mózgu, czy nie.

P rzegniły smród wyniszczonych chorobą palców Smith łączy się z drażniącym zapachem moich wymiocin; mój żołądek straszy, że zaraz dojdzie do powtórki. Nie ma w nim co prawda więcej jedzenia, którym mogłabym

rzygnąć, ale mojemu ciału to nie przeszkadza.

– Poczekaj jeszcze trochę – radzi Smith. – Matyldo, masz na to tylko jedną szansę, a fakt faktem, że od ciosu Bishopa straciła przytomność.

Smith puszcza moją twarz. Nadal czuję odór jej palców.

Matylda gromi Bishopa wzrokiem.

– Wielkie dzięki za przysługę, mój kochasiu.

Kochasiu? Stara ja i stary Bishop to... kochankowie?

– Chciałaś ją tu mieć – odpowiada Bishop – i oto jest.

Po raz pierwszy słyszę, jak ten ogromny potwór mówi. Jego głos rani mi serce. To jego głos, głos chłopca, który pocałował mnie przy wodospadzie, głos chłopca, który – gdy wszystko już było stracone, a mnie wysłano samą na pewną śmierć – szepnął do mnie, że przyśle mi pomoc. Ten głos, rzeczowy i obojętny, jest jego, ale zarazem nie jego: jest jakby bardziej chropawy, zdyszany... zmęczony.

Matylda prychnie z niesmakiem.

– Może zrobiłeś to naumyślnie. Może próbowałeś ją uszkodzić, żebym nie mogła dokonać transferu!

Bishop nie odpowiada.

Matylda wzdycha.

– W porządku, poczekamy.

Wiekowa istota opuszcza na mnie wzrok. Co prawda jej usta są ukryte pod fałdami ciała, które z kolei kryją się pod maską, ale mimo to wiem, że się uśmiecha – widzę to w jedynym pozostałym jej czerwonym oku.

– Wkrótce, moje złotko. Wkrótce staniemy się jednością.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

Koszmar robi się jeszcze straszniejszy. Ogarnia mnie, sprawia, że mam ochotę się poddać, wyłączyć na zawsze.

W trumnie po lewej, w której umarł O'Malley, leży teraz mój Bishop.

W kolejnej trumnie za nim – mój Gaston, a w czwartej i ostatniej – mój Bordżigin.

S tary Bishop, Coyotl i O'Malley z kilkoma innymi Starszymi, których nie znam, przyciągnęli ich tu nieprzytomnych, unieruchomili w trumnach. Teraz wszyscy są już obudzeni, ściany ich trumien opuszczone. Bordżigin szlocha, najwyraźniej nie jest w stanie pojąć, że Coyotl robi mu coś takiego. Mój Gaston klął na wszystkich, aż Matylda zabrała się za niego swoją różgą.

T eraz już nie klnie.

W szyscy za chwilę zostaniemy nadpisani. S k a s o w a n i.

J est tu także Spingate. Przykuto ją do ciężkiego pierścienia osadzonego w ścianie. Płacze. Wie, że nie może zrobić nic, by komukolwiek pomóc. Nikt z nas nie może nic zrobić. Wszyscy jesteśmy bezsilni.

N owy O'Malley chodzi po sali, pusząc się, śmiejąc i dowcipkując. To samo ciało, inna dusza – co za obrzydlistwo.

P o mojej lewej, w głowach trumny mojego Bishopa widzę stojącą olbrzymią, wiekową sylwetkę Starego Bishopa. Większość pozostałych Starszych sprawia wrażenie zaszuszonych, zużytych, ale nie Stary Bishop – ma, jak inni, pomarszczoną skórę, czerwone oczy, maskę i metaliczny szkielet podtrzymujący go przy życiu, ale tysiąc lat nie ujęło mu ani odrobiny

śmiercionośności.

Mój Bishop wpatruje się w niego z dołu.

– Zabiję cię – mówi do swojego protoplasty.

Stary Bishop kiwa głową.

– Wiem, że chciałbyś spróbować, ale te więzy są o wiele za mocne. Najlepiej będzie, jeśli pogodzisz się z bogami. – Odwieczny potwór sięga w dół, kładzie rękę na ramieniu mojego Bishopa. – Przykro mi, że musi tak być.

Mój Bishop uśmiecha się szyderczo.

– Może lepiej, że umrę teraz, niż gdybym miał żyć dalej i stać się tobą. Żaden z ciebie wojownik – jesteś tchórzem.

Stary Bishop w masce wpatruje się w niego przez chwilę, a potem zwiesza głowę.

Mój Bishop wyczuwa, że swoimi słowami trafił w czuły punkt. Próbuje się podnieść, ale – rzecz jasna – nie może.

– Daj mi przynajmniej powalczyć o życie – nalega. – Nie chcesz wiedzieć, czy dałbyś radę mnie pokonać?

Czerwone oczy Starego Bishopa wirują. Przygląda się twarzy mojego Bishopa, potem rzuca okiem nad jego głowę – widzę tam taki sam zielony klejnot, jak ten, który nacisnęła Matylda, żeby uwolnić O'Malleya.

Stary olbrzym łagodnie wyciąga rękę. Wstrzymuję oddech. Jego pomarszczony czarny palec spoczywa lekko na klejnocie.

– Nie bądź głupi, mój kochasiu – woła Matylda. Stoi na podwyższeniu z postumentami razem ze Smith. – Naprawdę chcesz udowodnić, jakim to jesteś silnym mężczyzną, przez uszkodzenie ciała, w którym masz właśnie zamieszkać? Daj mu spokój. Teraz twoja kolej na transfer.

Stary Bishop opuszcza rękę.

– Chcę żyć – mówi do mojego Bishopa. – Przepraszam. – Człapie do

czarnego X-a. – Uriaszu, Kevinie, przygotujcie mnie.

Coyotl mknie do niego, O'Malley też. To druzgoczące, widzieć młode twarze tak pełne chęci pomocy i entuzjizmu na myśl o zabiciu kolejnego z moich przyjaciół.

Mój Bishop pociąga nosem. Raz, drugi. Nie, nie pociąga nosem... on węszy w powietrzu. Ja nic nie czuję.

Sarty Bishop zdejmuje swoją bransoletkową broń. Wręcza ją O'Malleyowi, który wsuwa ją na własne przedramię. Coyotl zakuwa w kajdany jeden nadgarstek Starego Bishopa, O'Malley – drugi. Potem unieruchamiają mu też kostki u nóg.

Sarty Bishop przygląda się swoim więzom, sprawdzając każdy z nich krótkim pociągnięciem. Wtem podrywa głowę, zaczyna omiatać wzrokiem salę.

– Uwolnijcie mnie – mówi.

O'Malley zadziera głowę i wybucha śmiechem.

– Chyba się teraz nie rozmyślisz, Ramzesie, stary druhu. Wiem, boisz się oberwać nożem w serce – a o b e r w i e s z – ale obiecuję ci, że ten z was dwóch, który zada cios, będzie bardzo zadowolony.

Sarty Bishop mocno szarpie kajdany; metal grzechocze tak głośno, że zaskoczony O'Malley aż cofa się o krok.

– Uwolnijcie mnie, i to już. Czuję jakiś zapach.

W tym momencie ja też go czuję – woń przypalonych tostów.

Są tu Skoczki.

Coyotl marszczy nos, robi wielkie oczy.

– O c h o l e r a – jąka.

Błysk i ogłuszający ryk zza mojej głowy.

Coyotl obraca się w miejscu, pada.

Bordżigin głośno krzyczy, jakby nadal nie rozumiał, że Coyotla, którego

znał, i tak już nie było.

O 'Malley odrywa się od X-a, przypada do ziemi i przetacza się w kucki w nogach mojej trumny.

S tary Bishop jeszcze mocniej grzechocze wielkim X-em.

– Kevin, w r a c a j! – wrzeszczy. – Uwolnij mnie stąd!

R ozlega się ryk kolejnego muszkietu. W uszach mi dzwoni. Salę wypełnia nieznośny zapach mokrego węgla drzewnego, od którego kręci mi się w nosie.

N adal nie mogę się ruszyć. Spingate krzyczy ze strachu. Gaston klnie, na czym świat stoi, wołając, żeby go ktoś uwolnił. Bordżigin płacze, i na ten odgłos jakimś cudem serce mi się kraje, mimo otaczającego nas zewsząd szaleństwa i śmierci.

S koczki wydają z siebie piskliwie zgrzytliwy okrzyk wojenny, od którego aż zęby bołą.

R yk kolejnego muszkietu, potem jeszcze jednego.

O 'Malley wychyla się zza trumny. Opiera o mnie rękę, a wykorzystując prety przytrzymujące mi nogi w kostkach, stabilizuje bransoletkę i wystrzeliwuje wiązkę białego światła.

P róbuję wierzgnięciem nóg utrudnić mu celowanie, ale ledwo jestem w stanie poruszać nogami. O'Malley znów chowa się za trumną. Wykorzystuje mnie jako żywą tarczę. Jeśli Skoczki zaryzykują strzał w jego stronę...

P atrzę w lewo: ręce mojego Bishopa drżą, każdy z wielkich mięśni gra pod skórą, jego twarz wykrzywia grymas bezgłośnego wysiłku. Za moimi nogami Stary Bishop robi to samo, ciągnąc za metalowe więzy przytrzymujące go przy wielkim X-ie.

W panującym chaosie słyszę głos, który nie należy do człowieka.

– *Hem! Hem!*

T o Bharka po mnie przyszedł.

– Tu jestem! Nie mogę się ruszyć!

Ostry pisk metalu, który pęka, który umiera – dwa wygięte kawałki prętów szybują w powietrzu, a równocześnie prawa ręka mojego Bishopa wyrzywa się w górę.

Po tem kolejny, prawie identyczny odgłos – tym razem od strony czarnego X-a – Stary Bishop uwalnia lewą nogę. Kawałki pękniętej obręczy przytrzymującej go dotąd w kostce trzaskają o posadzkę.

Mój Bishop walczy z grubszym prętem przytrzymującym go w pasie. Wsuwa pod niego palce, próbuje unieść, stęka, ale nie może go porządnie złapać.

Przypominam sobie, jak Matylda uwolniła O'Malleya.

– Bishop, klejnot za twoją głową! Naciśnij go!

Sięga w górę, szaleńczo macając tkaninę za sobą.

Kolejny wystrzał z broni Skoczków.

Coyotl leży gdzieś na podłodze, wyjąc z bólu.

Stary Bishop stęka i szarpie się, tak że cała iksowata rama dygocze. Oswobadza prawą nogę. Zapierając się obiema stopami w kamienną podłogę, przekręca się całym ciałem, ciągnąc mocno prawym nadgarstkiem. Widzę, jak z miejsca, w którym kajdany wcinają mu się w zwiędłe ciało, zaczyna cieknąć czerwono-szara krew, ale zaraz potem okowy pękają.

Mój Bishop znajduje klejnot-przycisk: przytrzymujące go pręty rozwierają się. Z twarzą, na której połyskuje warstwa potu, zeskakuje ze zmienionej w stół trumny i klepie w klejnot nad moją głową, oswobadzając mnie.

– Uwolnij innych – mówi, po czym rzuca się w stronę swojego protoplasty.

Stary Bishop natężył siły i ciągnie – cała iksowata rama wyrzywa się z kamiennego podłoża. Potwór zgina się w pasie i ostro przekręca: ciężki X uderza w nadbiegającego chłopaka, rzuca nim gdzieś w bok.

Zsuwam się ze stołu i przykucam w nogach swojej trumny. O'Malleya nie ma, nie widzę go. Sala zaczyna się napełniać kłębamii dymu z muszkietów.

Gdy mój Bishop gramoli się z ziemi na równe nogi, jego protoplasta zrywa z siebie resztki X-a i kajdan. Obaj rzucają się na siebie, zderzają w pędzie, waląc pięściami i kopiać.

O bok mnie wyrasta jakiś Skoczek, który próbuje odciągnąć mnie na bok. Ma skórę intensywnie fioletową, ale to nie Bharka. Tego nie rozpoznaję. Troje żółtych oczu błaga mnie, żebym się ruszyła.

Przy zakrzywionej czerwonej ścianie Starszy, którego nie poznaję, rozwała białym światłem innego Skoczka; rozrywa go na strzępy, ale jeszcze nim przebrzmi jego śmiertelny okrzyk, dwa kolejne Skoczki wysokimi susami zakończonymi kopniakiem przewracają Starszego na twardą kamienną posadzkę. Jednego z nich rozpoznaję: to Lahfa. Światła padające ze sklepienia błyskają na jego toporze, który unosi się i opada raz po raz, bryzgając łukowatymi strugami czerwono-szarej krwi po ścianach i podłodze.

Dym muszkietów wiruje, pieką mnie od niego oczy, pali gardło.

Trzy strzelby Skoczków ryczą niemal równocześnie, *bachbachbach* – na podwyższeniu dwa postumenty roztrzaskują się i plują ogniem, którego języki spływają na doktor Smith. Jej wysuszone ciało zapala się jak polano, strzelając płomieniami aż pod łukowato wygięte sklepienie.

Matyldy nie ma na podwyższeniu... g d z i e o n a j e s t ?

Sklepienie zaczyna iskrzyć... zajmuje się od ognia, który się po nim rozlewa – czyli sufit nie jest jednak z kamienia, a z czegoś innego. Cała ta sala za chwilę zmieni się w rozpalony piec.

Wokół mnie toczy się bój, Starsi walczą o życie, Skoczki mszczą się za trwającą od pokoleń rzeź.

Potykając się, rzucam się do trumny-stołu Gastona. Nadal jest tam uwięziony i kaszle tak gwałtownie, że na ustach i brodzie rozpryskują mu się drobinki śliny. Naciskam klejnot nad jego głową – w okamgnieniu zrywa się i rzuca w stronę ścian, do której przykuta jest Spingate.

U walniam Bordżigina. Stacza się z trumny-stołu, ciężko pada na ziemię. Podnosi się na rękach, rusza w kierunku, z którego dobiega wycie Coyotla.

Łapię go, przytrzymuję, krzyczę mu prosto w nos:

– To nie jest Coyotl! Twój Coyotl nie żyje! Pomóż mi ze Spingate!

Bordżigin ma mokre oczy. Wpatruje się we mnie nie dłużej niż sekundę, ale przez tę krótką chwilę widzę, jaka rozpacz rozrywa mu serce. Wyciera oczy rękawem tak mocno, że skóra natychmiast mu czerwienieje, a potem potakuje skinięciem głowy.

– Nie wychylaj się – mówię, popychając go w stronę Gastona i Spingate.

Dym już wcześniej mnie drażnił – teraz jest niebezpieczny, tworzy cienką, trującą chmurę, która kłębi się i wiję pod sufitem. Towarzyszący mi Skoczek kaszle mocno, wydymając przy tym szerokie policzki.

Gaston i Spingate ciągną z całej siły za pierścień, na którym wiszą okowy dziewczyny, ale jest on osadzony w kamiennej ścianie i ani drgnie. Bordżigin i ja dołączamy do nich – nawet kiedy ciągniemy we czworo, nic to nie daje.

Mój Skoczek wyciąga zza pasa topór. Jego obuchem jak młotkiem atakuje kamień wokół pierścienia.

– Mocniej! – drze się na niego Gaston. – Rozwal skurczybyka, w mordę bogów!

Kamień mocujący pierścień pęka. Gaston ponownie chwyta za obręcz, zapiera się jedną nogą o ścianę i wygina z krzykiem, napinając wszystkie możliwe mięśnie.

Pierścień odrywa się od ściany. Spingate łapie go i przytrzymuje – przeguby rąk ma nadal skute przyczepionymi do niego kajdanami, ale teraz może już biec. Gaston omiata wzrokiem całą salę, szukając drogi ucieczki.

Podwyższenie z postumentami stoi w ogniu, wysokie płomienie kłębią się przy suficie. Leje się ze mnie pot.

Przez dym widzę koło regałów ze skrzyniami Skoczka, macha do mnie

gorączkowo – to Bharka.

Popycham w jego stronę Gastona i Spingate.

– Do tego Skoczka, j u ż. On wam pomoże.

Gaston nawet nie rzuca heroicznych uwag o tym, że zostanie i że będzie walczył, bo ta walka nic dla niego nie znaczy – zależy mu tylko na tym, żeby wydostać stąd Spingate i ich dziecko. Kaszląc mocno, otacza ją ramieniem w talii, prowadzi w stronę regałów.

Popycham za nimi Bordżigina. Żaden z niego wojownik – będzie tylko zawadzał.

W szędzie jest dym. Nie widzę w nim, kto wróg, a kto przyjaciel. Gdzie Bishop? I gdzie Matylda? Zabiję ją, skończę to raz na zawsze.

Pochylam się nisko. Nowo poznany Skoczek przykuca obok mnie, mruży oczy w piekącym dymie. Mrugając jak szalony, unosi się lekko, żeby się rozejrzeć – i pochłania go białe światło.

Zanim moje ciało zdąży samo zareagować i odruchowo odskoczyć, czuję żar tak intensywny, że pali mi skórę – Skoczka zaś rozrywa na strzępy: w jednej chwili jest żywą istotą, w drugiej – bryzgającą krwią kupką skwierczącego mięsa. Niebieska ciecz chlapie wokół, zalewa całą podłogę, oblewa mnie od stóp do głów.

Siedzę bezmyślnie w miejscu, oglądam sobie palce. Zrosił je prysznic niebieskich kropelek, w każdej z nich odbija się ogień szalejący u góry, jak w tysiącu małych klejnotów tańczących jednym zgodnym rytmem.

To mogłam być ja... co robić, co robić...

Czyjeś ręce chwytają mnie, podrywają szarpnięciem na klęczki. To Bordżigin. Kaszle tak mocno, że z jego otwartych ust tryska ślina. Odciąga mnie od miazgi pozostałej po Skoczku, od mdlącego odoru spalenizny.

– Chodź – burczy. – Nie zostawię cię tu.

Już prawie wstaję, kiedy chłopak z krzykiem pada obok mnie, łapiąc się za

tył głowy. Obracam się ku zagrożeniu – czyjaś pięść wali mnie w nos. Zataczam się wstecz, osuwam na podłogę.

– Nigdzie nie idziecie.

T o O'Malley.

K ręci mi się w głowie, nie mogę skupić myśli. Na wargach czuję smak krwi. Przetaczam się na ręce i kolana, staram się nie przewrócić na bok w wirującym wokół mnie świetle.

O'Malley stoi przede mną, celując gdzieś w głąb sali kolcem bransoletki. Z tak bliska widzę, jak się nią posługuje, jak pstryka palcami, prostując je płasko jak deskę, i w ułamek sekundy później bransoletka rozbłyскуje białym światłem.

S łyżę wrzask kolejnego Skoczka.

O 'Malley się śmieje. Ta rzeź go bawi. Oparta na rękach i kolanach, mam wzrok na poziomie jego bioder. Widzę, że za pasem ma zatknięty ozdobny nóż, którym zamordował swojego stwórcę.

C hłopiec, którego kocham, nie żyje.

A teraz musi zginąć po raz drugi.

Wyciągam rękę, czuję na dłoni dotyk rękojeści noża i w okamgnieniu otaczam ją ciasno palcami. Jedno pociągnięcie – szybkie, mocne – i ostrze wysuwa się z pochwy.

O 'Malley poczuł szarpnięcie. Opuszcza wzrok i widzi nóż w mojej ręce. Otwiera usta – może żeby mnie powstrzymać – ale nie zdąża powiedzieć nawet „nie”.

U derzam. Ostrze rozcina kombinezon i zagłębia się w brzuch, wślizguje pod kątem w górę, w stronę serca. Nóż zagłębia się coraz bardziej, nie ustaje, póki nie stuka o ciało rękojeścią.

C hłopak wydaje z siebie dziwny odgłos – pół westchnienie, pół kasznięcie.

– Zabiłeś go – mówię.

W yciągam nóż. Krew rozlewa się momentalnie, tryskając na moją rękę, na rękaw.

C z e r w o n a krew.

– Kochałam go, a ty go s k a s o w a ł e ś.

U derzam go nożem po raz drugi, ponownie kierując ostrze w głąb i do góry.

O ’Malley gapi się w dół z niedowierzaniem. Szeroko otwarte oczy. Rozdziawione usta. Kręci lekko głową, jakby chciał powiedzieć: „To się nie dzieje, niemożliwe”.

J ego twarz się zmienia, przekształca. W jego oczach widzę nagle spojrzenie pełne ciepła, miłości.

T o prawdziwy O’Malley... m ó j O’Malley... który się u ś m i e c h a.

– Dziękuję – mówi.

I leci z nóg. Chwytam go, zanim upadnie. Leży na wznak na moich udach, podtrzymuję mu głowę ramieniem. Trzęsie się. Jego krew... jest wszędzie. Nóż nadal wystaje mu z ciała.

– Kevin! Trzymaj się! Wydostanę cię stąd.

R esztką sił chwytam mnie za ramię. Palcami wpija się w mój kombinezon.

– Za późno – szepcze. Próbuje zaczerpnąć oddechu, ale przerywa mu skurcz. Jakiś dygot przebiega po nim, p r z e z niego, i wyraz twarzy przepoczwarza mu się z miłości w czystą nienawiść. Piorunuje mnie wzrokiem; to te same oczy, ale inny człowiek. Wyrzuca z głębi gardła:

– Zawsze była z ciebie s u k a, Savage.

M ięśnie szyi rozluźniają mu się, głowa opada na bok.

M artwe oczy wpatrują się w przestrzeń.

J eszcze tam był.

B ordżigin podciąga mnie, próbuje wlec ku regałom, ku wyjściu, jeśli jest tam jakieś wyjście skryte w cieniach.

O dtrącam jego dłonie. Łapię za srebrną bransoletkę O'Malleya, zsuwam ją z ręki.

– *Hem!* – Bharka wrzeszczy, żebym usłyszała go w huku ognia. – *Hem, idziemy!*

Staję pochylona pod piekielnym żarem płomieni, który leje się w dół z ogarniętego ogniem sufitu. W płucach coś mnie piecze, odmawiają mi posłuszeństwa – kaszlę tak mocno, że nie mogę oddychać.

J edyni Starsi w zasięgu mojego wzroku leżą bez ruchu na zbryzganej krwią podłodze. Nie ma wśród nich Matyldy. Ani Gastona.

C ztery Skoczki wyszły z tej walki zwycięsko. Stoją i kaszlą – zakrwawione, poranione, wyczerpane. Co najmniej trzech ich pobratymców zginęło, ale w y g r a ł y.

W kłębach dymu i płomieni widzę, że trwa jeszcze jeden pojedynek.

P rzy szczątkach czarnego X-a stary Bishop siedzi okrakiem na młodym, obsypując go gradem razów, bijąc sękatymi, czarnymi pięściami w poharatane różowe ciało. Każdy z tych ciosów, gdyby trafił we mnie, rozniósłby mnie w pył.

Wsuwam bransoletkę na prawą rękę. Czuję, jak zaciska mi się na przedramieniu.

O ddech pali mnie w płucach, oczy zachodzą mi łzami, żar piecze mnie żywcem, ale jeszcze tu nie skończyłam.

S tary Bishop wstaje na chwiejących się nogach. Jego ręce to krwawa miazga z postrzępionego ciała i krwi.

N a kamiennej podłodze przed nim mój Bishop ledwo się rusza.

W moim sercu skręca się zmija szalu.

Długim krokiem ruszam w ich stronę. Po bokach zrównują się ze mną Bordzigin i Bharka.

S tary Bishop wbija we mnie wzrok. Maskę ma pękniętą i przekrzywioną,

oddycha ciężko, ale w czerwonych oczach płonie duma.

– Wygrałem – oznajmia. – Pokonałem go.

Wycelowuję w niego prawą rękę.

– A i tak przegrałeś.

O puszcza oczy, potem podnosi je na podwyższenie z postumentami, gdzie trup Smith ginie we wściekłym słupie ognia. Patrzy na pogruchotaną literę X, potem wraca wzrokiem do mnie, a ja rozumiem – nawet gdybym go nie dopadła, i tak nie ma jak nadpisać swojego pokonanego, młodszego ja.

Wielkie, szerokie ramiona opadają. W oczach gaśnie triumfalny blask. Stwór jest stary, przygnębiony, wyczerpany.

– Jestem taki zmęczony – mówi. – Wszystko mnie boli. Przez całe życie starałem się robić to, co należy. Wykonywałem rozkazy. Nawet kiedy one... były złe. I tak je wykonywałem.

Chwyta swoją maskę, zrywa ją, odrzuca w bok. Wskazuje na to, co miało być jego nowym ciałem – na mojego Bishopa.

– Pomóż mi wybierać dobre – mówi wiekowy mężczyzna.

Moje rozpalone gardło i skwierczące płuca nie pozwalają mi wydobyć słowa, więc odpowiadam mu skinieniem głowy.

Porostuje ramiona i wypręża się.

– Nazywam się Ramzes Bishop i jestem gotów, by wreszcie odpocząć.

Strzelam palcami w przód. Czuję w ręce głębokie mrowienie, a potem błysk białego światła przede mną rozrywa czarnego potwora na kawałki.

Jestem wiatrem... jestem śmiercią.

Zataczam się, muszę się chwycić jednej z trumien-stołów, żeby nie upaść. Bordżigin i Bharka pomagają mojemu Bishopowi wstać. Jego twarz to obity, krwawy strzęp. Trudno uwierzyć, że jeszcze żyje. Odkasłuje krwią.

Pozostałe Skoczki gromadzą się wokół nas, popychają mnie przez gęsty dym. Potykam się i nic nie widzę, więc pozwalam im się prowadzić. Muszę

się bardzo skupiać, żeby się nie przewrócić.

O dźwięki ognia nieco słabną, potem skrzypią zamykane drzwi i ryk płomieni cichnie do poziomu tępego skwierczenia.

Ktoś zapala pochodnię. Jesteśmy w wąskim korytarzu wyciętym w skałach Obserwatorium. Skoczki popędzają nas delikatnie.

Dopiero teraz mogę dobrze przyjrzeć się Bharce: jest ranny w nogę, jego środkowe oko zakrywa opaska nasiąkła już krwią, dwoje pozostałych oczu ma powieki półprzymknięte z bólu i wyczerpania, każdy ruch sprawia mu mękę. Nie uciekł, nie schował się – choć był tak ciężko ranny, znalazł więcej swoich i przyszedł z nimi, żeby mnie uratować.

R ozglądam się po Skoczkach i widzę jeszcze jedną znajomą twarz.

– *Hem* – mówi Lahfa.

J uż się nie śmieje. Trudno się dziwić – po wszystkim, przez co przeszliśmy?

O strożnie sprawdzam nos – nawet najdelikatniejsze dotknięcie promieniuje bólem na całą moją twarz. Chyba jest złamany.

B ishop łagodnie odsuwa od siebie Bharcę i Bordżigina.

– Mogę ustać sam – mówi.

O piera się ręką o ścianę, bierze głęboki, nierówny oddech, a potem rusza.

I dziemy wszyscy korytarzem. Próbuję zrozumieć, co się właśnie stało, uporządkować sobie jakoś w głowie szaleństwo ostatnich kilku minut. O'Malley nie żyje (*on jeszcze tam był a ja go zabiłam ZABIŁAM*). Nie widziałam ciała Matyldy ani Starego Gastona – jestem pewna, że oboje jeszcze żyją. Próbowałam odesłać Bordżigina, zakładając, że jest za słaby, by walczyć, a tymczasem wrócił po mnie.

U ratował mi życie, to prawda, ale bez Bharki i jego przyjaciół zginęlibyśmy w s z y s c y. Królewicz Skoczków jest nieopisanie odważny. Chociaż przed chwilą dał pokaz przemocy, zrobił to tylko dlatego, że pragnie

pokoju.

W spólnie uda nam się do niego doprowadzić.

Korytarz jest długi i prosty – jak te, którymi szliśmy na „Xolotlu” – ale ten przynajmniej prowadzi płasko.

– Matylda – mówi Bishop chrypiącym, rwącym się głosem. – Nie żyje? Póki żyje, nie będziesz bezpieczna.

– Żyje – odpowiadam. – Tego jestem pewna.

Matylda nie spocznie, póki mnie nie pochwyci. A nie mamy pojęcia, co kryje się w tym mieście – ona je zbudowała, więc może istnieją miejsca inne niż Obserwatorium, w których może wyczyścić mi umysł.

Zakładam, że uciekła... gdzie mogła uciec?

Nie, myślę o tym w niewłaściwy sposób: gdzie ja mogłabym uciec? Gdybym została pokonana, a moi przyjaciele zabici, co bym zrobiła?

– Statek Bello – mówię. – Matylda jest za stara, żeby uciec daleko. Spróbuj statkiem Bello wrócić na „Xolotla”. Nie wiem, która godzina. Czy Aramowski na pewno nadal planuje atak? Bo jeśli nie, to możemy ruszyć za Matyldą.

– Planuje – mówi Bishop. – Aramowski wysłał część młodszych kółkogwiazd na zwiad pajakami. Właśnie dawał mi rozkaz, żebym zjawił się tutaj, kiedy wróciły. Mówiły o setkach Skoczków w pobliżu polany na północny wschód od miasta. Aramowski stwierdził, że zaatakują o świcie.

Szybko wyjaśniam mu, co przekazał mi Bharka na temat pułapki zastawionej na Aramowskiego przez króla Skoczków.

– Ich przewaga liczebna to stu na jednego – mówię. – Aramowski prowadzi naszych na rzeź.

Bordzigin kręci głową.

– Nie wydaje mi się. – Ciągłe jeszcze ociera oczy rękawem. Skórę wokół nich ma już prawie całkiem startą. – Zanim kazał mi tu przyjść, zreperowałem

jeszcze cztery pająki, więc wyruszył z sześcioma. Zubiri z innymi pracowała nad jeszcze jakimiś maszynami, ale nie skupiałem się na nich, więc nie wiem, co mogła naprawić. W każdym razie chodzi mi o to, że naprawiłem działka. Wszystkie. Bransoletki to n i c w porównaniu z tym, co teraz mają pająki. Em, Aramowski zmasakruje Skoczki. Tysiącami.

K rzywię się i zerkam na Bharę, zapominając na moment, że nie rozumie naszego języka. Nie ma pojęcia o tym, że pułapka króla Skoczków przekształci się w rzeź jego ludu.

D ocieramy do końca tunelu. Przeciskamy się przez grube pnącza, wychodzimy na ulicę – jest nadal ciemno. Przynajmniej mamy jeszcze trochę czasu.

P ająk Coyotla stoi w bezruchu. Pod nim widzę Gastona i Spingate. Na jego grzbiecie – pięć Skoczków uzbrojonych w muszkiety. Ich skóra ma czerwono-fioletowy kolor. Tak naprawdę bardziej czerwony niż fioletowy, są też znacząco mniejsze niż Bharka, Lahfa i pozostali, chyba mniejsze od własnych muszkietów. Te Skoczki to jeszcze dzieci – być może rówieśnicy naszych dwunastolatków. Może Matylda przyszła po Coyotłowego pająka, ale zobaczyła te uzbrojone młode i zamiast wdawać się w wymianę ognia, postanowiła się wymknąć.

B ordżigin podchodzi do pająka. Kładzie rękę na jednej z jego pięciu nóg, zwiesza zakrwawioną głowę i zaczyna płakać.

D aleko na horyzoncie widzę brzask poranka. Słońce jeszcze nie całkiem wzeszło, ale nie mamy dużo czasu.

J eśli spróbuję zapobiec bitwie, Matylda dotrze do swojego statku. Może uda się jej uciec. Chcę, żeby padła t r u p e m. Nie podoba mi się, że muszę wybrać, ale to właśnie robi przywódca: dokonuje wyboru.

– Bharka i ja musimy dostać się na tę polanę – mówię. – Zanim wzejdzie słońce. Razem z nim mogę to powstrzymać.

N a opuchniętej twarzy Bishopa widzę powątpiewanie, czy uda mi się to osiągnąć, ale nie próbuje mi nic perswadować.

– Jesteśmy w środku miasta – mówi tylko. – Polana jest daleko za murami. Nawet pajakiem nie uda nam się zdążyć przed wschodem słońca.

K siężyce oświetlają mu twarz: jedno oko tak spuchnięte, że niewidzące, rozcięta, z których kapie krew, dolna warga obrzmała i okropnie pęknięta.

P o raz pierwszy, odkąd zostawiliśmy za sobą pożar, odzywa się Gaston.

– Pajakiem mamy dziesięć, piętnaście minut do lądowiska, a potem wahadłowcem moglibyśmy dotrzeć do polany w mniej niż dziesięć minut, łącznie z czasem potrzebnym na rozgrzanie silników.

J ego słowa zawisają w powietrzu.

M oi przyjaciele obserwują mnie z wyczekiwaniem. Bishop, Bordżigin, Gaston, Spingate... nawet Bharka i Lahfa. Tym razem nie było głosowania i nie dbam o to – wiem, co należy zrobić, i zamierzam ich poprowadzić.

J eśli zrobimy tak, jak sugeruje Gaston, nigdy nie będziemy mogli wrócić na „Xolotla”. Przysięgam sobie, że raczej umrę na Omeyocanie niż wrócę na ten statek pełen grozy. Ale przekonanie, że nie skorzysta się z jakiejś możliwości, to nie to samo, co całkowite się jej pozbawienie. Jeśli coś jeszcze się tu nie powiedzie, jeśli natrafimy na inny rodzaj pleśni albo Skoczki uznają, że i tak chcą wojny, albo jeśli nastąpi jakaś klęska – cokolwiek – to wahadłowiec nie będzie mieć dość paliwa, byśmy mogli nim uciec.

K olejna decyzja, którą muszę podjąć sama.

I podejmuję ją.

CZTERDZIEŚCI DWA

Cienki półokrąg słońca przecina linię horyzontu. Długie szeregi chmur płoną szkarłatem, podświetlone na granatowym niebie. Bliźniacze księżyce Omeyocana zaczynają przygasać, gotowe odespać dzień aż do nadejścia kolejnej nocy.

Większość Skoczków musieliśmy zostawić w tyle – na pająku nie było dość miejsca dla wszystkich. Ze mną, Bishopem, Spingate, Gastonem, Bordżiginem, Bharką i Lahfą jest ciasno, ale udaje nam się utrzymać równowagę nawet wtedy, gdy Bordżigin prowadzi maszynę w górę, wspinając się nią na gruby krąg pnący otaczający lądowisko.

W ahadłowiec na nas czeka.

Farrar i mniej więcej dziesiątka młodych kółko-gwiazd czają się w pobliżu pochylni. Trójka młodych celuje do nas z muszkietów. Pozostali trzymają noże albo różne narzędzia: kilofy, łopaty, siekiery lub inny sprzęt.

Pająk *klek-klek-klekocze* pięcioma twardymi nogami po metalowej powierzchni lądowiska. Maszyna zwalnia; zeskakuję z niej na dół, zanim jeszcze zdąży zupełnie się zatrzymać.

Kółko-gwiazdy widzą oba Skoczki i cofają się, przestępując z nogi na nogę, poruszone i przestraszone.

– Z o s t a ć n a p o z y c j a c h! – warczy Farrar do swoich podopiecznych.

Młode kółko-gwiazdy stają w miejscu, ale nie spuszczaają oczu z Bharki i Lahfy. Farrar też nie może oderwać od nich wzroku, nawet kiedy odzywa się do mnie:

– Em, co się dzieje? Widziałaś się z Aramowskim?

– Wprowadź wszystkich do środka – mówię, mijając go i kierując się w stronę pochylni. – Zabieramy wahadłowiec.

C hwyta mnie za ramię, obraca w swoją stronę.

– Teraz przywódcą jest Aramowski – przypomina mi. – Bez jego rozkazu nigdzie się nie ruszymy, a te stwory nie wejdą na pokład, choćby nie wiem co.

B ishop przeskakuje nad półką osłony pająka, ale lądując na ziemi, stęka z bólu. Z zaciśniętymi pięściami kuśtyka w naszą stronę.

P odnoszę rękę, gestem kazać mu się zatrzymać. Robi to, choć dopiero o krok od nas. Jest gotów do walki, ale w tym stanie nie ma szans jej wygrać.

– Aramowski nas zdradził – oznajmiam Farrarowi i kółko-gwiazdom. – Na Omeyocanie są Starsi, a on z nimi współdziała. Wiesz, dlaczego nie wysłał cię na bitwę?

Farrar spogląda na mnie z powątpiewaniem.

– Zostaliśmy strzec wahadłowca przed atakiem Skoczków.

– Zostaliście, bo na planecie jest Starszy, który czeka, żeby wsadzić cię do trumny, wdrzeć się w twoje ciało i wymazać cię na zawsze – mówię. – Nie chcą, żebyś w bitwie został ranny albo zginął. Zamordowali już tak Coyotla, Becketta i O'Malleya. Wy wszyscy mieliście być następnymi.

W idzę walkę na twarzy Farrara, na twarzach wszystkich dzieciaków. Boją się, że mówię prawdę, ale nie jestem przywódcą i zawiodłam ich zaufanie, kiedy nie powiedziałam im o znaczeniu symboli. W dodatku przysłałam tu ze Skoczkami, a przecież słyszeli, że to demony zła, które chcą ich wszystkich wybić.

Z pająka schodzą Gaston i Spingate.

– Pośpieszcie się, tłuki – mówi Gaston, wchodząc po pochylni. – Nie mamy na to czasu.

W ślad za nim idą Spingate i wciąż jeszcze łkający Bordzigin. Farrar patrzy, jak go mijają – nie ma pojęcia, co robić.

W yciągam rękę, ujmuję jego dłoń, skupiam na sobie jego uwagę.

– Farrar, mówię ci prawdę.

Kręci głową.

– Nawet jeśli, to muszę słuchać rozkazów. Muszę...

W szczękę trafia go wielka pięść Bishopa. Dłoń Farrara wyslizguje się z mojej. Chłopak pada bez czucia na ziemię.

Bishop prostuje się, rzuca polecenia wstrząśniętym młodym kółkogwiazdom:

– Wszyscy na wahadłowiec, ale już, albo was tam powrzuca m. A Farrara zanieście do zabiegowego, niech Smith się nim zajmie. R u c h y!

Dzieciaki rzucają się po Farrara, zapominając o starych instrukcjach, które właśnie unieważniła władcza postawa Bishopa. Żeby podnieść nieprzytomnego chłopaka i wnieść go na wahadłowiec, potrzeba ich aż pięćoro.

Kręcę głową, patrząc na Bishopa.

– Miałam to pod kontrolą.

Bishop wzrusza ramionami.

– Dość gadania. Nie mamy na nie czasu.

Kuśtyka na pokład wahadłowca, zostawiając mnie z Bharką i Lahfą.

Z apraszam ich gestem w stronę wejścia.

– Idziemy – mówię. – Pokój.

Lahfa lustruje błyszczący metalowy kadłub. Czy odkąd był mały, słyszał opowieści o takich latających maszynach? Czy jego kultura nabijała mu głowę historiami o rzezi, jakiej tego typu pojazdy dokonywały na jego ludzkie? Prosić go, żeby wszedł do środka, to pewnie jak zapraszać do wizyty w paszczy potwora.

J eśli Bharka myśli to samo, nie daje tego po sobie poznać. Mój nowy przyjaciel dzielnie wspina się susami po pochylni.

L ahfa patrzy w niebo i gładzi się po szyi. Z jakiegoś powodu ten gest przywodzi mi na myśl ludzkie ciężkie westchnienie irytacji. Rusza jednak pochylnią w górę za swoim królewiczem.

W biegam na wahadłowiec, gestem pokazuję Lahfie i Bharce, żeby zostali w przedsionku.

W sali z trumnami widzę dziesiątki dzieciaków. Obecni są przedstawiciele wszystkich symboli. Z ludzi w moim wieku widzę Okerekego, Cabral i Opkick. Nie widzę Bawden, Johnson, Ingolfssona ani D’Souzy – są w armii Aramowskiego jako mięso armatnie, które zostanie rzucone przeciwko Skoczkom.

R oglądam się za Zubiri – nie ma jej tu.

I wtedy widzę Bello.

M oja frustracja i złość skupiają się w jednym punkcie: na niej.

– To twoja wina – cedzę przez zęby. – To twoja wina, że O’Malley nie żyje.

R obi wielkie oczy – ale nie ze strachu, tylko z irytacji.

– Kevinowi nie udał się transfer? No szkoda, ale jakim cudem u diabła ma to być m o j a wina?

„Kevinowi”...

M yśli, że mówię o tym starym, pomarszczonym potworze... Bello myśli, że jestem M a t y l d ą.

W ściekłość ogarnia mnie bez ostrzeżenia, gorąca, mrowiąca i wszechpotężna. To nie jest już tylko Bello, to w s z y s c y Starsi w jednym, to ona jest powodem naszego nieustannego cierpienia, powodem śmierci moich przyjaciół.

R zucam się na nią, przeskakując przez trumny i dzieciaki.

B ello kręci głową, zbita z tropu, jakby pytała: „Co ty wyprawiasz?” –

a potem ją dopadam. Rzucam nią o czerwoną ścianę. Tyłem głowy wali w nią tak mocno, że brzmi to jak uderzenie w gong. Krzyczy z bólu i zaskoczenia. Zginam prawą rękę, strzelam ją łokciem w twarz – srebrna bransoletka wbija jej się w usta. Pada na podłogę, plując zębami i krwią.

– Wykorzystaliście nas – mówię.

W ściekle kopię ją w żebra nosem ciężkiego czarnego buta. Wydaje z siebie odgłos, który przypomina bardziej czkawkę niż jęk, i przetacza się na wznak. Unosi ręce w geście poddania, a może próbuje powstrzymać dalszy atak – nie wiem, o co jej chodzi, ale i tak wszystko mi jedno.

– Mieliście nas chronić.

Z całej siły wbijam kolano w jej brzuch. W jednym gwałtownym stęknięciu uchodzi z niej całe powietrze. Oczy Bello rozszerzają się w szoku i przerażeniu – nie wie, czy będzie jej dane jeszcze zaczerpnąć oddechu.

– Chcieliście, żebyśmy stali się tacy jak wy.

D ociera do mnie, choć słabo, wrzask dzieci; inne kółka krzyczą do mnie, żebym przestała, ale żadne z nich nie śmie mnie tknąć.

S iadam na Bello, przygważdżam ją do podłogi. Walę ją w oko, czując, jak pęka mi skóra na knykciach.

– Wszyscy jesteście potworami!

U noszę się i odchylam, uderzam ją znowu. Jej głowa odbija się od podłogi. Walę w nią trzeci raz, rozkwaszając jej nos.

J ej twarz zalewa się krwią. Otwarte oczy toczą wokół niewidzącym wzrokiem.

– Nie wytrzymaliście i nie potrafiliście po prostu dać nam spokoju – mówię. – To wszystko mogło wyglądać zupełnie inaczej.

C eluję kolcem bransoletki między jej pełne łez oczy.

– Płaczem niczego się nie rozwiąże – mówię. – Płaczesz, bo jesteś słaba.

B ello drży. Jest pobita, bezbronna, ale nic mnie to nie obchodzi.

Wystarczy tylko, że wyprostuję palce, a przestanie istnieć.

W ahadłowiec dygocze. Słyszę i czuję dudnienie.

Silniki – Gaston je uruchomił.

To wystarczy, żeby wytrącić mnie z transu, żebym ogarnęła spojrzeniem, co zrobiłam.

Głęboka rana nad okiem Bello tętni czerwoną krwią. Jej nos jest przekrzywiony, z poszarpanego rozdarcia, z którego krew ścieka jej po policzku, wystaje kość albo chrząstka. Górną wargę ma pękniętą i krwawi z niej obficie. Straciła dwa przednie zęby, a lewy siekacz ma złamany w pół; jego ułamany koniec wystaje jej z zakrwawionych dziąseł.

Na ramieniu czuję czyjaś silną, ale łagodną dłoń.

– Już wystarczy – odzywa się Bishop. – Chodź do sterowni.

Dzieciaki gapią się na mnie wielkimi oczami, rozdziawiając usta, tak samo zresztą jak Okereke, Cabral, Bordżigin i Opkick. Stoi tu też trzódka młodych kółko-gwiazd Aramowskiego, oczy im się świecą, każda z nich chłonie przemoc całą sobą. Patrzą na mnie z nowo odkrytym szacunkiem. Przemówiłam w języku, do którego rozumienia zostały zaprogramowane.

Bishop podnosi mnie, stawia na nogi.

– Zanieście Bello do pustego magazynu – mówi. – Zablokujcie drzwi. Nie róbcie jej już krzywdy.

Ludzie rzucają się, by pozbierać ją z podłogi, tak samo jak przed chwilą dzieciaki przed wahadłowcem podbiegły podnieść Farrara po nokaucie Bishopa.

W przedsionku sali z trumnami Bharka i Lahfa obrzucają mnie dziwnym spojrzeniem. Ciekawe, ile widzieli z tego, jak biłam Bello?

W ahadłowiec znowu dygocze. Niewidoczne silniki wyją tak głośno, że niemal zatykam sobie uszy, ale potem hałas opada do zwykłego ryku.

Gnam do sterowni, gestem pokazując obu Skoczkom, żeby poszli za mną.

W środku i Gaston, i Spingate są skąpani w kolorach.

– Kontrola wstępna zakończona – oznajmia chłopak. – Wahadłowiec: dawaj uchwyt.

Jakieś punkty unoszą się z czarnej podłogi, zdają się wypływać bezpośrednio z jej powierzchni. Gaston i Spingate chwytają po jednym z nich. Bharka i Lahfa robią to samo.

– Podłoga sterowni dostosowuje się do nagłych zwrotów i przyspieszeń, ale system nie jest idealny – wyjaśnia Gaston. – To znaczy: trzymajcie się mocno. Wahadłowiec: włącz interkom.

– *Interkom włączony, panie kapitanie.*

Następne słowa Gastona słyszę powtarzane echem w całej przestrzeni wahadłowca:

– Wszyscy pakować się do trumien. Macie w nich zostać. Trasa będzie krótka, ale lądowanie może być wyboiste.

Macha ręką. Słyszę jakieś pstryknięcie. Gaston spogląda w moją stronę i kiedy znów się odzywa, słyszę jego głos już normalnie.

– Jesteśmy gotowi – mówi. – Nadal tego właśnie chcesz?

Na jednej ze ścian za jego plecami widać wschodzące słońce. Płonąca czerwonią kulą właśnie uniosła się nad horyzont.

– Leć na tę polanę – mówię. – Najszybciej jak się da.

Gaston potakuje skinieniem głowy.

– Wahadłowiec: inicjacja planu lotu.

S tartujemy. Czuję, jak przechylamy się lekko w jedną stronę, w drugą, ale – tak, jak zapowiedział Gaston – podłoga dostraja się momentalnie, ustawiając pod kątem dla zrównoważenia każdego manewru. Mimo to trzymam się uchwytu dużo mocniej, niż kiedykolwiek ścisnęłam włącznik.

Wznosimy się szybko. Obrazy na ścianach ulegają zmianie, pokazują nam rozległe piękno Omeyocana. W kilka sekund jesteśmy już bardzo wysoko,

daleko nad szczytem Obserwatorium. Gdzieś w dali widzimy góry, ogromne rzeki, rozległe równiny i wszechobecną żółtą dżunglę.

B harka i Lahfa wyglądają na przerażonych, ale trzymają się mocno i nie odzywają. Przeszli już tak wiele. Złamana noga, wybite oko, skóra poparzona i cała w pęcherzach. Niektóre z ich ran pokryły się strupami, z innych nadal sączy się niebieska krew.

– Pięć minut – ogłasza Gaston.

Słońce wzeszło – czy bitwa też już się zaczęła?

Patrzę na Bishopa. Jego poobijaną twarz znaczą rozcięcia i obrzęki. Z jego knykci na podłogę sterowni kapie krew. Cięgi, jakie spuścił mu jego stwórca... Nie uwierzyłabym, że ktokolwiek będzie w stanie po czymś takim choćby się podnieść, a jednak Bishop stoi tu przy mnie, gotów do dalszych poświęceń.

– Wyglądasz strasznie – mówię mu.

Uśmiecha się.

– A ty jak wojownik.

Trzymając jedną ręką uchwyt, drugą macam się po twarzy. Złamany nos. To O'Malley walnął mnie tak mocno. Jego nóż. Moment, gdy wślizgiwał mu się w brzuch... szok na jego twarzy, groza, z którą uświadamiał sobie, że zdobył coś, czego szukał od tysiąca lat, a ja mu to właśnie odebrałam.

– Musiałaś to zrobić – mówi cicho Bishop. – Ale to, co zabiłaś... to nie był O'Malley.

Czyta mi w myślach.

Chciałabym wierzyć, że ma rację, ale nie umiem. Kevin jeszcze tam był, przynajmniej jakaś drobna jego część. Gdybym go pojmała zamiast zabijać, może udałoby mi się znaleźć sposób, żeby go odzyskać. Zamiast tego po prostu go zadźgałam.

Na poziomie umysłu zdaję sobie sprawę, że zrobiłam jedyne, co mogłam

zrobić. Za dużo się naraz działo, wszędzie wokół były krew, śmierć i ogień – nie było innej możliwości.

W głębi serca jednak zawsze będę czuć, że mogłam znaleźć jakiś lepszy sposób.

Bishop wyciąga rękę, muska mój policzek. Tak delikatnie. To niemal wystarczy, żebym zapomniała o całym koszmarze, o wszystkim, co zrobiłam.

– A mój protoplasta... – dodaje. – Niech ci czasem nie będzie przykro, że go zabiłaś, bo uratowałaś mi tym życie.

Z nów kiwam głową, ale wiem, że to też jest nieprawda. Stwórca Bishopa miał już dosyć walki. Może na zawsze. Widziałam to w tych dziwnych czerwonych oczach. Wygrał swój pojedynek, czym w pewnym sensie udowodnił samemu sobie, że człowiek, w którego się zmienił dzięki tysiącletniemu doświadczeniu i mądrości, góruje nad talentem i energią, jakimi dysponował za młodu. Ale to zwycięstwo miało swoją cenę – nie mógł już patrzeć na mojego Bishopa wyłącznie jako na pustą skorupę czekającą na wypełnienie. Nawet po tysiącu lat tkwiła w nim cząstka przyzwoitego człowieka. Człowieka, który w końcu przypomniał sobie o różnicy między dobrem i złem.

A kiedy to się stało, rozerwałam go na strzępy.

Y ong... świnia... Skoczek Ponalla... Stary Bishop... O'Malley... Stary Visca...

W szyscy zginęli z mojej ręki.

I jeszcze Bello, sprana na miazgę, żywa tylko dlatego, że moją uwagę odwróciły silniki wahadłowca.

Dlaczego taka jestem?

Co jest ze mną nie tak?

Ile jeszcze istot zabiję?

– Jestem wiatrem – mówię cicho. – Jestem śmiercią.

Bishop potakuje ze zrozumieniem i powagą.

– Ktoś musi być, Em. – Spogląda na Bharę, na Lahfę, obrzuca wzrokiem ich rany. – W każdej cywilizacji ktoś musi nimi być.

– Jesteśmy w zasięgu kamer – mówi Gaston. – Lądowanie za trzy minuty.

Na przedniej ścianie kryształowo czysty obraz mijanej przez nas bezkresnej żółtej dżungli ustępuje lekko trzęsącemu się widokowi polany w kształcie półksiężyca. Półksiężyc wygięty jest nie ku nam, tylko w przeciwną stronę; zbliżamy się do jego dolnego rogu, otoczonego wysokimi drzewami.

Na polanie widzę szeregi maleńkich, poruszających się istot; błyski porannego słońca odbijają się od metalu. To Skoczki maszerują przed siebie z muszkietami w dłoniach.

W tym spośród drzew z przeciwległej strony szerokiej polany wypadają cztery żółte maszyny.

Pająki.

Spóźniliśmy się. Za chwilę zacznie się bitwa.

CZTERDZIEŚCI TRZY

Gaston, leć tam jak najszybciej – mówię. – Przyśpiesz!

Chłopak kiwa głową.

– Chcę ciąg maksymalny!

Wahadłowiec skacze do przodu tak gwałtownie, że podłoga pode mną nie ma czasu się dopasować; uchwyt prawie wyslizguje mi się z dłoni.

L ahfa świergocze i ćwierka. Nie jestem pewna, czy boi się tej jazdy, czy tego, co widać na polu bitwy.

W miarę jak się zbliżamy, obrazy na ścianie sterowni stają się coraz bardziej szczegółowe. Widzę ludzi na skraju dżungli, kryją się za drzewami i kulą w płytkich rowach. Większość ma w rękach narzędzia, które powinny służyć do pracy na roli, i większość to kółka – mięso armatnie na wojnę Aramowskiego.

S zeregi Skoczków stają. Widzimy serię błysków – to setki muszkietów mierzących do celu. Wszystkie równocześnie dają ognia i natychmiast zasłania je długi, szarawy obłok dymu.

J eden z atakujących pajaków zwalnia i staje.

Z pozostałych trzech wystrzeliwują snopy białego światła, które przetaczają się po Skoczkach. W powietrze wzbijają się kłęby ziemi i trawy, ale wiem, że są w nich także strzępy ciała i krwi, kości, mięsa, mózgów.

B harka krzyczy; to żałosne wycie, które rozdziera mi serce.

P ozostałe przy życiu Skoczki pierzchają. Choć nadchodziły w zorganizowanym szeregu, idą w rozsypkę pojedynczo.

A le pająki się nie zatrzymują. Maszerują dalej na środek polany, wypalając snopami promieni nowe dziury, obracając żywe istoty w gejzery płynów ustrojowych, zgliszcza i parę.

C zuję się taka bezsilna.

– Cholera, Gaston, szybciej!

– Wasze uchwyty nie zniosą agresywnych manewrów – oponuje. – Mamy za dużą inercję...

– J a z d a! Wytrzymamy! Ląduj między Skoczkami i pająkami. Musimy odepchnąć naszych.

S pingate odrywa na chwilę wzrok od unoszących się wokół niej małych świetlnych obrazków, krzyżuje ze mną spojrzenie.

– Są w zasięgu rakiet wahadłowca – mówi. – Możemy zniszczyć pająki.

Rakiety... Zdążyłam o nich zapomnieć, przecież Gaston mówił mi, że wahadłowiec ma broń.

A le jeśli zniszczymy pająki, czy nie zabijemy tych, którzy nimi kierują? Gdybyśmy tylko przylecieli kilka minut wcześniej... mogliśmy temu wszystkiemu zapobiec. A teraz jedyny sposób na zakończenie konfliktu to skazać na śmierć moich własnych ludzi?

O braz, który mamy przed sobą, pokazuje nam pole bitwy w całej okazałości. Rozorana ziemia. Płonące pnącza. Dymiące zwłoki. Oderwane kończyny. Skoczki, które próbują pełznąć, choć nie mają już nóg, albo skaczą beładnie w kółko, przytrzymując krwawe kikuty rąk. W zatrzymanym pająku widzę dwie kółko-gwiazdy i ząb-dziewczynę, nieruchomych za osłoną pojazdu; na pokładzie pod nimi rozlewa się kałuża krwi.

– Lądowanie za trzydzieści sekund – mówi Gaston. – Schodzimy za szybko, będzie ostro – trzymajcie się mocno.

– Em, cele namierzone – mówi Spingate. – Czy mam ostrzelać pająki?

Otwieram usta, żeby potaknąć, ale nie potrafię wydobyć z siebie głosu.

C oś wytacza się na polanę od strony sił Skoczków – dziesiątki tych dziwnych drewnianych wozów, których model pokazał mi Bharka. Skoczki pchają je tak szybko, że ich koła podskakują na nierównym gruncie. Wozy nie są już puste: każdy wiezie na sobie obwiązany linami głaz większy od nawet największego Skoczka. Długie drewniane ogony nie wloką się już po ziemi, tylko sterczą pod kątem jak deski jakichś zwichrowanych huśtawek.

K olejny promień wystrzelony z pająka przecina powietrze, trafia w sam środek jednego z wozów. Ciało Skoczków rozpryskują się i płoną; wóz zajmuje się jasnym ogniem, momentalnie zmieniając w płonąca płataninę drewna i lin.

W ozy stają. Drewniane ogony podrywają się w górę, napinając liny wokół głazów; te kołyszą się w tył, potem w górę i w przód – aż wreszcie wzbijają się w powietrze w kierunku celów.

C ciężkie skały uderzają w ziemię, odbijają się od niej i toczą z przeraźliwą prędkością. Dwie pierwsze śmigają obok prowadzącego atak pająka.

Trzecia w niego trafia.

K amień wbija się w metal. Ugodzony w pełnym biegu pająk nie tylko nieruchomieje – siła uderzenia rzuca nim wstecz, metalowy pancerz owija się wokół wbitego w niego głazu. Ciało człowieka wylatuje w powietrze, bezwładnie koziółkując. Pająk pada na ziemię, przejeżdża po niej kawałek poślizgiem i zatrzymuje się. Żółte nogi sterczą mu w górę, połamane i poskręcane. Dwóch innych oszołomionych członków załogi gramoli się z ziemi, są pewnie ranni.

K olejny głaz zahacza z boku drugiego pająka, odrywając mu dwie nogi. Pająk uderza o ziemię, koziółkuje dziko. Ludzie wylatują w powietrze tak szybko i gwałtownie, że jeśli nawet nie zginęli od razu, i tak nie przeżyją upadku.

Pozostałe głazy szybują, nie trafiając do celu. Koziółkują przez polanę,

wytracając prędkość – z wyjątkiem jednego. Musiał trafić w twardsze miejsce, bo odbija się jak kozłująca piłka od podłogi. W końcu wbija się w ziemię po naszej stronie polany, miażdżąc znajdujących się tam ludzi.

W kilka sekund Skoczki, nad którymi nasi podobno mieli przewagę, zniszczyły dwa pająki i zlikwidowały załogę trzeciego. Teraz rozumiem, dlaczego chciały zgromadzić maszyny w jednym miejscu – przy tyłu wozach było pewne, że przynajmniej część z dwudziestu paru głązów trafi w cel.

Nogi ostatniego z atakujących pajaków błyskają w szaleńczej galopadzie, gdy zwalnia, staje i się wycofuje.

Na polanę wylewa się kolejna fala Skoczków. Nie słyszę ich, ale sądząc po ich otwartych ustach, wydają z siebie okrzyk wojenny.

– Dwadzieścia sekund – rzuca Gaston.

Szereg Skoczków zbliża się do dwóch postaci, które wypadły z pajaka unieruchomionego pośrodku polany i kryją się za zniszczoną maszyną. W milczeniu ponaglają je – *uciekajcie!* – ale mniejsza trzyma rękę przyciśniętą do piersi, a większa nie chce jej zostawić. Ledwo widzę, kto to, ale w końcu rozpoznaję: Bawden i... Zubiri.

W ahadłowcem szarpie w lewo.

– Piętnaście sekund! – woła Gaston.

Zerkam na naszą stronę polany, by sprawdzić, co teraz zrobi Aramowski, i mam wrażenie, że drzewa ruszyły z posad.

To olbrzym – ruchomy olbrzym pokryty pnączami, liśćmi, nawet całymi drzewkami zatkniętymi w pęknięcia i rozstępy pancerza. Jedną ręką kończy mi się ogromną łyżką-łopatą, drugą – cęgami. To budowlana maszyna, którą widzieliśmy w gnieździe pajaków. Choć lecimy, dałabym głowę, że czuję, jak ziemia pod nami trzęsie się przy każdym kroku wielkich metalowych nóg.

Lahfa wskazuje na giganta, trajkocze coś szybko, w panice, po czym ponownie łapie się uchwytu, kiedy wahadłowiec przechyla się w prawo.

– Skoczki go nie zatrzymają – mówi Bishop. – Muszkiety i skały nic mu nie zrobią.

– Rakiety go załatwią – mówi Spingate. – Em, co robimy?

O lbrzym wielkimi krokami szybko skraca dystans. Skoczki strzelają do niego z muszkietów, jednak to go nawet nie spowalnia. Wszystko dzieje się zbyt szybko. Możemy go zniszczyć, ale – tak jak z pajakami – zabiłabym przy tym własnych ludzi. Chyba że...

– Spin, walnij w ziemię przed tą wielką maszyną i przed Skoczkami, ale postaraj się nikogo nie zabić. S z y b k o!

S pingate chwyta dłońmi symbole utkane ze światła.

– Odpalone – mówi głosem spokojnym i opanowanym.

W ahadłowiec drży. Przez moment widok zasłaniają nam oślepiające smugi ruchomego ognia, a potem dymu, które wiją się serpentynami częściowo w stronę Skoczków, częściowo – ku olbrzymiej maszynie.

S mugi dymu stykają się z ziemią.

P od naporem ognistych wybuchów w powietrze wznoszą się pęczniejące półkule gleby i trawy. Skoczki sypią się ciężko na wszystkie strony, wiele z nich siła wybuchu unosi w górę i odrzuca wstecz.

K olejna kula ognia wyrasta przed mechanicznym olbrzymem, obsypując go ziemią. Ludzie w jego wnętrzu kulą się w odruchu obronnym i jego ciężki chód ustaje.

N a pole bitwy spadają odłamki gruzu.

B awden osłania Zubiri własnym ciałem.

Wskazuję je palcem.

– Gaston, posadź nas tam! Przy tym uszkodzonym pajaku!

W ahadłowiec przechyla się w prawo, mocno rzucając mną o uchwyt, potem w lewo, a w końcu do góry. Uchwyt wyślizguje się Bishopowi, który koziołkuje pod ścianę, uderza w drzwi i odbija się od nich. Tymczasem

wahadłowiec wyrównuje poziom, dygocze przez moment i nieruchomieje.

– Stoimy – mówi Gaston.

Bishop leży na brzuchu, niemrawo się ruszając.

– Gaston – zarządzam – powiedz Smith, że na zewnątrz są ranni. Spingate, zostań w sterowni i bądź gotowa przy raketach. Jeśli uniosę lewą pięść, wyeliminujesz olbrzyma, rozumiano?

– Tak jest. – Ma wzrok twardy jak stal. – Wiesz, że ludzie w środku zginą, tak?

Popatuję skinięciem głowy. Jeśli będę musiała znów zabić, żeby to wszystko powstrzymać, jeśli będę musiała nosić ze sobą wszędzie kolejną nawiedzającą mnie twarz, niech tak będzie.

– Lahfa, Bharka, i d z i e m y – mówię. – Bishop, wstawaj.

Wzgląda, że coś sobie zrobił – kolejne kontuzje ciała, które ostatnio życie traktuje naprawdę brutalnie. Będę mu współczuć później. Na razie nie mogę dać mu ani swobody wyboru, ani chwili oddechu.

Z wysiłkiem opiera się na rękach i kolanach.

– Zaraz przyjdę, idź już z tym skończyć!

Wzbiegam ze sterowni, wyjście z wahadłowca już się otwiera. Wychodzę na platformę i uderza mnie woń bitwy: metalu, spalonego drewna, mokrego węgla drzewnego, palonej mięty, a przede wszystkim odrażający odór pieczonego mięsa.

Zsuwam z ręki srebrną bransoletkę. Nie chcę, żeby któryś dzieciak rozniósł mnie na strzępy, myśląc, że planuję strzelić do Aramowskiego. Trzymając bransoletkę za jej długi kolec, podnoszę ją wysoko w górę, żeby wszyscy moi ludzie ją zobaczyli. A potem odrzucam ją z całej siły, jak najdalej. Koziółkuje w powietrzu, błyszcząc w porannym słońcu. Wreszcie wbija się kolcem w krwawy skrawek świeżo wzruszonej ziemi. Tkwi tam ze sterczącym w górę pustym kółkiem obręczy, prawie jak nagrobek mający uczcić śmierć poległych

dzisiaj istot.

O to moja szansa – moja jedyna szansa – na powstrzymanie tej rzezi. Odsuwam od siebie ból ciała, ból serca, lęk. Prostuję ramiona i schodzę po pochylni pewnym krokiem, jakbym była właścicielką tej planety.

J a k c e s a r z o w a.

S pustoszona polanę znaczą strzępy wojny. Spalone i poskręcane pnącza, grudy ziemi. Oderwana głowa i ramię jakiegoś Skoczka, dym unoszący się z półotwartych ropuszych ust. Urwana ludzka ręka – ciemnoskóra.

L ahfa, utykając, schodzi za mną po pochylni. Z wahadłowca wyskakuje też Bharka, mimo ran i wybitego oka emanując królewską pewnością siebie. Podobnie jak ja odsunął ból, zepchnął go w głąb, przygotowując się na tę jedną chwilę, która wszystko zmieni. Po zejściu z pochylni obaj skręcają i ruszają susami w stronę linii Skoczków, wrzeszcząc na całe gardło – mogę tylko liczyć, że każą swoim zachować dystans, dając mi czas na zrobienie tego, co należy.

T rzy pająki stoją o niecałe dziesięć kroków dalej. Są sfatygowane i zardzewiałe jeszcze bardziej niż te, które napotkaliśmy w dżungli. Ich działka jednak błyszczą się i świecą.

W pająku po lewej i prawej siedzą załogi złożone z trojga dzieciaków – zębarki, która pewnie steruje, i dwóch ubranych na czarno kółko-gwiazd ze srebrnymi bransoletkami wymierzonymi prosto we mnie. Wiem, że jeśli wykonam jakiś gwałtowniejszy ruch, otworzą ogień.

W środkowym pająku stoi Aramowski – człowiek, który posyła na wojnę dzieci. Trzyma w ręce włócznie.

M o j ą w ł ó c z n i ę.

J ego czerwone szaty w świetle porannego słońca są jak płomień. Prawą rękę zdobi mu bransoletka z długim kolcem. Na grzbiecie pająka, miotając z góry rozgorączkowane, wściekłe spojrzenia, wygląda jak oszalały bóg

wojny.

– Kazałaś mi wytępić te gady – skarży się – a teraz dwa z nich sama tu przywiozłaś? Jak chcesz mi pomóc z nimi skończyć, rozwal raketami ich katapuły!

Tak jak Bello, myśli, że jestem Matyldą. No tak, to oczywiste. Kiedy wychodził z Obserwatorium, leżałam unieruchomiona w trumnie. Pewnie nie mogłabym wybrać sobie na to gorszego momentu, ale nie umiem się powstrzymać – wybucham śmiechem.

– Wiesz co, Aramowski? Zawsze myślałeś, że jesteś ode mnie mądrzejszy.

C chwilę trwa, zanim to do niego dociera. Przenosi wzrok na Skoczki. Warczy do mnie wściekle:

– Gdzie jest Matylda?

Jakby w odpowiedzi niebo wypełnia przerywany odgłos, który szybko narasta do głośnego ryku. Słyszałam go już raz, kiedy przyleciał statek Bello. Tym razem jednak ten statek o d l a t u j e.

Wskazuję mknącą po niebie smugę dymu.

– Matylda jest tam. Zapewne ze Starym Gastonem. Zostawili cię tu, Aramowski. I nawet nie zwracaj sobie głowy szukaniem Coyotla, O'Malleya czy Becketta, bo wszyscy nie żyją.

Jego oczy się zwężają. Ileż w nich n i e n a w i ś c i. Zaciska rękę na mojej włócznie tak mocno, że jej grot zaczyna drżeć.

– Wojowie – woła – zabijcie tę zdrajczynię!

Z platformy wahadłowca za moimi plecami grzmi głos Bishopa, rozlewając się echem po całej polanie:

– Wstrzymać ogień!

Nikt nawet nie drgnie. Aramowski może sobie myśleć, że mówi w imieniu bogów, ale tak naprawdę to Bishop ma głos jednego z nich.

– Starszych już nie ma, Aramowski – ciągnie Bishop. – A twój czas jako

przywódca dobiegł końca.

A ramowskiemu opada szczęka. Wygląda na zirytowanego, ale szybko dochodzi do siebie. Unosi włócznie nad głową i wykrzykuje w odpowiedzi:

– Te gady chcą was wymordować we śnie, odebrać wam to, co otrzymaliście w darze od bogów! Jeśli Em i Bishop nie są z nami, są przeciwko nam. Nie słuchajcie ich bluźnierczych kłamstw. Nadeszła pora przejąć tę planetę na własność. – Mierzy włócznią w prawo od siebie, na wznoszącego się nad nami metalowego potwora, całego w pnączach i drzewach. – Do ataku! Zmiażdż Skoczki!

Proszę, nie ruszajcie się... proszę, nie słuchajcie go...

O gromna maszyna unosi nogę, wyciąga ją przed siebie i opuszcza z tupnięciem, od którego trzęsie się cała polana.

B harka chyba powstrzymał Skoczki od natarcia, ale jeśli olbrzym znów na nie ruszy, będą się bronić.

Nie mam wyboru.

– Aramowski, kto tym czymś steruje?

P otwór stawia kolejny grzmiący krok. Po całej dżungli niesie się granie Skoczkowych rogów.

– Abrantes i Aeschelman – odpowiada – młode połówki, i dwoje dzielnych młodych wojów, Cody i Cadotte. Nie wiesz, kto to, bo nigdy nawet nie rozmawiałeś z nimi tak jak ja.

Dzieciaki. Czy byłoby lepiej, gdyby był tam ktoś w moim wieku? Nie, właściwie nie.

– A co, Em? – Aramowski rozkłada ręce, obracając się w miejscu i mówiąc do wszystkich naraz, tak jak zawsze, kiedy próbuje postawić mnie w złym świetle. – Myślisz może, że odwiedzisz ich od tego zadania? Albo wezwiesz na pomoc niebo, gwiazdy i słońce, bo może one cię posłuchają?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie. Chcę po prostu wiedzieć, kogo zabiłam.

Mechaniczny potwór stawia kolejny krok.

Unoszę lewą pięść.

Spingate mnie nie zawodzi.

Ssyyk, huk płomieni – z górnej części wahadłowca wystrzeliwiają dwie smugi dymu i w okamgnieniu pokonują dystans do potwora. Obie rakiety uderzają równocześnie, jedna w pobliżu jego głowy, druga w pierś. Ogniste kule wybuchów strzelają w niebo i w dół aż po kolana maszyny. W powietrze wzbija się obłok wściekłego pomarańcza, napędzany od spodu kolumną płomieni. Od ognia zajmują się pnącza i drzewa poupychane w zakamarki olbrzyma. Każdy centymetr jego powierzchni pieni się i płonie. Kula ognia rozprasza się i gaśnie, zastąpiona przez słup tłustego czarnego dymu.

Maszyna przestaje się ruszać.

Z jej wnętrza dobiegają wrzaski.

Rogi Skoczków cichną.

Po obu stronach polany panuje kompletny bezruch.

Jednym gestem zademonstrowałam, że na tym polu bitwy to ja mam ostateczną władzę, a co więcej, że jestem gotowa jej użyć. Skoczki nie mają wyjścia, też muszą to zrozumieć – skoro jestem gotowa zabijać nawet swoich, to jestem gotowa uśmiercać także ich.

Jestem wiatrem... jestem śmiercią.

W szyscy stoimy w bezruchu. Słuchamy, jak wrzaski cichną, a w końcu milkną.

Ogień ryczy dalej. Maszyna, którą skonstruowano do budowania miast, a potem przerobiono, żeby zabijała, jest teraz kolosem na nogach z ognia i dymu.

A ramowski wpatruje się w nią w osłupieniu. Przygotował się do tej bitwy dobrze, dużo lepiej, niż się spodziewałam. Kazał swoim ludziom naprawić

dodatkowe pająki. Załatwił sobie broń, która zapewniła mu przewagę. Na jego rozkaz dzieci naprawiły maszynę, która z pozoru wyglądała na zardzewiałą i od dawna bezużyteczną. Co prawda dał się wciągnąć w pułapkę, ale koniec końców i tak mógł wygrać.

A le teraz trzy z jego sześciu pajaków wypadły z gry. Skoczki zdążyły już pewnie na nowo załadować swoje wozy, więc bez wątpienia wyeliminują z walki przynajmniej jeszcze jednego pająka, jeśli nie wszystkie pozostałe. Mają ogromną przewagę liczebną. Zaś najstraszliwsza broń Aramowskiego – jedyna, której Skoczki nie dałyby rady położyć latającymi głazami – płonie niby największe ognisko świata, podczas gdy czterej ludzie w jej wnętrzu obracają się w popiół.

Ludzie, których uśmierciłam. Co takiego zrobiłam? Podejmuję decyzje – i ludzie giną.

Szybkim krokiem, prawie ocierając się o mnie, mija mnie Bishop. Bardzo stara się nie zdradzić, że utyka. Zakrwawiony, z pokiereszowaną, spuchniętą twarzą i kombinezonem w strzępach prostuje ramiona i staje przed pająkiem Aramowskiego.

– Słuchajcie mnie, wojowie! – krzyczy. – Głosowaliście na Aramowskiego, ale to obłudnik. Wszyscy, których zostawił na wahadłowcu, mieli być poświęceni w ofierze Starszym, by ci mogli ich nadpisać. Wy znaleźliście się tutaj tylko dlatego, że żaden Starszy nie czeka na was, by skasować wam umysł. Zostaliście spisani na straty.

Ostatnie słowa wyrzuca z siebie z siłą, o jaką go nie podejrzewałam, i z takim jadem, że aż włosy jeżą mi się na głowie. Ale na tym nie kończy.

– Nikt więcej nie musi umierać. Skoczki pokazały już Em, jak zwalczać czerwoną pleśń. Będziemy mieć w bród jedzenia. I kto tego dokonał? E m, nie Aramowski. Zabiła mojego stwórcę. Ocaliła mi życie. Walczyłem u boku Em. Krwawiłem razem z Em. Jest honorowa. Jest dzielna. Jest gotowa

poświęcić się za innych. Nie jest jedną z wojów, ale jest wszystkim, czym my, wojowie, mamy ambicję się stać. Jeśli chcecie walczyć ze Skoczkami, będziecie musieli pokonać ją. A żeby dostać się do niej, będziecie musieli pokonać mnie.

Bishop ledwo stoi, ale w jego słowach płonie ogień. Gdzie się podział rozpuszczony chłopak, który tyranizował każdego, kto się z nim nie zgadzał? Wtedy był dzieckiem w ciele dorosłego mężczyzny, ale – tak samo jak stało się ze mną – to dziecko odeszło w przeszłość.

A co więcej... blefuje. Nogi mu drżą. Nie dałby rady walczyć nawet z jedną kółko-gwiazdą, co dopiero z nimi wszystkimi. Tym razem jednak sedno sprawy nie tkwi w jego fizyczności. Bishop, człowiek najbardziej oszczędny w słowach, kończy tę rozgrywkę słowami.

W pająku po lewej dziewczynka kółko-gwiazda opuszcza rękę z bransoletką. Obok niej chłopczyk kółko-gwiazda zdejmuje dłonie ze sterów działka i cofa się o krok. Załoga pająka po prawej robi to samo. Mała dziewczyna zębata zza sterów pająka Aramowskiego przerzuca nogę przez osłonę i schodzi na dół, zostawiając go samego.

Aramowski obserwuje ich wszystkich zimnym, choć trawionym nienawiścią wzrokiem.

Przegrał. I dobrze o tym wie.

Czuję trącenie w ramię. To Bharka.

– *Hem.* – Wykonuje gest w stronę Aramowskiego. – *Idziemy.*

Tak też robimy. Bharka i ja podchodzimy do pająka Aramowskiego. Wspinam się po szczeblach. Staję przed odzianym w czerwone szaty „przywódcą” naszych. Bharka też wchodzi na górę, po czym staje obok mnie, ramię przy ramieniu. Człowiek i Skoczek razem, w śmiałej konfrontacji ze wspólnym wrogiem.

Aramowski śmieje się do mnie szyderczo.

– Jedzenie jest bez znaczenia, naiwna idiotko. Naprawdę nie rozumiesz? To... nie są... ludzie. Ta wojna wybuchnie, nie dziś, to kiedy indziej. Któregoś dnia po nas przyjdą. Pozabijają nas, bo my... jesteś my... i nni. A jeśli jeszcze będziesz żywa, zrozumiesz, że poświęciłaś własny gatunek na rzecz tych potworów.

– Jedyńm potworem tutaj jesteś ty – odpowiadam mu. – Koniec z walką. Koniec ze śmiercią.

Pierś Aramowskiego unosi się i opada. Narasta w nim krzyk, krzyk, któremu brak głosu, brak punktu zaczepienia. Wiem, że myśli teraz to samo, co myślałam ja, kiedy odbierał mi włócznię: że może mnie nią przebić, że ma prawo walczyć o utrzymanie tego, co jego zdaniem należy do niego i tylko do niego.

Powoli, delikatnie Bharka dobywa noża, który podarował mu O'Malley. Noża wysadzanego dwupierścieniem z czerwonych klejnotów. Noża o ostrzu długim jak moje przedramię. Królewicz Skoczaków trzyma nóż u boku. Ostrze kieruje w dół, nie w stronę Aramowskiego, ale przekaz i tak jest czytelny.

Aramowski wpatruje się w broń szeroko otwartymi oczami. Rzucanie gróźb w twarz komuś bezbronnemu to jedno – zmierzenie się z uzbrojonym przeciwnikiem to co innego.

– Bharka i ja jesteśmy w tym razem – mówię. – Jeśli zaatakujesz jedno z nas, zaatakujesz także i to drugie. Chciałeś zabijać Skoczki, Aramowski? No to masz okazję. Jeśli planujesz walczyć, lepiej zrób coś z tą włócznią, zamiast stać z nią jak jakiś posąg.

Widzę drgnienie palców tej jego ręki, na której ma bransoletkę. Może się zastanawia, czy uda mu się strzelić z niej dwukrotnie, zanim któreś z nas go dopadnie. Ale nie sądzę, żeby spróbował. Dla niego bransoletka i włócznia to niewiele więcej niż rekwizyty. Jest przywódcą, owszem, ale nie wojownikiem. Kiedy czas na przemówienia się kończy, kiedy Aramowski staje

przed wyborem: zabić albo zostać zabitym, jego pełna przekonania gadatliwość obraca się w tchórzliwość.

Nie robi nic. Czekam chwilę, pozwalam wszystkim zobaczyć, że boi się poprzeć swoje słowa czynem.

Wyciągam rękę.

– Skoro nie chcesz sam zrobić tego, do zrobienia czego wysługujesz się innymi, oddaj mi moją cholerną włócznie, w mordę bogów, ty zdradziecka kanalio.

Wpatrujemy się sobie w oczy. Cały wszechświat gdzieś znika: zostaje tylko nas dwoje.

Mijają chwile ciągnące się w nieskończoność.

Aramowski pęka. Odwraca wzrok. Bez jednego słowa pochyla włócznie w moją stronę.

Biorę ją. Chłodne drzewce jest przyjemne w dotyku.

– Ściągnij tę bransoletkę, Aramowski... i spadaj z mojego pająka. Policzę się z tobą później.

Chłopak zsuwa bransoletkę z przedramienia, upuszcza ją z łoskotem na metalowy pokład pająka.

Gdy patrzę, jak złazi po szczeblach, słyszę nagle okrzyki zaskoczenia i trwogi dochodzące od strony naszych ludzi.

W trakcie mojej konfrontacji z Aramowskim Skoczki – tysiące Skoczków – zbliżyły się po cichu. Ich szeregi stoją pod wahadłowcem, wijąc się wokół stóp podwozia i rozciągając szeroko w obie strony. Część Skoczków gapi się na statek, nie kryjąc zdumienia, że oto oglądają coś, czego ich gatunek nie widział od wielu pokoleń. Jeszcze większa liczba wpatruje się w nas, celując z muszkietów; tych jest tyle, że jedną salwą zapewne zdołaliby zgładzić nas wszystkich.

Nasi odpowiadają tym samym, mierząc do Skoczków z bransoletek,

ponownie obsadzając działka na grzbietach pajaków lub spinając się do skoku z motyką, kilofem, siekierą czy łopatą. Nawet jeśli zginiemy wszyscy w tej pierwszej salwie, Spingate i Gaston pozostają bezpieczni na pokładzie wahadłowca. Jeśli Skoczki zaatakują, wiem, że Spingate rzuci przeciwko nim całą broń wahadłowca, spróbuje wytrzebić ten niebezpieczny gatunek, by jej nienarodzone jeszcze dziecko mogło kiedyś żyć tutaj wolne i bezpieczne.

J eśli nie zrobię czegoś teraz, zaraz, to wcale nie zapobiegnę rzezi, a tylko ją odroczę.

– O p u ś c i ć b r oń! – krzyczę do moich ludzi. – Walka skończona!

Niektórzy mnie słuchają, inni nie.

B harka krzyczy coś do swoich, głośno i władczo. Nie wiem, co mówi, ale efekt jest natychmiastowy: większość Skoczków opuszcza lufy muszkietów. Może nie odkładają broni, ale przynajmniej przestają z niej do nas mierzyć.

F aktycznie zaczyna nam to wychodzić. Razem z Bharką uda nam się powstrzymać to wszystko.

W tem zza linii Skoczków dobiega nas jedno głośne warknięcie, jeden rozkaz. Muszkiety znów podrywają się w górę, każdy obiera jakiś cel: mnie, Bishopa, załogi pajaków, dzieci z narzędziami w rękach. Nasi robią to samo. Znów jesteśmy o włos, o naciśnięcie spustu od krwawej rzezi.

K olejne warknięcie zza szeregów Skoczków, gdzieś spod wahadłowca. Szeregi Skoczków na wprost naszego pajaka rozdzielają się.

P rzed nie w kilku susach wysuwają się cztery największe Skoczki, jakie do tej pory widziałam, mierząc do mnie z muszkietów. Niebieskawoczerwona skóra poznaczona bliznami, broń przytroczona do ciała: siekiery, noże, miecze. Każdy z nich wygląda na równego Bishopowi – Bishopowi w jego najlepszy dzień.

D wa przesuwają się lekko w prawo, dwa lekko w lewo.

S pomiędzy nich wyskakuje naprzód stary Skoczek, którego niebieska skóra

zdążyła już zszarzeć jak popiół. Z szyi zwisa mu ozdobna miedziana płytką.

O jciec Bharki: król Skoczków.

P ochylam włócznię w stronę Skoczkowego królewicza.

B harka rzuca na nią okiem. Widział, jak Aramowski mi ją przekazuje, więc chyba zdaje sobie sprawę ze znaczenia tej broni.

– Twoja kolej – mówię. – Niestety, tym razem ja się nie dogadam. – Potrząsam lekko włócznią. – Razem. Zróbmy to r a z e m.

Dwojgiem zdrowych oczu – czujnych, przepełnionych bólem oczu – patrzy w moje oczy.

– *Hem... pokój.*

Kiwam głową.

– Pokój.

W yciąga prawą rękę, chwytą włócznię. Razem jak jeden mąż unosimy w górę symbol przywództwa mojego ludu.

B harka zaczyna mówić. Nie rozumiem z tego ani słowa. Ale widzę, jak strzelby Skoczków zaczynają się wahać, jak obcy spoglądają po sobie albo na swojego władcę. Może pewne emocje są wspólne wszystkim inteligentnym istotom – te Skoczki są skonsternowane, słyszą dwie sprzeczne rzeczy i nie wiedzą, która z nich jest prawdą.

C ałe ciało króla Skoczków aż się skręca. Oczy otwierają mu się szeroko, wargi cofają ze złością, odsłaniając zęby. Zaczyna wrzeszczeć na Bharke. Potem odwraca się i wrzeszczy do swego ludu, najpierw do stojących po lewej, potem powtarza to samo do tych po prawej.

I wtedy słyszę cichy odgłos, tak cichy, że prawie bezgłośny. Gdyby nie to, że stoję tuż obok Bharki, że nasze dłonie razem trzymają w górze włócznię, nic bym nie usłyszała. Ten odgłos sprawia, że dreszcz przebiega mi po plecach, bowiem mówi mi, że coś jest straszliwie nie tak.

T o odgłos tłuczonego szkła.

Cicho, pod nosem, Bharka się śmieje – tak jak śmieje się ktoś, kto obserwuje realizację ukrytego planu, jak ktoś, kto doskonale wiedział, co się stanie.

Król Skoczków odwraca się do mnie. Mówi coś i Skoczek ze straży przybocznej po jego prawej stronie podaje mu swój własny muszkiet. Król Skoczków przykłada kolbę broni do swojego cienkiego ramienia: mierzy do nas.

Mówi coś jeszcze, coś gniewnego, władczego i ostatecznego.

Ponownie słyszę cichutki śmiech Bharki brzmiący jak tłuczone szkło. Królewicz unosi lewą rękę.

Ma na niej bransoletkę Aramowskiego.

Zamieram w bezruchu. Nawet nie zauważyłam, kiedy zdążył ją podnieść.

Wbijam w nią wzrok. Król Skoczków też. Poczucie siły, władzy absolutnej, uchodzi z jego wzroku. Przez jedną straszliwą chwilę stają się dla mnie czytelne jego emocje: wstrząs, niedowierzanie... świadomość zdrady.

Bharka pstryka dwoma palcami w przód.

Z broni strzela promień. Króla ogarnia biały ogień. Wrzask obcego – którego brzmienia, jestem pewna, nigdy nie zdołam zapomnieć – trwa tylko ułamek sekundy, a potem milknie na zawsze, bo jego ciało rozrywa się na setki kawałków. Niebieska krew i strzępy mięsa chlapią na Skoczki stojące z tyłu, na straż przyboczną bryzga zwęglona maź.

Czuję, że coś wyrywa mi włócznię z ręki.

Bharka unosi ramiona wysoko; w jednej ręce trzyma włócznię, na drugiej, wyciągniętej, lśni w porannych promieniach słońca srebrna bransoletka.

Mówi przez dobre kilka sekund. Znowu nie rozumiem, co mówi, ale nie muszę znać słów, by zdać sobie sprawę z ich efektu: długa, niemal niekończąca się linia Skoczkowych strzelb zawisa w niezdecydowaniu, drży, opada. Najpierw jeden czy dwa, a potem całą falą, aż wreszcie wszystkie muszkiety

celują już tylko w ziemię.

Jeden po drugim Skoczki opuszczają głowy. Pochylają się.

Kłękają.

Na polu bitwy leży rozszana pewnie z setka ciał. I ludzi, i Skoczków, rozszekanych bronią i prymitywną, i technicznie bardziej zaawansowaną. A mnie nagle przychodzi do głowy pytanie: czy rzeczywiście wszystko musiało stać się w ten właśnie sposób? Może Bharka mógł temu zapobiec – ale zwyczajnie nie chciał.

Może tak naprawdę pragnął tylko jednego: zostać przywódcą swojego ludu.

Jak zauważałam już w wielu przypadkach, może nasze dwa gatunki są bardziej do siebie podobne niż od siebie różne. Bharka chciał władzy.

Królewicz Skoczków – nie, nowy ich król – ogląda się na mnie. Stuka drzewcem włóczni o pokład pajaka, pochyla ją grotem ku mnie, oddając mi ją.

– *Hem... pokój.*

Tak, pokój. Za jaką cenę? I na jak długo?

Biorę włócznię.

Nie mam pojęcia, co przyniesie przyszłość, ale przynajmniej ta jedna bitwa jest skończona.

EPILOG

Jest przepiękny dzień na Omeyocanie. Z góry padają promienie czerwonego słońca. W ich świetle migoczą skrzydła plamaków. Czuję zapach świeżo upieczonego chleba i mięsa. Wieczorem będzie niezła uczta.

Niedaleko Obserwatorium Müller zwalnia bieg mojego pająka. Robił to już na tyle często, że nie trzeba mu o tym przypominać. Dzieciak żołnierz zatrzymuje naszą maszynę przed czarnym X-em, opuszcza ją brzuchem na ziemię. Metal dźwięczy o kamienie; na tej ulicy nie ma już pnączy, bo wszystkie uprzątaliśmy.

Müller – albo Wiktor, jak woli być nazywany – przegapił całą bitwę. Matylda zamknęła go w jednej z cel Obserwatorium. Kiedy już wszystko się uspokoiło, odnaleźliśmy go i wypuściliśmy. Jako kółko-gwiazda jest trochę rozgoryczony, że nie miał okazji powalczyć. Podobnie jak większość dzieciaków z tym symbolem na czole stale pragnie się sprawdzać. Jeśli będzie to zależeć ode mnie, nigdy nie będzie mieć do tego okazji, bo nigdy więcej nie będziemy się bić.

W rękam mu moją włócznie.

– Potrzy masz przez chwilę?

Przyjmuje ją i trzyma tak, jakby był to jakiś przedmiot obdarzony magiczną mocą. Może przejmie ją kiedyś na stałe; jeśli tak, przekona się, że to dużo większe brzemię niż błogosławieństwo.

Wysiadam z pająka.

Czarna litera X jest wygięta i poskręcana od ognia. Przenieśliśmy ją tutaj,

na powietrze, gdzie stoi jako pomnik upamiętniający Skoczki i ludzi poległych w tym pożarze.

– Cześć, Kevin – mówię. – Przepraszam, że wczoraj nie dałam rady przyjść. Ani przedwczoraj. Kalle i Walczak się pobili. Kalle pracuje nad tym, żeby się przekonać, czy jest jakiś sposób na odzyskanie naszej Bello. Może jakimś cudem jest tam jeszcze w środku, tak jak byłeś ty. Walczak mówi, że to grzech i że mądrość i doświadczenie Starszej Bello są zbyt cenne, aby je utracić. Coś w tym rodzaju. Tak czy siak, skończyło się bójką na pięści – wiem, niewiarygodne. Aha, i musiałam jeszcze sprawdzić pierwsze zbiory. Mówiłam ci, że w składzie żywności znaleźliśmy nasiona kukurydzy, prawda?

Kevin, rzecz jasna, nie odpowiada. Jak zawsze. Jego kości są tu pochowane razem ze szczątkami jego protoplasty, Coyotla, Starego Bishopa i innych Starszych, którzy zginęli w bitwie o Obserwatorium. Zastanawiam się, czy oni też mnie słuchają, kiedy mówię.

– Dziś nie mogę zostać dłużej – ciągnę. – Spingate posłała po mnie, podobno odkryła coś naprawdę ważnego. Chciała też, żeby przyszli Bordżigin i Bharka. Wrócę i opowiem ci, o co chodzi, kiedy tylko będę mogła, dobrze?

Kevin nie odpowiada.

– Spin jest już bardzo blisko terminu porodu – dodaję. – Smith mówi, że to się może zdarzyć lada dzień. Aż trudno uwierzyć, że tyle czasu minęło, odkąd Aramowski powiedział wszystkim, że Spin jest w ciąży. Gaston mówi, że jeśli to będzie chłopiec, nadadzą mu twoje imię. Fajnie, co?

Kevin nie odpowiada.

Wyciągam rękę, kładę ją na poskręcany czarnym metalu. Parzy, nagrany przez słońce. Przy pierwszych kilku razach płakałam przy tym, ale już nie płaczę.

Przynajmniej nie zawsze.

– Brak mi ciebie – szepczę. – Tak bardzo mi ciebie brak.

Müller chrząka delikatnie, przypominając mi, że już i tak jestem spóźniona.

O dwracam się od X-a, wspinam na pająka i staję obok młodej kółko-gwiazdy. Chłopak oddaje mi moją włócznię, po czym podnosi pająka i rusza dalej bez słowa.

O d czasu konfrontacji na polanie Müller stał się czymś w rodzaju mojego kierowcy i asystenta. Bishop nazywa go moją „obstawą”. Chłopak jest już wyższy ode mnie. Jest naszym najlepszym strzelcem, a widziałam go też podczas ćwiczeń z nożem i toporem oraz treningu walki na pięści. Choć jego tyczkowata postura temu przeczy, kryje w sobie śmiercionośne zdolności utalentowanego wojownika. Wolałabym nie wierzyć, że naprawdę potrzebuję obstawy, ale wiem, że tak jest – jako przywódczyni naszych jestem na celowniku tych spośród Skoczków, którzy chcą nas stąd wygnać. Nadal nie możemy im do końca ufać. Może nigdy nie będziemy mogli.

O d tego dochodzi stały lęk przed tym, że Matylda i Starsi powrócą. Nawet nie wiemy – może już tu są. Gaston uważa, że mogli polecieć statkiem na drugą stronę Omeyocana i wylądować, nie alarmując nas wcale. Ta myśl nas przeraża, ale też motywuje do działania: Bharka i inne Skoczki rozumieją, że to nie my, a Starsi przez całe pokolenia trzebili bez litości ich gatunek. Jeśli Starsi zaatakują, napotkają zjednoczony opór. Choć mamy wiele problemów ze Skoczkami, posiadanie wspólnego wroga wszystkie je niweluje.

Müller podprowadza pająka do Obserwatorium. Ponownie opuszcza brzuch maszyny bojowej aż do ziemi.

– Mam cię odeskortować, Em?

N ie wątpię, że chce mnie chronić, ale jest też inny powód, dla którego chciałby wejść do środka.

– Trafię sama, dziękuję. Nie masz nic przeciwko temu, żeby tu zostać, co?

C hłopak ma wypisany na twarzy zawód. Jak większość kółko-gwiazd, Müller nie umie ukrywać swoich emocji. Dzięki temu tak łatwo można się

z nim droczyć.

– Aa, czekaj – mówię. – Idę do Spingate, a u niej może być Zubiri. Tak naprawdę to z powodu Zubiri chcesz mnie odprowadzić, prawda?

Kręci głową.

– Nie! Po prostu mam ci zawsze towarzyszyć, słowo! Bishop mi mówił, żebym...

Nie umiem powstrzymać śmiechu.

– No dobrze, możesz ze mną pójść.

Z abawna myśl, ale w pewnym sensie spełniło się marzenie Aramowskiego. Przynajmniej częściowo. Chciał, żebyśmy wszyscy zamieszkali w Obserwatorium. Okazuje się, że był to genialny pomysł.

P rzez kilka dni po bitwie nie byliśmy pewni intencji Bharki jako nowego przywódcy Skoczków. Nie mogliśmy dłużej zostać w wahadłowcu, bo było w nim za ciasno, a z drugiej strony potrzebowaliśmy miejsca, którego dałoby się bronić. Skoczki nadal mają nad nami przewagę liczebną w proporcjach co najmniej tysiąc do jednego, a jest to coś, czego nie mogę ignorować. Bharka nie jest w stanie zapanować nad wszystkimi swoimi poddanymi. Obserwatorium daje nam potrzebną przestrzeń życiową, a ma tylko kilka wejść, które można szczelnie zamknąć.

Protoplasta Bordżigina został wyszkolony w obsłudze budynków, ich budowaniu i naprawie, w zajmowaniu się tym, czego potrzeba do zapewnienia sprawnego działania miastu. Nasz Bordżigin odkrył, że Obserwatorium jest wyposażone w oświetlenie, czystą bieżącą wodę, sterowanie temperaturą – wszystko, czego nam trzeba.

T ylko teleskop nie działa. Najwyraźniej potrzebny mu jest inny rodzaj zasilania. Zubiri zorientowała się, że jego źródło znajdowało się w pomieszczeniu, w którym stracił życie O'Malley, u dołu szybu otoczonego ścianką z czerwonego metalu. Pożar zniszczył kabel zasilający, a potem gruzy

spadły na zasilacz i go popsuło. Zubiri, Spingate i inne zębatki od dłuższego czasu pracują nad tym, żeby go naprawić.

W Obserwatorium są t y s i ą c e sal, jest ich aż w nadmiarze – każdy może mieć swoje własne miejsce. Życzenie Aramowskiego spełniło się zwłaszcza w jego osobistym przypadku: siedzi na dolnym poziomie budowli, zamknięty w kamiennej celi – tej samej zresztą, w której przetrzymywany był Müller. Bello zamknęliśmy w jednej z sąsiednich sal. Jeśli z Aramowskim krzyczą odpowiednio głośno, chyba trochę się nawzajem słyszą. Pozostaną w tych celach, aż będę wreszcie gotowa wymyślić, do cholery, w jaki sposób postawić ich przed sądem za ich zbrodnicze czyny.

J est tu nawet dość miejsca dla setki czerwonoskórych Skoczków, które z nami zamieszkały. Niektóre szkolą się ze Spingate i innymi naukowcami, niektóre z Bishopem i kółko-gwiazdami, inne ze Smith, ucząc się medycyny, jeszcze inne kształcą się pod kierunkiem połówek w inżynierii wodnołądowej i zarządzaniu. To wszystko w ramach wysiłków, jakie podejmuję z Bharką na rzecz zbliżania naszych dwóch gatunków, tworzenia przestrzeni do współpracy i życia w harmonii.

Część młodych czerwonoskórych pracuje pod kierunkiem naszych „zwykłych kółek”. Tak jak u ludzi, nie każdy Skoczek nadaje się na matematyka, naukowca, planistę czy wojownika.

S erce mi krwawi, ale Okereke, Johnson, Cabral i Ingolfsson chyba nadal nie są zainteresowani wykształceniem żadnej konkretnej umiejętności. Pytałam ich. Jeśli ktoś im mówi, co robić, robią to chętnie. Także dwunastoletnie kółka – które są już teraz bliżej trzynastu lat – mają w większości podobne poglądy. Ze wszystkich kółek tylko garść dzieciaków i może D’Souza mają ochotę stać się kimś innym niż tym, do czego ich zaprojektowano.

N iektóre z tych ambitniejszych kółek żyją w dżungli wśród Skoczków. Możemy dużo ich nauczyć, ale równie wiele możemy nauczyć się od nich.

D'Souza kieruje akcją nauki uprawy roli i przygotowywania pożywienia, Skoczkowych metod zbieractwa, myślistwa i traperstwa.

Rozmawiam z D'Souzą – która ma na imię Maria – przynajmniej dwa razy dziennie. Uczy się języka Skoczków, a w zasadzie uczy się, jak być Skoczkiem w ten sam sposób, w jaki Bishop uczy Müllera, jak być wojem. Maria daje mi nadzieję, że nie jestem jedyną osobą zdolną do bycia kimś więcej niż tym, do czego zaprogramowali nas Starsi, że każde z nas może być kowalem swojego losu.

C hociaż wygląda na to, że oba nasze gatunki są ze sobą w dobrych relacjach, tak nie jest. Gdyby udało nam się nie dopuścić do bitwy, zanim się zaczęła, to – może – moglibyśmy się wszyscy zaprzyjaźnić. Ale tamtego dnia zginęło dwieście trzysta Skoczków. Mniej więcej setka innych doznała trwałych obrażeń. My straciliśmy czternaście osób, a wśród pozostałych też są trwale okaleczone. Choćbyśmy z Bharką nie wiadomo ile razy powtarzali wszystkim, że teraz ze sobą współdziałamy, nasi nie dowierzają im, o oni nam. Jesteśmy po prostu zbyt różni.

Między naszymi gatunkami zdarzają się bójkі. Przeważnie na pięści, czasem z użyciem broni. Ludziom przytrafiały się już pobicia i zranienia – mówimy dzieciakom, żeby nigdy nie wychodziły na dwór same, zwłaszcza nocą. Gdyby nie nasze kółko-krzyżki i urządzenia medyczne Obserwatorium, liczba zgonów wśród nas byłaby pewnie wyższa. Skoczkom też przytrafia się krzywda, bo część naszej młodzieży decyduje się odpłacać za przemoc przemocą.

A le się staramy. I mimo dwulicowości, jaką popisał się Bharka, on także się stara.

Z aprosiłam całą populację Skoczków do przeprowadzenia się do Uchmalu, żeby mury miasta zapewniły im ochronę przed grasującymi po dżungli drapieżnikami. Garstka przyjęła zaproszenie, większość odmówiła. Winy

naszych stwórców nie zostaną zapomniane z dnia na dzień. Nie mówiąc już o tym, że wciąż korzystamy z pajaków – każdy Skoczek nadal czuje grozę na sam widok tych metalowych potworów.

Z zamiast więc wprowadzić się do naszego miasta, Skoczki odbudowują własne. Wreszcie mają okazję znów żyć na powierzchni. Zaczynają na niewielką skalę, od kilku sześciokątnych budynków, które poniosły najmniejsze zniszczenia. W końcu uwolnione od stałego niebezpieczeństwa, jakim były pajaki, Skoczki próbują stawiać swoje pierwsze fabryki do masowej produkcji artykułów na potrzeby rolnictwa, myślistwa, budowy domów i tak dalej. Wytwarzanie każdego przedmiotu ręcznie zajmuje za dużo czasu. Przydzieliłam im nawet dwoje dzieciaków z wahadłowca – Bariso i Nevinsa – do pomocy w zaprojektowaniu strzelb, które zastąpią ich muszkiety.

Co do mnie i Bishopa: chciałabym spędzać z nim więcej czasu, a on chciałby spędzać więcej czasu ze mną, ale rzeczy, które zrobiliśmy, ciążą nam obojgu na sumieniu. Bycie ze sobą przypomina nam o nich. Wiem, że Bishop pracuje równie ciężko jak ja nad organizacją naszego nowego trybu życia – to mi na razie wystarcza.

P odnoszę wzrok na masyw Obserwatorium. Mieszkamy tu już od dwustu siedemdziesięciu jeden dni – Opkick odlicza je dokładnie – ale jego rozmiar nadal nie mieści mi się w głowie. Bordżigin szacuje, że skonstruowanie tej jednej tylko budowli musiało zająć maszynom dwadzieścia do trzydziestu lat. Całego miasta? Pewnie około połowy stulecia.

Nie usunęliśmy pnączy porastających Obserwatorium, bo w większości zasłaniają one okropne obrazy, których nikt z nas nie życzy sobie oglądać. Kiedyś pozbędziemy się tych obrazów, ale na razie mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Odkryliśmy w sumie trzy wejścia do gmachu na poziomie gruntu. Wydaje

nam się, że musi istnieć przynajmniej jeszcze jedno tajne wyjście z głównej sali, którego Matylda i Stary Gaston użyli w trakcie ucieczki. W końcu przecież sama pomagała projektować miasto – jeśli kiedyś powróci, sekrety, które są jej znane, pewnie nam zaszkodzą.

Naszym głównym wejściem jest to, przez które dostał się do środka Bharka, żeby nas uratować – to samo wejście, z którego przez wiele lat korzystały młode Skoczki, by badać Obserwatorium i wykraść składowane w nim jedzenie. Wygląda na to, że pakiety żywnościowe stanowiły dla nich coś więcej niż tylko trofeum dowodzące ich odwagi – bo w końcu wizyty w mieście narażały je na atak pajaków; nasz prowiant to dla nich swego rodzaju przysmak. W tej chwili to na nim zasadza się handel wymienny między nami. Oni dostają krakersy, batony proteinowe i ciastka, my – owoce i warzywa, mięso, zboża i pewien szczególny rodzaj kory drzewnej. Okazuje się, że kora jest absolutnie przepyszna.

– Chodź – mówię do Müllera. – Idziemy odwiedzić twoją dziewczynę.

C hłopak czerwienieje na twarzy, ale nie zaprzecza. Naprawdę powinnam trochę mniej się z nim droczyć.

U wejścia do Obserwatorium czekają na mnie Bharka, Lahfa, D'Souza i Bordżigin.

Bharka nadal ma zatknięty za pas nóż Kevina. Zauważam go mimowolnie za każdym razem, kiedy spotykam się z przywódcą Skoczków.

D'Souza nie nosi już czarnego kombinezonu. Na ramionach, nogach, brzuchu oraz w strategicznych miejscach w talii i na piersiach ma poprzewiązywane pasy kolorowego materiału. Odkąd każdy dzień spędza w dżungli, jej piękna brązowa skóra jest jeszcze ciemniejsza. Ma przy sobie Skoczkową torbę, zatknięty za pasem topór i zarzucony na ramię muszkiet.

Bharka nosi opaskę na wybitym środkowym oku, ale dwa pozostałe są zielone, jasne i pełne radości życia. Uwielbia nową rolę przywódcy swojego

ludu.

– *Hem* – mówi. – *Dobrze czujesz... dzisiaj?*

Nie umiem powstrzymać uśmiechu. Bharka szybko się uczy naszego języka. Szkoda, że mnie z ich językiem nie idzie równie łatwo.

– *Ya łap* – odpowiadam. – *Tallik... tallik kri?*

Ropusze usta Lahfy trzęsą się, jakby próbowała się przed czymś powstrzymać, ale w końcu otwierają się szeroko w tym ich tłuczonoszklistym śmiechu. Wiemy już na pewno, że to „ona”, nie „on”. Jej noga zupełnie się wygoiła, w niemałej mierze dzięki młodemu Pokano, kółko-krzyżkowi, który postanowił w swojej edukacji skupić się w szczególności na fizjologii Skoczków.

Patrzę pytająco na D'Souzę.

– Z czego ona się śmieje? Próbowałam powiedzieć: „Czuję się świetnie”.

– Blisko było – mówi. – Powiedziałaś: „Czuję na twarzy kupę”.

Śmieję się, zażenowana. Lahfa rechocze jeszcze głośniej. Bharka na nią warczy. Lahfa milknie, ale nie przestaje się trząść z powstrzymywanej z trudem wesołości. Tych dwoje wszędzie chadza razem. Lahfa ma nieskrępowane poczucie humoru, i bardzo dobrze, bo Bharka najwyraźniej nie ma go wcale.

Bordżigin się niecierpliwi. Patrzy na trzymany w rękach cienki prostokąt, który nazywa komunikatorem. Razem z Opkick znalazł ich kilka w jednym z magazynów Obserwatorium. Posługują się nimi, żeby zasięgać informacji, kiedy znajdują się w innej części miasta albo w dżungli, z dala od postumentów.

– Jesteśmy s p ó ź n i e n i – zauważa Bordżigin. – Czy możemy już przestać dowcipkować o fekaliach i wejść do środka?

Co prawda ja jestem przywódczynią naszych, ale to Bordżigin kieruje zwiększaniem zasięgu zasilania i czystej wody, stałym przeszukiwaniem

niezbadanych jeszcze budynków i tysiącem innych rzeczy koniecznych do tego, żeby w mieście dało się żyć. Pracuje jeszcze ciężiej niż ja, więc – podobnie jak Bharka – nie ma cierpliwości do żartów.

J uż mamy wchodzić, kiedy na zewnątrz wychodzą Okereke, Johnson i jedno młode kółko nazwiskiem Mehmet. Wszyscy są uwalani błotem i osmaleni czymś tłustym. Śmierdzą ziemią i jakimś minerałem, którego nie potrafię skojarzyć. Śmieją się, podekscytowani.

– Aleście się ubrudzili – zauważam do Okerekego. – Co tam we trójkę kombinujecie?

– Pomagamy Spingate – odpowiada – i Zubiri.

– Pomagacie? W czym?

K ręci głową, nie przestając się uśmiechać.

– Kaząla nam obiecać, że nic ci nie powiemy, dopóki sama najpierw z tobą nie porozmawia. Ale to coś naprawdę niesamowitego.

B ordżigin niecierpliwie stuka palcami w swój komunikator.

– Dobrze – odpowiadam. – Bordżigin, prowadź.

K orytarz, którym uciekliśmy przed pożarem, oświetla teraz nie pochodnia, a jarzący się sufit. Podłoga jest zamieciona do czysta, kamienne ściany – bez najmniejszej plamki.

P o długim marszu docieramy do sali, w której skasowano umysł Coyotłowi, w której spaliła się Stara doktor Smith, w której zginęło kilka Skoczków, w której zastrzeliłam Starego Bishopa i zadźgałam O'Malleya. Chętnie skoncentrowałabym nasze sprawy w innym miejscu, ale i Spingate, i Gaston upierają się, że to tę właśnie salę zaprojektowano tak, by była centrum wszystkich funkcji Obserwatorium.

C hoć i tak nigdy nie uwolnię się od wspomnień, teraz sala wygląda zupełnie inaczej. Złote trumny przeniesiono w inne miejsce budowli. Smith i Pokano zmodyfikowali je tak, żeby stały się narzędziami leczenia, a nie

zniszczenia. Spalony sufit oczyszczono, pomalowano na biało, a światła naprawiono. Zakryliśmy też ten okropny fresk. Znaleźliśmy magazyn z zapasowymi postumentami; sześć z nich zdobi odbudowane podwyższenie, a kolejnych dwanaście ustawiliśmy tam, gdzie stały trumny.

Mimo czyszczenia i malowania pomieszczenie nadal lekko pachnie dymem i spalonym ciałem. Za każdym razem po wejściu tutaj kieruję wzrok ku miejscu, w którym skonał O'Malley.

P rzy postumentach na podłodze edukują się razem Skoczki i dzieciaki. Niektóre uczą się matematyki i biologii, inne pomagają Bordżiginowi w planowaniu rozwoju miasta.

N a podwyższeniu stoją Spingate, Gaston i Zubiri. Brzuch Spingate jest nabrzmiąły od rosnącego w niej nowego życia. Spin śmiesznie teraz chodzi, musi to robić dla zrównoważenia obciążenia – zdaniem Smith termin porodu już upłynął.

G astonowi też czegoś przybyło: brody. Jest czarna i gęsta, co strasznie irytuje Bishopa. Choć sam jest wielki, nie może wyhodować nic poza wątlą, rzadką i postrzępioną blond szczecinę. Gaston z upodobaniem powtarza, że zarost na twarzy stanowi potwierdzenie męskości, i pewnie będzie to powtarzać dopóty, dopóki Bishop nie przestanie się z tego powodu wściekać.

N o i jest jeszcze Zubiri.

W iększość jej twarzy udało się naprawić. Smith jest w trakcie uzupełniania jej brakujących zębów. Pięć już wstawiła, pozostały trzy. Mówi, że po następnym zabiegu Zubiri powinna odzyskać dawny uśmiech. Ale jednej rzeczy nigdy nie uda się jej odzyskać – lewej ręki.

S traciła ją podczas bitwy. W rozbitym pająku oderwało jej ramię tuż nad łokciem. Smith nie mogła nic na to poradzić. Trumny potrafią dokonywać cudów ze skórą i kośćmi, naprawiając to, co uszkodzone, ale wyhodowanie brakujących części ciała jest czymś, co przekracza możliwości technologii.

S pingate podnosi wzrok znad swojej pracy. Widzi Müllera i uśmiecha się.

– Arcymistrzyni Zubiri – mówi – może pani udać się na wahadłowiec i przynieść mi mój karwasz z magazynu? I, Em, potrzebuję tu Zubiri z powrotem jak najszybciej – nie robi ci różnicy, jeśli Wiktor ją podwiezie?

Zubiri i Müller – przepraszam, Wiktor – gapią się sobie w oczy. Nie jestem pewna, czy choćby pamiętają, że stoję obok.

– Żaden problem – mówię. – Tylko nie zniknijcie na cały dzień.

– Skąd! – odpowiadają oboje równocześnie i wybiegają z sali, nie czekając, aż któraś z nas się rozmyśli.

Z dążyliśmy się zorientować, że Zubiri jest superinteligentna. Spingate określa ją nawet słowem „geniusz”. Może już wkrótce to nie Spin, a właśnie ona zajmie się prowadzeniem badań, ale na razie nie zawsze może skoncentrować się na pracy. Może mogłaby skupiać się na niej bardziej, gdyby nie urwało jej ręki i nie rozbiło twarzy tak strasznie, że potrzebne jej było jedenaście zabiegów rekonstrukcyjnych, albo gdyby nie budziła się co noc z krzykiem, przeżywając tamtą chwilę ponownie.

N o i, rzecz jasna, gdyby nie była zakochana w pewnym chłopcu.

G aston wbija wzrok w unoszący się nad postumentem obraz, który przedstawia morze gwiazd. Kiwa na nas, żebyśmy podeszli.

W chodzę na podwyższenie. Jest na tyle szerokie, że Bharka i Lahfa mieszczą się na nim razem ze mną. Bordżigin zostaje na podłodze – patrząc na swój komunikator, zaczyna rozmawiać z D’Souzą.

– No to jestem – mówię do Spingate. – Co jest aż takiej wagi, że musieliśmy tu przyjść i ja, i Bharka?

S pingate spogląda na Skoczka, jakby sama zadawała sobie pytanie, czy zaproszenie go tu nie było błędem. Kręci głową, odpędzając tę myśl. O cokolwiek chodzi, musi to w równym stopniu dotyczyć obu naszych gatunków.

– Zubiri naprawiła zasilacz w studni – mówi Spingate.

S poglądam na czerwoną ściankę tkwiącą pośrodku sali. Widzę, że ze studni znowu wychodzi gruby czarny kabel, który biegnie dalej po ścianie pod podwyższenie z postumentami. Taki sam kabel spalił się w pożarze.

– Spin, to s u p e r! Czy to znaczy, że teleskop działa?

– Tak jakby – mówi. – Ale najpierw muszę ci powiedzieć, co odkryliśmy w tej dziurze. Aż do dzisiaj schodziłam do niej tylko ja, Zubiri i kilka młodych zębatek. Dopiero dziś Okereke zniósł tam i podłączył ten gruby, ciężki kabel. Zobaczył w ścianach pewne rzeczy, które przeoczyła cała reszta.

P odnosi leżące na podwyższeniu pudło. Pełno w nim różnych brudnych rzeczy.

– Bordżigin, potrzebuję twojej fachowej oceny – mówi Spingate, wyciągając z pudła kawałek muru. – Możesz mi powiedzieć, co to takiego?

B ordżigin i D’Souza dołączają do nas na podwyższeniu. Kawałek muru jest z dwu stron płaski, z pozostałych obłamany. Wygląda jak odłamek z rogu jakiegoś budynku, ale o kącie szerszym niż kąt prosty.

– To kawałek budowli Skoczków – odpowiada Bordżigin. – Kąt sto dwadzieścia stopni. Charakterystyczny dla nich rodzaj betonu. Można go poznać po tym, że w roli domieszki lubią stosować trociny.

Wskazuje kilka widocznych w betonie małych pęcherzyków powietrznych. Przypominają rowki, w których idealnie mieściłyby się drewniane drzazgi.

Spingate kiwa głową.

– Pomyślałam to samo. Znalaziono to w ziemnych ścianach dziury, w warstwie tuż pod podłogą tej sali.

Teraz kiwa głową Bordżigin.

– Oczywiście. Starsi zrównali z ziemią miasto Skoczków i budowali na jego fundamentach. Pod Uchmalem da się pewnie znaleźć najprzeróżniejsze gruzy.

S pingate zachowuje się nerwowo. Wyciąga z pudła inny odłamek i podaje go Bordżiginowi.

– To było pod tamtą warstwą – mówi. – Co to takiego?

Odłamek jest z jednej strony płaski, z drugiej stopiony i poszarpany. To nie kamień. Coś takiego widzę pierwszy raz w życiu.

B ordżigin przygląda się odłamkowi. Obraca go w dłoniach.

– Nie wiem, co to jest – mówi. – Jakiś rodzaj kompozytu. Może fragment dźwigara. Nie widziałem tego materiału w żadnym fragmencie architektury Skoczków, a nie pojawia się też w niczym, co konstruowali Starsi. Mówisz, że to było p o d warstwą Skoczków?

Spingate potakuje, znów sięga do pudła.

– Jest tego pełno w całej warstwie. Okereke znalazł jeszcze to.

P odaje Bordżiginowi coś, co wygląda jak plastikowa lalka albo mały posążek. To rozpoznaję: ciało figurki ma ten sam kształt z odwrotnie zgiętymi nogami co posągi w kościele Bharki. Dwie zgięte w tył nogi, dwie niższe ręce i dwie kolejne wyrastające po bokach z jednookiej głowy.

Bordżigin wzrusza ramionami.

– Nie wiem, co to takiego.

B harka delikatnie odbiera mu figurkę.

– *Bu, Vellen* – mówi Skoczek, badając znalezisko. – *Kollo regatta dzumejn*.

N ie znam tych słów. Patrzę pytająco na D'Souzę.

– Mówi coś o Wellenach – wyjaśnia. – Albondeni nie chcą mi o nich za bardzo opowiadać.

„Albondeni”. Nadal trudno mi przywyknąć do tego słowa. To nazwa szczepu Bharki. D'Souza nalega, żebyśmy używali tej nazwy zamiast mówić „Skoczki”, ale większość ludzi po prostu ją ignoruje.

– Czy Welleni to jakiś inny szczep? – pytam.

D 'Souza zaprzecza.

– Myślę, że Welleni to określenie ich bogów, bo reszta z tego, co powiedział, oznacza z grubsza „ci, którzy przyszli przed nami”.

B harka odkłada laleczkę z powrotem do pudła Spingate.

Bordzigin kręci głową.

– Spingate, co ty mówisz? Że nie tylko my zniszczyliśmy miasto Skoczków, żeby postawić Uchmal, ale że Skoczki zniszczyły jakieś w c z e ś n i e j s z e miasto, zaludnione przez j e s z c z e i n n y gatunek, żeby zbudować własne?

Ależ... to niemożliwe. Skoczki były tu pierwsze. Mój gatunek pragnął ich ziemi, zmasakrował je, niemal wyciął w pień. Czy to odkrycie oznacza, że Skoczki nie były tylko częścią równowagi przyrody na Omeyocanie? Że one także zniszczyły to, co było tu przed nimi, żeby przejąć tę ziemię na własność?

Spingate wzrusza ramionami.

– Mówię tylko, że w studni są takie warstwy. Okereke twierdzi, że studnia schodzi dużo głębiej i że chyba tych warstw jest jeszcze więcej. Ale sam nie schodził poniżej źródła zasilania – twierdził, że czuł się „zbyt nieswojo”.

Z aczynam mieć od tego mętlik w głowie. Nasi stwórcy zniszczyli Skoczki, którzy może zniszczyli Wellenów... Czy ci Welleni też zniszczyli jakieś inne istoty, które były tu przed nimi? I jeśli tak, czemu tyle gatunków istot buduje miasto dokładnie w tym samym miejscu?

– Będziemy musieli tam zejść – mówię. – Dobrze, że wezwałaś mnie w tej sprawie razem z Bharką.

S pingate kręci głową. Wygląda na przejętą i zdenerwowaną.

– To nie jest główny powód, dla którego was tu wezwałam – mówi. – Powiedziałam, że t a k j a k b y naprawiliśmy teleskop. Chodzi o to, że teleskopów są dwa rodzaje. – Wskazuje palcem w górę. – Teleskop Grotgoffa, wielki, optyczny, który zajmuje tę budowlę, nadal nie działa. Bez Okadigbo po prostu nie wiemy, co jest z nim nie tak, nie mówiąc nawet o tym, jak go naprawić. Ale okazuje się, że w mieście i w dżungli znajdują się inne

teleskopy. R a d i o t e l e s k o p y. Udało nam się je włączyć. Od kilku godzin przekazują nam informacje – i coś odkryliśmy. Gaston, pokaż jej.

Gaston macha ręką nad postumentem. W powietrzu wyrasta zielono-niebiesko-brązowa kula: obracający się powoli Omeyocan. Nad nim widać czerwony świetlny punkt. Trochę dalej i w innym kierunku – punkt niebieski.

Gaston wskazuje czerwoną kropkę:

– To jest „Xolotl”.

Już sama nazwa tego statku wywołuje tyle okropnych wspomnień. Ale skoro czerwona kropka to „Xolotl”, czym jest niebieska?

Wskazuję ją.

– Zakładam, że to z jej powodu tak naprawdę nas tu wezwaliście? Żebyśmy ją zobaczyli?

– Zgadłaś – potwierdza Gaston. – Wiesz, co to jest fala radiowa?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Wyobraź sobie, że jesteś gdzieś w mieście – mówi mały kapitan. – Czasem, kiedy się wydrzesz na cały głos, wydaje ci się, że słowa do ciebie wracają?

Kiwam głową.

– Zwłaszcza przy tych największych budynkach.

– Fale radiowe działają podobnie, tylko na większą skalę – wyjaśnia Gaston. – Są emitowane w przestrzeń kosmiczną. Obserwatorium wysłał taki sygnał radiowy. To coś jak piłka, która robi się coraz większa i większa z prędkością światła. Kiedy fale radiowe w coś trafiają, odbijają się i wracają na Omeyocan, gdzie są wykrywane przez radioteleskopy. – Znów wskazuje czerwoną kropkę. – To efekt fal radiowych, które trafiają w „Xolotla” i odbijają się z powrotem.

C chwilę trwa, zanim dociera do mnie, co to znaczy. Czerwone światełko to „Xolotl”, statek na orbicie planety... więc to niebieskie to...

T o niemożliwe. N i e m o ż l i w e.

– Chcesz mi powiedzieć, że tam jest jakiś inny statek?

Spingate potakuje. Wpatruje się w niebieską kropkę, delikatnie odciągając kciukiem i palcem wskazującym dolną wargę. W pewnym sensie wygląda teraz na bardziej wystraszoną niż wtedy, kiedy Skoczki tłukły nas na kwaśne jabłko.

Gaston zauważa to, obejmuje jej ramiona i ściska lekko.

– Na sto procent inny statek – mówi. – Prawie tak duży jak „Xolotl”. I leci w naszą stronę.

Od kiedy się przebudziłam, chyba każdy mój dzień przepełnia lęk. Obawa o własne życie, o życie innych... ale ta wiadomość napełnia mnie zupełnie nowym złym przeczuciem.

– Więcej Starszych – mówię. – Lecą tu po nas.

Gaston prychnie.

– Żeby tylko. Przynajmniej wiedzielibyśmy, z czym mamy do czynienia. Na razie nie zdołaliśmy jeszcze odzyskać całej pamięci Obserwatorium, ale dałem radę zebrać trochę informacji o trasie, jaką pokonał „Xolotl”, żeby się tu znaleźć. Ten nowy statek ma zupełnie inną trajektorię lotu.

Odrywam wzrok od niebieskiej kropki i wgapiam się w niego.

– Może mógłbyś powiedzieć to tak, żebym zrozumiała?

– To nie kolejni Starsi.

Gaston puszcza Spingate, stuka w czerwoną kropkę. Wysuwa się z niej linia ciągnąca się łukiem w lewo, daleko od Omeyocana.

– To ścieżka, którą przyleciał tu „Xolotl” – mówi Gaston. Stuka w niebieską kropkę. Pojawia się inna linia, która ciągnie się daleko w prawo. – A to jest ścieżka, którą przyleciał nowy statek.

Oba statki przybyły z dwóch zupełnie różnych obszarów kosmosu. „Xolotlowi” dotarcie do tej planety zajęło tysiąc lat. Ten nowy statek

podróżował być może równie długo, ale z zupełnie innego kierunku.

– Jeśli to nie są Starsi – pytam – to kto?

Kiedy Gaston znowu się odzywa, mówi głosem cichym i opanowanym, wolnym od wszelkich śladów tak zwykle dla niego charakterystycznego tonu kpiny czy pozerstwa.

– Kiedy Starsi się tu zjawili, zniszczyli cywilizację Skoczków. Na podstawie tego, co Okereke znalazł w studni, wydaje nam się, że Skoczki same zniszczyły inny gatunek istot, który był tu przed nimi – co znaczy, że Skoczki też trafiły tu pewnie skądinąd, tak samo jak my. Ten sam obszar zajmowały dotąd już trzy różne gatunki. Więc kto jest w tym nowym statku? Zakładam, że czwarty gatunek istot. A sądząc po tym, co zrobili Starsi po swoim przybyciu, a także po tym, co Skoczki najprawdopodobniej zrobiły po s w o i m, musimy założyć, że ten czwarty gatunek nie leci do nas na ciasteczka z mlekiem.

Nikt się nie odzywa. Niebieska kropka mruga delikatnie.

Cóż takiego było absolutnie nie do przewidzenia. Ani przeze mnie, ani przez nikogo innego. Z a s ł u ż y l i ś m y sobie na pokój. Niepewny pokój, to fakt, ale ludzie i Skoczki współpracują ze sobą, budują mosty, dzięki którym będziemy umieli podzielić się tą planetą. Może nie jako jeden lud, ale jako skłonni do wspólnych działań sąsiedzi. Wywalczyliśmy to sobie, a teraz mały punkcik niebieskiego światła mówi mi, że może to wszystko na próżno.

– Ile czasu? – pytam. – Ile mamy czasu, zanim do nas doleci?

Gaston drapie się po brodzie.

– Jakies dwieście dni.

Nie wiemy, co to. Nie wiemy, co w sobie niesie. Nie wiemy, czy to przyjaciel, czy wróg.

Spingate odchrząkuje.

– Jest prawdopodobne, że wykryli nasze fale radiowe, więc już wiedzą, że

wiemy, że tu lecą. Staramy się wymyślić sposób na wysłanie im jakiejś wiadomości, ale nie bardzo wiemy, jak to zrobić, ani czy w ogóle by ją zrozumieli. Czy mamy...

P rzerywa jej głos mówiącej sali.

– *Arcymistrzyni Spingate* – odzywa się Ometeotl. – *Wykryto obiekt Gamma Prim.*

J eszcze dalej od Omeyocana, za niebieską kropką i z jeszcze innego kierunku, pojawia się żółta kropka.

S pingate i Gaston milczą.

– Czy to słońce? – pytam. – Jeden z dwóch księżyców?

Spingate powoli kręci głową.

– „Xolotl” ma etykietę Alfa Prim. To był pierwszy obiekt wykryty dzięki fali radiowej. Potem fala wykryła niebieską kropkę, którą nazwaliśmy Beta Prim. Fala ciągle się rozprzestrzenia, nie przestaje wykrywać obiektów, które znajdują się coraz dalej i dalej.

Spingate roztargnionym gestem masuje się po nabrzmałym brzuchu.

G aston szybko obraca się do innego postumentu. Wywołuje rozjarzone symbole, chwytą je, przesuwa, obraca.

Z żółtej kropki wyrasta linia wiodąca w jeszcze inny obszar kosmosu.

– Trzeci statek – mówi Gaston głosem bezbarwnym z osłupienia. – Szacunkowy czas dotarcia na orbitę: dwieście osiemdziesiąt jeden dni. Może to odbicie widma czy coś, albo asteroid, albo...

– *Arcymistrzyni Spingate*, *wykryto obiekt Delta Prim.*

P ojawia się zielona kropka. Tym razem nie muszę nawet pytać – wszystko jest aż nazbyt czytelne.

G aston manipuluje symbolami.

– Wyliczam szacunkowy czas dotarcia na orbitę – mówi. – Mniej więcej... trzysta trzydzieści dwa dni.

T rzy statki zawieszono gdzieś tam, w czarnej próżni kosmosu. Każdy nadciąga z innego kierunku.

Wszystkie zmierzają t u t a j.

Nasza walka o Omeyocan jeszcze długo się nie skończy.

PODZIĘKOWANIA

Ekspertką pomoc w zbieraniu informacji okazały mi następujące osoby:

d r Joseph A. Albietz III,

M aria D'Souza,

d r Nicole Gugliucci,

A . Kovacs,

d r Phil Plait,

s t. sierż. Chris Grall, jednostki specjalne wojsk lądowych Stanów
Zjednoczonych (w st. sp.),

John Vizcarra.

Serdecznie im dziękuję.

A za opinie dotyczące fabuły moją wdzięczność niech zechcą przyjąć:

d r Abby Parrill-Baker,

d r Daniel Baker,

Lindsey Baker,

Jody Sigler.

O AUTORZE

Scott Sigler jest autorem piętnastu powieści, sześciu nowel i dziesiątków opowiadań, notowanych na listach bestsellerów „New York Timesa”. Jest też współzałożycielem wydawnictwa Empty Set Entertainment, w którym publikuje swoją serię książek z cyklu *Galactic Football League*. Mieszka w San Diego w Kalifornii.

scottsigler.com

[Facebook.com/scottsigler](https://www.facebook.com/scottsigler)

[Instagram.com/scottsigler](https://www.instagram.com/scottsigler)

[Twitter.com/scottsigler](https://twitter.com/scottsigler)

[scottsigler.tumblr.com](https://www.tumblr.com/scottsigler)